

TAYLOR ANDERSON

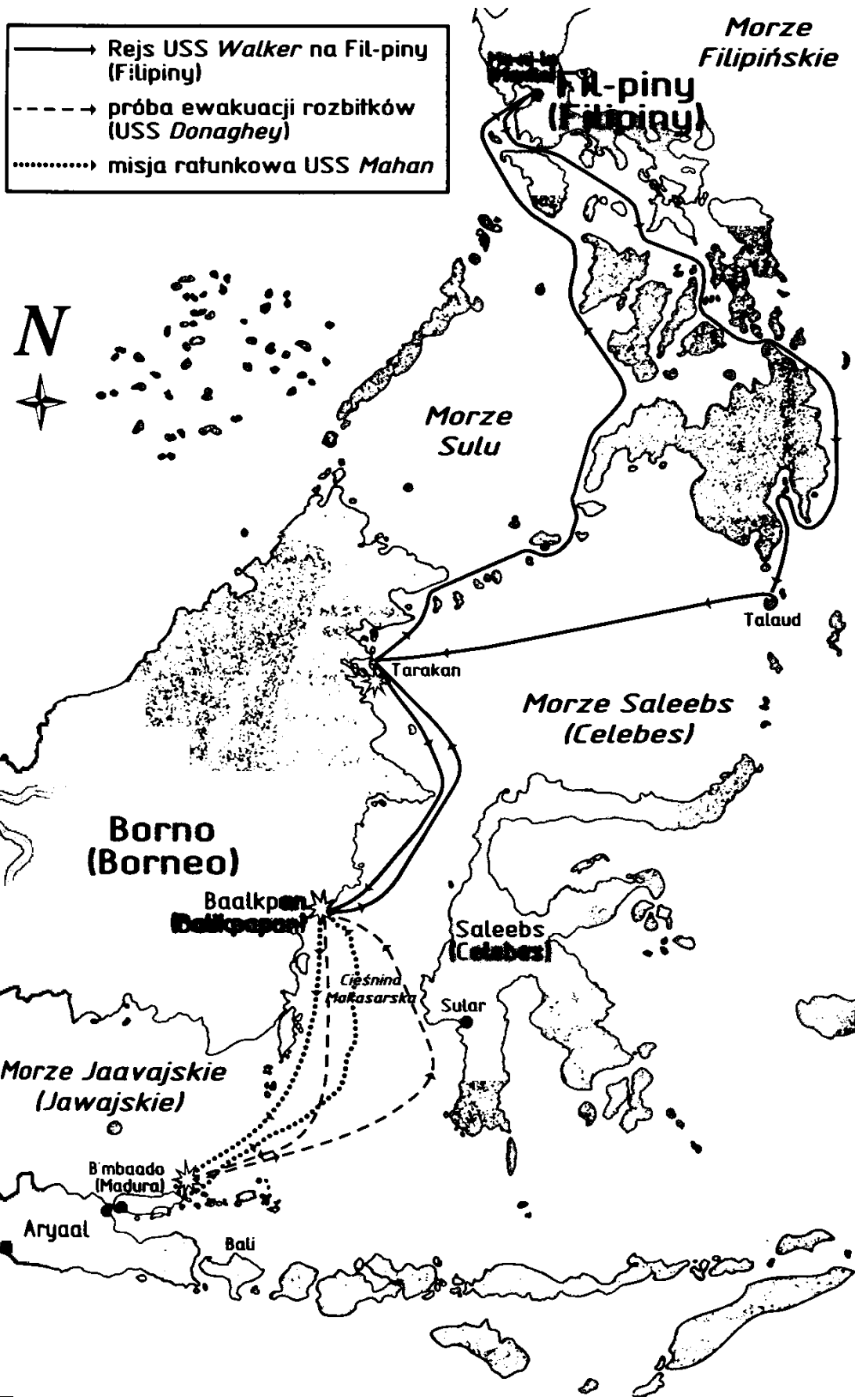
CYKL NISZCZYCIEL

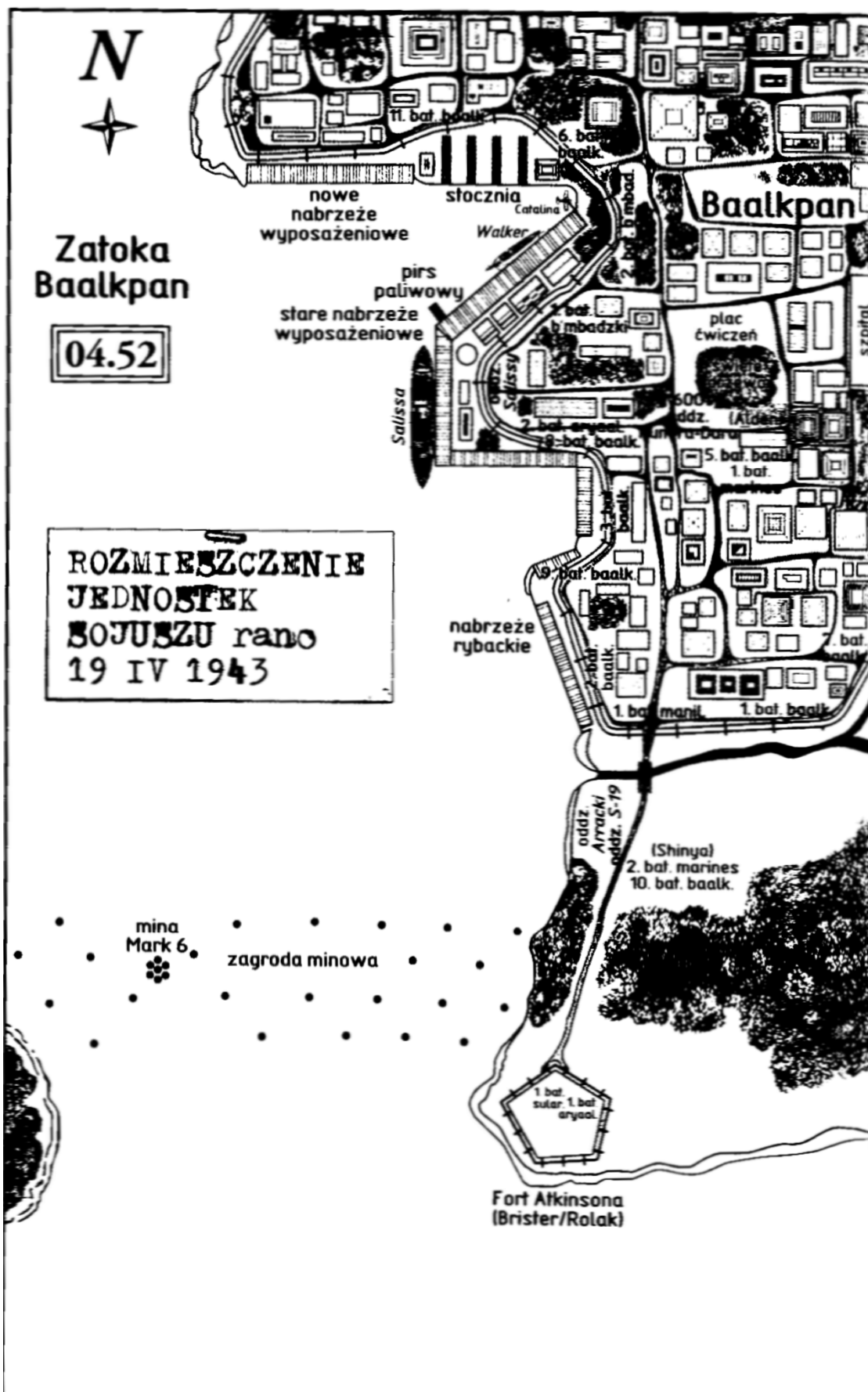
MALSTROM

Malstrom

Przełożył
Radosław Kot







PODZIĘKOWANIA

Ponownie muszę podziękować moim rodzicom - ostatecznie to oni są dla mnie pierwszymi i niekiedy bardzo surowymi krytykami. No i żonie, znoszącej moje cierpkim tonem wygłaszane uwagi w rodzaju „Naprawdę nie obchodzi mnie, co zrobił nasz kiciuś. Gdybyś uprzejmie zamknęła drzwi, może udałoby mi się coś napisać”. Dziękuję także naszym przyjaciółom z Books and Crannies oraz wszystkim pomocnym osobom, które spotkałem w muzeach marynistycznych w całym kraju. Przeszli samych siebie, odpowiadając na moje prośby, a przy tym nie narzekali ani nie oczekiwali szczególnego upamiętnienia. Wiele dobrych myśli (jak i przeprosin) kieruję pod adresem Darli i Ryana Goodrichów, którzy nie pomijali żadnej okazji, żeby mi przypomnieć, jak bardzo ich zaniedbałem. Trudno o lepszą inspirację, gdy szuka się przykładów zgryźliwie ironicznego zachowania. Sheila Cox wciąż jest moim przewodnikiem w świecie internetu, a zapewniam was, że nie jest to łatwa robota. Ponownie dziękuję Ginjer Buchanan za niezrównaną cierpliwość i zawodowy wdzięk oraz rzecz jasna mojej przyjaciółce i agentce Russell Galen - za zdumiewające mnie nieustanne wsparcie. Reszcie mojej „załogi” dziękowałem chyba już wcześniej i jeśli kogoś pominąłem, bardzo za to przepraszam. Zapewniam, że bardzo cenię waszą pomoc.

Już wcześniej wyraziłem uznanie dla poświęceń i ofiar poniesionych przez Flotę Azjatycką, niemniej Alan Levine przypomniał mi niedawno, że powinienem jeszcze wspomnieć o losie niektórych należących do niej okrętów, które w odróżnieniu od *Walkera* i *Mahana* naprawdę brały udział w zmaganiach początkowego okresu wojny na Pacyfiku. Był wśród nich USS *Pope*, zatopiony przez Japończyków w tym samym czasie co *Exeter* i *Encounter*. To, co jego załoga wycierpiała później z rąk przeciwnika, nie powinno nigdy popaść w niepamięć. Jeszcze gorszy los spotkał rozbitków z USS *Edsall*, przy czym pierwsze informacje na ten temat uzyskaliśmy dopiero po wojnie, po zdobyciu japońskich, bardzo ziarnistych zdjęć ukazujących ten czterofajkowy niszczyciel tonący po rozstrzelaniu przez działa ciężkich okrętów przeciwnika. Z tego, co obecnie wiadomo, co najmniej kilku członków jego załogi przeżyło zagładę okrętu, nie udało im się jednak przetrwać obozu jenieckiego. Zapewne nie inaczej było z załogami niszczyciela USS *Pillisbury*, fregaty eskortowej USS *Asheville* oraz eskortowca HMAS *Yarra*, chociaż do dziś trudno o pewność w tej sprawie. Niech Bóg ich pobłogosławi i przytuli.

PROLOG

Dobiegający z dołu huk nie obudził ośmioletniej dziewczynki leżącej w rozkołysanym hamaku z żaglowego płótna. Jej koszmar już wcześniej rozbrzmiewał jękami atakowanego przez rozszalałe fale kadłuba. Kolejne łomoty także wpasowały się w sen, a śniła akurat o lewianinie. Bała się tego potwora od początku dziwnej podróży i co noc napotykała go w snach. Wystarczyło, że zamknęła oczy o barwie jadeitu, a bestia wracała i połknąwszy statek, trawiła go w swoich trzewiach pośród ryku kaskad wody i ludzkich krzyków. Te głosy też zawsze powracały, co było zresztą całkiem naturalne. Przeróżający sen musiał być pełen przerażających odgłosów. Dziewczynka dobrze wiedziała, co będzie dalej...

Leżała twarzą do pokładu, którego deski wyginały się jak żywe. Tylko splecione pośladki uchroniły ją od upadku i rozbicia nosa. Niewiele widziała w mdłym blasku sączącym się z latarni zawieszanej na odległej ścianie, ale wydobywając się z otchłani snu, pojęła w końcu, że miejsce jednego kosmaru zajął następny. Pokład nie powinien tak się zachowywać. Wciąż słyszała też głosy, które chociaż stłumione, również pełne były przerażenia. Zrozumiała tylko jedno słowo, które zmroziło jej szpik w kościach: „Lewiatan!”

Głuche odgłosy przybrały na sile, pokład mocno się przechylił. Dziewczynka miała wrażenie, jakby statek się unosił i hałas był krzykiem protestu nadmiernie obciążonych wielkich belek zasadniczej konstrukcji kadłuba. Nagle coś trzasnęło, jakby pękła wielka sprężyna, i cały ten hałas ucichł, dziewczynka poleciała zaś na tylną ścianę pomieszczenia, która stała się podłogą. Na chwilę tylko, bo pokład szybko wrócił na miejsce, jednak rozkołysany kadłub zaczął nabierać przegłębień na dziób. Dziewczynka przyciągnęła kolana do piersi i zaniosła się łkaniem.

Gwałtownie otworzyły się drzwi i serce podskoczyło jej z radości, gdy ujrzała drobną postać swojego nauczyciela, mistrza Kearleya.

- Pani! - zawołał, przekrzykując coraz większy hałas dobiegający z korytarza.

- Mistrzu Kearley! Och, mistrzu Kearley!

- Tu jesteś, dziecko - powiedział mężczyzna prawie normalnym tonem. Wyprostował się i poprawił klapy surduta. - Chodź szybko! Nie, nie ubieraj się. Wystarczy szal.

Dziewczynka przywykła wykonywać jego polecenia bez wahania i tak też zrobiła - złapała szal wiszący na wieszaku przy drzwiach i owinęła nim ramiona.

- I może jeszcze beret - dodał.

Posłusznie wzięła nakrycie głowy i włożyła je na swoje długie, złociste loki.

- Co się stało? - spytała drżącym głosem.

- Powiem ci po drodze. Musimy się pospieszyć.

W mrocznym przejściu tłoczyły się ogarnięte paniką postacie próbujące utrzymać równowagę na coraz bardziej przechylonym pokładzie. Słychać było krzyki i wrzaski, nad które wybił się w pewnej chwili basowy ryk, zapewne dyrektora Hanesa, jak zdawało się dziewczynce. Jednak w tej chwili wysoki status nic nie znaczył. Tłum stanowił swoje prawa. Zgrzytnęła wysuwana z pochwy szabla, która uciszyła dygnitarza.

- Szybciej! - rzucił Kearley, gdy przedzierali się do schodni. - Zderzyliśmy się z lewiatanem, a może to on wpadł na nas. Bez różnicy. Statek ma pęknięty kil i niebawem zatonie.

Dziewczynka znowu zapłakała, poddając się przerażeniu. Koszmar okazał się prawdą.

- Hej ty, zrób przejście! - krzyknął Kearley na mężczyznę o szerokich barach, który blokował schodnię. - Nie umiesz się zachować? Nie widzisz, kto ze mną jest?

Wielki ciemnoskóry mężczyzna obrócił się, unosząc pięść. W jego oczach malował się dziki strach, potargane, sumiaste wąsiska zakrywały większość twarzy. Nie uderzył jednak, rozpoznał bowiem stojącą obok uczonego postać.

- Przepraszam, panienko! - odezwał się niemal piskliwie. - Złapcie mnie od tyłu, a utworzę przejście.

Kearley w jedną dłoń chwycił pas marynarza, drugą mocno ścisnął rękę dziewczynki. Razem przebili się przez zatłoczoną schodnię na coraz bardziej pochyły pokład rufowej nadbudówki. Tam, ku wielkiemu zdumieniu dziewczynki, wielki mężczyzna nagle się pochylił i uniósł ją w powietrze.

- Musimy zaraz ją dać do szalupy! - zawołał niemal już normalnym, lekko chrapliwym tonem.

- Wielkie dzięki, dobry człowieku, za pomoc - powiedział Kearley.

Marynarz przeszył go nieufnym spojrzeniem. Teraz, gdy wiedział już, z kim ma do czynienia, bez wątpienia gotów był zginać, żeby tylko ocalić dziewczynkę.

Ona sama nie zwróciła uwagi na tę wymianę zdań. Rozglądała się wkoło i mimo ciemności wiedziała już, że sen stał się rzeczywistością. Żagle zwisały w strzępach, a fascynująca ją kiedyś płatanina lin i bloków tworzyła teraz trudne do rozpoznania kłębowisko. Dalej dostrzegła wykrzywiony bukszpryt, który zdawał się celować w niebo. Koła łopatkowe po obu burtach sterczały niczym kwiaty odarte z płatków. Z komina unosił się dym

wymieszany z parą, a spod pokładu dobiegał szum napływającej wody.

Jeszcze dalej ciemniała sylwetka lewiatana, widoczna na tle rozgwieżdżonego nieba. Być może potwór zniszczył statek jedynie przypadkiem, unosząc się z głębin dla zaczerpnięcia powietrza do swoich przepastnych płuc. Zapewne dopiero wtedy zauważył, że uderzył o coś grzbietem. To coś było dla niego małe niczym żuk, ale i tak wzbudziło dość zainteresowania, żeby zechciał obejrzeć to sobie bliżej. Dziewczynka dostrzegła, jak bestia kończy zwrot i ustawia się pyskiem w stronę tonącego statku. Rosły marynarz też ją dostrzegł.

- Do łodzi! - krzyknął, niosąc dziewczynkę do relingu na lewej burcie. - Z drogi! Nie widzicie, kogo tu mam?!

Młody, bardzo przerażony oficer skinął na nich, przepuszczając do łodzi. Wielu innych, tłoczących się wkoło, też chętnie poszłoby w ich ślady.

- Jesteście marynarzem? - spytał oficer, zwracając się do potężnego mężczyzny. - Nie należycie do załogi.

- Kiedyś byłem marynarzem - odrzekł zapytany. - I żołnierzem. Teraz jestem cieślą okrętowym. Kompania oddelegowała mnie do nowej stoczni.

Oficer zastanowił się chwilę.

- Dobrze - powiedział. - Proszę wziąć ją do łodzi. Od teraz będzie pod pańską opieką. Gdy tylko opuścimy łódź, niech pan trzyma ją blisko burty, żeby więcej ludzi mogło wsiąść. - Spojrzał na mężczyznę z szacunkiem. - Wygląda pan na silnego.

Zanim dziewczynka zdołała zaprotestować, została przerzucona przez reling i umieszczona w łodzi. Mężczyzna skoczył za nią zwinnie niczym górską kozica i zaczął łapać rzucane mu tobołki. Chwilę potem do łodzi przeskoczył jeszcze marynarz z naręczem muszkietów, które zaraz złożył na dnie.

- Mistrzu Kearley! - krzyknęła dziewczynka jak umiała najgłośniej. - Mistrzu Kearley! Ty też musisz z nami popłynąć!

- Dołączę jeszcze, kochana - odparł uczoney, którego ledwie było słychać.

- Opuszczać!

Łódź szybko opadła, uderzając rozgłośnie o powierzchnię wody.

- Uważnie teraz, do diabła! - dobiegło z góry. - Trzymajcie ją w miejscu. Będę wysyłał po dwóch, oboma linami łodziowymi jednocześnie.

Rosły mężczyzna oplótł jedną z lin wokół przedramienia i pociągnął, żeby ją napiąć, marynarz zaś wparł wiosło w kadłub parowca, chroniąc szalupę przed ciśnieniem na wznoszącą się obok burtę.

- Niech zjeżdżają!

Nagle dziewczynka pisnęła tak przenikliwie, że wszyscy zwrócili ku niej spojrzenia, zapominając na chwilę o własnym przerażeniu. Przed dziobem statku otworzyła się przepaścista paszcza dość wielka, żeby pochłonąć z połowę jednostki. Pośród szumu fal i ludzkich krzyków zamknęła się, miażdżąc przedni pokład. Główny maszt przechylił się i padł na ciemny masyw potwora. Pociągnięty takielunkiem bezanmaszt przewrócił się na ludzi stłoczonych na głównym pokładzie i podniosła się kolejna fala przeraźliwych głosów.

Z potwornym chrzęstem paszcza otworzyła się i raz jeszcze zacisnęła na szczątkach dziobowej części statku. Gdzieś daleko wytrysnęły w górę fontanny wody, gdy bestia poruszyła płetwami i ogonem. Zmasakrowany kadłub przesunął się gwałtownie, szczęściem nie w stronę kołyszącej się na falach szalupy.

- Mistrzu Kearley! - krzyknęła znów dziewczynka, patrząc na oddalający się wrak parowca.

Chwilę potem gromowy huk obwieścił o eksplozji kotła, co chyba jeszcze bardziej rozwścieczyło potwora, który tym gwałtowniej zaczął rozbijać kadłub. Przez kilka chwil słyhać było jeszcze trzask pękającego drewna i ludzkie wrzaski, które jednak szybko ucichły, ustępując szumowi wzburzonego morza.

Marynarz, który przyniósł muszkiety, wypadł za burtę i nie było już dla niego nadziei. Przerażona i osamotniona nagle dziewczynka skuliła się na dnie łodzi. Potężny mężczyzna siedział jak ogłuszony i przez chwilę wpatrywał się w noc, aż zerknął na kikut lewej ręki. Wszystko stało się tak nagle, że poczuł tylko potężne szarpnięcie i ręka jakby zniknęła, oderwana przez linę. Życie uciekało z niego z każdą chwilą, zdołał jednak zmobilizować się na tyle, żeby wyciągnąć pasek ze spodni i obwiązać nim ciasno kikut. Zaraz potem strumień krwi zmałał. Chociaż słaby i obolały, zdobył się na to, żeby spojrzeć na dziewczynkę.

- Panienko - wychrypiał i dziewczynka otworzyła zaczerwienione oczy. - Nie chciałbym być nieuprzejmy... ale byłoby dobrze... gdybyś zechciała opatrzeć mnie trochę lepiej. Sama też na tym zyskasz, jeśli przeżyję.

Widząc straszną ranę, dziewczynka w pierwszej chwili się cofnęła, zaraz jednak wspięła się na ławkę obok mężczyzny.

- Zrobię co w mojej mocy - zapewniła go przez łyzy. - Ale nie jestem lekarzem.

- Trudno się nie zgodzić - odparł mężczyzna, uśmiechając się lekko. - Ale nie ma wątpliwości, że zostaniesz nim, jeśli zechcesz.

Jak mogła najdelikatniej poprawiła pasek, zaciskając go mocniej, zajrzała do tobołków, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć za opatrunek. Ostatecznie użyła ocalałego

rękawa koszuli mężczyzny.

- Będą nas szukać, prawda? - spytała, obwiązując nim kikut.

- Oczywiście, panienko.

- I znajdą nas?

Mężczyzna już się nie uśmiechał. Wpatrywał się w rozkołysaną ciemność. Już kilka dni wcześniej stracili kontakt z resztą jednostek zespołu, ale to zdarzało się prawie podczas każdego rejsu. Załogi pozostałych dwóch jednostek zaczną niepokoić się dopiero jakiś czas po przybyciu do portu docelowego, gdzie mieli dostarczyć cenny dla stoczni ładunek. Przebyli ledwie połowę drogi, minie zatem kilka tygodni, nim ktoś na serio zainteresuje się ich losem, uznawszy opóźnienie za zbyt duże. Potem trzeba będzie jeszcze paru miesięcy, aż wiadomość o ich zaginięciu dotrze do domu i zostaną zarządzane poszukiwania. Do tego czasu wiatry i prądy zepchną ich daleko na zachód, gdzie ludzie nigdy się nie zapuszczają.

Zamrugnął i spojrzał w boleśnie ufne oczy dziewczynki.

- Oczywiście, że znajdą, wasza wysokość.

ROZDZIAŁ 1

Podczas spotkania, które rozpoczęło się zaraz po zmroku, Wielka Sala mogła kojarzyć się z wieżą Babel, i to z końcowego okresu niesławnego żywota owej budowli - taki w niej zrazu panował rejwach. Nakja-Mur, u-amaki ay Baalkpan, zajął miejsce na platformie otaczającej pień świętego drzewa, przypominając tym samym, że jest tu gospodarzem. W dole panował niemal równie wielki ścisk jak podczas pierwszego spotkania z kapitanem Reddym. Na później planowano przyjęcie dla wszystkich, na razie jednak daleko było do radosnego nastroju. Na tę część spotkania zaproszono tylko wielkich wodzów oraz pełniących funkcje dowódcze „oficerów”. Ci ostatni byli tu całkiem nową grupą, ale już teraz zdumiewali liczebnością. Matt otarł pot z czoła, ale nie mógł się równie łatwo pozbyć zmęczenia. Odkąd jego poobijany i przeciekający okręt dotarł resztką sił do Baalkpanu, wszyscy byli zajęci naprawami. Pracowali dzień i noc i mało o czym innym myśleli. Matt przebrał się wprawdzie, wychodząc na spotkanie, ale dopiero na miejscu zorientował się, że zapomniał zgolić zarost. Cholera, pomyślał. Zawsze jakiś drobiazg człowiekowi umknie. A nie powinien, zwłaszcza w obecnej sytuacji.

Stłumił kichnięcie. Czasem trudno było mu znieść woń tylu futrzanych istot zgromadzonych w jednym miejscu. Courtney Bradford nazywał te stworzenia lemurami, bo przypominały mu znane z wykopalisk wielkie lemury żyjące niegdyś na Madagaskarze. Był niemal pewien, że tubylcy, zwący siebie Mi-Anaaka, są ich potomkami, chociaż ludziom bardziej kojarzyli się z kotami. Większość załogi niszczycieli nazywała je przez to kotami albo kotowatymi, chociaż niektórzy pozostali wierni określeniom „kocie małpy” albo „małpie koty”, powstałym na samym początku znajomości, przy czym jedna nazwa zyskała popularność wśród załogi pokładowej, a druga w obsadzie maszynowni. Tak czy owak lemury okazały się niezawodnymi sojusznikami i wiele z nich oficjalnie wcielono do Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Służba na tym samym pokładzie sprzyjała upraszczaniu nazewnictwa, stąd ostatecznie stanęło na kotach.

Matt pochylił głowę, witając królową Safirę Maraan z B'mbaado. Jak zwykle wyglądała wspaniale w czarnym płaszczu i srebrnym napierśniku. Odpowiedziała kapitanowi głębokim i pełnym szacunku ukłonem. Stała wraz z lordem Rolakiem z Aryaalu w kręgu swoich przybocznych. Stary wojownik nie przedstawiał się tak dobrze jak jego niegdyjsza

przeciwniczka, ale był nie tylko trzy razy starszy niż Sieroca Królowa, ale i miał ostatnio o wiele więcej pracy. Musiał jakoś zorganizować swoich ludzi, a nie miał nikogo do pomocy. Dobierając ich, działał ostrożnie, żeby niedawne konflikty, do których doszło w jego mieście, nie wpłynęły na obecną współpracę. Na to nie mogli sobie pozwolić.

Chack-Sab-At zjawił się z potarganym jeszcze futrem, w czerwonej spódniczce i białej marynarskiej koszulce. Całości dopełniał płaski hełm. Kotowaty nie wiedział chyba, gdzie właściwie powinien stanąć. Dowodził obecnie 2. batalionem marines, ale ponieważ *Walker* był jego domem, starał się trzymać Matta, stojącego wraz z większością oficerów z obu niszczycieli. Brakowało jedynie porucznik Sandry Tucker, która przebywała w szpitalu, zajmując się rannymi i osłabionymi rozbitkami, których udało się im przywieźć. Ponadto porucznik McFarlane, zwany Spankym, oraz pełniący obowiązki porucznika Frankie Steele pozostali na okrętach jako wachtowi. Ponury Ben Mallory, z głową i ramionami ciągle w bandażach, stał niepewnie obok sierżanta Pete'a Aldena i porucznika Shinyi, jeszcze nie tak dawno oficera Cesarskiej Marynarki Wojennej Japonii. Keje-Fris-Ar, Geran-Eras, niedawno przybyły Ramic-Sa-Ar i wszyscy kapitanowie wielkich pływających domów, rozmiarami nie ustępujących pełnowymiarowym lotniskowcom, dopełniali gromady.

Fristar oraz pozostałe pływające domy, które kotwiczyły wcześniej w Zatoce Baalkpańskiej, wypłynęły jeszcze przed południem. Nikogo to nie zaskoczyło. Owszem, miasto potrzebowało wojowników, jednak z całego zespołu tylko *Fristar* był uzbrojony. Na dodatek wszyscy wiedzieli, że kapitan *Fristara* nie pali się do walki. Kurs wziął oczywiście na Manilę i tyle dobrego, że pozwoliło to ewakuować przedstawicieli różnych społeczności, którzy trochę przypadkiem znaleźli się w Baalkpanie.

Nakja uderzył w rurowy gong, zwracając uwagę zebranych, że pora zaczynać. Wielki wódz Baalkpanu miał na sobie tradycyjne szaty, jego czarne futro było starannie wyszczotkowane, a długi ogon wahał się dostojnie na boki. Nakja wciąż był najgrubszym lemurzem, jakiego Matt spotkał, ale nie był wcale słabeuszem. Gdyby to mieczem tak uderzył jak przed chwilą drewnianą pałką w gong, jego przeciwnik straciłby głowę. Dźwięk brzmiał jeszcze przez dłuższą chwilę, docierając wibracjami aż do kości. Na podwyższenie wdrapał się też Naga, kapłan Nakii. Adar musiał mu trochę przy tym pomóc. Matt widział go po raz pierwszy od swojego powrotu i odniósł wrażenie, że stary kapłan postarzał się o dziesięć lat. Sala z wolna ucichła i Nakja zabrał głos:

- Połączone Siły Ekspedycyjne wróciły do naszego miasta - powiedział z dumą.

Zadaniem tych sił było zniesienie oblężenia Aryaalu i zwalczanie nieprzyjaciela na Sumatrze i Jawie, wszędzie za Barierą Malajską. Okazało się przy tym, że stanowiący niemal

legendarne zagrożenie grikowie, dwunogie i zasadniczo rozumne gady, są o wiele liczniejsi, niż wcześniej sądzono, a ich apetyt na ekspansję może się równać jedynie ich zawziętości. Do imperium tych potworów, obejmującego pierwotnie Afrykę Środkową, obecnie zdawało się należeć także wybrzeże Indii do Cejlonu i Singapuru. Kolejną ich zdobyczą miała być Jawa. Oddzieleni przez wieki od swojej dawnej „zdobyczy”, nauczyli się w końcu pokonywać wielkie przestwory oceanu i zamierzali dokończyć to, co kiedyś im się nie udało.

Kampania Połączonych Sił Ekspedycyjnych przebiegała udanie do czasu, gdy na jej drodze znalazła się wielka flota grików wzmocniona japońskim krążownikiem liniowym *Amagi*. To odmieniło koleje wojny i zmusiło sojuszników do ewakuowania Aryaalu oraz B'mbaado, miasta leżącego na wyspie zwanej przez ludzi Madurą. Władczyni tego miasta, charyzmatyczna Sieroca Królowa, wsparła Aryaal w walce z odwiecznym wrogiem, nie zważając na to, że toczyła właśnie wojnę z sąsiadem. Gdy jednak w wielkiej liczbie nadciągnęli grikowie, trzeba było podjąć bezprecedensową ewakuację, podobną zapewne do exodusu sprzed wieków, kiedy to kotowatym przyszło uchodzić z ojczyzny przed pragnącymi wygubić ich jaszczurami. Zachowane w starych zwojach zapiski niewiele o tym powiadały, ale relacja o niegdysiejszych wydarzeniach przez wiele pokoleń przekazywana była ustnie, co sugerowało, że chodzi o bardzo ważne dla lemurów, wręcz traumatyczne zdarzenie.

- Nasze Siły Ekspedycyjne odniosły wiele zwycięstw nad grikami i nie zostały pokonane - powiedział Nakja. - Dzięki nim dowiedzieliśmy się też, że pradawny przeciwnik jest silniejszy, niż ktokolwiek z nas sądził. Mądrze zatem uczynili, wracając, żeby wzmocnić naszą obronę i zgromadzić siły zdolne zniszczyć wroga i zażegnać zagrożenie. - Przerwał i spojrzał na głodnych nowin słuchaczy. - Przeprowadzili także nowych sojuszników, którzy walczyli już z grikami i wesprą nas, tak jak my ich wsparliśmy. Razem wystawimy największą armię w historii naszej rasy! I nie spotka nas klęska, jak wtedy, gdy musieliśmy opuścić ziemię naszych przodków!

Odpowiedziały mu okrzyki, może mało liczne, za to pełne zaangażowania. Matt musiał przyznać, że Nakja nauczył się przemawiać. Mimo trudnej sytuacji skoncentrował się na pozytywach, nie wspominając o grożącej im klęsce. Zapewne nie było w tym nic złego. Wszyscy znali już ogólną sytuację i mimo to pragnęli walczyć. Nie mieli zresztą wielkiego wyboru. Wszystkie pływające domy, które nie zamierzały brać udziału w kampanii, już odpłynęły. Niektóre po prostu uciekły, inne służyły jako wielkie frachtowce, kursując między Baalkpanem a Filipinami. Kapitan Reddy raz jeszcze pomyślał o podobieństwie tej sytuacji do tego, z czym musiała się borykać Flota Azjatycka na początku tamtej wojny. Tyle że obecnie Filipiny nie były miejscem pierwszego uderzenia, ale czymś na kształt bezpiecznej

przystani.

- Safira Maraan, królowa wyspy B'mbaado, przybyła ze swoją gwardią w liczbie sześciu setek zbrojnych - kontynuował Nakja. - Towarzyszy jej ponadto kwiat jej wojowników, oddział nie mniejszy niż dwa tysiące zaprawionych w bojach weteranów. - Wódz nie dodał, że blisko tysiąc poddanych królowej zginęło wraz z *Nerraccą*, która wypłynęła ostatnia i została przechwycona przez nieprzyjaciela. Niszczyciel *Matta* próbował nawet wziąć pływający dom na hol, ale stary czterofajkowiec nie mógł w tej sytuacji wiele zdziałać. Nie miał też szans przeciwstawić się krążownikowi liniowemu *Amagi*, który chociaż nie całkiem sprawny, dysponował szesnastocalowymi działami, zdolnymi obezwładnić każdy cel z niewiarygodnej dla lemurów odległości. Mimo to *Walker* podszedł, jak mógł najbliżej, do burty ogarniętego pożarem tonącego domu i przejął wiele setek rozbitków. Niestety dla tych, którzy pozostali na pokładzie *Nerracki*, nie było już ratunku.

Ostatecznie dowódca statku, *Tassar-Ay-Arracca*, wysłał na łodzi swoją córkę, *Tassanę*, żeby przecięła hol. *Matt* z całego serca współczuł dziewczynie brzemienia, które spadło na jej młode barki. Sfrustrowany do granic wykorzystał ciemności do serii desperackich manewrów, które wyprowadziły go na pozycję do ataku torpedowego na krążownik. Szczęście im sprzyjało. Spośród trzech ostatnich torped, które zostały im w wyrzutniach, jedna doszła celu, jeszcze bardziej uszkadzając wrogi okręt. Nie zdołali go zatopić, ale zmusili *grików* do odłożenia ostatecznego ataku i zawrócenia armady do *Aryaalu*. Nietypowo dla siebie przeciwnik uznał zapewne, że bez *Amagiego* zwycięstwo nad dawną zdobyczą, która kiedyś już umknęła, oraz jej nowymi sojusznikami mogłoby okazać się trudne do osiągnięcia. W ten sposób *Walker* kupił *Baalkpanowi* trochę cennego czasu.

- Dołączył do nas też *Mulm-Rolak* z *Aryaalu*, wiodący siły niemal równie liczne jak oddziały królowej. Licząc też cywilnych mieszkańców obu miast, których zdołaliśmy ewakuować, zdołamy wystawić do tej bitwy armię liczącą szesnaście tysięcy zbrojnych! - Tym razem okrzyki były znacznie żywsze, chociaż wszyscy musieli rozumieć, że wobec sił nieprzyjaciół to niewiele. *Nakja* skinął na *Matta*, żeby dołączył do niego na podwyższeniu.

Najpierw miód, potem piołun, pomyślał kapitan *Reddy*, wkraczając na stopnie.

- *Kap-i-taan Reddy* został wyznaczony na dowódcę Połączonych Sił Ekspedycyjnych i on jest architektem naszych zwycięstw. Jednak siły te wykonały już swoje zadanie i zostały rozwiązane. Proponuję zatem mianować *kap-i-taana Reddy'ego* dowódcą obrony *Baalkpanu*!

Sala zadrżała od krzyków, pohukiwania i tupania tysięcy stóp. *Matt* stał, czekając, aż tumult ucichnie.

- Postanowione przez aklamację! - zawołał *Nakja*. - *Kap-i-taan Reddy* obejmie

dowództwo nad całością zgromadzonych tu sił. Niech wszyscy przysięgną wykonywać jego rozkazy! Niech przysięgną na honor swoich klanów! Niech uczynią to teraz albo odejdą! - Wódz spojrział na Matta. - Zrobione - szepnął mu do ucha. - Dałem im nadzieję, ty pewnie przyprawisz ją dawką grozy i może wyjdzie z tego jakiś realistyczny obraz.

- Spróbuję nie wpędzić ich w rozpacz, ale kłamać też im nie będę, mój panie - odparł Matt. - To są nasi oficerowie. Jeśli mamy mieć jakieś szanse, muszą wiedzieć, co ich czeka. - Spojrział na zgromadzonych i odchrząknął. Zaczął od podsumowania zakończonej kampanii i przypomniał, jak jego okręt poprowadził pływające domy do bitwy z flotą inwazyjną pod Aryaalem. Opowiedział o walce pod miastem, którą wygrali dzięki zastosowaniu nowoczesnej broni oraz odsieczy królowej i lorda Rolaka. Nie rozwodził się nad zdradą króla Aryaalu, która przyczyniła im wielu strat i niewiele brakło, a mogłaby spowodować klęskę. Rasie Alcas musiał być już martwy. Zrelacjonował, jak udało im się odnaleźć siostrzaną jednostkę, niszczyciel *Mahan*, i nie zapomniał o jego załodze, która też przeszła gehennę. Przekazał to, co udało im się dowiedzieć o wrogu. Nie było tego jeszcze wiele, ale najważniejsze, że nauczyli się już, że grików można pokonać. Jaszczury są bitnymi wojownikami, lecz nie potrafią zachować dyscypliny. W pewnych sytuacjach wręcz zatracają zdolność myślenia. I to należy wykorzystać, bo skoro raz pobili ich już w polu, mogą to zrobić ponownie.

Potem opowiedział o *Zemście*. Była to jednostka grików, którą udało się przechwycić i wykorzystać przeciwko nim. Matt wysłał ją, żeby zwalczala pojedyncze zespoły przeciwnika i przeprowadziła rozpoznanie wokół następnego planowanego celu ataku Połączonych Sił - Singapuru. Obecnie była to najbardziej wysunięta placówka jaszczurów. Kapitanem *Zemsty* był podporucznik Rick Tolson, którego losem zajął się Matt w dalszej kolejności. Odczytał ostatnie zapiski z jego książki okrętowej, chociaż serce mu się przy tym ścisnęło. Następnie Mallory opowiedział, co dane było mu zobaczyć i przeżyć, gdy odnalazł uszkodzony przez potężny sztorm żaglowiec dokładnie na kursie armady grików. Podkreślił ofiarność jego kapitana i załogi, którzy zadali nieprzyjacielowi wielkie straty i nie dopuścili, żeby *Zemsta* wpadła w jego ręce. Matt pomyślał, że to może być inspirujący przykład, jak podejmować walkę w sytuacji, która zasadniczo nie daje żadnych szans. Był pewien, że wszystkich tutaj czeka w pewnej chwili coś bardzo podobnego.

Gdy przejął głos od Mallory'ego, szczegółowo opisał tę siłę, która ciągnęła w ich stronę. Zgromadzeni umilkli, zapewne po raz pierwszy powątpiewając w sens walki. Matt mówił zaś o odwadze mieszkańców Aryaalu i B'mbaado, którzy porzucili swoje domy w nadziei, że pomagając w obronie Baalkpanu, zyskają szansę odzyskania ojczyzny. Nie

zapomniał o poświęceniu Tassata i tragedii odważnej Tassany.

Zyskawszy niepodzielną uwagę słuchaczy, wspomniął o *Amagim*. Długi na ponad 250 metrów i wypierający prawie 45 tysięcy ton okręt nie miał w tym świecie godnego siebie przeciwnika. Niektórzy z obecnych widzieli go już z daleka, zrozumieli też, jaka moc drzemie w jego potężnych działach. Widział go także z bocianiego gniazda Chack, który dodał trochę od siebie do tej relacji. Stojąca obok Ramica Tassana słuchała go ze łzami w oczach. Na koniec Matt wspomniął o nocnym ataku torpedowym, który zakończył się uszkodzeniem krążownika. Zebrani zareagowali zrozumiałą radością, jednak nie tylko o to Mattowi chodziło. Pomasażował palcami skronie i spojrzał przelotnie na wodza. Nakja wiedział, do czego zmierza kapitan *Walkera*.

- Ten okręt wciąż nam zagraża - powiedział w końcu Matt i zaczerpnął powietrza. Słuchacze zrobili to samo. - Pan Mallory widział go następnego dnia. *Amagi* nie zatonął i wciąż może się poruszać. Tyle że niezbyt szybko - dodał z drapieżnym uśmiechem. - Wygląda na to, że nasze przypuszczenia były słuszne. Musi mieć uszkodzoną większość kotłów i nie robi więcej niż cztery węzły. Grikowie skupili swoje jednostki wkoło krążownika, zapewne po to, żeby uchronić go przed następnymi atakami torpedowymi. Wraz z resztą floty nieprzyjaciela zawrócił do Aryaalu. Biorąc pod uwagę wcześniejsze uszkodzenia, dziwi mnie, że nie przewrócił się do góry dnem i nie zatonął. Może zresztą jeszcze do tego dojdzie, ale nie możemy niczego na tej nadziei budować. Rano widziano kilku nieprzyjacielskich zwiadowców wężących wkoło wylotu zatoki, ale działa Fortu Atkinsona ich odpędziły. Mój okręt nie jest obecnie w pełni sprawny, ale jutro wyjdziemy w morze i sprawdzimy, czy nie można odholować kilku z tych jednostek grików, które dryfują uszkodzone w cieśninie. Jak wiecie, dwie zostały już zdobyte przez inne załogi sojuszu. Domyślam się, że walka z tymi jaszczurami, które pozostały jeszcze na ich pokładach, nie była łatwa...

- Zatem *Amagi* i główne siły są obecnie w odwrocie? - spytał Keje, odzywając się pierwszy raz na tym spotkaniu.

- Tak można wnioskować z obserwacji poczynionych przez pana Mallory'ego na krótko przed tym, jak jego catalinę zaatakował samolot obserwacyjny z krążownika. Jak chyba rozumiecie, mieliśmy wiele szczęścia, że naszej maszynie udało się wrócić. Co zaś do *Amagiego*, może i te ostatnie kotły mu wysiądą. Bardzo przydałaby się nam teraz jakaś strakka - dodał, wzruszając ramionami. Miał na myśli sztorm, bardzo podobny to tajfunu, jednak znacznie silniejszy i typowy dla odmiennego klimatu tej Ziemi. Stojący w pobliżu mruknęli, że całkowicie się z nim zgadzają. - Tak czy inaczej panowie Alden i Letts sporo

zrobili dla wzmocnienia naszych możliwości obronnych. Jestem pod wrażeniem ich pomysłów oraz wielkości pracy, którą w to wszystko włożyli. Pete dziś po południu pokazał mi nowe fortyfikacje i wyjaśnił, czemu mają służyć. To dobre umocnienia i powinny powstrzymać nawet bardzo zdeterminowanego przeciwnika. Czyli takiego, z jakim mamy do czynienia. - Przerwał, starając się ocenić panujące w sali nastroje.

- I ten przeciwnik zjawi się tutaj - odezwał się po chwili. - Prędzej czy później, z *Amagim* czy bez niego, chociaż sądzę, że poczekają raczej na zakończenie naprawy krążownika. Możliwe, że zyskamy dzięki temu dodatkowe kilka miesięcy na przygotowania, chociaż trudno uznać to za pewnik. Grikowie wydają mi się bardzo niecierpliwi, przez co strategowie z nich nie są najlepsi. Niemniej, jak już wspomniałem, przyplyną tutaj tak czy owak, powinniśmy więc przygotowywać się na to tak, jakby atak miał nastąpić już za kilka dni. A nawet jutro... - Nastrój zrobił się zdecydowanie ciężki. - Sądzę, że jeśli nie będą mieli wsparcia *Amagięgo*, zdołamy się utrzymać. Widzieliśmy już, jak mało odporne są ich jednostki na ostrzał czterocalowych dział *Walkera* oraz trzydziestodwufuntówek ustawionych na pokładach pływających domów i na wałach miasta. Dzięki temu zdołamy rozbić siły jaszczurów, gdy tylko wejdą do zatoki. Naprawdę ich zaskoczymy. Jest tylko jeden problem, jak zawsze zresztą, gdy chodzi o obronę stałych pozycji: brak nam jakiegokolwiek swobody manewru. Mur musi wytrzymać. Jeśli pęknie w którymkolwiek miejscu, będzie po nas. Grikowie przewyższają nas liczebnie. Obecnie w proporcji dziesięć do jednego, a najpewniej będzie jeszcze gorzej. Mogą uderzyć w jednym punkcie i atakować go tak długo, aż obrońcy padną z wyczerpania. To oznacza, że musimy mieć odpowiednie rezerwy i nie wolno nam uruchamiać ich zbyt wcześnie. Wiązą się z tym dwie sprawy. Pierwsza to niewzruszona dyscyplina... - zawiesił głos, żeby zdanie zapadło w pamięć słuchaczy - druga zaś - konieczność wzmocnienia naszych sił.

- Ale... - odezwał się Keje, rozkładając ramiona - skąd weźmiemy posiłki?

- Z Filipin - odparł Matt. - Filipiny i Manila to nasza wielka i jedyna nadzieja.

Zarówno mieszkańcy Filipin, jak i załogi tych pływających domów, które nie włączyły się jeszcze do walki, szybko zrozumieli sytuację i wysłali do Baalkpanu niemal wszystko, o co ich poproszono. Rozumieli, jak katastrofalne skutki miałby upadek miasta. Wciąż jednak wzdragali się przed zaangażowaniem swoich wojowników. Trzeba było skłonić ich do zmiany podejścia i przyjęcia nowej taktyki zaproponowanej przez Amerykanów. Nawet jeśli miałyby z nich powstać tylko jedna nowa kompania piechoty morskiej.

- Wiem, że w przeszłości odmawiali przysłania większych sił - powiedział Matt. - Jednak jeśli popłyniemy do nich i wytłumaczymy im, jaka jest stawka, może tym razem

zdecydują inaczej. Poza tym nie wykluczam, że znajdziemy tam coś więcej. Słyszałem już najnowsze meldunki o dziwnej „żelaznej rybie” dostrzeżonej na Morzu Filipińskim. Jeśli to jest to, co podejrzewam, mielibyśmy niespodziankę dla *Amagiego*, na wypadek gdyby się tu pojawił.

- Ale kto popłynie? - spytał Adar. - To podróż na całe miesiące.

- Ty - odparł Matt. - I ja. *Walker* popłynie. Kilka tygodni w stoczni i mój okręt będzie w pełni sprawny. Spotkamy się z mieszkańcami Manili, rozejrzemy się za tą żelazną rybą i zostanie nam jeszcze sporo czasu. Przygotujemy też nowy odwiert na wyspie Tarakan. Bradford mówi, że to dobre miejsce, a na pewno przyda nam się rezerwowe źródło paliwa.

- A co, jeśli grikowie nie zechcą zaczekać? - spytał Nakja.

- Będziemy w kontakcie z Baalkpanem dzięki radiostacji samolotu - rzekł Matt i spojrzał na Mallory'ego. - Jeśli Ben zdoła przywrócić maszynie zdolność lotu. Nie wystartuje jednak, póki Riggs i Clancy nie zbudują jeszcze jednej radiostacji, która zostanie w mieście. Czy to jasne?

Mallory niechętnie pokiwał głową.

- Tak jest, kapitanie.

- Dobrze - powiedział Matt. - *Amagi* nie będzie zdalny do walki przed naszym powrotem, a jeśli grikowie wcześniej wyślą swoją armadę, powinniście utrzymać się samodzielnie przez jakiś czas. My będziemy niecały tydzień drogi od Baalkpanu. W tej sytuacji proponuję...

*

Po naradzie Matt oraz Jim Ellis, jego były pierwszy oficer, obecnie kapitan *Mahana*, poczekali na Sandrę Tucker i razem ruszyli wolnym krokiem ku nabrzeżu. Postawny niegdyś Ellis kulał jeszcze po postrzeleniu przez kapitana Kaufmana, lotnika wziętego na pokład po przejściu przez szkwał, i nadal był przekonany, że nie sprawdził się jako dowódca, tracąc większość i tak już nielicznej załogi. Matt wiedział, że nie było w tym jego winy, ale Jim nie potrafił pogodzić się z sytuacją. Na domiar złego podzielał zdanie reszty ocalonych, że ich okręt okrył się niesławą, skoro nie umieli się skutecznie przeciwstawić Kaufmanowi, który doprowadził do tragedii.

Sandra Tucker, jeśli chodzi o posturę, była niemal odwrotnością Ellisa. Upiętymi w kok piaskowymi włosami sięgała Mattowi ledwo do ramienia, jednak mimo delikatnej budowy cechowała ją siła charakteru i stanowczość, które nie raz okazały się bezcenne podczas służby w szpitalu polowym. Musiała tu sobie radzić z ranami, z jakimi lekarze jej epoki rzadko mieli do czynienia. Co więcej, pomagający jej miejscowi też niezbyt się znali na

obrażeniach zadanych białą bronią. Zbyt rzadko toczyli wojny, żeby przyzwyczać się do ich skutków. Tucker musiała stworzyć od podstaw nie tylko procedury i metody leczenia, ale i cały korpus medyczny. Na szczęście lemury dysponowały silną maścią antyseptyczną ze sfermentowanych owoców polta. Znakomicie chroniła rany przed zakażeniami i ułatwiała ich gojenie, tracili przez to znacznie mniej pacjentów, niż można by oczekiwać. Niemniej i tak Sandra była równie wyczerpana jak Matt. Obecnie pod opieką miała całą masę dzieciarni, którą udało się uratować z *Nerracki*. W większości z bardzo poważnymi poparzeniami...

Wieczorne niebo było czyste i mimo łuny miasta widać było na nim gwiazdy, jak wtedy, gdy Sandra i Matt odkryli, że stali się sobie bardzo bliscy. Wtedy atmosferę zakłócili pijani marynarze, którzy z pieśnią na ustach wracali na okręt, dzisiaj za tło muzyczne służyły szumiące nagrania z płyt świętej pamięci Marvaneya, odtwarzane przez pokładowy radiowęzeł. W tle słychać było zgrzyt metalu i uderzenia młotów. Ekipy naprawcze pracowały nawet nocą, przy świetle reflektorów.

Największa różnica między tamtą nocą a obecną wiązała się ze znajomością sytuacji, w której się znaleźli. Już wcześniej odnieśli kilka pomniejszych zwycięstw nad grikami i byli pełni nadziei, która wynikała jednak, jak już wiedzieli, głównie z ignorancji. Niestety przeciwnik okazał się o wiele silniejszy, niż się spodziewali, i trudniej było dzisiaj o optymizm.

Zatrzymali się na końcu pirsu, jakieś sto jardów za *Walkerem*, tuż obok miejsca, gdzie na brzegu spoczywała sponiewierana catalina. Wydawało się, że tylko dodatkowe podpory ustawione pod pływakami nie pozwalają maszynie kapitulanko złożyć skrzydeł. Matt uświadomił sobie, że tutaj też zaszła pewna zmiana. Wcześniej uważał wodnosamolot za tak cenny, że najchętniej cały czas miałby go gdzieś w polu widzenia. Wyszło jednak inaczej - i bardzo dobrze. Gdyby nie wykorzystanie możliwości PBY prowadzenia dalekich patroli, wszyscy byliby już martwi. Nie dowiedzieliby się wystarczająco wcześnie o nadciągającej armadzie grików oraz *Amagim*.

Mrok skrywał większość uszkodzeń samolotu, ale Matt znał dobrze jego stan. Pociski podziurawiły aluminiowe poszycie, zniszczyły większość pleksiglasowych osłon kabiny, posiekały powierzchnie sterowe. Ponadto okapotowanie jednego z silników poczerniało od ognia, brakowało też końcówki lewego skrzydła. Trudno było uwierzyć, że ten pokryty wypłowiałą granatową farbą wodnosamolot zdoła jeszcze kiedyś wystartować. Mallory twierdził, że zdoła go naprawić, ale nawet jeśli, na pewno nie należało oczekiwać, że catalina długo im posłuży, gdy zaś ostatecznie odmówi posłuszeństwa, nie będą mieli jej czym zastąpić. Tak zresztą jak *Walkera* czy *Mahana*, o ich załogach nie wspomniawszy. Nic nie

jest wieczne.

- I co myślisz o naszym planie, Jim? - odezwał się Matt. - Przez całe spotkanie nie powiedziałeś ani słowa.

Jim nie odpowiedział od razu. Zapatrzył się na oba niszczyciele cumujące przy nabrzeżu. *Mahan* stał przed *Walkerem*, także oświetlony przez reflektory. Gdy wybuchła druga wojna światowa, okręty były już przestarzałe - pierwszy wszedł do służby w 1918 roku, drugi dwanaście miesięcy później. Większość swego morskiego żywota spędziły we Flocie Azjatyckiej, gdzie nie dbano o nie najlepiej. Gdy Japończycy ruszyli niczym huragan przez Pacyfik, Amerykanie mogli im przeciwstawić głównie takie właśnie zabytki o archaicznych sylwetkach i słabym uzbrojeniu. Artyleria główna składała się z czterech dział czterocalowych i jednej trzycalówki. Przeciwko samolotom mieli jedynie kilka karabinów maszynowych zamontowanych na nadbudówkach. Największą zaletą tych niszczycieli była jednak prędkość, a ich zasadniczą broń ofensywną stanowiło dwanaście wyrzutni torpedowych kalibru 533 milimetry. Niestety obecnie okręty były w zbyt kiepskim stanie, żeby wyciągnąć właściwe im 35 węzłów, na dodatek *Mahan* miał tylko jedną śrubę. Drugą oddał *Walkerowi*, który uszkodził pióro swojej śruby podczas manewrów w zatoce Aryaal. Z torped została im tylko jedna, stara na dodatek, typu MK-10, który zasadniczo wyszedł już z użycia. Tuż przed ewakuacją zabrali ją ze zbrojowni w Surabai, gdzie leżała zapomniana. W tamtej batalii towarzyszył im jeszcze jeden czterofajkowy, USS *Pope*, który jednak poszedł na dno, jak brytyjski krążownik *Exeter* oraz niszczyciel *Encounter*. Tak oto dwa przestarzałe niszczyciele samotnie musiały stawić czoło krążownikowi liniowemu *Amagi*, napotkanemu na krótko przed wejściem w szkwał.

Przetrwały tamto starcie, ale zasadniczo oba nadawały się niemalże na złom. W najlepszym razie powinny spędzić kilka miesięcy w stoczni remontowej. Niestety nie mogli sobie pozwolić na taki luksus. Wysiłkiem całej załogi zdołali doprowadzić okręty do używalności. I teraz robili to ponownie, znowu szykując się do desperackiej walki.

- Wolałbym tu nie zostawać - powiedział Jim. - I nie podoba mi się, że zamierzasz wypłynąć. Ten sojusz w znacznej mierze opiera się na tobie. 1

- Kiedyś może tak było - przyznał Matt. - Obecnie jednak wszyscy już wiedzą, jaka jest stawka. Na czas mojej nieobecności pan Letts zostanie szefem sztabu. Wydaje się urodzonym dyplomatą. Świetnie dogaduje się z Nakją. Ty będziesz czuwał nad siłami morskimi. Mam nadzieję, że Keje zostawi *Salisę* jako pływającą baterię i zabierze się ze mną. On jeden był już kiedyś w Manili. Pete przejmie dowodzenie nad oddziałami lądowymi. Też chciałbym go zabrać, ale pozycja porucznika Shinyi ciągle jest zbyt niepewna. -

Westchnął. - Poza tym *Walker* jest szybszy. Ty powinienes zostać z *Mahanem*.

- Ale będę się tu tylko objął - zaprotestował Jim.

Z tego, co wiedzieli, wynikało, że nieprzyjaciel jest przekonany, iż mają tylko jeden niszczyciel. Postanowili dodać więc *Mahanowi* fałszywy komin na miejsce tego całkiem zniszczonego i wymalować na burcie numer taktyczny *Walkera*. Ewentualni szpiedzy mieli być przekonani, że obrona Baalkpanu nie została osłabiona. Matt nakazał nawet, żeby *Mahan* pokręcił się trochę u wyjścia z zatoki, byle tylko nie odpływał za daleko. Drugi niszczyciel miał być ich asem w rękawie, zwłaszcza że nie byli pewni, czy otrzymają jakieś uzupełnienia.

- Nie będziesz się objął - odparł Matt. - Trzeba wyposażyć wszystkie przyzy i zastanowić się nad budową nowych jednostek. Trzeba też ściągnąć tych ludzi królowej Maraan, których nie udało się wcześniej ewakuować. No i jeśli jej generał, Haakar-Faask, jest naprawdę tak dobry, jak mówią, jego również będziemy potrzebowali.

- Dobra, skipper - mruknął Jim. - Skoro tak mówisz. Ale nadal mi się to nie podoba.

- Świetnie - odezwała się Sandra Tucker. - Skoro ustaliliście już najważniejsze, chciałabym wiedzieć, dlaczego i mnie zostawiasz w Baalkpanie, kapitanie Reddy!

Matt jęknął z cicha.

- Rozmawialiśmy już o tym. Zgadzam się, że Karen dobrze sobie radziła pod naszą nieobecność i że mamy teraz jeszcze dwie pielęgniarki, czyli Pam Cross i Kathy McCoy. Tyle że my nie płyniemy walczyć. Bardziej będziesz potrzebna tutaj, nam wystarczy Jamie Miller. Zaczynał jako farmaceuta, ale teraz to już całkiem dobry lekarz. Poza tym... jest jeszcze ten drugi powód.

Chodziło mu o problem, który nie dawał im od dawna spokoju. Wedle jego najlepszej wiedzy na całym tym świecie były tylko cztery ludzkie kobiety. Na dodatek jedna z nich, Karen Theimer, wyraźnie związała się już z Lettsem, i Matt oczekiwał, że Alan niebawem zechce o tym porozmawiać. Sytuacja była co najmniej niezręczna. Słyszało się czasem plotki o romantycznych związkach marynarzy z niszczycieli z miejscowymi kobietami, ale trudno było orzec, ile w nich prawdy. Z drugiej strony związek między matem Silvą a Risą, siostrą Chacka, był chyba w znacznej mierze prawdziwy. Nawet jeśli Silva i Risa zrobili wiele, żeby cała historia wyglądała na żart. Tyle dobrego, że przestała w końcu budzić kontrowersje i wywoływać konflikty. Tak czy owak Matt wolałby mieć spokój podczas tego rejsu. Jeśli nie będzie kobiet na pokładzie, załoga powinna być spokojniejsza. Co prawda w tym wypadku zasada, że co z oczu, to z serca, nie miała prawa zadziałać na sto procent... Z drugiej strony kapitan Reddy był przekonany, że gdzieś na tej Ziemi powinny być jeszcze inne kobiety. Znaleźli zbyt wiele dowodów świadczących o wcześniejszych spotkaniach ludzi z lemurami.

Kiedyś więc może je znajdą, ale na razie winien zachować ostrożność. Z tego też powodu oboje z Sandrą starali się utrzymać swój związek w tajemnicy.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos kroków. W mdłym świetle dostrzegł Karen Theimer i Alana Lettsa. Szli w jego stronę, trzymając się za ręce. Nawet wcześniej niż niebawem, pomyślał Matt z rezygnacją.

- Dobry wieczór, kapitanie... hm... obu kapitanom - powiedziała Karen, gdy wymienili saluty. - Dobry wieczór, pani porucznik Tucker.

- Dobry, Karen. Witam, panie Letts.

Przez dłuższą chwilę tylko patrzyli na siebie. Alan nie wiedział chyba, jak zacząć. Matt postanowił poczekać cierpliwie i założył ręce za plecami. Młody oficer był zwykle wymowny, więc i tym razem powinno mu się udać. Nagle Letts podskoczył i syknął przez zęby. Matt zdążył dostrzec, jak Karen stawia stopę z powrotem na ziemi.

- Kapitanie, mam... to znaczy chciałbym... porozmawiać chwilę, jeśli można. - Zerknął na Karen, jakby się obawiał, że znowu kopnie go w kostkę.

- Oczywiście, panie Letts. Rozmawialiśmy właśnie o planowanej wyprawie i obronie Baalkpanu. Zapewne chciałby pan coś dodać na ten temat?

- Nie, sir, nie w tej chwili. - Alan spojrzał przelotnie na Sandrę i Jima. - Prawdę mówiąc, chodzi o sprawę z rodzaju prywatnych...

Jim Ellis pochylił się nad nim ze złowrogim wyrazem twarzy.

- Mój Boże, panie Letts! - wykrzyknął i przeniósł spojrzenie na pielęgniarkę. - Jeśli ten łajdak przysporzył pani jakichś kłopotów, nie wywinie się łatwo! Ciężki będzie jego los! - Wskazał na wody zatoki, rojące się od krwiożerczych stworzeń. - Bardzo ciężki!

Letts otworzył szeroko oczy.

- Och nie, sir! Zapewniam pana, panie Ellis... - Przerwał i skacząc na jednej nodze, oddalił się trochę od Karen, która widocznie straciła już do niego cierpliwość.

Sandra nie zdołała opanować cichego chichotu.

- No wykrztuś to wreszcie! - warknęła Karen, wznosząc oczy ku niebu.

- Kapitanie! - pisnął Alan. - My... chcemy się pobrać...

Matt odczekał chwilę, patrząc na tę dziwnie dobraną parę.

Letts miał wybitnie jasną karnację, Karen zaś była ciemnowłosa i trochę od niego wyższa.

- Rozumiem, że przemyśleliście sprawę?

- Tak, kapitanie, jak najbardziej - odparła Karen. - Pracujemy razem od wypłynięcia sił ekspedycyjnych. Jakoś tak wyszło, że pokochałam tego gościa. - Wzruszyła ramionami i

spojrzała na Sandrę. - Wiem, że jest pani moim dowódcą i powinnam wcześniej z panią porozmawiać, ale gdy zobaczyliśmy, że jesteście tu razem...

- Słusznie, Karen - stwierdziła Tucker, kiwając głową. - Ale zgadzam się z kapitanem Reddym. Naprawdę jesteście zdecydowani? Chcecie wziąć ślub już teraz?

Karen przytaknęła ze smutkiem.

- Chcieliśmy poczekać, aż wszystko się uspokoi, ale po ostatnich sensacjach... Może nie być lepszego czasu.

- Rozumiem - westchnęła Sandra. - Dobrze, nie zgłaszam sprzeciwu. Kapitanie?

Matt potarł brodę.

- Nie obawia się pan, panie Letts, że wynikną z tego jakieś kwasy? Niech mi panie wybaczą, ale mówiąc wprost, nasi ludzie są na granicy wytrzymałości. Od wielu miesięcy nie zaznali damskiego towarzystwa. Wcześniej nigdy nie musieli radzić sobie z tym dłużej niż przez kilka czy kilkanaście dni. To bardzo zagęszcza atmosferę. Gdyby nie walka, remonty i wszystkie nasze problemy, nie wiem, co by się działo. Mam nadzieję zbadać kiedyś ten świat dokładniej i pierwszym naszym celem będzie wtedy odszukanie innych ludzi, jeśli tu żyją - Przerwał zamyślony. - Wierzę, że tak jest. Najpierw jednak musimy przeżyć tę bitwę, a może i całą wojnę. A to niepewna sprawa - dodał i machnął ręką, porzucając temat. - Nie sprzeciwiam się waszym planom. Chcę mieć tylko pewność, że wiecie, co robicie. Obawiam się, że może nie być łatwo.

- Użył pan brytyjskiego eufemizmu, skipper - powiedział Jim ze śmiechem. - Ale na ich miejscu zrobiłbym podobnie. - Zmarszczył brwi. - Wykorzystajcie ten czas, który nam został. Kapitanie?

Matt kiwnął głową.

- Dobrze. Chcecie zatem porządnego ślubu w katedrze? - spytał Jim, patrząc na parę narzeczonych. - Czy może cichej uroczystości w buszu? - Zaśmiał się, widząc ich zmieszane spojrzenia. - Jestem pewien, że nasz dowódca osobiście poprowadzi ceremonię.

Gdy już poszli, Jim westchnął głęboko i spojrzał na Matta i Sandrę.

- Tak po cichu powiem, że wszystko, co im przekazałem, może odnosić się także do was. Nie ma co marnować czasu.

Sandra zarumieniła się, co na szczęście ledwie było widoczne w mroku.

- O czym ty mówisz? - spytał poważnym głosem Matt.

- Nie udawaj! - zaśmiał się Jim. - Naprawdę uważasz, że nikt nic nie wie? Ludzie mają oczy. Te wasze spojrzenia, przelotne czułości na mostku i tak dalej. Królowa Maraan sądzi, że już jesteście małżeństwem, i pytała mnie nawet, czy macie dzieci! - Ellis zaśmiał się

ponownie, widząc ich zdumienie. - Keje uwierzył, że nie jesteście jeszcze oficjalnie razem, ale uznał was za durni. Kotowaci nie są skłonni do podobnych poświęceń.

- To naprawdę tak widać? - spytała cicho Sandra. - Tak bardzo się staraliśmy!

- Kto jeszcze wie? - spytał Matt przez zaciśnięte zęby.

- Spytaj, kto nie wie. Myszowaci może się nie orientują, ale nie stawiałbym na to większych sum.

- Cholera - zaklął Matt.

Jim uniósł ręce.

- Spokojnie, skipper. Pozwól sobie coś powiedzieć, zanim uznasz, że cała wasza gra była tylko stratą czasu. Jak wspomniałem, wszyscy wiedzą, że macie się ku sobie, ale wiedzą też, dlaczego udajecie, że nic się nie dzieje. I doceniają to! Rozumieją, ile was to kosztuje, bo sami też przecież czują swoje. I ja też. Załoga podziwia wasze poświęcenie i poszłaby za tobą do piekła, skipper. Poniekąd już to zrobiła. - Pokręcił głową. - Na *Mahanie* jest tak samo. Każdy wie, jaki ciężar dźwigasz, ile oboje dźwigacie, i widzą, że odmawiacie sobie tej jednej rzeczy, która pozwoliłaby łatwiej wszystko znosić. I rozumieją też, że robicie to dla nich. Nawet jeśli ktoś może to uważać za przejaw nierozgarnięcia.

Matt nie wiedział, co powiedzieć. Poczul się nad wyraz głupio. Nie przez to, co robił, ale dlatego, że załoga przejrzała jego grę. Miał wrażenie, że chyba ją zawiódł. Spojrzał na Sandrę i dostrzegł smugi łez na jej policzkach.

- Możesz na chwilę zostawić nas samych? - spytał zduszonym głosem.

- Jasne. Chyba ktoś właśnie mnie wołał - powiedział Jim i odmaszerował w stronę okrętów.

Matt nieśmiało objął Sandrę i przyciągnął ją do siebie. Po raz pierwszy nie odczuł przy tym bólu w ramieniu, które ucierpiało podczas bitwy o Aryaal. Sandra drżała od płaczu.

- Przykro mi - powiedział.

- Nie ma powodu - wykrztusiła Sandra. - Dobrze zrobiliśmy. - Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - Tak należało.

- Wiem - odparł i pocałował ją. Lekko, ale obecnie nie śmiał uczynić więcej. Ruszyli powoli nabrzeżem ku rozświetlonym, pełnym życia jednostkom. - Może wystarczy mi siły jeszcze trochę.

- Na razie musimy zająć się ślubem - powiedziała Sandra, żałując, że nie chodzi o ich wesele.

*

Nakja wylegiwał się na ulubionych poduchach na szerokim zachodnim balkonie wielkiej sali. Często tak wypoczywał, obserwując słońce spływające ze świętych niebios ku nieprzebytej dżungli po drugiej stronie zatoki. Czasem wyobrażał sobie, że wielka ognista kula tonie w samej zatoce. Wielu go tam widywało po dniu pracy, z satysfakcją odnotowując, że ich wódz także odpoczywa. W dobrych czasach był dla nich symbolem stabilizacji, dostatku i spokoju. Innych czasów zresztą nie znał i sądził, że zawsze tak już będzie. Przez myśl mu nie przeszło, że do Baalkpanu może zawitać strach, że cokolwiek się zmieni. Potem jednak zjawili się Amer-i-kanie i nic już nie było takie samo jak kiedyś. A jeszcze potem zaczęła się wojna.

Niektórzy uważali, że to przybysze przynieśli wojnę ze sobą, ale to oczywiście nie była prawda. Większość tych, którzy tak sądzili, odplynęła już na pozornie bezpieczne Filipiny albo po prostu uciekła gdzieś na wschód. Pozostali gotowi byli walczyć, nikt jednak się nie łudził, że bez Amer-i-kanów mieliby jakiegokolwiek szanse. Zapewne by zginęli, nie wiedząc nawet, co się dzieje.

Mimo tych wszystkich zmian Nakja nadal wychodził na swój balkon przymocowany do masywnego pnia drzewa galla, które wyrastało przez sufit i rozpościerało koronę nad budynkiem, górując niemal nad całym miastem i jego przypominającymi pagody domami zamieszkanymi przez całe rody. Większe, wielopiętrowe gmachy dawały schronienie kupcom i rzemieślnikom. Baalkpan żył z morza i dla morza, dlatego było tu wielu powroźników, cieśli, tkaczy czy bednarzy. Obecnie oprócz tradycyjnych rzemiosł pojawiły się jeszcze nowe, wprowadzone przez Amer-i-kanów. Miasto ciężko pracowało, żeby zapewniać sobie przetrwanie.

W zwykłych czasach zatoka była równie pełna życia jak uliczki Baalkpanu. Oprócz licznych łodzi rybackich i przybrzeżnych jednostek handlowych można było w niej ujrzeć cumujące przy nabrzeżach pływające domy, niekiedy aż tuzin równocześnie, wyładowujące olej z gri-kakka, którym morski lud płacił za naprawy, surowce, prowiant i wszelkie, czasem nawet luksusowe, artykuły wytwarzane w coraz lepiej prosperującym mieście. Co jakiś czas do zatoki wpływały szybkie feluki o dwóch wysokich masztach i smukłych kadłubach, kursujące do portów po drugiej stronie niebezpiecznej cieśniny, a czasem przywożące towary z jeszcze dalszych osiedli. Nakja podziwiał te zwinne jednostki. Teraz pływających domów prawie nie było, na wodach zatoki pozostało tylko kilka frachtowców oraz trzy wielkie uzbrojone żaglowce.

Wraz z powrotem sił ekspedycyjnych liczba obrońców miasta niemal się potroiła, ale to było jeszcze za mało. Nakja wątpił, żeby Manila przysłała kogoś więcej poza setką

ochotników, którzy przyplłynęli już wcześniej. Zgadzał się jednak z kap-i-tanem Reddym, że skuteczną obroną mogą jedynie kupić sobie więcej czasu, odsuwając klęskę, lecz żeby wygrać, będą musieli atakować. Jednak w tej chwili żaden poważny atak nie wchodził w grę i bardzo to wodza martwiło.

Zachodzące słońce zabarwiło wody zatoki na czerwono. Mimo wszystkich zmian wszelkie małe jednostki, tak handlowe, jak i rybackie, uwijały się w swoim rytmie. Może nawet było ich teraz więcej niż zwykle. Między nimi sunął drugi z niszczycieli, *Mahan*. Nakja zauważył z radością, że gdyby o tym nie wiedział, pewnie nie poznałby, że okręt ma całkowicie nowy mostek. Podobno prowizoryczny i gorszy niż oryginalny, ale nie wyglądał wcale źle. Równie dobrze prezentował się dorobiony komin. Jasnoszara sylwetka kierowała się powoli przez zatokę w stronę Fortu Atkinsona. Może na testy albo jeszcze jakieś naprawy. Tak czy owak niszczyciel wyglądał wspaniale, sunąc tak mocą własnego napędu i w ogóle nie zwracając uwagi na kierunek wiatru. Nakja nie od razu pojął, dlaczego *Mahan* jest w tak złym stanie. Przecież *Walker* więcej walczył i jakoś dał sobie radę. Dopiero później dowiedział się, że zniszczenia były skutkiem starcia z *Amagim*, które odbyło się jeszcze przed wejściem w szkwał. To był dla niego jeszcze większy szok. Żelazne okręty wydawały mu się nieskończenie odporne i trudno było uwierzyć, że w ponownym boju, być może w tej właśnie zatoce, *Amagi* bez trudu pokonałby oba niszczyciele. Ale podobno jednak był do tego zdolny, a ci, którzy widzieli nieprzyjacielski krążownik w akcji, w pełni to potwierdzali. W końcu musiał im uwierzyć, chociaż napełniało go to przerażeniem.

Zza zasłony wyłonił się jeden z liczniejszych teraz służących, należący do sztabu wodza. Stał w milczeniu, czekając, aż zostanie zauważony. Nakja westchnął.

- Wolałbym, żebyś nie podkradał się tak do mnie - powiedział. - Przecież cię nie zjem!
- dodał bardziej opryskliwie, niż zamierzał.

Speszony młodzieniec cofnął się o krok.

- On nie zna cię tak dobrze jak ja, mój panie - dobiegło zza zasłony. Po chwili na balkonie pojawił się Adar, kapłan z *Salissy*. Był wysoki jak na lemura i nosił purpurową szatę ze srebrnymi gwiazdami na ramionach i na piersi. Kaptur też był nimi przyozdobiony. Oczy miał jasne, pasujące do pokrytej jasnograwitowym futrem twarzy. Wskazał ostentacyjnie na brzuch wodza, który chociaż zmalał trochę od przedwojennych czasów, wciąż był imponujący.

- Służących jadam tylko na śniadanie - powiedział ze śmiechem Nakja. - Chociaż może...

- Zaraz coś przyniosę! - zawołał służący i błyskawicznie zniknął z balkonu.

- Myślisz, że wróci? - spytał z żartobliwą troską Adar.

Teraz, gdy byli już sami, Nakja westchnął ciężko. Przed Adarem nie musiał udawać.

- Oczywiście. Siadaj, proszę. - Wskazał na leżącą obok poduchę. - Musimy porozmawiać.

Adar przysiadł sztywno na poduszce. Gospodarz wiedział, że kapłan woli trochę twardsze siedziska, i takie też mu wskazał. Przez chwilę milczał, czekając, aż wódz przemówi. Nakja miał na sobie zwykle luźne ubranie i popijał nektar z ustawionego na kolanie kubka. Nie wyglądał jednak na odprężonego.

- Amer-i-kanie zamierzają zapewnić sobie rezerwowe źródło gishy, która napędza ich okręty - powiedział nagle. - Jakkolwiek to uzasadniają, dla mnie to znak, że liczą się z upadkiem Baalkpanu.

Zabrany z Jawy Australijczyk, Courtney Bradford, okazał się inżynierem pracującym dla firmy Royal Dutch Shell. Nie, żeby był pasjonatem wierceń. Ta praca pozwoliła mu oddawać się jego pasji - studiowaniu życia zwierzęcego Holenderskich Indii Wschodnich. Z drugiej strony właśnie dzięki temu zajęciu, opuszczając Surabaję, zabrał całą walizkę map z zaznaczonymi polami naftowymi w tym rejonie świata. Wprawdzie nie miał pewności, czy tutejsze złoża będą się pokrywały z tymi na mapach, ale po pierwszym, udanym odwiercie wykonanym we wskazanym przez niego miejscu nikt nie miał już żadnych wątpliwości. Nawet Myszwaci mu uwierzyli. Gdy kapitan Reddy nakazał Bradfordowi wyznaczyć jeszcze jedną lokalizację, przedstawił cały szereg możliwości. Większość z nich odrzucono z takich czy innych powodów i ostatecznie padło na wyspę Tarakan. Leżała bardziej na północ, u wschodnich wybrzeży Borneo, już na morzu Celebes, którego mapy grików nie obejmowały. Wydawała się dobrym wyborem, a to ze względu na bliskość Filipin i jednej z kolonii Baalkpanu.

Kolonia ta była w gruncie rzeczy małym, ale rozrastającym się osiedlem założonym pośród przepastnych bagien po drugiej stronie cieśniny. Nazywała się Sembaakpan. Jej mieszkańcy trudnili się zbieraniem małych skorupiaków, które w stadium niedorosłym były bardzo smaczne i uchodziły za wielki delikates, ponieważ nie występowały nigdzie indziej. Zbierano je do koszy podczas opływu. Ludzie nie widzieli jeszcze czegoś tak niezwykłego. Stworzenia przypominały mieczogony i podobnie też się zachowywały, jednak dorastając odrzucały pancerze i zaczynały swobodnie pływać, a na końcu cyklu rozwojowego wzbijały się w powietrze.

Mieszkańcy kolonii nigdy nie nadali Tarakanowi swojej nazwy, nie odwiedzali też trudno dostępnej, porośniętej gęsto dżunglą wyspy, ludzie pozostali więc przy swoim

nazewnictwie.

- Mądra decyzja - powiedział Adar. - Popieram ją całym sercem.

Nakja chrząknął, nie odrywając spojrzenia od wód zatoki.

- Ale to wygląda, jakby spodziewali się klęski - rzekł.

- Mylisz się. Myślą o zwycięstwie. Dlaczego inaczej mieliby organizować wyprawę dla pozyskania nowych sojuszników i nowego źródła paliwa? - Adar zamrugał przecząco. - Nie jest, jak myślisz. Po prostu myślą trzeźwo i przygotowują się na każdą ewentualność. Nawet jeśli zostaniemy pokonani, kap-i-tan Reddy nie zaprzestanie przecież walki. Uzna to za kolejną porażkę, być może poważną, ale nie koniec wojny.

Wódz spojrzał na miasto. Już widział je pustoszone przez grików.

- Nie koniec? - powiedział zamyślony, ale zaraz zmienił ton. - Kiedy wypływacie?

Od powrotu sił ekspedycyjnych Brat Słońca dwa razy odmienił oblicze. Naprawy zajęły znacznie więcej czasu, niż oczekiwano. Za każdym razem, gdy udawało się rozwiązać jakiś problem, pojawiał się kolejny.

- Za jakieś dziesięć dni - odrzekł kapłan. - Remont *Walkera* dobiegł już prawie końca, ale trzeba jeszcze zdemontować wiertnię i przetransportować ją do miasta. Do tego czasu *Mahan* będzie gotowy zagrać rolę bliźniaka, gotowe będą też trzy jednostki grików zholowane z cieśniny. Teraz, gdy wodnosamolot jest niezdolny do latania, i kto wie, czy kiedykolwiek jeszcze polecą, nie możemy cię zostawiać bez morskiego zwiadu. Niemniej jeśli jakiegokolwiek ich patrol przemknie tak blisko, wyda im się, że wszystko toczy się normalnie. Nie domyślą się, że jeden niszczyciel gdzieś popłynął. Najpewniej nie mają pojęcia, że są aż dwa. Musimy strzec tego sekretu za wszelką cenę. Jeszcze dziesięć dni później dostaniesz pierwszą z jednostek, które tak mądrze zamówiłeś pod naszą nieobecność. Sądzę, że okażą się o wiele lepsze od czerwonych okrętów.

Nakja przytaknął entuzjastycznie, momentalnie zapominając o przygnębieniu.

- Istotnie! Są o wiele nowocześniejsze! - Wskazał na stocznice, gdzie dwa smukłe kadłuby tkwiły jeszcze na pochylniach. Trzeci, już zwodowany, cumował przy nowym nabrzeżu wyposażeniowym. Widać było dziesiątki krzątających się na nim postaci. - Znam na nich każdą wręgę i każdą deskę. Kap-i-tan Reddy i inżynier Brister przygotowali zasadniczy projekt, ale sposób budowy jest nasz! Są mocniejsze i dzielniejsze niż ich jednostki z dawnych czasów. Nazywają je fregatami, ale konkretnych nazw jeszcze nie otrzymały. To zawsze wymaga poważnego namysłu.

Po raz pierwszy zdarzyło się, że korzystając z ludzkiej pomocy, kotowaci zaprzęgli swoje niezwykle talenty inżynierskie do budowy prawdziwych okrętów wojennych.

Współpraca zaowocowała powstaniem jednostek wzorowanych na sprawdzonych w ludzkiej historii projektach, wykonanych w sposób gwarantujący wielką wytrzymałość. Miejscowi wzięli pod uwagę wszystkie sugestie związane z dającymi jak najwyższą prędkość kształtami kadłuba, ale zachowali własne metody skutnicze. Zapewne nigdy jeszcze ten świat nie widział równie szybkich i solidnych żaglowców.

Adar też spojrzął na stocznię i pokiwał głową.

- Oczywiście. Na dodatek są piękne. Szkoda tylko...

- Że będą tylko trzy? - przerwał mu Nakja. - Trudno. Nawet jeśli grikowie będą zwlekać, więcej ich i tak nie zdołamy dokończyć. Gdybyśmy mieli ich pięćdziesiąt, nie odważyliby się nas zaatakować. Przynajmniej bez *Amagiego*.

- Chciałem powiedzieć, że to pierwsze i ostatnie takie okręty. Następne dostaną już pomocniczy napęd parowy. A co do grików... I tak by zaatakowali. Wizja przegranej to dla nich żaden straszak. Uważają, że nie mają wyboru. A my i tak nie mielibyśmy załóg dla tylu jednostek.

- To prawda. I właśnie, wracamy w ten sposób do zasadniczej sprawy. Im szybciej wypłyniecie, tym lepiej. Raz, że naprawdę potrzebujemy sojuszników, a dwa - że tym szybciej wrócicie. Mimo wszystko obawiam się, że grikowie przyplyną właśnie wtedy, gdy *Walker* będzie daleko. - Machnął ręką, zbywając protest Adara. - Wiem, że kap-i-tan Reddy uważa to za bardzo mało prawdopodobne i że bez dodatkowych oddziałów nawet obecność obu niszczycieli może niewiele znaczyć, ale dla nas *Walker* to nie tylko okręt. Po tym, czego dokonał, zwłaszcza w wypadku *Nerracki*, ludzie boleśnie odczują jego nieobecność.

- Chyba rozumiem - mruknął kapłan.

- Naprawdę? Tutaj nie chodzi tylko o okręt, ale przede wszystkim o jego załogę. Kap-i-tana Reddy'ego, Braad-furda, Chacka, mojego drogiego kuzyna Kejego, jeśli też popłynie... No i ciebie, oczywiście. Jak na pewno wiesz, mój kapłan, stary Naga, niezbyt może się odnaleźć w obecnej sytuacji. Coraz trudniej się z nim dogadać.

Adar przytaknął ze smutkiem. Za młodu był uczniem Nagi, który stał się dla niego niedoścignionym wzorem. Jak nikt znał przeszłość swego ludu, a niebo nie miało przed nim tajemnic. Potrafił recytować z pamięci wszystkie zwoje i odtwarzać ze szczegółami wszystkie przedstawione w nich linie brzegowe. Ostatnio jednak coraz trudniej przychodziło mu zebrać myśli i chociaż Adar był tylko kapłanem Kejego i *Salissy*, mieszkańcy Baalkpanu w nim raczej widzieli swojego duchowego przywódcę. Co ciekawe, ich podejście podzielali przybysze z Aryaalu i B'mbaado i różnice dogmatyczne nie były w tym przeszkodą. Od kiedy kapłan dowiedział się, jacy naprawdę są grikowie, propagował coś, co Amer-i-kanie nazwali

„wojną totalną”, którą miał za jedyną formę walki mogącą dać jakąś nadzieję na ocalenie.

- Może i tak - szepnął.

Podano przekąski i obaj kotowaci uśmiechnęli się wymuszenie, powstrzymując się od strzyżenia uszami. Szczęśliwie ogony mieli unieruchomione, toteż nie zdradziły, jak bardzo są zaniepokojeni.

- Zostaw nas - powiedział Nakja do służącego, gdy ten postawił tacę. Młodzieniec wyszedł czym prędzej. - A skoro już o trudach wojny mowa, jak miewa się kap-i-tan Reddy? Nie umiem czytać ich mimiki, ale wydał mi się jakiś nieswój.

- Też przeżywa to, co stało się z *Nerracką* - odparł Adar. - Nienawidzi teraz grików tak samo jak my. A Japończyków pewnie jeszcze bardziej. Ta tragedia to dla nas wielka strata, ale zapewne wzmocni nasz sojusz.

- To jedno, ale chyba coś jeszcze go trapi.

- Ma też prywatny problem. Waha się, czy związać się oficjalnie ze znaną ci uzdrawiaczką, chociaż wszyscy od dawna wiedzą, że chcą być razem. Przypuszczam, że ma to jakiś związek z małą liczbą kobiet w ich grupie.

- Wydumany problem.

- Może. Ale jest jeszcze sprawa ich zastępcy dowódcy sił lądowych, porucznika Shinyi. - To Japoniec, tak?

- Właśnie. Zasadniczo wróg, ale oni mu ufają. Należy do tej samej rasy, a raczej tego samego klanu, który jest właścicielem *Amagiego*. Rozumie, jakie zło wspierają jego bracia, ale nie wierzy, żeby wszyscy na pokładzie wielkiego okrętu stali się tak samo zepsuci. Jest... rozdarty. Boli go, co *Amagi* uczynił pływającemu domowi, ale podobnie jak my, nie chciałby walczyć przeciwko swoim.

- Może i podobnie, ale raczej nie tak samo. Oni są o wiele bardziej wojowniczy niż my. Bardziej przypominają pod tym względem mieszkańców Aryaalu czy B'mbaado.

- Z tym się zgodzę. Potrafią zabijać członków innych klanów czy przedstawicieli innych ras w obrębie własnego gatunku. Niemniej w klanie Japońców wewnętrzna więź wydaje się o wiele silniejsza niż u Amer-i-kanów. Ci drudzy mają za to więcej wolności, na przykład częściej sami decydują, co jest dobre, a co złe. U Japońców o takich sprawach decydują przywódcy i reszta musi się dostosować niezależnie od tego, co sobie myśli.

- Rozumiem - mruknął Nakja. - Sądzisz, że można ufać Shinyi? Wesprze swój klan przeciwko nam?

- Nie przypuszczam, żeby to zrobił. Wierzę, że cokolwiek o nich myśli, honor nie pozwoli mu tak postępować. Nie zapominaj, że zanim tu przybył, jego klan prowadził wojnę z

Amer-i-kanami, on jednak dał słowo kap-i-tanowi Reddy'emu, i prędzej odbierze sobie życie, niż złamie obietnicę. W praktyce, gdyby doszło do takiej konfrontacji, zapewne wstrzyma się od jakiegokolwiek działania. Przeczeka wszystko z założonymi rękami, jak mawiają ludzie.

- Szkoda. To świetny dowódca i jego podkomendni, wszyscy przecież nasi, nie są w żaden sposób zaangażowani w jego sprawy. Mam nadzieję, że zdoła z tego wybrnąć z korzyścią dla nas. No i dla siebie.

Adar skinął głową.

- Tak czy owak z tego powodu raczej przyłączy się do wyprawy, niż zostanie w mieście.

- Może tak będzie najlepiej - zgodził się Nakja i zmienił temat. - Trzeba wam czegoś do demontażu i przetransportowania urządzeń wiertniczych?

- Niczego specjalnego. W sumie to prosta robota, wymaga tylko trochę czasu i wysiłku. Jestem przekonany, że prościej byłoby zbudować nowe i prędzej czy później i tak będziemy musieli to zrobić, jeśli chcemy mieć więcej szybów, ale skoro ta wiertnia jest sprawna i nie przyda się już do niczego tam, gdzie jest, dobrze ją wykorzystać. Jedno tylko utrudnia pracę. Gdzieś w okolicy kręci się grigaantus maximus, grimaks, jak go nazywają. Ten, który załatwił Tony'ego Scotta. Amer-i-kanie zwą je chyba potocznie superjaszczurami.

- Całkiem stosownie, moim zdaniem.

- Właśnie. Tyle że każda grupa robocza musi dostawać niemal tak samo liczną eskortę. Bardzo nam to utrudnia pracę, ale inaczej nie można.

*

- Zdumiewające! - wykrzyknął Courtney Bradford, zdejmując swój osobliwy kapelusz, i otarł pot z wysokiego czoła.

Dennis Silva musiał się z nim zgodzić. Sam powiedziałby raczej „nadwymiarowe”, chociaż z zasady nie używał tego słowa i nie znał go nawet do niedawna, gdy australijski inżynier użył go przy innej całkiem okazji. Ale zdumiewające było także.

- Nigdy jeszcze nie widziałem większego - stwierdził Silva z autentycznym szacunkiem. Zarzucił broń na ramię i przykucnął, żeby obejrzeć znalezisko w całej okazałości. - A trochę już widziałem. Sam też pobili kilka rekordów, ale nigdy aż tak.

Leżąca przed nimi kupa odchodów nie parowała już, ale była zasadniczo świeża i wymiarami mogła się równać z dorosłym człowiekiem, gdyby ten przyjął pozycję płodową. Skojarzenie nasunęło Silvie szereg ponurych myśli, ale gdy spojrzał na Bradforda, w jego oczach ujrzał fascynację. Parsknął na ten widok. Zgodnie z jego rachunkiem czasu powinien być już styczeń 1943 roku i minęło już prawie dwanaście miesięcy, od kiedy *Walker*

przeszedł przez szkwał i trafił do tego dziwnego świata. Bradford, chociaż bez wątpienia inteligentny, był chyba ostatnim, którego jeszcze to nie odmieniło. Pozornie pogodził się z nieuniknionym i zapuścił nawet rudawą brodę, która budziła wielkie zainteresowanie lemurów nie mogących pojąć, jak ktoś może mieć na dole twarzy więcej włosów niż na głowie. Utracony słomkowy kapelusz zastąpił czymś na kształt komiksowego sombrera, które przydawało jego okrągłej fizys groteskowego wyglądu, co otoczenie oczywiście zauważało.

Zwłaszcza kotowaci, którzy nie nosili na co dzień żadnych nakryć głowy. Owszem, na czas walki wkładali hełmy tak zrobione, żeby chroniły przede wszystkim ich uszy. Niektórzy, jak Chack, woleli hełmy amerykańskie, chociaż nie były dla nich wygodne. Zwykle przekrzywiali je w taki sposób, żeby jedno ucho wystawało z boku, drugie zaś mieściło się od biedy w środku. W miarę działało, a co najważniejsze - amerykańskie dawały lepszą ochronę niż wszystko, co gospodarze dotąd wymyślili. Courtney nie miał żadnej wymówki. Nosił zawsze tylko kapelusz i chyba w ogóle się nie przejmował, co dodawało mu uroku. Chociaż może i myślał o tym, ale inaczej. Zgodził się kiedyś z kapitanem Reddym, że humor ma wielkie znaczenie dla utrzymania morale, i trzeba przyznać, że bardzo się starał. Zwłaszcza w takich chwilach jak teraz.

Z drugiej strony, chociaż niekiedy zabawny i co najmniej ekscentryczny, był też bardzo pożyteczny. Przede wszystkim jako specjalista od poszukiwań ropy naftowej, ale nie tylko. Sam nazywał się naturalistą, co mogło znaczyć wiele albo i nic, jednak nie mieli w załodze nikogo z przyrodniczym wykształceniem, a Bradford zdawał się naprawdę wiedzieć sporo o tym, czym amatorsko się zajmował. Specjalizował się podobno w anatomii porównawczej i może rzeczywiście, ponieważ sporo się dzięki niemu dowiedzieli. Kotowaci dzielili się zawsze chętnie całą swoją wiedzą, ale o pewnych sprawach nie wiedzieli wiele. Nawet o sobie jako gatunku. W innych okolicznościach ktoś mógłby zarzucić Australijczykowi, że znając się na wszystkim, nie zna się tak naprawdę na niczym, ale tutaj był skarbem. Zawsze lepiej dowiedzieć się trochę niż całkiem nic.

Silva był pewien, że kapitan nie pogłaszcze go po główce, gdy się dowie, że ma wziąć Bradforda na włóczęgę po dżungli. I sam się zdziwił, że w ogóle go ta myśl obeszła. Dotąd żył tylko chwilą, nie dbając o konsekwencje. Teraz pełnił obowiązki szefa działu utrzymania, zastępując Campetiego, który został oficerem artyleryjskim *Walkera*, ale ze swoim doświadczeniem i umiejętnościami już dawno powinien był trafić na podobne stanowisko. Wcześniej jak mógł, jednak unikał awansu. Uciekał przed odpowiedzialnością. Teraz i to się zmieniło. Wszyscy dostawali nowe przydziały i musieli odpowiadać za mnóstwo rzeczy, czy chcieli tego, czy nie. Większość sprostaa wyzwaniu. Jego dawny przełożony porucznik

Garrett miał niebawem objąć własny okręt. Alan Letts, kiedyś mało przykładający się do obowiązków oficer zaopatrzeniowy, wyrósł na szefa sztabu kapitana Reddy'ego. Bernie Sandison wciąż był oficerem torpedowym *Walkera* (niemal zbyt cennym z braku torped), ale odpowiadał też za projektowanie i budowę nowych rodzajów uzbrojenia. Sierżant Alden z pechowego oddziału piechoty morskiej przypisanej do krążownika USS *Huston* awansował na miejscowego „generała broni”. Bosman Gray też awansował, chociaż trudno było powiedzieć jak bardzo. Zapewne na kogoś w rodzaju „superbosmana”. Nawet Myszowaci nie byli już zwykłymi palaczami, chociaż pewnie tęsknili za dawnymi dobrymi czasami. Silva spojrział na Bradforda, który zasadniczo się nie zmienił, chociaż może wyglądał trochę inaczej. Sam Dennis uważał, że niewiele zostało w nim z tego marynarza, którym był jeszcze niedawno.

Wzdrażał się na myśl, że mógłby zawieść kapitana, ale chciał pomścić śmierć Tony'ego Scotta, chociaż przed szkwałem ledwo go znał. Z jakiegoś powodu było to dla niego bardzo ważne. Może po prostu uważał za swój obowiązek chronienie wszystkich, którzy znaleźli się w tym świecie. Na co dzień zachowywał się tak, jak zwykle po nim oczekiwano. Był beztroski, nieustraszony, bezczelny i wpatrzony w siebie. Trochę pewnie nawet psychotyczny. Kto na niego spojrział, widział wciąż tego samego Silvē, wzbogaconego jedynie o jasną brodę. Jednak dawna obojętność na los ludzi i świata przeszła jak ręką odjął.

- Cuchnie jak gówno niedźwiedzia - zauważył Paul Stites, zerkając nerwowo na zbity zielony gąszcz okalający przecinę z rurociągiem. Ciemnowłosa i tak smukły, jak Silva był muskularny, przypominał Dennisa charakterem i mógł uchodzić za jego bliskiego przyjaciela. Uchodzić, ponieważ dotąd Silva nie miał przyjaciół. - Wielki indyk sra jak niedźwiedź...

Stites, Bradford i Dennis byli jedynymi ludźmi w składzie patrolu wysłanego w celu demontażu wiertni, która miała zostać przeniesiona w nowe miejsce. Przy samym odwiercie zainstalowano już dawno pompę, dzięki której strumień ropy płynął nieprzerwanie do wciąż rozbudowywanej rafinerii przy nabrzeżu. Tak jak reszta ludzi Stites wysmarował skórę olejem dla ochrony przed komarami, które dorastały tutaj do rozmiarów ważek. Tyle że tytułem eksperymentu sięgnął tym razem po zużyty olej, żeby sprawdzić, czy nie okaże się skuteczniejszy. Mimo strumyków potu, które ściekały mu po twarzy, wyglądał, jakby nosił czarną maskę.

Poza tym w skład patrolu wchodziło jeszcze sześciu kotowatych. Silva i Stites mieli dodatkowy cel, czyli wytropienie superjaszczura. Chcieli zemsty. Bradford nie oponował, jak zawsze ciekaw wszystkiego, co dotyczyło miejscowej przyrody.

- Nie wiem, skąd jesteś, Stites, ale w Alabamie indyki wiedzą, kiedy przestać rosnąć -

mruknął Silva. Tropy rzeczywiście przypominały trochę indycze, tyle że każdy miał stopę długości.

- Ale chyba nie myślicie, że... - zaczął Stites i wskazał na stertę odchodów.

Courtney zerknął na mata i szybko pojął w czym rzecz.

- Nie, nie sądzę. Minęło już kilka tygodni - powiedział. - Chociaż żeby mieć pewność, musielibyśmy wiedzieć więcej o jego metabolizmie.

- No bo zastanawiałem się, czy nie powinniśmy tego... no, pochować. Tak na wszelki wypadek. Na wypadek... gdyby to był Tony.

Silva wzniosł oczy ku niebu.

- To gówno to nie Tony - rzekł. - A nawet jeśli, nie będzie żadnego pogrzebu. Raz, że wszyscy zmienimy się kiedyś w coś podobnego, a dwa, nie mamy dość czasu. Lepiej spożytkować go na upolowanie tego bydlaka.

Zanim Tony Scott zginął, stał się dla Silvy kimś bliskim. Może nawet przyjacielem. Po nowemu. I tym bardziej przez to droгим. Na *Walkerze* odpowiadał za szalupy i nie porzucił przydziału, choć narastał w nim strach przed wodą. Tutejszą wodą, pełną różnych krwiożerczych stworzeń. Nie był jednak tchórzem. Mimo przejmującego lęku podczas jednej z bitew rzucił się do morza, żeby ratować porucznik Tucker. Teoretycznie nic mu nie groziło, ponieważ podczas sztormu, który wówczas się rozszalał, drapieżne ryby nie zwykły atakować, ale nie mógł przecież tego wiedzieć. Wszyscy rozumieli, ile kosztował go ten akt odwagi.

Niestety zginął w sposób świadczący o istnieniu czegoś takiego jak ironia losu. Nie w wodzie, ale na lądzie, który zawsze uważał za bezpieczny. Wystarczyło, że przez głupi przypadek zostawił broń na łodzi i udał się bez niej w gąszcz. Gdy nie wrócił, odnalezione ślady jasno mówiły, co go dopadło.

Dotąd widzieli wiele równie wielkich porcji nawozu produkowanego przez udomowione „brontozaury” wykorzystywane przez miejscowych jako zwierzęta pociągowe, ale roślinożerne olbrzymy zostawiały raczej coś przypominającego gigantyczne krowie placki. Teraz trafili na odchody niewątpliwego drapieżnika. I to musiał być właśnie „superjaszczur”.

Bradford, który nie cierpiał tego określenia, tłumaczył przy każdej okazji, że chodzi o alozaura, niemal identycznego z tymi, których skamieliny wykopywano w ich świecie. Może tylko większego niż jego prehistoryczni kuzyni, ale to samo dotyczyło właściwie wszystkich okazów na terenie odpowiadającym Holenderskim Indiom Wschodnim. Jedno dobre, że drapieżniki były stosunkowo nieliczne. Zapewne dlatego, że hołdowały terytorialności. Gdy

jeden ginął, co zapewne nie zdarzało się często, mijało trochę czasu, nim nowy obejmował jego włości we władanie. Polowały zazwyczaj z zasadzki, czając się przy polanach i leśnych drózkach. Bradford twierdził, że były zdolne do bardzo szybkiego biegu, ale leniwe. Silva przypuszczał, że Tony zginął, gdy idąc wzdłuż rurociągu, znalazł się w zasięgu paszczy tego tutaj jaszczura. Jeszcze bardziej wkurzony wstał i stał z kolan wilgotną ziemię.

Im dalej się zapuszczali, tym bardziej cichły odgłosy pracy przy odwiercie. Silva zwrócił się do szczerbatego lemura o futrze ze śladami siwizny. Ten jeden kotowaty nie należał do żadnego klanu i znany był powszechnie jako Myśliwy. Tubylcy nosili zwykle bardzo mało odzieży, Myśliwy jednak nie wkładał niczego poza naszyjnikiem z jaszczurzych pazurów i kołczanem z pociskami do wielkiej kuszy. Były to jednoznaczne symbole jego statusu.

- To nie wasz przyjaciel - powiedział Myśliwy, wskazując na odchody. - Widzicie czarne włosy? To z... jak je nazywacie? Wieprzorożce?

Chodziło mu o stworzenie wielkości nosorożca, jednego z nielicznych dużych ssaków żyjących na Borneo, które przypominały gigantyczne dzikie świnie. Mnożyły się bardzo szybko i były wszystkożerne, miały grubą skórę, długie na stopę kły, a do tego róg na czubku głowy. Myśliwy na nie właśnie zwykle polował, głównie dla pożywnego i tłustego mięsa. Superjaszczury też chyba w nich gustowały.

- Jak dawno? - spytał Silva.

- Niedawno. Usłyszał większą grupę, która hałasowała. Odszedł.

- Boi się większej grupy? - spytał z nadzieją Stites.

Myśliwy uśmiechnął się szeroko.

- Nie jest dość głodny na wszystkich. Nie chce marnować dobrego terenu polowań.

- Marnować...

- Gdzie poszedł? - wtrącił się Silva.

Myśliwy wskazał na znikający w gęstwinie wąski pasek stratowanej roślinności.

- Żartujesz - stwierdził Stites. - Myślałem, że on jest wielki.

- Uwierz mi, bardzo wielki - rzucił myśliwy przez ramię, unosząc kuszę, i zszedł ze ścieżki przy rurociągu.

- Tak...? Ile ich zabiłeś?

Myśliwy zatrzymał się i dotknął naszyjnika.

- Tylko jednego - odparł cicho.

- To skąd tyle o nich wiesz? - spytał sceptycznym tonem Stites.

Myśliwy zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział.

- Z waszą magiczną bronią może nie trzeba się ich bać, ale żeby zabić nawet jednego tym... - wskazał na kuszę - trzeba się o nich najpierw dużo nauczyć. Poza tym, ile razy poluję, one polują na mnie. Dotąd żaden mnie nie dopadł, więc chyba trochę wiem. - Skrzywił się lekko, urażony niedowierzaniem Stitesa. - Wystarczy? To chodźmy.

- Dlaczego z nami poszedłeś? - spytał Bradford. - Nie możemy ci zapłacić.

- Jeśli on zniknie, zrobi się bardziej bezpiecznie - odparł Myśliwy. - Może nawet na dłuższy czas. A wielki Nakja nagrodzi mnie za mięso...

- Aha.

Przez resztę poranka skradali się ostrożnie, przemierzając dżunglę. Myśliwy szedł na przedzie, czasem normalnie, czasem na czworakach, energicznie poruszając ogonem. Niekiedy zatrzymywał się, sprawdzając ślady na ziemi i stratowaną roślinność. Pokazywał im wtedy, żeby byli cicho, i zastygał, nasłuchując czegoś. Bywało, że trwało to nawet dość długo.

Silva nabrał przekonania, że Myśliwy używa nie tylko uszu, ale i nosa. W końcu ruszał dalej, chociaż jakby niechętnie. Podczas jednego z takich postojów zebrał całą ósemkę blisko siebie i odezwał się do nich szeptem, który w tych okolicznościach wydał im się niemal krzykiem. W zwykle gwarnej dżungli panowała dziwna cisza.

- Jest blisko. Ledwie co tędy przechodził. Wie, że się zbliżamy, i szuka miejsca na zasadzkę. - Nawet Dennis obejrzał się nerwowo. - Nie, nie tutaj. Potrzebuje więcej miejsca. Jeśli przed nami jest jakaś polana, on tam będzie.

Las niebawem ożył. Szli bardzo powoli, ale wkrótce przed nimi rzeczywiście pojawiła się polana. Była o wiele większa, niż oczekiwali, szeroka na jakieś sto jardów i na tyle długa, że ze swojej kryjówki nie widzieli jej drugiego końca. Poczerniałe pnie i świeże liście świadczyły, że niedawno był tu pożar. Zmrużyli oczy oślepieni słońcem, które rychło jednak zakryła chmura. Nadciągał popołudniowy deszcz, zwykła sprawa o tej porze roku. Gdzieś daleko zadudnił grom. Silva zdjął z ramienia swój erkaem Browninga.

- Nie - syknął na niego Myśliwy. - On nie czeka tuż obok. Chce dopaść nas wszystkich, a do tego potrzebuje miejsca. Pójdziemy przez pogorzelsko. Zaatakuje tam, gdzie ścieżka zbliża się do buszu.

- Sugerujesz, że on stosuje jakąś taktykę? - spytał zdumiony Bradford.

- Pytasz, czy potrafi planować polowanie? Sam osądź. To najlepszy myśliwy na Borno. Nie jest głupi. - Spojrzał z namysłem na ciężki karabin Silvy. - Ja też nie. Wasza magiczna broń da mu radę? Zabije go łatwo i szybko?

Silva skinął głową, chociaż nie był tego pewien.

- Ale muszę zobaczyć go żywego! - zaprotestował Bradford. - Muszę zobaczyć, jak się porusza. Nie poszedłem z wami tylko po to, żeby oglądać martwego alozaura. - Zwrócił się do Silvy. - Wiem, że chce pan zabić to wspaniałe zwierzę, i rozumiem pańskie motywy, ale nalegam, żebyście dali mi tyle czasu, ile tylko będzie możliwe.

Myśliwy podejrzenie zachichotał i ruszył przed siebie.

- Zobaczysz go żywego - odrzekł przez ramię - zobaczysz, jak się rusza, zobaczysz z bliska. Byle nie za blisko.

Po krótkim wahaniu pozostali ruszyli za nim gęsiego. Silva maszerował drugi, uzbrojony w springfielda Stites zamykał pochód. Pozostali mieli znalezione w zbrojowni niszczyciela karabiny Kraga-Jorgensena, przydzielone zapewne zaraz po wcieleniu okrętu do służby. Była to dobra broń, ale bez wątplenia o mniejszej sile rażenia. Przeciwno superjaszczurowi mogła się okazać niewystarczająca. Z drugiej strony żaden z wielkich drapieżników nigdy nie spotkał podobnie wyposażonej zdobyczy, toteż grupa bardzo liczyła na element zaskoczenia.

Myśliwy przeszedł dwieście jardów po otwartym terenie i przystanął.

- Gdy go zobaczysz, szybko zaczniesz strzelać? - spytał Silwę.

Mat przytaknął z przekonaniem. BAR Browninga był ciężką bronią i większość ludzi, o kotowatych nie mówiąc, miałyby kłopot z jego obsługą. Ale nie Silva.

- To zostań tu na razie - rzekł kotowaty. - Idę do przodu. Pomagaj mi.

- Co mam robić?

- Sam będziesz wiedział, gdy przyjdzie czas. Tylko się nie wahaj przez Braad-furda, bo zmienisz się w nawóz, jak twój przyjaciel. - Pogwizdując przez brakujące zęby jakąś dziwną melodyjkę, Myśliwy jak gdyby nigdy nic ruszył spacerowym krokiem ścieżką, która zbliżała się w tym miejscu do drzew.

Gdy był bliżej, nawet stojący dalej usłyszeli nowy odgłos. Mieszkańcy lasu w większości znów zaczęli hałasować, gdzieś dalej w pogorzeliisku chrząkał nawet wieprzorożec, ale z tego zgiełku można było wyłowić słabe dyszenie, a może po prostu oddech pobudzonego drapieżnika. Myśliwy zatrzymał się sześćdziesiąt jardów dalej. Wciąż pogwizdywał, ale teraz bardziej monotonicznie. Zachowywał się normalnie, tylko ogon chodził mu jakby bardziej nerwowo. Patrzył w ziemię i tylko raz zerknął na dżunglę po lewej. Potem pochylił się i zaczął zbierać kamienie. Całkiem nagle odgłosy lasu ucichły, a Myśliwy zaczął osobliwie poszczekiwać, skacząc w tę i z powrotem. Ze sporym zamachem cisnął kamień między drzewa. Jediną odpowiedzią było wściekłe warknięcie, ale oddech drapieżcy wyraźnie przyspieszył. Myśliwy dalej odprawiał swój dziwny taniec. Drugi kamień wywołał

coś w rodzaju głębokiego westchnienia, a zanim kotowaty rzucił trzeci, dżungla eksplodowała nagle rykiem i kilka drzew padło złamanych jak zapalki.

Silva stał z oczami wbitymi w ścianę zieleni i broń trzymał w gotowości, ale masywny łeb wychynął spomiędzy liści dwa razy wyżej, niż Dennis skłonny był oczekiwać. Na ziemię sypnął się deszcz gałęzi, spłoszone gadzie ptaki wleciały całym stadem. Mimo obietnicy Dennis nie od razu otworzył ogień. Musiał na nowo wycelować, ale zanim to zrobił, bestia pochyliła głowę i szczerząc zęby, wyciągnęła ją w stronę Myśliwego.

Inni też nie strzelali. Pozostali kotowaci nigdy wcześniej nie widzieli superjaszczura. Silva wiedział, że Myszowaci spotkali go raz i wystrzelali do niego całe magazynki, zanim ten po prostu sobie odszedł. Jednak nic, nawet ich skąpa relacja, nie przygotowało Silvy na to, co teraz widział na własne oczy. Bradford tylko otworzył usta ze zdumienia. Wystarczyły dwa kroki, żeby zwierz ukazał się im w pełni. Od nosa do końca ogona mierzył jakieś pięćdziesiąt stóp. W odróżnieniu od innych miejscowych jaszczurów, w tym i grików, nie miał futra ani żadnych piór. Skóra była matowa, pomarszczona jak u słonia, ale pokryta smugami w różnych kolorach. Nawet bez osłony drzew świetnie wtapiał się w rosnącą za nim dżunglę. Tylko dzięki jasnemu, wyglądającemu zza chmur słońcu dobrze widzieli bestię, która rozdziawiła już sześciostopowe szczęki z długimi, ostrymi zębiskami, żeby dobrać się do Myśliwego.

Szczęśliwie tubylec wykazał się kocią zaiste czujnością i zwinnością, odskakując w bok. Niestety wylądował niezbyt zgrabnie i było oczywiste, że drapieżnikowi wystarczy jeden krok, żeby go dopaść.

- Boże wszechmocny! - sapnął Silva, ściągając wreszcie język spustowy.

Polanę wypełniło ciężkie dudnienie ręcznego karabinu maszynowego. Z pośpiechu i zaskoczenia kilka pierwszych pocisków Dennis posłał w niebo, jednak był wprawnym strzelcem i szybko skorygował ogień. Na dodatek znajomy puls odrzutu broni dodał mu pewności siebie. W skupieniu opróżnił pierwszy magazynek. Zanim wpiął drugi, inni też zaczęli strzelać. Nie miał pojęcia, jak zwierzę zareaguje na kanonadę. Oczywiście najlepiej, gdyby od razu padło bez życia, chociaż długie i malownicze konanie bestii też byłoby w zasadzie do przyjęcia. Wyszło jednak inaczej. Przyjawszy niemal cały magazynek z karabinu maszynowego i liczne trafienia z innych luf, na początek raczyło ich zauważyć. Obróciło się ku gromadce, zapominając o Myśliwym. Chwilę potem ryknęło rozzdzierająco i błyskawicznie zaatakowało.

- Kurwa!

Drugi magazynek był już na miejscu i Silva wpakował w bestię długą serię pocisków.

Widział, jak trafiały, ale jakoś nic z tego nie wynikało. O wiele za szybko zużył wszystkie dwadzieścia pocisków. Gdy zamek odskoczył z głuchym stuknięciem, Dennis rzucił się do ucieczki, po omacku szukając w torbie kolejnego magazynka. Dopiero wtedy zauważył, że cała reszta już dała nogę. Nawet Stites. Tylko Bradford stał z rozdziawioną gębą i wpatrywał się w bestię. Chyba nawet nie uniósł broni, o strzelaniu nie wspominając.

- Dalej, cholero jedna! - wrzasnął Silva i pociągnął Australijczyka za ramię.

Razem pobiegli ścieżką z powrotem ku dżungli. W dusznym powietrzu okazało się to sporym wysiłkiem. Dennis pomyślał, że z ich popisów strzeleckich musiało jednak coś wynikać, bo w przeciwnym razie superjaszczur już by ich dopadł. Słyszał jednak, że wciąż ich goni. Wąska ścieżka w dżungli nie była dla niego trudnym terenem, tyle że musiał opuścić łeb i taranem przedzierać się przez gąszcz. Większość krzewów i drzew na jego szlaku nie miała szans w tym spotkaniu. Mimo wszystko Silva i Bradford trochę się odsadzili od gada i zyskali dość czasu, żeby zmienić magazynek. Ile razy Dennis dostrzegł gdzieś za sobą wielki łeb bestii, która sunęła teraz jak wielki krokodyl, pakował w niego kilka pocisków. Niemniej pogoń nie ustawała.

- Czy to było dość blisko dla pana, Courtney? - wydyszał Silva.

W kilka minut pokonali tę samą drogę, którą wcześniej skradali się blisko godzinę. Niewiele widzieli przed sobą, ale rychło znaleźli się w pobliżu rurociągu. Bradford ledwie biegł, kaszłąc i z trudem łapiąc oddech, ale Silva twardo trzymał tempo. Wiedział jednak, że jego kompan długo tak nie pociągnie, a przecież nie mógł go zostawić. Gdyby wrócił bez przyrodnika, mógłby od razu poszukać sobie suchej gałęzi. Owszem, wszyscy byli teraz szalenie potrzebni, ale Bradford... Gadzi pysk znów się zbliżył i Dennis opróżnił weń magazynek.

Wypadli na przecinkę, gdzie czekał cały szereg strzelców. Stites zdołał jakoś zatrzymać spanikowany pododdział i ściągnął jeszcze innych. Łącznie zebrał ich tuzin. Bradford padł na ziemię, ledwie ich zobaczył. Silva szybko odciągnął go na bok i czym prędzej wpiął czwarty magazynek. Ostatni.

- Myślałem, że nie żyjecie! - krzyknął Stites.

- Myślał indyk o niedzieli... - warknął Silva.

Zarośla za jego plecami zakołysały się i wściekle ryczący superjaszczur wypadł na przecinkę.

Teraz było widać, że jednak oberwał. Jedno oko zwisało na nerwach, jedna z trójpalcych górnych łap wydawała się bezwładna. Brakło też części zębów. Krew płynęła z dziesiątków ran, jednak zwierzę wciąż stało na nogach. Zauważywszy przeciwników, bez

wahania zaatakowało.

- Otworzyć ogień! - wydyszał Silva.

Odgłosy strzałów brzmiały dziwnie głucho w wilgotnym powietrzu. Wielki jaszczur po raz pierwszy zaskrzeczał z bólu i zachwiał się pod nawałą pocisków. Silva strzelał starannie mierzonymi trzypociskowymi seriami. Bestia ryknęła i zatoczyła się w kierunku Dennisa, którego chyba uznała za szczególnie dokuczliwego. Mat cofnął się, ale nie uciekł. Nie miał dokąd, stał po drugiej stronie przecinki i za plecami czuł zwartą roślinność. Uznał, że trudno. Zwierz mógł go dopaść w trzech krokach, ale tym razem albo wreszcie się uda, albo nie. Najwyżej zginie, próbując. Ostatecznie ten właśnie jaszczur zabił jego przyjaciela. Strzelając, starał się trafić w widoczne w otwartej paszczy podniebienie. Gdzieś tam musiał być mózg. Gdy jaszczurowi został jeszcze krok, zatrzymał się nagle i potrzęsął łbem, jakby stracił orientację. Wkoło prysnęły wielkie krople szybko krzepnącej krwi.

- Zdychaj, przerośnięty indyku! - warknął Silva, wystrzelivując ostatnie pociski. Potem cisnął karabin na ziemię i sięgnął po swój kord, wzór 1918. - Dalej - sapnął, lekko rozstawiając nogi i unosząc klingę.

Bestia znowu go dostrzegła i zrobiła mały krok w jego kierunku.

- Strzelać! - wrzasnął Stites i pociski raz jeszcze zasypały jaszczura. Tym razem niemal wszystkie trafiły w wielki łeb.

Przez chwilę nic się nie działo, tylko na przecince przybywało dymu prochowego, aż w końcu Silva doczekał się tego, na czym zależało mu najbardziej. Bestia majestatycznie runęła. Ziemia zadrżała, gdy cielsko padło w poszycie obok Dennisa z trzaskiem łamanych kości. Zmasakrowany łeb znalazł się niecałe sześć stóp od Silvy, który musiał otrzeć oczy od krwi i śliny zwierzęcia.

Dennis jakimś cudem ustał na nogach. Ze złością wsunął kord z powrotem do pochwy, głównie po to, żeby nie było widać, jak bardzo trzęsą mu się ręce. Potem obrócił się i ujrzał szczerzącego zęby Stitesa, który biegł sprawdzić, co z jego kompanem.

- I po co to było? - warknął wściekły Silva. - Cholera jasna, właśnie chciałem go wykończyć! Musiałeś się wtrącać? - ponownie wyszarpnąwszy kord, podszedł do cielska i spojrzał w wielkie, nieruchome oko. Bestia wyglądała na martwą, jednak brzuch unosił się jeszcze słabo w rytm oddechu, a z nozdrzy wydobywały się krwawe bąble. Silva dotknął sztychem źrenicy i pchnął. Trysnął wypełniający gałkę oczną płyn, ale bestia nie drgnęła.

- To za ganiecie nas po krzakach - powiedział Dennis. - I za napędzenie nam stracha. - Wbił głównię po rękojeść i przerywany oddech nagle ustał. - I za Tony'ego Scotta - dodał ciszej. - Za mojego przyjaciela.

*

- Chciałbym mieć aparat fotograficzny - powiedział Stites, powoli wydmuchując niebieską chmurę dymu.

- Kogo obchodzi aparat? Daj mi lepiej trochę pestek - odparł Silva.

Siedzieli ze Stitesem na martwym potworze i palili na spółkę hołubionego aż do teraz papierosa. Bradford doszedł już do siebie i krążył wokół padliny, mierząc ją krokami i rozmawiając ożywionym tonem z Myśliwym, który pojawił się na przecince krótko po tym, jak ustała strzelanina.

- Dlaczego?

- Bo jestem, cholera, spłukany - westchnął Silva. - Wystrzelałem wszystkie, co do sztuki. Tak trudno to zrozumieć, matole? I dopiero teraz zaczynam się bać. Zamknij się więc, z łaski swojej, i daj mi trochę nabojów, zanim je z ciebie wyduszę!

Stites mruknął coś pod nosem i wypiął swój magazynek. Ledwie to zrobił, też trochę pobladł. Potem zaczął przetrząsać kieszenie.

- Jezu! Ja też nic już nie mam!

Silva milczał przez chwilę, myśląc o długiej drodze, którą musieli przebyć, wracając do rafinerii, gdzie czekała na nich łódź. Nagle się uśmiechnął.

- Hej, panie Bradford!

Courtney przerwał oględziny i spojrzał pytająco na mata. Miał dziś wiele powodów, żeby zachowywać się wobec niego bardzo uprzejmie. W końcu nie tylko zobaczył żywego drapieżnika z bliska, ale i przeżył to spotkanie. Silva miał nadzieję, że Australijczyk udobrucha kapitana i jakoś uda się z tego wykaraskać. - Panu zostało pewnie jeszcze sporo pocisków?

Bradford trochę nieśmiało zważył swojego kraga w dłoni.

- Istotnie - stwierdził. - Jestem pewien, że wystrzeliłem kilka razy pod koniec, ale jakimś cudem wciąż mam sporo amunicji. Dziwne.

- Pewnie miał pan zapasowe i załadował je, nawet o tym nie myśląc. Ale teraz jest pan chyba bardzo zajęty. Może wezmę od pana ten ciężki karabin?

Bradford uśmiechnął się niepewnie.

- Och, dziękuję... ale nie chciałbym pana fatygować. Tyle mogę unieść. Chociaż... ten rzemień jest bardzo niewygodny i już otarł mi ramię...

Silva rzucił swoją broń zdumionemu Stitesowi i pochylił się, żeby wziąć karabin Bradforda.

- Dla mnie to żaden kłopot!

ROZDZIAŁ 2

Mimo wczesnej pory deszcz lał już jak z cebra, gdy zaczęli szykować okręt do wypłynięcia. Kapitan Reddy czekał w sterówce, aż Spanky zamelduje o gotowości maszynowni. Strugi wody zalewały pokład dziobowy, spływając po świeżo pomalowanej stali za burtę. Za plecami miał zreperowany już nawiewnik, który ożył w pewnej chwili szumem wentylatora. Dla Matta był to uspokajający odgłos, zapowiedź rejsu, na który czekał od dłuższego czasu. Towarzyszyła mu znajoma aktywność na pokładzie, ze znanymi na pamięć rozkazami i gwizdkiem bosmana włącznie. Wreszcie wypływali. Przygotowania do wyprawy trwały niepokojąco długo, tak że teraz cieszył się, że znowu znajdzie się na morzu na pokładzie w pełni sprawnego okrętu, ale z drugiej strony obawiał się opuszczać Baalkpan.

- Maszynownia melduje gotowość - oznajmił wachtowy Fred Reynolds.

- Bardzo dobrze. Rzucić cumę rufową - rozkazał Matt i spojrzał na stojącego w helmie mata Normana Karasa. - Ster cała w lewo. Lewa maszyna jedna trzecia naprzód.

- Aye. Ster cała w lewo, lewa maszyna jedna trzecia naprzód.

Za rufą niszczyciela zagotowała się woda i klinowaty koniec okrętu odsunął się powoli od nabrzeża. Matt wyszedł na zalane deszczem lewe skrzydło mostka i spojrzał do tyłu, Woda natychmiast przemoczyła mu czapkę i włosy.

- Ster prosto! - zawołał, gdy rufa była już dość daleko. - Rzucić cumę dziobową! - Rozkazy zostały szybko przekazane dalej i równie mokra mieszana załoga pokładowa zajęła się ciężką liną. - Obie maszyny powoli wstecz. - Kapitan wszedł pod zadaszenie i wytarł twarz oraz włosy ręcznikiem. Mimo podłej pogody na nabrzeżu było wręcz tłoczno, ale całe miasto wiązało z tą wyprawą wielkie nadzieje.

Jedna osoba, chociaż niewysoka i ledwie widoczna przez deszcz między mokrymi lemurami, szczególnie zwracała jego uwagę. Piaskowe włosy przyłgnęły jej kosmykami do skóry, gdy niepewnie uniosła rękę. Niebawem wrócimy, powiedział bezgłośnie Matt, wiedząc, że ona go nie może widzieć. Pomachał żegnającym okręt, a jej w szczególności.

- Niebawem wrócimy - powtórzył głośno.

- Sir? - spytał Reynolds.

- Nic. Ster prawo, obie maszyny jedna trzecia naprzód.

- Ster prawo, obie jedna trzecia naprzód - powtórzył Karas. - Zalecany kurs dwa

siedem pięć.

- Zastosować. Reynolds, złap drużynę pokładową i przekaz, żeby bosman i jego zastępca zameldowali się na mostku. Spanky też.

- Aye, aye, kapitanie.

Moknąca na starym nabrzeżu Sandra Tucker wiedziała, że odmalowany jasnoszarą farbą niszczyciel nie jest tak sprawny jak kiedyś. Odprowadzała jego sylwetkę spojrzeniem, aż skrył się za zasłoną deszczu. Coś ją ścisnęło w gardle. Mimowolnie zastanowiła się, czy zobaczy jeszcze kiedyś ten okręt. I Matta. Zmówiła szybko krótką modlitwę za okręt i całą załogę, a w szczególności za jedną osobę. Potem westchnęła i wtopiła się w tłum, żeby wrócić przez mokry mimo płóciennych zadaszeń bazar do szpitala. Nadal miała tam co robić.

*

Porucznik Larry Dowden, pierwszy oficer na *Walkerze*, dotarł na mostek przed innymi. Woda spływała mu z daszka czapki. Pochodzący z Tennessee Dowden był średniego wzrostu i raczej szczupły, ale zabrał się do nowych obowiązków z olbrzymią energią i profesjonalizmem. Rzucając mu ręcznik, Matt po raz kolejny pomyślał, że dobrze dobrał następcę porucznika Ellisa. Chwilę potem na górze pojawił się bosman Fitzhugh Gray.

- Dobry, skipper - powiedział, ale nie zasalutował z przyczyn formalnych. Skoro wszedł pod dach, który chronił go przed deszczem, nie był już pod gołym niebem.

Gray zbliżał się do sześćdziesiątki, ale był zbudowany jak niedźwiedź. Zapamiętał się trochę w chińskich czasach, już jednak wrócił do formy. Odkąd przeszli przez szkwał, musiał się nieźle uwijać, co bardzo mu w tym pomogło. Zawsze był bardzo praktyczny, dzięki czemu świetnie się sprawdzał w roli najstarszego podoficera na okręcie. W odróżnieniu od innych noszących takie same epolety, którzy nie dorastali umiejętnościami do swojej rangi, on potrafił znacznie więcej, niż wymagało zajmowane przezeń stanowisko. Podobnie jak Spanky, który był niezrównany, gdy chodziło o mechanizmy, Gray był niekwestionowanym autorytetem moralnym. Jeśli orzekał, że coś jest właściwe albo nie, nikt tego nie kwestionował. Miejscowi też szybko go docenili.

- Dobry, bosmanie.

- Po drodze spotkałem Juana - powiedział Gray. - Twierdził, że zaraz tu będzie. - Bosman miał na myśli Juana Marcosa, filipińskiego pomocnika z mesy, który został osobistym kawowym kapitanem. Nikt go nigdy nie wyznaczał na to stanowisko, samo tak wyszło. Głównie za sprawą starań samego Juana. - Przyniesie kawę - dodał Gray tonem nieobrazliwego ostrzeżenia. W jego wypadku było to spore osiągnięcie.

Matt skrzywił się. Kawa nie lubiła Juana i zawsze tak było. Jakimś cudem nie udawało

mu się spaskudzić doszczętnie tego surogatu, który ją tutaj zastępował, ale ten napój z natury ledwie nadawał się do spożycia.

- Może... - zaczął Matt, gdy wszedł Juan.

Zjawił się radosny i równie mokry jak wszyscy. Niósł tacę z kubkami i srebrnym dzbankiem. Na ramieniu trzymał ręcznik.

- Dzień dobry, kapitanie! Mam nadzieję, że dobrze pan spał? To mnie cieszy. Oto pańska kawa!

- Tak, dziękuję, Juan. - Matt wziął kubek i spojrzał na Graya. - Bosmanowi też proszę nalać.

- Och nie, skipper. Już wypilem...

Matt uniósł brwi.

- Żadne takie, bosmanie. Nalegam. Skoro pamiętał pan, by poinformować Juana, że czekam na poranną kawę, zyskał pan prawo do poczęstunku. - Spojrzał na Dowdena. - A ty jak, Larry? Nie? Dobrze, może później.

Juan radośnie napełnił dwa kubki i zostawił tacę na skraju stołu nakresowego.

- Gdy się skończy, przyniosę więcej - zapowiedział.

- Dziękuję, Juan - rzekł Matt. - Bardzo o mnie dbasz.

Filipińczyk uśmiechnął się jeszcze szerzej, skłonił się i zniknął.

- Drań powinien pracować w hotelarstwie - mruknął Gray, podejrzliwie zaglądając do kubka. - Mało kto by narzekał, póki nie daliby mu parzyć kawy.

Matt westchnął.

- Pewnie tak. Ale od kiedy dostałem awans na dowódcę sprzymierzonych sił, traktuje mnie jak MacArthura. Dziwne to i trochę krępujące. - Nie czuł się dobrze z nowym tytułem i wszystkim, co się z nim wiązało. Przynajmniej w oczach Juana. Z drugiej strony była to robota, której nie mógł uniknąć. Cokolwiek o tym myślał, ludzie mu zaufali i musiał się wywiązać. Przelotnie zastanowił się, co powiedziałby teraz o nim admirał Tommy Hart. Gdyby mógł go zobaczyć, naturalnie. Albo i sam generał MacArthur.

- Trudno się powstrzymać od tego porównania - powiedział Gray, kiwając głową. - Teraz zależy od pana pewnie jeszcze więcej niż od niego. Od każdego pańskiego słowa zależy tyle, że hej. I tyle się dzieje! - Matt zaśmiał się. - Tu same nieszczęścia, tam walka na białą broń, gdzie indziej wielkie działa... I ciągle coś dybie na nasze życie. Nie ma lekko. - Matt śmiał się już głośno. Potem uniósł dłoń, żeby bosman dał sobie spokój, ale Gray nie umilkł. - Tak, teraz widzę to jasno. Naprawdę trudno zapomnieć o tym armijnym idiocie, który pozwolił, żeby Japońcy zniszczyli całe nasze lotnictwo na ziemi. Oto jest prawdziwa

przygoda i podnieta! Honor i chwała marynarki wojennej! Dla nich właśnie się zaciągnąłem.

- Dobrze, starczy - powiedział Matt wciąż się uśmiechając. Gray nigdy nie krył się ze swoją opinią na temat MacArthura i jego talentów dowódczych. - Chyba wszyscy zasłużyliśmy na odrobinę wypoczynku. Może ta wyprawa będzie po temu dobrą okazją.

- Wypoczynku? - spytał bosman. - Niech pan nie żartuje, skipper. Od lat lepiej się nie czułem. - Zamyślił się na chwilę. - W Chinach i na Filipinach po prostu wykonywałem swoją robotę i tyle. Poza tym piło się w San Miguel, prało pyski po knajpach i obrastało sadłem. Ale to nie było prawdziwe pływanie. Stary *Walker* to mój dom, jednak tam nic nie mogłem dla niego zrobić. Jakkolwiek bym się starał, nic nie znaczył przeciwko Japońcom. Był tak samo stary i zużyty jak ja - dodał z westchnieniem. - A potem Japońce wyrzucili nas z Filipin i pogonili z Morza Jawajskiego. Przepraszam za gorzkie słowa, ale wtedy nikt z nas nie był zdolny do niczego więcej poza ucieczką. Miał pan rację. Nawet gdybyśmy wrócili cało, *Walker* spędziłby wojnę, holując cele dla innych. Albo i sam zostałby celem. Większość jego załogi też nie nadawała się na prawdziwych marynarzy. Tyle że po tej ostatniej walce z *Amagim*, zanim wciągnął nas szkwał, to wszystko nie ma już znaczenia.

Bosman skrzywił się ze złością.

- Nienawidzę Japońców za to, co nam zrobili, i mam nadzieję, że nasi dokopią im w tamtym świecie. My jednak nie bylibyśmy w tym wielką pomocą. Nasza obecność nic by nie zmieniła. Tutaj, w walce z tymi cholernymi grikami, zrobimy bardzo wiele. Może z Bożą pomocą nasz okręt odegra naprawdę ważną rolę.

- Z pomocą Boga, Spanky'ego i MacFarlane'a - zgodził się cicho Matt, wspominając o oficerze maszynowym, który jeszcze nie przyszedł. Niewysoki inżynier dokonywał prawdziwych cudów, sprawiając, że poobijany niszczyciel nie tylko unosił się na wodzie, ale jeszcze płynął przed siebie. Trzy czynne kotły okrętu były zapewne w lepszym stanie niż kiedykolwiek za czasów azjatyckiej służby. MacFarlane miał też swój udział w rewolucji przemysłowej, która ogarnęła Baalkpan. Miejscowi już wcześniej mieli hutę i potrafili odlewać kotwice oraz inne elementy wyposażenia pływających domów, jednak przybysze nauczyli ich produkować także działa oraz wiele różnych, obecnie bardzo potrzebnych rzeczy. Pokładowe warsztaty odegrały w tym niepoślednią rolę, przygotowując części do montowanych na łodzi urządzeń, jak chociażby obrabiarki. Nie umieli jeszcze produkować łożysk czy przekładni, które zużywały się na okrętach w zastraszającym tempie, ale pilnie nad tym pracowali.

- Tak, sir - zgodził się Gray. - Proszę mu tego nie powtarzać, ale moim zdaniem Spanky jest wspaniąły w tym, co robi. I nie tylko on.

- Co? - spytał MacFarlane, który wdrapał się właśnie na górę. Cały mokry, oczywiście. Wsparł ręce na biodrach i spojrzał na bosmana.

- Nic - mruknął Gray. - Zastanawiałem się tylko, kto umocuje ten bajzel, który złożyliście na moim pokładzie. - Miał na myśli przytarganą z dżungli wiertnię.

- Tvoi - rzucił radośnie Spanky. - To dla nich robota.

Walker minął pływający dom idący równoległym kursem ku wejściu do zatoki. To *Aracca* szła zmienić *Salisę* na patrolu baterii pływających, które ochraniały miasto. Morski lud nie cierpiał tej służby, ale wiedział, że jest konieczna. Olbrzymie żaglowce dorównywały rozmiarami lotniskowcom typu „Essex”, które Matt widział w Stanach w początkowym stadium budowy, tyle że były całe z drewna. Płaskodenne kadłuby miały jednakowej budowy rufę i dziób, wielowarstwowe burty miejscami były grube na sześć stóp. Matt uważał pływające domy za arcydzieła sztuki skutniczej i wiedział, że są niewiarygodnie wytrzymałe. Długa na 1009 stóp i szeroka do 200 stóp *Aracca* miała przed sobą jeszcze parę stuleci żeglugi po morzach, które były o wiele groźniejsze niż te znane z ludzkiego świata. Nie była jednak, oczywiście, odporna na ostrzał z wielkich dział okrętowych... Mimo deszczu widać było na jej pokładzie postaci zajęte porannymi obowiązkami. Niektórzy przygotowywali do suszenia ryby z nocnego połowu, inni pracowali w rozmieszczonych wzdłuż burt ogrodach. Główny pokład znajdował się sto stóp nad poziomem morza, wyżej wyrastały trzy przypominające pagody konstrukcje mieszkalne. Nad nimi wznosiły się trójnożne maszty sięgające dwustu pięćdziesięciu stóp ponad pokład. Na nich mocowano wielkie żagle, zwane przez miejscowych skrzydłami, będące głównym źródłem napędu jednostek. Do manewrów w portach służyła ponad setka długich wiosł wysuwanych z ambrazur w dolnej części burt.

Matt niezmiennie podziwiał pływające domy i geniusz ich budowniczych. Kotowaci mogli być mniej zaawansowani technologicznie od ludzi, ale szybko i chętnie się uczyli. *Walker* pozdrowił *Araccę* syreną i kapitan Reddy wyszedł wraz z oficerami na skrzydło mostka, żeby pomachać przyjaciołom. Kilka chwil później wielki żaglowiec został w tyle, za zasłoną deszczu.

- Już chciałbym wracać - powiedział ze smutkiem Matt.

- Wypływamy z opóźnieniem - zauważył Dowden i spojrzał przepraszająco na Spanky'ego. - Bez obrazy. Wiem, że robiliście co w waszej mocy. Po prostu...

- Wiem - jęknął Spanky. - Według pierwotnego planu powinniśmy być już w drodze powrotnej. Ale co rusz wynikało coś nowego... Łatwiej by poszło, gdybyśmy mieli suchy dok. Podwodna część okrętu wymaga porządnego remontu i bez doku nigdy nie zrobimy tego porządnie.

- Wszystko w swoim czasie - powiedział kapitan. - Obecnie priorytet mają nowe jednostki, a ciągle brakuje nam ludzi do pracy. I czasu... - Pokręcił głową. - Ale nie ma co dywagować. To była świetna robota, Spanky. Wszyscy się sprawiliście. Chciałbym tylko wiedzieć, czy kotły wytrzymają prędkość wyższą od marszowej. I czy mamy dość paliwa. Chciałbym trochę skrócić ten rejs.

Spanky zdjął czapkę i podrapał się po głowie.

- Teraz płyniemy na dwóch kotłach, dwójce i trójce. Przy dwudziestu węzłach nasz zasięg wynosił nominalnie około dwóch i pół tysiąca mil, ale to już przeszłość. Nie mogę nawet zagwarantować, że zawsze utrzymany dwadzieścia węzłów na dwóch kotłach. Jeśli rozpalimy czwórkę, zużycie paliwa wzrośnie o połowę w zamian za kilka węzłów więcej. Nowy zbiornik bunkrowy urządzony w miejscu, gdzie był kocioł numer jeden, daje nam pewną rezerwę bezpieczeństwa, ale tylko tyle. Jak długo nowy odwiert na Tarakanie nie będzie gotowy, jesteśmy uwiązani do Baalkpanu. - Wzruszył ramionami. - Ale jeśli pan mnie pyta, powiedziałbym, że możemy rozpalić czwórkę. Wyciągniemy wtedy dwadzieścia pięć, może dwadzieścia osiem węzłów i zostanie nam jeszcze rezerwa. Tyle że niewiele sobie na miejscu popływamy. Myślę o poszukiwaniach tej „żelaznej ryby”, o której nam doniesiono. Jeśli teraz rozpalimy czwórkę, potem możemy tego żałować.

- Trudno - powiedział Matt i skrzywił się lekko. - Poczekajmy, aż wyjdziemy na otwarte morze. Zobaczymy, ile wyciągnie. Może i dwadzieścia. Jeśli jednak nie, to uruchomiłbym ten kocioł. Coś mi podpowiada, że powinniśmy uwinąć się z tym wszystkim jak najprędzej.

- Ale... przecież i tak wrócimy sporo przed nadejściem posiłków? - powiedział Dowden. - Jaka to więc różnica?

- Może żadna. Będziemy w kontakcie radiowym i powinniśmy się w porę dowiedzieć, gdyby grikowie albo Japońce się ruszyli. W razie potrzeby możemy zacząć oszczędzać paliwo w drodze powrotnej.

- Co pana niepokoi? *Amagi*? - spytał Gray.

Matt skinął głową.

- Tak. Teoretycznie nie powinien być gotowy do wypłynięcia wcześniej niż za kilka miesięcy. Oni też nie mają suchego doku, a krążownik został uszkodzony głównie w części podwodnej. Chociaż najlepiej by było, gdyby w ogóle tu nie trafił. - Przerwał, zastanawiając się nad własnymi słowami, ale słuchacze wiedzieli, co miał na myśli. - Nie cierpię działać na oślep. Znowu mamy wojnę po dawnemu. Bez cataliny nie wiem, co nieprzyjaciel zamierza ani jakie ma możliwości.

Deszcz zaczął słabnąć. Przed nimi otwierało się wyjście z zatoki, w którym rysowała się sylwetka pływającego domu.

- Sygnał z *Salissy* - obwieścił wachtowy, odbierając wiadomość od lemura siedzącego w bocianim gnieździe. Wszystkie jednostki sojuszu zostały wyposażone albo we flagi sygnałowe, albo w semaforey. - Keje chce nam jednak towarzyszyć. Prosi, żebyśmy zwolnili, dając mu sposobność przesiadki.

Matt zaśmiał się z ulgą. Miał nadzieję, że przyjaciel zmieni zdanie i jednak popłynie.

- Powiedz mu, że nie możemy zwolnić, ale przejdziemy przy ich burcie i niech skacze na pokład.

- Sir?

Inni też się zaśmiali.

- Nic takiego. Odpowiedz, że oczywiście i że witamy.

*

Sandra skierowała się od razu do zadaszonej, ale poza tym otwartej części szpitala, oddzielonej od reszty kompleksu medycznego tapiseriami w jasnych, wesołych kolorach. Był to oddział psychiatryczny. Wiedziała, że tutaj właśnie pracuje Selassa, córka Kejego, i chciała z nią porozmawiać. Były obecnie przyjaciółkami. Samolubna i zepsuta Selassa bardzo się zmieniła w ostatnich miesiącach. Pracę w szpitalu traktowała nadzwyczaj poważnie i naprawdę starała się pomagać pacjentom. Przejmowała się ich losem. Większość lemurów, z wyjątkiem mieszkańców Aryaalu i B'mbaado, nie znała wcześniej wojny. Owszem, ciesząc się pokojem, byli gotowi bronić swoich domów i rodzin, ale nie byli przygotowani na te wszystkie okropności, które przyszło im ujrzyć. Wielu pacjentów odniosło poważne obrażenia i trzeba było pomóc im żyć z ich skutkami. Inni utracili dawny spokój ducha. W najgorszym stanie była nieliczna i coraz mniejsza grupka uwolniona z ładowni statku grików, który potem został przejęty jako *Zemsta* i zatonął w nierównej walce. Dzięki nim zrozumiano w końcu, jak strasznymi przeciwnikami są jaszczury, traktujące każdego, kto nie jest z nimi sprzymierzony, jedynie jako pokarm. Nielicznych jeńców, których wzięli, trzymali jako zapas prowiantu. Ocaleni widzieli nie raz, jak grikowie zabijali i oprawiali ich towarzyszy i krewnych. Jednym ze świadków tych przerażających scen był Saak-Fas, oficjalny partner Selassy.

Gdy utracił przytomność na skutek uderzenia, został zaciągnięty na statek grików. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Nie znaleziono jego ciała po bitwie i uznano, że zginął i wypadł za burtę, tak jak wielu innych. Stało się jednak inaczej. Kilka miesięcy siedział najpierw w ładowni jednego statku, potem drugiego i to, co widział, przywiodło go do szaleństwa. Tymczasem Selassa, która uświadomiła sobie, że źle wybrała partnera, obdarzyła

uczuciem Chacka, którego niegdyś odrzuciła. Wcześniej nie zwracała na niego uwagi, potem jednak, gdy młodzieniec został kimś znanym i cenionym, chciała się z nim związać. Gdy mu to zaproponowała, obiecał, że da odpowiedź po kolejnej bitwie, z której jednak wrócił z jej zaginionym partnerem. Sandra szczerze współczuła Selassie tej sytuacji, zwłaszcza że Chack zaczął się skłaniać ku królowej B'mbaado, czarnofutrej piękności o egzotycznej urodzie. Mimo to Selassa wciąż go kochała. Tyle że jak długo jej dawny kochanek żył, nie mogła go zostawić, chociaż nie był już sobą. - Do tego wszystkiego dochodziło jeszcze gryzące poczucie winy... Sprawę utrudniało także to, że Saak nie chciał z nią rozmawiać. Z nikim nie rozmawiał. Fizycznie jego stan poprawił się zdecydowanie dzięki ćwiczeniom, ale żadne starania nie zdołały zmienić jego nastawienia. Sandra powątpiewała, żeby wiedział cokolwiek o rozterkach Selassy, zapewne nie dlatego więc milczał. Tak samo zachowywał się podczas wizyt dawnych towarzyszy z *Salissy*. Jakby w ogóle go nie interesowało, co się dzieje na pokładzie jego pływającego domu. Nie zwracał uwagi na wiadomości o wojnie ani na tych, którzy przeszli to samo piekło co on. Co gorsza, nie zwracał też uwagi na Selasę, która starała się spędzać z nim każdą wolną chwilę.

Sandra skinęła głową i uśmiechnęła się do Pam Cross, która oprowadzała grupkę chętnych do pracy w szpitalu. Pam miała własne sprawy, które bardzo ją angażowały. Nie było tajemnicą, że łączyło ją coś z Denitem Silvą, chociaż nikt nie wiedział dokładnie, jak im się układa. Równie niewiele wiadano, co właściwie działo się wcześniej między Silvą a Risą, siostrą Chacka. Sandra miała nadzieję, że tamten związek był tylko żartem, lecz w wypadku rosłego mata trudno było o pewność. Ale Pam chyba wiedziała...? Pani porucznik pokręciła głową i podeszła do Selassy, która obserwowała Saaka wykonującego nie kończącą się serię pompek.

- Dzień dobry - powiedziała do dziewczyny, czując, że sytuacja nie poprawiła się ani trochę.

Selassa nie odpowiedziała od razu. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami i przyglądała się ćwiczącemu jak maszyna partnerowi.

- Dzień dobry - odezwała się w końcu i westchnęła ciężko. - Wypłynęli? - spytała, mając na myśli *Walkera*, zwłaszcza zaś Chacka i Matta. Chack wyruszył jako dowódca 1. batalionu piechoty morskiej.

- Tak.

Przez chwilę obie milczały i słychać było tylko ciężki oddech Saaka, deszcz bębniący w płótno nad ich głowami i pojękiwania innych pacjentów.

- Przemówił - oznajmiła Selassa.

- To wspaniale - odparła Sandra z uśmiechem. Może w końcu coś się między nimi poprawi. - Co powiedział?

- Nie mówił do mnie - stwierdziła z goryczą dziewczyna. - Oznajmił tylko, co postanowił, i chyba było mu wszystko jedno, kto go słucha. Tak jakbym była... kimś obcym.

Przez chwilę Sandra nie wiedziała, co powiedzieć. Zachowanie Saaka wydało się jej perfidnie okrutne.

- I co... oznajmił?

- Opuszcza oddział. Jest już zdrowy, silny i gotowy wypełnić swoje misje.

- Misje? - spytała zdumiona Sandra.

- Tak. W niewoli poprzysiągł sobie coś podobnego jak Adar. Że jeśli jakimś cudem przeżyje, nie spocznie, póki nie uśmierci tylu grików, ilu tylko zdoła. Nie pozwoli, żeby cokolwiek mu w tym przeszkodziło. Wszystko inne będzie nieważne. Nawet ja. Nie uznaje już żadnych zobowiązań, także wobec swojego pływającego domu. Uznał, że najlepiej zrobi, wstępując do marynarki wojennej Amer-i-kanów. Że tam najprędzej wypełni swoje misje. - Selassa spojrzała na Sandrę. - Chce zostać członkiem załogi *Mahana*.

- A jeśli go nie wypiszemy? Tak naprawdę wciąż nie jest zdrowy. Stan jego umysłu...

- Nie wypiszemy? - przerwała jej dziewczyna i ogarnęła oddział spojrzeniem. - A jak zdołamy go zatrzymać? Nie możemy postawić przy nim strażnika. Za mało ich mamy. Poza tym uważam, że to byłby błąd. On wie, co robi i dlaczego. To dla mnie bolesne, ale... chyba go rozumiem.

Sandra zacisnęła zęby.

- Dobrze, ale cokolwiek nim kieruje, ostatnie słowo będzie zapewne należało do porucznika Ellisa. Saak może się stąd wymknąć, ale nie zdoła zakraść się na pokład *Mahana* i pozostać tam, jeśli nie będą go chcieli. Porozmawiam z Jimem.

Selassa wstała i spojrzała Sandrze w oczy. Saak dalej ćwiczył, nie zwracając na nie najmniejszej uwagi.

- Proszę, nie. On musi. Ja już go straciłam przez to, co mu zrobili, i przez jego ślubowanie. On żyje tylko dla zemsty i nawet jeśli kiedyś byłam dla niego ważna, nie mogę mu stanąć na drodze. Musi wypełnić swoje misje. Tylko w tym można mu pomóc.

Sandra wolno pokiwała głową i łyzy wezbrały jej w oczach.

- Dobrze. Ale mówisz o misjach. Jaka jest ta druga i dlaczego *Mahan*?

Selassa westchnęła i odwróciła spojrzenie.

- Chce na *Mahana*, bo wierzy, że gdy przyjdzie do walki, tam najprędzej dokona tego, co postanowił. Zabije jak najwięcej wrogów i... zginie.

*

Kolejny ranek był kontrastowo odmienny od poprzedniego, co na tych szerokościach zdarzało się dość często. Niebo wyblękitniało i zabrakło nawet zwykłej porannej mgiełki. Morze po prawej burcie mieniło się odcieniami fioletu naznaczonego białymi punktami załamujących się fal. Po lewej przesuwało się zielone wybrzeże Borneo otoczone kremowozielonymi pasmami płycizn. Miejscowe „ryby” towarzyszyły okrętowi, całkiem jak delfiny wyskakując co chwila z wody i bez trudu utrzymując stałą prędkość. Bliżej brzegu polatywały barwne gady próbujące szczęścia w polowaniu na narybek. Wiedziały, że takie łowy mają sens tylko rano i wieczorem, kiedy wodne drapieżniki gromadzą się w płytkiej wodzie. Poza nimi kręciły się tam jednak i inne stworzenia, przez co nurkujący kształt nikał niekiedy bezpowrotnie pod falami. Spanky McFarlane aż wzdrygnął się na ten widok. Nie cierpiał srebrzystych ryb i zastanawiał się, czy są one może zdolne do takiej współpracy, żeby wciągnąć latającego napastnika pod wodę. Wiedział, że to zdolne bydlęta. Widział, ile inwencji wykazywały za każdym razem, gdy załoga przeprowadzała jakieś naprawy podwodnej części okrętu. Szczęśliwie nikogo przy tym nie stracili, ale wielu odniosło rany, głównie od ciosów kościanych łbów usiłujących przebić się przez brezent. Suchy dok był naprawdę potrzebny.

Spanky sięgnął do kieszeni po garść żółtobrazowych liści, które wpakował zaraz do ust i zaczął przeżuwać. Najpierw się skrzywił, czując tylko goryczkę, ale gdy zeszła z nich wierzchnia, woskowa warstwa, pojawił się smak prawdziwego tytoniu. Zdaniem załogi to naprawdę był tytoń, chociaż może nie najprzedniejszej jakości. Ziele zawierało dość nikotyny, żeby wszyscy byli usatysfakcjonowani. Obecnie używali go także kotowaci, którym wcześniej takie nałogi były obce. Jedynym minusem roślinki było to, że nie dawało się jej palić. Ktokolwiek próbował, szybko puszczał monstrualnego pawia. Może wiązało się to z dziwnym woskiem pokrywającym liście. Mieli nadzieję, że pewnego dnia uda się rozwiązać ten problem, ale na razie żucie było lepsze niż nic.

Spanky stanął obok szafki na warzywa przy pustej podstawie lewoburtowej wyrzutni torped numer dwa. Za sobą miał trzeci komin niszczyciela. Wsłuchiwał się w odgłosy okrętu tak samo, jak robił to kiedyś. Czasem przesuwał się kilka kroków w jedną lub w drugą stronę, żeby lepiej się wsłuchać. Teraz miał trudniej, bo po wszystkich nieregularnych naprawach i przeróbkach okręt brzmiał całkiem inaczej, ale tego też można było się przecież nauczyć. Pod pokładem znajdował się w tym miejscu kocioł numer dwa, trochę dalej ku rufie zaczynała się maszynownia. Przemierzywszy całą długość niszczyciela, zamierzał się przejść w odwrotnym kierunku, tyle że pod pokładem. Uważał jednak, że szybciej usłyszy coś z góry.

Słyszał i widział też Silvę, ćwiczącego nowych artylerzystów przy dziale numer trzy na nadbudówce na śródkręciu. Lufa celowała w morze, a marynarze nieustannie ładowali i rozładowywali działo. Silva raczył ich co chwila kolejnymi wiązkami, świadczącymi o bogactwie języka mata. Ktoś patrzący na niego z boku nie poznałby, że cokolwiek się w nim zmieniło. Udział Silvy w niedawnym „safari” zakończonym upolowaniem superjaszczura sugerował, że wciąż jest w formie.

Spanky jednak wiedział swoje. Silva został wprawdzie zrugany za swoją fanfaronadę, ale tylko na pokaz, na użytek załogi. Kapitan był zadowolony, że polowanie na bestię, która zabiła Tony’ego, się powiodło. To było dobre dla morale. Spanky podejrzewał też, że kapitan świetnie wie, iż Silva i Stites mieli identyczną motywację i że nie chodziło im wcale o wygłup. To, że nie zdegradował Silvy, zdawało się to potwierdzać. Jediną karą był zakaz opuszczania okrętu w czasie tej wyprawy, co w gruncie rzeczy nie było żadną dokuczliwością. Raz, że nie byłoby gdzie się wypuścić, a dwa - wobec spodziewanych negocjacji z Manilczykami rozsądnie było nie pozwalać Silvie na poruszanie się luzem po okolicy.

Kapitana wkurzyło jednak to, że ci dwaj zabrali na polowanie Bradforda, choć i to, jak się okazało, miało dobre strony. Australijczyk, który regularnie zamęczał wszystkich, żeby dostarczali mu nowy materiał do badań, miał nową, chociaż postrzelaną trochę gadzią czaszkę, i badał ją namiętnie. Matt i jego ludzie żywili uzasadnioną nadzieję, że będą mieli od niego trochę wytchnienia.

Wysłuchawszy się w odgłosy dobiegające z tylnej maszynowni, Spanky podszedł do relingu i splunął żółtawą posoką w pianę kilwateru. Spojrzawszy raz jeszcze w pogodne niebo, zszedł pod pokład, gdzie huczały wielkie turbiny. Natychmiast też trafił na krzykliwą wymianę zdań pomiędzy nowym szefem maszynowni a jednym z miejscowych służących w piechocie morskiej.

- Co jest, u diabła?! - wykrzyknął. Mimo mikrej sylwetki i lat palenia tytoniu płuca miał zdrowe.

Laney, który był trochę pomniejszoną, mniej zdeprawowaną i nie tak łysiejącą wersją Silvy, spojrzał na niego zdumiony. Lemur stanął na baczność, z oczami skierowanymi przed siebie. Też był niski, ale muskularny. Nosił granatową spódniczkę, która stała się nieoficjalnym symbolem marines. Trzy czerwone paski na obrębienu świadczyły, że jest sierżantem. Skoro tak, musiał już brać udział w walkach. Nosił sandały z podeszwą z grubej skóry i paskami sięgającymi kolan. W czasie walki byłyby do nich zamocowane brązowe nagolenice.

- Ta cholerna małpa chce, żebym posłał ludzi do sprzątnięcia pokładu - rzucił Laney. - Jakbyśmy nie mieli dość roboty na dole! Sir! - dodał, widząc bruzdy na czole Spanky'ego.

- Mówiłem ci wieczorem, że trzeba pomóc - odwarknął Spanky. - Nasi tylko rzucili części wiertni na pokład. A połowa ludzi stamtąd nie jest nawet z załogi. To marines Chacka.

Technicznie rzecz biorąc, marines nie byli Chacka, ale służyli w 1. batalionie piechoty morskiej, uzbrojonym po części w karabiny Kraga ze zbrojowni niszczyciela. Nie mieli jeszcze wielu okazji, żeby się nimi posługiwać, ale naprawdę starali się opanować broń. Na pokładzie Chack wykorzystywał ich jako część załogi pokładowej i swoich podkomendnych, jako że powrócił akurat do pełnienia obowiązków bosmanmata i przełożonego wszystkich lemurów w załodze.

- Nie nadają się do wszystkiego - ciągnął Spanky. - Większość to mieszkańcy Baalkpanu, którzy nigdy nie pływali. Nie umieją zrobić najprostszego węzła. Ta garstka z pływających domów jest na niszczycielu tak bezradna, jakby wcześniej pływała na pancernikach czy lotniskowcach. Nie dają sobie rady przy naszym kołysaniu - dodał lekko rozbawiony. - Wiem, że chronisz swoich. Dobry przykład Donagheya wciąż działa. Ale tym razem musisz trochę ustąpić.

- Dobra, Spanky - odparł Laney, chociaż nie wyglądał na przekonanego. - Zajmiemy się tym. Ale ten rejs zaraz po naprawach to jakbyśmy znowu na próby morskie wyszli. Co chwila trzeba coś poprawiać, a na dodatek trzecia pompa wodna nie chodzi dobrze. Nie mówiąc o tym, że połowa instalacji trzyma się na łątach i kotły dają za dużo dymu.

- Wszystkie oprócz trójki - zgodził się McFarlane. - Gdy nowi palacze skończą wachtę, pošlij ich do Myszowatych. Niech sobie popatrzą. Może się czegoś nauczą.

- U tych szajbusów? - spytał z niedowierzaniem Laney. - Poza tym ten kudłaty marine chce także ich. Powiedział, że skoro zrobili pierwszy odwiert, to najlepiej będą wiedzieli, co zrobić z tymi rupieciami i które najpierw trzeba będzie posyłać na ląd.

- Tak, to oni zrobili pierwszy odwiert - twardo powiedział Spanky. - I oni znaleźli tę ropę, którą teraz spalamy. Może są szajbusami, ale to moje szajbusy. Twoje zresztą też. Do tego wszystkiego są najlepszymi palaczami na okręcie, lepiej więc okazuj im szacunek. Bardzo ich potrzebujemy. Korzystaj z tego, że są najlepsi. Nie zrobią nowym wykładu, ale mogą pokazać, jak pracować. - Spojrzał na marine. - Możesz odejść. Wyślę ludzi do pomocy.

Gdy kotowaty się oddalił, Spanky zwrócił się ponownie do Laneya.

- Robisz dobrą robotę, ale musisz poprawić swoje podejście do załogi pokładowej - powiedział. - Nieważne, ludzkiej czy kociej. Bosman już nazwał cię w mojej obecności dupkiem. Na twoim miejscu uznałbym to za ostrzeżenie. Lepiej nie mieć bosmana za wroga. -

Laney przełknął ciężko. To akurat była święta prawda. - Pokład i maszynownia zawsze rywalizowały. Ktoś specjalnie tak właśnie to wymyślił. Chodzi o zwiększenie wydajności. Nawet o budowę kontaktów międzyludzkich. No i ludzie mają o czym myśleć. Nie przesadzaj jednak. Nie ma co traktować tego zbyt poważnie. Ostatecznie wszyscy jesteśmy po tej samej stronie. Nigdy o tym nie zapominaj. - Przerwał na chwilę, by podkreślić wagę swoich słów. - I nie nazywaj więcej marines małpami. Nie lubią tego. Ja też nie. Twoi kotowaci nie będą cię szanować. Niektórzy, i to ci najlepsi, byli w piechocie morskiej, nim zostali palaczami. Zrozumiano?

- Tak - mruknął Laney.

- Dobrze. A teraz zobaczmy, co się dzieje z pompą. - Zastanowił się nad czymś. - Ilu twoich Chack chce?

- Z szczęciem.

Spanky pokiwał głową.

- Dobra, nie przerywaj sobie roboty. Sam ich wybiorę, gdy pójdę dalej.

Z tymi słowy McFarlane zostawił spoconych ludzi oraz dyszące lemury i przeszedł do przodu między przewodami ociekającymi od kondensującej się na nich pary wodnej. W maszynowni, która była równie wilgotna i hałaśliwa, wyznaczył grupę mającą pomóc Chackowi i przystanął, żeby pogadać z ludźmi czuwającymi przy zaworach podających paliwo do kotłów. Potem przeszedł przez służę do kolejnej kotłowni. Zawsze utrzymywano w nich lekkie nadciśnienie, żeby zagwarantować równy płomień na palnikach. Tutaj działa się jeszcze więcej, głównie za sprawą ekipy pracującej przy pompie wodnej. Innymi sprawami zajęto się już wcześniej. Było też jakby goręcej.

Spanky zaraz oblał się potem i otarłszy twarz, strzepnął wilgoć na poczerńiałe płyty pokładu. Na panujący tu smród składał się odór wody zęzowej i spoconych ciał, woń paliwa i dymu oraz zapach kojarzący się z psem o mokrej sierści. Łączny efekt był o wiele gorszy, niż można by oczekiwać po zwykłej sumie składowych. Spanky nie pojmował, jak kotowaci, którzy mieli znacznie bardziej wrażliwy węch, w ogóle tutaj wytrzymują i udaje im się utrzymać w żołądku śniadanie.

Kocioł numer cztery był chwilowo wygaszony, ale obsługa stała obok zziębnięta i gotowa w każdej chwili podać paliwo, gdyby tego zażądano. Spanky musiał przyznać, że to nie miejsce dla kotowatych. Inna sprawa, że gdy zaczęli przyjmować ich do załogi, nikt nawet nie myślał, żeby posyłać ich do konkretnej roboty pod pokładem. Tyle że gdy już znaleźli się na okręcie, zaraz zasypali McFarlane'a podaniami. Kotowaci uwielbiali wszelkie maszyny i nawet gorąco oraz ciasnota ich nie zrażały. Owszem, nie wszyscy dawali radę, ale ci, którzy

zostali, mieli permanentną wylinkę, przez co na niszczycielu walało się wszędzie włosie, które trudno było zebrać. Owszem, sprząтали, ale niewiele to pomagało. Kotowaci zaś cierpieli, ale twardo robili swoje. Może nie wszyscy rozumieli, co dokładnie obsługują, ale z drugiej strony nie musieli. Wystarczało, że wywiązywali się z obowiązków.

Spanky'ego traktowali przy tym jak mistrza wiedzy tajemnej. Wysłuchiwał ich raportów, tak jak od niego oczekiwano, tu postukał w zawór, tam pomacał rurę. Dla niego była to rutyna, dla lemurów zapewne coś w rodzaju aktu magicznego. Nie wychodząc z roli, powiedział kilka życziwych słów i wysłał jeszcze dwóch na górę, żeby pomogli ze sprzętem. Przez kolejną służbę przeszedł do dziobowej kotłowni. Pierwszym, co tam ujrzał, była rozkołysana para nagich i bardzo kobiecych piersi.

- Dobry Boże! - wykrzyknął, starając się nie patrzeć na porośnięty sierścią biust. - Ile razy mam ci powtarzać, żebyś chodziła ubrana? Przynajmniej wkładaj koszulę.

- Jest za gorąco! - odparła Tab-At, przez Myszowatych zwana po prostu Buras. Mimo skromnej znajomości angielskiego zaciągała podobnie jak jej bezpośredni przełożeni.

- Nie bardziej niż zwykle. Po prostu robisz mi na złość - mruknął Spanky i po prawdzie miał rację. Od początku nie podobała mu się obecność Buras w kotłowni. Było to sprzeczne zarówno z tradycją, jak i jego osobistym nastawieniem. Próbował ją wypłoszyć, nakazując całej obsadzie służbę w pełnym umundurowaniu, ale nic z tego nie wyszło. Zgodnie z ogólnymi zasadami wszyscy kotowaci płci obojga byli zobowiązani jedynie do noszenia spódniczek. Na dodatek przyjaciele wsparli pannę Buras w potrzebie, dostarczając jej spodnie ze stosownym wycięciem na ogon. Spanky przegrał.

W końcu odpuścił, czując, że nazbyt się wygłupił. Nawet kapitan - chociaż zapewne tylko z konieczności - zabrał w pewnej chwili głos, przypominając o całkowitym równouprawnieniu płci na pokładzie. Było to zgodne z podejściem lemurów, a skoro stanowili oni obecnie ponad połowę załogi niszczyciela, nie było sensu wywoływać zdrażnień. Po drugie, rozkaz o pełnym umundurowaniu dał w kość wszystkim po równi. Na dole naprawdę było zbyt gorąco, żeby się do niego stosować. Po trzecie zaś, i zapewne najdziwniejsze, Buras okazała się świetnym palaczem. Była drobna i dość bystra, żeby wykonywać większość prac sprawiających ludziom niejakie kłopoty. Po przewodach poruszała się jak małpa i mało co ją zrażało. Nie lubiła tylko sztormowej pogody, ale większość lemurów chorowała, gdy zaczynało porządnie kiwać. Poza tym jednak była nader kompetentna i, co więcej, rozumiała, na czym polega jej praca. Zapewne dlatego nie patrzyła na Spanky'ego „z dołu”. Wiele zawdzięczała pracy z Myszowatymi, w odróżnieniu od nich nie straciła jednak poczucia humoru. Osiągnęła swój cel i McFarlane nawet to szanował.

Niemniej i tak powinna nosić chociaż marynarską koszulkę.

Rozejrzał się po mrocznym pomieszczeniu i zauważył wiszącą w pobliżu takż właśnie kawałek garderoby. Musiała zdjąć go specjalnie właśnie teraz, żeby ponownie postawić na swoim. Sierść na biuście miała zdecydowanie zbyt czystą.

- Koszulka. Natychmiast.

Buras uśmiechnęła się szeroko, ściągnęła koszulkę z rur i włożyła ją przez głowę.

Spanky wypatrzył stojących za dziewczyną Myszowatych.

- Dlaczego jej na to pozwalacie? - spytał Gilberta Yagera i Isaka Reubena. -
Następnym razem zgłoszę ją do raportu.

Zdumieni mężczyźni spojrzeli po sobie.

- Na co jej pozwalamy?

Trudno byłoby opisać Myszowatych jednym zdaniem. Dziwni? - owszem, ale byłoby to zbyt ogólne. Na oko mogliby być braćmi, obaj niscy, z pociągłymi twarzami i sterczącymi nosami, co upodabniało ich do gryzoni. Nietowarzyscy, często wręcz irytujący, nie włączali się w życie pozasłużbowe na okręcie. Ignorowali nawet pokładową drużynę baseballową. Jako palacze byli świetni, ale poza tym nigdy się nie wychylali. Najchętniej w ogóle nie opuszczaliby ciasnych i gorących trzewi niszczyciela. Pozornie mało lotni i bez wyobraźni, mieli jednak sporo ukrytych talentów. Jeden z nich sprawił, że chodzili obecnie opaleni, a nie bladzi, jak zwykle ich widywano. Nie tak dawno spiekli się podczas budowy szybu wiertniczego na Baalkpanie. Sami go zaprojektowali, korzystając z doświadczenia zdobytego podczas długich lat pracy na polach naftowych. Nie cierpieli jednak tamtej roboty i w końcu uciekli w objęcia marynarki wojennej.

Pannę Buras traktowali jak maskotkę, ona zaś chodziła wszędzie za nimi jak psiak. Ponieważ była jednak znacznie bardziej inteligentna niż przeciętny *Canis familiaris*, zapewne chodziło jej o naukę. Przynajmniej z początku. Pracowała z nimi także przy odwiercie i miała obu Myszowatych za małomównych bożków mądrości. Czasem się jednak odzywali jeśli wówczas otoczenie nie rozumiało, co mają na myśli, zdaniem dziewczyny świadczyło to o tępocie otoczenia. Pewnie nigdy jej nie zaświtało, że milkliwość Myszowatych może brać się z ich nieśmiałości. Obecnie musiała dojść już niejakiemu obycia, nie miała jednak ochoty ruszać swoją drogą, żeby zrobić użytek ze zdobytej wiedzy. Trzymała z palaczami, nabierając po części ich nawyków, tyle że nie była nieśmiała. Zapewne ich lubiła, chociaż trudno było się domyślić za co. Obecne zdumienie Myszowatych nie było udawane. Naprawdę nie rozumieli, o co Spanky ich pyta. Albo całkiem ignorowali problem, albo najzwyczajniej w świecie podświadomie wyparli z pola widzenia pełne piersi kotowatej.

Gilbert spojrział na porucznika spod przymrużonych powiek i zmienił temat, co dla obu Myszowatych też było typowe.

- Będziemy montować sprzęt wiertniczy w nowym miejscu? - zapytał.

- Tak... jasne. Między innymi po to płyniemy.

Gilbert spojrział znacząco na Isaka.

- To wiemy, ale pan przyszedł nam powiedzieć, że my mamy to zrobić - rzekł oskarżycielskim tonem. - Porzucić kotły i tłuc się na brzeg, tak jak poprzednio!

- To nie jest sprawiedliwe - oznajmił Isak i uniósł opalone ramię z taką miną, jakby chciał pokazać coś szkaradnego. - Proszę spojrzeć, co słońce ze mną zrobiło! Wstąpiliśmy do marynarki, żeby spalać ropę, a nie szukać jej w ziemi.

Spanky zerknął na poobijany zegarek Myszowatego. Sam w sobie nie był pod żadnym względem niezwykły, jednak obecnie każde precyzyjne urządzenie uchodziło za skarb, zwłaszcza że miejscowi dopiero zaczęli eksperymentować z mechanicznymi czasomierzami i na razie nie osiągnęli w tej materii szczególnych sukcesów. Prace te zresztą odłożono, ponieważ dobrzy rzemieślnicy potrzebni byli do innych zadań. Niemniej zegarek Isaka działał i podpowiedział właśnie że jeśli Spanky się nie pośpieszy, grozi mu spóźnienie na zebranie w mesie.

- Życie nie jest sprawiedliwe - powiedział. - Każdy z nas dźwiga jakieś brzemię, ale i tak się staramy. Ja, na ten przykład, muszę użerać się z wami. Trudno. Chwilowo nie mamy lepszych nafciarzy niż wy i wniosek jest oczywisty. Ale nie o tym chciałem z wami rozmawiać. Trzeba, żeby któryś z was poszedł na górę i pokazał pokładowym, jak ułożyć sprzęt. Tak, żeby te elementy, które będą potrzebne pierwsze, były na wierzchu. Trochę bez sensu, bo już jutro będziemy na miejscu, ale uparli się, żeby zrobić porządek, a lepiej, żeby niczego nie spieprzyli. A co do tej drugiej sprawy... - Zamilkł i zastanowił się chwilę. - Też wolałbym, żebyście nie znikali na długo. Mamy wielu zielonych palaczy i ktoś musi ich pilnować. Może kapitan zgodzi się, żeby chociaż jeden z was został na pokładzie.

Oczekiwał odpowiedzi w rodzaju „gdzie jeden, tam i drugi”, ale doczekał się jedynie milczenia.

- Dobra, róbcie swoje - powiedział i poszedł szukać reszty obsady kotłowni. Wybrał jednego człowieka, żeby pomógł Myszowatym, i przystanął przy wielkim mosiężnym zbiorniku, który zamontowano w miejscu kotła numer jeden. Metal był chłodny. Spanky po raz nie wiadomo który odetchnął, stwierdziwszy, że panujące w pomieszczeniu gorąco zbytnio nie nagrzewa paliwa. Sam pomysł, żeby montować zbiornik w kotłowni, był ryzykowny, ale nie mieli innego wyjścia. No i sam Spanky to zaproponował. Poklepał

miedzianą gładź i wyszedł przez przednią służę.

- Dlaczego musisz zawsze machać Spanky'emu cyckami przed nosem? - spytał Gilbert, gdy McFarlane już poszedł. - Wiesz, że go to wkurza. Nie dość, że martwi się ciągle brakiem kobiet, to jeszcze to.

- Właśnie - zgodził się Isak. - Nie wszyscy w marynarce są tak taktowni jak my.

- On potrzebuje trochę rozrywki - odparła Buras. - W końcu to zrozumie.

*

Spotkanie w mesie zaczęło się od późnego śniadania. Podał je niezmiennie starający się Juan, który przygotował bufet na drewnianych stołach ustawionych po lewej stronie pomieszczenia, zajmującego całą przestrzeń między burtami okrętu. Wraz z pomocnikiem, Rayem Mertzem, stał gotowy z karafką mrożonej wody i dzbankiem kawy. Ktoś chciał jeść na siedząco, mógł zająć miejsce przy długim stole z blatem pokrytym zielonym linoleum, który w razie potrzeby służył także jako stół operacyjny. Wisząca nad nim silna lampa dawała się opuszczać tuż nad pacjenta. Teraz była podciągnięta pod sufit i wyłączona, ale i tak było dość jasno. Przez otwarte bulaje wpadały także podmuchy ciepłego wiatru.

Jedzenie wyglądało znajomo, lepiej jednak było nie pytać o jego pochodzenie. Jajecznica z paskami bekonu też smakowała jak powinna, chociaż jaja zniosły latające gady, a bekon był... z jeszcze innego źródła. Bułeczki wypiekano z miejscowej, gruboziarnistej mąki, a kto chciał, mógł jeszcze dostać soku z owoców polta. Mleka nie było, chociaż mieli coś przypominającego śmietankę, pozwalającego zabielić surogat kawy. Kotowaci byli ssakami, ale picie mleka przez dorosłych uważali za coś w rodzaju perwersji. Zapewne dlatego, że nie oswoili dotąd żadnego zwierzęcia, które mogłoby im tego mleka dostarczać.

Juan dokonywał cudów, żeby zapewnić załodze „proste” śniadania. Miejscowi zadowalali się w takich razach suchym chlebem, owocami i rybą. Juan Marcos zmienił ich przyzwyczajenia. Wielu kotowatych z piechoty morskiej polubiło nawet jaja w proszku i keczup, ale ich zapasy już się skończyły. Obecnie lodówkę zapełniały świeże jaja, których jednak nie można było przechowywać tak długo jak liofilizowanych. Pracowali nad liofilizacją żywności, zwłaszcza na potrzeby długich rejsów, na razie jednak musieli się zadowolić suszonymi rybami i owocami. Co dziwne, wciąż mieli sporo wiedeńskich parówek załadowanych na *Walkera* w Surabai. Lanier ciągle próbował doprawiać je na różne sposoby, żeby zamaskować nijaki smak, ale ludzie tak nienawidzili „austriackiego świństwa”, że nie chcieli ich tknąć niezależnie od tego, jak je uzdatniał do spożycia. Miejscowi również zaczęli je w końcu omijać, jednak kucharz nie chciał się pozbyć zapasu i powtarzał, że chowa go na czarną godzinę.

Po serdecznym powitaniu wszyscy wzięli się do jedzenia i w miesie zrobiło się cicho. Kotowaci nie zwykli toczyć ważnych rozmów podczas posiłków i Matt uważał, że to dobry zwyczaj. Wolał cieszyć się dobrym jedzeniem i rozglądać się po miesie. Na lewo od niego siedział wódz klanu *Salissy*, potężny kotowaty o rudawej sierści. Pod nieobecność Kejego dowództwo jego pływającego domu miał sprawować kuzyn wodza, Jarrik-Fas. Ponieważ na razie obowiązki *Salissy* sprowadzały się do patrolowania wejścia do zatoki, nie było to wymagające zadanie. Resztę czasu jednostka miała spędzić przy nabrzeżu wyposażeniowym. Niechętny z początku Keje zgodził się w końcu na wszystkie proponowane przez Lettsa i Bristera modyfikacje, jeśli tylko miały zwiększyć potencjał bojowy jego statku. Rzucił wszystko na jedną szalę, uznawszy pokonanie grików za bezwzględnie najważniejsze. Matta cieszyło to nie tylko ze względu na znaczenie takiej postawy dla sojuszu, ale i z czysto osobistych powodów. Polubił niedźwiedziowatego lemura i przywykł polegać na jego zdaniu oraz pomocy. Następne miejsce zajmował Adar, kapłan *Salissy*. Jedyne miejscowe duchowny, którego Matt lepiej poznał, i przyjaciel Kejego jeszcze z czasów dzieciństwa. Wraz z wycofaniem się Nagi został kapłanem wszystkich połączonych sił, zatem jego obecność podczas tej wyprawy była bardzo pożądana. Zwłaszcza wobec perspektywy negocjacji, bo także wśród mieszkańców Manili wodzowie poszczególnych plemion, czy to osiadłych, czy żeglujących, byli samodzielnymi, równymi sobie władcami. Status kapłana sprawiał, że Adar był odrobinę „równiejszy” niż wszyscy inni. Matt nie myślał tego szczególnie wykorzystywać, ale w tak niepewnej sytuacji wszystko mogło się przydać. Przede wszystkim musiał zdobyć zaufanie miejscowych i Adar zapewne najlepiej nadawał się do przekonywania, że przystąpienie do sojuszu leży w ich najlepiej pojętym interesie.

Jedynym ogniwem, które teoretycznie mogło zawieść po ich stronie, był porucznik Tamatsu Shinya. Obecnie siedział po prawej stronie Matta, zaraz za porucznikiem Dowdenem. Shinya też był oficerem marynarki wojennej i pływał na niszczycielu, tyle że jeszcze do niedawna robił to pod banderą cesarskiej Japonii. Pierwszy raz spotkali się podczas krwawej bitwy, która zakończyła się zatopieniem okrętu Shyni. Chwilami trudno było uwierzyć, że ten niski, ciemnowłosy mężczyzna o skośnych oczach stał się z czasem ich bliskim i zaufanym przyjacielem. Odnalazł swoje powołanie jako dowódca piechoty i brał udział we wszystkich walkach, jakie stoczyli razem w tym świecie. Miejscowi bardzo go szanowali i nawet amerykańscy marynarze zaczęli odnosić się do niego pozytywnie. W zasadzie bardziej przydatny byłby na lądzie, gdzie brał udział w przygotowaniu obrony Baalkpanu, jednak miał chyba ostatnio sporo do przemyślenia i trochę czasu spędzonego na morzu mogło mu pomóc uporać się z problemami.

Po prawej Japończyka siedział dowódca 2. batalionu piechoty morskiej i jeden z bosmanmatów *Walkera*, lemur Chack--Sab-At. Spośród wszystkich miejscowych, których Matt dotąd poznał, Chack był zapewne najbarwniejszą postacią. Trafił na pokład niszczyciela zaraz po nawiązaniu pierwszego kontaktu. Teoretycznie jako oficer łącznikowy, w praktyce bardziej w ramach wymiany studenckiej. Nie tylko chętnie uczył się wszystkiego, ale wykazał się też sporymi talentami dyplomatycznymi. Był to czas, gdy Amerykanie ciężko przeżywali nie tylko stratę wielu przyjaciół, ale także szok związany ze znalezieniem się w całkiem nowym świecie. Rozumieli tylko tyle, że przydarzyło im się coś strasznego, i chociaż byli dobrze uzbrojeni i wyszkoleni, czuli się bezbronni. Inaczej postrzegali ich kotowaci czy grikowie, odprawieni z kwitkiem podczas ataku na *Salissę*. Matt domyślał się, że Keje wysłał Chacka między innymi z tego powodu - nie chciał, żeby przybysze popadli w desperację. Chacka wybrał zaś, ponieważ dowiedział on właśnie, chociaż dość niespodziewanie, swojej wartości jako wojownik i wódz wierzył, że najlepiej będzie się nadawał do oceny innych wojowników. Poza tym chyba nikt z władających orężem kotowatych nie był równie przyjaźnie nastawiony do świata jak Chack.

Od początku zasypywał załogę niszczyciela pytaniami i wprawdzie nie wszyscy pojęli, że mają do czynienia z kimś równie inteligentnym jak oni sami, i traktowali go trochę jak oswojonego zwierzaka, nikt nie uznał go za wrogiego czy niebezpiecznego. Już wcześniej zdecydowani bronić kotowatych przed jaszczurami, bez wahania przystali na ich propozycję sojuszu. Rzadko zdarzało się coś podobnego między przedstawicielami różnych kultur, o różnych gatunkach nie wspominając. Matt był przekonany, że dzięki takiemu nastawieniu jego załoga podolała specyficznej służbie pełnionej w okresie przedwojennym, i chyba mało kto inny byłby zdolny do czegoś podobnego.

Walker należał wcześniej do Floty Azjatyckiej, pełniąc służbę na Dalekim Wschodzie. Jej marynarze mieli sporo okazji, żeby poznać trochę świat, ale zwykli trzymać się w swoim gronie. Gdziekolwiek płynęli, traktowali swój okręt jak dom, podobnie jak miejscowi, żyjący na pokładach ogromnych, drewnianych żaglowców. Gdy zawijali do obcych portów, schodzili na ląd spotkać znajomych i odwiedzić stare kąty, co często kończyło się nie tylko kacem, ale i bandażowaniem poobijanych łbów i nastawianiem złamanych nosów. I tak płynęło im życie. Przywykli do tego i nie oczekiwali żadnych zmian. Gdy rankiem 8 grudnia 1941 roku dowiedzieli się o japońskim ataku, nie rozumieli jeszcze, że oto ich świat zaczął się rozpadać. Najpierw musieli opuścić Filipiny, potem przyszła seria chaotycznych starć z przeważającymi siłami przeciwnika. Żałosne resztki przestarzałych okrętów Floty Azjatyckiej nie miały szansy stawić skutecznego oporu. Okręty szły na dno

jeden za drugim i oni też byli tego bliscy, gdy nagle trafili na szkwał, który przeniósł ich do tego świata.

Chack uśmierzająco wpłynął na samopoczucie załogi. On też okazał się jednostką wrażliwszą, niż z początku okazywał. Może zresztą sam jeszcze nie wiedział, co w nim drzemie. Potem jednak zdarzyło się dość, żeby zmienić go w kogoś nad wiek dorosłego. Nie był już taki beztroski i w gorącej wodzie kąpany jak kiedyś. Tak jak cała załoga, zaznał piekła wojny. Gdy przeszedł przez ogień, był już kimś innym. Twardszym. Matt dostrzegł przemianę Chacka, ale i sam doświadczył czegoś podobnego. Inna sprawa, że w tej chwili kotowaty nie wyglądał na specjalnie zranionego przez wojnę. Zaśmiewał się z czegoś, co powiedział Courtney Bradford.

Matt ugryzł kęs surogatu bekonu i przyjrzał się Australijczykowi. Tak jak wcześniej był wściekły na Silwę, że zabrał naturalistę na polowanie, tak i obecnie mocno się wahał, czy Powinien brać go na tę wyprawę. Bradford był zbyt cenny. Sam zainteresowany poczuł się oczywiście urażony, gdy tylko usłyszał o zamiarze zostawienia go w domu. Najpierw stwierdził, że „dość już cierpiał w milczeniu” i że pozbawianie go nowych możliwości badawczych jest okrucieństwem. Potem zagroził, że zastosuje strajk konsumpcyjny i będzie obżerał się tak długo, aż pęknie. Wtedy Matt uległ. Nie dlatego, żeby uwierzył w wykonalność jego planu i samobójcze skłonności Australijczyka - po prostu wiedział, że domorosły przyrodnik będzie przydatny. Był niezłym dyplomatą i mówił płynnie po łacinie, która była liturgicznym językiem kapłanów Niebios. Poza tym dobrze było mieć obok kogoś, kto patrzył na sprawy z innego niż wojskowy punktu widzenia. Sandra też to potrafiła, ale jej zabrać nie mógł. Z wielu powodów.

Skinął na Spanky'ego, który zjawił się spóźniony i usiadł, napełniwszy sobie talerz. Oficer maszynowy był spocony i brudny, lepiej więc było nie wypominać mu braku punktualności. Na pewno nie wynikła z niedbalstwa.

Matt chętnie ujrzałby przy stole jeszcze inne twarze, jednak reszta ocalałych oficerów pozostała na Baalkpanie, co pozwoliło zabrać kilka nowych osób, jak porucznik Campeti, zastępujący Grega Garretta i Pruita Barry'ego, którzy dostali dowództwo dwóch pierwszych nowych fregat. Sonny Campeti wydawał się trochę zmieszany, ale dotąd jadał zwykle z podoficerami, którzy mieli własną, mniejszą mesę. Przywyknie, pomyślał Matt. Grayowi się udało.

Bosman był jedynym podoficerem, który regularnie się tutaj pojawiał, zwłaszcza od czasu szkwału. Z drugiej strony obecnie nie był już tylko bosmanem, chociaż trudno byłoby precyzyjnie określić granice jego kompetencji. Konieczność sprawiła, że mało kto nie

otrzymał awansu, ale na co właściwie należałoby promować Graya - kogoś, komu tylko starsi oficerowie czuli się na siłach wydawać rozkazy? Formalnie nawet niektórzy kotowaci byli już wyżsi od niego rangą, ale co z tego? Pozostał więc bosmanem, chociaż w praktyce równy był Spanky'emu czy Dowdenowi i powszechnie uchodził za prawą rękę kapitana.

Gdy ludzie i lemury skończyli posiłek, Juan i Mertz zebrali talerze i chętnie dolali kawy. Kotowaci jej nie cierpieli, dostali więc wody albo soku. Na pokładzie zostało jeszcze trochę herbaty, która bardzo lemurom smakowała, chowano ją jednak na specjalne okazje.

Matt lekko postukał łyżeczką w kubek, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Na początek mam kilka dobrych wiadomości - powiedział. - Test łączności radiowej wypadł zadowolająco, a Nakja zameldował, że odbył się chrzest naszej pierwszej fregaty. Od teraz to USS *Donaghey*! - Marynarze i marines uderzyli otwartymi dłońmi w blat stołu. Nie kryli przy tym zadowolenia. Bosman Donaghey był prawdziwym bohaterem, który oddał życie, by ocalić okręt. - Wiadomo też, że następne dwie fregaty, chociaż nie zostały jeszcze zwodowane, otrzymają nazwy na cześć Ricka Tolsona i Kas-Ra-Ara. - Tym razem hałas był jeszcze większy. Rick i Kas dowodzili wspólnie *Zemstą*, która zginęła w walce z całą armadą grików. - Przykro, że nie udało nam się wziąć udziału w pierwszym chrzcie, ale powinniśmy wrócić na następne. Z tego, co wiem, *Donaghey* już za kilka dni wypłynie w pierwszy rejs. Będzie starał się uratować pozostałych jeszcze w B'mbaado poddanych królowej. - Spojrzał na Chacka, ciekaw jego reakcji. Wszyscy wiedzieli, że młodzieniec i królowa mają się ku sobie, nie było też wątpliwości, że niezależnie od ryzyka weźmie ona udział w wyprawie nowej jednostki.

- Następna sprawa. Jak wiecie, powinniśmy dotrzeć do Tarakanu jutro rano. Statek z zaopatrzeniem wypłynął tydzień przed nami, zapewne jest więc już na miejscu. Czeką nas sporo roboty, ale nie chciałbym zostawać tam dłużej, niż to konieczne. Ograniczają nas czas i zapasy paliwa, mam więc nadzieję, że wyładunek sprzętu i ludzi zamknie się w jednym dniu i będziemy mogli płynąć dalej. To dopiero początek rejsu. - Zebrani pokiwali głowami, Matt zaś spojrzał na Shinyę. - Całością operacji dowodzić będzie bosman Gray. Przy wyładunku pomoże mu Spanky, ale gdy odpłyniemy, bosman przejmie całą odpowiedzialność. Czy jednak postanowiliście już, kto będzie dowódcą oddziału ochrony?

Shinya milczał przez chwilę, spoglądając na bosmana. Domyślał się, że Matt liczy właśnie na niego, jednak spośród całej załogi Gray chyba najbardziej nienawidził Japończyków. Pod tym jednym względem zdawał się zachowywać całkiem nieracjonalnie. Shinya był przekonany, że nie chodzi o nic osobistego, skoro zdarzyło się raz, że bosman uratował mu życie w walce. Tyle że jego syn służył na pancerniku USS *Oklahoma*, który padł

ofiara japońskiego ataku w Pearl Harbor. Okręt przewrócił się do góry stępką i wbił nadbudówkami w muliste dno, więżąc w swoich trzewiach setki marynarzy, którzy nie zdążyli się nawet zorientować, co się stało z ich jednostką. Shinyi tam nie było, ale bosman nie potrafił przestać myśleć o nim jak o wrogu.

- Ja się tym zajmę - powiedział w końcu porucznik. - O ile tylko pan Gray nie ma nic przeciwko temu - dodał. Bosman tylko chrząknął. - Chack przejmie dowodzenie pozostałymi na pokładzie marines.

Matt pokiwał z namysłem głową. Wiedział o nastawieniu Graya i uważał, że najlepiej będzie zostawić obu na wyspie, żeby sami jakoś doszli do zgody. Był przekonany, że nie wpłynie to negatywnie na ich obowiązkowość. Poza tym, gdyby atmosfera naprawdę się popsowała, Tarakan leżał dość blisko Baalkpanu i bosman mógł odesłać Shinyę na statku zaopatrzeniowym.

- To załatwione - powiedział. - Pięćdziesięciu marines przyplęnęło wcześniej, my zostawimy dwudziestu. Dość, żeby poradzić sobie z każdym miejscowym zagrożeniem. Zalecam jednak jak najszybsze przygotowanie pozycji obronnych. Siedemdziesięciu marines oraz setka robotników to znacząca siła ale gdyby chociaż jeden statek grików tutaj dotarł, będzie dwa do jednego na ich korzyść. A wiemy, że patrole jaszczurów składają się zwykle z trzech jednostek.

- Oczywiście, kapitanie. Zajmę się tym w pierwszej kolejności.

- Ja też - warknął bosman.

- Oczywiście. A teraz co do pana, panie Bradford. Rozumiem, że nie ma pan nic przeciwko towarzyszeniu grupie, która uda się na ląd? Proszę tylko pamiętać, że głównym pańskim zadaniem będzie znalezienie miejsca na odwiert. Proszę więc nie zbacać z drogi, żeby przyjrzeć się jakimś szpakom i robakom, nawet gdyby były nie wiadomo jak niezwykle. Obiecuję, że będzie pan miał jeszcze dość czasu, żeby bawić się w turystę. Na razie proszę tylko wyznaczyć dobre miejsce i wracać na okręt.

- Mogę odłożyć moje badania, traktując to jako osobisty wkład w wysiłek wojenny - odparł Bradford ze smutnym uśmiechem. - Muszę jednak zaprotestować. Sam wybór miejsca wierceń nie powinien nastręczyć trudności. Tutejsze złoża zostały dobrze udokumentowane już w latach trzydziestych. Japończycy wiedzieli, co robią, tak energicznie zagarniając tę wyspę. Bez obrazy, oczywiście - dodał, zerkając na Shinyę. - Tak czy owak, gdziekolwiek zrobi się tam dziurę, ropa popłynie strumieniem i naprawdę mógłbym dostać trochę czasu na moją działalność.

- Skoro pan taki mądry, niech pan odkryje, jak usunąć grików z tego świata, a sam

będę woził pana po kres moich dni do najdalszych jego zakątków - odezwał się Keje i wszyscy, nawet Gray, zanieśli się śmiechem.

- Zatem możemy przejść do szczegółów - powiedział Matt, otwierając dyskusję.

ROZDZIAŁ 3

Nad Cieśniną Makasarską wstawał kolejny pogodny dzień. Z mostka mało co można było jeszcze dostrzec, jednak bocianie gniazdo już o pierwszym brzasku zameldowało, że w lewej ćwiartce dziobowej widać wyspę Tarakan.

Matt uniósł lornetkę. Z trudem dostrzegł na horyzoncie ciemny masyw, który rzeczywiście mógł być wyspą. Jednak światła szybko przybywało i niebawem przekonał się, że marynarz na oku miał rację.

- Chyba jesteśmy u celu - powiedział i spojrzał na Kejego, który stał obok. - Byłeś już tutaj. Czy linia brzegowa zgodna jest z rysunkami z waszych Zwojów? Ten Tarakan różni się trochę od tego, który pamiętam. - Gdy ostatnim razem *Walker* przepływał koło wyspy, działa się to w nocy, ale widać było oświetlone jasno wieże wiertnicze i rafinerie. Obecnie wszystko okrywał zwarty dywan zieleni.

Keje przyjrzał się wyspie przez lornetkę.

- Bez wątpienia - przyznał - ale nigdy nie schodziłem tu na ląd i nie mam pojęcia, czego dokładnie oczekiwać. O ile wiem, całkiem niedaleko, na stałym lądzie, jest jakieś osiedle.

Matt też o nim wiedział, ale nie przypuszczał, żeby tutejsi osiedleńcy mogli powiedzieć coś o Tarakanie. Zajmowali się głównie przybrzeżnymi i rzeczными połowami. Wyspa raczej ich nie interesowała, jako otoczona zbyt głęboką wodą, z silnymi prądami na dodatek.

- Trudno, sami sprawdzimy - powiedział Matt. - Courtney powinien być zachwycony. Poza tym, skoro to terytorium amerykańskie, chyba i tak powinniśmy to zrobić.

Już wcześniej postanowiono, że ponieważ wyspa ma się stać bazą amerykańskiej marynarki wojennej, do niej też powinna należeć. Upraszczało to też sprawy administracyjne, bo dzięki temu nie trzeba było tworzyć nowego stanowiska wielkiego wodza, a klan US Navy i tak od pewnego czasu rósł w siłę. Niektórzy członkowie sojuszu krzywili się, że to żaden klan, skoro ma kilka jednostek pływających, a teraz również kolonię lądową, ale większość rozumiała, że w czasie wojny trudno się kurczowo trzymać dawnych zwyczajów. Jeszcze inni, jak Keje czy królowa Maraan, sugerowali, żeby pójść krok dalej i przekształcić sojusz w jedno państwo. Mieli tylu chętnych do delegatury amerykańskiej marynarki wojennej w tym

świecie, że brakło dla wszystkich pokładów. Nakja pomagał jak mógł, pamiętając o tym, że Matt przekazał swój pierwszy przyz Baalkpanowi. Część przechwyconych niedawno jednostek grików trafiła w ręce Amerykanów, oni też mieli dysponować budowanymi obecnie nowymi okrętami. Połączone siły miały mieć własną flotę, wcześniej jednak należało wyszkolić kadre, co najlepiej było zrobić na amerykańskich jednostkach.

Jeden ze świeżych przyzów czekał na nich na południe od wyspy. Był to okręt zaopatrzeniowy USS *Felts*, nazwany tak na cześć mata artylerzysty Tommy'ego Feltsa, który zginął, ratując Matta, Kejego i Graya podczas bitwy o Aryaal. Oficjalnie został sklasyfikowany jako sloop, ponieważ nosił tylko dwadzieścia dział, i chociaż zbudowany przez jaszczury, był pięknym żaglowcem. Matt osłonił oczy, obserwując, jak *Felts* skręca prosto we wschodzące słońce. Intensywnie błękitne morze mieniło się jeszcze złocistym poblaskiem poranka i było trochę chłodno, chociaż za dnia miał wrócić upał, a po południu należało oczekiwać deszczu. Już teraz widać było na horyzoncie chmury otoczone mgiełką szkwału. Matt zatrzymał na nich spojrzenie, zastanawiając się, w czym odmienny od innych był ten szkwał, który przeniósł ich do tego świata. Gdyby znowu weszli w podobną zielonkawą ścianę deszczu, czy wróciliby do siebie? Pomasaował skronie. Czy naprawdę chcieliby teraz wracać?

Pokręcił głową i spojrzał ponownie na *Feltsa*. Zbudowany na wzór statków kompanii indyjskiej żaglowiec został przemalowany na czarno, z białym pasem biegnącym wzdłuż zamkniętych obecnie furt artyleryjskich. Zgodnie z rozkazem Matta wszystkie jednostki sojuszu miały być malowane wedle tego samego schematu, który tak dobrze sprawdził się w ziemskiej historii. Wyjątek uczyniono tylko dla jednostek szpiegowskich - one zachowały szkarłatną barwę grików. Matt był zadowolony ze swojego wyboru. Daleko idąca zmiana wyglądu posłużyła zdobyczym okrętom, czyniąc je bliższymi sercu. Łatwiej teraz było na nie patrzeć, pływać na nich, nadawać im dumne nazwy. Matt spostrzegł, że w ich stronę kieruje się barka z *Feltsa*, który szykował się już do kolejnego zwrotu ku niszczycielowi.

- Wolno naprzód - polecił sternikowi. - Podejźmy do niego tak, żeby go mieć od zawietrznej.

Chwilę później dał się słyszeć gwizdek bosmański i na Pokładzie pojawił się porucznik Sam Clark. Za nim wdrapał się na górę jego zastępca, Aarin-Bitaak. Clark był z załogi *Mahana* i dostał *Feltsa* ze względu na swoje doświadczenie żeglarskie, które zdobył pod okiem ojca skutnika. Matt, Keje i Dowden odwzajemnili jego salut.

- Miło was widzieć! - nieregulaminowo zawołał Clark.

Matt nie skomentował tego. Normalnie nie miał nic przeciwko swobodnym kontaktom

między oficerami, uważał jednak, że publicznie powinni trzymać fason. Z drugiej strony Clark był młody i nie przywykł jeszcze do tego, że jest oficerem. Był też zapalczywy i najchętniej poszedłby w ślady Ricka Tolsona, dostał jednak przydział na jednostkę pomocniczą. Rozumiał, że służba to służba i trzeba robić to, co jest konieczne. No i odpowiedzialnie, co oznaczało również stosowne dla dowódcy zachowanie. Matt był pewien, że Dowden albo Gray wezmą młodego oficera na bok i szepną mu kilka słów.

- Od dwóch dni pływamy tam i z powrotem - powiedział Clark. - Próbowaliśmy rzucić kotwicę, ale prądy pływowe są tu zbyt silne. Wyładunek dał nam w kość.

- Ale udało się?

- Tak, sir. Wszystko jest już na brzegu. Marines urządzili przyczółek. - Pokręcił głową.

- Muszę powiedzieć, sir, że nie chciałbym powtarzać całej tej zabawy z przewożeniem brontków.

Matt wierzył mu na słowo. Brontki były skarłalą odmianą wielkich dinozaurów, które bardzo przypominały znane ludziom z wykopalisk brontozaury. Tutaj żyły na większości lądów. Bradford sugerował, że ma to związek z różnicami ukształtowania wybrzeża, które zauważyli, porównując je ze swoimi mapami. Jego zdaniem Ziemia mogła przechodzić właśnie epokę lodowcową, co spowodowało obniżenie poziomu oceanów, które nie były tak głębokie jak „powinny”. Każdy taki proces musiał mieć globalny zasięg, możliwe więc, że inne, znacznie wcześniejsze zlodowacenie doprowadziło do łączenia wielu wysp w rozległy masyw lądowy, co tłumaczyłoby, dlaczego brontki, stworzenia raczej słabo pływające, opanowały całe archipelagi.

Udomowione zwierzaki zostały przyuczone do wykonywania prostych prac, jak poruszanie wiertła szybu naftowego. Biorąc pod uwagę, że inteligencję miały bliską krowiej, trudno było po nich oczekiwać czegoś więcej. Przetransportowanie ich na brzeg i wyładowanie musiało być nie lada zadaniem. Chociaż znacznie mniejsze od swoich pełnowymiarowych kuzynów, były dwukrotnie większe od słonia indyjskiego. Clark, chociaż niedoświadczony, wykonał jednak to zadanie, co dobrze o nim świadczyło.

- Bardzo dobrze - powiedział Matt. - Nie będziemy cię zatrzymywać, jednak potrzebna nam będzie twoja pomoc przy wyładunku tego, co przywieźliśmy.

- Aye, aye, kapitanie.

Clark miał rację co do siły pływów. Wysoka woda przyszła z gwałtownością górskiego strumienia, odpływ był równie dramatyczny. Pomiędzy nimi prądy tak miały okretem, że musieli przycumować go do drzew na brzegu, wciąż jednak mieli sporo wody pod kilem. Dopiero wtedy zaczęli wyładunek, który zabrał zresztą więcej czasu, niż Matt

oczekiwał, ale nic nie mógł na to poradzić. Motorówki i szalupy krążyły tam i z powrotem. Wykorzystywali przy tym łodzie z *Mahana*, ponieważ ich własne nie nadawały się już do użytku musieli poczekać, aż szkutnicy w Baalkpanie zbudują im nowe, wykorzystując ocalałe silniki ze starych. Cięższe elementy przierzucali na barki i tratwy, które były następnie holowane do brzegu przez brontki. Przy każdym takim manewrze okręt przechylał się znacząco na lewą burtę. Krzyki bosmana i pokrakiwanie Myszowatych gwarantowały należyty przebieg całej operacji i z nastaniem południowej wachty praca była już na ukończeniu. Matt podszedł do Bradforda, który stał na skrzydle mostka i przyglądał się wyspie przez lornetkę. Wyraźnie się niecierpliwił - chciałby już zejść na brzeg.

- Proszę wziąć Myszowatych, Silvę oraz tuzin marines i poszukać z nimi najlepszego miejsca na odwiert. Możliwie jak najszybciej. Shinya będzie zajęty ochroną, ale wysyłam też bosmana, żeby pana pilnował, proszę więc nie gonić za motylkami. Bosman będzie również dowodził całością po naszym odpłynięciu, gdyby więc zauważył pan coś ważnego, proszę go zaraz o tym zawiadomić.

- Jasne, kapitanie. Zrobię co w mojej mocy i będę słuchał bosmana jak ojca. Ale jest pan pewien, że nie powinienem zostać i pomóc? Na pewno bym się tu przydał.

- Proszę jednak pamiętać, że ta wyspa to dopiero pierwszy przystanek. Potem wypłyniemy na głęboką wodę, po której jeszcze tutaj nie żeglowaliśmy. Niech pan sobie wyobrazi te wszystkie dziwne stworzenia, które możemy napotkać. Może nawet trafi nam się gigaryba i wypróbujemy nasz sposób obrony przed jej atakiem.

- Boże! Oczywiście ma pan rację, kapitanie. Na pewno później będę bardziej potrzebny. Widok nowego lądu chyba nazbyt podziałał mi na wyobraźnię.

- Dobrze. A na razie proszę przygotować się do zejścia na ląd. - Matt uniósł ostrzegawczo palec. - I żadnych wycieczek na własną rękę!

*

- W ogóle nie wiem, co ja tutaj robię - warknął Silva. - Przecież wciąż mam zakaz opuszczania okrętu. - Wskazał na otaczającą ich zwartą dżunglę. - Czy to panu przypomina okręt - bosmanie?

Gray uchylił głowę przed gałęzią. Uwolniona przez Silvę omal nie uderzyła go w twarz.

- Na Tarakan też mi nie wygląda - odparł. - Przeplądaliśmy obok, wycofując się z Filipin. Widziałem tylko wieże wiertnicze, rafinerie i kilka palm. Jasne, nie oczekiwałem, że teraz będzie tak samo, ale nie myślałem też, że będziemy musieli przedzierać się przez taki gąszcz. - Liczna grupa ludzi i lemurów maszerowała wąską ścieżką wydeptaną przez dziką

zwierzynę. Niestety tutejsza fauna była chyba wzrostu osła, co odbijało się na wyglądzie szlaku. Kotowaci jakoś sobie radzili, ale ludzie musieli wycinać sobie przejście kordami.

- Ile jeszcze? - spytał Gray.

Bradford przystanął i spojrzął na kompas. Nie mógł oczywiście polegać na żadnych charakterystycznych punktach terenu. Wytrzeł rękawem spływający z czoła pot i westchnął.

- Nie może być daleko. Ta cholerna wyspa ma tylko dziesięć mil od krańca do krańca. Wylądowaliśmy na południowym wybrzeżu, a miejsce, którego szukamy, jest jakieś dwie mile w głąb lądu. Zasadniczo to chyba... tutaj.

Silva rozejrzał się wkoło.

- Nie moglibyśmy wypalić tego świństwa? - Był najwyższy w grupie i najbardziej się męczył podczas tej wędrówki. W pewnej chwili zaproponował przechrzczenie wyspy na Spanky, chociaż nie wyjaśnił dlaczego. Przez trzy godziny, które minęły od wyruszenia z plaży, powinni byli pokonać więcej niż dwie mile, ale kręty szlak wykluczał poruszanie się w linii prostej.

- Nasz goryl ma rację - mruknął Gray. Kopnął porastający ziemię mech. - O ile to da się spalić. Ale i tak bym spróbował. Musimy tylko poczekać na dzień z dobrym wiatrem...

- Protestuję! - wykrzyknął Bradford. - To byłoby... barbarzyństwo! Zbrodnia przeciwko przyrodzie i człowieczemu dziedzictwu. Już teraz widziałem tu kilka stworzeń, które nie występują na głównej wyspie. Może nie ma ich nigdzie indziej!

Gray westchnął.

- Niech mi pan pozwoli dokończyć... Nie chcę palić całej wyspy, ale tylko kawałek. Nie powie mi pan, że nie zdarzają się tu pożary spowodowane przez pioruny. Gdybyśmy spróbowali, to z głową. Tak, żeby nie puścić wszystkiego z dymem.

- To mogłoby mieć sens - stwierdził trochę udobruchany Bradford. - Ale musielibyście naprawdę uważać.

Silva obejrzał się na bosmana i wzniósł oczy do nieba.

- Na starym Tarakanie nie było niczego ciekawego.

- No nie... ale ten jest całkiem inny.

- Niby jak?

- Na tamtym nie miał swoich ulubionych zwierzątek - rzucił cynicznym tonem Gray. - Tutaj ma. Przepraszam, panie Bradford, ale zrobimy wszystko co konieczne, żeby wydobyć tu ropę. Nawet gdybyśmy musieli wypalić całą wyspę. Postaramy się uważać, ale służba ma swoje prawa. O potrzebach floty i naszych sojuszników nie wspominając. Daleko jeszcze?

- To chyba będzie dobre miejsce - odparł Bradford i westchnął. - Kapitan chce,

żebyśmy wrócili przed zmrokiem. - Spojrzał na zegarek, ale nie mógł odczytać godziny przez brudne szkiełko. Bezskutecznie próbował wytrzeć je równie mokrą i usmoloną koszulą.

Nagle na skraju ścieżki coś poruszyło się gwałtownie i jakiś kształt, na oko wielkości krokodyla, tyle że w pionie, rzucił się na jednego z kotowatych, złapał go za ramię i błyskawicznie wciągnął w gąszcz.

- Kurwa! - warknął Silva i rzucił się za lemurem, gdy inni cofnęli się przerażeni.

Krzyk porwanego pozwolił ustalić kierunek. Silva przyklęknął i wystrzelił w coś, co jak mu się zdawało, dostrzegł w mroku dżungli. Potem oddał jeszcze kilka strzałów i w odpowiedzi usłyszał zwierzęce skrzeczenie. Coś rzucało się wściekle w buszu. Silva zanurkował na czworakach w ciemny tunel.

- Nie stać, ruszać się! - wrzasnął bosman i przypadł do otworu. Reszta skupiła się za nim, nasłuchując kolejnych strzałów. - Silva! Jesteś tam?!

Minęła chwila, aż do ich uszu dotarł jeszcze jeden wystrzał.

- Jestem! - rozległo się słabo z gąszczy. Silva musiał chyba znacznie oddalić się od ścieżki. - Wracam z rannym, ale ktoś będzie musiał zabrać to, co upolowałem. Najlepiej kilku. Paskudne bydlę, ale chcę je sobie lepiej obejrzeć.

- Całkiem nie żyje? - spytał z niepokojem Bradford.

- Całkiem. Ale kot owszem. Przygotujcie zestaw pierwszej pomocy.

Po chwili Silva pojawił się na ścieżce, wlokąc za sobą jęczącego i zakrwawionego lemura. Ciągnął go za kark i jedną rękę, druga była wyraźnie w kiepskim stanie. Gray wyznaczył dwóch marines, żeby opatrzyli rannego, po czym zajął się Silvą.

- Co to było?

- Nie jestem pewien - wydyszał Silva. Dopiero teraz dały o sobie znać nerwy. - Tam jest bardzo ciemno. Wielkie szczęście, że nie trafiłem naszego. To bydlę odciągało go inną ścieżką. Wyglądało na miniaturowego superjaszczura.

- Metoda ataku podobna - zgodził się Bradford. - Ale rozmiar...

Dali spokój spekulacjom, wiedząc, że zaraz i tak zobaczą zwierzę na własne oczy. Kilku marines zanurkowało już w tunel. Niebawem dało się słyszeć zbiorowe, przetykane przekleństwami dyszenie. Cokolwiek ciągnęli, musiało być bardzo ciężkie.

- Niech mnie! - wykrzyknął Australijczyk, gdy martwe stworzenie znalazło się na ścieżce.

Marines cofnęli się i zaczęli energicznie wycierać dłonie porostami. - Tylko tego nam brakowało - mruknął Isak w imieniu Myszowatych, odzywając się po raz pierwszy, odkąd wylądowali. Razem z Buras przetrawiali ponurą perspektywę rozdzielenia się, tak żeby jeden

pozostał na tej paskudnej wyspie.

Leżące w krwawym błocie zwierzę nie przypominało żadnego, które dotąd spotkali. Owszem, zdradzało podobieństwa do wielu innych, ale jako całość było czymś nowym. Porównanie go przez Silwę do superjaszczura nie było bezpodstawne. Ten drapieżnik też miał długi ogon, krokodylą skórę i ogólnie podobną postawę. Tyle że w proporcji do reszty ciała głowa była mniejsza, szczęki zaś bardziej wydłużone, pysk smuklejszy. Ślepia z kolei wydawały się większe i umieszczone bliżej czubka głowy, znowu jak u krokodyla, od którego odróżniały go jednak długie i muskularne przednie kończyny z upazurzonymi i chyba chwytными palcami. W razie potrzeby mógł zapewne poruszać się na czterech kończynach, poza tym jednak używając przednich do przytrzymywania i przenoszenia zdobyczy. Do pewnego stopnia przypominał dzikich grików spotkanych wcześniej na Bali, tyle że był większy. Tamte stworzenia ważyły około dwustu pięćdziesięciu funtów, to zaś około do czterystu.

Gdzieś w górze huknął odległy grom i deszcz zabębnił o najwyższą warstwę listowia. Pociężyli się, że minie trochę czasu, nim poczują na sobie krople wody.

- Paskudne ścierwo - zgodził się Gilbert Yager.

- Zdumiewające - sapnął Bradford. - Czuję się, jakbym podążał śladami samego Darwina, lecz tutaj każda wyspa to Galapagos. - Wskazał na zdobycz Silvy i dwustopowy jęzor zwisający spomiędzy potężnych szczęk. - Widzicie? To zapewne tutejsza wersja superjaszczura. Zwierzę, które zajmuje dokładnie tę samą niszę. - Spojrzał na wąską ścieżkę. - Tyle że wyspa mniejsza, mniej zdobyczy, to i drapieżniki mniejsze. Rozmawialiśmy już o tutejszym morskim życiu i wyszło na to że nie rozszczepiło się na tyle gatunków, ile było na naszej Ziemi, za sprawą o wiele ostrzejszej konkurencji. A tutaj mamy inny, równie dobrze widoczny mechanizm ewolucyjny, który wyłonił podobne do siebie gatunki żyjące na odizolowanych wyspach. To wyraźne świadectwo, że w nieodległym ewolucyjnie czasie musiały one tworzyć jeden łąd. A ten tutaj osobnik... - przerwał na chwilę i zastanowił się, uszczęśliwiony odkryciem - ...jest dowodem, że na różnych terenach możemy napotkać nawet bardziej niezwykle formy życia. Pomyślcie tylko, jakie zwierzęta zamieszkują teraz pewnie Amerykę, Europę czy... Australię!

- Keje był kiedyś w Australii - powiedział bosman. - Kotowaci mają tam osady. - Rzeczywiście opowiadał, że są tam same straszdyła. Może więc jest tak, jak pan mówi. Nigdy nie byłem zwolennikiem Darwina, zwłaszcza gdy chodzi o małpy i ludzi, ale... chyba będę musiał się nad tym zastanowić. Dość tu zobaczyłem. Ale jakim cudem może pan wiedzieć to wszystko, spojrzawszy na jednego martwego jaszczura? I jaka to dla nas różnica?

- I kogo to obchodzi? - zakrakał Isak.

- Przyjrzyjcie się uważniej - powiedział Bradford. - Z pewnością nie jest to *Allosaurus giganteus*. Możecie mi wierzyć! - Kilka osób zachichotało, nawet ranny kotowaty zdobył się na uśmiech. Towarzysze smarowali mu właśnie rany antyseptyczną i znieczulającą maścią. Dokładniej mieli zająć się nim na plaży. - Chociaż jego przodkowie najpewniej byli - ciągnął Australijczyk. - Przyszli tutaj eony lat temu, a kiedy okolica zmieniła się w wyspę, musieli dostosować się do nowych warunków, żeby nie wyginąć. Tak mała wyspa nie wyżywiłaby nawet jednego takiego potwora jak ten zabity przez nas w pobliżu szybu na Baalkpanie. Te, które żyły tutaj z początku zapewne od razu były trochę mniejsze, a potem zaczęły maleć jeszcze bardziej. I zmieniały się tak, żeby skuteczniej polować na ograniczonym terenie. Nie zdziwiłbym się, gdyby nawet ich metabolizm trochę zwolnił. Ale zostawmy to nauce. Dla nas ważniejsze jest to, że skoro ten świat jest zróżnicowany, możemy trafić także na tereny, które nie zostały opanowane przez dinozaury. Może i takie, gdzie żyją różne gatunki ssaków. Kto wie, jeśli teorie Darwina i sugestie religii są tak samo prawdziwe, może nawet trafimy na ludzi? Nie takich, których los uwięził w tym świecie, ale normalnie tutaj żyjących.

- I to wszystko wynika z powierzchownego badania jednego martwego jaszczura? - spytał Gray, unosząc sceptycznie brwi.

- Hmm... niezupełnie. Ale na podstawie obecnej wiedzy wydaje mi się to całkiem możliwe.

Silva wydobył płatek tytoniu do żucia. Od niedawna formował go do wygodnej postaci, korzystając z okrętowej prasy hydraulicznej.

- Tego drania nic już nie ożywi - powiedział, trącając jaszczura nogą. Potem przyjrzał się śladom po kulach. - Trzeba było sześciu pestek, żeby go załatwić - powiedział rzeczowym tonem. - Ale prawie bez celowania. Normalnie starcza jeden strzał, żeby załatwić grika, i z tym pewnie byłoby podobnie. - Spojrzał na Graya. - Twoi ludzie spokojnie powinni sobie z nimi poradzić. Trzeba tylko uważać. - Uniósł głowę, ale przez listowie nie dojrzał ani skrawka nieba. - A teraz lepiej bierzmy dupę w troki i wracajmy na okręt, zanim kapitan uzna, że lepiej nas tu zostawić. Gdyby chodziło tylko o mnie, pewnie dawno by już odpłynął. - Znowu kopnął zezwłok jaszczura, splunął i spojrzął na Graya. - Jeśli chcesz się tu jeszcze pokręcić, to dobra, ale ja muszę odprowadzić naszego profesorka. I pewnie będzie trzeba zabrać mu to truchło, żeby mógł się nim ponapawać - dodał z rezygnacją. - jedna drużyna dowlecze je na plażę. No i coś jeszcze musimy ustalić - stwierdził, krzywiąc się niemiłosiernie i zerkając na Myszowatych. - Który z was zostaje? Może tylko jeden, rozkaz Spanky'ego. Kapitan przyklepał. - Pokręcił głową. - Ja bym was wszystkich zostawił, może

oprócz Buras. Dla mnie jesteście beznadziejnymi przypadkami, jak raz na paszę dla dinozaurów. Buras jest młoda i bystra, może jeszcze da się ją wychować.

Gray też spojrział na Myszowatych, którzy stali speszeni, przypatrując się czubkom swoich butów.

- To co? Mamy rzucać monetę? - zapytał.

- Nas jest troje, a moneta ma tylko dwie strony - zaprotestował Isak. - Poza tym nie mamy monety - dodał, zerkając na przyjaciela i kotowatą.

- Buras wraca na okręt - zdecydował Gray. - Nie przyda się tutaj, póki nie będzie działającego odwiertu. No i musimy mieć w kotłowni kogoś z sensownym doświadczeniem.

- To nie w porządku - jęknął Isak.

- Właśnie - zgodził się Gilbert, spoglądając podejrzliwie na Buras. - Nasze szanse maleją o połowę.

Gray wzniósł oczy do nieba i zaczął przetrząsać kieszenie. W końcu znalazł zaśnieżoną srebrną dolarówkę. Spojrział na nią z zadumą.

- Jedyne, co mi zostało - powiedział cicho. - Przyda się i do tego.

*

Zostawiwszy *Feltsa* u brzegów wyspy, *Walker* skierował się na Północny wschód, ale o zachodzie słońca położył się niemal dokładnie na kursie północnym. Gilbert Yager siedział na platformie rufowego działła i wpatrywał się ponuro w niknący za rufą masyw Borneo z niewielkim Tarakanem. Buras znalazła sobie miejsce tuż obok niego i zastygła w tej samej pozycji, ze krzyżowanymi nogami i łokciami opartymi na kolanach. Gilbert nie widział przez ostatnie lata wielu zachodów słońca. Zwykle przebywał wtedy pod pokładem i nie zależało mu na doznaniach estetycznych. Dla niego znaczyły tylko tyle, że zaraz po nich robiło się w kotłowni trochę chłodniej. Jednak ten wieczór był odmienny, co samo w sobie było już złe. Po raz pierwszy, odkąd wstąpił do marynarki, Gilbert czuł pustkę, bo Isaka nie było obok niego. Co gorsza, doszedł przy tej sposobności do wniosku, że nie wie nawet, czy lubi Isaka Reubena, co skłoniło go do nader nietypowej dla niego aktywności myślowej, którą można by zapewne nazwać introspekcją.

Wygodnie było trzymać z Isakiem. Ostatecznie byli braćmi, chociaż nikt na pokładzie o tym nie wiedział. Owszem, zewnątrz byli podobni, ale nosili inne nazwiska i jakoś nikomu nie przyszło do głowy, że każdy mógł mieć po prostu innego ojca. Gilbert nauczył się polegać na Isaku, który był trochę bystrzejszy. To on wymyślił, żeby uciec z pól naftowych do marynarki wojennej. No i można z nim było pogadać w ogólnie mało przyjaznym świecie. Chociaż ostatnio doszła jeszcze Buras. Ale czy go lubił? Jak potoczyłoby się ich życie, gdyby

każdy poszedł własną drogą? Czy dalej by się wspierali? Może przyjęli Buras właśnie po to, żeby się dowiedzieć, jak właściwie jest z ich przyjaźnią. Jeśli tak, to kiepsko im wyszło. Buras stała się prawie ich kopia, tak samo małowówna i z boku. Może powinien wykorzystać chwilę i uczynić ten zachód słońca granicą między starym a nowym życiem. Potraktować krótkie rozstanie z bratem jako czas próby, czy zdoła się zmienić, wyjść do ludzi. Tak jak wiele razy sugerował im Spanky. - Spróbuj, nie przesadzając, czy lubi brata, czy nie. Samo pewnie wyjdzie, gdy znowu się zobaczą, uznał. Mimo to wciąż coś go trapiło, gdy patrzył na zachodzące słońce. Głównie złe przeczucia. Był przekonany, że coś się szykuje. Coś niedobrego, oczywiście, bo każda zmiana jest zła sama w sobie.

- Spróbujmy coś zjeść - zaproponował i Buras pokiwała głową. - Nagle zastanowił się, o czym ona też mogła myśleć, czy o tym samym, co on? Oby nie. Nagle stało się dla niego bardzo ważne, żeby chociaż ona go lubiła.

Zeszli na główny pokład, minęli zaślepione otwory po podstawach wyrzutni torpedowych numer trzy i cztery, pomost z reflektorem, dwa kominy i dotarli w końcu pod pomost burtowego działła, gdzie mieścił się kubryk.

Pod okienkiem kuchni przy ladzie z nierdzewnej stali czekała już kolejka chętnych na kanapki Laniera. Głównie ludzka, gdyż kotowaci woleli potrawy i inne jego mieszanki ogólnego zastosowania. Nic dziwnego, bo przyrządzał je z półproduktów dobrze im znanych, których nie musieli się obawiać, a przyrządzał na intrygujące nowe sposoby. Ludzie zaś, zmuszeni jeść miejscowe nie wiadomo co, woleli to mieć podane w swojskiej formie kanapki. Gdy Gilbert i Buras zbliżyli się do okienka, usłyszeli, jak kucharz miesza z błotem tych, których zasadniczo miał tylko żywić:

- Nie musiałbym tego robić, gdybyście dojadali to, co wam gotuję!

- A kto by dobrowolnie jadł takie gotowanie? - odparł Paul Stites.

- Dlaczego nie dajesz nam tych ryb, co je łowisz? - spytał ktoś inny.

Lanier wędkował, gdy tylko miał po temu okazję. Chyba lubił ryby, w przeciwieństwie do tego, co gotował dla innych. Niektóre z jego wędkarskich przygód przeszły do legendy i zdarzyło się nawet, że wyłowiony przez kucharza okaz zmusił załogę do użycia broni.

- Musiałbym zwariować, żeby łowić dla was ryby - prychnął - Sami je sobie łapcie. Możecie je sobie upiec na palnikach kotłów.

Buras sięgnęła po kanapkę, Gilbert zgarnął następną, ale zatrzymał się na chwilę. Zwykle to Isak zagajał rozmowę, ale może i on by spróbował? Pochylił się, żeby zajrzeć przez okienko do kuchni, i dostrzegł masywnego kucharza siedzącego na skrzypiącym drewnianym krześle. Ray Mertz i czarno-biały kotowaty zwany przez Earla Pieprzem

szykowali następny półmisek kanapek.

- Jak idzie z naprawą maszyny do coli? - spytał, oczekując długiej emocjonalnej odpowiedzi.

Ku jego zdumieniu Lanier wręcz się rozpromienił.

- Jak po sznurku - odparł, wskazując gdzieś obok Yagera.

Palacz obrócił się i ujrzał maszynę leżącą pod ścianą. Zostawiono ją tam zaraz po bitwie, w której poległa z rąk Japończyków, obecnie była jednak w znacznie lepszym stanie. Cola skończyła się jeszcze wcześniej, ale załogę cieszyło, że cokolwiek się z nimi dzieje, ta część znanego im świata ciągle działa. Gdy odłamek z pocisku wystrzelonego przez *Amagię* uszkodził chłodnię, wszyscy odczuli to jako nieproporcjonalnie silną stratę. - Kompresor już zamontowany, większość przewodów połatana. Jeszcze trochę, a napelnę je amoniakiem. Trzymajcie kciuki!

- Będziemy - odparł z ochotą Gilbert i odsunął się, zerkając na sprzęt całkiem nie z tego świata. - Byłoby fajnie, gdyby znowu zadziałała - dodał cicho.

- Co? - spytała Buras, wgrzyzając się w kanapkę, z okruchami pieczywa na wibrysach. - Ale coli już nie ma. Nawet jej nie spróbowałam. Po co naprawiać chłodziarkę, jak nie ma czego do niej wlać?

- Będziemy chłodzić jakiś inny napój - powiedział Gilbert. - Poza tym... - Pomyślał, żeby porównać maszynę do ulubionego zwierzątka, ale miejscowi nie trzymali zwierząt domowych. Z oczywistych powodów. Nie darzyli też większym uczuciem materii nieożywionej. Lubili za to zdobywać łupy. - Pomyśl o tym, jakby to był naszyjnik z pazurów grika. - Gdy Japońce go trafili, naszyjnik zerwał się i nie można go nosić. No to go naprawiamy, żeby znowu znaczył to samo. - Wiedział, że to nie najlepsze porównanie (słowa „analogia” nigdy nie miał okazji się nauczyć), ale Buras pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Jasne. Zdobyliście tę maszynę na Japońcach?

Gilbert zamknął oczy i pokręcił głową. Już chciał zacząć tłumaczyć od nowa, gdy ktoś mu przeszkodził:

- Tu jesteście, robaczki!

Uniósł głowę i ujrzał Laneya stojącego przed nim z rękami na biodrach. Chyba bardzo starał się wyglądać jak Spanky. - Co wy sobie myślicie? - ciągnął Laney. - Przecież to wasza wachta.

- Byliśmy na brzegu, Laney - wyjaśnił Gilbert. - Razem z grupą wiertniczą.

Laney czemuś spochmurniał.

- To mnie nie obchodzi. Możecie sobie nawet polować na potwory morskie, ale jak

mówię, że macie wachtę, to macie na niej być. I dla was jestem bosman Laney, nieroby.

- Wcale się nie obijamy. Dopiero co wróciliśmy. Przyszliśmy coś zjeść i zaraz idziemy do siebie.

- No to jazda do kotłowni. Trzeba tam zrobić porządek. Większość kotów nie odróżnia paliwa od wody zęzowej. I sprawdźcie pompę! Znowu dziwnie hałasuje.

- Dobra, Laney, oszczędzaj nerwy. Już idziemy. - Gilbert westchnął i wgrzył się łapczywie w kanapkę.

Laney stał jeszcze przez chwilę z ponurą miną i odszedł. Trudno było nie porównywać go z dawnym szefem Myszowatych, czyli nieszczęsnym Donagheyem. On był zawodowcem, który stawiał na osobisty przykład. Potrafił kierować ludźmi. Nie wynosił się nad palaczy, ale chodził tak samo brudny jak oni bo równie ciężko pracował. Był zresztą we Flocie Azjatyckiej dłużej niż Laney. Miał nawet filipińską żonę. Wszyscy wiedzieli, ile jest wart, nawet kapitan. Gdy zginął, ratując okręt przed eksplozją zaimprovizowanej przez grików bomby, kapitan Reddy gotów był zaryzykować spistość sojuszu, żeby go tylko pomścić.

A teraz mieli Laneya.

- Nie ma takiej zmiany, żeby nie wyszło na gorsze - mruknął Gilbert.

*

Matt chodził powoli między lewym skrzydłem mostka a krzesłem kapitańskim, przymocowanym do ściany po prawej stronie sterówki. Przez ostatnie sześć dni była to jego główna forma aktywności fizycznej. Po lewej przed dziobem rysowało się coś, co było zapewne przyłdkiem Dumagasa, położonym na zachodnim półwyspie wyspy Mindanao. Tak w każdym razie podpowiadał sekstant i to samo wynikało z linii wyrysowanych na stole nakresowym, Matt jednak zauważył kilka drobnych różnic w porównaniu z tym, co pamiętał. Dziwne. Widział już tutejszą Surabaję i tutejszy Balikpapan, które były całkiem odmienne, i nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia, tymczasem widok tego trochę odmiennego przyłdka wyzwolił w nim poczucie osamotnienia. Może dlatego, że wrócili na akwen, który był kiedyś macierzystym terenem działań *Walkera*.

Przed nimi leżały Filipiny, których Matt nigdy nie polubił. Zbyt nagle znalazł się w miejscu tak kontrastowo różniącym się od jego Teksasu, gdzie wrócił po niegdysiejszym zwolnieniu ze służby podczas masowej redukcji etatów. Gdy sytuacja międzynarodowa ponownie się zaostrzyła, marynarka wojenna upomniała się o niego i wysłała natychmiast na placówkę z dala od kraju. W porównaniu z Chinami Filipiny były gniazdem zepsucia i zapadłą prowincją. Niewysocy i śniadoskórzy mieszkańcy wysp władali tylko trudnym do

zrozumienia językiem tagalog albo jeszcze mniej rozumiała miejscową odmianę hiszpańskiego. Japońskie zagrożenie wydawało się czymś bardzo odległym i mało kto traktował je poważnie, co odbijało się na stanie obrony archipelagu. Gdy w końcu wojna dotarła i tutaj, tragiczna komedia pomyłek oraz niekompetencji przesądziła o błyskawicznym upadku Filipin. Matt do teraz nie mógł się nadziwić, jak można było zmarnować znaczące siły powietrzne, które Amerykanie zgromadzili tu przed wojną, pozwalając przeciwnikowi na ich zniszczenie niemal bez walki. A przecież własne lotnictwo mogłoby tyle zmienić...

Z drugiej strony wiedział, że znaczna część załogi postrzegała i pamięta Filipiny jako niemal rajską krainę. Dzielnice portowe obfitowały we wszystko, czego przeciętny marynarz mógł zapragnąć. Na dodatek było tam tak tanio, że każdy czuł się jak panisko, chociaż dostawał zwykły żołd. Oczywiście byli i tacy, którzy poznali większą część wyspy niż tylko nabrzeże. W głębi łądu życie płynęło innym rytmem i spotykało się tam innych ludzi. Ten i ów nawet się tam osiedlał, skuszony spokojem, inni zamierzali zrobić to po zakończeniu służby. Zastanawiał się, jak oni przeżyją obecne spotkanie z wyspą, która miała się kiedyś stać ich nowym domem.

Opuściwszy wyspę Tarakan, *Walker* przebył morze Celebes, na którym musieli sporo zmniejszyć prędkość. Wprawdzie przekonali się już, że dwa czynne kotły pozwalają wyciągnąć prawie dwadzieścia węzłów, musieli jednak zwolnić do niecałych dziesięciu, potem zaś do sześciu, żeby przejść bezpiecznie między wysepkami u północno-wschodniego wybrzeża Borneo. Potem minęli jeszcze archipelag Sulu i przyspieszyli do piętnastu węzłów, choć zapewne nie na długo. Morze było płytsze niż to dobrze im znane i nie mogli w pełni polegać na swoich mapach. W ten sposób po sześciu męczących dniach byli dopiero w połowie drogi do celu. Matt Przeciągnął dłonią po twarzy i pomyślał, że Juan mógłby się już zjawić z kawą. Dłuższy szlak wybrali przede wszystkim po to, żeby ominąć otwarte i naprawdę głębokie obszary morza Celebes i morza Sulu, gdzie żyły najgroźniejsze z miejscowych stworzeń, przede wszystkim gigaryby, mogące zagrozić nawet pływającym domom lemurów. Matt nigdy żadnej nie widział, lecz wiele wskazywało na to, że opowieści o nich nie są wcale przesadzone. Ellis widział jedną z nich podczas podjętej przez Kaufmana próby dotarcia do Cejlonu i przysięgał, że bestia rzuciła się w pościg za okrętem. Poważnie uszkodzony *Mahan* robił wtedy tylko piętnaście węzłów i według załogi uciekł tylko dlatego, że gigaryba wolała się nie zapuszczać na płytsze wody. Była jednak niewiarygodnie wielka i szybka. Miejscowi twierdzili, że gdyby dopadła *Mahana*, mogłaby go poważnie uszkodzić, a nawet zatopić. To, że był zbudowany z żelaza, a nie z drewna, nie miałooby dla niej znaczenia.

Szykując się do rejsu, obmyślili kilka „niespodzianek”, do których mogliby się uciec w

razie ataku gigaryby, ale Matt miał nadzieję, że to nie będzie konieczne. Owszem, dobrze byłoby wiedzieć, czy okażą się skuteczne, jednak w tej chwili najważniejsze było dotarcie do Manili. Nie mogli ryzykować uszkodzenia niszczyciela, póki nie załatwią spraw sojuszu. Bradford nie krył rozczarowania z tego powodu, Matt jednak wiedział swoje, chociaż napływające meldunki radiowe sugerowały, że grikowie nie podjęli na razie żadnych agresywnych działań. Wydawało się, że postanowili najpierw umocnić swoją władzę w Aryaalu i gruntownie naprawić japoński krążownik liniowy. USS *Donaghey* wypłynął w swój dziewiczy rejs po poddanych królowej Maraan i można się było spodziewać, że za jakiś tydzień zamelduje, co się dzieje w okolicy B'mbaado. Skoro więc nie było powodów do pośpiechu, Mat wybrał dłuższą, ale bezpieczniejszą drogę.

Szczęśliwie gigaryby rzeczywiście zdawały się unikać płycizn, czyli akwenów o głębokości mniejszej niż pięćdziesiąt sążni. Cieśnina Makasarska była głębsza, ale kotowaci uważali że choć szeroka na sto mil, jest dla olbrzymich stworzeń zbyt ciasna, żeby czuły się w niej swobodnie. Widywano je za to na morzach Sulu i Celebes. Krążyły zwykle z szeroko otwartymi pyskami, przypominając w tym płetwale błękitne, które Matt widywał kiedyś na Pacyfiku. Tyle że płetwale odławiały w ten sposób ławice kryla, gigaryby zaś pożerały wszystko, co tylko im się nawinęło, także wielkie plezjozaury, które miejscowi nazywali gri-kakka. Matt widział te ostatnie i mógł się przekonać, że są rozmiarów kaszalota.

Ze zrozumiałych przyczyn populacja gigaryb nie mogła być liczna. W morzu wielkości Celebesu ograniczała się zapewne do sześciu, siedmiu sztuk, zwłaszcza że stworzenia te były przywiązane do stałego terytorium. Zapewne nie musiały więc cały czas jeść, bo ich zdobycz należała raczej do gatunków migrujących. Mimo to i skuteczności uzbrojenia niszczyciela Matt wolał zostawić gigaryby w spokoju. Przynajmniej dopóki one nie zaczepiały jego okrętu.

Juan przyniósł wreszcie kawę i kapitan z wdzięcznością przyjął podany mu kubek. Napitek był raczej podły, ale pomagał zwalczyć senność.

Matt nie sypiał dobrze. Dawne koszmary wprawdzie zniknęły, ale pojawiły się nowe, i pamiętał je, kiedy go budzono. Była wszakże pewna różnica. Te dawne wiązały się z poczuciem straty i porażki, a także winy, że wyszli obronną ręką z bitew na Morzu Jawajskim, chociaż *Exeter*, *Encounter* i *Pope* nie miały tyle szczęścia. Co gorsza, był wtedy całkiem bezsilny i nie mógł nawet podjąć rozbitków. Jednak zatonięcie *Nerracki* wraz z tysiącami uchodźców sprawiło, że spojrzał na wszystko z nowej perspektywy. Tym razem uratował niektórych, chociaż było ich rozpaczliwie niewiele, i przeprowadził atak na *Amagię*, ucieleśnienie zarówno dawnych, jak i obecnych wrogów.

W snach wyrzucał z siebie całe potoki rozkazów, próbując uratować wszystkich, w dali zaś błyskały kolejne salwy krążownika. Wyrastające dokoła gejzery wody zalewały pokryty zakrwawionymi ciałami pokład, rosły coraz wyżej płomienie trawiące kadłub pływającego domu, w nim rosło zaś coraz silniejsze pragnienie odwetu. Z nim też się budził i dodawało mu ono sił. Czuł, że nie dopełni zemsty, póki nie wymaże grików z powierzchni ziemi i nie pośle *Amagiego* na dno. I coś z tych myśli musiało chyba odmalować się na jego twarzy...

- To ważna misja - powiedział Keje, który podszedł do Matta niezauważony w towarzystwie Adara. Obaj cieszyli się tymi samymi przywilejami co oficerowie niszczyciela i nie musieli prosić o pozwolenie wejścia na mostek.

- Wiem. I dobry pomysł. Każda pomoc się przyda, żeby pokonać jaszczury. Mam nadzieję, że czegoś dokonamy. - Uśmiechnął się do przyjaciół. - Obawiam się jednak, że jestem trochę spięty.

- Spięty - powtórzył Keje. - Czy to znaczy zdenerwowany, ale nie wystraszony?

- Mniej więcej.

- Hm. Jeszcze jedno nowe słowo, po tym, które słyszałem dziś od pana Bradforda. Powiedział, że musi porozmawiać z tobą o tym nowym jaszczurze. Swoją drogą ten zezwłok śmierdzi pod niebiosa. Czy on naprawdę musi go kroić tak blisko kuchni? Pan Laney zagroził, że wrzuci Bradforda do kotła. Ale ty zachowujesz się, jakbyś niczego nie czuł. Pan Bradford stwierdził, że jesteś zbyt zaferowany, cokolwiek to znaczy.

- Czy to jest to samo co „spięty”? - spytał Adar.

Matt uśmiechnął się uprzejmie.

- Może trochę. Zasadniczo opisuje kogoś zatopionego w niespokojnych myślach. Dodaj do tego spięcie, a otrzymasz opis mojego obecnego stanu. - Upił kawy i skrzywił się. Zdążyła wystygnać.

- Ja też jestem spięty - rzekł Adar. - Meldunki z domu brzmią dobrze. Może nawet za dobrze.

Matt pokiwał głową.

- Im dalej jesteśmy, tym dziwniejsze mi się wydaje, że grikowie siedzą tak spokojnie - powiedział. - Ich wojownicy to bezmyślne maszyny do zabijania, ale ktoś nimi kieruje. Ktoś posyła ich do walki. Pomyślcie tylko, jak sprawnej logistyki wymaga zebranie i wyposażenie takiej armii czy budowa floty do jej transportu. Mam wrażenie, że coś nam umyka.

Teraz wiedzieli już trochę o przeciwniku, przede wszystkim dzięki materiałom przechwyconym na przyczach. Pojmali nawet kilku grików, ale niewiele im z tego przyszło.

Wszystkie jaszczury wydawały się obłąkane, chociaż nie mieli do czego porównać ich zachowania. Co gorsza żaden jeniec nie przeżył w niewoli dłużej niż kilka dni i trudno było orzec, czy przyczyną ich śmierci były zadane wcześniej rany, czy może coś innego. Trochę informacji jednak uzyskali.

Już wcześniej odkryli, ku swojemu wielkiemu przerażeniu, że oficjalna korespondencja grików w większości jest spisywana po angielsku. Musieli mieć też swoją mowę, ale język ludzi uznali za urzędowy, a może liturgiczny, zresztą tak jak kotowaci, którzy przyjęli łacinę. Tyle że grikowie zrobili to zapewne z konieczności, przesłuchując ludzi, których pojмали dawno temu. Nie mieli przecież wtedy swojego nazewnictwa, które pozwoliłoby ogarnąć nową wiedzę. Matt współczuł Brytyjczykom zmuszonym kiedyś do wyjawienia przeciwnikowi wszystkiego, co wiedzieli o żegludze. Łacina została ofiarowana lemurom dobrowolnie, chociaż był to zapewne manewr mający zapobiec przekazaniu im zbyt wielu informacji, nie każdy bowiem mógł z nimi rozmawiać. Jedno co dobre, to że ten jeden statek, który wysłany został na wschód i wpadł w ręce grików, przed rejsem pozbawiono dział.

Wciąż jednak nie wiedzieli, co skłania jaszczury do tak barbarzyńskiego postępowania. Zdobyte dokumenty nie mówiły wiele o ich strukturze społecznej. Zorientowali się tylko, że wojownicy wywodzą się z kasty zwanej Uul, która do pewnego stopnia przypominała kasty żołnierzy u mrówek czy pszczół. Różnili się wielkością i niektórzy zdawali się przejawiać nawet zaczątki świadomości, wszyscy jednak byli ślepo podporządkowani kaście Hij, która nimi kierowała i dbała o rozładowanie właściwej im bezmyślnej agresji. Hij też nie byli jednorodni. Wyróżniało się wśród nich warstwy o różnej pozycji społecznej: władców i oficerów, artystów i urzędników. Razem jednak tworzyli swoisty odpowiednik arystokracji poddanej tajemniczej cesarzowej, którą traktowali tak czołobitnie, jakby chodziło o boginię.

Hij wyglądali identycznie jak ich podwładni, byli jednak bez wątpienia inteligentni i obdarzeni samoświadomością. Pod tym względem zdawali się niewiele różnić od ludzi czy lemurów. Tyle że chyba brakowało im wyobraźni i inicjatywy, co wydawało się na razie największą ich słabością.

- Wiemy, że zamierzają zaatakować Baalkpan - rzekł Adar. - Co jeszcze mogliby planować?

- Nie wiem - odparł Matt. - Po prostu mam wrażenie, że to nie wszystko. - Spojrzał na załogę trudzącą się na zalanym słońcem pokładzie dziobowym. Nadzór nad pracującymi sprawowali wspólnie Silva i Chack, którzy stali obok siebie w identycznych pozach, z rękami

na biodrach, i co jakiś czas wymieniali uwagi. Rosły Silva w zaplamionym mundurze khaki i starej czapce górował nad muskularnym kotowatym w czerwonej spódniczce, białej koszulce i białej bawełnianej czapce marynarza, na którą jako członek załogi Chack zamienił swój hełm. W pewnej chwili Silva nie wytrzymał i sam pokazał lemurom, jak operować wyciorem w lufie działa. Zniknął na chwilę za osłoną, zaraz jednak pojawił się ponownie obserwując postępy podopiecznych. Wiatr tłumił wykrzykiwane przez niego rozkazy, widać jednak było, że energicznie kiwa głową. Po dłuższej chwili wrócił do Chacka, otarł czoło chustką i wznowił rozmowę.

Matt był pod wrażeniem zgodnej współpracy obu ras. Jeszcze nie tak dawno stara załoga niszczyciela gotowa była protestować przeciwko dzieleniu nie tylko pracy, ale i pryczy kranów z wodą pitną z każdym, kto miał odmienny kolor skóry. Teraz ci sami ludzie działali ramię w ramię z istotami, które należały do obcego gatunku. Był szczęśliwy, że tak mało było przejawów rasizmu, a od czasu tajemniczego zniknięcia marynarza, który wcześniej podobno sprawiał kłopoty, nie odnotowano ani jednego incydentu. Bardzo się do tego przyczyniła wspólna walka. Obie rasy świetnie się rozumiały w boju. Jednak braterstwo broni mogło nie wystarczyć, gdy grikowie ruszą całą swoją potęgą. Sojusznicy byli po prostu nie dość liczni i za słabi. Z drugiej strony Matt nie bał się czekającej ich konfrontacji. Prawie jej wypatrywał. Tyle że cały czas był spięty i nie umiał temu zaradzić.

ROZDZIAŁ 4

- Ciągłe jeszcze nic, kapitanie - odezwał się obserwator na bezanmaszcie.

Porucznik Greg Garrett, były oficer artyleryjski *Walkera*, obecnie zaś dowódca nowej fregaty USS *Donaghey*, ledwie go słyszał i prawie wcale nie widział w mroku przedświt. Wiedział jednak, że siedzący wysoko kotowaty ma od niego o wiele lepszy wzrok, tak jak obserwatorzy wysłani na pozostałe dwa maszty. Powinni oni dostrzec flotyllę barek z uchodźcami, gdy tylko odbije od brzegu. Na razie kapitan chodził tam i powrotem po pokładzie rufowym, a złożona niemal wyłącznie z lemurów załoga wykonywała swoją robotę po cichu, żeby nie przeszkadzać mu w rozmyślaniach. Zatrzymał się na chwilę przy gładko wypolerowanym relingu i wbił spojrzenie w ciemne wybrzeże. *Donaghey* znajdował się niecałe dwie mile od linii przyboju i mógł tylko czekać.

Było to pierwsze dowództwo Garretta, co samo w sobie stanowiło zaszczyt, nadto cieszyło go, że jego okręt jest tak klasycznie piękny. Jednostki zbudowane przez grików, choć wytrzymałe, nigdy nie pozwalały zapomnieć o swym pochodzeniu. Jakkolwiek je sprzątno i szorowano, nie udawało się usunąć wszystkich śladów barbarzyńskich praktyk wcześniejszych załóg. Wiele ich przechwycono, gdy dryfowały uszkodzone przez *Walkera* w bitwie, która zakończyła się zatopieniem jednego z pływających domów. Oddziały abordażowe spotkały się z ząbaczonym oporem, jednak część grików błyskawicznie wpadła w typową dla nich panikę, zwykle po prostu skacząc za burtę, aż woda wkoło zagotowała się od polujących srebrzystych ryb. Reszta gadów, jakieś kilka setek, zginęła w walce. Sojusz też poniósł wysokie straty, zwłaszcza podczas opanowywania ładowni, w których grikowie trzymali na mięso jeńców. Ich los najbardziej chyba ważył na tym, że nowe załogi nie potrafiły traktować przyzów jako w pełni swoich.

USS *Donaghey* nie budził takich skojarzeń i cieszył się pełną miłością załogi. Większy od jednostek grików, o nowocześniejszych kształtach kadłuba i lepszym ożaglowaniu, osiągał też większe prędkości niż statki przeciwnika. Uzbrojony w dwadzieścia osiem nowych i lśniących dział mógł być uznawany za pełnoprawną fregatę.

Szkoda jednak, że miał mieć tylko dwoje rodzeństwa. Budowę tych okrętów podjęto przy założeniu, że będą klasą przejściową. Dla następnych jednostek planowano mieszany napęd żaglowo-parowy, co musiało się odbić na sylwetce. Jednak wojna rządziła się

własnymi prawami i walory bojowe ważniejsze były obecnie niż estetyczne.

Wprawdzie udało im się ostatnio zadać przeciwnikowi ciężkie straty, wiele jednak wskazywało na to, że grikowie szybko zdołają je skompensować. Mnożyli się jak króliki, a Bradford podejrzewał, że młode osobniki stają się zdolne do walki w wieku pięciu lat. Jeśli sojusznicy mieli zyskać jakieś szanse przetrwania, o zwycięstwie nawet nie wspominając, musieli postawić na całkiem nowe uzbrojenie. Dlatego właśnie w załodze Garretta było tak niewielu ludzi. Z tych, którzy przybyli na pokładach *Walkera* i *Mahana*, zostało niewielu więcej niż stu dwudziestu. Czterdziestu wciąż służyło na flagowym niszczycielu, około dwudziestki na jego bliźniaku. Reszta brała udział w najróżniejszych projektach i szkoliła tak potrzebnych rekrutów. Każdy stał się wręcz niezastąpiony. Garrett uważał to za ironię losu. Oto zbieranina z Floty Azjatyckiej, która uchodziła za marynarzy drugiego sortu, stała się nagle elitą mającą zdecydować o przetrwaniu cywilizacji.

Bez wątplenia sporo już osiągnęli. Przekształcili wędrownie i częściowo skłócone społeczności lemurów w zwarte społeczeństwo, stworzyli im armię i marynarkę wojenną. Tyle że ciągle było ich zbyt mało i misja rekrutacyjna na Filipinach miała ogromne znaczenie dla obronności sojuszu. Na razie jednak musieli sobie radzić z tym, co mieli, i obecne zadanie Grega było tego częścią.

Gdy armada grików wyruszyła spod Singapuru i opanowała Aryaal oraz okolice, nie było dość czasu, żeby ewakuować wszystkich mieszkańców. Setki, może nawet tysiące, pozostały na wyspie B'mbaado, a ich królowa przysięgła, że uratuje swoich poddanych. Amerykanie też nie myśleli ich porzucać. Grikowie byli tam na razie stosunkowo nieliczni. Część sił stracili podczas próby ataku na Baalkpan, połowa została skierowana na Jawę. Poza tym zajmowali się naprawą *Amagiego*, odtwarzaniem zdziesiątkowanych oddziałów i odbudową murów obronnych Aryaalu, zniszczonych podczas odwrotu sił sojuszu. To oznaczało, że *Donaghey* ma przeciwko sobie „zaledwie” około 250 statków i ze 150 tysięcy wojowników. Jednak równie dobrze mógł w ogóle nie napotkać przeciwnika. W ciągu ostatnich miesięcy Jim Ellis kilka razy zapuszczał się na te wody na pokładzie jednego z przyzów, ale grikowie albo w ogóle go nie zauważali, albo nic ich to nie obchodziło. Cokolwiek się działo, ich flota praktycznie nie opuszczała kotwiczowiska w zatoce. Może nie wiedzieli o lemurach kryjących się na południowo-wschodnim wybrzeżu wyspy. Garrett się z tego cieszył, ale miał też cichą nadzieję, że trafi się jakaś sposobność do walki. Jego okręt zdecydowanie górował nad jednostkami grików i chciałby go wypróbować.

Przed wojną jaszczury nie znały prochu i cała ich artyleria sprowadzała się do balist miotających glinianymi pociskami zapalającymi. Zasadniczo Garrett powinien móc

zmasakrować całą flotyllę jaszczurów, zmieniając załogi w karmę dla ryb. Niemniej dość się już nawalczył, żeby nie mieć złudzeń. Wiedział, że każda bitwa może się potoczyć w niespodziewany sposób i niesie jakieś ryzyko. Na dodatek tutaj nie było opcji kapitulacji. Nie zamierzał więc robić niczego, co naraziłoby jego zadanie na szwank.

Wznowił wędrówkę po pokładzie. Wiedział, że załoga zapewne zauważy, iż jest podenerwowany, ale nic nie mógł na to poradzić. Na domiar wszystkiego odpowiadał jeszcze za bezpieczeństwo królowej Maraan, która chciała udać się na brzeg po swoich ludzi, oraz Pete'a Aldena, kiedyś zwykłego sierżanta, a obecnie naczelnego dowódcy sił lądowych sojuszu. Safira zawsze musiała wszystkiego sama dopilnować, chociaż zapewne nie powinna aż tyle ryzykować. Dlaczego Pete jej towarzyszył, trudniej już było zrozumieć. Chyba że chodziło o ochronę i powstrzymywanie władczyni przed zbyt śmiałymi działaniami. Tak w każdym razie widział to Garrett. Dotąd Alden trzymał się nieco z boku, nieczęsto brał udział w walkach i zajmował się głównie umacnianiem Baalkpanu. Nie było go pod Aryaalem i chyba miał skrupuły przed posyłaniem swoich ludzi tam, gdzie sam wcześniej nie wahał prochu. W tej sytuacji wycieczka na brzeg mogła mieć dla niego dodatkowe znaczenie. Zwłaszcza że był to ostatni rejs. - Wódz Haakar-Faask, który dowodził pozostałymi na wyspie lemurami, też miał się z nimi zabrać i być może Pete sam chciał go powitać. Tak czy owak Greg Garrett musiał czuwać nad kilkoma cennymi jajkami złożonymi do jednego koszyka i wcale mu się to nie podobało.

Chmury na wschodzie z lekka poróżowiały. Grupa z brzegu wyraźnie się spóźniała i rosło ryzyko, że grikowie dostrzegą okręt w blasku dnia. To, że dotąd nie interesowali się podchodzącymi do wyspy jednostkami sojuszu, nie znaczyło, że pozostaną bierni i teraz.

- Powinni już wrócić - mruknął Taak-Fas.

Garrett spojrział na pokrytą brunatną sierścią twarz pierwszego. Była nieprzenikniona, ale głos zdradzał niepokój.

- Pewnie królowa czeka na maruderów - westchnął kapitan. - Ellis mówi, że wcześniej też zwlekała, gdy ktoś spóźniał się na punkt zborny. Trudno ją winić, ale to czekanie staje się irytujące.

- Dlaczego uchodźcy nie mogliby czekać na nas na plaży, żeby zabrać się, gdy tylko łodzie dobiją do brzegu? - spytał Russ Chapelle, dawny torpedysta *Mahana*, a obecnie oficer artyleryjski *Donagheya*, który właśnie do nich podszedł.

- Mogliby ich wtedy dostrzec zwiadowcy grików - odparł Taak-Fas. - Poza tym cywile z trudem odróżniają nasze okręty od jednostek jaszczurów, mimo że są inaczej pomalowane. Mogliby nie chcieć płynąć, gdyby nie czekał na nich ktoś znajomy.

- Trzy barki odbiły od plaży! - dobiegł ich nagle meldunek z góry.

Russ uśmiechnął się z ulgą.

- I dobrze. Nie było się o co martwić.

Zrobiło się już znacznie jaśniej. Garrett przyjrzał się przez lornetkę trzem szerokim łodziom, które pokonywały właśnie fale przyboju. Wszystkie były pełne lemurów o różnych kolorach futra. Większość z nich wyglądała na wymizerowanych. Zrozumiałe, pomyślał Garrett. Po tym wszystkim, co przeszli... Na dziobie środkowej jednostki dostrzegł czarną postać królowej w srebrnym napierśniku i hełmie. Obok stał Alden w towarzystwie wysokiego lemura w pełnej zbroi.

- Ani trochę za wcześnie - mruknął. - Przygotować się do wywieszenia przy burcie. Gdy tylko wszyscy znajdą się na pokładzie, stawiamy żagle i bierzemy kurs na Baalkpan. Dość już tu tkwimy.

- Żagle! - rozległo się nagle ze szczytu masztu. - Dwa... Nie, trzy żagle!

- Gdzie dokładnie?! - krzyknął Garrett.

Przez chwilę obserwator szukał właściwych słów. Większość załogi fregaty znała angielski na tyle, żeby się porozumieć, ale wciąż nie przywykła do morskiej terminologii. Sam Greg nie opanował jeszcze w pełni komend stosowanych na żaglowcach. Trochę ich pamiętał z czasów własnego żeglowania, resztę zaś zaczerpnął z książeczki zatytułowanej *Podręcznik dla młodych oficerów Marynarki Wojennej Jej Królewskiej Mości*. Książkę znaleźli w bibliotece poległego lekarza pokładowego *Walkera*. Została wydana w 1870 roku, a napisał ją pewien brytyjski admirał w stanie spoczynku, gdy okręty wojenne pływały jeszcze pod żaglami, choć coraz częściej z pomocniczą maszyną parową.

- Z bak...? Bakburty! - odparł obserwator.

Garrett skierował lornetkę w lewo i wydało mu się, że widzi coś na linii purpurowiejącego horyzontu, ale nie był pewien, co to takiego. Wiedział jednak, że może ufać obserwatorowi. Spojrzał na banderę i obrócił się, aż poczuł wiatr wiejący prosto w twarz.

- Niedobrze - powiedział. - Wiatr im sprzyja.

- I co z tego? - spytał Chappelle, wzruszając ramionami. - Jeśli podejda za blisko, damy im popalić.

Garrett zerknął na niego kątem oka. - Jeśli zrobią to, zanim będziemy mieli łodzie przy burcie, mogą nam przeszkodzić w podjęciu uchodźców. Albo i zaatakować same łodzie.

- Mam przygotować okręt do walki?

- Jak najbardziej. Proszę ogłosić alarm bojowy.

Rytmiczny dźwięk gongu przeniknął pokłady okrętu. Nastrój oczekiwania pierzchł,

zastąpiony gorączkową, ale uporządkowaną aktywnością. Deski pokładu posypano piaskiem, powyżej zaś rozpięto sieci mające chronić przed spadającymi szczątkami. W newralgicznych miejscach rozstawiono wiadra z wodą zaburtową, pomocne w gaszeniu bomb zapalających grików. Działa załadowano i wysunięto przez furty. Nie minęło wiele czasu, a Garrett wyczuł zapach podpałki tłącej się w pobliżu stanowisk artyleryjskich. Marines ustawili się wzdłuż burt z łukami, ci zaś, których wyposażono w broń palną, wspięli się na maszty, żeby polować stamtąd na oficerów przeciwnika. Dobrze wyszkolona załoga fregaty szybko przygotowała się do walki, ale nieprzyjaciel zbliżył się przez ten czas na tyle, że dobrze było widać go także z pokładu.

- Nie spieszą się - powiedział Chapelle, patrząc na kołyszące się na falach barki. Widać było opadające i podnoszące się wiosła oraz postać w czerni wpatrzoną w nadciągające czerwone okręty.

- Robią co mogą - odparł Garrett.

Taak-Fas na oko oszacował dystans.

- Nie dotrą do nas wiele przed nimi - stwierdził z niepokojem. - O ile w ogóle ich wyprzedzą.

- Tak, będzie trudno - zgodził się Garrett. - Jeśli wyjdzie na to, że nie zdążą, zwiniemy sieci. Nie zamierzam robić Prezentu grikom. Nie, nie porzucimy ich! - dodał, widząc zdumienie malujące się na twarzy Chapellego. - Zniszczymy przeciwnika i wrócimy. - Pokręcił głową i odwrócił się plecami do oficera artyleryjskiego. Były torpedysta z *Mahana* nie znał go dobrze, ale dlaczego doszedł do wniosku, że Garrett może poświęcić uchodźców? O królowej i Aldenie nie wspominając.

- Ale oni idą na nas - mruknął po chwili Chapelle. - Muszą wiedzieć, co tu robimy. Obawiają się pewnie, że pozbawimy ich zaprowiantowania. - Splunął żółtą od tytoniu śliną za burtę.

Garrett przytaknął, ale nie oderwał spojrzenia od nadciągających okrętów. Coś mu się tutaj nie zgadzało. Grikowie zwykli atakować frontalnie, nie licząc się ze stratami, tylko do czasu napotkania pierwszych jednostek sojuszu. Potem zrobili się ostrożniejsi. Zapewne uczyli się na błędach i pojęli, że wdawanie się w walkę z jednostkami uzbrojonymi w działa nie ma sensu bez wielkiej przewagi liczebnej. Jednak te trzy okręty płynęły przed siebie wedle dawnej taktyki i trudno było pojąć dlaczego.

Przyjrzał się łodziom. Wioślarze zdwoili wysiłki, ale nie mieli wielkich szans w walce z wiatrem i prądem. Garrett chętnie podpłynąłby *Donagheyem* bliżej plaży, ale płycizny były zdradliwe i nie mając silnika do pomocy, mógłby skończyć na brzegu. Ponadto Chapelle miał

rację. Żaglowce nieprzyjaciela szły pełną prędkością. Kapitan opuścił lornetkę na piersi.

- Nie dadzą rady - powiedział cicho. - Zabezpieczyć sieci i przekazać jej wysokości i sierżantowi, to znaczy generałowi Aldenowi, że wrócimy po nich, gdy uporamy się z jaszczurami.

- Aye, sir - odparł Taak-Fas. Też był niespokojny, ale gromko przekazał rozkazy dalej. Chappelle splunął ponownie, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie.

- Obawiam się - rzekł - że będziemy musieli zadrapać trochę farbę na naszym nowym okręcie, skipper.

*

Safira Maraan, królowa B'mbaado, obserwowała z przerażeniem trzy sunące na *Donagheya* okręty jaszczurów. Cały czas poganiała wiosłarzy do jeszcze większego wysiłku, oni zaś nie narzekali, w odróżnieniu od niektórych cywilów, i pracowali, aż dulki jęczały.

- Sygnał z *Donagheya* - odezwał się Haakar-Faas, dowódca liczącej zawsze sześciuset zbrojnych królewskiej gwardii, obecnie też armii B'mbaado. Obejrzał się zaraz na Pete'a. - Co mówią?

Alden podrapał się po krótkim zaroście i osłonił oczy dłonią.

- Chcą najpierw podjąć walkę z przeciwnikiem, potem wrócą po nas - odczytał komunikat.

- Ja też znam ich kody sygnałowe - odezwała się królowa. - Niech wiosłarze trochę odpoczną, ale starajmy się utrzymać obecną pozycję.

- Jak rozkażesz, królowo - odparł Faask oficjalnym tonem, który Safira skwitowała prychnięciem.

- Może teraz mnie posłucha - powiedziała do Aldena. - Podczas wcześniejszych misji okazał już dość niesubordynacji.

Haakar był osobiście odpowiedzialny za bezpieczeństwo królowej od dnia jej narodzin i często zachowywał się jak jej starszy brat, a nawet ojciec, nie jak poddany. Kochała go, jakby naprawdę należał do rodziny, ale czasem miała dość jego opieki. Zostawiła go, żeby przewodził ukrywającym się przed grikami mieszkańcom wyspy, ale bardzo jej go brakowało. Miał już swoje lata i był słaby, mimo to od razu wczuł się w rolę dowódcy. Gdy go teraz zobaczyła, zdała sobie sprawę, jak bardzo się postarzał i wychudł od upadku miasta.

Starszy lemur spojrział na nią tak spokojnie, jakby nie miał pojęcia, o co chodzi.

- Widziałem już, jak Amer-i-kanie walczą - powiedział, świadkiem krwawej łaźni, którą *Walker* zgotował flocie jaszczurów pod Aryaalem. - Tyle że ten okręt jest nowy i nie został zrobiony z żelaza. - Zerknął na Aldena. - Nie kwestionuję odwagi, ale tutaj mamy

trzech przeciwko jednemu. Może powinniśmy wrócić na brzeg? Jeśli grikowie zwyciężą, będziemy musieli się rozproszyć i ukryć. Będą nas szukać.

- Nie wygrają, kapitanie - odparła Safira, zanim Alden zdążył się odezwać, i uśmiechnęła się drapieżnie. Patrzyła, jak żagle fregaty wypełniają się wiatrem. Chwilę potem *Donaghey* wykonał ostry zwrot na prawą burtę, oddalając się od łodzi. Z boku mogło to wyglądać, że porzuca uchodźców, otwierając grikom drogę do barek, i królowa rozumiała lęk swoich poddanych. Sama też nie była żeglarzem, ale domyślała się, że fregata wykona niebawem kolejny zwrot, biorąc kurs na nieprzyjaciela. Garrett chciał odciągnąć czerwone okręty jak najdalej od łodzi, a także zyskać więcej miejsca do manewrów i dość wody pod kilem.

- Bez obaw - powiedziała Safira. - Nie zostawią nas.

Długo patrzyli, jak fregata oddala się coraz bardziej, czerwone okręty zaś rosły w oczach. Nawet dla królowej były to przerażające chwile. Gdy zaczęło już w niej kiełkować zwątpienie, *Donaghey* wykonał zwrot i ruszył prosto na przeciwnika. Uchodźcy podnieśli radosną wrzawę.

- Teraz zobaczycie coś ciekawego - obiecała Safira.

Słońce wspinało się coraz wyżej i upał zaczynał dawać się we znaki, gdy cztery jednostki znalazły się blisko siebie. Z daleka wyglądało to, jakby razem płynęły w kierunku łodzi, ale dystans między nimi malał gwałtownie. Garrett pragnął „postawić kreskę nad T”, czyli zagrozić przeciwnikowi drogę, ustawiając się burtą do dziobów okrętów jaszczurów, żeby razić je salwami burtowymi, im tej szansy nie dając. Królowa Maraan była pewna, że fregata zaraz zniszczy wrogie jednostki, a uchodźcy będą mogli wspominać ten niezwykle poranek jako dowód, że ich wytrwałość nie poszła na marne i zwycięstwo jest osiągalne.

Donaghey rozwinął banderę bojową z białymi gwiazdami na niebieskim polu i czerwonymi pasami. Zaraz potem skręcił na zawietrzną. Safira słyszała opowieść o okręcie *Exeter*, który podjął ostatnią tragiczną walkę z olbrzymią banderą powiewającą na maszcie. Matt był wyraźnie poruszony, gdy o tym wspominał, a i Safira nie mogła się teraz oprzeć wzruszeniu. Bandera Amerykanów stała się dla niej ważniejszym symbolem niż dziewięć drzew i złota gwiazda na stalowym polu, które były znakiem obecnego sojuszu zawartego przeciwko grikom. Symbolem nadziei wobec pozornego braku szans na przetrwanie. I mimo wszystko - znakiem zwycięstwa.

Wiedziała, że tak samo postrzega banderę załoga *Donagheya*, mimo że mało było w niej Amerykanów. Lud królowej, chociaż niegdyś przybył tu morzem, pędził życie lądowe, czym odróżniał się od reszty lemurów. Wynikła stąd izolacja sprawiła, że mimo

wojowniczności stał się on dość łatwą ofiarą grików.

Wśród morskiego ludu każdy pływający dom był jakby osobnym narodem, z wodzem równym wszystkim innym władcom. Z nadejściem grików musieli się oni podporządkować wspólnemu dowództwu sojuszu. Militarne przywództwo objął kapitan Reddy, a cywilne Nakja, ponieważ gościł on wszystkich pozostałych wodzów, Baalkpan zaś stał się przemysłowym centrum całej wspólnoty. Safira zaczynała z wolna dostrzegać zalety nowego porządku i przewagi, które mogły się wiązać z powstaniem organizmu łączącego wszystkich kotowatych pod znakiem drzewa. Organizmu podobnego do tego, który Amerykanie, jak opowiadali, mieli u siebie.

Ich właśnie symbolizowała złota gwiazda na sztandarze sojuszu. Znajdowała się pośrodku, co miało oznaczać, że nie dominuje nad nikim, ale jest spoiwem łączącym wszystkie narody w tym strasznym czasie próby. Różniła się jeszcze tym, że nie wiązała się z konkretnym pływającym domem, nawet nie z rosnącą w siłę flotą Amerykanów. Przede wszystkim była symbolem Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Matt chciał zaznaczyć w ten sposób, że jego Ameryka też należy do sojuszu. Każdy wstępujący do US Navy lemur składał przysięgę na wierność konstytucji, chociaż zasadniczo nikt nie wiedział, co to może znaczyć. Niemniej kapitan Reddy bardzo na to nalegał. Tym samym wszyscy miejscowi, którzy służyli pod jego rozkazami, stawali się Amerykanami, przynajmniej póki dotrzymywali ślubowania i stosowali się do obowiązujących w US Navy regulaminów.

Kotowaci nie wpadli nigdy na pomysł tworzenia takich zbiorów zasad zachowania. W potrzebie każdy robił to, co kazał dowódca, poza tym kierował się własnym wyczuciem albo upodobaniami. Nawet tam, gdzie życie płynęło bardziej uregulowanym torem, jak w Aryaalu, nie tworzone kodeksów, poprzestając na zwyczajowych nakazach, zwykle faworyzujących tych, którzy mieli jakąś władzę. Królowa nie przypuszczała wcześniej, żeby ktokolwiek gotów był dobrowolnie poddać się tak surowemu reżimowi jak panujący u Amerykanów. Ku jej zdumieniu teraz wielu się takich znalazło. Zgłaszali się do służby na okrętach i w piechocie, chociaż wiedzieli, że dowódcy w rodzaju Aldena ostro pilnują tam dyscypliny. Marynarka wojenna z braku wystarczającej liczby jednostek większość z nich odsyłała, ale i tak była postrzegana jako elitarny klan zawodowców, którzy kierowali się własnymi zasadami. Safira nie była pewna, czy to dobrze, miała tylko nadzieję, że to obróci się na dobre. Nagle pomyślała, że być może nie w tej elitarności sprawa, ale właśnie w dyscyplinie. Ostatecznie wymuszała ona także przestrzeganie praw wszystkich, którzy byli jej poddani. To byłoby coś całkiem nowego i wartego zastanowienia. Tak czy owak obecnie liczyło się to, że wszyscy na okręcie noszącym banderę z gwiazdami i pasami byli Amer-i-kanami.

Jednostki szły ostro na siebie, wieże żagli rysowały się wyraziście na tle ciemnego morza. Amerykański okręt był większy od tamtych i wyraźnie szybszy. Piękny był to widok, chociaż królowa pomyślała, że stanie się jeszcze piękniejszy, gdy *Donaghey* otworzy ogień.

- Jeszcze tylko kilka chwil - wyszeptwała z przejęciem.

*

- Jasna cholera! - krzyknął Chappelle, gdy najbliższa jednostka grików otoczyła się chmurą białego dymu. Ledwie kilka chwil wcześniej ktoś zwrócił mu uwagę na kwadratowe otwory wycięte w burtach wrogiego okrętu. Były niemal identyczne jak na jego fregacie. Zaraz potem wyjrzały z nich lufy prostych dział i... nieprzyjaciel odpalił salwę burtową. Zbyt wcześnie, żeby trafić w cokolwiek, ale jednak.

Tamten dowódca powinien wiedzieć, że tylko marnuje proch, ale może nazbyt zależało mu na tym, żeby wreszcie użyć nowej broni. Kąt był fatalny i żadna kula nie doszła do *Donagheya*, ale efekt i tak był porażający. Zdumiona załoga fregaty w jednej chwili pojęła, że oto straciła podstawową przewagę, na którą mogła wcześniej liczyć w kontaktach z nieprzyjacielem. Chociaż dystans szybko malał i *Donaghey* też powinien za chwilę otworzyć ogień, obsługa dział stała bez ruchu, jakby zapomniała, co powinna robić. Gdy Chappelle zerknął na pokład rufowy i spostrzegł osłupienie malujące się także na twarzy kapitana, zrozumiał, że nie ma chwili do stracenia.

- Co u diabła?! - wrzasnął, aż echo poszło po pokładach, i ruszył biegiem wzdłuż dział.
- Prawoburtowa bateria, na mój rozkaz, otworzyć ogień, gdy wejdą w zasięg! - Gdy dotarł najdalszego działu pod forkasztem, odepchnął lemura z obsługi i przykucnął, żeby spojrzeć wzdłuż lufy. Nieprzyjacielski okręt był prawie na linii ognia. Jeśli przegapią tę chwilę stracą być może niepowtarzalną okazję. Musieli oddać salwę teraz, zaraz, za moment, i przerwać ten dziwny trans, w który wpadła niemal cała załoga. Chappelle odstąpił od działu i spojrzał na artylerzystę.

- Weź się w garść - warknął. - No, mają działa. I co z tego? Nie wiedzą przecież, jak ich używać.

Marynarz kiwnął głową, a Chappelle znowu spojrzał przez ambrazurę.

- Ognia!

*

Zobaczywszy ogień i dym, uchodźcy zaczęli wiwatować, przekonani, że to musi być robota *Donagheya* - Safira opowiadała im, że czegoś takiego mają właśnie wypatrywać. Jednak na dziobie, gdzie siedzieli Alden i Haakar, na chwilę zapadło milczenie. Królową przeszedł lodowaty dreszcz i wpiła palce w ramię swojego poddanego.

- Kurwa mać - westchnął Pete.
- Wracamy na brzeg? - spytał cicho Haakar.
- Jeszcze nie.
- Nie, jeszcze nie teraz - zgodził się Alden. - Musimy to zobaczyć.

*

Działa *Donagheya* odezwały się wreszcie nierównym chórem, a Chappelle przebiegł ponownie wzdłuż pokładu, zachęcając obsługę do zwiększenia wysiłków. Każdy wystrzał zdawał się umniejszać stupor. Gdy oficer dotarł do końca, kryzys został już chyba zażegnany. Ostatecznie większość załogi stanowili weterani, niektórzy doświadczyli nawet ostrzału *Amagiego*, a jeszcze inni byli rozbitkami z *Nerracki*. Dyscyplina i wyszkolenie też zrobiły swoje i niebawem wszyscy uwijali się tak jak powinni. Russ odetchnął i zostawiwszy baterię pod opieką podoficerów, wyszedł na górę.

Garrett stał obok koła sterowego, obserwując skutki własnego ognia. Niewiele było widać przez dym, ale Chappelle odniósł wrażenie, że jak dotąd nie udało im się uszkodzić poważnie jednostki grików. Co najwyżej podziurawili jej w paru miejscach żagle. Pokręcił głową.

- Przepraszam za to zamieszanie, skipper - powiedział, podchodząc do dowódcy.
- Nie ma za co. Wszystkich nas zatkało. Mnie także. Boże... że też oni mają działa. Dzięki.

- Za co?

Garrett uśmiechnął się słabo i wskazał na nieprzyjacielskie okręty. Dziób drugiego lada chwila miał się znaleźć na linii ognia. Pierwszy odpalił prawoburtową baterię, która jednak nie była liczna. Wydawało się, że ledwie pięć czy sześć dział. I tym razem nie okazały się skuteczne - wzburzył jedynie wodę w kilwaterze fregaty. Niemniej kolejna jednostka czekała już z otwartymi ambrazurami.

- Tyle dobrego, że kiepska ta ich artyleria - zauważył Chappelle.

Chwilę później kolejny okręt grików dał salwę. Pod równie kiepskim kątem, ale tym razem z mniejszego dystansu, przez co wszyscy poczuli charakterystyczne drgania pokładu, gdy parę kul znalazło drogę do celu. Od dziobu dobiegł ich przenikliwy krzyk.

- Szybko się uczą - powiedział ponurym tonem Garrett i spojrzał na pierwszego oficera. - Gdy tylko miniemy trzeci, wykonamy zwrot i ponownie przejdziemy wzdłuż ich formacji. Proszę pilnować dystansu. Jeśli skupimy się na jednym, pozostałe spróbują podejść do abordażu. A ich załogi są znacznie liczniejsze niż nasza. - Nie musiał dodawać, że w najlepszym razie przesądzałyby to o ich szybkiej śmierci. Spojrzał na rufę, na kołyszące się

na falach barki. - Musimy Wygrać to starcie, i to szybko. Chappelle, masz im dołożyć. Nawet gdybyś sam musiał ustawiać każde działo.

Russ skinął głową i pobiegł pod pokład. Garrett spoglądał chwilę za nim, po czym pokręcił głową.

- Ale się porobiło - mruknął sfrustrowany.

*

Wiwaty w łodziach ucichły, gdy dla wszystkich stało się oczywiste, że również grikowie mają działa, chociaż królowa zapewniała uchodźców, że sojusz ma wyłączność na ten wynalazek. Obserwowali w niemym podziwieniu, jak jeden żaglowiec stawia czoło aż trzem przeciwnikom jednocześnie, sprawnie manewrując, żeby znowu podejść je od dziobów. Głębokie dudnienie dział niosło się nad wodą, wiatr unosił kłęby białego dymu. Nagle podniosły się radosne krzyki, gdy maszt na jednym z okrętów grików runął do przodu, pociągając za sobą szczyt kolejnego. Masa lin i płótna wpadła do wody i zadziałała jak kotwica. Żaglowiec skręcił w niekontrolowany sposób, ale i tak wystrzelił salwę burtową. Nawet z daleka było widać, że pociski obramowały *Donagheya*, który jednak wyszedł z tego bez większego szwanku i natychmiast odpowiedział ogniem, utrzymując się na dłuższą chwilę w ćwiartce dziobowej uszkodzonego przeciwnika. Pozostałe dwie jednostki zaraz zaczęły się wstrzeliwać we fregatę i mimo odległości Safira dostrzegła trafienia. Zadrżała na myśl, co w takiej chwili musi się dzieć na pokładzie, ale wiedziała, o co Garrettowi chodziło. Chciał wyeliminować najsłabszego przeciwnika. I chyba mu się to nawet udało. Jednostka jaszczurów zaczęła dryfować, mając tylko jeden cały maszt, oplątany wszakże olinowaniem i całkiem nie do użytku. *Donaghey* zaczął wstrzeliwać się w kolejny okręt grików.

Nagle uszkodzona jednostka buchnęła dymem i jej przednie furty artyleryjskie zakwitły pomarańczowymi płomieniami. Pozostałe jednostki zaraz skręciły, żeby odejść jak najdalej od płonącego okrętu, jednak żaglowiec płynący jako drugi zbyt wcześnie poszedł w stronę *Donagheya* i teraz zabrakło mu miejsca na bezpieczny manewr. Takielunek jego bezanmasztu zaczepił o wanty siostrzanej jednostki. Zderzenie było nieuniknione. Oba okręty zwały się w ognistym uścisku. Nad nimi wyrosła kolumna białego i czarnego dymu, w której ulatywały skrawki płonącego płótna. Niektóre, wraz z niesionym przez wiatr popiołem, docierały aż do fregaty, która starała się odejść jak najdalej.

W pewnej chwili coś błysnęło potężnie i chwilę potem pasażerowie łodzi usłyszeli gromowy huk. Mimo dystansu prawie czterech mil niewiele brakowało, żeby królowa wypadła za burtę. Gdy odzyskała równowagę podtrzymana przez swego dowódcę, nie widziała z początku niczego poza wielką chmurą dymu unoszącą się nad morzem i deszczem

najróżniejszych szczątków spadających w promieniu kilku mil. Niektóre spadły niepokojąco blisko łodzi. W końcu udało się jej dostrzec dwa trzymające się na wodzie żaglowce.

Oba były potwornie okaleczone. *Donaghey* miał żagle w strzępach, a jego bezanmaszt oparł się o główny, płacząc cały takielunek. Rufa fregaty wyglądała, jakby nadgryzła ją gigaryba. Okręt grików zachował wszystkie maszty, ale jego żagle nie nadawały się do użytku.

- Musimy wracać na brzeg - powiedziała głucho królowa.

- Ale... - zaczął Faask, jednak Safira pokręciła głową.

- Kap-i-tan Garrett nie może się nami teraz zająć. Musi wyczerpać wszystkie siły, żeby uratować swój okręt. Jesteśmy ludem lądowym, ale widzę, skąd wiatr wieje. Jeśli *Donaghey* będzie miał szczęście, zdryfuje niebawem za przylądek. Może uda im się go naprawić na tyle, żeby mógł później po nas wrócić. Jeśli nie zdoła ominąć przylądka, rozbije się i nijak nie zdołamy mu pomóc.

Przez dłuższą chwilę obserwowali dryfujące z wiatrem okręty. Pojawiające się przy nich niekiedy kłęбки dymu dowodziły, że walka nie ustała. Królowej wydało się, że słyszy nawet jęki rannych i wykrzykiwane rozkazy, ale to musiała być jej wyobraźnia. *Donaghey* walczył o przetrwanie i królowa winna pomyśleć o tym samym dla siebie i swoich ludzi. Wiedziała jednak, że jeśli fregata nie wróci, ewakuacja stanie się o wiele trudniejsza. Teraz grikowie będą lepiej pilnować wybrzeża, a skoro mają działa, mało kto odważy się do niego zbliżyć.

Była pewna, że gdyby nie przypadkowa eksplozja, okręt sojuszu pokonałby wszystkich trzech przeciwników. Grikowie nie umieli jeszcze dobrze wykorzystywać dział. Uczyli się jednak i niebawem nabiorą doświadczenia w tej materii, wykorzystując chociażby przewagę liczebną. Następnym razem wyślą tuzin jednostek tam, gdzie dzisiaj wysłali tylko trzy.

Safira pomodliła się do Słońca za *Donagheya* i swojego przyjaciela Garretta. Oby uszedł ostatniemu przeciwnikowi i zdołał szybko naprawić największe uszkodzenia. Może wówczas przyplynie po nich wcześniej niż grikowie. Gdy pomyślała o Garrecie, przypomniała sobie jeszcze o kimś. Co Chack teraz myśli? Co robi, zwłaszcza jeśli Safira pozostanie uwięziona daleko na tyłach przeciwnika. Chack towarzyszył teraz kapitanowi Reddy'emu w wyprawie na Filipiny, ale przecież dowie się wszystkiego przez radio, gdy tylko *Donaghey* zawinie do portu. Smutek ogarnął królową Maraan, gdy zdała sobie sprawę, jak daleko jest od ukochanego.

- Do brzegu - powiedziała nieswoim głosem.

*

Godzinę po eksplozji jednostka grików znalazła się w jeszcze większych tarapatach. Z pozoru wydawała się lekko uszkodzona, ponieważ zachowała wszystkie maszty i straciła tylko żagle, jednak jak dotąd załoga nie próbowała nawet zastąpić powiewających na rejach strzępków nowymi płótnami, które okręt powinien mieć w zapasie. Pokład przypominał mrowisko, w które ktoś wetknął kij. Ocalali wojownicy biegali po nim bez ładu i składu, wrzeszcząc coś wściekle, podczas gdy ich okręt dryfował coraz bliżej przybrzeżnych płycizn. *Donaghey*, który ciągle mógł sterować, zdołał wejść na kurs omijający cypel przylądka. Kanonada na dobre nie umilkła, tyle że grikowie zdawali się strzelać na wiwat, nie zwracając uwagi nawet na to, czy są zwrócenii burtą w kierunku przeciwnika. Wszystko to wyglądało bardzo dziwnie i oznaczało zapewne, że załoga jaszczurów straciła wszystkich oficerów, a pozostali przy życiu Uul nie mieli pojęcia, co robić w tej sytuacji. Gdy stało się jasne, że nie trzeba już przejmować się wrogiem, większość kotowatych zajęła się ratowaniem własnego okrętu. Uszkodzony żaglowiec jaszczurów był coraz bliżej huczących fal przyboju.

Garrett siedział na pokładzie rufowym i ocierał twarz czapką, krzywiąc się, gdy miejscowy lekarz zajmował się jego raną. W udo wbiła mu się wielka drzazga i kolejna fala bólu, wywołana jej usunięciem, zaczynała dopiero słabnąć. Otaczał go trudny do ogarnięcia chaos. Wszędzie leżały mniejsze i większe kawałki drewna przemieszane ze strzępami płótna, nad nimi zawisała zaś piekielna częściowo nadpalona płatanina żagli i lin. Garrett przez ostatni rok widział sporo walki, chociaż zawsze brał w niej udział jako członek załogi niszczyciela. Wiedział, że wojna na morzu jest równie krwawa i okrutna jak każda inna, był jednak przekonany, że dojrzał do własnego dowództwa. Teraz nie był tego całkiem pewny.

Całe jego wykształcenie było związane ze stosunkowo nowoczesnym okrętem. Był dobrym oficerem artyleryjskim i szybko się przekonał, że obsługa dział na żaglowcu bardzo przypomina prowadzenie ognia na *Walkerze* w wariancie samodzielnego wyboru celów przez poszczególne stanowiska. Znał też nawigację, a stary podręcznik podpowiedział mu, co może być ważne na pokładzie żaglowca. Walka toczyła się według tej samej zasady co zawsze: zniszcz przeciwnika, zanim on zniszczy ciebie. Takie same były też skutki: zmiażdżone ciała, zalane krwią pokłady i poczucie nierealności, z którego trzeba było się otrząsnąć, gdy już ucichły strzały. Tyle że inne było tempo wydarzeń i warunki prowadzenia walki. Nie oczekiwał na przykład, że zwykłe drzazgi mogą być aż takim zagrożeniem. Wiedział, że liczący dwadzieścia pięć lat niszczyciel jest jednostką bardziej złożoną, jednak tradycyjny żaglowiec uświadomił mu, jak trudne jest morskie rzemiosło. Zwłaszcza gdy połączyć je z brutalną siłą.

Wciąż słyszał dokoła krzyki i jęki rannych przebijające się przez skrzypienie drewna i stukot toporów. Czasem rozlegał się wystrzał z działa, bo zaraz po uprzątnięciu tego, co zasłaniało niektóre furty działowe, zaczęli ponownie utrudniać życie równie uszkodzonemu przeciwnikowi. Poza tym jednak panowała niepokojąca cisza. Brakowało huku nawiewników, wizgu turbin, wibracji pokładu. Słyszać było tylko wiatr, którego kaprysy mogły przesądzić o ich losie, o ile nie przyłożą się wystarczająco do zmiany kursu.

- Wstrzymać ogień - rozkazał przez zaciśnięte zęby, gdy Chappelle zjawił się z meldunkiem. Jasnowłosy torpedysta nie wyglądał na rannego, ale miał podartą i poplamioną krwią koszulę.

- Właśnie to zrobiliśmy, skipper - odparł. - Uznałem, że chłopaki dość sobie poćwiczyły jak na jeden dzień. - Wzruszył ramionami. - Poza tym Taak wziął moich ludzi do sprzątnięcia pokładu.

Garrett pokiwał głową i spróbował skupić spojrzenie na nieprzyjacielskiej jednostce, która coraz mocniej kołysała się na falach przyboju.

- Jeszcze kilka chwil, a będzie po nich - mruknął. - Jak łodzie z uchodźcami?

- Wróciły bezpiecznie na brzeg - odparł Chappelle. - Może nawet niepotrzebnie. Jeśli uporamy się szybko ze wszystkim, za kilka godzin możemy po nich wrócić.

Garrett pokręcił głową.

- Dobrze zrobili - powiedział. - Na pewno nie damy rady przed wieczorem. O ile miniemy ten przyłodek, oczywiście - dodał, sprawdzając kierunek wiatru i próbując ustalić, jakim dokładnie kursem dryfują. - Jest za gorąco, żeby czekać tyle czasu w łodziach.

- Z cyplem nie będzie problemu, wyrobimy się - rzekł Chappelle. - Ale pewnie ma pan rację. Trudno przywyknąć do pływania bez silnika.

- O tym samym pomyślałem - mruknął Garrett. - W ogóle do wielu rzeczy trudno tu przywyknąć.

- Tylko niech się pan nie zadręcza, skipper. Zrobił pan co trzeba. - Wskazał na skazany na zagładę okręt grików, który tak gwałtownie się kolebał, że lada chwila mogły mu strzelić maszty. I rzeczywiście, w pewnej chwili grotmaszt złamał się z rozgłośnym, choć stłumionym przez odległość trzaskiem, i runął do morza. Niewiele później jego los podzieliły pozostałe dwa. Bezwładny kadłub nie miał już żadnych szans, jednak Garrett nie potrafił współczuć jego załodze, której zostało tylko kilka minut życia.

- Sam przeciwko trzem... I trzy do zera, bo ciągle pływamy. Całkiem niezły wynik - stwierdził filozoficznie Chappelle. - Owszem, oberwaliśmy i trochę nam popsuło nowy okręt, ale przede wszystkim przez ten wybuch. Ich działa były mało skuteczne. Parę tygodni w

stoczni, trochę farby i wszystko będzie dobrze.

- Niby tak, ale nie do końca - warknął Garrett. - Pewnie rzeczywiście wystarczy kilka tygodni, ale sama farba to nie wszystko. Najgorsze, że na razie *Donaghey* jest wyłączony z walki. Ich stać na straty w proporcji trzy do jednego, nas nie. A przede wszystkim... oni mają działa! Skąd je wytrzasnęli? Ile ich mają i jak szybko potrafią je odlewać? Żeby to... Naszą największą przewagę diabli wzięli! Owszem, na razie nie umieją ich używać, ale się nauczą. Następnym razem pewnych błędów nie popełnią, a my nie jesteśmy gruntownie wyszkoleni w prowadzeniu takiej właśnie walki.

- Skąd je wzięli, wydaje mi się oczywiste - mruknął Chappelle. - Japońce im pokazali, jak to się robi.

Taak-Fas przedarł się przez rumowisko na pokładzie i podbiegł do kapitana. Dźwignął coś dużego.

- Kapitanie, liny prawie już przecięte, za moment bezanmaszt spadnie za burtę - powiedział z uśmiechem. - Być może wolałby pan być gdzie indziej, gdy do tego dojdzie.

- Oczywiście.

Chappelle i lekarz pomogli Garrettowi wstać. Zaraz zjawił się też jeden z sanitariuszy, cały umazany krwią. Kapitan odprawił go gestem dłoni i kotowaty pobiegł z powrotem tam, skąd go odwołali.

- Gdy tylko uporamy się z tym jednym masztem, pozostałe dwa zaczną lepiej ciągnąć - powiedział Taak. - Będzie dobrze - stwierdził z ulgą i Garrett też odetchnął. Dobrze mieć tak kompetentnego pierwszego, pomyślał. Usłyszawszy ożywione głosy, spojrzał ponownie na okręt grików, który był już w obszarze przyboju. Kolejna fala wdarła się na pokład, zmywając wiele ciemnych sylwetek. Ciekawe, czy zdążą się utopić, nim ich ryby dopadną, zastanowił się kapitan. Wciąż nie współczuł przeciwnikowi, ale wiedział, że niewiele brakowało, by sam się znalazł w takiej sytuacji, a zdecydowana wrogość morza była jeszcze jednym elementem charakterystycznym tylko dla tego świata.

- Pomóżcie mi zejść pod pokład, zanim ten maszt upadnie - powiedział. - W przeciwnym razie zaraz do nich dołączymy. - Zatrzymał się nagle. - Co tam masz, Taak?

Lemur uniósł przedmiot, który przyniósł, i spojrzał na niego z zainteresowaniem.

- Kulę armatnią grików. Toczyła się po pokładzie. Jest mniej więcej tego samego rozmiaru co nasze, ale odmienna. Proszę. - Podał ją Garrettowi. - Mam swoje obowiązki, pan zaś musi zostać porządnie opatrzony. Zapewniam, kapitanie, że chwilowo sobie poradzę.

Garrett przyjął kulę i zaśmiał się. Taak miał rację. Naprawy szły własnym torem i trzeba było zejść im z drogi. Taak zamienił z lekarzem kilka słów we własnym języku, potem

medyk i Chappelle pomogli kapitanowi pokonać zejściówkę. W mesie posadzili go na krześle obok innych, zwykle poważniej rannych, którymi już się zajmowano. Garrett koniecznie chciał ich zobaczyć. Niektórzy byli bardzo mocno poszkodowani, w większości zapewne za sprawą lecących jak pociski kawałków drewna. Uspokojony, że okręt jest w dobrych rękach, a jego noga niebawem będzie, spojrzął na leżącą na kolanach kulę.

Działa, które pomogli lemuirom odlać, były z brązu. Holenderskie Indie Wschodnie obfitowały w łatwo dostępne złoża miedzi i cyny. O żelazo było tu o wiele trudniej, trudniejsza też była jego obróbka. Bardzo go potrzebowali do napraw obu niszczycieli oraz do wielu innych przedsięwzięć, ale w sumie jakoś sobie radzili. Do wyrobu dział gładkolufowych brąz był nawet lepszy. Lepiej znosił odkształcenia i nie musieli tak pilnować kontroli jakości. Pociski robili z miedzi, co okazało się całkiem dobrym rozwiązaniem. Wiedzieli jednak, że bez dostępnego w odpowiednich ilościach żelaza pewnych gałęzi przemysłu nigdy nie rozwiną, chociaż byli przekonani, że borykającemu się z tymi samymi ograniczeniami przeciwnikowi będzie jeszcze trudniej. Ta pewność właśnie się rozwiąła. Garrett zrozumiał z przerażeniem, że grikowie nie tylko dorównali im technologicznie, ale pod pewnym względem nawet wyprzedzili.

Kula armatnia, którą tak oglądał, była z żelaza.

Boże, pomyślał. I mają go tyle, że mogą je marnować na kule. Mój Boże...

ROZDZIAŁ 5

Hisashi Kurokawa, kapitan należącego do Cesarskiej Marynarki Wojennej Japonii krążownika liniowego *Amagi*, chodził nerwowo tam i z powrotem po mrocznych antyszambrach pałacu regenta. Gospodarza, postawnego jaszczura imieniem Tsalka, akurat w nim nie było. Nie pojawił się tutaj od klęski zadanej Wielkiemu Rojowi i *Amagiemu* przez nadrzecznych oraz ich amerykańskich sojuszników. Wrócił na Cejlon, gdzie zapewne oczekiwał na śmierć po tej porażce albo na wezwanie do Matki, cesarzowej grików mieszkającej w pałacu na Madagaskarze.

Kurokawa nie przypuszczał, żeby dane mu było jeszcze kiedyś ujrzeć Tsalkę. Jeśli popłynie na Madagaskar, zostanie zapewne zlikwidowany zaraz po wylądowaniu. Jeśli egzekucja nie odbędzie się po zakończeniu audiencji. Może nawet zostanie pożarty żywcem, pomyślał z nadzieją kapitan. Wprawdzie Tsalka towarzyszył rojowi tylko jako pasażer i nie dowodził operacją, był jednak najwyższym rangą grikiem w tej części świata, a jego lud nie miał pobłażania dla niepowodzeń. Podobnie jak w Japonii, kara mogła osiągnąć każdego związanego z klęską, nawet jeśli nie był za nią bezpośrednio odpowiedzialny.

W ostateczności, nawet jeśli nie zamierzano go zabić, istniała szansa, że nie przeżyje podróży na Madagaskar. Ocean Indyjski nie był bezpiecznym akwenem. Wydawało się, że w tym świecie im głębsze były jakieś wody, tym większe potwory w nich żyły. Największe mogły połknąć cały statek. Kurokawa uśmiechnął się na tę myśl. Nie cierpiał Tsalki, zresztą tak jak wszystkich grików, chociaż wstawiennictwo regenta uchroniło i jego, i całą załogę krążownika przed pożarciem zaraz po spektakularnej klęsce. Kapitan nie poczuwał się jednak do szczególnej wdzięczności, skoro i tak jedna dziesiąta jego marynarzy, prawie sześćdziesięciu ludzi, trafiła na rożen podczas uczy „sojuszników”. Zapewniano go przy tym, że to żaden wyraz wrogości, tylko tradycja. Myśliwy, który nie zdołał upolować wystawionej mu zwierzyny, zawsze był zjadany w jej zastępstwie. To, że podczas tej akcji amerykańska torpeda omal nie zatopiła jego okrętu, nie miało większego znaczenia.

Kurokawa uważał to za niesprawiedliwe, ale po prawdzie nie był specjalnie przywiązany do swoich ludzi i nie zamierzał wylewać po nich łez. Ostatecznie wszyscy byli tchórzami i zdrajcami. Zwłaszcza jego pierwszy oficer, komandor Sato Okada, który nieustannie krzywił się na jego rozkazy i gdyby tylko mógł, pewnie próbowałby dogadywać

się z Amerykanami. Już teraz wszedł w niepokojącą komitwę z amerykańskim jeńcem, którego przetrzymywali. Co gorsza, Okada nie był wyjątkiem. Cała załoga nie rozumiała, czym jest wierność cesarzowi. Inaczej nie dopuściłaby do klęski. Gdy ten dziwny sztorm przeniósł ich na drugą stronę, *Amagi* stał się najpotężniejszym okrętem wojennym w tym świecie. Było tylko kwestią czasu, kiedy dzięki niemu zdobędą władzę nad grikami. Jaszczury były paskudnymi stworzeniami, ale najwyraźniej zdominowały ten świat. Gdyby udało się zyskać silną pozycję, Kurokawa mógłby podporządkować sobie tę ich Niebiańską Matkę, a może nawet pozbyć się jej, żeby samemu objąć władzę nad Ziemią. Oczywiście w imieniu cesarza Hirohito.

Bezwartościowa załoga krążownika udaremniała te plany. Przynajmniej na razie. Najpotężniejszy okręt świata został poważnie uszkodzony przez nędzny amerykański niszczyciel, którego nawet biali uważali jeszcze przed wojną za przestarzały. Kurokawa nie widział zatem powodu, żeby dbać o dobro załogi, skoro ona nie dbała o jego pozycję. Tyle że martwi nijak by mu się nie przydali. Co gorsza, bez tej załogi przestałby znaczyć cokolwiek dla grików. Z konieczności robił więc co mógł, żeby utrzymać ją przy życiu i w dobrej formie.

Tsalka nie był jednak tak łaskawy z własnej inicjatywy. Był to skutek interwencji wodza Esshka, który także sporo zawinił w tej bitwie, twardo jednak obstawał przy tym, że Japończycy i ich potężny, choć poważnie uszkodzony okręt mogą się jeszcze przydać. Kto wie, czy się nie przyczynią do rozstrzygającego zwycięstwa. Esshk uświadomił Tsalce, że dawne sposoby walki, w których uśmiercanie ofiar traktowano prawie jak sport, mogą się tym razem nie sprawdzić. Z nadrzewnymi, którzy wymknęli się grikom wieki temu, obecnie naprawdę należało się liczyć.

Kurokawa dowiedział się, że gdy jaszczury pierwszy raz natknęły się na tę dziwną rasę, nie była ona dla nich ani trochę większym wyzwaniem niż inne gatunki drapieżników, które wytepiły już wcześniej. W razie niebezpieczeństwa futrzane stwory chroniły się na drzewach, a gdy już podejmowały walkę, niewiele z tego wynikało. Niemniej w odróżnieniu od innych ofiar nadrzewni zdołali uciec. Wiedzeni desperacją zbudowali wielkie statki i pokonali na nich śmiertelnie groźne morze, na które grikowie nie śmieli wypływać. Musiało minąć paręset lat, nim plemię jaszczurów otrzymało swoisty prezent, którym był pełnomorski statek zbudowany przez dziwną rasę bezogoniastych. Byli trochę podobni do Japończyków, jak wspomniał pewnego razu Esshk, i zjawili się na trzymasztowcu o mocnym i pomysłowo skonstruowanym kadłubie. Nikt nie wiedział, skąd przybyli, ale w sumie nie miało to najmniejszego znaczenia. Ostatecznie wszyscy zostali zjedzeni, statek zaś posłużył grikom za

wzór dla własnych jednostek. Zachowano też pełen morskich terminów język obcych - w piśmie, gdyż żaden grik nie umiał wymówić jego słów. Tak oto jaszczury dorobiły się własnego przemysłu stoczniowego, chociaż wszystkie budowane przez nich statki były mniej lub bardziej wiernymi kopiami dawnego żaglowca należącego do brytyjskiej kompanii działającej w Indiach Wschodnich. Posłużyły jednak do rozszerzenia granic jaszczurzego imperium, chociaż był to powolny proces. Nawet te jednostki nie nadawały się do bezpiecznego żeglowania po tutejszych oceanach.

Dla Kurokawy cała ta opowieść miała nawet sens. Przypuszczał, że jakiś kompanijny statek musiał trafić tu wieki temu w podobny sposób jak *Amagi*. Tylko, że nie był uzbrojony. Kurokawa uznał, że to nad wyraz dziwne. Z tego, co wiedział, Brytyjczycy nie zwykli pływać po tych wodach bez okazałego arsenału na pokładzie. Wystarczał on zwykle nie tylko do obrony przed piratami, ale pozwalał nawet na odparcie ataku okrętu wojennego. Chyba że ci dawni marynarze dowiedzieli się wcześniej czegoś o grikach i nie chcieli, żeby „nowoczesna” broń trafiła w ich ręce. Może wyrzucili wszystkie armaty za burtę? Jeśli tak, co chcieli w ten sposób ochronić? Tak czy owak grikowie nie znali dotąd dział. W przeciwnym razie nie byłiby tacy wstrząśnięci, gdy Amerykanie użyli ich w walce.

Kurokawa zacisnął ze złością zęby. Nienawidził tych Amerykanów! Przez nich się tu znalazł, zamiast cieszyć się teraz japońskim zwycięstwem na Pacyfiku. Kto wie, może wojna w ogóle dobiegła już końca? Otoczona fałszywą sławą US Navy okazała się słaba i nieporadna. Po Pearl Harbor nie umiała się przeciwstawić śmiałym japońskim atakom. Jeśli przez ten rok, który minął od szkwału, wojna toczyła się podobnym torem, a nie było powodu, żeby przypuszczać cokolwiek innego, być może cesarska marynarka wojenna dyktowała już teraz warunki kapitulacji, kotwicząc wielką siłą w Zatoce San Francisco. I on też powinien tam być. Powinien móc cieszyć się zasłużoną sławą. Tymczasem utkwiał w tym barbarzyńskim świecie, w którym jego cesarz nie miał żadnych wpływów. Wszystko przez Amerykanów. Pewnego dnia za to zapłacą.

Dobrze, że chociaż wódz Esshk poznał się na nim, docenił jego talenty. Obecnie pełnił obowiązki regenta, wybrawszy sobie na kwaterę dawny pałac króla Aryaalu. Nawet Kurokawa musiał przyznać, że to wspaniała budowla. Wzniesiona z białego marmuru, z wieżami i przestronnymi balkonami, przypominała architekturę średniowiecznej Europy Wschodniej. Rzucała się przy tym w oczy, ponieważ ostała się jako jedyny budynek w obrębie murów miejskich. Aryaal został podbity tylko w tym sensie, że nie należał już do przeciwnika. Pierwsza próba opanowania miasta zakończyła się katastrofą i gdy w końcu do niego weszli, ujrzeli tylko wypaloną i opuszczoną pustynię. Został jedynie pałac i trudno było

powiedzieć, dlaczego właśnie on.

Kurokawa sądził, że to Amerykanie odpowiadali za tę taktykę spalonej ziemi. Tak samo wyglądało miasto na niedalekiej wyspie B'mbaado. Trudno przypuszczać, żeby ich kosmate sługusy same mogły to wymyślić. Nie znaleźli tu ani żywności, ani schronienia przed nawiedzającymi często tę okolicę sztormami. Cokolwiek potrzebowali, musieli sprowadzać morzem, obciążając i tak już rozciągnięte szlaki zaopatrzeniowe. Amerykanie wydłużyli również w ten sposób czas potrzebny do odbudowania sił przed kolejną ofensywą. Ofensywą, na którą Kurokawa czekał niecierpliwie, wiedząc, że tylko sprawdzisz się w walce, może znowu pomarzyć o realizacji swojego dalekosiężnego planu.

Tapiserie oddzielające poczekalnię od sali audiencyjnej rozsunęły się, ukazując przerażającą mordę grika. Zasadniczo był dwunogim jaszczurem, tyle że z krótką pierzastą okrywą zamiast łusek. Pysk i ogon miał krótsze, niż zwykle miały podobne gady, ale gęsto osadzone i ostre zęby mogłyby wpędzić w kompleksy rekina. Spojrzał zimno na Kurokawę i dopiero po chwili się odezwał:

- Wiceregent pana oczekuje.

Powiedział to po swojemu, sycząc i klaskając, ale kapitan nauczył się rozumieć „sojuszników”, chociaż nie potrafił tak mówić. Brakło mu długiego na stopę języka i parucalowych zębów. Grikowie mieli ten sam problem - pojmowali angielski, ale nie mogli niczego w nim powiedzieć. Niemniej większość Hij umiała pisać po angielsku. To był ich język wiedzy. Tak też Kurokawa zwykle się z nimi porozumiewał - za pomocą przekazywanych z rąk do rąk karteczek. Z Esshkiem mógł jednak rozmawiać w miarę normalnie.

W japońskiej marynarce wojennej przyjęło się, że wszyscy wyżsi oficerowie powinni znać angielski, skoro większość komend zaczerpnięto właśnie z tego języka. Kapitan wiedział, że ta tradycja zrodziła się na przełomie wieków, gdy Japonia zaczęła budować w brytyjskich stoczniach swoje pierwsze pancerniki. Współpraca zacieśniła się jeszcze podczas wielkiej wojny, w której oba kraje były sojusznikami. Od tamtego czasu wszystkie instrukcje powstawały w marynarce japońskiej po angielsku, często nawet używano tego języka na co dzień. Nippon miał raczej skromne tradycje morskie i czerpał, skąd się dało. Jednym z takich zwyczajów stało się używanie angielskiego na mostku. Zrezygnowano z tego jeszcze przed obecną wojną, co niezmiernie cieszyło Kurokawę, choć teraz znowu był zmuszony korzystać z tego języka.

Opanowawszy dreszcz, skłonił się sztywno, poprawił mundur i wmaszerował szybkim krokiem do komnaty audiencyjnej.

Esshk przypominał upiornego gargulca przebranego za rzymskiego trybuna. Miał na sobie szkarłatną pelerynę, lśniący napierśnik i zwieńczony pióropuszem hełm. Nawet lekko przygarbiony górował nad japońskim oficerem, zwłaszcza że głowę starał się trzymać tak prosto, na ile mu pozwalała anatomia. Przed obecnymi problemami był ulubieńcem elit grików i uznawano go za największego żyjącego wodza. Miał nawet jakieś potomstwo z cesarzową. Co niezwykle, cieszył się także sławą wielkiego filozofa. Kurokawa przekonał się już, że Esshk rzeczywiście zadziwia inteligencją i nie jest więznięm stereotypów. Nie odrzucał z miejsca każdego nowego pomysłu i niekiedy potrafił wykraczać nawet poza ograniczenia instynktów. Zależnie od okoliczności było to jego wadą albo zaletą. Trudno też było ocenić, na ile daje sobą manipulować, na ile zaś sam manipuluje rozmówcą.

Wódz, zauważywszy kapitana, odprawił jaszczura, z którym właśnie rozmawiał.

- Kapitan Kurokawa! - wyszczał. - Ufam, że dobrze się pan miewa?

Japończyk skłonił się głęboko. Zwyczaj nakazywał paść przed regentem na twarz, ale Kurokawa nie był skłonny aż do takiej czołobitności. Co dziwne, Esshk nie miał mu za złe tego naruszenia protokołu.

- Nie narzekam, wasza ekscelencjo. Niemniej narasta we mnie niecierpliwość.

- Znowu chciałby pan podjąć łowy? To dobrze. Po to pana wezwałem.

- Są jakieś nowe wiadomości?

- Owszem. Kilka dni temu wysłałem zespół trzech okrętów z naszym nowym uzbrojeniem na patrol przy wschodnim wybrzeżu sąsiedniej wyspy. - Mówiąc to, skłonił się nieznacznie kapitanowi, który odegrał niepoślednią rolę w opracowaniu owego uzbrojenia. - Miałem nadzieję, że napotkają którąś z kręcących się tam czasem jednostek nieprzyjaciela. I rzeczywiście doszło do spotkania.

Kurokawa opanował irytację. Niejednokrotnie radził wodzowi skrywać fakt, że grikowie mają już działa, i poczekać do czasu, gdy będzie ich dość do zadania decydującego ciosu. Nieustannie zdumiewał się, jak istoty opierające swoją taktykę walki na zmasowanym ataku nie doceniały znaczenia przewagi liczebnej. Jednak był to stary spór i nie było co do niego wracać. Poza tym być może starcie okazało się zwycięskie. Esshk był wyraźnie w dobrym nastroju.

- Zakładam, że nieprzyjacielski okręt został zniszczony? - spytał.

- Niestety nie. Tylko poważnie uszkodzony. Ale gratuluję wytrwałości w szkoleniu obsługi dział. - Wódz zastanowił się. - Chyba dobrze będzie je zintensyfikować.

Kurokawa westchnął. Oczywiście nie prowadził tych szkoleń osobiście - do tego miał ludzi z załogi - ale słyszał od nich, że uczenie ledwie rozumnych Uul czegokolwiek poza

rzucaniem się z szablą na wroga jest jak czerpanie morza sitem. Będzie musiał porozmawiać z odpowiedzialnymi za szkolenia i sprawdzić, czy można zrobić coś więcej.

- Zapewne - odrzekł Kurokawa. - Z całym szacunkiem, a jakie straty poniosły nasze siły?

Esshk machnął pazurzystą łapą.

- Całkowite - odparł. - Wszystkie trzy okręty zostały zniszczone. Dwa zniszczyła eksplozja czarnego proszku. Chyba doszło do jakiegoś pożaru na pokładzie jednego z nich. - Uniósł gwałtownie pysk w geście, który był jaszczurzym odpowiednikiem ludzkiego wzruszania ramionami. - Trzeci stracił żagle i fale wyrzuciły go na brzeg. Statek zdobywszy uciekł mimo uszkodzeń. Potem próbował jeszcze wrócić, ale został odpędzony przez kolejny patrol trzech okrętów z działami. Może chcieli ratować swoich, którzy zostali na wyspie? - Zastanowił się. - Mało prawdopodobne, ale może jednak... - Spojrzał na Kurokawę w sposób, który mógł oznaczać pewną dozę szacunku. - Gdyby nie mój w pewnej mierze niezwykle rozkaz, w ogóle nie poznalibyśmy przebiegu walki i nie byśmy nie wiedzieli o skuteczności nowych dział. A tak udało się uratować z wraku dziesięciu Uul. Zapewne tamtym chodzi o to samo. Są ciekawi, co zaszło tutaj od czasu, gdy się wynieśli. Ale wracając do ocalałych: nie kazałem ich zabić. Chcę sprawdzić, czy i w tym nie ma pan racji. Zostali pokonani, ale nie rozbici. Uznałem, że to przeciwnik uciekł, nie oni. Niech przekażą swoje doświadczenia z walki innym i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Kurokawa był naprawdę zdumiony. Wiele razy starał się wyjaśnić Esshkowi, jakim marnotrawstwem jest fizyczna likwidacja żołnierzy, którzy nie zdołali odnieść zwycięstwa. Owszem, czasem było to konieczne. Chodziło o rasę doskonale wyposażonych przez naturę drapieżników, które rzadko wykraczały w swoich wzorcach zachowań ponad instynkt. Dotyczyło to zwłaszcza Hij, ponieważ Uul zdobywali się niekiedy na coś więcej, niemniej i oni mieli kłopot ze zrozumieniem, na czym polegają działania obronne. Atak był dla nich najnaturalniejszą i jedyną formą walki. Jeśli ofiara próbowała stawiać opór, podsycalo to tylko agresję napastnika, który uważał, że jak długo atakuje, tak długo jest zwycięzcą niezależnie od ran, które mógł odnieść. Jeśli jednak atak został odparty albo i sam atakujący został zmuszony do ucieczki... Cóż, wilk który uciekł przed owcą, nie jest już wilkiem.

Doświadczenie ucieczki zmieniało coś w grikach, coś przeskakiwało w ich prymitywnych mózgach, które dotąd trudno było podejrzewać o złożone reakcje. Po bitwie pod Aryaalem Kurokawa na własne oczy widział, jak wojownicy Wielkiego Roju unicestwili masę jaszczurów, którzy wrócili pokonani do Singapuru. Wtedy uznał to za bezmyślną rzeź, potem jednak trochę nad tym myślał. Uznał w końcu, że przegrywający walkę grikowie

ulegają nieopanowanemu impulsowi pchającemu ich do ucieczki. Na oślepie bez oglądania się za siebie. Wpadali chyba w paniczny strach, jakby nagle uznawali, że oto napotkali drapieżnika groźniejszego niż oni sami. Teoria brzmiała prawdopodobnie. Grikowie walczyli tak, jak walczy agresywny tłum, w pewnej sytuacji mogli więc zmienić się łatwo w tłum uciekający.

Kapitan tłumaczył wodzowi, że z klęski też można wyciągnąć naukę i nie zawsze przegrana jest hańbą. Na przykład wtedy, gdy wojownik nadal chce walczyć, ale okręt z jakiegoś powodu odmówi posłuszeństwa. Takie doświadczenie nie musi wcale pozbawiać zdolności do walki. Sięgnął po ten argument głównie po to, by wyjaśnić, że storpedowanie *Amagi* nie umniejszyło jego znaczenia jako dowódcy i nie uczyniło go zdobyczą. Myślał wtedy bardziej o sobie niż grikach, ale wyglądało na to, że jego argumentacja trafiła Esshkowi do przekonania. Wiele razy widział, jak jaszczury porzucały albo zabijały wyszkolone załogi tylko dlatego, że ich okręt zatonął, przez co traciły cennych fachowców i odsuwały tym samym chwilę zwycięstwa. Esshk musiał chyba dojść do wniosku, że to nie najlepsze podejście, i postanowił spróbować innego.

- Zdołali uciec tym trzem następnym statkami? - spytał głośnie Kurokawa.

- Niestety tak.

- Amerykanie... Wszyscy oni dowiedzą się teraz, że pozbawiliśmy ich głównej przewagi. To może nas drogo kosztować.

- Być może. Ale nie wiedzą, jak bardzo ich wyprzedziliśmy.

- Wyprzedziliśmy? - spytał zdumiony Kurokawa.

- Tak. Założone przez was na Cejlonie fabryki dokonują prawdziwych cudów. Raz jeszcze miał pan rację, sugerując lepsze traktowanie tamtejszych robotników niż zwykłych Uul. Doceniają to i starają się ze wszystkich sił. Wy, Japończycy, jesteście zadziwiający. Tacy drobni, a jakże użyteczni. I pomyśleć, że Tsalka tylu was zmarnował, podając na ucztach. Jestem pewien, że teraz zmieni postępowanie.

- Jeśli żyje - zauważył Kurokawa.

- Żyje. Dziś przysłała wiadomość. Między innymi dlatego pana wezwałem. Aby powiedzieć, że Tsalka nie tylko żyje, ale i cieszy się łaskami Niebiańskiej Matki. Jego szybki statek wrócił z błogosławieństwem cesarzowej dla naszej strategii i instrukcją, żeby Tsalka nadal się wami opiekował. Cesarzowa wychwala też odwagę japońskich pomocników. Niech pan tylko pomyśli: sama Niebiańska Matka dowiedziała się o waszym istnieniu. To wielki zaszczyt!

- Istotnie - odparł zdawkowo Kurokawa.

- Niebawem wszyscy grikowie będą mogli używać waszych wspaniałych armat. Zanim księżyc znowu zniknie z nieba, z Cejlonu przybędzie kolejne dziesięć już uzbrojonych jednostek. W ładowniach przywiozą ponad dwieście luf, co wystarczy dla tych dziesięciu okrętów, które już mamy. Księżyc później przybędzie następny tej wielkości, a wraz z nim Tsalka na czele wielkiej floty, która dołączy do roju. Mając pańskiego *Amagiego* oraz czterdzieści okrętów z działami i setki zwykłych żaglowców z setkami tysięcy Uul na pokładach, będziemy niezwyciężeni. I wtedy uderzymy!

- Już za półtora miesiąca? Tak wcześnie?

Esshk spojrział uważnie na japońskiego oficera.

- Nie rozumiem pańskiej postawy. Z jednej strony chce pan walczyć, z drugiej okazuje wahanie. Co pana trapi? Chyba nie wątpi pan w łatwe zwycięstwo naszej floty?

- Nie wątpię. Oni nie mają wielu jednostek, a największe, chociaż robią duże wrażenie, są mało zwrotne. Niepokoi mnie tylko ich żelazny okręt, amerykański niszczyciel. Jego działa mają większy zasięg niż wasze.

- *Amagi* się nim zajmie. Na pewno nie ma lepszych dział niż pański okręt?

- Oczywiście, że nie... Mam tylko nadzieję, że *Amagi* będzie do tego czasu gotowy.

Wódz spojrział na niego spod przymrużonych powiek.

- A będzie?

Hisashi Kurokawa pojął, że jego odpowiedź zadecyduje o tym, czy dożyje jutra. Zastanowił się nad postęпами prac remontowych, o ile można było je tak nazwać, i zadrzał z przerażenia. To była najtrudniejsza robota, jaką mógł sobie wyobrazić. Przede wszystkim w Aryaalu brakło suchego doku, a musieli zyskać dostęp do podwodnej części okrętu. Nie mogli też liczyć, że znajdą podobny dok gdziekolwiek indziej, zatem po dłuższej dyskusji z Esshkiem i jego inżynierami zdecydowali się na budowę koferdamu. Tuż przed odpływem wprowadzili obciążony tysiącami jaszczurów okręt w ujście rzeki, gdzie kadłub osiadł na mulistym dnie tuż pod osmalonymi murami miasta. Potem otoczono krążownik wbitymi w dno masywnymi palami, sprowadzonymi z dżungli rosnącej wiele mil za zaścieloną wciąż kośćmi równiną. Gdy konstrukcja nośna była już gotowa, technicy Kurokawy zaczęli szukać sposobu na zamontowanie drewnianych profili, które przygotowano na brzegu. Opuścili je na miejsce dźwigami, ale nadal nie wiedzieli, jak trwale je zamocować. Grikowie uznali sprawę za trywialnie prostą - wojownicy Uul zrobią co trzeba.

Kurokawa wciąż mieszkał na okręcie, widział więc, jak to przebiegało. Nie cierpiał jaszczurów, ale i tak zrobiło mu się niedobrze, gdy widział setki Uul wznoszących okrzyk bojowy i skaczących do wody w zbrojach, które ściągały ich na dno. Osłony chroniły ich

trochę przed atakami srebrzystych ryb, które błyskawicznie ściągnęły z całej zatoki, ale z góry przesądzały, że żaden z nich nie zdoła wypłynąć. Niektórzy przeżyli na tyle długo, żeby przywiązać we właściwym miejscu trzymany w pazurach odcinek liny, niemniej wkrótce woda zagotowała się od drapieżnych ryb. Na powierzchni pojawiły się kawałki ciał i różne pływające śmieci, które ginęły szybko w żarłocznych paszczach. Mimo to do wody posłano następnych kilkuset wojowników. Większość japońskich marynarzy odwróciła się, nie mogąc znieść tego widoku, ale Kurokawa patrzył jak zahipnotyzowany. Cóż za posłuszeństwo!

Druga fala zginęła szybciej niż pierwsza, ale gdy rozkazano ruszyć trzecią, na dole zrobiło się trochę spokojniej. Może ryby już się najadły? Mimo to tym razem wojownicy grików okazali nieposłuszeństwo. Zapewne dotarło wreszcie do ich prymitywnych umysłów, że nie wyjdą z tego żywi. Zamiast jednak odmówić wykonania rozkazu albo uciekać, rzucili się na swoich towarzyszy. Nie mieli żadnego oręża, ale ich naturalna broń była równie skuteczna. Szybko zostali spacyfikowani, a martwe ciała wrzucono do wody, jednak agresja nie ustała i zaczęła ogarniać coraz większą liczbę grików. *Amagi* uruchomił tymczasem pompy napędzane przez kilka ostatnich jeszcze kotłów i poziom wody w koferdamie zaczął wyraźnie opadać. Widząc to, Kurokawa zaproponował, żeby nie poświęcać już więcej wojowników.

Krótko potem uszczelnili ściany koferdamu i w ciągu tygodnia zaczęli naprawy. Tylko jakim kosztem! Zginęło zapewne kilka tysięcy Uul. Kapitan dowiedział się tego dnia czegoś ważnego o swoich „sojusznikach”. Teraz był już pewien, że Hij traktują wojowników wyłącznie jako narzędzia, a całe to gadanie, że są ich „dziećmi”, jest bez znaczenia. Życie nie miało tutaj żadnej wartości, liczyła się tylko użyteczność. To samo odnosiło się niewątpliwie do *Amagiego*... i samego Kurokawy.

Kapitan uniósł głowę i napotkał spojrzenie *Esshka*.

- Będzie gotowy - powiedział i pokiwał głową. - Wciąż mamy sporo do zrobienia przy kotłach i maszynach, tak że nie osiągnie poprzedniej prędkości, ale będzie gotowy do walki.

Esshk jakby trochę odetchnął. Kurokawa też.

- Wspaniale - powiedział wódz. - Możemy więc przejść do kolejnej kwestii. Chodzi o amerykańską skrzydlatą maszynę, którą nazwał pan łodzią latającą.

Kurokawę zapiekły policzki. Podczas kampanii przeciwko *Aryaalowi* okazało się, że Amerykanie mają sprawną *catalinę*. Nie dość, że dostarczała przeciwnikowi cennych informacji zwiadowczych, to jeszcze skutecznie atakowała okręty grików. Kapitan wciąż bolał nad tym, że nie zdołał jej zniszczyć, ale trzymała się powyżej pułapu donośności działań przeciwlotniczych krążownika, zadając głębokie rany prestiżowi Kurokawy.

- Musiała zostać zniszczona - odparł. - Wysłałem przeciwko niej jeden z moich samolotów. Uzbrojoną maszyną obserwacyjną. Od tamtej pory nikt jej nie widział.

- Ale pańska maszyna obserwacyjna także nie wróciła - zauważył Esshk. - Tak, że nie wiemy na pewno. Być może obie zniszczyły się nawzajem albo tylko pańska spadła, tamta zaś wróciła uszkodzona. A nie pojawia się, bo może nie mogą jej naprawić. Nie można jednak wykluczyć i takiej ewentualności, że nic mu się nie stało i czekają z nim na chwilę, gdy będzie mógł najbardziej nam zaszkodzić. Nie muszę panu mówić, jak niekorzystnie odbiła się obecność tej maszyny na naszych wojownikach.

Esshkowi nie chodziło tylko o ostrzał z pokładowych karabinów maszynowych. Jeszcze gorszy był efekt psychologiczny. Wielu przerażonych Uul wpadało w panikę na sam widok samolotu.

- Skoro to pana niepokoi, trzeba ustalić, czy w ogóle mają jeszcze ten samolot - odparł nazbyt pospiesznie kapitan.

- Proszę więc to zrobić.

- Jak?

Esshk aż syknął i Kurokawa zrozumiał, że został zapędzony w kozi róg. Tym razem nie musiał się zastanawiać, kto tu kim manipuluje.

- Z pomocą pańskiego cennego samolotu, oczywiście.

Na krążowniku został już tylko jeden wodnopławowiec.

Drugi stracili w pościgu za cataliną, reszta spłonęła, gdy zestrzelony przez amerykański niszczyciel japoński bombowiec nurkujący uderzył w jedną z katapult okrętu. Kurokawa tym bardziej nienawidził za to Amerykanów. Teraz został mu tylko osadzony na pływakach dwupłat Nakajimy typ 94. Stary, wolny i o małym zasięgu. Kapitan kazał go wyładować przed rozpoczęciem napraw. Nie uważał, żeby mógł mieć decydujące znaczenie w nadchodzącej kampanii, i zamierzał zostawić go w Aryaalu. Nie chciał też ryzykować, że straci maszynę. Jeśli miał rację i catalina została naprawdę zniszczona, samotny 95 był jedynym samolotem w tym świecie. Stercząc na katapulcie, byłby zbyt łatwym celem i mógłby zostać uszkodzony nawet przypadkowym trafieniem. Grikowie aż nazbyt chętnie używali bomb zapalających, a samolot z łatwopalnym paliwem był dodatkowym zagrożeniem dla jego okrętu. Paliwem, pomyślał kapitan, którego mieli ograniczony zapas.

Obecnie maszyna, zacumowana przy nabrzeżu, była pod opieką pilota i mechaników, których strzegł jeszcze liczniejszy kontyngent jaszczurów. Kurokawa wiedział, że ma on nie tyle chronić samolot, ile pilnować, żeby nikt nim nie odleciał.

Może to i dobrze, wzięwszy pod uwagę zdradzieckie pomysły załogi. Gdyby nie to,

pilot mógłby spróbować zbiec. Rozkazy przewidywały, że maszyna ma być gotowa do lotu, ale nie wolno nawet zapuszczać silnika. Raz, że należało oszczędzać każdy galon paliwa, a dwa - lepiej było nie dawać jaszczurom żadnego pretekstu do sankcji, które mogły doprowadzić do likwidacji wodnosamolotu albo i jedyne go pozostałego jeszcze pilota.

Jak dotąd Kurokawa opierał się żądaniom Esshka, żeby zrobić z samolotu właściwy użytek. Maszyna była jego asem w rękawie, jak powiedzieliby Amerykanie. Poza tym kazał swoim ludziom w pełni współpracować z grikami. Przekazali im tyle wiedzy o różnych technologiach, ile tylko mogli wykorzystać na swoim poziomie industrializacji. Pod względem militarnym przemieścili ich gdzieś do siedemnastego stulecia. Samolot jednak był wynalazkiem znacznie nowocześniejszym. Był dowodem, że jakkolwiek by się grikowie starali, nie dorównają dysponującemu magicznymi siłami Kurokawie. A trzeba przyznać, że latanie ich fascynowało. Co do cataliny, był przekonany, że nie musi się nią martwić. Musiała zostać co najmniej poważnie uszkodzona. Sam rozkazał pilotowi dwupłata, że w razie potrzeby ma się nawet uciec do staranowania przeciwnika. Jeśli zaś wróci, nie wykonawszy zadania, załogę czeka natychmiastowa egzekucja. Kapitan był pewien, że przy takiej motywacji pilot musiał zrobić wszystko co w jego mocy. Jeśli nawet catalina nie spadła, to nie nadawała się już do lotu, a w tym świecie nie było jej jak naprawić. To akurat dobrze wiedział, bo sam bardzo się tego obawiał. Niemniej jego niechęć do ruszenia samolotu stała się przyczyną napięcia narastającego między nim a Esshkiem.

Grikowie nie umieli latać nakajimą, nie próbowali więc nią zawładnąć. Zresztą nawet gdyby się tego nauczyli, kabina nie była przystosowana do ogoniastych pilotów. Na razie więc sztuka pilotażu była zastrzeżona dla Japończyków i Kurokawa uważał, że tak powinno pozostać.

Jednak tym razem Esshk nie chciał ustąpić.

- Pański samolot jest tak kruchy, że rozpadnie się po jednym locie? Skoro tak, jaki w ogóle może być z niego pożytek?

Do kapitana dotarła zawarta w pytaniu groźba. Innymi słowy, po co nam taki kapitan?

- Jest całkiem wytrzymały, wasza ekscelencjo, ale mamy do niego mało paliwa. Ponadto, jak wspominałem, jeśli zostanie uszkodzony, nie uda nam się go naprawić. Nie mamy koniecznych do tego materiałów ani narzędzi.

- Oni latali tym swoim samolotem, gdzie chcieli. Muszą mieć mnóstwo paliwa. Gdy je zdobędziemy, dostanie pan go nawet więcej, niż potrzeba. A tego drugiego nie rozumiem. To maszyna, prawda? Maszyna zbudowana przez pana lud. Na pewno wiecie, jak się je robi. Dość mam pańskich wymówek. Musi go pan użyć! Miecz, który trzyma się cały czas u pasa,

jest bezużyteczny.

- Ale materiały! Mówiłem panu, że w razie czego nie zdołamy dokonać napraw. Musimy poczekać z użyciem samolotu na właściwy czas. Na chwilę, gdy właśnie on będzie mógł przeważać szalę.

- Materiały! - syknął Esshk i Kurokawa zrozumiał, że przeciągnął strunę. Wiedział przecież, że wcześniejsza życzliwość wodza była tylko grą. - Ma pan na myśli metal? - spytał grik, chodząc po komnacie. - Przecież macie metal. Zrobiliśmy go dla was, byście mogli wyremontować okręt. Proszę ze mną nie igrać!

- Nawet nie próbuję, wasza ekscelencjo - odparł kapitan, stając na baczność i patrząc prosto przed siebie. - Jak wspominałem, metal, z którego robi się samoloty, to aluminium. To... magiczny metal, który można wytworzyć tylko w świecy, z którego pochodzę. Jest wytrzymały jak żelazo, ale o wiele lżejszy. Żaden samolot zbudowany z żelaza nie wznosiłby się w powietrze.

- No to użyjcie czegoś innego! - stwierdził już wściekły Esshk. - Ciągłe mi pan powtarza, że musimy dobrze rozpoznać przeciwnika przed atakiem. Pański samolot to jedyne, co może nam to umożliwić, a jednak odmawia pan jego użycia! - Spojrzał złowrogo na Kurokawę. - Nadal będzie się pan przy tym upierał?

Japończyk spojrział na grika i lekko rozchylił usta. Był przerażony jego zachowaniem, ale myślał o czymś całkiem innym. Czymś, co właśnie usłyszał... Oczywiście!

- Generale, samolot poleci - powiedział spokojnie. - A jeśli da mi pan wolną rękę, zbuduję wam ich więcej. Nie będą tak dobre ani szybkie jak ten jeden, ale zrobię samoloty, na których nawet grikowie będą mogli latać. Uprzedzam tylko, że zajmie to wiele czasu. Znacznie więcej niż budowa tych nowoczesnych okrętów, nad którymi zaczęliśmy już pracować. Ale mogę to dla pana zrobić, ponieważ jest pan naszym przyjacielem. Ale poproszę o coś w zamian.

Esshk szeroko otworzył oczy i poruszył nozdrzami. Potem wykrzywił szczęki w czymś, co być może było uśmiechem. Lepiej, żeby było.

- Wymiana? Ciekawe. Chętnie usłyszę, czego pan chce. - Przez chwilę zastanawiał się nad czymś, ale dał temu spokój. - Zobaczymy. Dlaczego nie? To, ile będę mógł panu zagwarantować, ostatecznie zależy będzie od skali naszego zwycięstwa. Do tego czasu proszę skoncentrować się na tym, co teraz najważniejsze. Chcę otrzymać listę wszystkiego, co potrzebne, żeby pański samolot doleciał do celu i powrócił. Musimy starannie zaplanować tę operację, skoro już za półtora księżyca zaczniemy rozstrzygającą kampanię. Na powrót Tsalki wszystko musi być już gotowe. Oczywiście wyślemy statki z paliwem, żeby samolot mógł

zatankować. Powie nam pan, gdzie mają czekać. Potem ruszą bliżej nieprzyjaciela, byśmy mieli pewność, że nie chowa on w zanadru nic więcej. Najlepiej, żeby zwiadowcy wrócili do roju tuż przed atakiem. - Machnął łapą w kierunku zasłony. - Proszę mnie teraz zostawić, muszę zacząć obliczenia.

- Oczywiście, wasza ekscelencjo - odparł Kurokawa, na zewnątrz zachowując spokój, chociaż w środku aż się gotował. - Tylko jeszcze jedno pytanie, jeśli można.

- Tak?

- Co z nieprzyjacielskimi kryjówkami na B'mbaado? Czy zajmie się pan teraz nimi? Wydaje się, że zbyt długo nam się wymykali. Uratowani mogą sporo powiedzieć o naszych postępach. Na przykład o roju czy naprawach mojego okrętu.

- Proszę się nie obawiać. Sam cierpiałem ich obecność dla jednego ważnego powodu. Chciałem się przekonać, do jakiego wysiłku okażą się zdolni, żeby ich zabrać. Przyznaję, że ma pan rację. Powiniennem zniszczyć ich wcześniej. Ale cokolwiek zobaczyli i przekażą, może zadziałać na naszą korzyść.

- Jak to?

- Jeśli nas szpiegują, a nie kryją się tylko cały czas na drugim końcu wyspy, to dowiedzą się, jaką potęgę przeciwko nim szykujemy. Niech zarażą innych swoim strachem. Ale owszem! - dodał z westchnieniem. - Pora się ich pozbyć. Wyznaczę do tego jeden z nowo przybyłych oddziałów. To wojownicy z prowincji porośniętej dżunglą. Szybko się ze wszystkim uporają, a potem siądziemy do uczt!

Kurokawa poczuł mdłości na wzmiankę o obiedzie, ale tylko się skłonił.

- Oczywiście, wasza ekscelencjo.

*

Okręt wypełniały przytłumione odgłosy pracy różnych urządzeń, brakło jednak charakterystycznej wibracji od silników, a także kołysania, które nie ustawało całkowicie nawet podczas postoju na kotwicy. Przebywający w głębi krążownika kapitan David Kaufman wyczuwał różnicę, ale nie umiał jej sobie wytłumaczyć. W ogóle mało co ostatnio rozumiał. I niewiele potrafił. Próbował robić pompki na zimnym pokładzie, ale zabrakło mu sił. Jakkolwiek się starał, nie mógł się dźwignąć z podłogi celi. Jeść dostawał raz dziennie, ale porcje były zawsze za małe, kondycja musiała więc spaść. Był już tylko cieniem dawnego siebie. Poczawszy wzbierające łzy, przetoczył się na wznak i zacisnął usta, żeby nie było słychać jego łkania. Nad nim wisiała goła żarówka, która paliła się dzień i noc. To, że jej nie gasili, było wynikiem uprzejmości japońskiego oficera, który go odwiedzał. I zapewne jedynym czynnikiem, który powstrzymywał Kaufmana przed osunięciem się w otchłań

szaleństwa. Tak przynajmniej mu się wydawało. Miał jeszcze swoje mantry, ale dziś ich nie potrzebował. Dzisiaj pamiętał swoje nazwisko i miał nadzieję, że trochę podniesie go to na duchu.

Oficer, który wyświadczył mu przysługę, zdawał się naprawdę o niego troszczyć. W kącie, tuż obok wiadra na odchody, piętrzył się stosik równo ułożonych czasopism. Niektóre były nawet po angielsku. Kaufman nie wiedział, ile razy już je przeczytał. Pewnie setki. Znał na pamięć każde wydrukowane w nich słowo. Te inne też przeglądał, aż z wolna zaczął rozpoznawać niektóre japońskie znaki. Zwłaszcza w podpisach pod ilustracjami. Wciąż nie wiedział, jak się je wymawia, ale domyślał się ich znaczenia.

Wstał powoli, oszczędzając obolałe kolana, i siadł na przewróconym wiadrze, które było jedynym sprzętem w tym pustym pomieszczeniu. Zapatrzył się w żarówkę. Spędzał w ten sposób sporo czasu, wbijając spojrzenie w jasne włókno, aż widział je wszędzie. Mięśnie twarzy wpadły w nerwowy tik i spróbował je uspokoić, ciągnąc za brodę. Nie pamiętał już, jak dawno się to zaczęło. Tik zwykle pojawiał się krótko po obudzeniu z regularnie go nawiedzających koszmarów. Koszmarów o krwi, wrzasku śmierci i potwornych gadach pożerających ludzi, za których był w jakiś sposób odpowiedzialny. Dlaczego, tego już nie pamiętał. Nie wiedział też, jak długo jest więźniem Japończyków. Tyle dobrego, że oni nie mieli zamiaru go zjeść.

Zgrzytnął właz i serce zabiło Kaufmanowi w piersi. Z niewysłowioną radością ujrzał japońskiego oficera, który był dla niego tak miły. Ile czasu minęło od jego ostatniej wizyty? Miesiące? Ale nieważne. Nic go nie pożarło i wreszcie przyszedł. Skrzywił się, zapewne wyczuwszy panujący w celi fetor, do którego Kaufman już się przyzwyczaił. Więźniowi znowu łzy napłynęły do oczu i nic nie mógł na to poradzić.

- Kapitanie Kaufman? - Powitanie zabrzmiało prawie jak pytanie. Całkiem jakby oficer go nie poznał.

- Jestem, to ja! - wychrypiał Amerykanin. Dziwnie było odezwać się po tak długim milczeniu, ale dobrze, że ktoś potwierdził, że on naprawdę tak właśnie się nazywa.

- Nic pan nie je! - stwierdził oskarżycielsko oficer.

Kaufman spojrzał na niego zdziwiony, ale potem zrozumiał. Widać oficer zauważył, jak jest wychudzony, i tak to zinterpretował.

- Ależ jem! - odparł natychmiast. - Jem wszystko, co mi przynoszą. Wszystko, przysięgam!

Oficer zmrużył oczy.

- To znaczy, że moje rozkazy zostały zignorowane - stwierdził. - Proszę przyjąć

uniżone przeprosiny. Nakazałem, żeby karmili pana należycie. Widać ktoś inaczej zrozumiał to słowo. Dopilnuję, żeby już nie popełnił takiej pomyłki.

Kaufman otworzył usta, ukazując popękane i poczerniałe zęby, i przez chwilę tylko patrzył na japońskiego oficera.

- Przydałoby się więcej jedzenia - zgodził się w końcu cicho, starając się, żeby nie zabrzmiało to jak skarga.

- Dostanie je pan - obiecał Japończyk i też chwilę się zawahał. - Muszę przeprosić i za to, że nie odwiedzam pana częściej, by zadbać o pańskie potrzeby. Wstyd mi, że moi rodacy tak pana traktują. Sytuacja zmusiła mnie jednak, żebym trzymał się z daleka. Mój dowódca zauważył, że poświęcam panu sporo czasu, i nie pochwalił mojego postępowania. Kilka razy groził nawet, że odda pana tym kreaturom, które nam pana przekazały. Nie uważa, żeby mógł się pan nam jeszcze przydać jako źródło informacji.

Kaufman poczuł przyływ paniki. Jedno, co dobrze pamiętał, to jak bardzo grikowie go przerażali. Ale co mógł powiedzieć? Otworzył usta, ale w końcu tylko spuścił głowę.

- Ma rację - powiedział. - Nie wiem nic więcej poza tym, co wam powiedziałem. Chyba nie jestem już użyteczny. - Sam wystraszył się własnych słów, ale poczuł się też bardziej wolny. Tak czy inaczej może jego cierpienie dobiegnie wreszcie końca. Uniósł głowę i spojrzał spod drgających powiek na oficera. - I tak pewnie będzie dobrze. Grikowie mogą mnie zjeść, ale będę wolny.

- Może pana zjedzą, może nie. Niewykluczone, że zdołam temu zapobiec. Jest jeszcze coś, co mógłby pan zrobić.

- Powiedziałem już panu, że nic więcej nie wiem! - odparł zmieszany Kaufman.

Istotnie nie wiedział. Opowiedział wszystko, co pamiętał, i jeszcze było mu za to wstyd, chociaż nie pojmował dlaczego. Niejasno kojarzył, że chyba zrobił coś złego, ale teraz już nie pamiętał, co kiedyś opowiadał. W głowie tłukła mu się tylko myśl, że to naprawdę było wszystko.

- Nie o to mi chodzi - stwierdził oficer. - Może pamięta pan, że jakiś czas temu pytałem, czy byłby pan skłonny porozumieć się ze swoimi przyjaciółmi przez radiostację?

Kaufman rozejrzał się wkoło, jakby czegoś rozpaczliwie szukał.

- Chyba pamiętam... ale nie wiem, o kim pan mówi. Moi przyjaciele nie żyją. Został tylko pan.

Komandor Sato Okada zdrętwiał. Było mu bardzo, bardzo wstyd. Wyglądało na to, że Kaufman popadł w głęboką psychozę. Trudno było orzec, czy uda się go z niej wyciągnąć. Miesiące samotności w ciasnej celi, niedożywienia i braku bodźców zrobiły swoje. Okada

powiedział, że nie odpowiada za to, jak traktowano Kaufmana, ale mógł się bardziej postarać. Kazał należycie karmić jeńca, ale co znaczy „należycie”? Japonia nie podpisała konwencji genewskich regulujących sposób traktowania jeńców wojennych. Japońscy żołnierze i marynarze byli uczeni, że poddanie się pozbawia człowieka honoru. Z braku dokładnych instrukcji strażnicy robili to, czego sami by się spodziewali jako jeńcy w takiej sytuacji. Powinien był to przewidzieć. No i znaleźć sposób, żeby częściej do niego zaglądać. Chociaż teraz może już być za późno. Okada znał okoliczności, w jakich kapitan trafił do niewoli. Wcale się nie poddał. Został obezwładniony przez grików, zatem niczym się nie zhańbił. Potem był brutalnie traktowany. Nie tylko przez jaszczury, przez Japończyków także. W końcu wyjawiał wszystko, ale stało się to, dopiero gdy jego dusza odpłynęła gdzieś daleko. A teraz to samo stało się z umysłem. Okada rozumiał, że musi spróbować pomóc mu wrócić do zdrowych zmysłów. Uratować go przed tym szaleństwem, w którym znalazł schronienie. Nie był zdrajcą, ale teraz nie miał już wątpliwości, że musi zaryzykować i nawiązać kontakt z Amerykanami, zanim będzie za późno. Musi ich jakoś ostrzec.

Grikowie byli złem wcielonym, a kapitan *Amagiego* z jakichś powodów im uległ. Nawet gdyby Okada zdołał zająć jego miejsce, krążownik był całkowicie na łasce jaszczurów. Otaczali go ze wszystkich stron i obserwowali. Na pierwszy znak zdrady rzuciliby się na nich tysiącami. Marzył im się świat, który byłby tylko ich. Cały taki zły jak oni. Kurokawę oślepiła ambicja pomieszana z pragnieniem zemsty. Nie rozumiał, że jest jak szczur rzucający wyzwanie wężowi. Cokolwiek by robił, w końcu i tak zostanie pożarty. Jeśli jakakolwiek rasa, poza grikami, miała przetrwać na Ziemi, załoga *Amagiego* musiała znaleźć sposób nawiązania współpracy z Amerykanami. Każdy inny wybór był czystym szaleństwem.

Jednak do tego potrzebna była pomoc Kaufmana.

- Wspominanie wszystkich pańskich doświadczeń może być bolesne, ale musimy spróbować - powiedział łagodnie. - Zaczniemy od początku, tak jak go pamiętam.

ROZDZIAŁ 6

- Żeby cię, Silva! - warknął Laney, podchodząc do Dennisa. - Co to za panoszenie się w moim warsztacie? Nawet nie spytałeś o pozwolenie. Pracujemy tam nad ważnymi rzeczami. Nawet ty powinienes zauważyć, że obrabiarka i mała frezarka są w użyciu. Pół dnia stracę, żeby je ponownie ustawić!

Silva obrócił się ku niemu z anielskim uśmiechem na twarzy. Stał oparty o reling na pokładzie dziobowym zaraz przed mostkiem i wpatrywał się wcześniej w masyw Mindoro. Czy raczej wyspy, która była Mindoro w jego świecie. Znaleźli się już pośród właściwych Filipin i płynęli na północ wschodnim przejściem cieśniny Mindoro. Widoczny w dali przylądek winien być częścią wylotu zatoki Paluan, chociaż Silva nie był tego pewien. Wszystko wyglądało tu inaczej. Dopiero po chwili pojął, na czym polega różnica. Przede wszystkim nie było ludzi i wiosek rybackich na brzegach. Spotkali tylko kilka łodzi rybackich, które trzymały się płycizn i szybko schodziły z drogi dziwnemu, dymiącemu statkowi. Kilka dni wcześniej dogonili jeden z pływających domów, który wracał do Manili po zaopatrzenie. Mieli nadzieję, że płynąc do Baalkpanu, zabierze także licznych wojowników.

Jeśli byli tam, gdzie sądził, przed wieczorem powinni zobaczyć wyspę Lubang, co będzie znaczyło, że ich podróż naprawdę dobiega końca. Wielu umilkło i posmutniało, gdy przepływali obok ich dawnego domu, i nawet Silva okazał się mało odporny na smutek i poczucie straty. Gdy Laney go zagadnął, Dennis myślał akurat o kilku dziewczynach, które bardzo by się ucieszyły, gdyby znowu zajrzał do starego Cavite. Dlatego właśnie tak się uśmiechał.

- Dla ciebie bosman Silva, nedorobiony wypierdku dinozaura. - Wskazał na czapkę z daszkiem, którą nosił, żeby podkreślić swoją nową pozycję. Z jakiegoś powodu Gray dał mu ją, chociaż nie była to najstarsza ani najbardziej znoszona z jego czapek. Powiedział tylko, że skoro Silva będzie teraz bosmanem, musi wyglądać jak bosman. Laney miał na głowie jedną z czapek Donagheya, która była jednak za duża na jego głowę i trzymała się zasadniczo na uszach. Poza tym nikt chyba nie nazwałby rosnącego technika nedorobionym. Kiedyś wynikłaby z tego niezła awantura, ale teraz obaj wiedzieli, że nowe czapki oznaczają też konieczność zmiany zachowania. Niemniej Laney i tak przypomniał sobie inną ich rozmowę i

doszedł do wniosku, że lepiej w takich razach stać przy solidnym relingu niż zwykłym łańcuchu zabezpieczającym. - No i to nie jest twój warsztat. Coś ci chyba ostatnio odbija. Jeden z twoich kotów chce nawet przejść na pokład. - Pokręcił głową. - Powiedziałbym, że to zdrowy odruch, ale za Spanky'ego i Donagheya nikt nie chciał uciekać z dołu. Zawsze byłeś dupkiem, ale od awansu jest jeszcze gorzej.

- Kto to jest? - warknął Laney. - Zajmę się tym.

- Ani myślę ci powiedzieć. Nie chce zresztą do obsługi dział. Spytaj bosmana, gdy weźmiemy go z wyspy.

Laney zawahał się. Nie mógł sobie pozwolić na utratę kogokolwiek, ale nie chciał się też tłumaczyć Grayowi.

- No i co będzie z tym warszatem? - powiedział. - Spanky'ego szlag trafi, jak nie dostanie potrzebnych części!

Silva roześmiał się.

- Ze Spankym gadałem, zanim jeszcze zaczęliśmy. Powiedział zresztą, że te zapasowe reduktorki miały być na wczoraj. Nie przykładasz się.

- No... Druga przekładnia redukcyjna turbiny niskiego ciśnienia nawala. Olej, którego używamy, nie trzyma specyfikacji. Trzeba było wytoczyć nową. A swoją drogą co ty tam robiłeś? Nowy kij do miotły?

- Złamaliśmy rano iglicę w trójce. Bywa przy szkoleniu. Pomyśleliśmy więc, że zrobimy nową. - Podrapał się po brodzie. - Zabawna sprawa, ale bez iglicy działło nie chce robić bum i pociski nie wylatują. Powiedziałem Stitesowi, żeby zrobił od razu tuzin, jak już się do tego zabrał. Zawsze może się zdarzyć, że złamiemy jeszcze jedną.

- A co z moją przekładnią?

- A co, założysz ją w marszu? To by było rodeo! Możesz nazywać się jak chcesz, ale żaden z ciebie mechanik. Juan jest lepszy na tokarce niż ty. Japoniec też. Już lepiej radziłbyś sobie ze szmatą i szczotką.

Stojący niedaleko Chack rozbawiony słuchał tej wymiany zdań. W końcu Laney odmaszerował, mruczając coś pod nosem. Chack ruszył się i oparł o reling obok Silvy, który radośnie sobie chichotał.

- Słowo daję, gdyby znalazł w kawie karalucha, zrobiłby taką awanturę, jakby mu w kubku pływała gigaryba.

Gigaryby były ostatnio popularnym tematem. Dwa dni temu wreszcie napotkali jedną. Młodą, jak zapewnił ich Chack. Dryfowała sobie na powierzchni, wygrzewając się w słończku. Silva dotąd uważał, że ludzie przesadzają, mówiąc o rozmiarach tych stworzeń, ale

przekonał się, że wcale nie. Wszyscy mogli się przyjrzeć bydlęciu przez krążącą z rąk do rąk lornetkę, podczas gdy kapitan omijał bestię szerokim łukiem. Była naprawdę olbrzymia. Ta jej część, która wystawała nad wodę, była połowy długości ich niszczyciela. Wydmuchiwała powietrze jak wieloryb, czasem wystrzeliwała wysoką na sto stóp fontannę wody. Wszyscy ucieszyli się, że mogli zobaczyć mityczne zwierzę, ale nie żalowali, gdy zniknęło za rufą. Potem widzieli jeszcze dwa szczególnie wielkie gri-kakka, równie groźne dla okrętu jak torpeda czy góra lodowa, ale po gigarybie nie zrobiły na nich specjalnego wrażenia.

- Może jest wrażliwy - zasugerował Chack, myśląc o Laneyu. - Słyszałem, jak pan McFarlane tak o nim powiedział.

- Wrażliwy! - zaśmiał się Silva. - Chyba na piękno przyrody! Taki z niego główny inżynier jak ze mnie chiński pilot bombowca!

Stali w milczeniu, słuchając szumu fal. Znowu byli przyjaciółmi, chociaż jeszcze nie wszystko było między nimi w najlepszym porządku. Nie tak, żeby mieli brać się do bitki, zwłaszcza że mimo przewagi wzrostu Silva świetnie już zdawał sobie sprawę, jak silny jest Chack. Raz spróbowali i wystarczyło - żaden nie miał ochoty na powtórkę. A wzięło się to z pomysłu Dennisa, żeby ożenić się z Risą. Chack sądził wtedy, że chodzi o rewanż za kawał, który on sam wcześniej zrobił Silvie. Nauczył się przy tej okazji, że trudno z nim wyrównać rachunki. Okazało się, że rosły marynarz nie tylko nie daje za wygraną, ale i może się posunąć dalej, niż dyktuje rozsądek.

Obecnie niemal wszyscy uwierzyli już, że pomysł małżeństwa był wyłącznie żartem, ale Chack miał trochę wątpliwości. Głównie przez to, że niezależnie od wcześniejszej ostentacji oboje nieraz okazywali sobie sporo autentycznego szacunku, może nawet uczucia. Nadal budziła w nim odrazę myśl, że tych dwoje mogłoby nawiązać jakiś kontakt seksualny, najbardziej jednak martwiło go, że gdyby się okazało, iż naprawdę są ze sobą, to Risa zapewne straciłaby najwięcej. Była znacznie lepszym wojownikiem niż większość znanych mu mężczyzn i miała specyficzne poczucie humoru, co bardzo ograniczało jej szanse na znalezienie partnera, z którym czułaby się dobrze. Co ciekawe, poza oczywistym felerem Silva byłby dla niej niemal idealny. Wprawdzie nie miałoby szans na potomstwo, ale pewnie zaznaliby szczęścia. I to Chack gotów byłby zaakceptować.

Uznał, że pora oczyścić atmosferę. Kotowaci nie przejmowali się zbytnio kwestiami obyczajowymi i nawet Keje czy Nakja przyjęli całą historię z rozbawieniem, Chack wiedział jednak, że Amerykanie nie są równie tolerancyjni. Owszem, lubili gospodarzy bardziej niż wielu własnych pobratymców, ale nie raz i nie dwa można było od nich usłyszeć: „Nie chciałbym, żeby moja córka poślubiła któregoś z nich”. Zasadniczo wygłaszali to jako żart,

przynajmniej gdy Chack był w zasięgu głosu, ale i tak rozumiał, w czym rzecz. Poza tym słyszał już, że Silva związał się z Pam Cross, jedną z amerykańskich pielęgniarek. Jego ludzie nie byli z założenia monogamiczni, ale Amerykanie tak. Dla nich była to norma. Jeśli zatem Silva i Risa naprawdę byli partnerami, Cross mogłaby uznać ją za rywalkę, a Chack nie chciał, żeby jego siostra poczuła się urażona.

- Musimy porozmawiać - powiedział w końcu, odchrząknawszy znacząco.

- Wal.

- Chodzi o ciebie i Rise. O to, jakie masz wobec niej zamiary. Raz wreszcie musimy o tym poważnie porozmawiać.

- Jasne.

Chack mrugnął zirytowany i nerwowo poruszył ogonem.

- Zaraz mam ćwiczenia z moimi marines i trochę brak mi czasu - powiedział. - Może po prostu odpowiesz na moje pytanie?

- Jeszcze go nie zadałeś.

- Z nas dwóch to ja mówię w obcym języku, którego opanowanie trochę mnie kosztowało. A jednak ty zdajesz się mniej go rozumieć.

Silva uśmiechnął się i spojrzał na Chacka trochę smutnymi oczami.

- Bardzo lubię Rise. Jest świetną dziewczyną. Dobrze się przy niej czuję. Żał mi, że nie popłynęła z nami, tylko została na Baalkpanie. To jedyna znana mi kobieta, przy której mogę być sobą. Gdyby sprawy ułożyły się inaczej, pewnie chętnie bym z nią zamieszkał. To chyba już coś! - dodał, widząc po mrugnięciach Chacka, że wprowadził go w zdumienie. - Cały czas byłeś na mnie wściekły, bo uważałeś, że źle ją potraktowałem. I że jestem dla niej nie dość dobrą partią. Ja uważam, że jesteśmy akurat warci siebie, nawet jeśli ona jest kotem. Rzecz jednak w tym, że jesteśmy zbyt podobni i żadne z nas nie jest jeszcze gotowe na kaptcie i bujany fotel. - Zaśmiał się, widząc narastające oszołomienie Chacka. - Musisz się jeszcze nauczyć naszego języka. Chcę powiedzieć, że żadne z nas nie dojrzało jeszcze do ustabilizowanego życia. Czy ją kocham? - Zapatrzył się gdzieś w przestrzeń, a gdy po chwili znowu się odezwał, zrobił to tak cicho, że ledwie go było słychać przez huk nawiewników i szum gorących gazów wyrzucanych przez kominy. - Kiedyś nie czułem wiele: radość, głód, żądzę. Czasem wściekłość. Zwykle wymieszane. Gdy ktoś mnie wnerwił, dawałem mu wycisk i byłem szczęśliwy. Potem robiłem się głodny i pewnie też napalony. A czasem byłem szczęśliwy, bo nie byłem głodny. Rozumiesz? Ale potem dzikie jaszczury zabiły mi kumpla. Marvaneya. I nagle poczułem się zdołowany. Nie pamiętam moich starych. Oboje zmarli, gdy byłem mały. Miałem wtedy ze trzy lata. Grypa ich zabiła. Cały czas była wkoło, ale tę ojciec

mógł przywieźć z Francji. - Wzruszył ramionami. - Zamieszkałem potem u wujka Boba, który ciągle mną orał. Gdy nastał kryzys, zrobiło się jeszcze gorzej. Musiałem żebrać o każdy kęs. Przynosił czasem jakąś forszę ze sprzedaży bimbrowa, ale niewiele. Sam wypijał prawie wszystko, co upędził. Któregoś razu chciał mi wtedy wlać i zabiłem go motyką. - Silva zacisnął szczęki. - Nigdy nie było mi przykro z tego powodu. Potem włóczyłem się kilka lat, robiąc różne rzeczy, z których zwykle nie byłem dumny. Gdy skończyłem szesnaście lat, skłamałem, że mam osiemnaście, i zaciągnąłem się do marynarki. - Spojrzał na Chacka. - Teraz wiesz o mnie więcej niż ktokolwiek inny z żywych. Oprócz Risy. Wcześniej nie wiedziałem, co to miłość. Co to znaczy być bezpiecznym. O prawdziwej radości też nie miałem pojęcia. Teraz chyba jest inaczej. - Klepnął Chacka w plecy tak mocno, że kotowaty na chwilę stracił dech. - Kocham cię jak brata, którego nigdy nie miałem. I Stitesa, Rodrigueza, Mertza, Karasa. Nawet Juana i resztę, może oprócz Laneya. Nawet Myszowatych i Bradforda, chociaż są jak ci krewni, do których rodzina woli się nie przyznawać. Skipper ma niewiele lat więcej ode mnie, ale i tak jest mi prawie jak ojciec. On i bosman. Dzięki nim trzymam pion, chociaż nigdy mnie nie uderzyli. Ale robią to, co dla mnie dobre. - Uderzył ciężką pięścią w reling. - I kocham też tę starą łajbę, która ma tyle lat co ja. To jedyny dom, jaki kiedykolwiek mi się trafił. Cieknie, skrzypi, czasem kaszle i jeszcze trochę, a byle kajakar z wiatrówką będzie mógł ją załatwić, ale to mój dom!

Silva odwrócił się nagle i uniósłszy dłonie do oczu, potarł powieki.

- Cholerne kocmołuchy! - zawołał. - Akurat teraz musieli przedmuchiwać jedynek!

Po chwili znowu spojrzał na Chacka. Okolice oczu miał podejrzenie wilgotne. Wyciągnął kapciuch z kieszeni i odgryzł kawałek liścia tytoniu.

- Chcesz wiedzieć, czy jesteśmy z Risą na poważnie i czy trochę się zabawiliśmy. Jakkolwiek było, to nie twój interes. Czy ją kocham? Jasne. Nigdy bym jej nie skrzywdził. Jest moją przyjaciółką. Wyrwę ci serce i zjem je na surowo, jeśli wychłapiesz cokolwiek z tego, co ci powiedziałem. Rozumiesz? Możesz być mi bratem, ale i tak to zrobię.

*

Kapitan Reddy obserwował Silvę i Chacka z wysokości otwartego pokładu za sterówką. Cieszył go ten widok. Być może ci dwaj nie zostali jeszcze przyjaciółmi, ale przynajmniej gadali ze sobą. I bardzo dobrze, bo obaj byli bardzo potrzebni, a ich napięte stosunki trochę psuły atmosferę na okręcie.

Matt wrócił do Kejego, Bradforda i Adara, którzy rozważali, co zrobić po dotarciu do Maa-ni-li. Nie, żeby było się nad czym naprawdę zastanawiać. Wymogi protokołu były mniej więcej takie same jak na Baalkpanie. Oba „ładowe domy” były spokrewnione i często się ze

sobą kontaktowały. Najpierw należało poprosić o „zgode na wejście na pokład”, tyle że tym razem powinien to zrobić Matt. Ostatecznie był wielkim wodzem *Walkera*, chociaż nie byli pewni, czy wódz Maa-ni-li, niejaki San-Kakja, uzna ten status ich kapitana. Niszczyciel był bardzo małym „domem” i chociaż w sojuszu Reddy miał wysoką pozycję, tutaj mógł zostać potraktowany inaczej. Nikt nie chciał, żeby byle szyper łodzi rybackiej zaczął oczekiwać honorów przysługujących dowódcom pływających domów. Co więcej, nawet jeśli na tym etapie wszystko pójdzie dobrze, negocjacjami zajmą się Keje i Adar. Matt mówił coraz lepiej po miejscowemu, ale daleko mu było do biegłości i nie było co ryzykować, że palnie coś niechcący. San-Kakja był nowym wodzem i nie wiedzieli, czy zna angielski, ale uznali, że najpewniej nie. W tej sytuacji Matt mógł równie dobrze recytować mu wierszyki dla dzieci. Keje i Adar sami wiedzieli, co mówić.

Reddy spojrział na zegarek i porównał czas z zegarem ściennym. Zbliżała się zmiana wachty i Matt miał zaraz zwolnić Dowdena.

- O jednym nie wolno nam zapomnieć - powiedział, przerywając wymianę zdań między kotowatymi a Bradfordem. - Musicie bez zwłoki zebrać jak najwięcej informacji o „żelaznej rybie”. Przypuszczam, że chodzi o okręt podwodny. Musimy się dowiedzieć, jak dokładnie wygląda i gdzie ostatnio go widziano. Słyszałem, że nie pokazał się nigdzie od kilku miesięcy, co oznacza zapewne, że skończyło mu się paliwo. Skoro tak, powinniśmy skoncentrować poszukiwania w pobliżu jego ostatniej znanej pozycji. Sprawdzić okoliczne wyspy i tak dalej. Mam nadzieję, że będziemy mogli zacząć jeszcze przed końcem rozmów, gdyby się za bardzo przeciągnęły. Musimy go znaleźć. To może wiele zmienić.

- A skąd pewność, że to okręt podwodny, kapitanie? - spytał Bradford. - Kto wie, jakie jeszcze stworzenia żyją w tutejszych głębinach. A gdyby nawet, co jeśli to jednostka nieprzyjaciela? Japończycy z *Amagi* jakoś nie chcieli nas wesprzeć.

- Bez przesady, Courtney! Ryba z żelaza? Do której weszły dziwne, bezogoniaste istoty, nim się zanurzyła? A czy to nasza jednostka...? To wydaje mi się najbardziej prawdopodobne. Było tu wiele naszych okrętów podwodnych, znacznie więcej niż japońskich. Może nawet coś by z tego wyszło, gdyby miały choć trochę lepsze torpedy. W ogóle gdyby czternastki i piętnastki nie okazały się takim złomem, kto wie, czy nie zatrzymalibyśmy Japońców. - Matt zamilkł na chwilę, żeby uspokoić oddech. - Jeśli ten okręt znalazł się w zasięgu szkwału, tak jak *catalina*, o nas nie wspominając, mogło go tutaj przynieść. Tyle że potem obrał inny kurs. Pewnie właśnie na Filipiny. Musieli szukać znajomych kątów. Gdy byliśmy jeszcze u siebie, słyszałem, że *Corregidor* wciąż się broni, zaopatrywany właśnie przez okręty podwodne. Jeśli wysunęli peryskop ma redzie *Surabai*,

czyli Aryaalu, i zobaczyli, co tam jest teraz, ich kolejnym celem byłyby właśnie Filipiny. Japońce popłynęliby gdzie indziej. Zapewne do Singapuru. Może nawet w stronę Wysp Japońskich. Ich jednostki są podobno olbrzymie i mają wielki zasięg.

- A jak duży może być ten okręt, jeśli naprawdę jest amerykański? - spytał Adar.

- Zależy od typu. Albo długości *Walkera*, albo trzy czwarte tego.

- Trudno to sobie wyobrazić - stwierdził kapłan. - Pływać pod wodą w czymś tak małym!

- A pewnie - zgodził się Matt. - Załogi podwodniaków mają nierówno pod sufitem. Na szczęście w naszych morzach nie ma ryb zdolnych połknąć cały okręt. Mam nadzieję, że nie spotkało ich tutaj nic podobnego!

- Wspomniałeś, że taki okręt mógłby nam zapewnić przewagę, ale co właściwie możemy dzięki niemu zyskać, wyjąwszy radosną perspektywę napotkania nowych Amerykanów, skoro tak niebezpiecznie jest nim pływać? Jeśli jego załoga żyje, musiała się już chyba zorientować, jakie to ryzyko.

Matt pokiwał głową.

- Jasne, ale na płytkich wodach Cieśniny Makasarskiej czy w zatoce Baalkpan będzie o wiele mniejsze. Poza tym wspomniałem chyba, że mogą mieć torpedy na pokładzie? Nam została tylko jedna, ale wiemy już, dlaczego wystrzelone nie działały jak powinny. Moglibyśmy naprawdę zaskoczyć *Amagiego*.

- Myślałem, że mamy pozyskać więcej żołnierzy poza tymi, których San-Kakja już wysłał, a nie szukać okrętu podwodnego, co do którego nie mamy nawet pewności, czy istnieje - zauważył Bradford.

- Może, ale tym pierwszym zajmą się przede wszystkim Adar i Keje. Wystarczy nam czasu na jedno i drugie. - Przerwał, słysząc dzwon zwiastujący zmianę wachty. - Ale obyśmy uzyskali cokolwiek.

Mogli dotrzeć do Manili przed wschodem słońca, ale Matt nie chciał skrycie podchodzić do wyspy. Lepiej, żeby ich widziano. Sam też chciał obejrzeć miasto w świetle dnia, żeby zobaczyć reakcję miejscowych na przybycie niszczyciela. Większość go rozpozna i zrozumie, po co przyplłynął. Manila była już pełna napływających od dawna uchodźców. Miał nadzieję, że widok wyremontowanego i odmalowanego okrętu podniesie ich na duchu. Tak właśnie było, gdy pierwszy raz pokazali się w Baalkpanie. Weszli więc do Zatoki Manilskiej dopiero o pierwszym brzasku, mijając rój łodzi rybackich wyruszających na poranny połów. Większość załóg widziała ich po raz pierwszy, ale nikt nie wydawał się zaskoczony. Wizyta została ustalona kilka miesięcy wcześniej i nawet powolne pływające domy miały dość czasu,

żeby przynieść wiadomość. Niektóre łodzie zwalniały, mijając niszczyciel, ale żadna nie podpłynęła na pogawędkę. Matt zastanawiał się, czy to dobrze czy źle. Pojawiło się też kilka przybrzeżnych frachtowców przemykających z poranną bryzą, ale one zaraz udały się w swoją drogę.

- Dobrze. Panie Karas, przejmuję wachtę i okręt - powiedział Matt ku wielkiej uldze nawigatora. Karas rzadko prowadził dotąd okręt na ograniczonych akwenach. - Proszę zwolnić Reynoldsa przy sterze. - Młody marynarz dopiero niedawno otrzymał uprawnienia sternika.

- Aye, aye, kapitanie - odparł Karas. - Przejmuję pan wachtę i okręt. - Zwrócił się do Reynoldsa. - Zwalniam pana, Sir. - Reynolds skwapliwie usunął się na bok i wziął słuchawki od kotowatego z wachty. Ten radośnie porwał lornetkę i skoczył ku drabinie, żeby wdrapać się na maszt. Zatoka Manilska słynęła z wielkiego ruchu i za żadne skarby nie chcieli się w nikogo władować, choćby była to tylko łódź wiosłowa.

Weszli do zatoki tak samo jak wiele razy wcześniej we własnym świecie. Skierowali się w stronę Boca Grande, przepływając między wyspą Caballo i El Frailes. Zaraz za Caballo, na której brakowało oczywiście znajomego Fortu Hughesa, wznosił się masyw Corregidoru. Rzecz jasna także bez śladu fortyfikacji, które pamiętali. Dopiero niedawno zaczęto tam prace budowlane. Matt dostrzegł przez lornetkę dwa trzydziestodwufuntowe działa przysłane jako podarunek z Baalkpanu. Ich lufy wystawały przez otwory strzelnicze świeżo wzniesionych murów. Co ciekawe, obok stało kilka innych, co znaczyło, że miejscowi zaczęli już produkować własne działa. W sumie zrozumiałe, skoro poznali zasadę. Z pewnością mieli dość rozwinięty przemysł, żeby temu podołał, niemniej Matt poczuł się dziwnie. Historia uczyła, że przekazywanie broni palnej prostym ludom miewa niejednoznaczne skutki.

Pomyślał, że w zasadzie powinni pozdrowić fort salutem armatnim, ale nie wisiała nad nim żadna flaga, on zaś wolał nie marnować pocisków. Mieli wcześniej kilka ślepaków, ale przekazali je Sandisonowi, który czekał na każdą pustą łuskę, żeby przydać jej nowy miedziany pocisk z ładunkiem czarnego prochu. Matt poprzestał więc na salucie banderą. Może miejscowi zrozumieją ten gest. Rozkaz wydał jednak półgłosem. Nawet u niego wizyta w miejscu tak znajomym i obcym jednocześnie wywołała emocje.

Za Corregidorem rozciągał się półwysep Bataan, gdzie wznosiło się nawet małe miasto. Niemal dokładnie w tym samym miejscu co Mariveles. W dali, ledwie widoczne w porannej mgiele, rysowały się góry Mariveles.

- Zalecany kurs zero, cztery, pięć - powiedział Karas, spoglądając na kompas. Jego słowa przełamały czar, który zdawał się pętać obecnych na mostku Amerykanów.

Jak duch pojawił się Juan, niosąc tacę z kubkami i kawę. Matt dostrzegł łzy spływające po twarzy Filipińczyka.

- Dziękuję, Juanie - odezwał się, lekko zakaszawszy. - Tak sobie właśnie myślałem, że przydałaby się jakaś kawa.

Steward uśmiechnął się nieznacznie i zaczął krążyć po zatłoczonym mostku, napełniając brane z tacy kubki. Choć raz wszystkie znalazły chętnych. Doceniając ów gest, Juan skłonił się lekko.

- Może przyniosę też kanapki, kapitanie - zaczął niepewnie. - Wszyscy mamy za sobą długą noc.

- Chętnie, Juanie. Dziękuję.

Gdy Filipińczyk opuścił mostek, wszyscy odetchnęli. Rozumieli, że choć dla nich jest to trudny „powrót”, dla niego musi on graniczyć z koszmarem. Keje rozejrział się, wyczuwając napięcie.

- O co chodzi? - spytał cicho. - To cel naszej podróży. Spodziewałbym się raczej radości, że już jesteśmy na miejscu.

- To akurat nas cieszy - odparł Matt. - Ale my stąd właśnie wypłynęliśmy. Zanim zaczęła się wojna, tutaj była nasza baza... Wspominałem ci już o tym. Ja spędziłem w niej tylko kilka miesięcy, ale inni mieszkali na tej wyspie latami. Uważali ją za swój dom. A dla Juana, czego pewnie nie wiesz, to naprawdę był dom. On się tu urodził. Wszyscy rozumiemy, że tamten świat jest już dla nas stracony, ale gdy widzimy na własne oczy te same miejsca... Zastanawiam się, jak bym zareagował, gdyby dane było mi ujrzeć okolice Stephenville w Teksasie. To bardzo daleko, po drugiej stronie Ziemi. Pewnie byłoby ciężko i nie ma na to żadnej rady.

Keje powstrzymał się od uwagi, że nikt nie może żyć po drugiej stronie Ziemi. Przypuszczał, że kapitan Reddy posłużył się tylko metaforą. To, co mówił poza tym, było wszakże w pełni zrozumiałe.

- Bardzo wam współczuję - powiedział. - Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Mam tylko nadzieję, że przyjaźń i czas złagodzą ból.

Skierowali się na północny wschód ze skromną, ale znaczącą dla tubylców prędkością dwunastu węzłów - zwłaszcza że płynęli pod wiatr. Im bliżej podchodzili Cavite i Manili, tym więcej statków spotykali. W większości były to różnej wielkości feluki z ożaglowaniem skośnym, najwyraźniej popularne wśród wszystkich lemurów, jakich dotąd napotkali. Matt często się nad tym zastanawiał. W porównaniu z masywnymi pływającymi domami feluki miały niewątpliwie nowocześniejsze ożaglowanie. Wielkie trójkątne żagle na relatywnie

niskich masztach pozwalały im bardziej ostrzyć pod wiatr, niż potrafiły rejowe jednostki grików. Inna sprawa, że trochę gorzej radziły sobie, płynąc z wiatrem. Matt sądził, że ożaglowanie mniejszych statków było jeszcze jednym dziedzictwem pozostawionym przez Brytyjczyków z Kompanii Wschodnioindyjskiej. Całkiem możliwe, że było stosowane na ich szalupach i zostało tu zaadaptowane również do większych jednostek, nie tylko otwartych łodzi. Wśród tego, na czym pływali miejscowi, były też statki pokładowe, czasem nawet spore. Kilka dochodziło do stu stóp długości i one nie przypominały już feluk. Były raczej czymś pośrednim między feluką i karawelą.

Teraz jednak najważniejsze było, jak właściwie zostaną przyjęci. Matt trochę się tego obawiał. Pierwszymi, którzy wynieśli się do Manili, byli twardogłowi, obwiniający Amerykanów i ich żelazny okręt o wszystkie niedawne problemy z najazdem grików włącznie. Nie miał im nic do powiedzenia. Bez wątpienia w Stanach też byli ludzie przekonani, że to Ameryka odpowiada za Pearl Harbor, większość jednak miała lepiej poukładane w głowach. Tak też było z lemurami. Ci na mijanych jednostkach nie wiwatowali na widok niszczyciela, ale wyglądali na przyjaźnie nastawionych. Chyba nawet fascynował ich szary okręt, o którym musieli tyle słyszeć. Co śmielsi próbowali dotrzymać im kroku, co oczywiście nie mogło im się udać. Żaden żaglowiec nie mógł sterować dokładnie pod wiatr, toteż mimo ostrego manewrowania szybko zostawali w tyle. Niemniej spora część mieszanej załogi kibicowała im u relingów. I dobrze, pomyślał Matt. Brak wrogości to już coś, a na dodatek ludzie mieli zajęcie odpędzające ponure myśli.

Zmniejszyli prędkość do dziesięciu węzłów, a potem do pięciu i ostrożnie zaczęli szukać drogi między tłoczącymi się w zatoce jednostkami. Matt słyszał, że Manila to największy port lemurów, ale dopiero teraz w to uwierzył. Baalkpan był ważnym miastem, ale założonym na wydartym dżungli pustkowiu, natomiast Manila miała dobre warunki do rozwoju. Pierwsze zabudowania i niewielkie nabrzeża pojawiły się dziesięć mil przed Cavite. Im bliżej byli półwyspu, na którym mieściła się w ich świecie bardzo ważna azjatycka baza amerykańskich sił zbrojnych, tym więcej widzieli przejawów aktywności. Stoczni było zapewne więcej niż w ich rzeczywistości, widać też było maszty co najmniej dziesięciu pływających domów stojących w zatoce Bacoor albo cumujących przy nabrzeżach remontowych. Jeszcze więcej tych wielkich jednostek kotwiczyło przed samą Maa-ni-lą.

Gdy *Walker* ponad rok temu pierwszy raz wpłynął do zatoki Baalkpan, jego załoga była pod wrażeniem rojności barwnego miasta i jego niezwyklej architektury. Późniejszy widok niemal średniowiecznego Aryaalu nie zrobił już na nich tak wielkiego wrażenia. Niemniej w porównaniu z Maa-ni-lą Baalkpan wyglądał jak prowincja. Gdy Matt spytał

Nakję, czego może oczekiwać, usłyszał, że miasto na Filipinach jest „trochę większe”. Teraz wiedział już, że wódz był mało precyzyjny. Im bliżej podpływali, tym bardziej się przekonywał, że tutaj wszystko jest większe. Pagodowate domy przypominały drapacze chmur, nabrzeża zdawały się ciągnąć całymi milami. Bosman porównał kiedyś Baalkpan do miasta Chefoo. Aby utrzymać skalę, Manilę należałoby przyrównać do Szanghaju. Przypominała dalekowschodni Manhattan. Bez Empire State Building oczywiście, ale domy wznosiły się jeden obok drugiego i były całkiem wysokie. Brakowało tylko rozłożystego drzewa galla, ale Manila była młodszym miastem i jej drzewo musiało być mniejsze. Znajdowała się jednak w centrum skolonizowanego obszaru, toteż rozwijała się znacznie szybciej. Kotowaci mieli swoje osady także w północnej części Borno oraz na Wyspach Japońskich. Niebezpieczeństwa otwartego oceanu sprawiały, że łączność z nimi zapewniały jedynie pływające domy, których gigaryby zwykle nie zaczepiały, jeśli nie liczyć pory godowej. Gdzieś trzeba było te wielkie statki budować i remontować, gdzieś musiały się zaopatrywać i sprzedawać pozyskany w rejsach olej gri-kakka. Tak zatem, chociaż Baalkpan był ważniejszy politycznie, handlowa palma pierwszeństwa należała do Maa-ni-li.

Walker dał na chwilę całą wstecz i zatrzymał się z drzeniem kadłuba jakieś dwieście jardów od głównego nabrzeża, na które naprowadzał ich Keje. Z wielkim hukiem zwolnili kotwicę. Tak jak podczas pierwszej wizyty w Baalkpanie Matt nie zamierzał cumować przy brzegu, póki nie otrzymają stosownego zaproszenia.

- Maszyny stop - rozkazał. - Utrzymać ciśnienie na dwójce i trójce. Przygotować motorówkę. Sprawdzić, czy cała wyznaczona grupa ma nowe mundury.

Dzięki dobrze rozwiniętemu przemysłowi tekstylnemu Baalkpanu zaopatrzyli się na ten rejs w udane repliki swoich znoszonych uniformów. Były białe jak trzeba i całkiem zgrabnie, choć ręcznie uszyte. Kotowaci musieli nauczyć się robić spodnie, z którymi nigdy wcześniej się nie zetknęli, załoga zaś przywyknąć do bardziej szorstkiego, trochę drażniącego skórę materiału. Nie była to bawełna ani tym bardziej wełna. Płótno przypominało trochę len, ale trudno było orzec, z czego je zrobiono. Bradford pewnie z radością przeprowadziłby w tej sprawie śledztwo.

Matt przekazał okręt Dowdenowi i zszedł do swojej kabiny, żeby też się przebrać. Nim to zrobił, wpadło mu coś do głowy. Gdy pierwszy raz wizytowali Nakję w jego Wielkiej Sali, mieli u boku kordy wzór 1918, które wybrali, żeby nie sprawiać wrażenia wrogo nastawionych. Matt miał swój pałasz, zachowany jeszcze z akademii. Przez to nie mogli w pełni szczerze pokazać gestu „pustej dłoni”, zarezerwowanego dla gości bez żadnej broni. To z kolei stwarzało pewien dylemat. Wiedział, że zasadniczo nie ma się czego obawiać w tym

wielkim mieście, ale już doświadczył zdrady i nie chciał zbyt ryzykować.

- Broń osobista i kordy dla delegacji - powiedział w końcu i uniósł dłoń, gdy Keje chciał zaprotestować. - Thompsony dla eskorty, która zostaje w łodzi.

- Aye, sir - odparł Larry z nutką triumfu. Wcześniej długo wywodził, że udająca się na brzeg grupa powinna być uzbrojona, i nawet posprzeczał się na ten temat z Adarem.

Matt spojrzał na Kejego.

- Nie wszyscy są tu po naszej stronie - powiedział, wyjaśniając swoją decyzję tak szczerze jak mało komu. - I nie wszyscy „pacyfiści” muszą być pokojowo usposobieni. To zbyt wielkie miasto, by polegać jedynie na szczęściu. Ale zgodzę się na kompromis. Przekażemy broń drugiemu oddziałowi ochrony, który zostanie przed Wielką Salą. Może tak być?

Keje zastanowił się chwilę i pokiwał głową.

- Może. U nas przestępczość jest praktycznie żadna, ale tutaj? - Machnął ręką w kierunku miasta. - Dawno tu nie byłem. Od mojej ostatniej wizyty zrobiła się z tego prawdziwa metropolia, jak to określicie. Adar będzie oczywiście protestował, ale kto wie, czy na pewno nic nam nie grozi. W pierwszej kolejności uciekli tutaj ci najbardziej niespokojni. Też wolę mieć coś u pasa. Wydaje mi się, że pozostawienie broni przed salą będzie dobrym kompromisem między ostrożnością a okazaniem zaufania.

- Cieszę się, że tak myślisz - rzekł Matt i uśmiechnął się. - Powiemy Adarowi czy zostawimy go w błogiej nieświadomości?

*

Mimo pewnych obaw do Wielkiej Sali dotarli bez żadnych przeszkód. San-Kakja przysłał eskortę, która przeprowadziła ich przez rojne miasto atakujące zmysły woniami i kolorami typowymi dla bazarów dzielnic portowych. Nie licząc tych, którzy pozostali w motorówce, delegacja liczyła dziesięć osób. Kapitan Reddy, Keje, Adar i Bradford występowali w roli misji dyplomatycznej, Chack i Silva stanowili straż honorową i też mieli wejść do Wielkiej Sali. Matt miał wątpliwości, czy brat Dennisa, jednak był on najbardziej okazałym przedstawicielem rasy ludzkiej na całym okręcie. Dopelnieniem grupy było trzech marines Chacka. Wszyscy byli w granatowych spodniczkach i srebrnych napierśnikach. Dowodził nimi Graana-Fas, syn Jarrika-Fasa, kuzyna Kejego i oficera artyleryjskiego *Salissy*.

Miejscowa eskorta składała się z dwóch tuzinów kotowatych w barwach San-Kakii: żółtych i czarnych spodniczkach, wypolerowanych srebrzystych napierśnikach i płaskich hełmach, które przypominały amerykańskie, ale były trochę głębsze i miały wycięcia na uszy. Przyczepiono do nich coś przypominającego żółte pióropusze, co sphywało swobodnie na

plecy. U pasa mieli krótkie szable, które także kojarzyły się z amerykańskimi kordami, i przypominały, że chodzi o wojowników, a nie przebierańców. Ciekawski tłum rozstępował się przed nimi, chociaż w zgiewku nie było słyhać, żeby ktokolwiek mu to nakazywał. Mijali szybkim krokiem liczne stragany i egzotycznie pachnące jadłodajnie. Tak samo jak na Baalkpanie pod nogami tłumy kręciła się na czworakach dzieciarnia, tyle że miasto było o wiele rojniejsze. Większość handlu odbywała się na otwartym powietrzu, na ulicach osłoniętych kolorowymi płachtami, tyle że całość wydawała się bardziej chaotyczna. W Baalkpanie poszczególne branże miały swoje kwartały, tutaj zaś wszystko było wymieszane i nieustannie tak atakowało zmysły, że trudno było się połapać, co jest czym. Harmider otaczał ich do chwili, gdy zatrzymali się w pobliżu rosnącego pośrodku miasta drzewa galla.

Tak jak w Baalkpanie okolica drzewa była wolna od zabudowy i wyglądała trochę jak park albo spory ogród. Teren wokół sali Nakii został zadeptany, gdy zamieniono go w plac ćwiczeń. Później wyznaczono nowe place za murami miasta, jednak zieleń się jeszcze nie odrodziła. Wcześniej jednak było tu bardzo podobnie jak w Maa-ni-li. Na tym jednak analogie się kończyły, bo samo powitanie okazało się odmienne.

Nakja przywitał ich z zewnętrznego balkonu sali, na sposób kapitana pozdrawiającego załogę nadpływającej łodzi. Tutaj delegacja czekała na nich u podstawy drzewa i sądząc po liczbie jej członków, San-Kakja postanowił chyba uhonorować gości w sposób, którego nie oczekiwali, Matt przyjrzał się odzianej uroczyście gromadzie i spróbował się domyślić, która z postaci może być wielkim wodzem. Najłatwiej było mu odróżnić kapłana, ubranego tak samo jak Adar, tyle że był on młodszy, szczuplejszy i nie tak wysoki. Również miał srebrzystosiwe futro, ledwie widoczne spod purpurowej peleryny z naszytymi srebrnymi gwiazdami. Może San stał zaraz obok niego? Matt spytał półgłosem Adara i Kejego, czy poznają władcę, ale nie potrafili mu nic podpowiedzieć. Nowy wódz został wybrany niedawno i żaden z nich go wcześniej nie widział, stary władca zaś był bezdzietny. Sytuacja była trochę niezręczna.

Matt demonstracyjnie rozpiął pas z pistoletem i pałaszem i podał go Silvie, po czym śmiało ruszył przed siebie, unosząc prawą rękę z otwartą dłonią.

- Jestem kapitan Matthew Reddy, wielki wódz *Walkera*, *Mahana* i innych jednostek Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych oraz wyspy Tarakan. Przybywam do was w przyjaźni jako przedstawiciel sojuszu zjednoczonego pod Sztandarem Drzewa i walczącego z waszym odwiecznym wrogiem, grikami. Wybrany na najwyższego dowódcę sojuszu otrzymałem pełnomocnictwo do prowadzenia rozmów z wielkim wodzem Maa-ni-li. Czy otrzymam zgodę na wejście?

Adar aprobująco skinął głową i przetłumaczył słowa Matta. Przez chwilę nic się nie działo, aż w końcu niski kapłan wystąpił o krok, jakby chciał do nich przemówić. Zanim jednak się odezwał, został odsunięty na bok przez jeszcze drobniejszą postać, która skierowała się prosto do kapitana Reddy'ego. Także miała na sobie czarne i żółte szaty, ale z czarnym lamowaniem wyszywanym złotą nitką i ozdobionym lśniąco muszlami, które podzwaniały przy każdym kroku. Osią talię otaczała wstęga z podobnymi muszelkami, na piersi wisiał na plecionym łańcuszku grawerowany w złocie ryngraf. Na głowie lemur ów miał złoty, bardzo zdobny hełm przypominający trochę nakrycia głowy noszone przez dawnych Spartan, tyle że z żółtym pióropuszem. Umocowane na zawiasach policzki i nosal hełmu skrywały twarz, z której widać było głównie jasne oczy. Były żółte, co zdarzało się często wśród kotowatych, ale tak wielkie, że przypominały przekrojone cytryny z ciemnymi liniami wybiegającymi z czarnych źrenic. Postać uniosła drobną rękę i pokazała gest otwartej dłoni.

- Jestem Saan-Kakja, wielki wódz Fil-pin - rozległo się spod hełmu. - Witam cię, kapitanie Reddy, wielki wodzu i najwyższy dowódco sprzymierzonych sił zbrojnych. - Gdy Adar tłumaczył wypowiedź, postać uniosła drugą rękę i zdjęła hełm, ukazując ciemnofutrze oblicze należące do dziewczyny, która ledwie co weszła we wczesną dorosłość.

Matt nie posiadał się ze zdumienia. Już wcześniej podejrzewał, że ma do czynienia z kimś młodym, kto jeszcze w pełni nie wyrósł, ale chociaż wiedział, że kotowaci nie różnicują ról społecznych ze względu na płeć, i spotkał już kobietę piastującą urząd wielkiego wodza, nie oczekiwał, że w krainie równie wielkiej jak Filipiny może być podobnie. Nie było to mądre założenie. Przecież nawet w historii jego świata było wiele kobiet, które doszły do znacznej władzy. Miał tylko nadzieję, że nie okazał przesadnego zdumienia, zwłaszcza że już jakiś czas temu przyłapał się na tym, że zaczyna wyrażać emocje w sposób przyjęty przez kotowatych. Saan-Kakja zapewne nigdy wcześniej nie widziała człowieka, ale kto wie, co mogłoby ją urazić. Zapewne też nie wiedziała, czego oczekiwać, skoro na początku wołała schować twarz pod hełmem.

- Wejdz proszę - powiedziała. - Wiele słyszałam o twoim dzielnym okręcie i o tym, jak przybyliście z dalekiego miejsca, żeby bronić nasz lud przed niewysłowionym złem.

- Dziękuję - odparł Matt w jej języku. Tyle zdołał powiedzieć.

Saan skłoniła się z szacunkiem Adarowi, potem Kejemu, po raz kolejny odchodząc od protokołu, ponieważ to Keje był głową innego państwa. Adar jednak zyskał obecnie niezwykłą pozycję, bo jeszcze nigdy nie było kapłana reprezentującego całą grupę pływających i lądowych domów.

- Wysoki kapłanie, twoja reputacja uczonego jest znana i u nas - powiedziała Saan. - Tak jak twoja wiedza o szlakach niebieskich. Znam twoją przysięgę, że nie spoczniesz, póki grikowie nie zostaną doszczętnie wytraceni, i chętnie usłyszę twe rady... - Urwała, jakby nie dopowiedziała wszystkiego, ale zaraz spojrzała na Kejego. - Keje-Fris-Ar, od dawna znamy cię jako znakomitego żeglarza, teraz jesteś też sławnym wojownikiem. To dla mnie zaszczyt móc znowu cię gościć, chociaż zapewne nie pamiętasz naszego poprzedniego spotkania. - Potem powiodła spojrzeniem po Bradfordzie, Silvie i Chacku, dłużej przyjrzała się zwłaszcza ostatniemu. Potem znowu zwróciła się do Matta. - Witam na pokładzie. Chętnie uczcilibym wasze przybycie w tradycyjny sposób, ale czasy, w których żyjemy, nie pozwalają nam folgować przyjemnościom. Mamy wiele do omówienia i bardzo mało czasu - dodała, mrugając przepraszająco i ustawiając uszy w sposób świadczący o frustracji.

*

Wiatr przeganiał ciężkie chmury nad zatoką Baalkpan, co nie było tu częste nad ranem, nic jednak nie wskazywało na to, żeby miał się z tego zrodzić jakiś sztorm. Na pewno jednak należało oczekiwać deszczu. Kapitan Benjamin Mallory chodził w tę i z powrotem po plaży. Rękę nosił ciągle na temblaku, ale z napięciem przyglądał się bardzo poobijanej catalinie wtaczanej na własnym podwoziu do morza.

- Wygląda jak kocica, której małe po raz pierwszy wspinają się na drzewo - zauważył Jim Ellis, zwracając się do Alana Lettsa. Obaj przyszli obserwować próbę i w ostatniej chwili zabrali ze sobą Sandrę Tucker, która chciała dopilnować, żeby Mallory nie naraził swego zdrowia na szwank. Jej obecność miała chyba pozytywny wpływ na lotnika.

Letts zachichotał i Sandra mu zawtórowała, choć słabo, jakby była bardzo zmęczona. Letts spojrzał na nią. Przybyła prosto ze szpitala, gdzie pracowała do późna, może nawet do rana, szkoląc nowe pielęgniarki i sanitariuszy oraz doglądając rannych, którzy wymagali bardziej fachowej opieki. Długie włosy związała w koński ogon, który nie do końca pasował do jej dwudziestu ośmiu lat i renomy kompetentnego lekarza, podkreślał za to urodę i sprawiał, że wyglądała dziwnie bezbronne.

Alan Letts lubił ją i podziwiał, tak jak niemal wszyscy ludzie i lemury, ale zawsze czuł się trochę winny, gdy była w pobliżu. Chciał poślubić Karen Theimer, bo ją kochał, a nie dlatego, jak szeptali niektórzy, że chciał mieć na wyłączność jedną z nielicznych kobiet. Byli ze sobą szczęśliwi, jednak właśnie to budziło w nim poczucie winy, na które nic nie mógł poradzić. Uważał, że to nie w porządku, iż jest mu z nią tak dobrze, gdy tylu innych mężczyzn nie ma szansy na związek z kobietą. Jak można było oczekiwać i jak Sandra oraz kapitan Reddy przewidywali, popsulo to trochę jego kontakty z otoczeniem. Był szefem

sztabu, cieszył się więc posłuchem, sądził jednak, że wiele stracił jako autorytet moralny. Z drugiej strony wszyscy wiedzieli, że Sandra i Matt szaleją za sobą. Cała załoga *Walkera* zdała sobie z tego sprawę chyba nawet wcześniej niż oni sami. Mimo to nigdy nie okazywali publicznie swoich uczuć, ograniczając się do przelotnych całusów, gdy im się wydawało, że nikt nie widzi. Oboje cieszyli się szacunkiem, załoga zaś doceniała ich postawę, czuła, że ich miłość rozwija się i że obojgu dodaje sił. Oni jednak ciągle nie mogli się zdecydować na ślub ani nawet dzielenie koi, jak podobno czasem robili Silva i Pam Cross. W ogóle nie robili niczego, czego nie mogli robić inni członkowie załogi. Ludzie wzdychali na tę ich beznadziejną przyzwoitość, ale też mieli ją za potwierdzenie, że kapitan nie spocznie, póki nie odnajdą innych ludzi, którzy najpewniej żyli gdzieś w tym świecie. Alan podziwiał siłę woli obojga, widząc w ich poświęceniu coś z tragizmu i szlachetności zarazem. Byli jak nieszczęśliwi kochankowie z westernu Johna Forda przeniesieni w świat wielkich filmowych widowisk Cecila B. DeMille'a. Wraz z tysiącami statystów, potworami i różnymi katastrofami naturalnymi. Ostateczny wynik był zaś taki, że ilekroć Alan widział smutną twarz Sandry, czuł się jak ktoś nader mało szlachetny.

- O co chodzi? - spytała Sandra, wyczuwając chyba coś z jego emocji.

- Nic takiego - odparł z uśmiechem. - Zamyśliłem się. Mam nadzieję, że udało się załatać wszystkie dziury i nasz sakramencki aeroplan nie zatonie - dodał, ściągając na siebie niezycziwe spojrzenie Mallory'ego.

Samolot był już na wodzie, utrzymywany na zamocowanych do skrzydeł linach, które dźwżyło po czterdziestu lemurów. Było to konieczne ze względu na silne prądy i zaczynający się właśnie odpływ. Setka kotowatych siedziała z tyłu, żeby pomóc potem wyciągnąć catalinę na brzeg. Na razie chcieli tylko sprawdzić, czy kadłub nie przecieka, chociaż udało się już zaradzić innym uszkodzeniom. Połatali zbiorniki paliwa i doprowadzili do ładu skrzydła. Wyrównali poszarpaną końcówkę lewego płata, prawy zaś dla równej miary skrócili o cztery stopy, dzięki czemu zdobyli też aluminium do napraw. Gdy doszło do zderzenia z japońskim samolotem obserwacyjnym, pływak szczęśliwie był opuszczony, dzięki czemu go nie stracili, teraz jednak oba musieli zablokować w tym położeniu. Na skutek tych zmian maszyna miała stracić część siły nośnej i sporo na prędkości, ale Ben nie mógł zrobić nic więcej. Należało oczekiwać też gorszej manewrowości, ponieważ musieli zbudować całkiem nowe lotki. Wykorzystali do tego kawałki bardzo twardego, niemal niezniszczalnego miejscowego bambusa oraz płótno, które grubo pokryli lakierem.

Nie znaleźli dotąd niczego, co mogłoby zastąpić potrzaskane osłony z pleksi, ale mieli kilka pomysłów, które chcieli jeszcze sprawdzić. Połatany wodnosamolot prezentował się

nieszczerólnie, zwłaszcza że granatowa niegdyś farba, którą go pomalowano, bardzo już zszarzała, jednak Mallory zapewniał, że uda się nim jeszcze polecieć, gdy z Jisem-Tikkerem naprawią wymontowany prawy silnik. Miejsce, gdzie powinien się znajdować, zakryto na razie jasnozieloną płachtą. Maszyna była bez niego mocno pochylona w lewo.

- I jak?! - zawołał Mallory.

Palmer wystawił głowę z kokpitu.

- Jest kilka przecieków... - zaczął.

- Jak dużych?

- Tikker właśnie je sprawdza.

Chwilę później w kokpicie pojawił się piaskowo umaszczony lemur z łuską od pocisku wpasowaną w okrągłą dziurkę zdobiącą jego prawe ucho. Sandra zachichotała na ten widok, unosząc dłoń do ust.

- Tak - mruknął Mallory. - Łobuz nie chce, żebyśmy zapomnieli o jego chwalebnej ranie. Pewnie warto by mu dać medal, ale może i to wystarczy. - Pokręcił głową. - Wciąż nie wiem, jak im się udało doprowadzić maszynę do domu, gdy straciłem przytomność. Zwłaszcza w tak oplakany stan.

- Jeszcze się doczeka medalu - zapewnił go Ellis. - Na razie dostał awans na chorążego. No i marynarka dorobiła się pierwszego miejscowego pilota! Nie chcieli oddać go siłom powietrznym - dodał ze śmiechem.

- Nie jest źle! - krzyknął Palmer. - Ale mamy tu parę paskudnych przecieków, więc lepiej go wyciągajcie!

Ben skinął głową i wydał stosowny rozkaz. Grupa oczekujących lemurów chwyciła za liny i zaczęła ciągnąć w takt komend podawanych przez podoficera.

- Ale siły powietrzne też w końcu utworzymy - powiedział Mallory. - Będą potrzebne. Nawet jeśli ta maszynka jeszcze wzleci, nie wytrzyma długo.

Letts ze smutkiem kiwnął głową.

- Panowanie w powietrzu ma decydujące znaczenie. Japońce nas tego nauczyli. Na razie jednak musimy się skupić na marynarce. Poza tym będzie problem z silnikami... A właśnie, co z prawym...?

- Damy radę - zapewnił go Ben. - Będzie hałasował i trzął jak siewkarnia, ale zadziała.

- Naprawdę? - spytała Sandra, patrząc na korpus silnika podwieszony na bambusowym trójnogu pod pobliskim zadaszeniem osłaniającym też radiostację wymontowaną z samolotu na wypadek, gdyby jednak zatonął. Silnik otaczały ławy z rozłożonymi narzędziami i

częściami.

- Już prawie skończyliśmy - odparł Mallory. - Ale najpierw musieliśmy go całkowicie rozebrać. - Skinął na Alana. - Pan Letts bardzo nam pomógł z tym materiałem przypominającym korek!

- Tak, Bradford go odkrył - stwierdził po chwili jakby zawstydzony Letts. - Pochodzi z drzew rosnących na północno-zachodnich bagniskach, blisko jezior asfaltowych. Te drzewa wciągają jakoś asfalt korzeniami i odkładają go w zewnętrznych warstwach pnia. Wychodzi z tego niemal czysty kreozot. Bradford twierdzi, że chroni drzewa przed pasożytami.

- Spanky mówi, że nigdy nie miał w rękach lepszego materiału na uszczelki - dodał Ben. - To Letts wymyślił, że ta kora może się do tego nadawać.

Jim z namysłem pokiwał głową i spojrzał na Lettsa.

- Ostatnio bardzo się zmienił, prawda?

- Tak - zgodził się Mallory z nutką żalu. - Małżeństwo dobrze na niego wpłynęło.

- Na to wygląda. Zapadła niezręczna cisza. Po chwili przerwał ją Mallory.

- Tak czy owak musieliśmy go rozebrać, żeby wydobyć dwa uszkodzone tłoki. Tylko jeden był rozbity, ale i tak straciliśmy dwa cylindry.

- To znaczy...? - spytała z uśmiechem Sandra.

- No... widzisz te okrągłe i podłużne kształty wystające z korpusu? Te z żebrowanymi bokami?

- To są właśnie cylindry, w których chodzą tłoki?

- Tak - powiedział Ben i uśmiechnął się z ulgą. Dobrze, że rozumiała aż tyle. - Dwa z nich nie nadają się do użytku. Za bardzo oberwały. Jeden został nawet przestrzelony. Na razie nie mamy go jak naprawić. Może kiedyś. Tak czy owak wyciągnęliśmy tłoki i korbowody i łatamy, co się da. Jak powiedziałem, będzie chodzić nierówno i straci sporo mocy, ale zadziała.

- Obawiam się, że nic więcej nie da się zrobić - dodał Ellis. - Chyba nie.

Nagle wiatr przyniósł znad zatoki huk wystrzału działowego, i obrócili się w stronę źródła dźwięku. Po chwili rozległ się kolejny strzał i jeszcze jeden. W dali pokazała się nowa fregata *Donaghey* - wracała z misji ratunkowej. Na razie ledwie ją było widać, ale oddawała już salut sztandarowi sojuszu powiewającemu nad Fortem Atkinsona u wejścia do zatoki. Fort oddał salut, a kilka minut później w niebo wzbiła się czerwona rakietą.

- Co u diabła? - spytał Ellis. Czerwona rakietą z fortu oznaczała ogłoszenie alarmu. Zaraz potem na niebie rozbłysły dwie zielone race. - Dobrze. Chyba nie ma powodów do niepokoju. Okręt musiał wywiesić jakiś sygnał, którego stąd nie widać. Ktoś w forcie uznał

pewnie, że trzeba nas o tym powiadomić.

Mallory spojrział na niego zdumiony.

- Wiem, co znaczy czerwona rakietka, ale musiałem chyba przeoczyć odprawę, na której była mowa o zielonych.

- Nie było takiej odprawy - odparł Letts. - Jim, Riggs i ja dodaliśmy ten sygnał dopiero parę dni temu. - Wskazał na samolot i bliżej nieokreśloną okolicę. - Wszyscy jesteście trochę zajęci. Informacja o nowych sygnałach dotarła już do fortu, ale tutaj jeszcze nie.

- A co oznacza ten?

- Jedna czerwona to alarm. Jak zwykle. Jednak w połączeniu z innymi także zwrócenie uwagi. Pierwsza zielona zapowiada „istotną informację”.

- A druga?

- Alarm dla dowódców wszystkich szczebli. To, co widzieliśmy przed chwilą, można odczytać jako wiadomość w rodzaju: „Obudźcie się! Mamy ważny komunikat dotyczący sporego niebezpieczeństwa! Nie ma czasu go powtarzać, więc wszyscy, którzy mogą coś zdziałać, powinni natychmiast stanąć na wysokości zadania. Albo i wyżej, cholera”.

- I te trzy rakiety to wszystko przekazały? - spytał niedowierzająco Ben.

- No.

W wilgotnym powietrzu rozległ się sygnał alarmu bojowego ogłoszonego na pokładzie cumującego niecałe trzysta jardów dalej *Mahana*. Nie było to daleko, ale mgiełka nieco tłumiała odgłos.

- A to co znowu? - spytał Letts.

Ellis pobiegł natychmiast na okręt. Niemal w tej samej chwili gdzieś w górze rozległ się warkot silnika lotniczego. Ben rozejrzał się gorączkowo po niebie i skupił spojrzenie na jakimś obiekcie nadciągającym od zachodu.

- Coś całkiem innego! - krzyknął i powiewając temblakiem ruszył do grupy lemurów, która wyciągnęła już catalinę do połowy z wody. - Dalej! Dalej! Na brzeg z moim samolotem! - Nie zwracając uwagi na ból, też złapał za linę. Ed i Tikker wyskoczyli z kokpitu, żeby do niego dołączyć.

- Co się dzieje? - spytała Sandra.

Stojący obok niej Alan nie miał lornetki, ale wysiliwszy oczy, dostrzegł maszynę lądzącą podobną do tej, która zaatakowała catalinę. Wyposażony w pływak dwupłatowiec.

- O Boże!

- Co?

Letts złapał Sandrę za ramię i pociągnął ją w kierunku osłoniętego stanowiska

artyleryjskiego za plażą.

- Dalej!

- Ale dlaczego? Ten samolot, okręt...

- Właśnie! O nie im chodzi! A ja przecież nie powiem kapitanowi Reddy'emu, że pozwoliłem ci tu oczekiwać na japońską bombę!

Sandra zawahała się. Wiedziała, że zapewne niebawem będzie tu potrzebna, ale jeśli zginie... Szybko podjęła decyzję i puściła się biegiem we wskazaną przez Alana stronę. Ryk silnika był coraz głośniejszy.

- Szybko! - wydyszał Alan, gdy dwa prawoburtowe karabiny maszynowe niszczyciela otworzyły ogień. Wiele lemurów stało tylko i gapiło się w niebo, ale Letts i Sandra krzyknęli na nich, żeby poszukali ukrycia. Sami zanurkowali pod grube zadaszenie stanowiska i obrócili się na czas, żeby ujrzeć samolot przemykający tuż nad cumującym okrętem. Na wodzie widoczne były jeszcze ślady pocisków, a po chwili w pobliżu *Mahana* wyrósł wielki gejzer. Bomba padła za krótko, ale odprowadzany niecelnym ogniem samolot zawracał już, żeby ponowić atak, tym razem od dziobu. Woda znowu zagotowała się od pocisków, słychać też było, jak rykoszetują na stalowych blachach nieruchomego okrętu. Los *Mahana* wydawał się przesądzony, jednak w ostatniej chwili dwupłatowiec lekko się zachwiał, być może trafiony, i wyrównał na innym kursie. Teraz leciał prosto na catalinę, Sandrę, Lettsa i innych, którzy ukryli się w tym samym miejscu.

- Padnij! - krzyknął Letts, ale sam nie wykonał własnego polecenia. Stał błąd, wpatrując się w sylwetkę maszyny, która rozbłysła nagle ogniem z jedyne go strzelającego do przodu karabinu. Wśród lemurów od liny wykwitły fontanny piasku. Kilku marines odpowiedziało z kragów, ale bez widocznego efektu. Chwilę potem od maszyny oddzielił się kolejny ciemny obiekt, przeznaczony najwyraźniej dla wodnopłotowca, jednak jakimś cudem i ta bomba okazała się niecelna. Wybuchła wśród drzew za samolotem, rozrzucając wkoło deszcz stalowych i drewnianych odłamków. Zaraz potem rozległa się wtórna eksplozja i w niebo wystrzeliła kula pomarańczowego ognia. To detonowały zgromadzone niedaleko beczki z benzyną. Z góry znowu spadł deszcz szczątków, tym razem w większości płonących. Dwupłatowiec ostrzelał jeszcze stanowisko artyleryjskie, odłupując od belek całą masę drzazg. Sandra wtuliła się mocniej w ziemię, słysząc, jak samolot wyciąga niemal nad jej głową. Potem skręcił w kierunku miasta.

- Bomby mu się skończyły - powiedział Letts i zakaszłał. - Pewnie sprawdzi jeszcze nasze stanowiska obronne i odleci. Wie, że nie możemy mu nic zrobić.

Sandra spojrzała na Lettsa. Nie wyglądał na rannego. Musiał tylko wykaszleć pył,

który wciągnął do płuc z powietrzem. Inni też już wstawali. Niektórzy odnieśli drobne zranienia od fruujących drzazg.

- Wróci? - spytała Sandra.

- Nie sędzę.

- Sprowadź pomoc medyczną! - zawołała i puściła się biegiem w stronę samolotu i kłębow dymu.

- Dość wybierać! - zawołał Mallory i sam się zdziwił, dlaczego właściwie użył marynarskiej komendy.

Kotowaci siedzieli na ziemi, ciężko łapiąc powietrze albo wykasłując szare i czarne drobiny, unoszące się w powietrzu.

Zaczynało już padać i niebawem kapanina mogła przejść w ulewę. Ramię bolało Bena jak diabli i bezwiednie spróbował umieścić rękę z powrotem na temblaku. Wkoło słychać było jęki, ale napływające do oczu łzy nie pozwalały mu odróżnić rannych od wyczerpanych. Obok pojawił się Ed Palmer, brudny i z zakrwawionym czołem. Pochylił się i oparł dłonie na kolanach, żeby też swoje wykaszać.

- Gdzie Tikker? - spytał Ben.

Ed wskazał na stanowisko naprawcze. Silnik kołysał się spokojnie pod trójnogiem i nie wydawał się uszkodzony, chociaż zadaszanie zniknęło. Tikker z grupą innych lemurów zasypywał piaskiem płonąca benzynę, która zbliżyła się niebezpiecznie do ław z częściami.

- Samolot?

Ed przestał kaszleć i splunął czarną śliną.

- Chyba dobrze. Może tylko trochę dostał odłamkami. - Pokręcił powoli głową. - Nic, czego nie dałoby się załatać. Ale gdyby był na wodzie, pewnie by zatonął i mielibyśmy polkę z wyciąganiem go na brzeg.

Mallory przytaknął. Zaraz potem dołączyła do nich zdyszana i także kaszłająca Sandra.

- Zajmijcie się pierwszą pomocą! - poleciła. - Sanitariusze są już w drodze - dodała i pospieszyła ku miejscu upadku drugiej bomby, spodziewając się znaleźć tam najciężej rannych. Przez dym widać było sylwetkę *Mahana*, na którym ciągle rozbrzmiewał alarm.

Mallory westchnął i wskazał na pięciu miejscowych, którzy wydawali się być w formie.

- Idźcie za nią! - rozkazał. - Reszta niech się zajmie kumplami.

Ed z dziwną miną wpatrywał się w ogień.

- Boże wszechmocny - wyszeptał.

- Co znowu? - zapytał go Mallory.

Ed wskazał coś i zrozpaczony padł na kolana.

- Co?

- Radio - wyszeptał. - Szlag je trafił.

*

W Wielkiej Sali zgromadzili się wszyscy ważniejsi urzędnicy i wojskowi. Przede wszystkim odpowiedzieli na sygnały dane raketami (gdy dowiedzieli się, co oznaczają), ale atak też był wystarczającym powodem, żeby tu przybyć. O dach bębnił ulewny deszcz, powietrze było wilgotne, ale świeże i chłodne. Zapadał już zmierzch, co pasowało do skąpego oświetlenia sali i mało budujących wydarzeń tego dnia, które sprawiły, że nastrój w sali był dość ponury. Kiedyś Naga zapewne spróbowałby coś na to poradzić, gdyż jego zadaniem było podtrzymywanie ducha wiernych, teraz jednak siedział tylko, zawodząc coś nonsensownie. W jego obecności żaden inny kapłan ani akolita nie ważył się zabrać głosu bez pozwolenia. Adar, praktycznie już wyznaczony na następcę Nagi, zapewne by się na to zdobył, ale obecnie go tu nie było.

Wśród wodzów pływających domów stał też Jarrik-Fas, reprezentujący *Salisę* w zastępstwie Kejego. Lord Muln Rolak kręcił się niespokojnie. Zasadniczo był tylko dowódcą ewakuowanych aryaalskich wojowników, ale pod nieobecność Aldena i królowej Maaran stał się najwyższym dowódcą wojsk lądowych. Bardzo się martwił losem Safiry, chociaż jeszcze niedawno była ona jego wrogiem. Obecnie myślał o niej prawie jak o własnej wnuczce. Ostatecznie walczyli ramię przy ramieniu w największej bitwie, jaką znał ten świat, i nie mógł znieść myśli, że królowa mogłaby wpaść w łapy grików. Chodził więc niespokojnie tam i z powrotem.

Przybył też przemoczony do nitki Ellis. Mundur miał brudny, bo zaraz po ataku musiał się zająć naprawami. Bliski upadek bomby uszkodził trochę jego okręt. Stanął obok Mallory'ego i Palmera oraz Riggsa i Bristera, którzy dotarli tu z Fortu Atkinsona. Letts i Sandison stali obok tronu Nakii-Mura. Wielki wódz Baalkpanu tylko spoglądał na zgromadzonych i słuchał narastającego gwaru. Na razie nikt nie zabrał oficjalnie głosu.

Jeden z ostatnich zjawił się Greg Garrett, wspierając się na kuli. Towarzyszyły mu Sandra Tucker, Karen Theimer i Selassa, córka Kejego. Mimo zmęczenia był ogolony i w mundurze, w miarę możliwości oczyszczonym z krwi i prochu. Letts rozkazał Gregowi, żeby zajrzał do szpitala i dał się zbadać. Meldunek o przebiegu rejsu dostarczył przez kuriera zaraz po rzuceniu kotwicy. Opowieść błyskawicznie obiegła całe miasto. Letts i Ellis podeszli do niego, aby dać mu do zrozumienia, że nie winią go za to, co się stało. Było jednak jasne, że Garrett jest innego zdania.

Nakja wciąż nie ruszał się z tronu. Nie miał żalu do młodego oficera i nie był skłonny przypisywać mu żadnej winy, ale i bez tego miał się czym martwić. W ostatnich godzinach doszło go tyle złych wieści, że aż się ugiął pod ich ciężarem. Niestety, wiedział, że niebawem będzie musiał podjąć kilka trudnych decyzji, i obawiał się, że mogą one doprowadzić do klęski. Ufał swoim doradcom, ale bardzo mu brakowało przyjaciół - kapitana Reddy'ego, Kejego, Adara, bosmana Graya i japońskiego oficera, Shinyi. Dotąd bardzo go wspierali, ale teraz byli daleko. To naprawdę był pech! Chwilami niemal żałował, że bomba trafiła w radiostację, a nie w samolot czy okręt.

- Czy radia naprawdę nie można naprawić? - spytał błagalnym tonem, uciszając najbliższych stojących.

- Obawiam się, że nie - odparł Palmer. - Wszystko poszło w drzazgi. Nawet akumulatory.

- A do tego straciliśmy dziewiętnastu ludzi - dodała Sandra, żeby przypomnieć o tym, co uważała za najważniejsze. - Ale mogło być znacznie gorzej.

Nakja pokiwał głową, dziękując za ten wtęret, i wyraźnie się wyprostował. Cóż, nie była to odpowiednia pora, żeby użalać się nad sobą. Musiał dawać dobry przykład.

- Oczywiście. Współczuję rodzinom poległych i jestem wdzięczny losowi, że nie doszło do najgorszego. Ale jest jeszcze „większa perspektywa”, jak by powiedział kapitan Reddy. Strategicznie rzecz biorąc, utrata radia jest dla nas bardzo dotkliwa.

- Z czym więc zostajemy? - zastanowił się głośno Letts. - Spróbuję podsumować. Dwoje najważniejszych dowódców znalazło się za liniami nieprzyjaciela. - Garrett drgnął i Letts spojrzał na niego przeprasząco. - To nie twoja wina. Sami do tego doprowadzili niepotrzebnym bohaterstwem. Poza tym świetnie dowodziłeś swoim okrętem. Nie tylko w walce, ale i potem, bo przecież doprowadziłeś go w tym stanie do portu i przekazałeś nam ważne informacje. Boże, grikowie i działa! Ale jest jak jest. Gdybyśmy wydostali królową, bardzo podniosłoby to na duchu jej poddanych w mieście. A dodam, że stanowią oni prawie jedną czwartą naszej armii.

- O wydostaniu jej musimy pomyśleć w pierwszej kolejności! - oznajmił wciąż krążący tam i z powrotem Rolak.

- Zgadza się - rzekł Letts. - Musimy się jednak zastanowić, jak tego dokonać. I nie tylko o tym powinniśmy pomyśleć. W jakim stanie jest *Donaghey*?

- Nie najlepszym - przyznał ponuro Garrett. - Rufę ma poharataną eksplozją, stracił bezanmaszt, olinowanie jest w strzępach. Sporo już naprawiliśmy, ale czeka nas jeszcze co najmniej kilka dni wytężonej pracy, żeby się uporać z najważniejszym. Przede wszystkim

musimy ustawić nowy maszt i załatać przecieki.

Letts pokiwał głową.

- Dwie następne fregaty są prawie gotowe, ale minie jeszcze trochę czasu, nim będą mogły wypłynąć. Zarządca stoczni mówi, że potrzebuje na to tygodnia, a naprawy *Donagheya* pewnie jeszcze przesuną ten termin. Reszta zdobycznych jednostek albo jeszcze przechodzi modernizację i jest uzbrajana, albo przebywa daleko stąd. Tylko *Felts* jest w porcie, ładuje zaopatrzenie dla Tarakanu. Pływające domy są bez wątpienia dość potężne, żeby stawić czoło każdemu uzbrojonemu okrętowi jaszczurów, ale są też powolne.

Nakja słuchał tego i zastanawiał się, czy jakiegokolwiek ich dotychczasowe poczynania miały w ogóle sens. Musieli jednak coś zrobić. Amerykanie rozważali różne propozycje i odrzucali je kolejno, tak jak on robił to w myślach. Widział tylko jedną możliwość, lecz poczekał dyplomatycznie, aż pozostali dojdą do tego samego wniosku.

- Musimy wykorzystać *Mahana* - westchnął Ellis.

- To wymaga ustalenia dwóch rzeczy - odezwała się Sandra. - Po pierwsze, czy *Mahan* da radę? A po drugie, jakie straty i uszkodzenia dzisiaj odniósł?

- Dwóch poległych, siedmiu rannych od ognia maszynowego - odparł Ellis, patrząc na Selasę. - Jednym z rannych jest Saak-Fas. Na szczęście lekko. Wrócił już do swoich obowiązków. Zniszczenia ograniczają się do kilku wgiętych blach, zapewne obłuzowało się też parę cegieł w kotle numer dwa. Płyty są już wyprostowane, kocioł wygaszony. Jeśli trzeba będzie zająć się cegłami, załatwimy się z tym do rana. Potem weźmiemy zaopatrzenie i paliwo i będziemy gotowi do wypłynięcia.

- Wciąż macie tylko jedną śrubę - przypomniała Sandra. Próbowali już odlać nową na miejsce tej, którą *Mahan* oddał *Walkerowi*, ale okazała się źle wyważona. Obecnie szykowali następną, ale nie byli jeszcze gotowi do wypełnienia formy.

- To prawda, ale nawet z jedną będziemy szybsi niż wszystko, co możemy napotkać - powiedział Ellis.

- Może, ale jest jeszcze jedno. Matt... kapitan Reddy zostawił rozkaz, żeby *Mahan* nie podejmował żadnych samodzielnych działań w rodzaju tego, o którym myślicie. Ma własny plan obrony Baalkpanu i *Mahan* odgrywa w nim istotną rolę. Zwłaszcza że nieprzyjaciół nie podejrzewa nawet jego istnienia!

Zirytowany Rolak uderzył w pochwę szabli.

- Kapitan Reddy jest teraz gdzie indziej, moja pani. Bardziej niż ktokolwiek inny skłonny jestem wykonywać jego rozkazy. Moje życie i honor są w jego rękach. Jednak nie ma go tutaj, a my musimy znaleźć jakieś rozwiązanie. Znając go, sądzę, że zaakceptowałby nasz

plan, zrozumiał, że nie ma żadnej innej możliwości, a siedzieć beczynnie nie możemy. Znasz go nawet lepiej niż ja, więc na pewno się z tym zgodzisz.

- Tak, masz rację - powiedziała Sandra po dłuższej chwili i westchnęła ciężko. - Wolałabym jednak, żeby o tym wiedział. Minie jeszcze kilka dni, nim zaczniesz się zastanawiać, dlaczego przestaliśmy słać codzienne meldunki. Nawet wtedy nie od razu się chyba zaniepokoi, kładąc to na karb pogody albo zakłóceń atmosferycznych.

- Ona ma rację - powiedział Riggs, gdy Sandra spojrzała nań, szukając u niego wsparcia. - I nawet wtedy nie będzie miał powodu do zmartwienia, skoro w naszym ostatnim meldunku nie było nic niezwykłego. Wie też, że będzie miał ileś dni na powrót, gdyby grikowie jednak się ruszyli. Pomyśli zapewne, że radiostacja się zepsuła, co zresztą jest prawdą - parsknął. - Ale to nie znaczy, że nijak nie możemy się z nim skontaktować. - W sali nagle zrobiło się cicho. - Jak pewnie wiecie, Clancy popłynął na *Walkerze*, ale Ed i ja pracujemy od jakiegoś czasu nad prostymi kryształkowymi odbiornikami. W zasadzie mamy już materiały, żeby zmontować przynajmniej kilka. Znaleźliśmy galenę na kryształki, ale wystarczy też sproszkowana siarka wymieszana z ołowiem. Takie odbiorniki nie wymagają nawet zasilania. Trochę miedzianego drutu na antenę, słuchawki albo głośnik - i już. Na razie niewiele nam to pomoże, chociaż w ogóle bardzo się przydadzą, ale możemy zbudować także prostą iskrówkę, która będzie miała wystarczający zasięg. Tyle że do tego potrzebne będzie znacznie więcej. W tym sporo drutu i jakieś źródło zasilania. Dobry byłby generator *Mahana*, ale skoro jego tu nie będzie... Chyba spróbujemy z mokrymi ogniwami. Kwasowo-ołowiowymi. Jestem pewien, że nam się uda, i nie powinno to nawet zabrać wiele czasu.

- Ile dokładnie? - spytał Letts.

- Już wcześniej powinniśmy się byli nimi zająć - przyznał Riggs. - Ale mieliśmy tyle roboty i działające radio... Sam pracowałem nad budową wież semaforowych i szkoleniem operatorów. - Pokręcił głową. - Ale to żadna wymówka. Myślę, że z tydzień. Będziemy musieli zacząć całkiem od podstaw.

Letts spojrzał na Nakję.

- Najwyższy priorytet - powiedział. - Bez ograniczeń, jeśli chodzi o materiały i ludzi.

- Zatem jedno mamy chyba załatwione - stwierdził Ellis, przeciągając dłonią po włosach. - Dalej. Co masz dla mnie, Bernie?

- Mniej, niżbym chciał - odparł ciemnowłosy oficer torpedowy, wstając z siedziska. - Osadziliśmy dwadzieścia nowych pocisków w łuskach od czterocalówek, ale pracujemy jeszcze nad lepszą metodą produkcji spłonek. To najtrudniejsze. Dotąd robiliśmy je pojedynczo, używając prasy i matrycy, o ryzykownych eksperymentach z piorunianem rtęci

nie wspominając. Ale wiemy już, co zmienić. Minie jednak do czterech dni, zanim będziemy mieli kolejną partię. - Bezradnie pokręcił głową. - Wiem, że to za późno. Ale przynajmniej będziecie mieli tyle, żeby je wypróbować. Pamiętajcie jednak, że to tylko lite miedziane pociski bez materiału wybuchowego. Łuski wyładowaliście czarnym prochem, zatem kalkulator artyleryjski nie przyda się na wiele. Mieliśmy nadzieję szybciej uzyskać bawełnę strzelniczą, wiemy dokładnie co i jak, ale to zdradliwy materiał i nie wszystko jest jeszcze gotowe do jej produkcji, jeśli wiecie, o czym myślę. Obecnie pociski powinny sprawdzać się dobrze przeciwko drewnianym kadłubom przy indywidualnym kierowaniu ogniem. Mają wystarczającą siłę przebicia. Oczywiście pracujemy nad czymś lepszym, ale niestety na razie mamy tylko to.

- A co z torpedą? Mamy ją wziąć? - Ich jedyna torpeda należała do starego typu Mark 10, stosowanego w okrętach podwodnych, i została zabrana z opuszczonego magazynu w Surabai. Myśleli, że porzucono ją jako uszkodzoną, ale po przeglądzie okazała się całkiem sprawna.

- Nie - zdecydował Letts. - Kapitan ma wobec niej pewne plany. Nie mamy powodu sądzić, że *Amagi* jest już gotów do wypłynięcia, a to jedyny dobry cel dla naszej rybki. Poza tym lepiej jej nie narażać. Zostanie więc tutaj. - Ellis przytaknął i Letts spojrzął po pozostałych. - Zatem chyba wszystko ustalone. Poza pewnymi wątpliwościami, które od początku chodzą mi po głowie.

- Na przykład?

- A choćby to, że samolot nie zjawił się tu całkiem samodzielnie - odezwał się Mallory. - To był *Dave*, jak nazywamy je w naszym kodzie identyfikacyjnym. Taki jak ten, z którym walczyliśmy poprzednio. Nie ma wystarczającego zasięgu, żeby dotrzeć tu z Aryaalu i wrócić. Musiał co najmniej raz tankować po drodze. Raczej dwa razy. Co znaczy, że na morzu czekały na niego dwa statki. Pewnie wciąż tam są i idę o zakład, że zostały tak samo uzbrojone jak te, które napotkał Greg.

- Grikowie zawsze pływają w zespołach po trzy jednostki - powiedział Ellis z zastanowieniem. - Może moglibyśmy ich przechwycić, gdy będą wracać. Kto wie, czy nie z samolotem, jeśli został uszkodzony.

- To byłoby najlepsze, bo w przeciwnym razie dowiedzą się o naszych przygotowaniach do obrony - zauważył Letts. - Chociaż może sądzą, że trafili i okręt, i samolot. Tak czy owak teraz będą wiedzieli, czego się spodziewać.

- Obawiam się, że wydarzenia ostatniego tygodnia zapowiadają ich rychły atak - odezwał się Nakja. - Wcześniejszy, niż sądziliśmy. W przeciwnym razie po co mieliby nas

atakować właśnie teraz? Sądzę, że mogą już być prawie gotowi.

- To też powinniśmy ustalić - zgodził się Letts i spojrzął na Bena. - Kiedy będziecie mogli polecieć?

Zmęczonemu i obolałemu Benowi sformułowanie odpowiedzi zabrało więcej czasu niż zwykle.

- Jutro zaczniemy składać silnik. Za jakieś dwa dni zamontujemy go i wypróbujemy. Osłony nie będziemy zakładać. Jest tak zniekształcona, że zwiększałaby opór bardziej niż goły silnik. - Zamilkł na chwilę, zastanawiając się intensywnie. - Trzy dni - odparł w końcu z westchnieniem. - O ile będziemy mieli dość pomocników i wszystko zadziała. Wciąż jednak szukamy czegoś na osłonę kokpitu. - Spojrzął z namysłem na Ellisa. - Może *Mahan* ma jakieś zbędne szyby?

- Dobrze - powiedział Letts, zdając sobie sprawę, że narusza jeszcze jeden z nakazów kapitana Reddy'ego, żeby nigdy nie wypuszczać samolotu, jeśli nie będzie z nim łączności. Ale trudno. - To też otrzymuje najwyższy priorytet. Macie polecieć do Aryaalu, sprawdzić, co się dzieje z *Amagim* i czy flota grików już się zebrała, i zaraz wracać. Dacie radę?

Ben wzruszył ramionami.

- To będzie pewnie najgorszy lot w moim życiu, ale chyba damy radę wejść powyżej zasięgu artylerii przeciwlotniczej. O ile skrzydła nam się nie złożą, oczywiście.

- Zatem wiemy, co robić. Co do innych spraw, *Felts* wypływa jutro, nawet jeśli Clark nie będzie jeszcze gotowy. Ostrzeże Tarakan na wypadek, gdyby grikowie nie wracali prostą drogą, potem ruszy w kierunku Manili. Wobec braku nadajnika to będzie najszybszy sposób przekazania kapitanowi informacji, że grikowie coś szykują. - Spojrzął na Nakję.

- Tak, podzielam twoje zdanie.

*

Generał Pete Alden i kapitan Haakar-Faask leżeli w zaroślach przy plaży i przekazywali sobie co chwila lornetkę, obserwując grików wyładowujących się z trzech jednostek, które kotwiczyły najbliżej brzegu. Te trzy nie miały dział, ale wiele sugerowało, że kolejne trzy, widoczne dalej na morzu, owszem. Aldenowi bardzo nie podobało się nader metodyczne postępowanie grików. Spojrzął na Faaska i uniósł brew. Kotowaty omal nie wybuchnął śmiechem, ale ludzka mimika niezmiennie go bawiła. Zrozumiał jednak gest, chociaż słabo znał angielski. Szczęśliwie Alden opanował już trochę język lemurów.

- Chyba chcą się do nas dobrać - powiedział.

Minęły już dwa tygodnie od walki *Donagheya* - dość długo, żeby trzy okręty, które odpędziły fregatę, wróciły do Aryaalu z wieściami o bitwie i dało się zorganizować większą

ekspedycję. Należało oczekiwać też, że uszkodzony *Donaghey* dotarł już do Baalkpanu i za jakiś czas zjawi się ktoś, żeby ewakuować uchodźców. Tylko czy sojusz na pewno znajdzie dość sił, biorąc pod uwagę, że jego jednostki były rozrzucone na wielkim obszarze, sięgającym aż Filipin?

Alden nie wątpił jednak, że pomoc w końcu nadejdzie. Choćby miał to być tylko naprawiany okręt Garretta. Mogło to jednak trochę potrwać. Na razie około tysiąca grików szykowało się do przeczesania wyspy w poszukiwaniu mniej niż trzystu dusz pozostałych pod dowództwem i opieką Faaska. Obecnie byli to już głównie mężczyźni, w większości jednak cywile. Niecała setka potrafiła obchodzić się z bronią, ale niemal wszyscy, włącznie z dzieciarnią, kończyli szkolenie. Tyle dobrego, że zdecydowaną część już ewakuowano. Ci, którzy zostali, nie chcieli opuszczać bliskich. Inni, głównie starsi, czekali z ewakuacją do chwili, gdy wszyscy inni zostaną już zabrani. Sporo z nich chorowało z niedożywienia i wyczerpania. Alden nie mógł więc liczyć na więcej niż dwie setki.

Jego zwiadowcy zameldowali, że około dwóch tysięcy wojowników nadciąga z północnego zachodu. W wyniku tego stracili posterunki obserwacyjne nad zatoką, które były dotąd tak przydatne, a teraz drugie zgrupowanie wylądowało na ich „tyłach”, odcinając uchodźców od morza.

- Lepiej wracajmy, żeby powiedzieć o tym królowej - stwierdził Alden. Wezwawszy dwóch innych zwiadowców, żeby zajęli ich miejsce i meldowali o postępach nieprzyjaciela, jak długo zdołają, Alden i Faask ześliznęli się z wydmy i szybkim krokiem ruszyli przez dżunglę.

Królowa już na nich czekała, głodna wieści.

- Nie mylicie się? - zapytała.

Peter i Faask zaprzeczyli.

- Co teraz zrobimy?

- Musimy zadbać o twoje bezpieczeństwo, pani - odparł Faask.

- Jak? Mam się schować w jakiejś norze? - Pokazała na uchodźców chroniących się pod zaimprovizowanymi daszkami przed deszczem, który właśnie zaczął padać. - A co z nimi?

- Z całym szacunkiem, wasza królewska mość... - zaczął Faask.

- Nie! Nie będę się kryć, zostawiwszy moich ludzi na rzeź! - Safira spojrzała twardo na Aldena i Faaska. - Będziemy walczyć. Wszyscy. Wy dwaj jesteście zapewne największymi dowódcami, jakich znał ten świat. Każdy na inny sposób, ale to właśnie powinno nam dać przewagę. Na pewno obmyślicie jakiś plan, który może nie zapewni nam zwycięstwa, ale im

także nie pozwoli wygrać. Potrzebujemy tylko trochę czasu, przyjaciele. Sojusznicy nas nie zostawiają. - Uśmiechnęła się. - Jesteśmy dla nich zbyt ważni, prawda?

- Ale tych tutaj jest po prostu za wielu - zaprotestował Faask. - Przypada ich piętnastu na jednego naszego żołnierza.

Alden podrapał się w brodę.

- Hmm. To byłaby prawda, gdyby wszyscy zgromadzili się w jednym miejscu. - Przyklęknął na namokłej ziemi i odgarnął liście. Krótkim patykiem narysował kontur wyspy. Potem dodał linię w jej górnej części. - To są główne siły grików. Jest ich wielu, ale rozciągniętych na całą szerokość wyspy. Jeśli skupimy nasze siły tutaj... - wskazał na południe - będziemy mogli uderzyć na ich prawą flankę, lokalnie mając przewagę liczebną. Wtedy uda nam się przebić na ich tyły. To będzie dla nich niebezpieczna sytuacja i przy odrobinie szczęścia może się zdarzyć, że wpadną w panikę, jak już bywało. Wtedy będziemy mogli zniszczyć całe ich skrzydło. Może nawet uda nam się skłonić całą armię do ucieczki. Chociaż to mało prawdopodobne, bo wcześniej czy później nasi ludzie opadną z sił i atak straci impet. Wtedy zapewne na nas uderzą.

- Zgadzam się z tym, co dotąd przedstawiłeś - powiedział Faask. - Ale co nam z tego przyjdzie? Poza chwalebny koniec, rzecz jasna. Tymczasem mamy chronić królową, a to jej nie pomoże.

- Pomoże, bo nie dopuścimy, żeby nasi ludzie opadli z sił. Wycofamy się tutaj. - Wskazał znowu patykiem. - Tam damy im wytchnąć, podczas gdy środkowe oddziały grików wyprowadzą atak na miejsce, gdzie byliśmy wcześniej. Gdy to zrobią, uderzymy na ich nowe lewe skrzydło. Faask milczał przez chwilę, przyglądając się rysunkowi.

- To genialny plan!

- Oczywiście! - odparł z uśmiechem Pete. - Musimy tylko dokładnie skoordynować wszystkie nasze działania. I opracować sygnały, które łatwo będzie można zrozumieć i szybko przekazać.

Faask pogłaskał się po brodzie. Alden przywykł już do zwyczajów morskiego ludu, który zwykł przystrzygać sierść, ale weteranowi broda jakoś pasowała.

- Ta taktyka powinna się sprawdzić wobec dalekiej lewej flanki grików, nawet jeśli nie wpadną w panikę. To może być największe zwycięstwo naszej epoki! - Spojrzał na Aldena z szacunkiem i nagle spoważniał. - Ale co z tymi nowymi oddziałami? Nasi wojownicy będą wyczerpani, nawet jeśli zwyciężą.

Alden wskazał w stronę morza.

- Nie tak szybko się zorganizują. Zajmie im to co najmniej dzień. Wiemy, gdzie są, ale

oni nie mają pojęcia, gdzie my jesteśmy. Szybko się w tym połapią, ale wtedy będziemy się już kierować ku głównym siłom. To powinno pomieszać im szyki. A potem rozproszą się tak samo jak ci pierwsi.

- I powtórzmy nasz manewr! - powiedział triumfalnie Faask.

- Właśnie - potwierdził Alden.

Królowa Maraan zakaszłała znacząco.

- To bardzo inspirujące, szlachetni wodzowie. Jestem pod wrażeniem. Wiem, że możecie tego dokonać, i plan wydaje mi się wspaniały... pamiętajcie jednak, czego mnie uczyliście. Na żadnym planie nie można polegać bez zastrzeżeń, gdy już dochodzi do walki.

ROZDZIAŁ 7

Matt otworzył oczy i zamrugał. Ciepłe promienie słońca przenikały przez cienkie zasłony w drzwiach balkonowych. Znowu zasnął. Wcale mu się to nie podobało, zwłaszcza że zdarzyło się już drugi dzień z rzędu. Przez całe życie wstawał razem ze słońcem, a nawet wcześniej, ale ostatnio... Pokręcił głową i przetarł oczy. Przetoczył się po wielkim materacu, który służył za łóżko, wstał i podszedł do miski z wodą czekającej na stoliku obok drzwi. Zanurzył twarz, policzył do dziesięciu i mocno ją potarł. Osuszywszy się, rozdzielił nieprzyjemnie długie włosy i zaczesał je z lewej na prawą. Potem spojrzął w wiszące nad miską srebrne lustro.

- Zaczynam wyglądać jak włóczęga - mruknął, przypominając sobie włóczęgów krążących wkoło stacji kolejowej, których widywał w dzieciństwie. - I nie zachowuję się wcale lepiej. Żeby budzić się tak bez sensu. Pewnie jest już ósma! - Zerknął na zegarek. Była siódma pięćdziesiąt. Zmarszczył brwi, ponownie pokręcił głową i raz jeszcze spojrzął w lustro.

Włosy sięgały mu do połowy uszu i zaczynały się lekko kręcić na karku. Dostrzegł w nich na dodatek siwe nitki. Szczecina na jego twarzy przypominała barwę sól z pieprzem, chociaż miał dopiero trzydzieści trzy lata. Powinien poprosić Juana, żeby go ostrzygł. Z satysfakcją pomyślał, że chociaż brzytwą może operować sam.

Ogolił się jak najostrożniej. Większość ludzi ze starej załogi przestała już to robić i trudno było ich nawet skłaniać do wznowienia nawyku, skoro tak niewiele brzytw im zostało. Matt jednak wciąż się golił, przede wszystkim dlatego, że podwładni tego od niego oczekiwali. Nie zapominał o tym nawet w najgorszych chwilach, które razem przeszli, i chociaż był to w sumie drobiazg, uważał, że takie pozorne błahostki mają wielkie znaczenie. Dla niego był to symbol stałości i kontynuacja dawnego porządku, który mimo szkwału nie przepadł ze szczętem.

Podszedł do małej szafy i wybrał jeden z nowych mundurów. Jak zawsze minęło trochę czasu, nim przywykł do szorstkiego materiału. Ale nie przejmował się tym. Nowe uniformy były zdumiewająco dobrze uszyte, co też było ważne dla ludzi, bo dzięki temu łatwiej im było czuć się wciąż częścią US Navy. Znoszone buty i sfatygowana czapka kontrastowały z nową kurtką mundurową i spodniami, ale na to nie mógł już nic poradzić. W

końcu zapiął pas z pistoletem M1911 i pałaszem z akademii. Broń biała była wypolerowana i zadbana, ale rękojeść znaczyły plamy od potu, a szczyrby na ostrzu świadczyły o znacznie intensywniejszym użyciu, niż przewidywał, gdy kupował paradną broń tuż przed ukończeniem uczelni.

Przygotowany na spotkanie dnia, wyszedł na balkon. Apartament oddany misji w użytkowanie zajmował jedną z kondygnacji Wielkiej Sali, a balkon biegł wokół całego piętra. Mimo masywnej konstrukcji i drzewa, z którym budynek był związany, wydawało się, jakby nieustannie lekko się poruszał. Niestety, ich misja skandalicznie, jak uważali Adar i Keje, utknęła w miejscu. Od pierwszego spotkania, które wzbudziło wiele nadziei, wielki wódz Maa-ni-li był trzymany z dala od nich. Jego podwładni tłumaczyli to „stosownością” takiego postępowania. Według kotowatych przyjaciół Matta była to ewidentna wymówka.

Stosowność nie ma tu nic do rzeczy, tłumaczyli. Winna jest polityka i rywalizacja frakcji. Obaj czuli się urażeni, uważali to też za obrazę wobec kapitana Reddy’ego. On sam chciałby jak najszybciej przejść do negocjacji. Bardzo potrzebowali pomocy Manili, czekał więc w nadziei, że uda się jakoś przełamać impas. Nie było jednak łatwo. Tyle jeszcze miał do zrobienia w Baalkpanie i nie tylko, że frustracja coraz silniej dawała mu się we znaki. Przywykł do stresu, który towarzyszył mu jako dowódcy, i te „wakacje” wpędzały go w szaleństwo. Nie miał nic ważnego do roboty, ale był zbyt spięty, żeby się tym cieszyć.

Tak jak każdego z pięciu poranków spędzonych dotąd w Manili miasto zaatakowało go gwarem, barwami i całą gamą zapachów. Podobnie jak w Baalkpanie większość porannej aktywności koncentrowała się w pobliżu portu, gdzie sprzedawcy zachwalali zdobycz z wczesnego połowu, ale handlowano także wytworami miejscowego rzemiosła i przemysłu, które były chyba lepiej rozwinięte niż w Baalkpanie przed pojawieniem się Amerykanów. Między masywnymi budynkami warsztatów ciągnęły się nie zadaszone stanowiska do splatania lin. Powstawały na nich masywne, nasycane smołą cumy używane na pływających domach. W pobliżu pracowali żaglomistrze, zszywający szybkimi ruchami wielkie płachty materiału. Słysząc było ich zawodzący śpiew. Przez znajomą woń zatoki przebijały zapachy z rozmaitych garkuchni i smród zwierzęcych odchodów.

Większość tych ostatnich produkowały udomowione brontozaury. Trochę dorzucała wszechobecna dzieciarnia kręcąca się po ulicach hałaśliwymi bandami. Najmłodszy widocznie nie nawykli jeszcze do korzystania w miejscowych wygódek z bieżącą wodą, które umożliwiały gęsto zaludnionej metropolii normalne życie. Nie różniły się wiele od tych na pokładzie *Walkera* - składały się z deski z dziurą, pod którą przepływała woda. Tyle że w odróżnieniu od ludzkich miast, które też znały podobne urządzenia, woda była odprowadzana

czymś w rodzaju akweduktów, nie zwykłymi rynsztokami. W końcu trafiała do zatoki, gdzie resztą zajmowali się miejscowi padlinożercy, znacznie liczniejsi i mniej wybredni niż w świecie Matta.

Nawóz produkowały również stworzenia, których nigdy wcześniej nie widział. Niektóre z daleka przypominały brontozaury, były jednak mniejsze i miały krótsze, muskularne szyje oraz znacznie krótsze ogony. Głowy były za to większe, z krótkim i rozłożystym porożem. Okryte były prawdziwą sierścią i Bradford z miejsca oznajmił, że są to roślinożerne torbacze. Matt zastanawiał się, dlaczego Baalkpan nie sprowadził ich do siebie. Były bez wątpienia lepszymi zwierzętami pociągowymi niż tępe brontozaury. Wydały mu się też inteligentniejsze i bardziej podatne na tresurę. Widział już je w jednostkach lekkiej artylerii. Może nawet dałyby się dosiąść, chociaż tutaj nikt tego nie robił. Zwały się *paalkas*, chociaż Silva zaraz zaczął je nazywać łosiami.

Były też w Manili zwierzęta, które wykorzystywano pod wierzch. Dotąd widział ich tylko dwa - przypominały długonogie krokodyle, z kończynami raczej psimi niż gadzimi. Biegały też podobnie jak psy. Tego razu, gdy je zobaczył, niosły na grzbietach wojowników w barwach Saan-Kakii, zmierzających gdzieś w jakiejś zapewne ważnej sprawie. Tłum rozstępował się przed nimi nadzwyczaj szybko, chociaż długie paszcze miały tak obwiązane, że nie mogły ich w ogóle otworzyć. Nie pamiętał, jak miejscowi je nazywali, a Bradford nadał im zaraz nazwę, która nie nadawała się do powtórzenia. Matt odnotował jednak w pamięci, że musi dowiedzieć się o nich czegoś więcej.

Miasto było fascynujące, ale i frustrujące. Ta Manila podobała się Mattowi znacznie bardziej niż dawna, którą pamiętał, chwilowo jednak myślał tylko o tym, żeby załatwić to, po co tu przyплыli. No i bardzo mu brakowało Sandry, a na dodatek musiał jeszcze myśleć o „żelaznej rybie”. Każdy dzień spędzony na bezowocnym przerzucaniu się słowami z gromadami różnych dygnitarzy był dniem straconym dla późniejszych poszukiwań. No i jeszcze jedno go martwiło: od iluś dni nie odebrali żadnego sygnału z Baalkpanu.

- Dobry, skipper.

Matt spojrzął na Silwę, który także wyszedł na balkon. Rosły mat zasadniczo nie należał do delegacji, ale z czasem utarło się, że odpowiada za osobiste bezpieczeństwo kapitana Reddy'ego. Tym samym wszedł poniekąd w rolę bosmana Graya. Miał pod sobą grupę ludzi i lemurów, którzy zgłosili się ochotniczo do wypełniania tej służby, zdając sobie sprawę, że „podopiecznego” niełatwo będzie upilnować. Podobnie jak było z Juanem Marcosem, zwyczaj przeszedł w rutynę, tyle że stanowisko „kapitańskiego ochroniarza” zostało oficjalnie zatwierdzone, głównie za sprawą Kejego i Adara. Silva wiedział, że Gray

zajmie je ponownie, gdy to tylko będzie możliwe, ale i tak się starał. Zakaz opuszczania przezeń okrętu został tymczasowo zawieszony, żeby Dennis mógł wykonywać swoje nowe obowiązki. Matt zaczynał podejrzewać, że Silva należy do ludzi zmieniających się zależnie od oczekiwań. Dotąd zawsze patrzono na niego jak na rozrabiakę, więc był rozrabiaką. Teraz wszyscy, z Mattem włącznie, wymagali od niego znacznie więcej, toteż Silva starał się ich nie zawieść. Oczywiście kapitan nie żywił złudzeń, że Silva odmieni swoją naturę. Nawet najlepiej ułożony pies sika czasem na podłogę, ale Matt potrzebował psa obronnego, a Silva był gotów nim być pod nieobecność Graya.

- Dzień dobry - odpowiedział podwładnemu. - Przyszło coś nowego?

Dennis pokręcił głową.

- Wciąż nic - odrzekł. - Właśnie wracam z okrętu. - Dopiero teraz Matt zauważył, że Silva ma plamy potu pod pachami. - Clancy mówi, że u nas wszystko działa. To oni niczego nie nadają. Pewnie to nic wielkiego - dodał, widząc zaniepokojenie na twarzy kapitana. - Ostatni meldunek był w porządku. Poza tym wie pan, jaki jest Palmer. Pewnie naprawiał lampę próżniową kluczem francuskim. Albo im ten cholerny samolot zatonął. Porucznik Riggs wszystko naprawi. Albo zrobi całkiem nową radiostację.

- Wiem. Jednak... przed Pearl Harbor też niby wszystko było w porządku - powiedział Matt i natychmiast pożałował, że zdradził się z wątpliwościami. Silva nie miał na to odpowiedzi. - Ale nic. Zobaczmy, jakie kabuki szykują dziś dla nas miejscowi. Poza tym pora na śniadanie. - Przerwał na chwilę i w jednej chwili podjął decyzję. - Ale teraz biegnij na *Walkera* i przekaz panu Dowdenowi, żeby zaczął szykować okręt do wypłynięcia. Manila pomoże nam albo nie, ale siedzenie tu niczego raczej nie zmieni. Saan-Kakja musi się wreszcie zdecydować, ale cokolwiek zrobi, to nasz ostatni dzień tutaj.

- Aye, aye, skipper - odparł Silva, uśmiechając się jak zwykle.

*

Śniadanie było wystawne, ale jedli w milczeniu. Atmosfera była jakby inna. Być może wszyscy już słyszeli, że niebawem stąd odpływają. Miejscowi chyba także mieli już dość. Matt podejrzewał, że to Silva rozpuścił tę pogłoskę. Można to było uznać za niesubordynację, ale w gruncie rzeczy dobrze zrobił. Potrzebowali pomocy Manilczyków, ale oni potrzebowali sojuszu. Jeśli uświadomienie im tego wymagało ostrogi, to trudno. Mattowi przypadło honorowe miejsce u szczytu stołu. U drugiego końca siedziała Saan-Kakja, której nie widzieli od przybycia do Manili. Wszystkie późniejsze negocjacje prowadzili z jej podwładnymi. Oni też byli obecni, ale wreszcie pojawiła się szansa, że coś drgnie. W jedną albo w drugą stronę.

Saan-Kakja jadła spokojnie, precyzyjnymi ruchami donosząc do ust puszystą

jajecznicę. Krótką jedwabistą sierść miała starannie wyszczotkowaną. Włos lśnił, świadcząc o zdrowiu i młodości władczyni. Na szyi nosiła ryngraf - znak jej pozycji. Niekiedy bezwiednie muskała metal smukłymi palcami. Matt zaczynał podejrzewać, że mimo pozorów nie czuje się dobrze w tej roli, i trochę jej współczuł. Nieoficjalnie dowiedział się już o niej paru rzeczy. Pasowały do tego, co teraz widział. Chyba naprawdę nie wiedziała, jak postąpić, i dlatego oddelegowała do rozmów swojego kapłana, którego Adar najłagodniej nazywał durniem. Jej ojcem był Saanga-Kakja, którego Keje i Adar dawno temu znali, ale nie jako wielkiego wodza. Mieli nadzieję, że z nim właśnie będą mieli do czynienia. Był on wdowcem, jak Keje, i kilka miesięcy wcześniej zmarł po długiej chorobie. Całe jego starsze potomstwo, splodzone z inną, wcześniej zgasłą partnerką, prowadziło już własne życie. Jeden syn został wielkim wodzem nowego pływającego domu, dwoje dzieci założyło osady w południowej części Filipin. Na miejscu została tylko najmłodsza Saan, córka jego drugiej, także już zmarłej i długo oplakiwanej partnerki. Niektórzy wierzyli, że Saanga odszedł z żalu, nade wszystko pragnąc połączyć się w niebiesiech z ukochaną.

Tak czy owak czternastoletnia córka, którą zostawił, nie była przygotowana do objęcia rządów. Brakło jej zdecydowania i wołała składać odpowiedzialność za pewne sprawy na cudze barki. Oczywiście osłabiała tym swój autorytet. Kotowaci dojrzewali znacznie wcześniej niż ludzie, ale ona była jeszcze młoda nawet dla swego ludu. Oczywiście miała jeszcze sporo czasu, żeby dorosnąć i nauczyć się rządzenia, ale bez wątpienia przydałoby jej się wsparcie. Safira Maraan została królową w podobnym wieku, i proszę, do czego doszła, pomyślał Matt. Owszem, została wychowana w innej kulturze, ale przede wszystkim miała Haakara-Faaska. Saan zaś miała tylko swojego kapłana.

Kapłan ów siedział teraz po lewej stronie Saan-Kakii. Nazywał się Meksnaak i mimo jednoznacznej opinii Adara Matt nie bardzo wiedział, co o nim myśleć. Wydawał się posępny i podejrzliwy - chyba trudno byłoby o kogoś bardziej odmiennego od Adara, który usiadł jak zwykle za Kejem, chociaż był kapłanem więcej niż jednego domu. Jego podejście i osobowość odegrały wielką rolę w ułożeniu kontaktów między Amerykanami i różnymi miejscowymi frakcjami, pomogły też zawiązać sojusz. Bez mrugnięcia okiem wykorzystał w swoich przemowach historię *Zemsty*, straconej w desperackiej bitwie, ukazując ją jako przykład honoru i poświęcenia, czym dał początek tradycji powstającej właśnie marynarki wojennej lemurów. Oba gatunki były z początku nieco etnocentryczne, ale oba potrzebowały wsparcia, toteż współpracowały zdumiewająco sprawnie, bez większych tarć. Być może sprawiły to wyraźne różnice fizyczne, dzięki czemu rasistowskie resentymenty nie miały na czym wzrosnąć. Każda strona wydawała się drugiej w jakiejś mierze komiczna, obie jednak

dostrzegły nawzajem swoje zalety. Tragedia *Zemsty* stała się symbolem wspólnej walki i śmierci za sprawę. Manilczycy nie znali dotąd niczego podobnego.

Matt, przeżuując resztkę jajecznicy i pasek ryby, zorientował się, że pozostali prawie już skończyli. Odchrząknął, a Saan-Kakja zrozumiała ów znak i odłożyła swój jedyny sztuciec, przypominający nóż z szerokim ostrzem, który służył jej również za łyżkę. Był ze złota, jak wiele innych przedmiotów używanych w Manili. Matt nie widział w życiu tyle tego kruszcu, ile teraz, w kilku ostatnich dniach. Na dodatek miejscowi zdawali się nie cenić go jakoś szczególnie, tyle że uważali go za ładny i wygodny w użyciu, bo nie śniedział.

Zastanowił się, jak powinien się zwracać do Saan-Kakii. Wielka Przywódczyni...? Nie, tytuł *u-amaki* nie określał płci osoby sprawującej władzę. Saan była wielkim wodzem i już.

Wielki wódz otarła usta obszywaną serwetką i usiadła tak prosto, jak tylko mogła.

- Kap-i-taanie Reddy - zaczęła - wybac mi proszę, że dopuściłam się zaniedbania. - Meksnaak zamrugął wściekle i otworzył usta, ale Saan spojrzała na niego znacząco i nic nie powiedziała. - Zmarnowałam sporo waszego czasu i obawiam się, że wszyscy możemy jeszcze tego żałować. - Matt poczekał cierpliwie na tłumaczenie, chociaż rozumiał z grubsza, co zostało powiedziane. - Przybyliście z propozycją sojuszu przeciwko naszemu pradawnemu wrogowi, który jest równie nieubłagany jak samo morze. Ono też potrafi być niekiedy zwodniczo spokojne... - Ponownie spojrzała na Meksnaaka. - Jednak prędzej czy później strakka pokazuje, na co naprawdę je stać. Jestem młodym wielkim wodzem i niewiele dotąd widziałam, umiem znacznie mniej, niż powinnam, skłoniono mnie więc, żebym oddelegowała do naszych rozmów osoby bardziej doświadczone. To był błąd - powiedziała zdecydowanym tonem. - Zachowałam się nieodpowiedzialnie i nieuprzejmie. Przepraszam za to.

Zamrugła w sposób świadczący, że szczerze tego żałuje. Gdy znowu spojrzała na Matta, lśniły jej oczy.

- Wiele słyszałam o waszych przeżyciach i walce toczonej na zachodzie. Jestem pod wrażeniem tych opowieści. Dałam się jednak przekonać, że moje podejście jest wynikiem właściwej młodego wiekowi zapalczywości i że nam żaden atak nie grozi. Powiedziano mi, że lepiej, byśmy trzymali się z boku, poprzestając na pobieraniu od was nauk i udzielaniu wam skromnej pomocy materialnej. Są w Maa-ni-li frakcje znajdujące szczególne upodobanie w snuciu intryg i zainteresowane głównie własnymi interesami. Doradzały mi one, żebym nie wciągała Maa-ni-li w walkę z grikami, żebym zostawiła ją wam. Powiadały, że naszemu dobrze prosperującemu miastu nic nie grozi. Nawet jeśli Baalkpan padnie, grikowie zostaną daleko od nas, my zaś jeszcze bardziej rozkwitniemy. - Położyła uszy w geście sprzeciwu. - Oczywiście są i tacy, zwani przez was uciekinierami, którzy twierdzą, że nawet jeśli grikowie

kiedyś tu przybędą, zdołamy ująć przed nimi jak w czasach opisywanych przez Zwoje. Że zbyt dobrze się nam żyje i zbyt jesteśmy przywiązani do swojego miejsca na lądzie, żeby podjąć walkę.

Matt pokiwał głową. Słyszał już te argumenty w Baalkpanie. Większość morskogo ludu nie rozumiała właściwego lądowym kuzynom przywiązania do ziemi i niechęci do porzucania swoich miast. Keje i większość jego pobratymców nie mieli z tym problemu, wszyscy zaś pojęli, że tym razem nie będzie już ucieczki. Świat zmalał od czasów wielkiej ucieczki. Teraz grikowie mieli mocne statki zdolne do długiej żeglugi i groźny ocean nie dawał już przed nimi ochrony.

- Rozumiem wasze zniecierpliwienie - podsumowała Saan. - Trudno, żeby było inaczej. - Przybyliście tu waszym najpotężniejszym okrętem i pławicie się w luksusie i dostatku, podczas gdy nieprzyjaciel może się szykować do ponownego ataku. - Pokręciła głową. - Prawdę mówiąc, moja cierpliwość też prawie się wyczerpała. Ale rozumiem, skąd się to bierze. Mój lud żyje wygodnie i nie zna niedostatku. To stan upragniony przez każdego dobrego władcę, ale utrudnia przekonanie ludu, że pora porzucić przyjemności i stawić czoło niebezpieczeństwu. - Westchnęła i spojrzała na Meksnaaka. - Co zaproponowałam? Żebyśmy przyłączyli się do sojuszu i pomogli zażegnać zagrożenie ze strony grików, wysyłając taką siłę, jaką tylko możemy zebrać.

Kapłan poruszył się niespokojnie.

- Niemądrze jest, moja droga, ujawniać przed obcymi nasze wewnętrzne dysputy. Zwłaszcza gdy dotyczą one właśnie ich. - Spojrzał ze złością na kapitana Reddy'ego. - Żadna taka decyzja nie została podjęta!

- Owszem, podjęłam taką decyzję - odezwała się Saan.

Meksnaak ze smutkiem pokręcił głową.

- Masz olbrzymią władzę, wielki wodzu, i twoja opinia wiele znaczy, ale nie możesz sama decydować o czymś tak ważnym jak udział w wojnie. W tej sprawie muszą się wypowiedzieć wodzowie klanów.

- Pozwól więc im mówić! Dotąd nie słyszałam nikogo, oprócz ciebie i tych członków rady, którzy reprezentują frakcje mogące najwięcej zyskać na naszej bierności!

- Mają uzasadnione powody, żeby sprzeciwiać się nie tylko udziałowi w wojnie, ale i jakimkolwiek związkom z tymi amerykańskimi... heretykami! - Zamrugał ze złością, wspomniawszy zwoje Amerykanów. Nigdy ich nie widział, ale zapewniano go, że są niezwykle. Jego przekonanie o ich heretyckiej naturze nie rozwiało się, gdy Adar powiedział mu, że niemal idealnie zgadzają się z ich Zwojami. Niemal, bo pod wieloma względami są

dokładniejsze! Meksnaak przyjął to bez sprzeciwu. Znał sławę Adara i gotów był mu uwierzyć. Nie zaczął jednak z tego powodu darzyć Amerykanów podziwem i zaufaniem, nadal też był przekonany, że zagrażają duchowemu porządkowi jego ludu. Może nawet zaczął się ich jeszcze bardziej obawiać. Jeśli ich zwoje były tak dokładne, zaiste musiały być święte. Może były nawet oryginałami, na podstawie których Siska-Ta stworzyła przed wiekami Zwoje ludu? I jeszcze te pogłoski, że Amerykanie mają zwoje, jakich nikt tu wcześniej nie widział? Przedstawiające tajemnicze lądy, nie znane dotąd ludowi? Na dodatek Adar zapewnił go, że każdy może mieć do nich dostęp! Jak ci Amerykanie mogą być tak beztroscy... i nieodpowiedzialni? Spytał o to kiedyś Adara i był przerażony, że ktoś tak świątły może żywić tak liberalne poglądy.

- Z początku też mnie to martwiło - odparł wtedy Adar. - Głównie jednak dlatego, że tkwiłem w dawnych przyzwyczajeniach i martwiłem się tylko dogmatami. Potem rozważyłem sprawę. Czy Zwoje naprawdę są tajne i mają być dostępne tylko dla takich jak my? Sądzę, że Siska-Ta nie planowała niczego takiego. Bo po co miałyby je tworzyć? Chciała przecież nauczać, dzielić się wiedzą o przeszłości, Niebiosach i drogach, które można z ich pomocą odszukać na morzu. Nie zamierzała stworzyć zamkniętego kręgu wtajemniczonych!

Teraz Adar też wstał.

- To nie są heretycy! - powiedział z żarliwym przekonaniem. - Już ci to mówiłem! Mają odmienne wierzenia, ale nie próbują nam ich wpajać. A niezależnie od różnic, te zwoje, które masz za dowód ich heretyckości, świadczą o tym, że więcej nas z nimi łączy, niż dzieli. No i przecież wsparli nas dobrowolnie w walce z pradawnym wrogiem!

- Który zyskał pomoc innych tego samego rodzaju! - odwarknął Meksnaak.

Adar zaczerpnął głęboko powietrza.

- Może ich wróg zawiązał porozumienie z naszym, ale o tym Amerykanie nie wiedzieli, gdy zdecydowali się nas wesprzeć. A gdy się dowiedzieli, nie zmieniło to ich postanowienia. Za to ja zaczynam wątpić, czy ty jesteś oddany sprawie ludu, skoro w obliczu śmiertelnego zagrożenia, które nad nami zawisło, zagrożenia znanego ze Zwojów, na których świętość się powołujesz, doradzasz bezczynność!

Meksnaak zamarł na chwilę, ale zaraz wycedził:

- Ser-vaabo fidem summo studio!

- Suspendens omttia naa-so! Usus est ty-raannus, usus te plura decebit! - odparł szyderczym tonem Adar. - Cucullus tionfacit monachum. Cul-paam maiorum posteru luunt!

- Gratis dictum. Honos haa-bet onus, maag-naavis est conscientiae.

- Wielki Boże! - westchnął Bradford. - Nie cierpię, gdy ich to nachodzi!

- Co powiedzieli? - spytał Matt.

- Chwilę. Moja łacina z konieczności poprawiła się ostatnio, ale ich wymowa mnie dobija. Hmm... Jak pan wie, z łaciny trudno tłumaczyć, nawet gdy ktoś dobrze nią włada, co napawa mnie tym większym zdumieniem dla możliwości kotowatych, tak dosłownych na co dzień i jakby bez wyobraźni. Ich własny język...

- Courtney?

- Hmm? A, tak. Mam wrażenie, że Meksnaak powiedział, że tylko trwa w wierze, podczas gdy Adar nazwał to bezmyślnym trwaniem w błędzie, za który zapłaci jego lud. Meksnaak nazwał to dziwacznym podejściem i dodał, że ma zobowiązania wobec swych pobratymców.

Tymczasem spór kapłanów trwał dalej.

- Medium tenuere be-aati - rzucił sarkastycznie Adar. - Mini cura futuri. Quousque tandem abutere paa-tientia nostra? Recovate aa-nimos! Aude saa-pere. Stant belli causa, belli lethaaale... belli internecinum. Timor mortis mortepeior!

- Wielkie nieba! - jęknął zaniepokojony Bradford.

- Co takiego?

- Adar powiedział Meksnaakowi, żeby sobie przypomniał, jak doszło do tej wojny... i chyba nazwał go tchórzem!

Matt zakaszłał dyplomatycznie, zanim Meksnaak odpowiedział Adarowi.

- Uważamy, że to nieuprzejme rozmawiać w towarzystwie w języku, którego inni nie rozumieją. - Spojrzał na Saan-Kakję, która skinęła głową.

Adar usiadł, wypuszczając powietrze, Meksnaak zamrugnął przeproszająco. Bradford nie zdołał całkiem stłumić westchnienia ulgi i jego adwersarz zerknął na niego zirytowany.

- Jeśli nie odpowiada wam... sposób i ton naszej rozmowy... możecie zawsze wrócić na pokład swojego... dymiącego potwora i zostawić nas w spokoju.

Bradford wyprostował się i uniósł brwi. Teraz Matt nabrał ochoty, żeby wstać.

- Meksnaaku... - zaczęła Saan.

- Nie. Z całym szacunkiem, dziecko. Dość mam nieustannego narzekania, które słyszę z ust tych... cudzoziemców. Maa-ni-la rozkwita od osiemdziesięciu lat z okładem i będzie rozwijać się także wtedy, gdy nasze duchy ulecą w Niebiosą. Jeśli chcesz znać moje zdanie, błędem byłoby nawet sugerować naszemu ludowi udział w awanturze, do której chcą nas wciągnąć ci obcy. I szczerze mówiąc, uważam, że nawet to spotkanie jest bezcelowe, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, z jakim pośpiechem zostało zorganizowane. - Meksnaak spojrział ze złością na Bradforda, ale zaraz na powrót zwrócił się do Saan. - Przypominam ci,

dziecko, że twój ojciec ani myślał ruszać na wojnę, gdy tylko usłyszał o tym niedorzecznym zagrożeniu.

Zapadła krępująca cisza i wszyscy utkwili wzrok w niepozornej postaci dziewczyny. Bo w sumie na razie była tylko dziewczyną, przynajmniej w ludzkim pojęciu. Matt dostrzegł jednak, że coś zmienia się w jej oczach, i zastanowił się, czy tylko on jeden to widzi.

- Panie Meksnaak, wiem, że znałeś mego ojca i byłeś mu przyjacielem - powiedziała Saan-Kakja zdecydowanym głosem. - Po prawdzie jest to jeden z obowiązków kapłana. Doceniam twoją wierną służbę i przyjaźń. - Spojrzała twardo na Meksnaaka, który musiał chyba zauważyć to samo co Matt, bo nagle zdrętwiał na krześle. - Niemniej to ja jestem wielkim wodzem Maa-ni-li. Jestem nim z wyboru i urodzenia. Jestem córką mego ojca. Chociaż nie wątpię, że byłeś mu oddany, zaczynam powątpiewać w twoją mądrość. Nie chcę cię zranić, ale chyba czegoś nie dostrzegasz. Żadne z nas nie ma pojęcia, czym może być walka z naszym pradawnym wrogiem, potwornymi stworami z naszych koszmarów. Ale ponieważ kocham mój lud i pragnę dla niego wolności i bezpieczeństwa, gotowa jestem wesprzeć naszych przyjaciół z zachodu. Chcę im pomóc, ponieważ tylko oni mogą oczyścić morza z grików. Mogą uwolnić od nich nasze sny i naszą prawną ojczyznę!

Przez chwilę Meksnaak wytrzymał jej spojrzenie, ale w końcu zamrugął przepaszając.

- Zawstydzasz mnie, dziecko.

- Nie. To ty okrywasz mnie wstydem, tak się zachowując. - Szerokim gestem dłoni wskazała na obecnych. - Byłeś nieuprzejmy wobec moich gości i mnie samej. Ja zaś nie jestem byle dzieckiem, które można odprawić od stołu, przy którym zasiadają dorośli. Nie jestem dzieckiem bardziej niż... - Przerwała i wbiła spojrzenie w Chacka - niż szlachetny Chack-Sab-At, o którego czynach tyle słyszałam. Jest tylko trochę starszy niż ja, a jednak wiele razy stawiał już czoło nieprzyjacielowi. Powiedz mi, panie Sab-At, czy jesteś dzieckiem?

Chack poczuł się niezręcznie. Nie oczekiwał, że będzie musiał zabierać głos w takim towarzystwie, spojrzał więc najpierw na kapitana Reddy'ego i na jego aprobujące skinienie głowy wstał, przybierając możliwie godną postawę.

- Widziałem mój pływający dom, *Salissę*, atakowany przez grików - powiedział. - Walczyłem z nimi ze wszystkich sił, chociaż nie byłem jeszcze wojownikiem. Potem dołączyłem do Amer-i-kaanów, i nauczyłem się walczyć skuteczniej. Nauczyłem się też dowodzić. Brałem dotąd udział w pięciu abordażach... - Przerwał na chwilę i spojrzał znacząco na Meksnaaka. - Trudno opisać, jak straszne rzeczy widzieliśmy, zdobywając okręty

grików. Nasi ludzie są tam trzymani... jako ładunek. Stanowią zapas żywności. - Lekko poruszył ogonem i pokręcił głową. - Walczyłem w wielkiej bitwie pod Aryaalem, gdzie zabiliśmy dwadzieścia tysięcy wrogów i straciliśmy wielu naszych. Wtedy też uświadomiliśmy sobie, że choćbyśmy nie wiem ilu ich zabili, ciągle będzie to tylko drobna część ich sił. Widziałem, jak *Amagi* zmienił *Nerrackę* w piekło płomieni pośród morza. Uratowaliśmy tyłu, ilu tylko zdołaliśmy. Setki. Jednak tysiące poszło na dno z pływającym domem. - Zamknął oczy, jakby raz jeszcze chciał zobaczyć te sceny. - Była tam Tassana, córka wielkiego wodza *Nerracki*, młodsza nawet niż ty, pani, która pomogła przeciąć cumę łączącą jej statek z uszkodzonym niszczycielem usiłującym odholować pływający dom w bezpieczne miejsce. Zrobiła to, ponieważ jej ojciec znał kapitana Reddy'ego i obawiał się, że przedłużając akcję ratunkową, narazi on swój okręt na zagładę. Potem niszczyciel i tak mało nie zatonął pod ciężarem wszystkich rozbitków, których wziął na pokład.

W sali zapadła całkowita cisza. Wszyscy słuchali Chacka.

- Byłem dzieckiem, nim to się zaczęło. Jeśli nie wiekiem, to na pewno duchem. Teraz jestem bosmanmatem i dowódcą marines. Chronię najważniejsze osoby naszego sojuszu. - Spojrzał twardo na Meksnaaka. - Czy nadal będziesz nazywać mnie dzieckiem albo obrażać tych, których bronię?

Saan-Kakja dopiero teraz zauważyła, że wstrzymała oddech, i zaczerpnęła powietrza. Spojrzała po obecnych i zdumiała się, jak inaczej teraz ich widzi. Zwłaszcza Amer-i-kanów. Oczywiście słyszała o nich niejedno, ale były to opowieści z drugiej ręki. Gdy Chack zaczął mówić o czymś, co widział na własne oczy, zabrzmiało to zupełnie inaczej. Prawdziwiej. Przeszyła swojego kapłana spojrzeniem.

Meksnaak mrugał teraz cały czas i Mattowi wydawało się, że szczerze przeprosza. Było mu nawet trochę żal kapłana, ale wiedział, że Saan musi teraz zaprowadzić jakiś porządek. Jest młoda, ale na pewno nie można jej nazwać dzieckiem. Gdy znowu się odezwała, zrobiła to o wiele spokojniej.

- Może pewnego dnia zyskasz prawo, żeby tak się do mnie odzywać, Meksnaaku - powiedziała - ale nigdy więcej nie bądź nieuprzejmy wobec moich przyjaciół. Zasłużyli na nasz szacunek i wdzięczność. Poza tym nie stać nas na to, żeby okazywać nieuprzejmość komuś, kto chce nam pomóc w walce. Tak, potrzebujemy ich pomocy nie mniej, niż oni potrzebują naszej. Grikowie, potwory z naszych koszmarnych snów, powrócili w cielesnej postaci i gotowi są nas pożreć. Możemy tylko mieć nadzieję, że ich pokonamy, a to bez przyjaciół nam się nie uda. Jak zaś mamy zdobyć przyjaciół, jeśli raczymy ich grubiaństwami już od śniadania?

- Słuchajcie, słuchajcie! - odezwał się Courtney Bradford i postukał w blat kubkiem, w którym było jeszcze trochę kawy, toteż ochlapał sobie mankiet. - Saan-Kakja na królową! - Spojrzał na zaniepokojonego kapłana. - Mam wrażenie, że zakończyła właśnie nasz spór. Jeśli chcemy się jeszcze kłócić, proponuję robić to na osobności. - Meksnaak nie miał dotąd wiele kontaktu z ludźmi, ale pewne gesty rozumiał, skinął więc głową i zdobył się nawet na lekki uśmiech.

- Skoro moja pani tak postanowi - powiedział cicho.

- Chyba nie będzie miała nic przeciwko debacie uczonych? - spytał Bradford, unosząc brwi.

Saan, widząc to, nie zdołała powstrzymać chichotu. Miejscowi byli podobni do kotów także pod tym względem, że mieli ograniczoną mimikę. Owszem, ich ekspresja była bardzo bogata, ale wyrażali emocje raczej za pomocą powiek, ogona czy ogólnej postawy. W sumie ludzie nie mogli się z nimi równać, mając znacznie uboższy język ciała. Niemniej u obu ras uśmiech był uśmiechem, chociaż inne ludzkie grymasy wydawały się lemurom nieodparcie zabawne, a często niezrozumiałe. Bradford odkrył to już wcześniej i czasem robił z tego użytek. Jak teraz, gdy uniósł brwi tak energicznie, że ożyły niczym para gąsienic porażonych prądem. Nawet Meksnaak nie zdołał nad sobą zapanować i parsknął śmiechem. Courtney spojrzał na Chacka, który już usiadł, ale ledwie utrzymywał równowagę na krześle. Zacisnął powieki i wydawał przy tym jakieś piskliwe dźwięki.

- No co? - spytał Bradford tonem urażonej niewinności. Jeszcze przed chwilą atmosfera w sali była bardzo gęsta, teraz zaś zrobiło się całkiem normalnie. Matt pogratulował sobie pomysłu, żeby dołączyć Australijczyka do ekipy.

- Panie Bradford - powiedział z uśmiechem, kręcąc głową. - Chyba trafił pan w sedno. - Skinął z szacunkiem na Chacka. - Podobnie jak nasz dowódca marines. - Spojrzał na Saan, która z wolna odzyskiwała panowanie nad sobą. - Za pozwoleniem, czy możemy kontynuować?

- Oczywiście.

*

Walker płynął na południowy zachód pod bezchmurnym, chociaż zasnutym mgielką niebem zdradzieckiego morza Visayan. Obserwatorzy nieustannie wypatrywali płycizn otaczających liczne tu wysepki. Adar zabrał w ten rejs partie Zwojów przedstawiające okolicę, a Meksnaak poczuł się częściowo uspokojony tym, że szczegółowe amerykańskie mapy przedstawiały jednak trochę odmienny świat niż ten, który znał. Wskazał im też

dokładnie, w którym miejscu na zachód od mało zbadanego Mindanao mieszkańcy lądowych kolonii widzieli „żelazną rybę”.

Nim wyszli z Manili, Saan-Kakja obiecała im, że liczący tysiąc zbrojnych oddział jej osobistej gwardii wyruszy niezwłocznie do Baalkpanu na pokładzie „zaopatrzeniowego” pływającego domu. Chack zostawił jednego ze swoich poruczników, żeby w trakcie rejsu zajął się ich szkoleniem podstawowym. Potem miały popłynąć kolejne oddziały. Nie odbywało się to tak szybko, jak Matt by chciał, ale i tak otrzymali więcej i szybciej, niż oczekiwali. Dzięki temu zostało im jeszcze kilka dni na poszukiwania okrętu podwodnego, chociaż z drugiej strony woleliby czym prędzej wracać. Wciąż nie otrzymali żadnego meldunku z Baalkpanu i chociaż założyli, że radiostacja musiała ulec awarii, co wydawało się najbardziej prawdopodobne, trochę się niepokoiли.

Załoga myślała o tym coraz częściej, Chack zaś martwił się ponadto o królową Maraan. Coś mu mówiło, że wpadła na jakiś „genialny” pomysł, i nijak nie mógł się uspokoić. Matt próbował poprawić nastrój podwładnych, a także własny, zapewniając, że to na pewno tylko awaria wyeksploatowanego sprzętu, mimo to wszyscy chcieli jak najszybciej uporać się z poszukiwaniami i wziąć kurs na Baalkpan.

Po drodze widzieli liczne gri-kakka, a z jednym nawet się zderzyli. Szczęśliwie nie był to równie wielki okaz jak ten, który napotkali na Morzu Jawajskim, i okręt nie ucierpiał. Zwierzę miało jednak ciekawe ubarwienie, które Bradford uparł się zbadać. Zatrzymali się zatem, ale działalność naukowa Courtneya i tak nie trwała długo. Krew zranionego gri-kakka ściągnęła tyle drapieżników, że po prostu zniknął on we wrzającej wręcz od nich wodzie. We wcześniej jednak udało się go w miarę dokładnie opisać.

W polu widzenia mieli nieustannie jakiś ład, zatem różne latające stworzenia nie opuszczały ich ani na chwilę. Krążyły poniżej masztów i przysiadaly na zimnym pierwszym kominie, srając przy tym gdzie popadło. Chack wyznaczył grupę dyżurną uzbrojoną w węże i szczotki, ale niewiele to pomagało. Większość polatusów była im już znana, ale pojawiały się też ptaki pokryte prawdziwymi piórami. Skrzeczały i zawodziły nie gorzej od swoich gadzich braci. Silva siedział na platformie działa na śródkręciu, zabawiając się rzucaniem w powietrze kawałków jedzenia, i cała wolna od wachty załoga robiła zakłady, który zwierzak utłucze którego, żeby zdobyć kąsek.

Matt stał przy relingu mostka ze Spankym i Kejem i też przyglądał się zabawom załogi. Zdumiał się, że nawet Gilbert i Buras biorą w nich udział. Spojrzał pytająco na inżyniera.

Spanky wzruszył ramionami.

- Teraz częściej wychodzą - powiedział. - Dziwne. Są jak trzy drzewa splątane korzeniami. Czasem, gdy jedno z nich ściąć, pozostałe zaczynają nagle rosnać. - Pokręcił głową. - Ciekaw jestem, jak radzi sobie Isak. Może to samolubne, ale mam nadzieję, że w końcu wrócą do swoich dawnych zwyczajów. Wciąż robią, co do nich należy, ale mniej mogą na nich liczyć poza służbą. Wcześniej siedzieli cały czas w kotłowni i zawsze mogli się czymś zająć.

Matt dostrzegł, że Silva ruszył się nagle ze swego miejsca na platformie działowej, jakby siedzący w nim drapieźnik wypatrzył ofiarę. Utorował sobie przejście między ludźmi i wydobywszy z ust porcję przeżutego tytoniu, zatrzymał się przy drabince. Czekał na stosowną chwilę, obserwując Chacka narzekającego na coś poniżej. Pewnie znowu chodziło o ptasie odchody. W pewnej chwili Silva wymierzył starannie i cisnął tytoniową „bombę” tak, że rozplasnęła się na pokładzie tuż przed Chackiem. Kotowaty odruchowo spojrzał w górę, wypatrując skrzydlatego ofiarodawcy tego niezwykłego prezentu, ale zobaczył tylko uśmiechniętą gębę Silvy. Wszyscy dokoła zanieśli się śmiechem.

- O Boże - mruknął Spanky.

W pierwszej chwili Matt chciał udzielić bosmanowi reprimendy, ale w końcu też się roześmiał. Spanky spojrzał na niego badawczo.

- Spokojnie - powiedział kapitan. - Posprząta. Jest już na tyle odpowiedzialny. No i dobrze, że trzymają się go teraz żarty mniej więcej odpowiednie do rangi.

Spanky pokręcił głową.

- Ale czy Chack...?

Dołączył uśmiechnięty porucznik Dowden.

- Wychodzi na to, że połowa załogi sprząta gównem z pokładu - rzekł - a połowa zachęca ptaszyska, żeby srały jeszcze wydajniej. - Pokręcił głową, gdy pozostali na mostku przyjęli to śmiechem.

- Czy to... met-a-fora? Metafora ludzkiego zachowania? - spytał Keje i też się roześmiał.

Mimo wszystkich niepokojów załoga była w niezłym nastroju, bo udało się osiągnąć najważniejszy cel misji. Baalkpan dostanie posiłki. Może nie od razu, ale zapewne w czas.

- Może i tak - zgodził się Matt. - Ale wielu kotowatych też bierze w tym udział. Może jesteśmy zbyt podobni, żeby nie zejść czasem wspólnie na złą drogę. - Spoważniał i spojrzał na Spanky'ego. - Jak stoimy z paliwem?

- Na razie dobrze. Szliśmy wolniej, niż było w planie, trochę więc oszczędziliśmy. Część spalimy teraz, bo trzymamy dwadzieścia węzłów, ale w kanale Canigao znowu

przyjdzie nam zwolnić. Tak samo w cieśninie Surigao, bo dotrzemy do niej w nocy. Nie musimy się martwić powrotem. Gdzie zaczniemy szukać tej „ryby”?

Matt podszedł do stołu nakresowego i spojrzął na leżącą pod plastikiem kopię jednego z miejscowych zwojów. Po chwili dołączyli do niego inni.

- Ostatni meldunek dotyczył tej pozycji - powiedział, wskazując na zatokę Davao i wody południowego Mindanao. - Rybacy z Saraan-gaani, czyli naszego General Santos, widywali ją tam prawie dwa tygodnie. Z tego, co wyjąkał Meksnaak, wynika, że potem gdzieś przepadła. To było jakiś rok temu, co pasowałoby do moich domysłów. - Matt zmarszczył brwi. - Wiem, że ten kapłan stara się teraz być miły, ale wciąż nie jestem go pewien. Chyba ciągle wierzy, że to był jakiś potwór morski. Ale jeśli to okręt podwodny, który przeszedł przez ten sam szkwał co my i miał akurat tyle paliwa, ile mógł mieć w podobnym rejsie, to powinno go wystarczyć właśnie do tej okolicy. Zanim tu dotarli, zorientowali się pewnie, że coś nie gra. - Przesunął palcem wzdłuż zachodniego wybrzeża Mindanao i zatrzymał się przy zatoce, nad którą powinno się wznosić Mati, po czym objechał przylądek San Agustin i zajrzał do zatoki Davao. - Gdyby był gdzieś tutaj albo osiadł na plaży niedaleko Saraan-gaani, mieszkający tam brat Saan-Kakii najpewniej by o tym wiedział. Zajrzemy tam oczywiście, zwłaszcza do zatoki, ale nie przypuszczam, żebyśmy coś znaleźli. Nikt nie zgłaszał, że kręciły się tam jakieś dziwne morskie stworzenia, poza tym lądowe formy życia są tam jeszcze groźniejsze niż zwykle. Jeśli nawet wylądowali, na pewno tam nie zostali.

- Może po prostu zatonęli, skipper? - powiedział Dowden.

- Może...

- Ale jeśli, to gdzie? - spytał Keje.

Matt przesunął palec jakieś sto pięćdziesiąt mil na południe, do wyspy Talaud, i zatoczył wokół niej kółko.

- Jeśli wystarczyło im paliwa, to zapewne popłynęli właśnie tutaj. Te wyspy są... były holenderskie. Mogli mieć nadzieję, że kogoś tam znajdą.

Keje przyjrzał się mapie.

- Głęboka woda - stwierdził. - Wszędzie dokoła głęboka woda.

- Tak. Nikt normalny tam nie pływa. Nie miałby nawet po co. Niebezpiecznie i nic do złowienia. Mogli tam spokojnie przesiedzieć cały rok niezauważeni.

- Widziałem kiedyś te wyspy - cicho powiedział Keje. - Wiele lat temu. Nie lądowałem, bo nie było takiej potrzeby, ale ta największa jest bardzo zielona. Mogła ich wyżywić. O ile uszli przed drapieżnikami. No i przebyli wcześniej głębie. Na wyspie jest też płonąca góra, wulkan, który rzadko śpi. Ziemia często tam drży, a czasem dziwnie się

zachowuje.

Matt wyprostował się.

- Najpierw popłyniemy na południe wzdłuż wybrzeża Mindanao - zdecydował. -
Sprawdzimy tam każde ujście rzeki i każdą zatoczkę. Jeśli niczego nie znajdziemy,
weźmiemy kurs na Talaud.

- A jeśli i tam nic nie będzie, skipper? - zapytał Spanky.

- To popłyniemy do domu.

ROZDZIAŁ 8

Niebo było zaniezione, ale tym razem obyło się bez deszczu. Sandra znowu stała na nabrzeżu i machała ręką, żegnając kolejny niszczyciel wychodzący w morze. Kierujący się ku wyjściu z zatoki *Mahan* wyglądał z daleka tak samo jak *Walker* i Sandra poczuła, że coś chwyta ją za serce. Poprzedniego dnia wypłynęły dwie feluki, które miały zbadać teren i posłużyć za środek transportu, gdyby zaszła taka potrzeba. Nikt naprawdę nie wiedział, ilu uchodźców zostało jeszcze na B'mbaado.

Selassa stała obok Sandry, żegnając swojego partnera, Saaka-Fasa. Stał on oparty o reling i patrzył na oddalający się brzeg, ale jeśli dostrzegł dziewczynę w tłumie, nie dał żadnego znaku. Okręt prawie już zniknął na tle szarego nieba, widać było jeszcze tylko unoszący się jakby znikąd dym oraz banderę, powiewającą lekko w prawie nieruchomym powietrzu. Sandra przyglądała się temu z mieszanymi odczuciami. Przypomniała sobie, co powiedział jej Matt o wielkich banderach podniesionych na brytyjskich jednostkach, które Japończycy zatopili na Morzu Jawajskim. Nagle wydało jej się to bardzo ważne.

- Myślisz, że wrócą? - cicho spytała Selassa.

- Muszą. Będziemy ich bardzo potrzebować, gdy *Walker* wróci.

- Myślę właśnie o *Walkerze* - szepnęła dziewczyna. - Czuję się bardzo winna. Prawie pomyślałam, że byłoby dobrze, gdyby *Mahanowi* się nie udało. Wtedy mogłabym spróbować z Chackiem, gdy wróci. Saak-Fas też by pewnie wtedy zginął. - Przerwała. - Ale on tego właśnie chce, prawda?

- Chyba tak - odparła Sandra. Współczuła przyjaciółce tragicznych przeżyć i nawet się nie dziwiła jej myślom. - Jeśli tak, jeśli naprawdę szuka śmierci, pewnie w końcu ją znajdzie.

- Westchnęła. - Jim Ellis jest dobrym człowiekiem i świetnym oficerem, ale nie jestem pewna, czy powinien być dowódcą podczas tego rejsu. Wciąż się wini za to, że dał sobie odebrać *Mahana*, gdy Kaufman zaczął wymachiwać bronią. Uważa, że to zhańbiło imię okrętu i jego własne. I ciągle chce coś udowodniać. Nikt z takim nastawieniem nie powinien kierować żadną ważną operacją. Za duża stawka. Znam Jima i ufam mu, ale i tak się obawiam, że może przesadzić. Że zaryzykuje zbyt wiele, chociaż jego głównym zadaniem jest zabrać ludzi i wrócić z nimi bez strat.

Zamyślona opuściła głowę. Szły już przez bazar w kierunku szpitala i mijały właśnie

stragany tekstylne, gdzie wiatr łagodnie kołysał wielkimi płachtami materiałów. Przy jednym z nich pracowała matrona z obwisłymi od karmienia piersiami. Wyszywała jakiś złożony wzór na fartuchu. Sandra przystanąła, żeby się przejrzeć, i nagle wpadła na pewien pomysł.

- Przepraszam - powiedziała przejęta. - Pięknie wyszywasz. A czy także szyjesz?

- Oczywiście! Co za głupie pytanie... - odwarknęła kobieta i uniosła głowę.

- Uzdrawiaczka! - zawołała, rozpoznawszy Sandrę. Wstała i skłoniła się nisko. - Bardzo przepraszam! Oczywiście muszę najpierw coś uszyć, żeby to wyszywać.

- Wspaniale! Widzę, że jesteś zajęta, ale czy zrobiłabyś coś dla mnie?

- Dla pani wszystko! Uzdrawiała pani jedną z moich córek, ciężko ranną pod Aryaalem. Nic nie będzie dla mnie ważniejsze. Jeszcze dziś zabiorę się do szycia. Co to ma być?

Sandra wyjęła z kieszeni cenny notatnik oraz pióro i zaczęła szkicować. Zaciekawieni przechodnie przystawali, żeby popatrzeć, i do Sandry dotarło w pewnej chwili, że zapewne zdwoiła w ten sposób przyszłe dochody starej kobiety. Pokazała jej szkic i powiedziała, jak duże ma być gotowe dzieło.

- Już to kiedyś widziałam - powiedziała matrona. - Wszyscy widzieli. Jasne, że mogę, ale tak duże?

Sandra pokiwała głową. Potem, zastanowiwszy się nad talentem kobiety oraz swoim dziedzictwem sięgającym stanu Wirginia, dodała coś jeszcze do rysunku.

- I to też chcę.

*

Wyspa Tarakan zmieniła się nie do poznania. Bosman Gray skorzystał w końcu z sugestii Silvy i wypalił prawie połowę roślinności. Bardzo uważali przy tym, żeby niesiony wiatrem ogień nie zmienił w pogorzelnisko całej wyspy, ale i tak należało oczekiwać, że Bradford wpadnie w desperację. Nic jednak nie mogli na to poradzić. Gęstej dżungli nie wykarczowaliby w sensownym czasie, a szyb naftowy był obecny ważniejszy. Poza tym miejsce wcale nie było bezpieczne. Stracili jeszcze dwóch kotowatych z patroli i bosman nie chciał poświęcać nikogo więcej.

Wcześniej nie byli pewni, czy wilgotna roślinność zajmie się ogniem, ale okazała się nadzwyczaj łatwopalna. Buchnęła takim płomieniem, jakby ktoś ją polał benzyną, musieli więc brać nogi za pas i dopilnować, żeby pożar nie wymknął się spod kontroli. Ciężkie chwile przeżyli także ci, którzy zostali na plaży, gdzie w pewnej chwili pojawiła się wielka gromada zwierzaków uciekających z dżungli. Szczęśliwie Shinya przygotował już na brzegu umocnienia ziemne i było się gdzie schronić. Wiele stworzeń po prostu przeskakiwało nad okopami. Inne, oszalałe ze strachu, chciały atakować. Kilku ludzi odniosło obrażenia, jednak

wyłącznie lekkie. Mieli skutkiem tego tyle mięsa do zjedzenia, że w końcu zaczęło się psuć.

Po wypaleniu dżungli ruszyli z właściwą pracą otoczeni przez surrealistyczny las gołych, osmalonych pni. Nie musieli już się jednak obawiać dużych drapieżców, chociaż nocami ściągały na pogorzelisko ścierwojady. W końcu jednak i one się wyniosły i przynajmniej plaża stała się względnie bezpiecznym miejscem o każdej porze dnia i nocy.

Shinya i Gray pokłócili się przy wypalaniu, ale nie z miłości czy niechęci do przyrody. Japończyk chciał zostawić pas roślinności jako osłonę rezerwowych pozycji obronnych. Gray próbował się nawet do tego zastosować, ale ogień objął dżungłę szybciej, niż ktokolwiek się spodziewał. Rozeźlony Shinya oskarżył go wtedy o rozmyślne robienie mu na złość, na co równie wściekły Gray posłał Shynę do diabła. Odtąd stosunki między nimi układały się jeszcze gorzej i każdy koncentrował się głównie na własnej robocie. Obaj byli zapewne z tego powodu trochę bardziej efektywni, gorzej, że bezlitośnie gonili swoich ludzi. Gdy więc Isak zbudował w końcu wiertnię, wszyscy byli wykończeni.

Niemniej nie zostało im już wiele do zrobienia. Zbiorniki na ropę były gotowe i okopane, rurociąg od szybu na nabrzeże, gdzie miała stanąć rafineria, ukończony. Pozostało tylko czekać na *Felisa* z resztą wyposażenia. Shinya dopilnował budowy głębokich umocnień opartych z jednej strony o nieprzebytą dżungłę, z drugiej zaś o skalisty cypel. Zbiorniki znajdowały się za drugą linią umocnień, ale szyb był dobrze chroniony.

Gray siedział na skraju swej koi pod prowizorycznym zadaszeniem, które zbudowali mu marines. Było na tyle solidne, że powinno wytrzymać średnią wichurę. Wszyscy na wyspie mieli takie lokale, zwykle po jednym na dziesięciu. Bosman jednak miał ten jeden wyłącznie dla siebie.

Gray usłyszał za sobą jakiś trzask i podniósł głowę znad dziennika, trzymając pióro nad kartą. Miał stąd dobry widok na plażę i nagle ogarnęła go nostalgia, gdy pojął, że to miejsce jest całkiem podobne do florydzkich wysepek Keys, gdzie zabrał kiedyś swojego dzieciaka na przepustce. Łowili razem ryby, póki jego matka się nie znudziła i go nie zabrała. Potem widział go tylko kilka razy, dlatego wielce się zdumiał, gdy pewnego dnia spotkał syna w Cavite. Dorosłego. Wpadli na siebie w barze, wypili więc kilka piw, pogadali o różnych sprawach, a potem poszli na plażę łowić ryby, na czym zeszło im do wschodu słońca. Następnego dnia chłopak zarzucił worek marynarski na ramię i wszedł na tankowiec, który płynął do Pearl. Stamtąd czymś innym dotarł do Stanów, spędził kilka dni u matki i zamustrował na swój nowy okręt, USS *Oklahoma*.

Gdy zrobiło się niespokojnie, cała Flota Pacyfiku, w tym i *Oklahoma*, została przebazowana do Pearl. Gray chciał wziąć wolne, żeby spotkać się z chłopakiem, ale trochę

ponad rok temu, 7 grudnia, dostał list, że jego syn „zaginął, zapewne nie żyje”. Domyślał się, że jego eks odebrała taki sam list, ale nigdy do niej nie napisał, żeby sprawdzić. Nie było po co. Zamknął oczy i potarł twarz.

Znowu coś trzasnęło i Gray ponownie się obejrzał, żeby ustalić przyczynę. Tuż nad wodą grupa lemurów zebrała się wokół jakiegoś mężczyzny i Gray na chwilę osłupiał. Widział już dinozaury, latające jaszczury i grików, ale to był widok najniezwyklejszy z niezwykłych. Isak Rueben uczył kotowatych, jak machać kijem do bejsbola. Gray w życiu by nie pomyślał, że Isak w ogóle wie, co robić z takim kijem. Myszowaci zawsze omijali z daleka pokładową drużynę bejsbolową, która była kiedyś na *Walkerze*, i nie przychodzili nawet popatrzeć na rozgrywki. Teraz jednak Isak wziął orzech, który był mniej więcej rozmiarów piłki, rzucił go w powietrze i wprawnym ruchem posłał daleko nad fale. Zniknął w pianie, a szum przyboju zagłuszył odgłos jego upadku.

- Niech mnie - mruknął bosman, uśmiechając się szeroko. Po chwili przestał się uśmiechać, bo dobiegł go sygnał alarmu bojowego. Zamiast dzwonu mieli kawał zawieszonyj na gałęzi rury z brązu, ale dźwięk był całkiem donośny. Powód do ogłoszenia alarmu mógł być tylko jeden. Zaraz potem w wejściu do chaty pojawił się Tamatsu Shinya. Ciężko dyszał, ale prawie stanął na baczność.

- Mamy gości - zameldował oficjalnym tonem.

*

Shinya i Gray stali na plaży w otoczeniu „sztabu” składającego się z dwóch dowódców marines, czterech poruczników i kapitana gwardii, który odpowiadał za realizację przedsięwzięcia. Porucznicy podzielili już robotników na drużyny i zaczęli ich uzbrajać, marines zaś posłali swoich do okopów. Zjawili się też Monk i Dobson, czyli Mikey, sygnalista z *Mahana*, i cieśla Dobbin z *Walkera*. Powód mieli ten sam co Isak. Gray opuścił lornetkę i niechętnie podał ją Shyni.

- Trzy jednostki grików - powiedział. - Widać czerwone kadłuby. Idą tu z południa. Dalej na południowym zachodzie widać jeszcze jeden żagiel, ale szybko się zbliża. Ma lepszy wiatr.

- To może być *Felts*? - spytał Isak z nietypową dla niego ciekawością. - Powinien już wracać. - Może być - odparł Gray. - Ale ktokolwiek to jest, będzie zdany na siebie. Jeśli to nasi, może zdążą na czas, żeby przechwycić tych cholernych grików. - Skrzywił się mściwie. - Ciekawe, co jaszczury powiedzą na nasze działa.

Sierżant w błękitnej spódniczce podbiegł do niego i zasalutował.

- Marines na stanowiskach, sir. - Energicznie poruszył ogonem. - Gwardia będzie lada

chwila. Wysłałem drugą drużynę pierwszego plutonu, żeby pomogła im się ogarnąć.

Kapitan gwardii trochę poczerwieniał, gdy to usłyszał, ale nic nie powiedział.

- Dobrze - odparł Shinya. - Gdy się już rozlokują, niech przejdą do gotowości. Minie trochę czasu, nim grikowie się tu zjawią. Upewnijcie się, że wszyscy mają wodę i amunicję.

W roli amunicji występowały głównie strzały i bełty do kusz, choć niektórzy uzbrojeni byli w kragi. Mieli również dwie sześćofuntówki, okopane w połowie każdego ze skrzydeł, skąd miały najlepsze pole ostrzału.

Przez większą część poranka wszyscy czekali i obserwowali zbliżające się jednostki. Poza tym pojawiła się samotna chmura, która pochłostała ocean deszczem i gdzieś zniknęła. Grikowie twardo parli przed siebie, podobnie jak samotny statek, który - jak się okazało, miał czarną burtę z białym pasem. *Felts*.

- To może być niezłe widowisko - mruknął Gray.

Miał rację. *Felts* rozwinął banderę bojową i przeciął kurs eskadrze grików. Po chwili u jego burty pojawiła się chmura białego dymu i nad oceanem przetoczył się głuchy huk.

- Niech im pan dołoży, panie Clark! - warknął Mikey.

Nie widzieli, czy pierwsza salwa doszła, ale *Felts* wykonał zwrot, żeby użyć dział z drugiej burty. Chwilę później nad jednym ze statków nieprzyjaciela uniosła się chmura szczątków i jego maszt runął do morza. Na plaży rozległy się wiwaty. Precyzyjny szyk grików poszedł w rozsypkę i dwa pozostałe statki odwróciły się burtą do *Feltsa*. Całkiem niespodziewanie pojawiły się przy nich pojedyncze obłoki białego dymu.

- Niech to diabli!

Jeden z pocisków musnął wierzchołki fal i upadł w pobliżu plaży. Niektórzy odruchowo się pochyłili.

- Cholera jasna - mruknął Dobbin. - Skąd oni mają działa?

- Stąd, skąd i my, głupku - warknął Gray wścieklej, niż zamierzał. - Zrobili je sobie.

Felts nie wykonał tym razem zwrotu przez rufę, najwyraźniej nie chcąc jej wystawiać w stronę nieprzyjaciela. Poszedł dziobem pod wiatr i praktycznie się zatrzymawszy, dalej raził grików.

- To będzie lepsze widowisko, niż się spodziewałem - rzucił ironicznie Gray.

Felts miał lepszą artylerię i szybko zaczął druzgotać wrogie jednostki. W końcu poszedł z wiatrem, żeby utrzymać dystans, i wtedy zebrał cięgi, ale gdy grikowie pozbiali się i ponownie przypuścili atak, powtórzył manewr ze skrzętem pod wiatr i znów im dołożył. Z czasem zaczął tracić liny, żagle, w końcu także maszty. Jeden z nieprzyjacielskich okrętów był już pozbawionym masztów wrakiem i kładł się na burtę, a pozostałe dwa nie były w o

wiele lepszym stanie, jednak strzelały coraz celniej. Mimo to przez następną godzinę *Felts* z powodzeniem stosował wciąż tę samą taktykę, zalewając jaszczury ogniem, a gdy zbyt blisko się zbliżyły, znów wycofał się na bezpieczny dystans. Ciężko uszkodzony żaglowiec grików został z tyłu, jednak dwa pozostałe nauczyły się odpalać salwy burtowe, ilekroć *Felts* wykonywał zwrot. Było to trudne, jako że okazały się znacznie mniej zwrotne, w końcu jednak słup stracił pierwsze dwa maszty.

- Pan Clark dobrze walczy - uprzejmie zauważył Shinya. - Jest odważny, ale walczy głupio - stwierdził Gray. - *Felts* jest szybszy, zwrotniejszy i ma lepsze działa. Clark powinien to wykorzystać, tymczasem wdał się w bijatykę w stylu grików. - Jednostki były już na tyle blisko, że huk pojawiał się niemal równo z dymem. Coraz częściej słyszeli też charakterystyczny odgłos dartego płótna zwiastujący blisko przelatujące pociski, ale nikt się już nie pochylał. - Powinien się wyrwać na otwarte morze. Teraz tkwi między nimi a nami. Jest odpływ i zaraz woda mu się skończy. - Jakby na potwierdzenie jego słów *Felts* zachwiał się lekko, wyprostował, po czym ostro się przechylił, wpadając na mieliznę burtą do nadciągających fal i spieszącego w jego stronę przeciwnika. - Co za dupek. Daj dziecku okręt i proszę, co zrobi. - Bosman pokręcił głową. - Panie Shinya, proszę wziąć do łodzi pluton marines i popłynąć do *Feltsa*. Grikowie mają większe zanurzenie i za chwilę też zaryją w dno, ale wyślą oddziały abordażowe. Wątpię, żeby zajmowali się nami, mając taki cel. Musimy ich powstrzymać.

Shinya zasalutował.

- Tak jest. - Spojrzał na dowódcę pierwszego plutonu. - Za mną.

Nawet w obecnej pozycji *Felts* nie przerwał ognia, ale grikowie byli coraz bliżej. Oczywiście także weszli na mieliznę i walka zmieniła się w wyścig do słupa. Jedna szczególnie podziurawiona jednostka przechyliła się, nabierając wody, ale jej załoga schodziła już do łodzi. *Felts* zaczął strzelać siekańcami, masakrując jaszczury, nie trwało jednak długo, gdy ocalałe łodzie znalazły się zbyt blisko, żeby artylerzyści mogli wystarczająco obniżyć działa. Gdy grikowie wdarli się na pokład, zostali przywitani rojem strzał i pocisków z czekających na pokładzie działek. Ciała posypały się do morza, co oczywiście wywołało żywe zainteresowanie srebrzaków.

Marines wiosłowali w tym czasie z całych sił. Shinya stał na dziobie pierwszej łodzi i wymachiwał swoim zmodyfikowanym pałaszem, zachęcał podwładnych do zwiększenia wysiłku. Prawie im się udało. Powinno im się udać, myślał Gray, obserwując tę scenę. Walka już zamierała i nawet pierwsza fala rzezi dobiegła końca, gdy *Felts* nagle opuścił łodzie. Gdy tylko zdrowi i ranni znaleźli się w szalupach, z kadłuba słupa buchnęły kłęby czarnego dymu.

Kilka minut później płomienie lizały ocalały maszt.

- Cholera! - krzyknął Gray. - Lepiej, żeby to był wypadek, bo sam zastrzelę szkodnika!

Shinya natychmiast dał odpocząć wioślarzom, po czym jego łodzie ruszyły wolniej do brzegu. Za nimi *Felts* huczał od ognia i słychać było eksplozje prochu w załadowanych jeszcze działach. Gdy pierwsze łodzie ze słupu dotarły do brzegu, załamał się maszt. Gwardziści podbiegli pomóc przy wyładunku rannych, a marines i sprawni marynarze zajęli plażę, próbując odszukać swoje przydziały. Shinya przyprowadził porucznika Clarka przed Graya i niecierpliwie czekającego na wyjaśnienia „sztabu”.

Mundur Clark miał w krwawych plamach, włosy i twarz osmalone. Najwyraźniej opuścił okręt ostatni. Pochwa pałasza ociekała krwią, gdy wyciągnął broń i zsalutował nią bosmanowi. Jeśli ktokolwiek zdziwił się wtedy, że oficer salutuje podoficerowi, nie powiedział ani słowa. Wszyscy wiedzieli, kto naprawdę tu dowodzi.

- Co się stało? - warknął Gray.

- No... walczyliśmy jak cholera - odparł Clark po krótkim wahaniu, zdumiony tonem bosmana. - Dranie mieli działa! Wiedzieliśmy, że to możliwe, ale nie oczekiwaliśmy, że pojawią się z nimi tutaj.

- Co to znaczy, że wiedzieliście?

- Fakt, wy nie mogliście o niczym słyszeć. - Clark streścił szybko wydarzenia ostatnich tygodni.

Gray słuchał coraz bardziej wściekły.

- Spróbuję podsumować - powiedział w końcu. - Królowa, Pete i kilku jeszcze utknęli na terenie nieprzyjaciela, *Donaghey* wrócił do stoczni, reszta nowych okrętów jeszcze z niej nie wyszła. *Mahan* wypłynął wbrew rozkazom, żeby ratować królową. Grikowie się wycwanili i mają działa, a nam radio diabli wzięli i nie możemy nawet powiedzieć o tym kapitanowi. Pan zaś spalił nasz jedyny środek transportu, którym moglibyśmy wrócić do domu. Czy jest jakiś powód, żebym pana teraz i tutaj nie zastrzelił?

Zaskoczony Clark pokręcił głową.

- Panie Gray, oni mieli trzy okręty! Jednego załatwiliśmy i zabiliśmy większość grupy abordażowej z drugiego, ale trzeci szykował kolejną. Tego ataku byśmy nie odparli.

- Marines prawie już przy was byli!

- Tak, sir, i może by pomogli, ale nie widziałem żadnego powodu, żeby tracić ludzi w obronie wraku.

- Wraku?

- Okręt mocno tkwił na mieliźnie.

- I mocno przeciekał?

- No nie, ale...

- Właśnie mamy odpływ! Moglibyśmy utrzymać go do przyływu i ściągnąć z mielizny!

- Ale... - Nagle Clark zrozumiał. - Boże...

- Otóż to. Spieprzył pan wszystko, co mógł. Lepiej...

Isak trącił go łokciem w żebra.

- Grikowie - powiedział, wskazując na morze.

Gray spojrział na płonący okręt i gromadę nadciągających łodzi.

- Lepiej się przygotujmy - warknął. - Panie Shinya?

- Sir?

- Proszę się zająć obroną. Uzbroić tych, którzy stracili broń, jeśli coś nam jeszcze zostało. - Ponownie spojrział na Clarka. - Pewnie jest ich z siedem setek. Nas, razem z pańskimi ludźmi, około dwustu pięćdziesięciu. Ta walka też chyba będzie raczej w ich stylu.

*

- Na nich, chłopcy! - zawołał Alden, rzucając tarczę, i wybiegł z gąszczy na otwartą przestrzeń. Inni ruszyli za nim. Najpierw kilkudziesięciu, potem około setki. Szczęśliwie większość nie naśladowała go i nie pozbyła się tarcz. Posuwający się w luźnym szyku grikowie zostali kompletnie zaskoczeni. Sporo z nich uciekło w panice, rzuciwszy się na towarzyszy stojących im na drodze, niektórzy nawet pozbyli się broni. Pete nie widział jeszcze czegoś takiego. Reszta jednak odpowiedziała atakiem.

Opróżniwszy magazynek springfielda w największą ciżbę, zamachnął się karabinem z nasadzonym bagnietem. Sparowawszy uderzenie szabli, pchnął w gardło jaszczura wyglądającego na oficera, o ile piechota grików miała oficerów. Zachowując względnie zwarty szyk, ludzie i kotowaci uderzyli na pozostałych. Niektórzy mieli tylko zaostrzone kije za całą broń, i ci byli na skrzydłach. Porządnie uzbrojeni walczyli w środku, dokąd reszta starała się zaganiać grików. Rozległ się donośny trzask, gdy wataha jaszczurów wpadła na mur tarcz. Udało się ich zatrzymać i zaczęło się zabijanie. Mała armia Aldena walczyła, czym tylko się dało, od korda po narzędzia ogrodnicze. Co ciekawe, niektórzy grikowie także nie byli uzbrojeni, nie zdążyli bowiem sięgnąć po żaden oręż, chociaż z takimi kłami i pazurami oczywiście wciąż byli groźni. Walka była przez to może krótka, ale nad wyraz zażarta. Ostatecznie wszystkie jaszczury, które ruszyły do ataku, leżały martwe albo ranne na ziemi. Tylko garstka zdołała ujść. Zdyszany Pete sięgnął po manierkę.

Słońce dopiero co wzeszło, ale i walka zaczęła się jeszcze przed świtem. Obdarzone

świetnym wzrokiem lemury widziały w ciemności, co było najwyraźniej nieosiągalne dla jaszczurów. Grikowie nie żywili chyba żadnych przesądów na temat walki w nocy, ale nie byli w niej dobrzy. Kotowaci również woleli unikać jej dotąd z przyczyn religijnych, toteż dowódcy armii inwazyjnej uznali najwyraźniej noc za bezpieczną porę odpoczynku. Widok pogrążonego we śnie oddziału, który nawet nie wystawił wart, był jednak zbyt kuszący, żeby go zignorować, Pete zdecydował się więc przyspieszyć pierwszy atak.

To nie była walka, tylko rzeź. Nieliczni grikowie, którzy ją przeżyli, rozbiegli się we wszystkich kierunkach. Nie było co ich ścigać, Alden zebrał zatem swój oddział i wycofał się z nim na ustaloną pozycję. Przeciwnik zareagował całkiem szybko, kierując w miejsce walki posiłki. Będąc jednak wąsko wyspecjalizowanymi drapieżnikami, grikowie nawet za dnia działali szablono, ponownie przeżyli więc zaskoczenie, gdy wpadli na oddział Haakara, który Pete zostawił w tyle jako osłonę.

Mocno przetrzebieni cofnęli się w stronę własnych linii, gdzie czekał na nich Alden. Gwałtowny atak z flanki zakończył się rozbiciem przeciwnika.

Alden wytarł ostrze bagnetu o nogawkę i ponownie nasadził go na lufę broni. Pociągnął jeszcze jeden łyk z manierki i rozejrzał się po okolicy, po czym zaczął ładować opróżniony magazynek. Zostały mu już tylko pociski noszone luzem w kieszeniach.

- Dobrze - powiedział, zatrzasnąwszy zamek. - Wycofujemy się. Spokojnie, żeby nie pogubić się w lesie. Połączymy się z generałem Faaskiem i przekonamy się, ile namieszaliśmy. Noszowi, zabrać rannych.

Ranni byli transportowani do obozu „sił rezerwowych”, dowodzonych przez królową. Jej zadaniem była tym razem opieka nad dziećmi i cywilami, którzy nie brali udziału w walce.

Alden spojrział na słońce widoczne między wierzchołkami drzew.

- To będzie długi dzień.

*

- Więc to jest nasz sposób na gigarybę - zauważył Keje.

- Jeden ze sposobów - odparł Matt. - I mam nadzieję, że okaże się skuteczny. Brooks poświęcił sporo czasu na doprowadzenie sonaru do stanu używalności, chociaż w zasadzie mieliśmy wszystkie części. Z początku nie sądziłem, że może nam się przydać. To urządzenie do wykrywania zanurzonych okrętów podwodnych. Słyszałem jednak, że aktywny sonar przyprawiał o szaleństwo wieloryby żyjące w naszym świecie. Są znacznie mniejsze niż gigaryby, ale może i z nimi wyjdzie podobnie.

- Dlaczego płyniemy tak wolno? - spytał Keje. - Myślałem, że będziesz chciał dotrzeć do Taa-laudu jak najszybciej.

- Owszem, ale musimy się przekonać, czy to działa. Nie odbierzemy żadnego sensownego sygnału, jeśli przekroczymy piętnaście węzłów. A tak Brooks będzie mógł powiedzieć, czy tutejsze potwory podobnie reagują na sonar.

Musieli czekać prawie godzinę, stłoczeni w małym pomieszczeniu za stołem nakresowym tuż za krzesłem sonarzysty, nasłuchując miarowych pingów urządzenia. W końcu się doczekali.

- Jest kontakt! - oznajmił Brooks aż nazbyt głośno, ale przecież nie słyszał wiele, mając na uszach słuchawki. - Namiar jeden dziewięć pięć! Zapewne okręt... zapewne gigaryba! Dystans tysiąc pięćset jardów, oddała się. Chociaż chwila... Cel zmienił profil na mniejszy. Albo idzie teraz prosto na nas, albo od nas. Matt wychylił się przez właz i spojrzał na wachtowego.

- Ogłosić alarm bojowy - powiedział spokojnie.

Marynarz nie musiał pytać o przyczynę. Przełknął nerwowo i wykonał rozkaz.

Dokonując mnóstwa napraw na *Walkerze*, jakimś cudem przeoczyli fatalnie brzmiącą syrenę alarmową. Od początku tego rejsu właściwie nie musieli jej używać, ale Matt nalegał, żeby codziennie prowadzić ćwiczenia. Przy każdej okazji urządzenie sprawowało się coraz gorzej. Najpierw odzywało się jak brutalnie potraktowana gitara, teraz zaś załoga powiadała, że „znowu kaczkę męczą na mostku”. Jednak nawet okrutne kwakanie dawało pożądany efekt i po chwili wszyscy zgłaszali, że są już na stanowiskach, i wachtowy mógł zameldować o tym kapitanowi.

- Bardzo dobrze - mruknął Matt, spoglądając na stół nakresowy. - I co?

- Oddała się, skipper. Najpierw szła prostym kursem, teraz skrzyła na dwa jeden zero i przyspiesza!

- Miejmy nadzieję, że naprawdę nie lubi głośnych sąsiadów.

- Kapitanie! - odezwał się oko. - Coś wynurza się za rufą!

Mattowi nadbudówka zasłaniała widok, musiał więc się wdrapać na platformę kontroli ognia.

- Panie Campeti - pozdrowił swojego nowego oficera artyleryjskiego i uniósł lornetkę. To rzeczywiście była gigaryba. Pojawiła się dokładnie za rufą i chyba ich ścigała. Matt nagle zdał sobie sprawę, że ich wynalazek ma jedną drobną wadę. Jak każdy zwykły sonar, emituje dźwięki tylko w jednym kierunku.

Matt wiedział, że gigaryby są naprawdę gigantyczne. Dość mu o tym opowiadano. Ale zobaczyć taką z bliska to całkiem co innego! Jezu, pomyślał. Teraz chyba wiem, jak się czuje robak na haczyku. - Awaryjna naprzód! - zawołał, wiedząc, że rozkaz zostanie przekazany. -

Panie Campeti, przygotować działo numer cztery do otwarcia indywidualnego ognia. Gotowość przy bombach głębinowych! - Wychodziło na to, że będą musieli użyć więcej niż jednego sposobu. Musiało też potrwać kilka minut, zanim niszczyciel nabierze prędkości. Do tego czasu bydlę będzie ich doganiać... - Bomby nastawić na pięćdziesiąt stóp! - Jakakolwiek płytsza eksplozja groziłaby uszkodzeniem okrętu.

- Bomby na pięćdziesiąt - zameldował chwilę później Campeti. - Gotowe do rzucenia.

*

Silva stał na rufowej nadbudówce. Nie dowodził już baterią i sam mógł sobie wybierać miejsce, które zajmie podczas alarmu, chociaż czuł się teraz, jakby nie miał nic do roboty. Stojący kilka stóp dalej porucznik Dowden odczuwał zapewne to samo, obsadzając po prostu stanowisko awaryjne. Miał być w gotowości na wypadek, gdyby coś stało się z mostkiem, i chwilowo nie oczekiwano od niego niczego więcej, mógł więc bez przeszkód gapić się na ścigającego ich potwora. Na razie widzieli tylko olbrzymi grzbiet, piętrzący przed sobą równie wielkie fale. Czasem wydmuchiwał fontannę drobin wody przez otwór, który zaraz potem się zamykał. Masywny ogon, czy co tam miał, nie wyłaniał się w ogóle na powierzchnię. Bydlę przypominało na razie zaokrągloną i porośniętą różnymi skorupiakami wyspę próbującą wygrać regaty. Rufa okrętu nagle przysiadła i Silva poczuł, jak niszczyciel przyspiesza, ale gigaryba i tak była szybka. Trudno było sobie wyobrazić coś tak wielkiego utrzymującego prędkość blisko dwudziestu węzłów, ale z drugiej strony takie zwierzęta w ogóle nie powinny istnieć. Silva wcale nie był pewien, czy uda im się uciec.

- Otworzyć ogień! - krzyknął wachtowy przy dziale i chwilę później obsługa nacisnęła pedał. Rozległ się ogłuszający huk i lufa odskoczyła. Zaraz załadowano następny pocisk, podczas gdy jeden z kotowatych pogonił z rękawicami za pustą łuską, żeby nie stoczyła się za burtę, nie spuszczać przy tym oka z coraz bliższego monstrum. Kolejny strzał i ponowne przeładowanie. Aż trzy pociski eksplodujące wbiły się w ciemny kształt w pobliżu czegoś, co było zapewne głową zwierzęcia, wrywając wielkie kawały ciała. Rany tak wielkie, że zmieściłyby się w nich samochód, spłynęły zaraz krwią. Nagle, i znacznie bliżej, niż oczekiwali, ledwie sto stóp za rufą, z wody wyłoniło się coś więcej. To więcej otworzyło się natychmiast, ukazując uzębioną paszczę, i ryknęło niczym sto wielorybów, które ktoś rzucił na grill. Było wyraźnie wściekłe i zamierzało ich dopaść, oni zaś zrozumieli, że dotąd wcale nie strzelali w głowę.

- Z drogi, cholera! - krzyknął Silva. Wyrwał celowniczego z siedzenia i zajął jego miejsce. Spojrzał przez celownik. Z rufy dobiegła go komenda „Rzucać dwie” i odgłos czegoś ciężkiego wpadającego do wody. - Czysto za działem! - krzyknął, żeby wszyscy się odsunęli,

i nacisnął pedał. Skrzyżowanie nitek celownika naprowadził wcześniej na podniebienie wielkiej paszczy. Uderzenie fali nadciśnienia wydało mu się wręcz kojące. - Ładować!

Nagle woda pod mordą gigaryby zagotowała się i dwie wysokie kolumny wody przesłoniły stworzenie. Coś się tam zagotowało, a chwilę później wszystko na rufie niszczyciela zalały tony morskiej wody. Silva otarł oczy i gorączkowo poszukał celu. Przez chwilę zdezorientowany błędził spojrzeniem i chciał nawet krzyknąć na obsługę, że niepotrzebnie wykręciła działo na burtę, ale po chwili dojrzał dwa skotłowane obszary, ślady po wybuchach bomb głębinowych. Przyjrzał się dokładniej i pojął, że potwór po prostu zniknął, zostawiając na powierzchni tylko spieniony ślad i rozlewającą się coraz szerzej kałużę czarnoczerwonej krwi.

- Cholera! - zawołał, przyłączając się do wiwatów. - Zatopiłem go!

*

Po rozpaleniu trzeciego kotła *Walker* mógł utrzymać stałą prędkość dwudziestu pięciu węzłów, co wystarczało, żeby umknąć przed wszystkim, czego wcześniej ich sonar nie wystraszył. Wczesnym popołudniem po lewej burcie pojawiła się Talaud w otoczeniu mniejszych wysepek i wobec malejącej raptownie głębokości Matt nakazał zmniejszyć prędkość.

- Którędy, skipper? - spytał Dowden. Sprawdzili już północno-wschodni brzeg wyspy, lecz nigdzie nie dostrzegli schronienia dość wielkiego, żeby zmieściła się w nim mała łódź, o okręcie podwodnym nie wspominając. Teraz musieli zdecydować, czy popłynąć na zachód i potem na południe, żeby zbadać zachodni brzeg, czy może raczej zacząć od wschodniego. Matt spojrzał na opartego o reling Bradforda, który niemal nie odrywał „pożyczonej” lornetki od oczu i nie odpowiadał na żadne pytania. Był niepokieszony od czasu, gdy musieli obejść się tak brutalnie z gigarybą, której nie mógł sobie nawet potem obejrzeć. Mimo to zachowywał się spokojnie i szykował na kolejne sensacyjne odkrycia. Dawno już nie byli na żadnym większym łądzie oddzielonym głębokim morzem od znanych im już okolic.

Na razie widzieli całe mnóstwo różnych „ptaków”, które zaczęły już nawet zanieczyszczać pokład. W większości były to chyba prawdziwe ptaki. Bradford uważał, że muszą być lżejsze od swoich gadzich odpowiedników i tym samym mogą dalej latać. Niewykluczone więc, że migrują między odległymi ładami. Może nawet te, które widzieli wcześniej, przybyły właśnie stąd? Żyjące na wyspie latające jaszczury wydawały się większe niż ich krewniacy z północy. Bradforda chwilowo interesowały tylko one i nie było sensu pytać go o drogę.

Matt cicho naradził się z Kejem i pokiwał głową.

- Najpierw zbadamy zachodni brzeg, panie Dowden. Jeśli nie znajdziemy ich tam, ani na kolejnych, będziemy akurat na dobrej pozycji, żeby ruszyć ku tamtym wysepkom.

- Ależ... kapitanie. Jest jeszcze wiele innych miejsc, w których mogą się znajdować...

- Możliwe, ale nie mamy czasu, żeby sprawdzić je wszystkie. Pora wracać. - Zastanowił się nad czymś. - Niech pan McFarlane wygasi któryś z kotłów. Który, zostawiam jego wyborowi. Ograniczymy prędkość do jednej trzeciej, ale proszę dalej pilnować sonaru. Sternik, kurs dwa sześć zero.

- Aye, sir. Zmieniam kurs na dwa sześć zero.

Przez resztę dnia krążyli spokojnie po łagodnym morzu. Nie znaleźli niczego ani na północy, ani na południu. Wszędzie były mniej więcej takie same lasy mangrowe. Matt nie spotkał jeszcze niczego podobnego na równie dużej i odizolowanej wyspie. Cały czas widział górujący nad dywanem zieleni wulkan dymiący ze szczeliny na zboczach. W końcu brzeg zaczął się trochę zmieniać i zwolnili, żeby mu się przyjrzeć. Na razie jednak nie dostrzegli ujścia żadnej rzeczki ani nawet plaży. Nie było żadnego znaku życia, jeśli nie liczyć stad niezmiennie paskudzących na okręt ptaków. Pod wieczór nawet Bradford stracił dla nich zainteresowanie.

- Może trochę pogonimy, kapitanie? - zapytał. - Wschodnia strona wyspy powinna być bardziej gościnna i łatwiej dostępna.

- Nie mamy co do tego pewności, poza tym nie dalibyśmy rady tu wrócić. Jeśli pogonimy, możemy coś przeoczyć. Zresztą niebawem zrobi się ciemno i będziemy musieli rzucić kotwicę. Chcę to zrobić na możliwie płytkiej wodzie, a teraz akurat dno jest bliżej niż kiedykolwiek za dnia. Proszę przekazać Chackowi - zwrócił się do wachtowego - żeby wyznaczył drużynę kotwiczną. To dobre miejsce.

*

Mrok niespodziewanie rozjaśniła błyskawica, ale gromu prawie nie usłyszeli. Poza tym nie wiało, a morze było spokojne. Widok mieli niemal surrealistyczny, więc mało kto kładł się spać. Lanier zaczął moczyć wędkę, jak zawsze po nocy, ale nic nie złapał. Ilekroć zarzucał haczyk, coś mu go zaraz odgryzało. Co więcej, tajemnicze wodne stworzenia skojarzyły pojawiającą się przynętę z okrętem i zaczęły atakować jego kadłub. Campeti kazał Lanierowi wracać do kuchni, zanim amatorzy smacznych kąsków ośmielą się na coś więcej. Raz zdarzyło się, że Earl nawet nie spróbował oponować.

Tuż przed świtem drużyna kotwiczna zagrzechotała mokrym łańcuchem. Załoga była już na stanowiskach bojowych, jak zawsze o poranku, gdy okręt był najbardziej bezbronny wobec niespodziewanego ataku i najlepiej widoczny na tle szarzejącego nieba. Tym razem

miało to więcej sensu niż zwykle, skoro szukali okrętu podwodnego. Zwykli myśleć, że chodzi o jednostkę amerykańską, ale pewności przecież nie mieli. Poza tym, nawet jeśli była „swoja”, to przecież jej załoga wcale nie musiała się zorientować, że ma przed sobą amerykański niszczyciel. Po roku spędzonym w tym dziwnym świecie mogło jej nie starczyć cierpliwości na dłuższe sprawdzanie.

Matt stał w sterówce z parującym kubkiem kawy i nawet nie próbował poprawiać nastroju swoich ludzi. Zdawał sobie sprawę, że poszukiwany przez nich okręt jest już zapewne niezdolny do rejsu, o podchodzeniu zdobyczy nie wspominając, ale po męczącej nocy trochę czujności tak czy owak było na miejscu. Łyknął naparu Juana i nawet się nie skrzywił.

Na mostek wspiął się Bradford, ziewając rozgłośnie, za nim pojawili się Adar i Keje. Ten dzień był decydujący. Albo znajdą okręt podwodny, albo ruszą z powrotem do domu. Chyba wszyscy mieli już dość niepewności i wyczekiwania, zwłaszcza wobec narastającego przekonania, że coś złego dzieje się w Baalkpanie. Każdy dzień wzmagał ich niepokój. Nawet Bradford nie oponował, usłyszawszy, że skoro nie dostrzegli żadnego śladu poszukiwanego okrętu, nie ma powodu do wycieczki na brzeg.

- Kotwica zamocowana, kapitanie - cicho zameldował Dowden, słysząc gwizdek bosmana rozbrzmiewający na pokładzie dziobowym.

Matt pokiwał głową. Nie mógł się nadziwić, jakim cudem kotowaci radzą sobie z gwizdkami, skoro żaden nie potrafi porządnie dmuchnąć w trąbkę. Jeszcze podczas bitwy pod Aryaalem przekonał się, że potrzebne są jakieś proste sygnały dźwiękowe wspomagające dowodzenie. Skoro trąbka okazała się niewypałem, może dałoby się zrobić dla nich jakieś powiększone gwizdki bosmańskie? Pokręcił głową. Trzeba będzie kogoś spytać. Sam też nie radził sobie z trąbką.

- Dobrze. Powoli naprzód. Kurs zero siedem pięć. Dodatkowy obserwator na lewą burzę.

Gdy okrążyli południowy cypel wyspy, zaczęły się pokazywać plaże. Widoczność była wspaniała, a wschodzące słońce rozpraszało mrok ciemnej zazwyczaj, ale teraz już mniej gęstej dżungli. Dostrzegli nawet trochę zwierząt na lądzie. W większości byli to zapewne padlinożercy, ale zauważyli też coś podobnego do krzyżówki nosorożca i świni, z szyją równie długą jak tułów, kłami i rozłożystymi rogami. W odróżnieniu od mniejszych stworzeń, które pierzchały na widok żelaznego potwora przy brzegu, ten osobnik odprowadził ich tylko obojętnym spojrzeniem. Dopiero pod koniec wszedł trochę do wody, jakby chciał odstraszyć intruza.

- Ale z ciebie paskuda! - zaśmiał się Courtney. - Uua! Uua! Wrrrr!

W sterówce rozległo się trochę chichotów i nawet Matt się uśmiechnął.

Blżej południa w mgiełce nad oceanem zamajaczyły pierwsze z małych wysepek i stało się oczywiste, że ich szanse bardzo zmały. Trafili jeszcze na kilka obiecujących lagun, które okazały się zwykłymi zagłębieniami gruntu wypłukanymi przez morze. Przed nimi było jeszcze jedno, podobne miejsce, po którym jednak nic już sobie nie obiecywali. Dotarli niemal do punktu, w którym powinni skrócić na zachód.

- Kapitanie - odezwał się Reynolds. - Oko melduje, że ta laguna jest głębsza. Może i bardziej osłonięta.

- Dobrze. Zajrzemy do niej. Uprzedzić sondę. Za przyładkiem zwolnić maksymalnie, ale uważać na prąd.

Minęli cypelek i okręt prawie zatrzymał się w miejscu. Norman Karas poruszył delikatnie sterem, żeby skierować dziób niszczyciela do zatoczki. Długie fale pchały ich ku lądowi i co rusz trzeba było korygować kurs.

- To głębokie wejście - potwierdził Reynolds, przekazując meldunek. - W środku przybój jest łagodniejszy.

- Głębokość? - spytał Matt.

- Siedem sążni, szybko maleje.

Reynolds nagle spojrzał jakoś dziwnie i mocniej przycisnął słuchawkę do ucha, jakby nie był pewien, czy dobrze słyszy.

- Kapitanie, oko mówi... znaczy melduje, że... coś jest na plaży. Wysoko na plaży. Dwadzieścia stopni na prawo od dziobu. Jest bardzo podobne do tego, co pokazywał pan na zdjęciach.

Kto mógł pobiegł na skrzydło mostka.

- Pięć sążni!

- Ster cała w lewo - rozkazał Matt. - Lewy silnik dwie trzecie naprzód, prawy dwie trzecie wstecz! - Teraz *Walker* naprawdę się zatrzymał, a rufa zaczęła odpadać w prawo. Fala zakołysała nimi nieprzyjemnie i pchnęła naprzód. - Rzucić kotwicę. Jak teraz pływy, panie Dowden?

- Mamy niską wodę, sir. Zaraz zacznie się to zmieniać.

- Dobrze. Sonda na rufę. Przygotować motorówkę. - Dopiero teraz Matt wyszedł na mostek i przepchnął się do relingu, gdzie uniósł lornetkę do oczu.

- Niech mnie - szepnął ze smutkiem. - Jest... - Opuścił lornetkę, ale nie oderwał spojrzenia od znaleziska. Jedna sprawa została wyjaśniona. Rufa przesuwiała się, aż *Walker*

szarpnął się na kotwicy, stawiając opór wzbierającemu morzu.

- Rufa melduje trzy sążnie.

Matt ponownie sięgnął po szkła i przyjrzał się dokładniej temu, czego tak usilnie szukali.

- Przygotować się do opuszczenia motorówki - powiedział spokojnie. - Broń dla dwunastu ludzi. Do tego woda, żywność i medykamenty, gdyby jednak ktoś ocalał. - Westchnął. - Ale jej stąd nie zabierzemy. Przynajmniej nie tym razem.

*

Spuścili na wodę *Scotta*, motorówkę ochrzczoną na cześć poległego marynarza, który zwykle nią pływał. Poza Mattem, którego Dowden nawet nie próbował odwozić od tej wyprawy, wzięli Bradforda, Adara, Kejego, Spanky'ego i Gilberta Yagera. Chack, Silva i Stites też się zabrali w towarzystwie trzech marines. Stites świetnie sobie poradził z przeprowadzeniem motorówki przez wysokie fale do spokojniejszej laguny. Widok spoczywającego na plaży okrętu podwodnego tak ich pochłonął, że prawie nie zauważali objadających się o burty łodzi srebrzaków, jednak im bliżej podpływali, tym większe odczuwali rozczarowanie.

Okręt podwodny nie tyle utkwiał na mieliźnie, ile został wyrzucony na brzeg. Nawet przyływ nie mógł go unieść, ledwie bowiem sięgał do obłego kadłuba. Zapewne była to sprawka jakiegoś silnego sztormu i przy tych możliwościach technicznych, którymi akurat dysponowali, nic nie mogli z tym zrobić. Okręt leżał przechylony pod kątem trzydziestu stopni, stępką w stronę morza. Szara farba odłaziła całymi płatami, wszędzie było widać rdzawe zacieki. Tak jak Matt przypuszczał, chodziło o stary typ S, zwany też „Holland”. We Flocie Azjatyckiej było jeszcze kilka tych przestarzałych okrętów - łatwo je było poznać po konstrukcji rufy i pękatym kadłubie. Matt przypomniał sobie szybko, co wie o tym typie. Trochę ponad dwieście stóp długości, około dwudziestu szerokości. Wyporność z tysiąc ton. Dwa diesle i dwa silniki elektryczne. Maksymalna prędkość piętnaście węzłów na powierzchni. Cztery wyrzutnie torpedowe i jedna czterocalówka na pokładzie. Taka sama jak działa *Walkera*.

- S-19 - oznajmił Spanky, wypatrzywszy na wpół zatarty numer na kadłubie. Tego na kiosku nie mogli widzieć pod obecnym kątem. - Znam go. Próbował *opuszczyć* Surabaję w tym samym czasie co my. Miał chyba kłopot z jednym dieslem i czekał na specjalne rozkazy. Akumulatory też mu nawalały, jeśli dobrze pamiętam. Rozmawiałem z ich bosmanem, czarno patrzył w przyszłość.

- Jak my wszyscy wtedy - przypomniał mu Matt.

- Owszem, ale ten okręt jest jeszcze starszy niż *Walker* czy *Mahan*. A dodatkowo pływa pod wodą. Można oszaleć - mruknął, a Matt przypomniał sobie jeszcze jeden szczegół. Załoga takiego okrętu liczyła około czterdziestu oficerów i marynarzy. Jak dotąd nie widzieli żadnego ich śladu, chociaż dno motorówki zazgrzytało już na piasku plaży.

Stites i jeden marine przywiązali cumę motorówki do lewego wału napędowego okrętu i dołączyli do pozostałych, badających już okolicę. Marine i Bradford mieli kragi, Silva i Stites dźwigali broń maszynową. Matt i Keje byli jedynymi ze springfieldami, Adar zaś w ogóle nie zabrał broni, jako że i tak nie umiał walczyć. Czasem bardzo by chciał, ale rozumiał, że z karabinem w rękę byłby większym zagrożeniem dla towarzyszy niż dla wroga. Nie miał wszakże nic przeciwko kordowi, który przydawał się do wycinania drogi w zaroślach. Nim nie powinien zranić nikogo oprócz siebie.

- Na piasku jest wiele śladów - zauważył Chuck i Bradford z Silvą przyjrzeni się im uważniej.

- Istotnie! - wykrzyknął Bradford. - Niektóre bardzo ciekawe! Nie widziałem jeszcze takich. - Wskazał na coś. - Na przykład ten może należeć do tego wielkiego bydlaka, którego dojrzeliliśmy na brzegu.

- Bardziej interesują mnie ludzkie ślady - stwierdził Matt i też przyjrzał się piaskowi. - Na przykład tutaj. - Chodziło mu o ścieżkę wydeptaną od okrętu w kierunku dżungli. Ślady biegły na niej w obie strony i były względnie świeże. Tyle że niektóre z nich były bardzo małe, połowy zwykłej wielkości.

- Jezu! - odezwał się Silva. - Jest też trop grika. Proszę tu spojrzeć, skipper!

Matt pospieszył do bosmana, który otrzepywał piasek z kolan.

- Racja - mruknął Matt ponurym głosem. - Uwaga wszyscy, na wyspie są chyba grikowie. Oczy dookoła głowy. - Spojrzał na ścieżkę, potem na okręt. - W zasadzie powinniśmy trzymać się razem, ale szkoda czasu. Spanky, Yager i ja sprawdzimy okręt i zobaczymy, czy można stamtąd coś szybko zabrać. Może chociaż pociski do czterocalówki. Stites zostanie na górze jako warta. Chuck, Silva i reszta pójda ścieżką i poszukają rozbitków. Uważajcie tylko na pana Bradforda. - Spojrzał na Adara i Kejego. - A wy gdzie chcecie iść?

Obaj kotowaci spojrzeli na przechylony okręt.

- To byłby fascynujące obejrzenie go od środka, ale... - powiedział Keje. - Chyba wolę zostać na zewnątrz. - Ja też - zgodził się skwapliwie Adar.

- Jak uważacie. Trudno mieć do was pretensje. Sam też nie chciałem nosić „delfinków” - powiedział, myśląc o odznace amerykańskich podwodniaków.

Na burcie od strony lądu ktoś zawiesił wcześniej sieć, bez trudu wspięli się więc na górę. Na wąskim i pochyłym pokładzie trudno było się poruszać, zwłaszcza że reling był szczątkowy, jednak przy kiosku, obok działa, miejsca było już więcej. Matt spojrzał chciwie na czterocalówkę. Jeśli nie uda się naprawić okrętu, to chociaż ona mogłaby się przydać. I pewnie tak w końcu będzie, pomyślał, przyjrzawszy się S-19 z bliska. Z tej perspektywy okręt wyglądał jeszcze gorzej. Przegniłe deskowanie pokładu częściowo się zapadło i musieli uważać, żeby nie wpaść w dziury sięgające zewnętrznego kadłuba. Jeden z peryskopów był paskudnie wygięty, kadłub nosił ślady wgnieceń powstających podczas bliskich wybuchów bomb głębinowych. Wspięli się na kiosk i Spanky bez trudu otworzył właz. Wyciągnął rękę do Gilberta, który wygrzebał z torby dwie ręczne latarki. Spanky skierował jedną w głąb okrętu, po czym ześliznął się po drabince. Matt poszedł za nim, a Gilbert na końcu.

- Ale tu śmierdzi - powiedział Gilbert, dołączając do nich w ciasnym pomieszczeniu. - Au! - dodał, wyróżnawszy w coś.

Matt bywał już na okrętach podwodnych i wiedział, że nie są budowane dla ludzi jego wzrostu. Musiał chodzić na nich przygarbiony, a i tak co rusz jakiś zawór, rura czy inne wystające żelastwo waliło go po głowie albo po żebrach. Z tymi mizernymi latarkami było jeszcze trudniej.

- Au! - odezwał się zaraz niczym echo.

- Ale śmierdzi w tych chlewach - powiedział Spanky. - Czasem nawet tak właśnie je nazywają.

- Czuję jeszcze jakąś woń - stwierdził Matt. - Tak. Jakby gaz albo coś. - Spanky pochylił głowę. - Albo dym.

Kolejną drabinką zeszli do centrali, gdzie było trochę przestronniej, ale jakby przybyło sterczącego żelastwa. A może tak im się wydawało przez przechył. Spanky oświetlił jakieś ustrojstwo.

- Ciekawy jestem, czy... - mruknął i pstryknął przełącznikiem. Ku ich wielkiemu zdumieniu zapaliło się kilka lamp. - Nocne oświetlenie - wyjaśnił. - Zatem akumulatory jeszcze dychają.

- Którędy teraz? - spytał Matt, zwracając się do mechanika. W środku było zbyt gorąco, żeby tu dłużej pozostać. - Na dziób czy na rufę?

- Na dziobie będzie przedział torpedowy, na rufie maszynownia. Co ważniejsze?

- Torpedy.

*

- Ostatnio bawiłem w gęściejszych dżunglach - zauważył Silva, usuwając kordem pnącze z drogi, którą szła ich ósemka.

- Tutaj klimat jest bardziej surowy - wyjaśnił Bradford. - Jest więcej wichur, które łamią młode drzewa, zanim w pełni się one zakorzeniają.

- Aha.

Wciąż trafiali na zwarte zarośla, ale było też sporo prawie otwartego terenu z samotnymi drzewami w rodzaju palm czy sosen. Ilekroć wychodzili na taką polankę, Silva osłaniał Chacka i jego marines, gdy przekradali się naprzód, na wypadek gdyby ktoś urządził na niej zasadzkę. Superjaszczury nie były jedynymi stworzeniami, które korzystały z polan do polowania. Gdy marines uznawali, że wszystko jest w porządku, cała grupa szła dalej. Ścieżka była dobrze wydeptana, ale z obu stron rósł gąszcz. Do kolejnej polany Silva podszedł ostrożnie z bronią gotową do strzału i stanąwszy na jej skraju, rozejrzał się.

- Jaszczury! - syknął.

Pośrodku polany, jakieś trzydzieści jardów od niego, sterczał grik. Stał przodem do Silvy, w bezruchu, i tylko ruszał nosem, łowiąc zapachy. Słońce przebijające przez korony drzew czyniło go idealnym celem. Silva odruchowo uniósł broń i położył palec na języku spustowym, ale w tej samej chwili podświadomie odnotował kilka anomalii. Po pierwsze grik był innego koloru niż wszystkie dotąd napotkane jaszczury. Na jego skórze widać było prawie tygrysie pręgi. Miał też dłuższy ogon. Nie nosił żadnej zbroi, tylko przedziwne skórzane portki. Z ramienia zwisała mu torba. Najdziwniejsze wszakże Silva zauważył pod koniec, i dlatego zapewne drgnęła mu ręka i strzał poszedł za wysoko. Dopiero potem bosman pojął, co właściwie zobaczył.

Pojął i zdrtwiał, zwłaszcza że chwilę później stało się coś jeszcze. Najpierw coś na niego skoczyło, potem został uderzony jakąś pałąką, miękką z wierzchu, ale w środku twardą jak żelazo. Dopiero gdy zachwiał się, słysząc skrzeczenie oznajmiające, że tak w ogóle to trafił, dotarło do niego, że ten dziwny grik miał w łapie muszkiet.

Upadł na ziemię zbyt oszołomiony, żeby się bronić, o jakiegokolwiek walce nie wspominając. Przez chwilę nie potrafił orzec, co właściwie na nim siedzi, krzycząc przenikliwie i okładając go pięściami. Gdy nieco oprzytomniał, spostrzegł, że nie jest to raczej duże stworzenie. Nie próbowało go też pożreć, a jego ciosy nie były dotkliwe. W końcu zrozumiał też coś z jego histerycznych krzyków, którym towarzyszył śmiech jego kompanów. Otworzył oczy i ujrzał siedzącą na jego piersi furję. Była niewielkich rozmiarów, miała jasne oczy i zdrowe, chociaż pożółkłe zęby. Była też brudna, chociaż włosy miała zasadniczo jasne. - Ty potworze! Zły, obrzydliwy i straszny potworze! - wykrzykiwała, wciąż

okładając go piąstkami.

- Cholera, chłopaki! To dziewczynka! - wyrwało się Silvie, czym wywołał nowy wybuch śmiechu.

- Nie wyrażaj się tak przy mnie, podły morderco! Ty... ty draniu! - Zamachała rękami ze zdwojoną energią.

- Zdejmijcie ze mnie tę kocicę! Chack, niedojdo! - zawołał Silva, ale kotowaty nie mógł się ruszyć. Ledwie łapał powietrze. Nigdy jeszcze nie widział tak małej istoty ludzkiej, która na dodatek atakowałaby jego mocarnego przyjaciela. W końcu Silva zdołał unieruchomić dziewczynę w mocnym objęciu. Szarpała się ze wszystkich sił, ale nie udało się jej wymknąć, w końcu jej krzyki przeszły w pochlipywanie.

- Słuchaj... mała - powiedział. - Nie zamierzam cię skrzywdzić. Nikt nie zamierza. Ale zejdziesz ze mnie, dobrze? To nie było uprzejme.

Courtney Bradford doszedł na tyle do siebie, żeby zacząć uspokajać Chacka i jego podwładnych. Adar i Keje pozostali poważni. Od razu uświadomili sobie wagę ich odkrycia.

- Chack! - huknął Keje. - Jeśli sam się nie uspokoisz, ja cię uspokoję! - Keje nie był już przełożonym młodego kotowatego, ale stare odruchy zadziałały. Marines też wreszcie się opanowali.

Bradford przyklęknął przy dziewczynce.

- Spokojnie, dziecko. Nic się nie stało - powiedział łagodnie.

Dziewczynka była nie tylko brudna, ale i ubranie miała w strzępach. Musiała doświadczyć ciężkich przeżyć. Może nie była też zrównoważona, bo co innego mogłoby ją pchnąć do ataku na Silvę?

- Tak - odezwał się bosman jak najłagodniej. - Jeśli obiecujesz, że będziesz spokojna, to cię puszczę. - Zapłakana dziewczynka kiwnęła głową i Dennis ją puścił. Zaraz pozbierała się na nogi i podbiegła do leżącego na ziemi grika. - Kurde, mała! - krzyknął Silva. - Zwariowałaś?! On może jeszcze żyć!

- Mam nadzieję, że żyje, na szczęście dla ciebie, podły morderco! - odkrzyknęła dziewczynka.

Nie mogąc strzelać z małą między sobą a grikiem, Silva pobiegł za nią. Inni też. Gdy dotarli na miejsce, przeżyli następny wstrząs. Dziewczynka siedziała obok wijącego się z bólu jaszczura i głośno płacząc, głaskała go czule.

- Lawrence! - wykrzyknęła boleśnie. - Och, Lawrence, nie wolno ci umierać!

Grik uchylił paszczę i poruszył purpurowym językiem.

- Boli - powiedział.

Kotowaci i ludzie spojrzeli na siebie zdumieni.

- Mówi! - jęknął Bradford.

- Jasne, że mówi, głupcze. To jest Lawrence - parsknęła dziewczynka. - Mój przyjaciel.

Chyba dopiero teraz zauważyła, jak mieszana jest stojąca wokół niej grupa, i oczy rozszerzyły się jej ze zdziwienia.

- Mój Boże - wyrzuciła z siebie. - Nie wszyscy z was są ludźmi!

Adar z wahaniem podszedł do niej i skłonił się. Zdawał sobie sprawę z ironii sytuacji, ale starał się ukryć swoje odczucia. Nie było to łatwe, gdyż mało kto nie cierpiał grików tak bardzo jak on.

- Jestem Adar, wysoki kapłan pływającego domu *Salissa*, a obecnie także różnych członków sojuszu zawiązanego pod Sztandarem Drzewa. Jesteśmy ludźmi, tylko trochę innymi. Tam, skąd przybyliśmy, stworzenia podobne do twojego Lawrence'a są dzikimi drapieżnikami, które próbują nas wygubić. Nasi amerykańscy przyjaciele wyjaśnili nam wszakże, że zdarza się wam trzymać zwierzęta domowe, i chociaż nie rozumiemy, po co taki podopieczny, to... - tutaj go trochę zatkało - ...nie skrzywdzilibyśmy go, gdybyśmy wiedzieli, że jest twój - dokończył bez większego przekonania.

- Lawrence nie jest moim zwierzątkiem, ty futrzasty imbecyлу! To mój przyjaciel!

- ...ciel - potwierdził chrapliwie grik.

Adar spróbował coś odpowiedzieć, ale zdołał jedynie zamrugać.

- Na Jowisza! - sapnął Bradford, po czym odchrząknął. - Moja droga, nazywam się Courtney Bradford, a to są moi przyjaciele. - Dziewczynka spojrzała na Australijczyka, skupiając się na jego akcencie, który był dziwnie podobny do jej własnego. - Jeśli gwarantujesz, że twój... przyjaciel będzie się dobrze zachowywał, sądzę, że zdołamy mu pomóc. W sumie miał sporo szczęścia, bo pan Silva jest świetnym strzelcem. Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że tym razem trochę spudłował. Mamy lekarza, albo prawie, na pokładzie naszego okrętu...

- Okrętu?

Pytanie dobiegło gdzieś zza ich pleców, a gdy się obrócili, ujrzeli wycelowaną w siebie całkiem pokaźną kolekcję różnej broni. Przeważały thompsony do spółki z coltami wzór 1911. Zaabsorbowani bez reszty dziewczyną i grikiem, nie zauważyli, że ktoś ich podszedł. Gromadka ta miała na sobie stroje będące niegdyś mundurami Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Jeden z mężczyzn, śniadoskóry brodac z bujnymi włosami, trzymał w ręku muszkiet z częściowo odpilowaną lufą. Posługiwał się nim całkiem jak pistoletem. To

właśnie ten mężczyzna ich zagadnął.

- S-19? - pytał Silva.

Jeden ze stojących opuścił swojego thompsona. Był niski, miał rudą brodę i długie rzadkie włosy wymykające się spod sfatygowanej czapki bosmana.

- Jestem w piekle - mruknął. - A oto sam diabeł.

- We własnej osobie - odparł odruchowo Silva, patrząc uważnie na mężczyznę. - Billy Flynn! To naprawdę ty, ruda irlandzka małpo! Jesteś mi winien siedemnaście dolców! - Całe napięcie gdzieś się ulotniło i broń została opuszczona. Cała z wyjątkiem robiącego za pistolet muszkietu. Silva spojrział na wąsatego mężczyznę, wyczuwając w nim bratniego drapieżnika. Lekko skinął mu głową i spojrział ponownie na pozostałych. - Ilu zostało, Billy? - spytał i zwrócił się na chwilę do towarzyszy. - Billy był bosmanem na tym okręcie. O ile takie coś w ogóle może mieć bosmana.

- Kilku ludzi straciliśmy - przyznał Billy. - Ale ocaliliśmy większość pasażerów. - Skinął na dziewczynkę, grika i jakiegoś jednorękiego mężczyznę. - I kilku nam doszło - rzucił enigmatycznie, po czym twarz nagle mu się rozpogodziła. - Nigdy nie myślałem, że to powiem, ale cieszę się, że cię widzę!

- Znasz tego gościa, szefie? - spytał jeden z pozostałych.

- Można tak powiedzieć - odparł rudowłosy i wskazał na lemurów. - Co to za małpy? Wasi przyjaciele?

- Tak - odparł Silva tonem poważnego ostrzeżenia. - Dobrzy przyjaciele. A co?

- Wpadliśmy na jeden z ich statków. Wielki jak stodoła. Cholernik ostrzelał nas jakimiś wielkimi włóczyniami!

Silva zaśmiał się.

- Stąd wiemy, że tu jesteście! Wzięli was za wielką rybę. Bez obrazy, naprawdę nic do was nie mieli. Pewnie już wiecie, że w tych morzach żyją ryby większe od waszej łajby.

- Mów mi jeszcze - odparł z uśmiechem Billy.

- A ja chętnie bym się dowiedział, z jakiego okrętu wy jesteście - powiedział ciemnowłosy, wciąż nie opuszczając broni.

Silva spojrział na niego z ukosa, ale zaraz też się uśmiechnął.

- USS *Walker*, DD-163, do usług.

*

Mahan czuwał u brzegu B'mbaado z działami numer jeden i trzy zwróconymi ku plaży. Znajdował się mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie *Donaghey* stoczył walkę z trzema jednostkami grików. Obecnie kolejny nieprzyjacielski żaglowiec dopalał się na

plyciznie, dwa inne osiadly juz na dnie Morza Jawajskiego. W sumie nie byla to zadna walka, tylko egzekucja. Nie wiedzieli nawet, czy tamte jednostki byly uzbrojone, poniewaz *Mahan* zniszczyl je, strzelajac dobrze spoza dystansu donošności klasycznych dział. Szkoda tylko, że jedna nie zatoneła, bo kolumna buchajacego z niej dymu musiala być widoczna daleko za horyzontem.

Jim Ellis stal na lewym skrzydle mostka i patrzyl na nadplywajacą łódź. Przy wiosłach siedzialo czterech doroslych kotowatych, między nimi widać bylo gromadkę dzieciarni.

- Motorówka na wodę i podholowac ich - rozkazal. - Nie bedziemy czekali caly dzien.

Krotko pozniej obie łodzie znalazly się przy burcie i marynarze pomogli przeniesc maluchy na poklad. Jeden z doroslych pobiegł na mostek. Zaraz za nim pojawil się porucznik Steele.

- Co jest, Frankie? - spytal go Jim.

Steele wskazal na swojego towarzysza, który mowil po angielsku. Był to jeden z marines, którzy zostali na wyspie z Aldenem.

- Kapitanie Ellis, general Alden przesyła pozdrowienia. Nasz zwiadowca zauwazyl was i zameldowal o waszej obecności.

- Jaka jest sytuacja?

- Zložona i trudna - ciagnal kotowaty, ale raczej z dumą niż desperacją. - Generalowie Alden i Faask pokonali znaczące siły przeciwnika idące od miasta, ale poniešliemy ciężkie straty. Potem zwrócili się ku siłom przybyłym na tych statkach. - Wskazal na płonący wrak. - I otworzyli naszym drogę do plaży. Królowa Maraan prowadzi tam właśnie rannych i cywilów. Mamy łodzie po grikach, ale jakbyście je podholowali, byłoby łatwiej.

- Oczywiście - przytaknal Ellis. - Ale co z Aldenem?

- Zostal mu mniej niż stu ludzi. Szarpie flankę przeciwnika, co dotąd się sprawdzalo, ale jest ich po prostu za malo. Stara się trzymac dość długo, żeby królowa zdazyła zakonczyc ewakuację. Niestety oddzialy od strony miasta chyba się przegrupowaly, dostaly posiłki i znowu nadciągają. Niebawem to one jego oskrzydla.

Ellis spojrzal z namyslem na brzeg. Walka nie mogła toczyć się daleko, chociaz nie bylo niczego slychac. Dziwna sprawa.

- Ile zostalo do przybycia tych nowych oddzialów? - spytal.

- Godzina. Moze dwie.

- Dobrze wiece. - Spojrzal na Frankiego. - Oto co zrobimy. Ty zostaniesz tutaj, żeby w razie potrzeby wspierac nas ogniem dzial. - Steele chcial zaprotestowac, ale Ellis nie dal mu dojsc do głosu. - Miej tez oko na morze, czy nie przysylaja wiecej statków. Wezmę 1.

batalion marines i udam się z nim na brzeg. Mam nadzieję, że ten dżentelmen nas poprowadzi. - Skinął na lemura. - Zapewne uda nam się przywalić nieprzyjacielowi na tyle mocno, żeby Pete mógł się od niego oderwać. Potem będzie już wyścig stulecia do plaży. To znaczy, że musicie do tego czasu przewieźć królową i jej ludzi na okręt i odesłać łodzie na brzeg.

- Nie będzie łatwo - zauważył Frankie.

- Owszem, ale... - Jim spojrzał gdzieś przed siebie - może tym razem uda nam się dla odmiany zrobić coś sensownego.

*

Łodzie krążyły tam i z powrotem, przewożąc rozbitków i sprzęt na *Walkera*. Matt wysłuchał już meldunków Silvy i Chacka i porozmawiał z bosmanem z S-19. Marines strzegli okolicy, bo chociaż dziwny towarzysz dziewczynki mógł rzeczywiście być jedynym grikiem na wyspie, obfitowała ona w groźne zwierzęta. Bradford, Keje i Adar, a także osobliwy jednoręki mężczyzna, towarzyszyli Mattowi, który miał wielką ochotę wziąć kalekę na spytki, ale chciał najpierw wysłuchać historii Flynn'a. Załadunkiem zajmował się w tym czasie Spanky. Na okręcie podwodnym nie znaleźli wiele do zabrania. Większość ciężkiego wyposażenia była zbyt duża, żeby mogła przejść przez właz, poza tym nie chcieli trwale uszkodzić jednostki w nadziei, że uda się jeszcze coś z nią zrobić. Nie było jednak powodu, żeby zostawiać na miejscu amunicję, dzięki czemu ich zapas zwiększył się prawie o sto pocisków do dział.

Ku wielkiemu rozczarowaniu Matta S-19 nie miał wcale torped. Gdy opuszczał Surabaję, zostały mu tylko dwie. Poza tym potrzebowali wtedy miejsca dla „ładunku”, więc i tak wielu by nie wzięli, nawet gdyby znaleźli jakieś w magazynach. Te dwie wystrzelili później do japońskiego transportowca, który pojawił się na ich kursie, i nawet trafili, jak twierdził Billy, ale zaraz potem dopadła ich eskorta. Wtedy też zaczęły się ich kłopoty. Od bliskich wybuchów bomb głębinowych popękały akumulatory, a chwilę potem stłuczona żarówka wywołała eksplozję w przedziale akumulatorowym. Przednie pomieszczenia załogi oraz kabina radiowa praktycznie przestały istnieć. Zamknęli włazy przedziału torpedowego, który mieli tylko jeden, na dziobie, oraz centrali, ale sześciu ludzi zginęło w płomieniach albo zatrutych chlorem, który wydzielał się z zalanych morską wodą akumulatorów.

Ich „ładunkiem” było dwadzieścioro dzieci personelu dyplomatycznego oraz ważniejszych dygnitarzy, którym towarzyszyły cztery opiekunki oraz jedna zakonnica. Wszyscy oni przeżyli kilka strasznych godzin, tkwiąc w odciętych przedziałach torpedowych, podczas gdy S-19 leżał na dnie Morza Jawajskiego sto stóp poniżej głębokości, która była dla

niego teoretyczną granicą maksymalnego zanurzenia. Gdy japoński niszczyciel dał im w końcu spokój, udało się uszczelnić częściowo zalane pomieszczenie i wypłynąć po zmroku, żeby przewietrzyć okręt i odpompować wodę. Nadal kierowali się do Fremantle. Aby uniknąć nieprzyjacielskich samolotów, rano ponownie się zanurzyli, chociaż było z tym wiele kłopotu. Krótco potem usłyszeli całą serię eksplozji i szum wielu pracujących śrub. Nie wiedzieli, co się dzieje na górze, ale najprawdopodobniej słyszeli odgłosy towarzyszące walce niszczycieli z krążownikiem *Amagi*. Nie mogli się rozejrzeć spod wody, ponieważ wybuchy bomb głębinowych uszkodziły także peryskop. Zresztą nie minęło wiele czasu, a śruby weszły im na wysokie obroty i musieli wyłączyć silniki. Był to dla nich jedyny widomy efekt przejścia przez szkwał, bo w odróżnieniu od załóg niszczycieli nie doświadczyli żadnych sensacji.

Z załogi liczącej czterdziestu dwóch oficerów i marynarzy zostało tylko dwudziestu sześciu, w tym żadnego oficera. Najstarszy stopniem był pewien chorąży, który miał dość oleju w głowie, żeby przekazać dowodzenie znacznie bardziej doświadczonemu bosmanowi. Reszta zginęła podczas różnych prób lądowania w ostatnim roku i padła ofiarą drapieżców.

Matt mógł sobie tylko wyobrażać, jak tamci musieli się czuć. On i jego ludzie byli w jakiejś mierze świadomi przeniesienia, raczej szybko z grubsza połapali się w sytuacji i nawet znaleźli przyjaciół. Załoga okrętu podwodnego była w znacznie gorszej sytuacji. Samego szkwału praktycznie nie miała szansy zauważyć, zanurzyła się po prostu w jednym świecie i wypłynęła w innym. Pierwszym znakiem, że coś jest nie tak, było dla nich pewnie napotkanie ryby równie wielkiej jak ich okręt. *Walker* nie był wiele większy od S-19, ale siedział wyżej na wodzie i był znacznie szybszy. Człowiek nie miał na nim wrażenia, że pływa razem z rekinami.

- Szanowny panie Flynn - odezwał się Bradford, ocierając czoło rękawem. - Muszę przyznać, że to zaiste straszne przygody. - Spojrzał na jednorękiego. - Ale kimże jest ten pan? I skąd wzięła się ta młoda dama oraz jej niezwykły... przyjaciel? Raz i drugi próbowaliśmy pojmać takiego jaszczura żywcem, ale... - wzruszył ramionami - one po prostu się nie poddają.

Mężczyzna dostrzegł ich zaciekawione spojrzenia. Co dziwne, Flynn też nastawił ucha. Czyżby naprawdę nic o nich nie wiedział?

- Nazywam się O'Casey - odparł w końcu mężczyzna. - Sean O'Casey. - Zastanowił się chwilę, spoglądając na tańczący na kotwicy niszczyciel. - Ta panienka to Becky. Nasz statek się rozbił, a ci... dobrzy ludzie nas wyratowali. Co do jej przyjaciela, to też jakby rozbitek. Znaleźliśmy go na małej wyspie, gdzie nie miał prawa przeżyć. - Mężczyzna mówił głębokim głosem i z takim akcentem, jakby posługiwał się obcym dla niego językiem.

- A my znaleźliśmy ich, jak dryfowali w otwartej łodzi niesionej przez prąd. W drodze z Mindanao do tego miejsca - dodał Flynn. - O'Casey był ledwie żywy. Miał wysoką gorączkę.

Matt położył dłonie na biodrach.

- Wiemy zatem, jak się pan nazywa, panie O'Casey. Ale nie kim pan jest ani skąd przybywa. - Spojrzał na Flynna, który wzruszył ramionami.

- Nie powie, kapitanie. Gdy już wydobrzył, zaczął trzymać się z boku z dziewczynką. Ten... zwierzak okazał się całkiem przyjazny, nawet jeśli strasznie wygląda. Przyniósł więcej zwierzyny, niż sam mógłby zjeść. Dziewczynka nie bawi się nigdy z innymi dziećmi. A O'Casey... małomówny, ale sam o siebie dbał, nawet z jedną ręką, a chwilowo nic więcej się nie liczyło, prawda?

- Wiem, ale teraz to się zmieniło - powiedział Matt. - Teraz muszę coś usłyszeć, zanim wezmę go na mój okręt. - Spojrzał krytycznie na O'Caseya. - Jak dotąd więcej wiem o tym stworzeniu, które wygląda jak nasi wrogowie, niż o panu. Jest pan rozbitkiem z naszego świata?

- Jasne, że nie jest - wtrącił się Adar, w podnieceniu poruszając uszami. - To potomek tamtych bezogoniastych, którzy nauczyli Siska-Ta pradawnego języka, a potem popłynęli za wschodnie morze.

Wyczuwając zawołaną groźbę kapitana Reddy'ego, jednoręki niechętnie skinął głową. Nie przypuszczał, żeby ci Amerykanie zostawili dziewczynkę, ale jego pewnie mogli. Swoją drogą znowu Amerykanie! Co się stało z tym światem, z którego pochodzili jego przodkowie?

- Znam stare opowieści... takie legendy, że nasi praojcowie przybyli z tamtych mórz - powiedział.

- Wiedziałem! - wykrzyknął Adar. - Wiedziałem, gdy tylko zobaczyłem tę małą! Tyle możemy się od was dowiedzieć! Tyle rzeczy, których nie wiemy, które u nas popadły w zapomnienie! Gdzie ostatecznie dotarliście?

- Do pewnych wysp na wschodzie - powiedział mgliście to, czego i tak mogli się domyślać. - Powiem wam, co sam wiem, ale weźcie pod uwagę, że wiem o was tak samo mało jak wy o mnie. Może gdy wyjawicie mi wasze intencje... wtedy będzie łatwiej.

- Jasne postawienie sprawy - stwierdził Matt. - Popłynie pan z nami, ale oczekuję, że powie nam pan coś więcej.

Dostrzegł, że Silva zwrócił głowę w bok. Opiekunki wsiadały właśnie do jednej z łodzi, która zabierała resztę dzieci. Wcześniej porozmawiał z nimi chwilę. Jedna była

Brytyjką, pozostałe Holenderkami. Wszystkie mówiły po angielsku, także zakonnica. Dzieci były w połowie holenderskie i angielskie, jeden chłopiec był Australijczykiem. Dennis zdążył nazwać już najstarszą z opiekunek starą raszplą, pozostałe jednak były młode. Jedna nawet atrakcyjna, przy czym to samo można było powiedzieć o zakonnicy. Mimo niesprzyjających okoliczności zachowała swój habit wraz z osobliwym nakryciem głowy. Z nimi liczba kobiet w znanym świecie się podwoiła, bo dzieci trudno było przecież liczyć, i należało oczekiwać, że nawet „raszplą” będzie się cieszyła powodzeniem, jakiego nigdy dotąd nie zaznała. Matt pokręcił głową. Będzie musiał jeszcze z nimi porozmawiać.

Pierwsza łódź już wracała, przy czym sternik starał się wydusić z silnika jak największą prędkość. Przebił się przez grzywacze, chociaż nie było to łatwe, i jeszcze szybciej skierował się zaraz do plaży. Ledwie dziób wbił się w piasek, z łodzi wyskoczył Clancy z kawałkiem papieru w ręce. Był trochę zielony po tej szalonej przeprawie, ale poza tym dziwnie poważny.

- Kapitanie! Odebraliśmy słabą transmisję otwartym tekstem! Musi pan to zaraz zobaczyć!

Matt zdrętwiał i wziął formularz.

- Przepraszam, panowie - powiedział i odszedł kilka kroków na bok.

TE RUBRYKI WYPEŁNIA DZIAŁ ŁĄCZNOŚCI

CZAS	NR CENTRUM	JAK
WYPEŁNIENIA	ŁĄCZNOŚCI	WYSŁANE
	WIADOMOŚĆ	

(dostarczyć w dwóch egzemplarzach do Dep. Mar. Woj.)

NR DATA

DO

DO KAPITANA REDDY'EGO OD KAPITANA KAUPMANA X JESTEM
JEŃCEM NA JAPOŃSKIM KRAŻOWNIKU AMAGI X MNIEJSZA CZEŚĆ ZAŁOGI
CHCE WSPÓŁPRACY PRZECIWKO GRIKOM X NIE GWARANTUJE POWTARZAM
NIE GWARANTUJE ICH WSPÓLDZIAŁANIA X MUSICIE PRZYSPIESZYĆ ALBO
ODWOŁAĆ MISJE RATUNKOWA WALKERA NA B'MBADOO X GRIKOWIE JUŻ
WYRUSZAJĄ AMAGI PRAWIE GOTOWY DO WYJŚCIA W MORZE I WYPŁYNIE NA
DNIACH X NIE MA JAPOŃSKIEGO ZAGROZENIA Z POWIETRZA X SAM OBS
USZKODZONY PO ATAKU NA BAALKPAN X TO JEDYNA SPOSOBNOSC ZEBY
WAS OSTRZEC X NIE POWTARZAJCIE NIE ODPOWIADAJCIE X PRZEPRASZAM
ZA MAHANA X KONIEC PRZEKAZU

Sygnatura nadawcy

Czas odbioru

Podpis i stopień spisującego

Clancy

- Cholera! - zaklął pod nosem i spojrzął na Silwę. - Proszę powiedzieć porucznikowi McFarlane'owi, że kończymy. Niech wraca następną łodzią na okręt i rozpala trójkę.

- Co jest, skipper?

- Nie mamy ani chwili do stracenia.

*

- Szybciej, do jasnej! - krzyknął Ellis, gdy połowa jego ocalałych marines przemykała przez luźny szyk drugiej połowy. Tuż za nimi słyhać było następującą im na pięty hordeę grików. Walczyli przez cały dzień w palącym słońcu popołudnia. W końcu dotarli do plaży, na której nie było już uchodźców. Czekala tam na nich królowa Maraan i Haakar-Faask oraz grupka gwardzistów. Pete też tam był, zmęczony i brudny jak nieszczęście, bo nie chciał odpłynąć przed Safirą i swoim nowym przyjacielem Faaskiem. Oni zaś uparli się, że opuszczą wyspę ostatni. Idioci! Jim najchętniej ogłuszyłby upartych bohaterów, żeby zanieść ich do łodzi.

Mahan otworzył ogień, mogąc wreszcie rozpoznać, gdzie są swoi, a gdzie wrogowie. Las za plażą zagotował się od eksplozji i natarcie grików straciło impet. Serie z broni maszynowej kompletnie je zastopowały, chociaż kilka oszalałych walką jaszczurów pognało przed siebie, nie zważając na pociski.

- Drugi szereg! - krzyknął Ellis. - Ognia! - Nawała ołowiu zatrzymała najbardziej gorliwe jaszczury, które zasłały ciałami plażę. - Ogień samodzielny! - rozkazał Ellis i palba ponad trzydziestu kragów dołączyła do jazgotu broni niszczyciela. Oficer spojrzął zaś wściekle na tych, którzy czekali na plaży. - Trochę odpowiedzialności! Musimy się stąd wynosić! Dość ludzi zginęło, żebyście mogli zachować się „honorowo”. Wystarczy! - Zwrócił oczy na Safirę. Po raz pierwszy, od kiedy ją znał, wyglądała na naprawdę wyczerpaną. Strój miała podarty, a jej srebrny napierśnik był czerwony od krwi. - Przybyliśmy nie tylko dlatego, że obiecaliśmy nikogo nie zostawić. Chodzi też o to, że jesteś nam potrzebna! - Potem zerknął na Aldena, który krwawił z wielu ran. - Wszyscy do łodzi! Nic nikomu z tego nie przyjdzie, jeśli teraz oberwiecie! - Wskazał na marines ustawiających się przy łodziach. - Nie chodzi tylko o was! Poza tym wojna jest ważniejsza niż ta mała bitwa!

Faask szepnął coś do królowej, która przytaknęła energicznie. Złapała Aldena za zakrwawioną koszulę i pociągnęła go za sobą do łodzi, zostawiając Faaska i kilku prawdziwych wojowników. Ellis spojrzął na starszego generała, który odpowiedział uśmiechem.

- Nie odpłyniesz wcześniej niż ostatni z twoich marines? - spytał Haakar-Faask. Ellis nie odpowiedział i kotowaty się roześmiał. - Ty też jesteś ważny. Gdy już wsiądziecie do łodzi, ktoś będzie musiał trzymać ich na dystans. - Wyciągnął miecz i przyjrzał się wyszczerbionemu, zakrwawionemu ostrzu. - Z tą wojną to prawda. Ale jestem już stary i widziałem koniec mojego świata. Myślę, że ta mała potyczka będzie akurat dla mnie.

*

Jim wspiął się na pokład *Mahana* ostatni. Było mu niewyobrażalnie smutno, ale odczuwał też dumę. Pierwszą ujrzał zapłakaną sierocą królową. Wiedziony impulsem przytulił ją na chwilę. Gdy się odsuwał, patrzyła ku plaży, gdzie setki grików pastwiły się nad leżącymi ciałami. Jeden z nich na chwilę przestał przeżuwać i uniósł nad łeb zakrwawiony strzęp oderwanej nogi.

- Chętnie bym im dołożył - rzucił dowódca działa numer trzy, które znajdowało tuż ponad głową dowódcy.

- Szkoda amunicji - odparł Ellis.

- Skipper! - odezwał się nagle sygnalista, podbiegając do kapitana. - Oko melduje żagle na północy. Bardzo wiele żagli.

*

Dowden, Campeti i inni oficerowie *Walkera* czekali już na Matta, gdy z ostatnią grupą wrócił z plaży. Słońce wisiało nad horyzontem, długi dzień miał się ku końcowi. Gdzieś na wschodzie kłębiły się groźnie chmury, fale zmieniły wygląd. Wszyscy oprócz O'Caseya zasalutowali banderze, ale nie było co marnować czasu na ceremonie. Reszta załogi patrzyła na wchodzących z szeroko otwartymi oczami.

- Chyba wystarczy nam paliwa, chociaż... - ciągnął Spanky, dołączając do Matta, ale nagle przerwał, rozejrzał się wkoło, zaklął pod nosem i zniknął pod pokładem, wołając Laneya.

Matt poszukał spojrzeniem Dowdena.

- Proszę nakreślić najkrótszą i najszybszą trasę na Baalkpan. Przez Tarakan. Proszę też naradzić się ze Spankym i ustalić optymalną prędkość, żebyśmy nie dopłynęli do domu z pustymi bunkrami. Możemy trafić akurat na środek bitwy. Niech Clancy zacznie nadawać „W drodze. *Walker*”. Zwykłym kodem. Może nas usłyszą, chociaż my ich nie słyszymy.

O'Casey rozejrzał się po okręcie, jakby zdziwiła go ta nagła aktywność. Wcześniej poczuł się urażony, gdy odebrano mu jego antyczny muszkiet. Nie chciał go oddać, dopóki Silva i Stites nie ponowili prośby bardziej zdecydowanym tonem. Stites odkrył ponadto jeszcze kilka muszkietów w obozowisku podwodniaków i też je zabrał, kierując się zasadą,

żeby nie zostawiać żadnej broni. O'Casey nie wydawał się wielce zdumiony okrętem, chociaż zaskoczenia nie zdołał ukryć. Zaskoczenia i zapewne zazdrości. Zesztywniał jednak, gdy usłyszał o walce. Silva obserwował go na tyle pilnie, że zauważył tę reakcję.

- Aye, aye, sir - odparł Dowden. - Poza tym, kapitanie, pozwoliłem sobie rozlokować dzieci i ich opiekunki w kwaterach bosmańskich, bosmanów zaś dokwaterowałem wedle starszeństwa do kabin oficerów. Zacząłem też spisywać nazwiska i specjalności załogi S-19. Musimy zobaczyć, kogo mamy, i pomyśleć, gdzie by pasowali. Ostatecznie nie służyli na niszczycielu.

- Oczywiście. - Matt wiedział, kiedy Dowden zaczyna owijać w bawełnę. Wszystko, o czym mówił, należało do jego obowiązków i wcale nie musiał o tym meldować. - Co jeszcze?

- Po prawdzie dwie rzeczy. Po pierwsze, dziewczynka nie chce być z innymi dziećmi. Upiera się, żeby zostać z panem O'Caseyem. Nie chce też zostawić tego cholernego jaszczura, póki nie zajmiemy się nim i nie obiecamy, że nie zrobimy mu krzywdy.

Matt spojrzał na Bradforda, który jeszcze dyszał po wspinaczce na pokład.

- Proszę się tym zająć - odezwał się do niego. - Jest pan naszym ekspertem od anatomii grików. Jamie panu pomoże. - Zamilkł na chwilę. - Silva?

- Skipper?

- Idź z nim. Może to i oswojony zwierzak, ale jeśli chociaż spojrzy krzywo, zaraz go rozwał.

- Aye, aye, sir!

Silva i Bradford zniknęli pod pokładem.

- Dotrzymam im towarzystwa - oznajmił Adar. - Jestem bardzo ciekaw tego „oswojonego” grika, ale jeszcze ciekawsza wydaje mi się dziewczynka.

Matt pokiwał głową.

- Też tak sędzę. Zobaczymy, czego się dowiesz. - Spojrzał ponownie na Dowdena. - Co jeszcze?

- No... ta zakonnica. Powiedziała, że jest wdzięczna za uratowanie, ale chciała z panem porozmawiać. Ma nadzieję... że następnym razem nie będzie pan tak nieuprzejmy.

- Nieuprzejmy?

Dowden wzruszył ramionami i wznosił oczy do nieba.

- Może później. Chack?

- Sir?

- Rusz drużynę i przygotuj się do podniesienia kotwicy. Ruszamy.

- Aye, aye, kap-i-tanie.

Obok niego zostali już tylko Keje oraz oficerowie z Walkera. No i O'Casey, który przyciągnął teraz zainteresowanie Matta.

- Zaraz odpływamy z waszej uroczej wyspy i będę miał sporo roboty. Teraz idę na mostek, jednak gdy tylko znajdę wolną chwilę, oczekuję, że stawi się pan, żeby zapłacić za przejazd. Zadam panu kilka pytań i pan na nie odpowie.

- Dobrze, kapitanie. Ale ja też chcę o coś spytać. Słyszałem, że płyniemy na bitwę. Czy mogę spytać, z kim zamierzacie walczyć?

Ignorując O'Caseya, Matt odwrócił się i ruszył zdecydowanym kokiem w stronę mostka, zmuszając zaskoczone towarzystwo, żeby pogoniło za nim. Pokonując po dwa stopnie naraz, wspiął się na górę poprzedzany własnym krzykiem:

- Nie przerywać sobie! - Stanąwszy przed zaskoczonym wachtowym, oznajmił, że przejmuje okręt, i nakazał przygotować wszystko do wypłynięcia. Potem spojrział jednak na O'Caseya, który zatrzymał się na zejściówce. - Jesteśmy w stanie wojny ze stworzeniami, które wyglądają dokładnie jak zwierzak dziewczynki. Szykują właśnie atak na nasz... nasze domostwa. Zapewne będzie ich kilkaset tysięcy. Pierwsze, czego chcę się dowiedzieć, to skąd wzięliście tego jednego.

*

Silva, Adar i Courtney weszli do odgradzonej zieloną zasłoną mesy. Silva podał karabin maszynowy Stitesowi, który zbierał broń wracającego oddziału. Bosmanowi został tylko pałasz i colt, którego jednak trzymał w dłoni. Jaszczur leżał na stole i pojękiwał, gdy okręt kołysał się na fali, przesuając pacjenta po blacie i tuż pod opuszczoną lampą operacyjną.

Dziewczynka siedziała obok niego i czule głaskała stwora. Wchodzących powitała wrogim spojrzeniem. Jamie Miller, wcześniej farmaceuta, teraz lekarz na *Walkerze*, nerwowo układał instrumenty na tacy.

- Żadnych kłopotów ze straszylem, Jamie? - spytał Silva.

- Nie... ale to grik!

- Zauważyłem. I co z tego? Składałeś chyba przysięgę hipokrytyczną, co? Połataj go i już.

- Hipokratejską - mruknął pod nosem Bradford, podchodząc do stołu. Dziewczynka wstała niepewnie, ale nie odstępowała przyjaciela, jakby chciała go bronić. - Nie skrzywdzimy go, dziecko. Zapewniam cię. Musisz zrozumieć, że mało kto widział z bliska te stworzenia, nie stając się ich kolacją. - Dziewczynka podskoczyła, gdy z dziobu dobiegł łomot wciąganego łańcucha. - Spokojnie. Nie ma się czego bać. To normalny odgłos. Usiądź proszę,

zanim upadniesz i coś sobie zrobisz. My jesteśmy już starymi wilkami morskimi i przywykliśmy do kołysania.

Silva prychnął podejrzenie.

- Mówisz, że on nazywa się Lawrence? - spytał Bradford, ignorując bosmana.

Dziewczynka pokiwała głową.

- Tak go nazwałam.

- A ty jesteś Becky? Ładne imię. Miło mi cię poznać.

Niebawem okręt ożył pod ich stopami, ale dokuczliwe kołysanie stało się łatwiejsze do zniesienia, gdy *Walker* nabrał prędkości. Becky w końcu usiadła, ale nie przestała wpatrywać się w Silvę.

- Nie chcę, żeby ten zły człowiek przebywał blisko mojego przyjaciela - powiedziała. - Jeśli Lawrence ma umrzeć, to nie w obecności swojego mordercy.

- Ejże, mała - zaprotestował Silva.

- Nie nazywam się „mała”.

- Spokojnie, dziecko - odezwał się Bradford. - Pan Silva nie może wyjść, takie ma rozkazy. Poza tym on nie chciał zranić twojego przyjaciela. To było straszne nieporozumienie!

- Ale zranił. I „dziecko” też się nie nazywam.

- Oczywiście, kochana, przepraszam. - Bradford zerknął na rannego grika. - Myślę, że twój przyjaciel dojdzie do siebie. Rana jest bolesna, ale nie fatalna, o ile dobrze pamiętam anatomię. Kula przeszła gładko przez lewy mięsień piersiowy, z lewa na prawo, i jeśli nam pozwolisz, pan Miller opatrzy ranę i posmaruje ją maścią, która powinna przyspieszyć gojenie i zapobiec infekcji. Złagodzi też ból. Czy może zaczynać?

Becky westchnęła.

- Oczywiście, ale niech się pospieszy!

Jamie podszedł niepewnie do jaszczura z antyseptyczną maścią nałożoną na drewnianą szpatułkę. Stworzenie zdawało się rozumieć ich rozmowę, podobnie jak i intencje Jamiego, i leżało spokojnie, czekając na lekarstwo. Jamie przełknął ciężko i zrobił użytek z maści. Po kilku chwilach pacjent odprężył się wyraźnie i westchnął z ulgą.

- Lepiej się czujesz, kochany? - spytała dziewczynka.

- Lepiej. Dziękuję.

- Proszę, proszę... - mruknął Silva, dziwnie poruszony. Jego świat ponownie wywrócił się na nice. Oto był grik, przedstawiciel gatunku tak straszego, że trudno to było pojąć, a jednak leżał łagodny niczym baranek, a mała dziewczynka gładziła go po głowie. Co więcej,

nie tylko rozumiał, co się do niego mówi, ale i sam przemawiał. Uprzejmie na dodatek! Bosman podrapał się w brodę i zerknął wkoło. - Przepraszam, że do ciebie strzeliłem. Widać są dobrzy i źli grikowie. Tak jak dobrzy ludzie i Japońce.

- Ja nie grik - odparła istota trochę sennym głosem, co było skutkiem ubocznym działania maści. - Ja Tagranesi. Z wysp na wschód południe. Zgubiony. Jak Ecky. - Zatrzepotał powiekami. - Źle ty strzelić.

- Teraz będzie spał - zapewnił Bradford dziewczynkę. - Tymczasem pan Miller zszyje mu ranę.

- Może lepiej poczekam, aż naprawdę zaśnie - odezwał się Jamie. - Wolałbym go nie drażnić.

Bradford spojrzał na niego krytycznie.

- On jest nieszkodliwy.

- Tego bym nie powiedział - mruknął Silva i zastanowił się chwilę. Potem schował pistolet i zapiął kaburę. - Ale może nie jest niebezpieczny, jeśli wiecie, o czym myślę. - Spojrzał ponownie na dziewczynkę. - Ciebie też przepraszam. Nigdy bym nie pomyślał, że to możliwe. Chcesz coś zjeść?

Becky zmierzyła go spojrzeniem, ale tym razem bez przekonania. Potem rozejrzała się zdezorientowana.

- Chyba... tak. Tak, dziękuję... panie Silva.

Wezwany na pomoc Juan przyniósł tacę kanapek i skłonił się uprzejmie.

- To wielka przyjemność gościć na naszym szarym okręcie taką piękność! Dawno nie zdarzyło się nam nic tak miłego! - powiedział i zmierzył dziewczynkę spojrzeniem. - Poszukam jakiegoś ubrania, które byłoby stosowniejsze dla ciebie niż te łachmany.

Becky zamarła z parującą kanapką w ręku.

- Dziękuję. Jest pan bardzo miły.

- *De nada* - powiedział Juan i zniknął.

- To było po hiszpańsku? - spytała zdumiona dziewczynka.

- W zasadzie - odparł zaskoczony Silva. Jeśli ona była z tamtych dawnych bezogoniastych, to jakim cudem rozpoznała hiszpański? - Juan to Filipińczyk. Wiesz, kim oni są? - Becky nie odpowiedziała, zajęta już jedzeniem. Wszyscy byli głodni i szybko opróżnili tacę.

- Moja kochana... - zaczął Adar.

- Młoda damo... - przerwał mu Bradford.

- Chwila! - odezwał się Silva. - Bez przesady. Dopiero co zjadła. Dajcie jej trochę

czasu. - Spojrzał prosto w jasne oczy dziewczynki. - Jesteś zmęczona?

- Niespecjalnie. - Spojrzała w bulaj, za którym gasło już światło dnia. - Chociaż pewnie powinnam. O tej porze zwykle barykadowaliśmy obóz na noc.

- Hm - mruknął Silva. Życie na wyspie pewnie było niełatwe. Musieli ciągle walczyć z drapieżnikami, tak biegającymi po ziemi, jak i skaczącymi z drzew. Za dnia nie widzieli nic groźnego, ale Flynn opisał im kilka szczególnie dokuczliwych gatunków, które zwykły atakować nocą. Szybko nauczyli się trzymać otwartej przestrzeni. - Dzisiaj nie musisz, laleczko. Jesteś tu bezpieczna. A może masz ochotę na wieczorny spacer? Oprowadzę cię po okręcie. - Spojrzał na Adara i mrugnął porozumiewawczo.

- Nie powinnam... Pan O'Casey...

- Pan O'Casey będzie zajęty rozmową z kapitanem i kto wie, o której skończą.

Dziewczynka wstała i spojrzawszy raz jeszcze na śpiącego przyjaciela, pokiwała głową.

- Dobrze zatem, o ile to nie kłopot. Muszę przyznać, że wasz okręt coraz bardziej mnie ciekawi. - Przerwała na chwilę. - Muszę też przyznać, że źle pana oceniłam, panie Silva. Wciąż pana nie lubię, ale może z czasem mi się odmieni. Przepraszam, że pana zaatakowałam.

- I dobrze zrobiłaś - stwierdził Silva, też zerkając na jej przyjaciela. - Gdyby nie to, pewnie bym go zabił.

- No właśnie. Chodźmy zatem. Niech pan prowadzi.

Wyszli, zostawiając zgromadzonych w mesie z twarzami rybek akwariowych.

Gdy znaleźli się na pokładzie, Silva zaczął opisywać Becky różne elementy okrętu, jak mostek, kominy, nadbudówka na śródkręciu. Zauważył, że jest szczególnie zainteresowana czterocalówkami. Zwłaszcza gwintowaniem lufy.

- Do czego służą te wycięcia wewnątrz? - zapytała. - Widziałam wiele dział, ale nigdy takiego.

Silva zamrugał, zawahał się, po czym się roześmiał.

- Powodują, że pocisk się obraca. Leci wtedy bardziej stabilnie.

- Aha.

Powiedziała to tak, jakby chodziło o kwestię, która od dawna ją intrygowała. Najpewniej widziała już wcześniej działo na okręcie podwodnym. Nie spytała nigdy o nie podwodniaków? Może i nie, zapewne O'Casey jej zabronił. Flynn powiadał, że nigdy nie bawiła się z innymi dziećmi. Silva pomyślał, że mimo bliskości O'Caseya musiała być bardzo samotna. Przeszli pod platformą i obok kuchni, w której Lanier głośno krytykował talenty

swoich pomocników. Gdy stanęli między wyrzutniami torpedowymi, dziewczynka po raz pierwszy zwróciła uwagę na morze.

- Mój Boże! - wykrzyknęła. - Ale prędkość! Jak szybko może płynąć ten statek?

- Ze dwa razy szybciej niż teraz. A ile ty masz lat?

Becky nie odrywała spojrzenia od mijanych fal.

- Wkrótce skończę dziesięć.

- Wspaniale. Wyglądasz na sześć, a zachowujesz się, jakbyś miała dwadzieścia. - Powiedział to takim tonem, że nie poczuła się urażona. - Cały rok spędziłaś na tej wyspie z podwodniakami?

- Tak. Znaleźli nas na morzu po tym, jak lewiatan zniszczył nasz statek. To było straszne.

- Jeśli lewiatan to jest to, o czym myślę, to wiem, o czym mówisz - stwierdził Silva. - Mnie też kiedyś wystraszył taki olbrzym.

Spojrzała na niego z ukosa.

- Nie wyobrażam sobie, że mógłbyś się czegoś bać.

- Hm. Może trochę jednak. Ale w końcu zatopiłem drania!

Zachichotała. Był to u niej tak niezwykle odgłos, że Silwę na chwilę zatkało.

- Niemożliwe! Ale z ciebie kłamca! - zawołała. - Poza tym prosiłam cię, żebyś panował nad swoim językiem.

- A jednak! - uparł się Dennis, odganiając od siebie dziwne niemęskie odczucia. - Działem numer cztery. Trafiłem go prosto w podniebienie. Jasne, bomby głębinowe też mogły się do tego przyczynić, ale to już inna sprawa. A co do reszty, to sama nazwałaś mnie niedawno draniem, więc pomyślałem, że na tyle mogę sobie pozwolić.

Znów zachichotała, ale uniosła dłoń do ust.

- Przepraszam. Co powiedziałaby na to mistrz Kearley? - dodała ze smutkiem. - Biedak. Wiedział, że sam nie ma szans, ale mnie uratował. Podobnie jak pan O'Casey.

- Mistrz Kearley?

- Mój nauczyciel. Nie przeżył katastrofy.

- Jak długo potem dryfowaliście?

- Trochę ponad cztery tygodnie. Nie jestem pewna. Mieliśmy mnóstwo zapasów, bo siedzieliśmy we dwoje w łodzi na dwadzieścia osób. Ale i tak było strasznie. W wodach na wschodzie nie ma wielu srebrnych ryb, ale żyją inne paskudne stworzenia. - Wzdrygnęła się.

Silva sięgnął do kieszeni po kapciuch i wyjął z niego płat sprasowanych żółtobrazowych liści. Odłamał kawałek i wpakował go do ust, żuł go tak długo, aż zbił

się w kulę pod policzkiem. Widząc, że Becky śledzi każdy jego ruch, uprzejmie podsunął jej kapciuch.

- Żujesz? - Pokręciła głową, chociaż wyraźnie była zainteresowana. - Jak chcesz. - Silva zaciągnął sznurek kapciucha i schował go do kieszeni. - A skąd wzięliście Lawrence'a? Flynn mówił, że był z wami w łodzi.

- Był. Znaleźliśmy go na wyspie, do której dobiliśmy po jedzenie i wodę. Leżała bliżej... łądów, gdzie nasi mogliby nas szukać. Wody ani jedzenia nie znaleźliśmy, ale zobaczyliśmy jego. Był tam od kilku dni i miał tylko małe, wydłubane w drewnie czółno. I nie wiedział, dokąd płynąć. Znamy te istoty, spotykamy je czasem na małych wysepkach na południowy wschód od mojego domu. Ale sama żadnej wcześniej nie widziałam!

- Są pokojowo nastawione? - spytał zdumiony Silva.

- Chyba tak.

- Niezwykle. A gdzie leży twój dom? - zaryzykował Dennis.

Dziewczynka chciała już odpowiedzieć, ale się pohamowała.

- Przesłuchujesz mnie? - spytała.

- Aha.

Stanąła z rękami na biodrach i podniosła na niego wzrok i głos:

- To bardzo nieuprzejme! Dżentelmen nigdy tak się nie narzuca... młodej damie!

Silva wzruszył ramionami i uśmiechnął się krzywo.

- Nie jestem dżentelmenem, laleczko. Poza tym kto tak twierdzi?

- No... to jedna z zasad. Zasad cywilizowanych ludzi.

- Szczurów lądowych.

- Nie tylko!

- Bo wiesz, są jeszcze inne zasady. Prawa morza. Gdy ktoś wyratuje rozbitka, na morzu czy na wyspie, może go pytać, o co tylko chce.

- Naprawdę? - spytała powątpiewająco Becky.

- Aha.

- I trzeba odpowiadać na takie pytania?

Silva zaśmiał się głośno, przyciągając uwagę pracujących w pobliżu.

- Nie zawsze, laleczko, ale tak jest uprzejmie.

- Czy ty też musisz odpowiadać na moje pytania?

- Nie, ale odpowiem. Na kilka już odpowiedziałem.

Wskazała na Chacka, który nadzorował rozkładanie osłon nad świetlikami kotłowni.

Silva spodziewał się rychłego sztormu, a skipper widocznie podzielał jego zdanie.

- Co to za stworzenia? - spytała Becky.

- Koty. Kocie mały albo małe koty. Bradford nazywa je lemurami i pewnie ma rację, ale dla większości to po prostu koty czy kotowaci. Oni sami mówią o sobie inaczej, nie pamiętam w tej chwili jak, ale to słowo znaczy tyle co „ludzie”. Dobrzy są. Bardzo w porządku. Bystrzy i silni. Adar - ten, który był w mesie - oraz Keje to pewnie najmądrzejsi ludzie, jakich znam. Oni i skipper.

- Skipper?

- Dla małych dziewczynek kapitan Reddy.

- On właśnie wspominał o walce, a kilka razy widziałam, jak wasi ludzie bali się biednego Lawrence'a. A ty do niego strzeleś!

O co w tym chodzi? - Wydawała się naprawdę zaciekawiona, więc Silva opowiedział jej. Nie przywykł do rozmów z dziećmi, zwłaszcza takimi, które zachowywały się jak dorośli, nie próbował więc łagodzić opowieści. Gdy skończył, dziewczynka patrzyła w spienioną wodę za rufą, dokąd zaszli przez ten czas. Stała teraz oparta o reling. - Walczycie zatem o wolność i przetrwanie innych, chociaż moglibyście odpłynąć, gdybyście chcieli?

Silva splunął żółtą flegmą za burtę, aż dziewczynka się wzdrygnęła.

- Owszem, ale gdzie mielibyśmy popłynąć?

- Moglibyście... - Przerwała i pokręciła głową. - Nie, to by nic nie zmieniło. Tego też byście nie zrobili. Przystąpiliście do szlachetnej walki. Świętej wojny. Wojny z absolutnym złem. Mój ojciec chyba by to pochwalił - dodała cicho. - Pewnie by wam nawet zazdrościł. - Nagle o czymś pomyślała. - Lawrence będzie bardzo smutny, gdy się dowie, że inni jego rodzaju mogą tak postępować.

- Bywa. Są też tacy, całkiem jak my, którzy pomagają grikom. Niejacy Japońce na wielkim okręcie. Wszyscy oni chętnie żywcem by nas pożarli, całkiem jak lewiatan.

- Ale i tak zostajecie?

Silva wzruszył ramionami.

- Straciłem przez nich wszystkich przyjaciół. Może dla kogoś to szlachetna wojna, ale dla mnie, i pewnie dla skippera, to zemsta. - Nie posiadał się ze zdumienia, gdy nagle poczuł w swojej wielkiej łapie małą dłoń dziewczynki.

- Teraz masz nowego przyjaciela, panie Silva, chociaż nieokrzęsana bestia z ciebie. Już nie jest tak, że cię nie lubię. Ale mam jeszcze jedno pytanie.

- Wal.

- Dlaczego nazywasz mnie lalczką?

Silva milczał, obserwując błyskawice pojawiające się po lewej burcie. Po chwili

westchnął.

- Nie chcesz, żeby mówić na ciebie „mała” czy „dziecko”, a nie wyglądasz mi na Becky. - Wzruszył ramionami. - Wyglądasz jak lalka. Krucha porcelanowa laleczka. Brudna, z pozlepianymi włosami i w łachmanach, tak że potrzebujesz porządnego szorowania, ale pod spodem jesteś piękną laleczką. - Odchrząknął i pokręcił głową. - Ale póki jesteś brudna, może chcesz obejrzeć maszynownię?

*

Silva zszedł później do mesy, żeby złożyć meldunek. Stał nieruchomo, jakby w ogóle nie zauważał rozkołysanego pokładu, i pewnie rzeczywiście tak było. Okręt szedł przez grzywacze morza Celebes z prędkością dwudziestu dwóch węzłów, a sztorm, który podchodził ich od kilku dni, szalał w najlepsze. W pewnym sensie był darem bożym, ponieważ olbrzymich ryb nie kusiło, żeby wygrzewać się na słończku, reszta zaś pierzchała przed sygnałami sonaru. Gdyby któraś mimo to chciała ich ścigać, szli dość szybko, żeby jej umknąć.

Z oficerów byli wszyscy poza Campetim, który trzymał wachtę. Flynn i jego oficjalny przełożony, chorąży Laumer, siedzieli obok kapitana. Adar, Keje, Bradford i Chuck dołączyli z kilkoma marines. Silva czuł się niezręcznie w centrum ich uwagi, niełatwo też było mu relacjonować rozmowę z dziewczynką, która przecież mu zaufała. Jednak mimo jej prób ukrycia wielu rzeczy zebrał sporo informacji. Kapitan bardzo ich potrzebował.

- Wiedzieliśmy już, że ich statek został zatopiony przez gigarybę i oni jedni ocaleli. Dziewczynka miała nauczyciela, Curly’ego jakoś tam, któremu się nie udało. Domyślam się więc, że jest nie byle kim. Sądzę tak również po tym, jak nam się przedstawia. Moim zdaniem „Becky” do niej nie pasuje. Może to przewisko albo zdrobnienie, ale zwykle chyba go nie używała.

- Też odniosłem takie wrażenie - mruknął Matt. - Proszę kontynuować.

- Tak, sir. Powiedziała, że dryfowali z prądem przez cztery albo pięć tygodni. Przez głęboką wodę na wschód. Potem trafili na wyspę blisko ich szlaków żeglugowych. Chcieli z niej odpłynąć, bo nie było tam wody ani jedzenia, ale natknęli się na tego jaszczura. Nigdy wcześniej takiego nie widziała, ale słyszała o nich. Powiedziała, że żyją na wyspach na południowy wschód od jej ojczyzny i że jej ludzie miewali już z nimi do czynienia. Uważa też za całkiem normalne, że zachowują się one przyjaźnie. Powiedziała, że jej przyjacielowi będzie smutno, gdy dowie się o dzikości grików.

- Dobry Boże! - zawołał Bradford. - Jeśli na tej wyspie nie było wody ani jedzenia, to skąd to stworzenie tam się wzięło? I jak przeżyło?

- Też było rozbitkiem. Miało tylko małą dżubankę.

Adar i Keje spojrzeli po sobie.

- Czymś takim na morze! - wykrzyknął Bradford. - Ale to wiele wyjaśnia. Często zastanawiałem się, jakim sposobem prymitywni grikowie przedostają się z jednej wyspy na drugą, chociaż żadne inne stworzenia tego nie robią. Uważnie przyjrzałem się naszemu gościowi, gdy spał, i chociaż bez wątpienia należy do tego samego gatunku co nasi wrogowie, jest przedstawicielem całkiem innej rasy. Tak odmiennej od grików jak Europejczycy od mieszkańców Polinezji! Może jego rasa przeszła inną ewolucję społeczną i stała się mniej agresywna. Nie mogę się doczekać, aż z nim porozmawiam.

Silva wzruszył ramionami.

- Może - przyznał. - A z czasem dorobimy się 1. kompanii cętkowanych jaszczurów.

Matt spojrział na niego krzywo, a Adar zamruął z dezaprobatą.

- Panie Silva...

- A, tak. Dowiedziałem się też trochę o jej podejściu do techniki. Mówi, że ma tylko dziesięć lat, ale bardzo ją zainteresowały nasze działa i maszyny. Nie zdumiała, bo ewidentnie wie, czym są i do czego służą, ale była zaskoczona ich możliwościami.

Matt pokiwał głową.

- To samo dostrzegam u O'Caseya, chociaż zebrał pan więcej informacji niż ja. Jak to się panu udało?

Dennis uśmiechnął się szeroko.

- Ona jest dzieckiem, skipper. Ja też, chociaż dużym.

Matt upił kawy i potarł brodę.

- Całkiem sporo się dowiedzieliśmy - stwierdził. - Zarówno z tego, co nam powiedzieli, jak i wszystkiego, czego nie chcieli powiedzieć. Ewidentnie nie chcą nam zdradzić, skąd są. Nie wiem, czy to zwykła ostrożność, czy jakaś paranoja kulturowa. - Zastanowił się. - Ale na pewno są ze wschodu. Adar podejrzewał to od chwili, gdy zobaczył dziewczynkę i usłyszeliśmy, że nie było ich od początku na okręcie. Teraz mamy pewność. To potomkowie tamtych ludzi, którzy przybyli tutaj przed nami. Patrząc na mapę, pewnie uda się ustalić, gdzie obecnie zamieszkują. Znają broń palną, sami widzieliśmy muszkiety, chociaż według pana Bradforda nie unowocześnili ich od czasów Kompanii Wschodnioindyjskiej. Dziewczynka mówi, że mają też artylerię, nawet jeśli jest na podobnym poziomie co broń strzelecka. To nam coś mówi. Najpewniej przez cały ten czas nie mieli powodu doskonalić swego uzbrojenia. W naszej historii broń odprzodowa królowała przez jakieś dwieście pięćdziesiąt lat, aż doszła do takiego miejsca rozwoju, że nie dało się z nią

zrobić nic więcej. Tylko wojny z dobrze uzbrojonym przeciwnikiem są wystarczającym bodźcem, żeby samemu skłaniać się ku innowacjom. U nas było tak przez ostatnie stulecie. Gdziekolwiek zatem żyją, muszą czuć się tam bezpiecznie. I nie ma tam pewnie groźnych zwierząt. Muszą też znać napęd parowy. Jak wspomniał Silva, byli zdumieni prędkością *Walkera*, ale nie tym, że porusza się bez żagli.

Postukał palcami w blat stołu, na którym jeszcze niedawno leżał jaszczur.

- Same tajemnice, które aż kuszą, żeby je rozwiązać. Ale dobrze wiedzieć, że są na tym świecie jeszcze inni ludzie. Obecnie jednak mamy pilniejsze sprawy. - Rozłożył blankiet z wiadomością, który dostał od Clancy'ego, i przeczytał ją na głos. Wszyscy już ją znali, ale trzeba było omówić kilka spraw na świeżo. Cisnąwszy kartkę na stół, powiedział: - Nie mam innego wyboru, jak tylko uwierzyć, że jest prawdziwa. Końcowe przeprosiny Kaufmana też są pewnie szczere, chociaż poza tym mają nas przekonać, że to naprawdę on.

- Ale skąd, u diabła... Jak uzyskał dostęp do radiostacji? - spytał Spanky.

- Dzięki „malkontentom” - odpowiedział Dowden. - Zapewnie nie było to trudne. Ostatecznie niezbyt mają z kim gadać. Pewnie tylko podsłuchują, co my mówimy.

- Ale reszta? - spytał zdecydowanie Adar. - On nas ostrzega! Ostrzega, że nieprzyjaciel się ruszył, i musimy zakończyć albo odwołać misję ratunkową. Skąd może o niej wiedzieć?

- To proste - mruknął Matt. - On nie ma nas na myśli. A raczej wydaje mu się tylko, że mówi o nas. *Mahan* jest teraz łudząco podobny do *Walkera*. Z jakiegoś powodu Jim ruszył nim pod B'mbaado.

Wszyscy oprócz podwodniaków wiedzieli, że było to wbrew wyraźnym rozkazom Matta. Wszyscy także rozumieli, że Ellis musiał tak postąpić z jakiegoś bardzo ważnego powodu.

- Czuję, że coś jest źle, odkąd straciliśmy łączność. Czuję przez skórę - przyznał Matt. - Ten atak, o którymś mówi, musiał wyłączyć radiostację. - Przetarł oczy. - Cholera! Powinniśmy ruszyć z powrotem już dwa tygodnie temu! - Spojrzał na Flynna i Laumera i uśmiechnął się krzywo. - Przykro mi. Obawiam się, że wcale wam nie pomogliśmy, zabierając was z tej wyspy.

- Nie rozumiem, kapitanie - powiedział Laumer. Szczupły chorąży był bardzo młody, szkołę podwodniaków skończył pewnie tuż przed wojną. Jako najstarszy stopniem na pokładzie S-19 wykazał się jednak dużą dojrzałością, przekazując dowodzenie komuś bardziej doświadczonemu. Nie był tchórzem i Flynn nadal odnosił się do niego z szacunkiem, chociaż sam podejmował decyzje. Matt przypuszczał, że Laumer może wyrosnąć na bardzo dobrego oficera.

- Pewnie ciągniemy was ze sobą z deszczu pod rynnę - westchnął Matt.

Widząc niezrozumienie w oczach chorążego, załoganci *Walkera* pospieszyli z wyjaśnieniami.

*

Sztorm był paskudny i dawał im w kość przez całą noc, chociaż tylko lekko ich zahaczył. Nad ranem najgorsze już minęło, a żywioł przetoczył się nad północną część Celebesu. Buras znowu chorowała, ale tym razem jakoś się trzymała. Większość dotychczasowego życia spędziła na pokładzie *Salissy*, gdzie żadne kołysanie nie dawało się poważnie we znaki. Pierwszy raz poczuła, jak to może być, dopiero na *Walkerze* podczas strakki. Całkiem ją to wtedy obezwładniło. Potem nauczyła się morskiego chodu, jak określał to Gilbert. Zadrżała tylko, słysząc, co by było, gdyby wichura uderzyła na nich z pełną mocą.

Niebo było ciągle szare, a morze spienione, gdy poszła z Gilbertem na śniadanie. Lanier oczywiście zaczął narzekać na palaczy zjawiających się „o dziwnych porach, gdy akurat im przyjdzie ochota”, ale nie zwrócili na niego uwagi. Żarcie i tak było znośne, jako że Lanier był w dobrym humorze. Maszyna do coli przetrzymała sztorm i chociaż dziwnie grzechotała, posłusznie chłodziła zamknięte w niej powietrze. Buras wciąż nie rozumiała, po co tyle hałasu wokół byle szafy, ale kojarzyła, że gdy humorzasty kuk ma dobry nastrój, jedzenie jest bardziej strawne.

Wzięli kanapki z jajkiem i przysiedli pod platformą działową, żeby się schronić przed mżawką, po czym rozejrzeli się wkoło. Coś przyciągało uwagę części załogi zgromadzonej bliżej dziobu, tuż pod mostkiem. Przeszli tam i osłupieli, widząc tygrysio pasiastego grika leżącego na materacu. Otaczał go wianuszek ludzi i kotowatych. Byli wśród nich Bradford, Silva, a nawet Adar. Oraz gromadka małych dzieci.

- Na święty dym! - mruknął Gilbert. - Grik!

- Jest oswojony - odezwał się Stites, który akurat usłyszał palacza. - Nie wiedziałeś, że mamy go na pokładzie?

- Nie. Pracowaliśmy. Skąd wzięła się ta cała menażeria?

Stites zmierzył go spojrzeniem.

- Powinieneś częściej wychodzić na górę.

- Staram się - powiedział Gilbert niemal przepraszająco.

Stites wzruszył ramionami.

- I jego, i dzieciaki zabraliśmy z wyspy Talaud. Tkwili tam razem z podwodniakami. Jest też kilka kobiet, ale jeszcze się nie pokazały. Poza zakonnicą, która podobno poluje na skippera.

- Nie do wiary. - Gilbert podrapał się po ucho i wskazał na „grika”. - Bradford będzie go kroił?

Stites wybuchnął śmiechem.

- Nie, do diabła! Ten jest przyjazny i miły jak szczeniaczek. Nasz Aussie właśnie z nim rozmawia. Normalnie, jak z człowiekiem. Silva go wcześniej postrzelił i jest jeszcze w kiepskiej formie, ale słowo daję, że chwilami można nawet zrozumieć, co mówi. Ma akcent jak ta hołota z Georgii - dodał, wyraźnie pijąc do Gilberta.

- Ja nie jestem z Georgii, cholerny Jankesie! - rzucił spostonowany palacz.

Stites znowu wzruszył ramionami.

- Wszyscy z kotłowni gadają tak samo - stwierdził.

- A Spanky? Jego chyba rozumiesz.

- On nie jest z Georgii.

Gilbert pokręcił głową. Jego zdaniem to ci z pokładu dziwnie gadali. Zawsze wtrącali jakieś morskie archaizmy. Zdecydowanie wolał się trzymać terminologii technicznej.

- Laney jest palaczem i każdy go rozumie - odezwała się Buras, ale też zwróciła uwagę na odbywającą się obok nich dyskusję.

- Na południe od miejsca, gdzie słońce stoi nad głową - powiedział Bradford. - Niezwykłe! Potrafiłbyś pokazać swoją wyspę na mapie?

- Co to mapa? - spytało stworzenie.

- Hm. Mapa to takie przedstawienie świata. Pokazuje, gdzie są różne miejsca. - Jaszczur wciąż nie rozumiał. - Mniejsza z tym, jestem pewien, że jeszcze sobie to wyjaśnimy. Ale powiedz mi, dlaczego wybrałeś się na ocean w takiej małej łódce?

- Dorosłem. Stałem się dorosły. Pora opuścić gniazdo. Pokazać dorosłość.

- Obrzęd przejścia? Stawienie czoła niebezpieczeństwom świata, by dowieść, że nie jest się już dzieckiem?

- Tak chyba. Żeby móc... - Stwór przerwał, szukając słowa. Bradford przekonał się już, że słownik jaszczura nie jest wcale ubogi, ale budowa paszczy nie pozwalała mu swobodnie wypowiadać wielu ludzkich słów. - Żeby zyskać prawo...

- Do związku? - podpowiedział Australijczyk.

- Tak! Okazać siłę, odwagę i wrócić. - Opuścił głowę. - Ale ja już nie wrócę.

- Nie smuć się. Może i wrócisz. Ta przekłeta wojna nie będzie trwała wiecznie.

- Może ja wyjaśnię - odezwała się Becky, patrząc krytycznie na Bradforda. - Słucham waszej rozmowy i ciarki mnie przechodzą. Znam go znacznie dłużej i miałam czas go poznać.

- Zerknęła na zgromadzonych, zwłaszcza na pozostałe dzieci. - Pan Silva powiedział mi, że

uratowany powinien odpowiadać na pytania, ale czy musi robić to w obecności tylu postronnych osób? - Jedna z dziewczynek usiadła prosto i parsknęła. Becky spojrziała na nią ostro. - Ty zawsze miałaś go za potwora! Nie musi się spowiadać przy tobie!

- Ale ja nie! Dla mnie jest fascynujący! - odezwał się brudny chłopiec, mówiący z akcentem typowym dla angielskiej klasy wyższej.

Becky nagrodziła go uśmiechem.

- Zawsze się czepiasz - pisnęła urażona dziewczynka i wszystkie dzieci, poza chłopcem, zgodziły się z tym głośno.

- Dzieciaki! - przerwał im Bradford i zwrócił się do Silvy. - Załoga na pewno ma swoje obowiązki. Może dzieciarni już wystarczy świeżego powietrza?

- Jak nic - poparł go Dennis. - Zmykajcie stąd, zanim ktoś znajdzie dla was robotę. Stites zaprowadzi was z powrotem pod pokład.

- Ale tam cuchnie! - zaprotestowała jedna z holenderskich dziewczynek.

- Od smrodu jeszcze nikt nie umarł - oznajmił Stites.

Narzekając i biadoląc, dzieciaki zniknęły w zejściówce.

Reszta gapiów oddaliła się z wolna.

- Czy możemy zostać, Dennis? Panie Bradford? - spytał Gilbert.

Becky obejrzała się na nich i zaraz ponownie odwróciła głowę, jakby nie wierzyła własnym oczom.

- Wielkie nieba, to dziewczyna! - zawołała, patrząc na Buras.

Silva zaśmiał się i dziewczynka zgromiła go spojrzeniem.

Zaskoczony Gilbert też obejrzał się na kotowatą. Miała na sobie koszulkę, tyle że całkiem moką.

- No tak.

- Na okręcie jest ich całkiem sporo, kochana - powiedział Bradford. - Nasi sprzymierzeńcy mają własne zwyczaje. Nie ma w tym nic zdrożnego.

- Zdrożnego? - spytała Becky i pokręciła głową. - Zaiste niezwykle. Już wcześniej widziałam ich kilka ubranych tylko w spódniczki, ale myślałam, że mi się wydawało.

- Czy możemy zostać? - powtórzył Gilbert. - Byliśmy cały czas w kotłowni i w ogóle was jeszcze nie widzieliśmy.

- Jasne - mruknęła Becky. Nadal zerkała na Buras i co chwila kręciła głową. - Ale wracając do rzeczy. Z tego, co wiem, gdy rodacy Lawrence'a wylęgają się z jaj, są całkiem dzicy. Krążą luzem po wyspie w pobliżu osad, aż dorosną. Niekoniecznie wiekiem, ale poziomem samoświadomości. Wtedy są wprowadzani do społeczności i uczeni, ale nadal

prawie nikt ich nie pilnuje. Tyle tylko, żeby nie wrócili do dzikości. Gdy osiągną pełnię samoświadomości, nauka staje się bardziej intensywna, aż w końcu stają przed całą społecznością, która ich ocenia. Udowadniają, że potrafią myśleć i używać narzędzi, budując własną łódź, w której muszą dopłynąć do jakiejś dalekiej wyspy, gdzie przechodzą ostatni sprawdzian rozsądku i odwagi. Potem jeszcze muszą wrócić. Biedny Lawrence przeszedł test, ale sztorm zaniósł go daleko od domu. Gdy go znaleźliśmy, konał z głodu i pragnienia.

- Co to za ostatni sprawdzian? - zainteresował się Courtney.

- Nie chce o nim mówić. Można rozmawiać o nim tylko z tymi, którzy również go przeszli.

- Rozumiem. Fascynujące... i wiele o nich mówi. Ale mam jeszcze kilka pytań. Jego gatunek należy, bez wątpienia, do drapieżników. Rozumiem więc, że polują?

Becky obejrzała się na Lawrence'a.

- Oczywiście - odparł jaszczur.

Bradford zamrugał.

- Proszę, wybaczyć mi. Zacząłem mówić o tobie tak, jakby w ogóle cię tu nie było.

- Nic się nie stało - zapewnił go Lawrence. - Ecky?

Dziewczynka zmarszczyła czoło.

- Tak, jasne. Jak pan wspomniał, to drapieżniki. Polują, ale trzymają też zwierzęta hodowlane, chociaż nigdy nie rozmawialiśmy o tym jakie.

- Fascynujące! - ucieszył się Bradford. - A czy opisał, jak polują?

Becky nie wyglądała na zachwyconą kierunkiem, w którym podąża rozmowa.

- O ile kojarzę, nie wie wiele na temat podziału pracy w ich społeczności. Musi pan pamiętać, że nie stał się jeszcze jej pełnoprawnym członkiem. Ale wszystko wskazuje na to, że dzieli się ona na kasty czy inne grupy. Jedni są myśliwymi, inni rzemieślnikami, jeszcze inni zajmują się bydłem.

- Ale jakieś wstępne nauki na ten temat otrzymał?

- Tak.

- To jak uczyli go polować?

- We współdziałaniu. Podobnie jak u nas, tyle że wyłącznie dla przetrwania. Nie polują dla sportu.

- A są u nich jeszcze inne drapieżniki, z którymi muszą rywalizować?

Becky rozłożyła ręce, ale Lawrence odpowiedział za nią.

- Tak. Shiksaki. Niebezpieczne zwierzęta. Groźne. Zabijają nasze bydło. Często zabijają tagranesich. Tagranesi polują. Wielu myśliwych przeciw jednemu shiksakowi.

Trudno go zabić. Shiksaki żyją na lądzie i w morzu. Trzy razy większe od tagranesi.

- Tak? A powiedz, Lawrence, czy twoi polują na te stworzenia dla zabawy?

Lawrence zdołał przybrać zdumiony wyraz pyska.

- Zabawy? To niemądre.

- Hm. Pewnie i tak, ale inaczej chyba trudno całkiem się ich pozbyć, skoro są dwudyszne. I takie wielkie! Chciałbym jakiegoś zobaczyć.

Lawrence pokręcił łbem.

- Jak będziesz sam, to zginiesz.

Bradford zmarszczył brwi.

- Pojmujesz zatem teoretyczność sytuacji. Wspaniale! Powiedz mi, gdyby jeden z tych shiksaków został osaczony i nagle pojawił się inny, zaskakując was, co byście zrobili?

- Niemożliwe. One nie cierpią się nawzajem. Nie polują razem.

- Miło mi słyszeć, ale gdyby jednak?

Lawrence zamrugał, rozważając sytuację.

- Myśliwi wystraszeni? Uciekają.

Bradford przyłapał się na tym, że zastygł pochylony do przodu, oczekując odpowiedzi. Gdy ją usłyszał, wyprostował się i odetchnął.

- Całkiem zrozumiałe. Bardzo dobrze. Mam już tylko jedno pytanie. Czy bywacie gwałtowni? Na przykład czy walczyacie czasem z innymi swojego rodzaju? Albo innymi rozumnymi istotami?

Lawrence spojrzał na Becky. Widać rozmawiali już kiedyś o tym.

- Czasem odpierają najazdy mieszkańców innych wysp - wyznała ostrożnie dziewczynka. - Sami nie atakują.

- A gdy walczą, czy kiedykolwiek... zjadają pokonanych wrogów?

- Nie! - odezwał się Lawrence. - Obrzydliwa myśl! Nigdy nie jemy innych...

- Nigdy nie jedzą istot inteligentnych - dokończyła za niego Becky. - Co za bulwersujące pytanie! O to samo mogłabym was zapytać!

- Przepraszam. Ani my, ani nasi sojusznicy nie robimy takich rzeczy, ale... - Wskazał na jaszczura. - Inni jego rodzaju, z którymi walczymy, tak właśnie postępują. Zjadają też siebie nawzajem. Musiałem zadać to pytanie. - Wstał. - A teraz przeproszę was, ale muszę zająć się moim dziennikiem, zanotować kilka rzeczy.

ROZDZIAŁ 9

Bosman Fitzhugh Gray siedział na osmalonym pieńku, który był jedyną pozostałością po jego domku. Twarz marynarza była czarna od sadzy i brudna od krwi, nosiła ślad strużek potu. Nowy mundur wisiał na nim w strzępach. Na nadgarstku bielił się bandaż, spod którego wyglądała purpurowa maść lemurów. Cowieczorny zachodni wiatr akurat ustał, jakby się namyślał, czy nie zacząć dmuchać od wschodu, i dym wisiał nad wyspą burym całunem. Kilku kolonistów z głównej wyspy, rybaków, którzy odwiedzili ich wczoraj, odpłynęło już do siebie, napatrzwszy się na zniszczenia, jakich nigdy wcześniej nie widzieli. Obiecali uroczyście, że wrócą z ładunkiem drewna.

Rano pochowali trzech poległych Amerykanów, wśród nich porucznika Clarke'a. Gray czuł się osobiście odpowiedzialny za jego śmierć. Udzielił mu wcześniej surowej reprimendy, na którą tamten zresztą zasłużył, ale może był zbyt szorstki? A potem Clark walczył jak szalony, chcąc odkupić winę, i to właśnie kosztowało go życie. Młodzi oficerowie popełniają błędy, nawet jeśli ogólnie są świetnymi dowódcami.

Z czasem stają się dzięki temu jeszcze lepsi. Clark był jednak zbyt młody i niedoświadczony jak na zajmowane stanowisko, by pogodzić się z tym, że ma prawo do błędu, i wyciągnąć z niego naukę. Pozostali dwaj też zginęli w walce, ale ich śmierć nie dotknęła Graya tak jak w wypadku Clarka. Teraz trzy samotne groby oraz znak pogrzebowy lemurów świadczyły o cenie, jaką zapłacili za ten splacheć lądu.

Setki grików leżały tam, gdzie padły, pokryte brzęczącymi chmurami owadów i rojami dziwnych krabów. Nie wiedzieli, co z nimi zrobić. Nie mogli zepchnąć ścierwa do wody, bo przybój i tak zaraz by je wyrzucił, poza tym w tak płytkiej wodzie nie było zwykle srebrzaków. Ocalali marines i gwardziści byli zbyt zmęczeni, żeby pochować tylu wrogów. Może gdy trochę wypoczną, załadują ich na łodzie i wyrzucą na głębokiej wodzie. Tyle że potrzebne byłoby wiele kursów...

Jeszcze kilka dni wcześniej było mało prawdopodobne, żeby Gray i Shinya powiedzieli sobie proste „dzień dobry”, teraz jednak, równie sponiewierani, siedzieli obok siebie, dzieląc się jedną manierką. Gray nawet kiwnął Japończykowi głową, dziękując za poczęstunek.

- Pan Bradford obedrze nas ze skóry - cicho zauważył Shinya.

Gray mruknął coś i łyknął z manierki. Dżungla zniknęła bez śladu. Cała. Trudno było nawet powiedzieć, kto podłożył ogień, ale tym razem nie było szansy, żeby go powstrzymać. Bosman odchrząknął i splunął ciemną śliną.

- Chyba jednak powinien zebrać trochę okazów, gdy był tu pierwszy raz.

W rzeczywistości większość gatunków ocalała, chroniąc się na plaży. Padało prawie codziennie i należało oczekiwać, że niebawem roślinność zacznie się odradzać. Zwierzętom roślinożernym przez jakiś czas będzie trudno, co później odbije się także na drapieżnikach, ale jedne i drugie powinny przetrwać. Na pewno dochodziło tu już do podobnych pożarów, choćby za sprawą piorunów. Najważniejsze jednak, że ocalała wiertnia, chociaż oberwała kilkoma pociskami. Isak już ją naprawiał. Nie stracili też flagi, która powiewała teraz dumnie nad wyspą na drągu ściągniętym z prawie nietkniętego okrętu grików, który nadal siedział na płyciźnie. To właśnie gdy zdobyli tę jednostkę, stracili Clarka.

To była desperacka i ponura bitwa. Po raz pierwszy lemurom zdarzyło się znaleźć pod ostrzałem dział wroga, który zalał potem cały brzeg. Grikowie przewyższali ich liczebnie w proporcji co najmniej jednego do trzech i było niemal tak trudno jak pod Aryaalem. Niemal. Tyle że tym razem mieli stanowiska obronne, którymi wzmocnili słabsze odcinki. Niemniej i tak stracili prawie trzydzieści procent stanu. Oczywiście grikowie wyszli na tym znacznie gorzej, tracąc sto procent, ale nie miało to takiego znaczenia jak w walce z ludzkim przeciwnikiem. Czy jakimkolwiek innym przeciwnikiem, który zasługiwałby choćby na minimalny szacunek. Pokonawszy wszystkich jaszczurów na lądzie, marines przypuścili atak na okręt w nadziei, że uda się go przejąć w dobrym stanie. Jak można było oczekiwać, grikowie bronili się na nim jak szaleńcy. Na dodatek okazało się, że jednostka przecieka i jest już częściowo zalana. Przejęli więc tylko jej uzbrojenie.

- To cholernie prymitywne działa - zauważył Shinya, jakby czytał bosmanowi w myślach. - Byle jak odlane, z byle jakimi pociskami. Nic dziwnego, że tyle z nich rozpada się przy wystrzale.

- Tak, pociski też są z surowego żelaza. Nawet trochę gąbczastego. Ale to żelazo, cholera. Musimy nad tym popracować.

- Bardzo na nie liczą - stwierdził Shinya, kiwając głową. - Podsunęliśmy im pomysł. Pewnie oczekiwali, że ich artyleria będzie sobie radzić tak samo jak nasza. I to zrobiło różnicę. Chyba nie podejrzewali, że aż tylu z nas przeżyje ostrzał i będzie na nich tu czekać.

Gray spojrzał na Japończyka z uśmiechem. Obaj ciężko walczyli, a walka była trudna, chwilami nawet wręcz. Więcej niż raz nawzajem ratowali sobie życie. Obaj byli wcześniej pod Aryaalem, ale tam nie stali obok siebie. Mogli nigdy nie zostać przyjaciółmi, ale zaczęli

darzyć się szacunkiem i zaufaniem. Zostali towarzyszami broni i gdy spotkali się po bitwie, ucieszyli się na swój widok.

Nagle znowu ich dobiegł sygnał alarmu bojowego. Gray spostrzegł, że Shinya przymknął na chwilę oczy, zanim wstał.

- 1. batalion marines! - krzyknął. - Zbiórka!

Gray też wstał z trudem, podczas gdy obandażowani kotowaci wlekli się jak najszybciej, żeby się ustawić we względnym porządku.

- Co znowu, u diabła? - mruknął bosman, spoglądając na kota siedzącego na wieży obserwacyjnej.

- Żagle! - zameldował po chwili zdyszany goniec. - Na północy.

- Na północy? Ile ich? - spytał Gray.

- Cztery jednostki, sir.

- No to mamy przerąbane. - Bosman splunął z obrzydzeniem.

- Może nie - zauważył Shinya. - Jedną z ułomności grików jest ich taktyczna przewidywalność. Strategicznie mogą być nieźli, ale nie trzymają się utartego porządku i nie umieją improwizować. Cztery, powiadasz? - Goniec skinął głową. - To by było niezwykle. Grikiowie lubują się w trójkach oraz ich wielokrotnościach. Nie wiem czemu, może to taka tradycja łowiecka? Tak czy owak niemal zawsze pokazują się w zespołach po trzy okręty. Cztery to nietypowe.

Gray spojrział na niego z namysłem.

- Może. Oby. Niebawem się dowiemy.

- Niech mnie - mruknął bosman.

Cztery jednostki zbliżały się szybko, chociaż wiatr im nie sprzyjał. Kolumny dymu wydobywające się ze skrytych wśród masztów kominów wyjaśniały, jak im się to udaje. Już ten jeden drobiazg sugerował, że nie chodzi o grików. Co znaczyło, że wojna nie jest przegrana. Statki były długie i miały kliprowe dzioby. Gray widywał podobne w dzieciństwie. Przeszarzałe już wtedy i wiekowe, ale wciąż w użytku. Były to bocznołowe jednostki okresu przejściowego między epoką żagli a epoką pary, podobne do tego, co Amerykanie zamierzali niebawem zbudować. Najbardziej jednak zainteresowała bosmana bandera. Nie był historykiem, jak kapitan, ale dość słyszał o „dawnych bezogoniastych”, żeby wypatrywać teraz ich barw. To, co dostrzegł, wprawilo go w zdumienie. Bandera była podobna do amerykańskiej, tyle że w miejscu granatowego pola z gwiazdami widniał Union Jack. - Niech mnie - powtórzył.

- Wasi przyjaciele? - spytał porucznik marines.

- Nie - odparł odruchowo Gray. - Nigdy ich nie widziałem.

Jednostki były już całkiem blisko i niebawem największa z nich opuściła łódź. Była pełna postaci w czerwonych kurtkach. Kilku miało białe, zapewne oficerowie.

- Nie - powtórzył - ale zobaczymy. Może nie będziemy musieli wpisywać ich na listę wrogów. Ustaw swoich w dwuszereg. Weź z tuzin najmniej złachanych. - Spojrzał wymownie na Shinyę. - Niech reszta wraca na stanowiska i będzie w gotowości, ale żadnego kombinowania. Poczekamy na nich na plaży.

*

Kompania honorowa była na tyle porządna, na ile to było możliwe w tych okolicznościach. Porucznik Shinya wybrał do niej najmniej obandażowanych najroślejszych kotowatych w czystych granatowych spódnickach. Gdy ustawił ich w dwuszeregu, okazało się, że zwiększył sugerowaną liczbę do dwudziestu. Karabiny marines trzymali na ramionach, bagnety były czyste i lśniące. Gdy dno łodzi zazgrzytało na brzegu, ci w czerwonych kurtkach złożyli wiosła i skoczywszy do wody, wyciągnęli dziób szalupy na piasek. Ich kurtki miały żółte lamowanie i wyglądały jak z filmu o wojnie o niepodległość Stanów. Nosili do tego krótkie białe spodnie i sandały, co było niewątpliwie praktyczne. Wszyscy mieli mocną opalenizną ostro kontrastującą z bielą mundurów. Skończywszy z łodzią, złapali muszkiety i ustawili się w szeregu naprzeciwko oddziału lemurów. Muszkiety trzymali trochę dziwnie wysoko na ramionach. Wtedy na ląd zeszli ci w białych kurtkach, które okazały się trochę pożółkłe oraz tu i ówdzie poplamione, z jasnożółtym i złotym lamowaniem. Wszyscy nosili wysokie czarne kapelusze z płaską górą, trochę przypominające czako.

Ten najbardziej ozłocony miał też złote epolety oraz jasne, trochę spalone słońcem wąsy z podkręconymi końcami. Jego opalona twarz była spokojna także wtedy, gdy spojrzał ciekawie na marines, na ciała grików i poczerniała od ognia wyspę. Nie sposób było ukryć, że niedawno rozegrała się tu zażarta bitwa. Potem przyjrzał się uważnie fladze i na koniec zwrócił oczy na Graya i Shinyę. Zapadła krępująca cisza.

- Kto tu dowodzi? - spytał trochę pogardliwie, dziwnie akcentowanym angielskim.

- Ja - odparł Gray, postępując krok do przodu. - Bosmanmat Fitzhugh Gray, Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych. - Wskazał na Shinyę. - A to mój zastępca, porucznik Tamatsu Shinya, do niedawna w Cesarskiej Marynarce Wojennej Japonii, obecnie dowódca obecnych tutaj żołnierzy piechoty morskiej. A pan kim jest?

Jeśli mężczyzna został zaskoczony takim zestawieniem szarż i opisów, albo i manierami Graya, nie dał tego po sobie poznać.

- Kapitan... a teraz właściwie komodor... Harvey Jenks. Dowodzę tym tutaj zespołem

oraz Okrętem Jego Gubernatorskiej Mości *Achilles*. Do usług, jak mniemam - dodał z lekkim uśmiechem.

Gray starał się trzymać nerwy na wodzy, pamiętając, że wiele wojen zaczęło się od tego, że ktoś skrzywił się w niewłaściwym momencie.

- Miło, że pan wpadł - powiedział możliwie przyjaznym tonem i zaraz zbeształ się za to w duchu.

Kapitan Jenks jednak jakby teraz właśnie coś zaczął rozumieć.

- Musicie być tymi Amer-i-kanami, o których słyszeliśmy! - zawołał. - Gdzie jest wasz niezwykle okręt? - Rozejrzał się wkoło, dostrzegając nie tylko rannych i zabitych, ale także wieżę wiertniczą oraz tkwiący na mieliźnie żaglowiec grików. - Bo to chyba nie ten.

- Amerykanami - poprawił go Gray. - W każdym razie większość z nas. Kotowaci to nasi sojusznicy, a pan Shinya jest Japończykiem. Naszego okrętu tutaj nie ma. - Skinął na wrak. - Ten i jeszcze dwa podobne należały do naszych wrogów, którzy najechali tę wyspę. Zabiliśmy ich. - Zamilkł i przyjrzał się Jenksowi. - Skąd pan o nas słyszał? Do mnie nic o panu nie dotarło.

- Mamy swoje źródła - odparł mgliście Jenks, ponownie spoglądając na amerykańską flagę. Chyba ciągle nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. - Rozmawialiśmy kilka dni temu z załogą pewnego olbrzymiego statku z Filipin. Niezwykła jednostka, chociaż strasznie powolna. Gdy się przedstawiliśmy, to i owo nam powiedzieli. Statek wiozł chyba posiłki dla waszego miasta zwanego Baalkpan. Mam nadzieję, że zdążą na czas. - Przerwał i mruknął coś pod nosem. - Przepraszam, ale to chyba jakaś flaga?

- Nie jakaś - wycedził Gray przez zęby. - Czy przybyliście nas wesprzeć? - spytał po chwili możliwie naturalnym tonem.

- Obawiam się, że nie. Prowadzimy misję ratunkową. Poszukujemy rozbitków z naszego statku pasażerskiego, który zaginął jakiś czas temu. Któregoś z nich mogło znieść w te strony. O ile ktokolwiek przeżył, oczywiście. Inne zespoły naszej floty zostały skierowane w odleglejsze rejony. Powiedziano nam, że wasz żelazny parowiec poszukuje pewnych Amerykanów, pomyśleliśmy więc, że mógł też trafić na kogoś z naszych.

- Może pan zostać i poczekać, żeby samemu sprawdzić, gdy nasz okręt tu zawinie, ale my nikogo nie widzieliśmy - odparł Gray. - Poza tym wciąż mi pan nie powiedział, skąd przybywacie i dlaczego nie słyszeliśmy o was wcześniej.

- To całkiem proste. To, gdzie leży nasza ojczyzna, to nie pańska sprawa, i jestem pewien, że zrozumie pan moje stanowisko. A jeśli chodzi o to, że dotąd o nas nie słyszeliście, wątpię, żeby była to tak całkiem prawda. Przyznaję, że ostatnio nie mieliśmy kontaktu z tymi

okolicami, ale małpy, które spotkaliśmy, zachowały dość... wyolbrzymione wspomnienia o wcześniejszej wizycie mojego ludu. To miłe, bo zgodzi się pan chyba, że dobrze jest być wspomnianym z taką rewerencją. Niemniej wprawdzie mój rząd ma historyczne prawa do tych ziem, to już od jakiegoś czasu z nich nie korzysta, choć przemawiałby za tym pragmatyzm. W każdym razie jednak nie mamy tu żadnych interesów, nie przedstawiamy więc zagrożenia dla waszego „sojuszu”. Cieszymy się nawet, że powstał, bo tym sposobem zyskaliśmy solidniejszy bufor zamiast tych rozdrobnionych plemion, które wcześniej oddzielały nas od zachodniego zagrożenia, z którym wy, niestety, musicie sobie radzić.

- Nie było was tu od ilu... chyba dwustu lat? A teraz nagle się pojawiacie... Ci, których szukacie, muszą być dla was bardzo ważni.

- To też nie pana sprawa - odparł krótko Jenks. - Chcemy ich tylko zabrać. Jeśli ktokolwiek ocalał, jak wspomniałem.

Gray miał już dość tego gościa. Do braku szacunku wobec flagi doszedł jeszcze protekcjonalny ton. I to przeważało.

- Dobrze - warknął. - Róbcie swoje. Jak powiedziałem, możecie tu poczekać na nasz „żelazny parowiec” albo poszukać go tam, gdzie był ostatnio. Z tego, co słyszałem, na Filipinach. Ale do pańskiej wiadomości: sugeruję większy szacunek dla naszych flag, bo obecnie nie macie już praw do żadnych ziem w tej okolicy. Szukajcie swoich rozbitków, ale jeśli traficie na nasz okręt, USS *Walker*, i zdarzy się panu wejść na jego pokład, z całego serca radzę zasalutować banderze. - Wskazał za łopoczącą za nim flagę. - Nosi identyczny wzór. Jeśli zachowa się pan tak jak tutaj, kapitan Reddy najpewniej rozgoni pańską nędzną eskadrę. Nie jest tak tolerancyjny jak ja.

Jenks zacisnął szczęki, aż zgrzytnęło.

- I jeszcze jedno - ciągnął Gray. - Jeśli będziecie się tu kręcić, to uważajcie. Skoro nie zamierzacie nam pomóc, sami też nie doczekacie się pomocy. A możecie jej potrzebować, bo niebawem zrobi się tu bardzo gorąco. - Wskazał trupy grików. - W porównaniu z tym, co się szykuje, tutaj była majówka. Nie chcielibyście trafić w sam środek takiej zawieruchy.

Wyraźnie wściekły Jenks odstąpił o krok.

- To groźba, sir? - wycedził.

- Nie. Stwierdzenie faktu. I dobra rada - powiedział Gray, patrząc na marines. - To nie są małpy ani dzicy z jakiegoś plemienia, tylko lud, który wasi przodkowie porzucili, żeby sam sobie radził z zagrożeniem, które w końcu musiało się pojawić.

Jenks musnął wąs i przyjrzał się Grayowi uważniej. Jego ranga go zmyliła, ale pomyślał, że ten bosman w podartym zielonkawym mundurze musi być chyba kimś więcej

wśród Amerykanów niż bosmani w jego flocie. Amerykanie... czyli mieszkańcy Ameryki! Kolonii na drugim końcu świata. Wcześniej tego nie skojarzył. Tylko czym są te Stany Zjednoczone? Niemniej musiał przyznać, że ów bosman mówi po angielsku, aczkolwiek dość dziwnie. Czyżby Metropolia dozwoliła, żeby jej raczkująca kolonia zmieniła się w samodzielne państwo? Niemożliwe... chociaż... Jenks uważał się za niezłego historyka i pasjonowały go dzieje świata jego przodków, te jeszcze sprzed przejścia. Dostrzegał analogię między postępowaniem jego obecnego imperium, które porzuciło te zamieszkane przez dzikich wyspy, a tym, co zdarzało się Metropolii. Amerykanie mogli się wybić na niepodległość. Tak jak ci tutaj. Kiedyś luźne plemiona, teraz sojusz... Zastanowił się przelotnie, czy nie rozsądniej byłoby go zniszczyć, zamiast zostawiać w charakterze bufora.

- Dobrze zatem - rzekł. - Widzę, że zostaniemy bliskimi przyjaciółmi. Pozwolę sobie odejść i życzę wam miłego sprzątania. - Zasalutował fładze i zawrócił do łodzi.

Wioślarze przebili się przez fale przyboju i podpłynęli do *Achillesa*, ale Gray ciągle trząsał się ze złości.

- To właśnie miałem na myśli, wspominając o liście naszych nieprzyjaciół - powiedział Shinya. - Może powinniśmy przypieczętować naszą przyjaźń kilkoma wystrzałami z dział? Taki miły prezent na pożegnanie... - Gray sądził, że Japończyk kpi z niego, póki nie spojrzał mu w oczy. Były całkiem poważne.

*

Kapitan Reddy otarł pot z czoła i wciągnął długi łyk schłodzonej wody, którą Juan przyniósł na mostek. Było nieznośnie gorąco i prawie bezwietrznie, chociaż sunęli przez zachodnią część morza Celebes z prędkością dwudziestu pięciu węzłów. Keje i Adar stali za nim na skrzydle mostka i dyszeli jak psy - Bradford wachlował się osobliwym sombrero. Zjawił się też Flynn, ogolony i krótko ostrzyżony. Zabieg ów odsłonił spore połacie różowej skóry, która ostro kontrastowała z ciemną opalenizną. Z ciemnymi obwódkami wokół oczu wyglądał jak opos. Rozmawiali o tym, co Bradford usłyszał od nowo poznanego jaszczura, i porównywali te informacje z tym, co wiedzieli o swoich wrogach. Było kilka podobieństw, które zdawały się potwierdzać wcześniejsze teorie Bradforda na temat rozwoju grików, jednak różnice przeważały. Jedną z nich mogli właśnie obserwować.

Silva, Becky i Lawrence sprawdzali właśnie niektóre możliwości działa numer dwa na śródkręciu. Ludzie i kotowaci z załogi stali wkoło, przyglądając się im z przejęciem, ale na aktorach tego spektaklu nie robiło to żadnego wrażenia. Becky siedziała na stanowisku celowniczego, kręcąc kołem podniesienia lufy, podczas gdy Lawrence, który nie mógł siedzieć jak człowiek, stał z boku i z zapalem obracał kołem kierunku, kierując działą to w

jedną, to w drugą stronę. Musiała go jeszcze boleć rana, ale zdawał się nie zwracać na to uwagi. W pewnej chwili Silva wyznaczył im na cel małą chmurę.

- Zdumiewające - sapnął Bradford, wciąż się wachlując. - Niezwykły widok, kapitanie Reddy. I ten pański Silva też nieustannie mnie zadziwia.

- Rozwinął się, prawda? - rzucił Matt i zamrugał. - Ale gdyby nagle dostał normalny cel, zabawa zaraz by się skończyła.

- Chyba wszyscy tak mamy - stwierdził Keje i Matt mógł tylko przytaknąć. Misja została uwieńczona sukcesem. Zyskali pomoc i znaleźli nawet ten mityczny okręt podwodny. Niemniej lawina była już blisko i Matt czuł, że niebawem wszystko zacznie się od nowa. Jeśli wierzyć dziwnej wiadomości od Kaufmana, a trudno było nie traktować jej poważnie, flota grików za kilka dni miała dotrzeć pod Baalkpan. Może później, jeśli wiatr się utrzyma. A wtedy znowu znajdzie się w środku wiru, jego prywatnego malstromu życia i śmierci, w którym odpowiadał za życie każdego człowieka pod jego dowództwem, chociaż zwykle brakowało czasu do namysłu, a wydarzenia następowały błyskawicznie jedno po drugim. Czas biegł jak szalony, grożąc stłuczeniem skorupki tego jajka, w którym się chronili, zwykle w najbardziej nieprzewidywanych miejscach. Na zewnątrz tej skorupki byli zaś grikowie, krążownik liniowy *Amagi* i wszystkie strachy tego świata. A przy tym skorupka ta była bardzo krucha, tak jak sterany *Walker*, z blachami kadłuba trzymającymi się w sporej mierze na licznych warstwach farby. Ale mieli tylko jego. Bez nich byłby niczym, z nimi żył. Może już słabszy, ale wciąż posłuszny i gotowy do działania. Poniekąd obdarzony umysłem, choć tak się składało, że był to zarazem umysł kapitana Reddy'ego, który boleśnie odczuwał tę odpowiedzialność. Przez to też był częścią tej skorupki i obawiał się, że największa próba wciąż jeszcze jest przed nim. A przecież wiedział, że popełnił już sporo błędów, które kosztowały niejedno ludzkie życie, i nie jest doskonały. Robił więc, co mógł, zarządzając częste próbne alarmy, które były próbą także dla niego. Z drugiej strony trochę bał się swoich myśli. Czuł, że tak bardzo nie cierpi grików i ich japońskich pomagierów, że nie może doczekać się konfrontacji. A to było ryzykowne, jak każde dowodzenie pod wpływem emocji.

Podczas tego rejsu bardzo brakowało mu Sandry. Bardziej, niż mógłby to wyrazić. Brakowało mu jej twarzy, przenikliwości, miękkiego głosu, dotyku... I wpływu, który wyciszał szalejące w nim myśli. Wyprawa, z której wracali, pozwoliła Mattowi na krótko wypocząć od wojny i nieustannego napięcia. Przez ileś dni był tylko kapitanem okrętu. Ale wszystko co dobre szybko się kończy, on zaś znów zaczął się niepokoić. Wiedział, że w razie potrzeby wróci do rzeczywistości równie szybko jak Silva, ale potrzebował pomocy Sandry, żeby się w tym nie zatracić.

- Niestychane - powiedział Dowden, dołączywszy do nich na zatłoczonym mostku. - Gdy ta dziewczynka weszła na pokład, gotowa była zatłuc Silvę, a teraz proszę: najlepsi przyjaciele. - Umilkł, jakby zabrakło mu słowa. - I z grikiem jest to samo.

- To tagranesi - podpowiedział mu Bradford zza poruszającego się kapelusza.

- Mniejsza o to. Reszta dzieciaków trzyma się opiekunek, które zachowują się tak, jakby porwano je na statek piratów gotowych...

- Bo tak jest - odezwał się Karas od koła sterowego.

Dowden zerknął na niego z ukosa.

- Jednak ta mała przyłgnęła do niego, odkąd O'Casey stracił ją z oczu. A swoją drogą gdzie on jest?

- Z Chackiem i Spankym w maszynowni - odparł Matt. - Może być pomocny, gdy zaczniemy budować własne silniki parowe. Wie, jak jego ludzie to robią, a ponieważ w najbliższej przyszłości nie zdołamy skonstruować turbin... - Wzruszył ramionami.

- Zdaje się dużo wiedzieć - przyznał Adar. - Jest chyba inżynierem, marynarzem, żołnierzem... Czasem wspomni coś o swoich doświadczeniach, ale zawsze mgliście. Silva mówi, że dziewczynka nie zna go wcale lepiej. Chyba maskował się przed nią tak jak przed nami.

Matt spojrział z namysłem na kapłana.

- Być może nie bez powodu - powiedział. - Będę musiał z nim jeszcze porozmawiać.

*

Późnym popołudniem dotarli do Tarakanu. Z początku pomyśleli, że jakimś cudem zeszli z kursu, wyspa bowiem nijak ⁿie przypominała tego tropikalnego, pokrytego dżunglą kawałka lądu, który pożegnali parę tygodni wcześniej. Ujrzeni naga ziemię i poczerniałą plataninę zwęglonych drzew i krzewów, nad którą unosił się szary dym. Tylko flaga i machający rękami tłumek na plaży upewniły ich, że to właściwe miejsce. Ledwie rzucili kotwicę, do burty podpłynęła łódź z uśmiechniętym Grayem, który najpierw zasalutował banderze, a potem Mattowi.

- Pozwolenie na wejście na pokład, skipper? - zapytał.

- Udzielam. Boże, co tu się stało?

Reszta weszła na górę, gdy bosman zaczął już opowieść. Wszyscy byli brudni i pokrwawieni, niektórzy w bandażach, włączając w to Shinyę i Isaka Ruebena, który miał rękę na temblaku. Matt przyjrzał się im po kolei, oddając honory, ale cały czas słuchał Graya. Widział też wystające nad fale poczerniałe resztki *Feltsa* i tkwiący na mieliźnie okręt grików. Flynn, Laumer i O'Casey z przejściem wpatrywali się w ślady bitwy, choć zapewne każdy

myślał trochę o czym innym.

- Wychodzi więc na to, że mieliście z nimi ciężką przeprawę, bosmanie - powiedział w końcu Matt. - Jaki bilans?

- Nie najgorszy, zważywszy że mieli działa. Na szczęście nie mogły się równać z naszymi. Poza tym działali schematycznie. Nasze straty to około trzydziestu procent, co brzmi niedobrze, ale w większości chodzi o rannych.

- Działa? - spytał z niedowierzaniem Bradford.

- A - mruknął Gray. Był wyczerpany, a w takich chwilach pamięć nie zawsze dopisuje. Zwłaszcza gdy nie jest się młodzieniaszkiem. - Chyba nie powiedziałem najważniejszego.

- Tak, kapitanie Reddy, mieli działa - podjął temat Shinya. - Morskie działa bardzo podobne do tych, które zrobiliśmy dla *Zemsty*. Nie tak dobre jak nasze, nawet te pierwsze. Proste formy, byle jak nawiercone lufy i kiepski surowiec, jak powiedział pan Gray. Żelazo, ale trochę gąbczaste.

- Hmm... - mruknął Matt, zastanawiając się nad konsekwencjami tej zmiany. - Zgadza się - powiedział Shinya. - Ile ich mają, na ilu statkach je zamontowali, na ile zmieni to nasze plany obrony? - wypowiedział cisnące się na myśl pytania.

- Ale jest jeszcze coś, o czym musimy zameldować. Rano mieliśmy dziwnych gości.

- Tak?

- Ludzi. Po ludzku nieuprzejmych. Mówili po angielsku z jakimś dziwnym akcentem. - Matt zerknął na O'Caseya, który jakby lekko drgnął, ale poza tym nie zareagował. - Przyplłynęli na czterech uzbrojonych żaglowcach z pomocniczym napędem parowym. Twierdzili, że prowadzą misję ratunkową. - Zdumienie stojących wkoło mogło się równać z reakcją przybyłych z wyspy, gdy Silva przepchnął się przez tłumek z jakąś dziewczynką na ramionach. Za nimi dreptał niezwykle umaszczony grik z opatrunkiem na piersi. Shinya aż się odsunął, a Gray odruchowo poszukał korda.

- Nie ma powodu do niepokoju! - powiedział Matt. Jego spokojny głos miał lepszy skutek niż jakikolwiek krzyk. Matt zgromił spojrzeniem uśmiechniętego Silwę, który bez wątpienia specjalnie wybrał tę właśnie chwilę, żeby przyprowadzić gości. - Spokojnie, panowie. Pozwólcie, że przedstawię pannę Becky oraz - dodał nieco ironicznie - jej przyjaciela Lawrence'a. To zaś jest pan O'Casey, kolejny jej znajomy. Zauważycie zapewne, że oni też mają trochę inny akcent.

- Niech mnie - zahuczał Gray. - Ten drań Jenks mówi, że szuka rozbitków, a wy ich chyba znaleźliście. - Rozejrzał się i dostrzegł jeszcze kilka nowych twarzy. - I submarynę też. - Zauważył Flynna, którego kiedyś już poznał, i kiwnął mu głową.

- Jenks! - pisnęła dziewczynka.

- Znasz go? - spytał Matt.

Reakcje Graya i O'Caseya były kontrastowo odmienne, co dawało do myślenia. Dziewczynka wydawała się autentycznie uradowana nowiną, że Jenks jest w pobliżu, jednoręki zaś sposepniał.

- O tak! To sławny kapitan i odkrywca! Słyszał pan, panie O'Casey? Jesteśmy uratowani!

- Tyle że to dupek! - nie wytrzymał Gray.

- A tak! - zachichotała dziewczynka. - Ale dobry dowódca. Widzisz? - Poklepała Silwę po ręce. - Przy jego pomocy bez trudu poradzicie sobie z tymi waszymi grikami!

Gray pokręcił głową.

- Za przeproszeniem, ale to naprawdę dupek, skipper. Jest tu tylko po to, żeby ich odnaleźć. Nie, żeby nam pomóc. I wcale nie chce pomagać. Nie, żeby to robiło jakąś różnicę. Jego okręty to drewniane bocznokołowce. Pewnie z niezłymi działami, ale żaden nie jest wart więcej niż cztery czy pięć jednostek grików. A dwadzieścia takich żaglowców nic nie zmieni w tej wojnie.

- Uzbrojone mogłyby.

- I tak nam nie pomogą - parsknął Gray.

- A z pewnością nie teraz - dodał Shinya.

Matt spojrział uważnie na obu.

- Co narozrabialiście? - zapytał.

- Nic, skipper, słowo honoru! Gość okazał się dupkiem i tyle. - Bosman wzruszył ramionami. - Może my też nie pokazaliśmy się z najlepszej strony, ale to on zaczął.

Matt zacisnął powieki i pokręcił głową.

- Czy jesteśmy już z nimi w stanie wojny?

- Nie przypuszczam - odparł Gray. - Ale puszyli się tak, jakby wszystko tutaj do nich należało. I że pozwolą nam tu zostać, bo jesteśmy dobrym „buforem” między nimi a grikami... No i robił sobie jaja z flagi, więc szlag zaczął mnie trafiać.

Radość dziewczynki ustąpiła miejsca zmieszaniu, jakby nie mogła zrozumieć, skąd u nich tyle zastrzeżeń do Jenksa.

- Nie jestem pewna, czy to od niego zależy, jak może być z tą pomocą - powiedziała tajemniczo, po czym spojrzała na Graya. - Popłynął na Baalkpan?

Bosman zerknął na kapitana, potem znowu na dziwną dziewczynkę.

- Raczej nie. Wcześniej mijał pływający dom idący z posiłkami z Filipin do

Baalkpanu. To od jego załogi usłyszał, gdzie ma nas szukać.

- Jedno dobre, że oddziały już w drodze - stwierdził Matt. - Nie mieli powodu mu nie mówić. A może nawet obróci się to jeszcze na naszą korzyść.

- Wątpię, skipper - powiedział Gray. - Jak powiedziałem, Jenks w ogóle nie zamyśla nam pomagać, a gdy spytał, gdzie pan jest, powiedziałem, że na Filipinach. Bo tak właśnie myślałem. Gdy ostatni raz ich widzieliśmy, szli wzdłuż brzegu na północny wschód. Pan przyszedł niemal prosto ze wschodu, więc nic dziwnego, że się minęliście.

Matt znowu pokręcił głową i spojrzał na zachodzące słońce, być może żałując straconej okazji. W końcu zaczerpnął haust powietrza.

- Potem wam wszystko opowiemy - rzekł - a na razie musicie wiedzieć jedno: grikowie się ruszyli. Przed zmrokiem chcę mieć wszystkich na pokładzie. Zostawcie narzędzia, sprzęt, nawet brontki. Gdy to się skończy, wrócimy i dokończymy robotę. Albo i nie...

Chack zwołał swoich i *Walker* niebawem opuścił pożyczone łodzie na fale. Zatrzepotały flagi sygnałowe i zaraz potem krzątanina zaczęła się także na plaży. Stojąc pośród całej tej aktywności, Isak Rueben spojrzał wreszcie z bliska na Gilberta i Buras. Oni zaś spojrzeli na niego.

- Mocno oberwałeś? - spytał po chwili Gilbert.

Isak machnął ręką.

- Nic takiego. Drobiazg. Przez większość walki trzymałem się z boku. Nie jestem dobry w kordzie, a karabin pożyczyłem Clarkowi. Ale zginął. Mnie się dostało, gdy ubijałem ładunek. Złapałem za spalone drzewko, ale pękło i upadłem na inne. Myślisz, że dadzą mi medal?

Gilbert jak zawsze zmarszczył brwi, ale tym razem Isak dostrzegł w jego mimice pewne subtelne zmiany. Kiedyś mogliby bez końca przerzucać się suchymi relacjami, obojętnie i bez poczucia humoru, ale tym razem coś pękło. Buras przyglądała się, jak z pęknięcia robi się szczelina, a ze szczeliny uśmiech.

- Śmiejesz się ze mnie? - spytał zdumiony Isak, gdy z ust Gilberta wydobył się cichy chichot.

- Tak... śmieję! - odparł Gilbert, a chwilę później zanieśli się z Buras głośnym rechotem.

Isak patrzył na nich szeroko otwartymi oczami. Przelotnie zastanowił się, czy nie wypili przypadkiem alkoholu z torpedy, ale śmiali się tak naturalnie... Ledwie mogli złapać powietrze. Ci obok też patrzyli osłupiali i z wolna zaczęła do niego docierać absurdalność

całej sytuacji. Od jego rany i tego, jak ją odniósł, począwszy. Potem jednak pomyślał też o ich wcześniejszym, monotonnym życiu i coś nagle się zmieniło. Poczł, że się cieszy, iż spędził jakiś czas poza okrętem i nawet zdobył nowych przyjaciół. Chyba przydało im się tych kilka osobnych tygodni. Sam nie wiedział, kiedy też zaczął się śmiać. Śmiał się coraz głośniej, aż łzy popłynęły mu po twarzy i poddał się temu, co opanowało jego przyjaciół, chociaż nie miał pojęcia, czy płacze z radości czy ze smutku.

*

Marynarz Fred Reynolds siedział na niewygodnym krześle w kabinie radiowej *Walkera*. Jego wachta kończyła się dopiero o czwartej, a już teraz umierał z nudów. Ze słuchawek płynął tylko monotony szum sugerujący, że nasłuch na uzgodnionej częstotliwości nie ma żadnego sensu. Radiostacji cataliny na Baalkpanie musiało się przytrafić coś bardzo poważnego. Clancy mówił, że mogła zostać zbombardowana, ale kapitan kazał dyżurować i co najmniej cztery razy na wachkę nadawać „Już idziemy”. Clancy był jedynym radiotelegrafistą na pokładzie i nie mógł siedzieć tu cały czas, trafiło więc na Reynoldsa, który ciągle kogoś gdzieś zastępował.

Gdy wstępował do marynarki, skłamał aż dwa razy. Wiedział, że nikt mu nie uwierzy, jeśli powie, że ma dziewiętnaście lat, utrzymywał zatem, że ma siedemnaście, i sfalszował zgodę rodziców. Potem był ciężko zdumiony, że mu się udało, miał bowiem piętnaście, a wyglądał pewnie na dwanaście. Tak oto, skończywszy wreszcie prawdziwe siedemnaście, był chyba jedynym ludzkim członkiem załogi, który dotąd nie awansował wyżej marynarza. Na razie nic jeszcze nie potrafił i nie wiedział nawet, na co się zdecydować. Pasowały mu wachty na mostku, ale to mógł robić każdy. Pierwszy mówił, że pewnie niedługo zrobią go podoficerem, byle tylko powiedział, czego chce się uczyć. Może artyleria? Hmm, był na to raczej zbyt drobny i niezbyt silny. Sugestie, żeby został sygnalistą albo radiooperatorem, jakoś nie wydawały mu się pociągające. Może nawigacja? W końcu musiał coś postanowić.

Pochylił się i spojrział na zegar. Pora. Westchnął i sięgnął do klucza. Wystukał znajomą sekwencję kropek i kresek, po czym chciał się wyprostować, gdy słuchawki rozbrzmiały nagle dudnieniem, od którego omal nie stracił słuchu. Cisnął je na stół i pobiegł po Clancy'ego.

*

Matt z ulgą i troską spojrział na ledwie widoczny formularz wiadomości. Keje z Adarem wchodzili już na mostek, za nimi postępował Shinya. Dowden zjawił się ostatni, eskortując wciąż ponurego O'Caseya. W sterówce paliło się tylko czerwone światło, przy

którym człowiek widział, gdzie idzie, ale niewiele więcej. Na prawym skrzydle mostka, gdzie czekał Matt, było prawie całkiem ciemno, zwłaszcza że grube chmury przesłaniały gwiazdy.

- Mam w końcu wiadomość z Baalkpanu - powiedział z lekką ironią, bo zostało im już tylko kilka godzin podróży.

- To dobra wiadomość - stwierdził Adar.

- Bardzo dobra - zgodził się Matt. - Pan Riggs zbudował szerokopasmową iskrówkę. Poszło mu całkiem sprawnie, nie licząc zasilania. Trudności z uzyskaniem kwasu siarkowego do akumulatora. W końcu jednak *Mahan* dowlókł się do portu i mogli skorzystać z jego generatorów.

Ostatnia informacja była już mniej optymistyczna.

- Co się z nim stało i dlaczego pan Ellis postąpił wbrew rozkazom? - spytał Keje.

Matt opowiedział im o walce *Donagheya* oraz pozostawieniu na wyspie królowej Marran i Aldena. Teraz miało to sens. Skoro fregata wymagała napraw, *Mahan* został jedynym okrętem zdolnym do walki z uzbrojonymi w armaty jednostkami grików. Wiązało się to z dużym ryzykiem, ale dzięki temu Baalkpan też już wiedział o nadpływającej flocie grików. W drodze powrotnej *Mahan* trafił na przednie zgrupowanie armady. Zużył większość amunicji i zniszczył tyle uzbrojonych w działa okrętów, ile mógł, ale sam też został poważnie uszkodzony. Okazało się, że nadżarte przez rdzę płyty poszycia nie są wystarczającą osłoną przed żelaznymi kulami wystrzelonymi z małej odległości.

- Bardzo poważne te uszkodzenia?

- Przede wszystkim jest trochę ofiar, ale trudno, żeby było inaczej, skoro miał tylu pasażerów. Poza tym stracił jeden kocioł. Tyle dobrego, że jaszczury miały wiatr prosto w pysk. Inaczej by go dopadły.

- A królowa Maraan i Alden? - spytał Adar.

- Bezpieczni. Stracili Haakar-Faaska, ale nie znam szczegółów.

- Źle się stało - powiedział półgłosem Keje. - Nie znałem go dobrze, ale był wielką postacią. Ufam, że poległ z honorem. - Zawahał się. - Mówiłeś Chackowi?

Keje aprobował związek Chacka i królowej, ale pragnął też szczęścia dla swojej córki, Selassy. Sytuacja była niezręczna, chociaż wiedział, że Selassa sama sobie ją w znacznej mierze zgotowała.

- Tak. Pewnie siedzi teraz w kotłowni i pogania palaczy.

- A co z *Amagim*? - spytał neutralnym tonem Shinya.

Japoński oficer miał sporo czasu, żeby rozważyć swoją postawę. Może nawet zbyt wiele. Teraz musiał się wreszcie opowiedzieć. Matt poczuł jednak lekkie ukłucie winy.

Cytując wiadomość od Kaufmana, nie wyjawiał wszystkiego. Zasugerował, że kapitan zyskał pomoc jednego członka załogi, nie dodał jednak, że takich osób zapewne jest więcej. Zrobił to rozmyślnie, żeby Japończyk nie uznał tego za nacisk. Jeśli *Amagi* ich zaatakuje, i tak nie będzie to miało znaczenia.

- Jim go nie widział, zatem nie ma go w pierwszej fali.
- Czwarta, skipper.
- Dziękuję. Ogłosić alarm bojowy.

Na całym okręcie rozbrzmiał sygnał alarmu i względny spokój pierzchnął przed tupotem i krzykami. Większość załogi wstała już wcześniej, żeby nie przystąpić do codziennych ćwiczeń o pustym żołądku, zatem Campeti po chwili zjawił się z zespołem na stanowisku kontroli ognia, a Silva oraz Gray zaczęli zaganiać swoich podopiecznych. Matt dostrzegł, że O'Casey jest pod wrażeniem panującej na pokładzie dyscypliny.

- I tak oto został mi już tylko pan, O'Casey... - powiedział Matt. - Jeśli to pańskie prawdziwe nazwisko. Nie wydaje się pan równie ucieszony perspektywą „uratowania” jak nasza młoda dama. Ma pan jakiś powód, żeby nie cieszyć się ze spotkania z Jenksem?

- Można tak powiedzieć.

- Dobrze. Wojna z pańskimi rodakami to ostatnie, czego mógłbym pragnąć. Jeśli jednak Jenks jest takim durniem, jak sugeruje Gray, może do niej dojść, jeśli nie powie mi pan tego, co chcę wiedzieć. Oni szukają chyba właśnie pana albo, co może bardziej prawdopodobne, dziewczynki. Przepłynęli w tym celu bardzo wiele mil. Każdy z ich statków też mógł przepaść, a jednak zaryzykowali, choć szanse, że kogoś odnajdą, były bardzo małe. Muszę wiedzieć, dlaczego to zrobili. Czy Jenks jest dla nas zagrożeniem? Może pan nie wierzy, ale ten okręt, chociaż nie całkiem sprawny, mógłby roznieść jego eskadrę w kilka minut. - Spojrzał na pozostałych i potrząsnął formularzem. - Powiadomiono mnie właśnie, że *Donaghey* jest już sprawny, a nowe fregaty, *Kas-Ra-Ar* i *Tolson*, lada chwila dołączą do niego i do *Salissy*. - Słyszając to, Keje uśmiechnął się. Jego pływający dom stał się najlepiej uzbrojoną wielką jednostką na świecie. - Jenks może być trudnym kąskiem dla fregat i pewnie dojdzie do zażartej walki, ale opierając się na ocenie Graya, sądzę, że go pokonają. Mam zatem wysłać za nim te fregaty, panie O'Casey, czy zostawić je tutaj, gdzie są bardzo potrzebne?

O'Casey pochylił głowę.

- Dobrze - odezwał się. - Jestem uciekinierem, ale nie zdrajcą, chociaż kapitan Jenks miałby pewnie inne zdanie. Nie wyjawiałem wam położenia naszej ojczyzny i nie wyjawię, bo już od dzieciństwa wbija nam się do głowy, że bezpieczeństwo opiera się na tajemnicy.

Tradycja wywodząca się jeszcze z czasów naszych przodków, gdy przybyli do tego świata. Poznali grików i lemury, ale przyjęli, że gdy jaszczury wybiją w końcu małpy, jak nazwali waszych sojuszników, i tak nie będą wiedzieli, gdzie nas szukać. Założyli kolonię na samotnej wyspie pośrodku Pacyfiku, który lemury nazywają Oceanem Wschodnim. Przez ponad dwieście lat kolonia rozrosła się w imperium. Imperium Nowych Wysp Brytyjskich, które teraz obejmuje wiele wysp oraz duże połacie stałego lądu. Jest bogate i potężne, ale stało się tyranią. Gubernator jest dobrym człowiekiem, podobnie jak większość jego poprzedników, ale kompania tak urosła w siłę, że obecnie nie ma już on wiele władzy.

- Kompania? - spytał Shinya.

- Kompania Nowobrytyjska - odparł pogardliwie O'Casey. - Zyskała wpływy, podsycając strach przed zagrożeniami zewnętrznymi, a utrwaliła swą pozycję, uciskając najniższe klasy, potomków laskarków oraz przewożonych do kolonii skazańców. To najpierw dało jej przedstawicielom władzę w Radzie Dyrektorów, która jest poniekąd odpowiednikiem Izby Gmin. Gdy już tam okrzepli, przyszła pora na Radę Właścicieli, czyli jakby Izbę Lordów. - Uśmiechnął się krzywo. - Jak widzicie, znam historię sprzed przejścia, chociaż starają się ją skazać na zapomnienie. Sprzeciwiłem się obecnemu porządkowi, dlatego okrzyknięto mnie zdrajcą i wywrotowcem, chociaż jestem patriotą, który całym sercem wspiera gubernatora. Jestem też inżynierem, żołnierzem i marynarzem. Oraz przywódcą buntu, który został zdławiony. Nie mieliśmy dość broni! Udałem się więc do zachodnich kolonii, tej „strefy buforowej”, w nadziei, że tam mnie nie znajdą. - Zastanowił się chwilę. - Gdy doszło do katastrofy statku, nagle zobaczyłem dziewczynkę. Własnym oczom nie wierzyłem. Nie wiedziałem, że jest na pokładzie. Musieli cały czas trzymać ją w kabinie. Ale uratowałem ją, co dowodzi, że mówię prawdę! To słodkie stworzenie i sądzę, że i tak starałbym się ją ratować, ale czy prawdziwy zdrajca zrobiłby to, wiedząc, kim ona jest?

Niebo za rufą zaczęło jaśnieć i zaczęli widzieć swoje twarze.

- A kim jest? - spytał Matt, chociaż zaczynał już coś podejrzewać. Jak bardzo mogło to skomplikować ich sytuację?

O'Casey potwierdził jego obawy:

- Córką gubernatora, oczywiście!

Kapitan Reddy wziął głęboki wdech.

- A Jenks jest człowiekiem kompanii? - zapytał.

- Nie, jest w pełni oddany Imperialnej Marynarce Wojennej, ale wykonuje rozkazy.

- Wydawane najpewniej przez admiralicję, którą kontroluje kompania - mruknął Bradford.

Matt nawet nie zauważył, kiedy Australijczyk do nich dołączył, i zastanowił się, ile mógł usłyszeć.

- Zatem przypłynął ją ratować czy zadbać, żeby zniknęła na dobre? - spytał Dowden.

- Nie żywię dla niego szacunku, ale nie skrzywdziłby dziecka. Może jednak mieć w załodze agentów kompanii, nawet o tym nie wiedząc. Oni wykorzystaliby sposobność.

Matt uderzył pięścią w reling.

- Cholera! Tylko tego nam było trzeba!

- Istotnie - stwierdził Bradford, zerkając na niego z niepokojem.

- Wszystkie stanowiska obsadzone i gotowe, kapitanie - cicho zameldował Dowden.

Matt milczał przez dłuższą chwilę z ponurą miną. W końcu wyprostował się i spojrzał zebrany w oczy.

- To wszystko zostaje między nami, jasne? - powiedział. - Inni dowiedzą się tylko tyle, ile będzie konieczne. I to ja zdecyduję, kim będą ci inni.

*

W porannej mgielce rysowały się trzy piramidy żagli. Za nimi majaczył wielki kontur *Salissy* strzegącej wejścia do zatoki Baalkpan. Ich domu. Brzegi, z wyjątkiem południowej plaży, porastała dżungla, a nad wschodnim podejściem ciemniał masyw Fortu Atkinsona. Idące w szyku liniowym fregaty nosiły znajome bandery i jakkolwiek wobec nadciągającego zagrożenia nie stanowiły wielkiej siły, widok był wspaniały.

- Dzięki Bogu! - zawołał Bradford, wyrażając myśli wszystkich na pokładzie. - Nie spóźniliśmy się!

Matt rozkazał zwiększyć wytwarzanie dymu, żeby okręt był lepiej widoczny na tle szarych chmur. *Mahan*, zgodnie z rozkazami, przechodził konieczne naprawy.

- Może się pan zajmie swoją podopieczną - powiedział Matt do O'Caseya. - Dobrze by było, gdyby powiedział jej pan całą prawdę i wyjaśnił, dlaczego nie popłynie z nią, gdyby Jenks się tu pokazał. - Przerwał na chwilę. - Damy panu schronienie, ale będzie pan musiał na nie zarobić. A jeśli odkryję, że pan skłamał...

- Dziękuję, kapitanie Reddy - odparł jednoręki i skłonił głowę.

*

O'Casey znalazł dziewczynkę przy relingu, gdzie z podnieceniem wskazywała na wdzięczne fregaty i masywną sylwetkę pływającego domu. Obok niej stał ten wielki mężczyzna, Silva, który chyba wszędzie ostatnio jej towarzyszył. Lawrence zwinął się obok na pokładzie, całkiem jak pies. Unosząc głowę, łapał w nozdrza wiatr i patrzył na inne dzieci oraz kobiety, które wyszły wreszcie na pokład. Znalazły się od razu w centrum uwagi i nawet

pstrokate odzienie pozbierane po różnych zakamarkach okrętu nie mogło tego zmienić. Tylko zakonnica zachowała swój podniszczony habit. Stała trochę na uboczu i rozglądała się niecierpliwie z niezadowoloną miną. O'Casey wiedział, że ciągle oczekuje na rozmowę z kapitanem, i współczuł jej całej tej sytuacji. Skinął głową Silvie.

- Czy mogę, panienko? - powiedział do dziewczynki.

- Oczywiście, panie O'Casey. Zawdzięczam panu życie.

Z szacunkiem odprowadził ją kilka kroków dalej, chociaż się nie łudził, że uda mu się pozbyć Silvy.

- Panienko... Wasza wysokość... - zaczął cicho. Becky rozejrzała się szybko wkoło, on jednak położył palec na ustach. - Nie ma się czego bać. Nikt nie usłyszy. Poza tym powiedziałem kapitanowi, kim jesteś. Nie miałem wyboru, bo nie mogę wracać z Jenksem, gdyby tu po nas przyplłynął. I bardzo mi się to nie podoba, ale znowu muszę cię poprosić, żebyś kłamała na mój temat i nie wyjawiała, że brałem udział w wydarzeniach ostatnich miesięcy.

W oczach Becky pojawiły się łzy.

- Ale... dlaczego? Z pewnością otrzymasz tytuł szlachecki. Co najmniej, za to, co zrobiłeś. Dopilnuję tego!

- Nie, kochana - odparł O'Casey. - Jestem poszukiwany i prędeż mnie powieszają. - Położył dłoń na jej ramieniu. - Chodzi o to, że zbuntowałem się przeciwko kompanii.

Dziewczynka spojrzała na niego zdumiona.

- I jesteś zdrajcą? Przez cały ten czas...?

- Nie jestem! - stwierdził zdecydowanie jednoręki. - Nie zdradziłem twojego ojca ani ciebie, chociaż inni mogą mnie pewnie mieć za kogoś takiego. Twój ojciec jest dobrym człowiekiem... kiedyś był nawet moim przyjacielem, ale kompania uczyniła z niego marionetkę. Bardzo chciałbym to zmienić... nawet próbowałem.

- I to był ten Bunt!

- Tak, Bunt, jak go nazwali. Nigdy nie występowałem przeciwko Imperium czy jemu... albo tobie. Bóg mi świadkiem. Byłem przeciwko temu, jak obecnie wygląda nasza ojczyzna. Próbowaliśmy naprawić wielkie zło, ale się nie udało. Przykro mi z tego powodu, ale nie żałuję, że próbowałem.

Dziewczynka ciągle wyglądała na wstrząśniętą.

- Zostaniesz więc z tymi ludźmi? Będziesz walczył razem z nimi?

- Tak. Wydaje się, że ich sprawa jest tego warta, i choć raczej nie mają szans, nic jeszcze nie zostało przesądzone. Tamto jest już zamkniętym rozdziałem. Nie ma żadnej

nadziei.

- Może - odparła z wahaniem Becky. - Zobaczymy. W każdym razie ja ciebie nie zdradzę. Gdy spotkam kapitana Jenksa, powiem mu całą prawdę, pomijając twój udział w tych wydarzeniach. Czy to wystarczy?

- Wystarczy, wasza wysokość. Dziękuję.

- O co chodzi z tą „waszą wysokością”? - spytał Silva, który nagle wyrósł tuż obok Becky.

Zaraz po nim pojawił się kapitan Reddy, już w galowym mundurze, z pałaszem u boku.

- A takie, panie Silva - powiedział cicho, patrząc na dziewczynkę - że przez cały ten czas przestawał pan z osobą z rodu panującego, choć nic pan o tym nie wiedział. Nikt z nas nie wiedział. - Rozejrzył się wkoło. Już wcześniej postanowił, że Silva znajdzie się wśród wtajemniczonych. - I na razie tak zostanie. Nikomu o tym nie mów, Dennis. Od teraz, aż do czasu, gdy ludzie Becky ją zabiorą, jesteś za nią odpowiedzialny. Ty i pan O'Casey, oczywiście. Jej bezpieczeństwo jest w waszych rękach. Wasza wysokość? - Dziewczynka skinęła głową. - Dobrze. Może pora stosownie się przedstawić?

- Becky - powiedziała i odchrząknęła. - Rebecca Anne McDonald. Chyba tyle wystarczy. Jak wspomniał pan O'Casey, moje tytuły nie mają już większego znaczenia. Tylko jeden jeszcze jest coś wart i mam nadzieję, że któregoś dnia zrobię z niego użytek, jeśli będę miała możliwość.

Zaraz potem dobiegł odgłos, którego nigdy jeszcze nie słyszała. Narastał z wolna, wypełniając uszy. Spojrzała w górę.

- Co za głupek? - warknął Matt. - Kto mu pozwolił wystartować? - Podeszedł do relingu, wpatrując się w nadciągającą z południa catalinę. Dziwnie wyglądała ze skróconymi skrzydłami, a silniki hałasowały, jakby miały kamienie.

- Nie do wiary, że mu się udało - powiedział Gray, dołączając do gromadki.

- Stary Benny złożył do kupy ten złom - stwierdził Silva. - Jak na lotnika jest całkiem rozgarnięty.

- To samolot! - wykrzyknęła Becky. - Jest! Naprawdę! Pan Flynn opowiadał mi o nich, ale nie wierzyłam. Patrzcie! Usiądzie na morzu?

Catalina przemknęła obok *Walkera*, skrzyła ostrożnie i skierowała się na pas wody między niszczycielem a jednostkami strzegącymi wejścia do zatoki. Dwieście jardów od nich opadła na fale i szybko wyhamowała. Pilot zwiększył obroty lewego silnika i skręcił w stronę okrętu.

- Patrzcie! Płynie tu! - powtarzała dziewczynka, niemal podskakując.

Gdy maszyna była już o sto jardów, pilot - najpewniej Mallory - obrócił ją ogonem do burty i wyłączył silniki. Zapadła cisza, która wydała się nagle równie intensywna jak wcześniejszy warkot. Minęła chwila i na skrzydle pojawił się sygnalista Palmer.

Matt dostrzegł Stitesa opartego o reling obok motorówki.

- Nie stój tak! - krzyknął. - Płyn po niego! - Spojrzał na Silvē i O'Caseya, a przy okazji zauważył niecierpliwą się zakonnice. - Nie przeszkadzajcie sobie. Moje miejsce jest teraz na mostku.

- Kapitanie! - zawołała zakonnica z wyraźnym holenderskim akcentem. Matt skrzywił się lekko i poczekał, aż kobieta do niego podejdzie. - Kapitanie! Muszę zaprotestować! Od kilku dni domagam się rozmowy z panem.

- Przepraszam, hm, siostr...

- Siostra Audry. Doceniam, że wyratował nas pan z poprzedniej... sytuacji, ale z tego, co słyszałam, płynie pan teraz prosto do boju? Czy nie pomyślał pan o dzieciach, które są pod moją opieką? Czyżby chciał pan je wystawić na niebezpieczeństwo? Muszę nalegać, żeby przewiózł je pan w bezpieczne miejsce.

Matt zazgrzytał zębami.

- Pani... siostr, nie mam teraz czasu na dłuższą rozmowę, ale daję pani słowo, że dzieci będą bezpieczne. Gdybym mógł wysadzić je gdzieś wcześniej, zrobiłbym to, ale nie było po drodze takiego miejsca. A teraz proszę mi wybaczyć. - Obrócił się i odszedł, pozostawiając zakonnice w stanie wrzenia.

Niebawem przybiła do burty motorówka z Palmerem. Sygnalista szybko wskoczył na pokład, zsalutował banderze i Grayowi, po czym pognał na mostek.

- Skipper! - rzucił radośnie, salutując ponownie. - Miło mi pana widzieć!

- Radość jest wzajemna, ale co to ma znaczyć? - Matt wskazał na samolot.

Palmer przybrał pozę urażonej niewinności.

- No tak, wiem, ale... Naprawdę, skipper, nie latalibyśmy tym złodem, gdyby nie było to konieczne. Trzyma się powietrza, ale pewnie tylko dlatego, że nie lubi wody. Pan Letts nas wysłał. Miał pan rację. Grikowie są w drodze. Poobijali trochę *Mahana* i z początku myśleliśmy, że wyszli w morze, żeby go przechwycić, ale nie. Wydaje się, że idą na nas.

- Ktoś widział *Amagiego*?

- Nie w pierwszym zespole. Liczy on trochę ponad sto jednostek, nawet po tym, jak *Mahan* im dołożył. Wydawało nam się, że widzieliśmy jakiś dym na południu, ale nie chcieliśmy pchać się tam z naszą damą. Rozumie pan. - Palmer wzruszył ramionami. -

Wzdragam się na tę myśl, ale chyba niebawem przyjdzie nam rozebrać ją na części.

- Pewnie tak - mruknął smętnie Matt. - Pewnie jeszcze raz będziemy jej potrzebowali, a potem... Szybko tu będą?

- Mają niesprzyjający wiatr, ale do jutra rana dotrą.

- Rozumiem. Jak z przygotowaniami, o których wspomniałem panu Sandisonowi?

- Jeszcze nie zaczęli. Dopiero co połataliśmy *Mahana*. Mogli zająć się tym wieczorem, ale Sandison wolał poczekać na dzienne światło.

- Słusznie - mruknął Matt. - Będziemy więc musieli trochę spowolnić tę bandę. - Tak jest, sir.

Matt zwrócił się do Dowdena.

- Musimy wylądować pasażerów i pobrać paliwo, bo płyniemy już na oparach. Przekazać flocie, żeby szykowała się do walki.

*

Isak Rueben pieścizotliwie przeciągnął dłonią po dochodzącej do kotła rurze i postukał w miernik.

- Widzę, że jakoś tu sobie beze mnie radziliście.

- Jasne - odparł Gilbert. - Oczywiście mały remont zawsze by się przydał. Ale kotły są w lepszym stanie niż przez ostatnie dwadzieścia lat.

- Aż tak byłem niepotrzebny? - mruknął Isak.

- No, nie było aż tak, jakeśmy uciekali z Surabai czy później, ale coś tam zawsze nawali - dodał pośpiesznie Gilbert.

- Co takiego? - spytał z zainteresowaniem Isak.

- Druga dymnica puszcza - pośpieszyła z wyjaśnieniem Buras. - Dym idzie do przedniej kotłowni. I rury w trójce się przepalają. - Splunęła na brudny pokład. - Świeża obsługa zbyt podkręciła płomień. Już dymią.

- I Laney całkiem zbeczelniał - dodał Gilbert. - Zapominał, że było nas tylko dwoje do całej tej roboty. A ty wypoczywałeś sobie na tropikalnej wyspie.

- Za to nie musieliście się tłuc z grikami. I mieliście rozrywkę z tą całą gromadą dzieciaków i kobiet. A ten oswojony grik na pokładzie? - Wskazał na Buras. - Wcześniej to ona była maskotką. Mówię wam, to nie w porządku.

Buras i Gilbert prychnęli rozbawieni, a Isak się uśmiechnął. Ponownie szczerze.

- Dobrze jest wrócić - powiedział. - Będzie trochę zabawy.

*

Gdy tylko Chuck ją zobaczył, jednym skokiem pokonał odległość dzielącą jeszcze okręt od nabrzeża i pobiegł objąć Safirę Maraan, w ogóle nie zwracając uwagi na ścigające go z pokładu gwizdy i krzyki. Zazwyczaj godnie nosząca się królowa nie próbowała nawet skrywać swych uczuć. Silva, który nie chciał zostać w tyle, powtórzył wyczyn Chacka, tyle że miał już mniej do przeskoczenia. Na niego czekały dwie osoby: Pam Cross oraz Risa-Sab-At, która była obecnie instruktorem oddziałów połączonych klanów *Salissy*. Wszyscy czekali w napięciu, co teraz będzie. Silva zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany, dziewczyny najwyraźniej także. Udając zmieszanego, stanął przed nimi, spoglądając to na jedną, to na drugą, ale w końcu objął je obie potężnymi ramionami.

- Trap! Szkoda czasu! - krzyknął, biegnąc wraz z nimi przez tłum. Załoga nagrodziła go śmiechem i gwizdami.

- Zabezpieczyć cumy! - ryknął Gray, przekrzykując zgiełk. - Następny... kot czy człowiek... który skoczy z okrętu, zostanie uznany za dezterera!

- Szajbus! - powiedział Dowden, stojący obok Matta na lewym skrzydle mostka. - Każę mu wypolerować cały mosiądz na okręcie, od dziobu do rufy! Szczoteczką do zębów!

Matt ledwie go słyszał. Chyba jedyny na pokładzie nie zwrócił większej uwagi na wyczyny dwóch swoich podkomendnych. Całą uwagę skupił na drobnej postaci stojącej trochę z boku tłumy. Jej piaskowe włosy powiewały na wietrze.

- Nie przejmuj się, pozwoliłem mu - uspokoił Dowdena. - Ludzie muszą się czasem pośmiać.

Dowden zachichotał, po czym przeniósł wzrok za spojrzeniem kapitana. Tucker uśmiechała się smutno, patrząc nad przestrzenią, którą inni po prostu przeskakiwali. W jej oczach malowała się radość z powitania oraz miłość, ale i cierpienie, które mało nie złamało serca Dowdenowi. Spojrzał z powrotem na Matta i pojął, dlaczego kapitan włożył galowy mundur. I dlaczego wcale się nie śmieje.

Matt odsunął się gwałtownie od relingu. Obok przy tym samym nabrzeżu cumował *Mahan*, który wyglądał jakby trochę gorzej. Burty znaczyły rdzawe nacieki, tu i owdzie jaśniały plamy świeżej farby. Jego załoga krzyczała do kolegów na *Walkerze* i machała rękami, ale prawie nie było jej słychać. Dopiero gwizdek parowy przebił się przez ten harmider. Matt miał wrażenie, że mimo długiej podróży *Walker* prezentuje się teraz lepiej. Zauważył też, że siostrzany okręt wrócił do dawnego numeru - 102. Nowy malunek ostro kontrastował z poszarzałym tłem. Oczywiście Matt udzielił zgody na tę zmianę - rano przesłał ją przez radio. Nie było sensu dłużej się kamuflować. Przy odrobinie szczęścia nieprzyjaciel nie powinien zobaczyć *Mahana* za wcześnie, a co najważniejsze, Ellis i jego załoga mieli

wreszcie zasłużone powody do dumy.

- Natychmiast zabrać się do bunkrowania - rozkazał Matt. - Wylądować pasażerów i personel dodatkowy. Oraz broń krótką, amunicję, bomby głębinowe... Ma pan listę.

- Aye, aye, kapitanie.

- Jeśli wystarczy czasu, może zajmiemy się także tym, co będzie potrzebne na jutrzejszy wieczór. A na razie... - spojrzał na zegarek; była 13.10 - proszę puścić na ląd tylu ludzi, ilu tylko się da. Możemy poczekać na *Salisę*, ale o dziewiętnastej chcę już być w drodze. A teraz przepraszam. Muszę się z kimś zobaczyć.

*

Zebrali się w Wielkiej Sali na zapewne ostatniej odprawie przed walką. Letts, Brister i Sandison, a także Rolak, czekali na Matta już na nabrzeżu, nie miał więc ani chwili, którą mógłby spędzić tylko z Sandrą. Stali jednak obok siebie i chociaż nie trzymali się za ręce, ich ramiona stykały się, dając obojgu istotną namiastkę bliskości. Na razie musiało to wystarczyć, chociaż żadne nie wiedziało, co przyniosą następne dni.

Jej wysokość Rebecca McDonald, Sean O'Casey oraz chorąży Laumer stali zaraz obok, przy czym pierwszych dwoje zostało przedstawionych jako rozbitkowie ze statku legendarnych bezogoniastych, co na początku spowodowało duże poruszenie. Niemniej stary Naga nie pokazywał się już publicznie od wielu dni, a zaliczający się do lepiej poinformowanych Adar sam jeszcze nie rozstrzygnął, na ile obecna wiedza może się kłócić z dogmatami zawartymi w Zwojach. Na razie postanowił nie robić sprawy wokół gości i poczekać, aż jakoś mu się to ułoży w głowie. Ważyły się losy jego ludu, toteż nie chciał nowych kontrowersji, zwłaszcza związanych z różnymi spojrzeniami na historyczne przecież wydarzenia. Nie przypuszczał, żeby to jakoś wpłynęło na podstawy ich wiary i wizję Niebios, skoncentrował się więc na tym, co było dla niego najważniejsze: na zwalczaniu grików. Jeśli uda się ich zwyciężyć, wtedy będzie można się zająć rozważaniami teologicznymi i, być może, jakąś rewizją ich religijnego spojrzenia na świat.

Chorąży Laumer wydawał się trochę zagubiony. Nie miał dość czasu, żeby zorientować się we wszystkim. Już poprzednia sytuacja znacznie wykraczała poza jego dotychczasowe doświadczenie, tak że wobec zdarzeń stracił kompletnie wątek. Matt wiedział, że na razie nie byłoby sensu pchać tego dzieciaka do walki, ale chciał znaleźć mu jakiś przydział, żeby nie zmarnować człowieka oraz talentu. O'Casey przyglądał się otoczeniu z kamienną twarzą, ale najwyraźniej był zadowolony i chętnie by w czymś pomógł załodze. Prosił kapitana o przydział, ale Matt jeszcze nie był pewien, gdzie go skierować. Na razie przedstawił go Lettsowi i kazał porucznikowi znaleźć mu coś stosownego. Gdy zaś chodzi o

dziewczynkę, do jej opiekunów dołączyła także Sandra Tucker.

Była to sympatia od pierwszego wejrzenia. Rebecca mogłaby uchodzić za młodszą siostrę Sandry. Obie od razu zdały sobie sprawę z tego podobieństwa. Na dodatek obie były też inteligentne, zdecydowane, nawykłe do samodzielnych wyborów oraz bardzo empatyczne. Sandra była pod wrażeniem odporności dziewczynki i jej zdolności do radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Nie wspominając o poświęceniu i trosce, które okazywała przyjaciołom - Lawrence'owi, a nawet Silvie. Gdy Matt je sobie przedstawił, Rebecca była jeszcze cała wściekła na Dennisa za to, jak zachował się na nabrzeżu, co Sandra od razu zauważyła. Natychmiast też domyśliła się, co było tego przyczyną. Wyczuła także, że dziewczynka skrywa coś, co nie powinno być omawiane publicznie.

Rebecca ujrzała w Sandrze odbicie swojej matki, którą bardzo kochała, choć porucznik była kobietą czynu. Dziewczynka zauważyła już, jak wiele różni społeczeństwo kotowatych od jej świata, gdy chodzi o rolę kobiety. Co więcej, Amerykanie okazali się pod tym względem podobni do lemurów. Wyczuwała, że są gotowi chronić kobiety przed wszystkimi niebezpieczeństwami, i to nie tylko dlatego, że mają ich tak niewiele. A przy tym nie towarzyszyła temu poza wyższości czy pogardy, mężczyźni nie traktowali ich jak swej własności. Sama nigdy nie akceptowała takiego podejścia, a nawet, ze względu na swoją pozycję, nie musiała, ale wiedziała, co się dzieje wokół niej. Tutaj kobiety mogły decydować o sobie, zyskać status równy mężczyznom, czego Sandra była żywym dowodem. Każde jej słowo, każdy gest, nawet przypadkowy, a zwłaszcza jej postawa, świadczyły o tym jednoznacznie. Rebecca nigdy jeszcze nie widziała takiej kobiety, która nie rezygnując z atrybutów swojej płci, byłaby naprawdę szanowana nie dzięki urodzeniu, ale ze względu na swą osobowość.

Dziewczynka wyczuła w niej również smutek, wrażliwość nie mającą nic wspólnego ze sferą zawodową i szybko zrozumiała, że kryje się za tym jakiś sekret. Mimo młodego wieku wkrótce zrozumiała, o co chodzi.

Teraz stała z rączką w dłoni Sandry i chłonęła widoki oraz zapachy Wielkiej Sali, słuchając przejmujących wypowiedzi. Gdy mówił Matt, w pewnej chwili aż krzyknęła z cicha, choć sama nie wiedziała, czy to dlatego, że Sandra bezwiednie zacisnęła palce na jej dłoni, czy z powodu tego, co powiedział kapitan Reddy. Sandra zaraz przyklękła i cicho przeprosiła dziewczynkę, a Matt przerwał na chwilę, żeby na nie zerknąć. W tym krótkim momencie dostrzegła w nim coś, czego wcześniej nie widziała: łagodną, niemal chłopięcą czułość, którą atakowała jakaś złowroga siła. Pomyślała, że pewnie chodzi o wszystkie te rzeczy, które musi obecnie robić, żeby odeprzeć osaczającą go grozę. Zamrugła

oszołomiona, ale zaraz się opanowała i ponownie przybrała zwykłą, wyrażając zainteresowanie minę.

Matt odwrócił się i znów zaczął mówić. Zasadniczo do wszystkich, ale przede wszystkim do wielkiego wodza Baalkpanu. Niestety, Nakja-Mur był obecnie cieniem samego siebie. Niegdyś masywne ramiona wydawały się słabe, co Matt wyczuł, gdy obejmował przyjaciela na powitanie.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że wróciłeś - cicho powiedział Nakja. Spojrzenie miał trochę nieprzytomne i widać było, że napięcie ostatnich tygodni mocno się na nim odbiło. Może nie osłabiło woli, ale ciało jakby skapitulowało. Od powitania tylko siedział na poduszkach i prawie się nie odzywał.

- ...i tak wyruszymy dzisiaj wieczorem wraz z fregatami - powiedział Matt. - Spróbujemy nawiązać kontakt z przednim zespołem grików i zaatakować go, nim za bardzo się zbliży. To powinno dać panu Sandisonowi oraz *Mahanowi* dość czasu na przygotowanie niespodzianek dla nieproszonych gości. - Spojrzał na Berniego Sandisona. - Mogę zostawić ci *Silwę* i *Graya*, żeby dopilnowali szczegółów. Przydałby ci się też *Campeti*, ale będę go potrzebował w walce.

- Dzięki, skipper - odrzekł Bernie. - Nie liczyłem aż na tyle. Dobra robota.

- A co z krążownikiem *Amagi* i głównymi siłami? - spytał Alden, pierwszy raz przypominając o swoim istnieniu. Wciąż nie wyglądał kwitnąco.

- Zapewne nadciągną pojutrze - odparł Matt. - Tak przypuszcza Mallory, o ile ten dym, który widział, był właśnie z krążownika. Chyba tak, bo co innego mogłoby tu dymić? Musieli się bardzo uwijać z jego naprawami, ale nic w tym dziwnego, bo przecież jest ich atutem. W zwykłej sytuacji mógłby zrównać Baalkpan z ziemią, nawet nie wchodząc do zatoki. Jego artyleria jest znacznie efektywniejsza, gdy pociski spadają z góry. Gdy strzela na wprost, to albo trafia, niszcząc całkowicie cel, albo tylko marnuje amunicję. Dlatego okręty uzbrojone w wielkie działa nie podchodzą zwykle zbyt blisko do siebie podczas walki - dodał, starając się przekazać gestami podstawowe informacje z zakresu balistyki. - Jeśli jednak będzie się trzymać daleko, nie wypatrzy celu. Musiałby wysłać obserwatorów korygujących ogień. Może ich ulokować na którejś jednostce grików, a nawet wysadzić na brzeg. Niewykluczone, że z radiostacją, jeśli mają jakąś wolną. W przeciwnym razie przyjdzie im strzelać na ślepo. - Zakreślił ręką wysoki łuk. - Wtedy większość pocisków chybi, a założę się, że nie mają ich za wiele. - Spojrzał na Sandisona, a potem na Nakję-Mura. - Nam też amunicja zaczyna się kończyć, chociaż znaleźliśmy jej trochę na okręcie podwodnym. Wprawdzie Jim mówi, że jego miedziane pociski sprawują się całkiem dobrze, ale ich siła rażenia jest znacznie

mniejsza. Tylko wybijają dziury. Któregoś dnia wyprodukujemy pociski eksplodujące. Japończykom będzie trudniej wykonać więcej pocisków do ich olbrzymich dział. Zwłaszcza pocisków eksplodujących. Bez tego nie będą wiele groźniejsze niż nasze miedziane. W umocnieniach ziemnych zrobią tylko większą dziurę. Poza tym nie przypuszczam, żeby Japończycy zdradzili grikom, jak zrobić coś zdolnego zaszkodzić ich krążownikowi. Tak czy owak na pewno będą się miarkować, zwłaszcza że zużyli sporo amunicji na zniszczenie *Nerracki*. Musieli być przekonani, że zaraz nas dopadną i skończą z nami. Wyszło jednak inaczej - powiedział, przypominając sobie tamtą straszną noc. - Sądzę więc, że tym razem wejdą do zatoki, żeby użyć także artylerii pomocniczej. Na tym opieramy nasze plany i sądzimy, że to jedyna szansa, żeby zniszczyć japoński okręt. - Spojrzał na Kejego. - Tyle że pływające domy zostaną wówczas zdruzgotane.

- Wolałbym tego uniknąć - stwierdził Keje.

- Ja też. Dlatego *Salissa* i inne pływające domy powinny opuścić zatokę jeszcze dzisiaj wieczorem.

- Przysięgaliśmy walczyć! - zaprotestował Ramik. - Mamy z nimi rachunki do uregulowania. Nie odpłynę!

- I ja się stąd nie ruszę - dodał Geran-Eras.

- Miło mi to słyszeć i już wyjaśniam to nieporozumienie. Wasi wojownicy będą walczyć na lądzie, tak jak w Aryaalu, ale uważam, że same domy powinny odpłynąć niezwłocznie do Sembaakpanu, niedaleko naszego nowego stanowiska wiertniczego na Tarakanie. To prowizoryczne kotwiczowisko, ale wasze statki znajdują się tam poza zasięgiem krążownika. Gdybyśmy stawiali czoło samym grikom, użycie domów jako pływających baterii byłoby ze wszech miar uzasadnione. Mogłyby sprawić przeciwnikowi tęgie lanie. Jednak w starciu z krążownikiem *Amagi* nie będą miały szans. Po drugie, wycofując pływające domy, moglibyśmy zabrać stąd więcej uchodźców, którzy nie zmieścili się na *Fristarze*. Oraz tych, których właśnie przywieźliśmy. - Zerknął na chorążego Laudera. Młody podoficer wyglądał na całkiem zagubionego. Matt domyślał się, jak biedak musi się czuć.

- Laumer? - zwrócił się do niego.

- Sir?

- Pana i połowę załogi podwodniaków też chcę odesłać. Będziecie osłaniać cywilów. Poza tym, jeśli tutaj nam się nie uda, pan będzie odpowiadał za dalszą walkę i wtajemniczenie naszych sojuszników w różne szczegóły techniczne. - Laumer wyprostował się, zadowolony, że ma wreszcie coś do roboty. Coś, co nie przekracza jego możliwości.

- Aye, aye, sir.

Matt zwrócił się ponownie do Gerana-Erasa.

- Wiem, że jest też mała osada na Saangku. Być może ją też trzeba będzie ewakuować, jeśli nam się nie uda. - Kilka osób pokiwało głowami. - Gdyby do tego doszło, pływające domy będą potrzebne do jeszcze jednego. Jeśli Baalkpan upadnie, będziemy wycofywać się przez dżunglę na północ do miejsca, w którym powinny na nas czekać pływające domy. - Wszyscy wiedzieli, jak niebezpieczna jest dżungla Borno, zwłaszcza gdy grikowie następują na pięty. Do punktu ewakuacyjnego dotarłaby najwyżej garstka. - Kiepski to plan awaryjny, ale lepszy taki niż żaden.

Wielcy wodzowie trzech pozostałych pływających domów musieli się naradzić. Matt milczał, czekając, aż Keje, Geran i Ramik do czegoś dojdą. W końcu dali znak, że są gotowi, i Nakja poprosił o ciszę.

- Zgadzą się - powiedział Keje. - *Humfra-Dar* i *Aracca* wyjdą niezwłocznie do Sembaakpanu z załogami wystarczającymi do obsługi żagli i artylerii, gdyby okazało się to konieczne. Ich wielcy wodzowie pozostaną tu i będą dowodzić wojownikami.

- Dobrze - powiedział z namysłem Matt. - A Salissa?

- *Salissa* zostanie z *Walkerem* - oznajmił zdecydowanym tonem Keje. - To akurat, mój bracie, jest poza dyskusją. Cały czas zdajesz się zapominać, że *Mahan* i *Walker* będą wystawione na te same niebezpieczeństwa, przed którymi chcesz chronić nasze domy. Nie zostaną same. *Salissa* posłuży za pływającą baterię i wytrwa tak długo, jak tylko zdoła.

W sali zrobiło się bardzo cicho. Wszyscy zastanawiali się nad znaczeniem tej decyzji, Matt zaś nie wiedział po prostu, co powiedzieć.

- Dostrzegam jeszcze jeden problem - po jakimś czasie przerwał ciszę Ellis. - Chodzi o ten przeklęty samolot obserwacyjny, który nas zbombardował. Jeśli znowu się pokaże, może wiele popsuć. Japończycy będą się trzymać na dystans i nie zdołamy nic im zrobić.

Matt wiedział, że Ellis nie jest zachwycony rolą, jaką ma odegrać wraz z *Mahanem*, i jego ton wydał mu się trochę konfrontacyjny. Matt zerknął najpierw na Shinyę, potem spojrzał przyjacielowi i zarazem swojemu byłemu pierwszemu prosto w oczy.

- Trafna uwaga, ale... wiem z pewnego źródła, że ten samolot nam nie zagrozi - powiedział.

- Jak to...?

- Nasze radio było sprawne. Odebraliśmy pewną wiadomość nadaną otwartym tekstem. Mówiła o uszkodzeniu samolotu. To było zaraz po tamtym ataku.

- No... jasne. Ale to tylko jeden z przykładów, jak łatwo nasz plan może się posypać.

- Wydawało mi się, że go aprobujesz. Jeśli jest inaczej, dlaczego wcześniej nic nie

wspomniałeś?

- Bo uważałem... uważam go za dobry - odparł zmieszany Jim. - Chociaż nie. Jest fatalny, ale w tych okolicznościach najpewniej nie zdołamy opracować lepszego. Nie podoba mi się tylko, jak już wspominałem, że wyklucza on *Mahana* z walki. Nie powinno być tak, że to na *Walkerze* spoczywa cały ciężar!

Matt pokręcił głową.

- *Mahan* jest obecnie zbyt słaby. To byłoby samobójstwo. *Amagi* ma zobaczyć *Walkera*, co oznacza, że zacznie do niego strzelać. Z jednym dobrym kotłem i jedną śrubą *Mahan* byłby równie łatwym celem jak kaczka siedząca na jajach.

- *Walker* nie jest w o wiele lepszym stanie - upierał się Jim.

- Ale jest szybszy - powiedział Matt z naciskiem. - Gdy tylko *Amagi* nas spostrzeże, postawimy zasłonę dymną i będziemy wrywać ile sił. Pomyślą, że uciekliśmy i że mają niszczyciel z głowy. Wtedy właśnie zjawi się *Mahan*. Poza tym - dodał z uśmiechem - przywróciłeś już stary numer.

- Dobra, skipper, ale następnym razem to *Mahan* będzie robił za wabik, a *Walker* będzie się podkradał. Niech będzie po równo. Chłopaki uważają, że zostali odstawieni na boczny tor. Chcą wrócić na główny - dodał ze śmiechem, chociaż Matt wiedział, że Jim jest śmiertelnie poważny. Załoga *Mahana* nie chciała oczywiście ryzykować bardziej niż inni, ale pragnęła odegrać swoją rolę. Wielu wciąż czuło się źle po historii z Kaufmanem i ostatni sukces całkiem tego nie wymazał.

- Masz to jak w banku, Jim - obiecał Matt. - Następnym razem.

- I chyba wszystko się do tego sprowadza, prawda? - odezwała się nagle Sandra. Wszyscy spojrzeli na nią zdumieni tym gorzkim tonem. - „Zwyciężaj lub giń” i tak dalej. A nawet „giń, choćbyś zwyciężył”?

- Tak było od początku - łagodnie powiedział Matt. - Od szkwału. W naszym świecie mieliśmy jeszcze coś oprócz bieli i czerni. W ostateczności można było się poddać, nawet Japończykom. Ale tutaj jest inaczej. - Zaczerpnął powietrza. - W sumie masz więc rację. Tak właśnie to wygląda.

Sandra zadrżała, choć w sali było ciepło. Przyklękła i przygarnęła Rebeccę.

- Może, ale gdy zaczniesz z tego żartować - odrzekła - robi się jeszcze straszniej.

Nakja odchrząknął, zwracając na siebie uwagę.

- Zatem wszystko już postanowione. Mam tylko jedną prośbę, kapitanie Reddy.

- Oczywiście.

- Czy mógłbyś, zanim odpłyniesz, zapoznać nas jeszcze raz ze szczegółami

właściwego planu?

ROZDZIAŁ 10

Tsalka spojrział na motorówkę, którą Kurokawa wracał na swój okręt.

- Nie cierpię tej kreatury, wodzu - powiedział.

- Ja też - syknął Eshk. - Ale jest użyteczny. Mówi, że jego żelazny okręt jest wolniejszy przez te uszkodzenia, ale przynajmniej teraz równo trzyma się na wodzie. - Syknął z rozbawieniem, przypominając sobie wściekłość Kurokawy, gdy przeciwnik zrobił dziurę w statku prawie cztery księżycy temu. - No i ma dobrą motywację - dodał enigmatycznie.

- Ten okręt jest zaiste potężny - zgodził się Tsalka. - Nigdy nie zapomnę podmuchu od jego potężnych dział, gdy roznosił statek naszej zdobyczy. To było wspaniałe!

- Zdecydowanie. - Eshk przyjrzał się żelaznemu potworowi. Z komina unosił się dym spalane go węgla, który w jakiś sposób napędzał jednostkę. Mimo wielkiej siły, jaka w nim drzemała, trudno było zapomnieć, że sojusznicy nadrzewnych potrafili go uszkodzić. Tym razem miał płynąć pośrodku Niezwycięzonego Roju, nazwanego tak dla odróżnienia od poprzedniego, Wielkiego Roju, który okrył się niesławą. Dzięki temu powinien być bezpieczny. Nic nie mogło przeniknąć przez formację prawie czterystu jednostek.

- Ale ciągle łudzi się, że jest bardzo ważny - zauważył Tsalka. - Jest nieuprzejmy i chciwy.

- To prawda. Ale często ma też rację, gdy mówi o metodach walki naszej zdobyczy. Jak wówczas, gdy twierdził, że uchodźcy będą dla nich ważni. Przyznaję, że nie dostrzegłem tego w porę. Straciliśmy sposobność. - Syknął ze złości. - Słusznie też zaproponował, żeby zachować niektórych Uul, zwłaszcza tych z doświadczeniem bojowym, gdy ich statek czy oddział zostanie pokonany. Nie wszyscy z nich stawali się zdobyczą, za to doświadczenie klęski jakby ich wzmacniało. No i nie tracimy tego, czego się nauczyli. Trudno za każdym razem zaczynać od początku.

- Powtórzę, że to bezprecedensowa i niebezpieczna praktyka - zaprotestował Tsalka. - Wbrew kształtowanej przez tysiące lat tradycji. Chyba nie chcemy zmieniać jej dla jego widzimisię? Twoje filozoficzne zamięrowania będą cię jeszcze kiedyś drogo kosztować, wodzu. Wspomnisz moje słowa. Za bardzo liczysz na swoje więzy rodzinne z Niebiańską Matką. W pewnej chwili nawet ona nie zdoła cię uratować.

- Może, ale to, co podsuwała nam nasza tysiącletnia tradycja, okazało się tym razem

niewystarczające. Improwizacja wiąże się z ryzykiem, ale ja tutaj dowodzę, ekscelencjo. Skorzystam z rady Kurokawy, zastosuję jego taktykę, dam mu wolną rękę. W pewnych granicach. Jeśli się mylę, sam poniosę konsekwencje i sam pozbawię się życia.

- Jeśli się mylisz, szanowny wodzu, to ani tobie, ani mnie nie będzie dany ten przywilej.

*

Walker odszedł od nabrzeża krótko po zmroku, żeby dołączyć do fregat czekających w Cieśninie Makasarskiej. Rano, gdy tylko wzeszło słońce, *catalina* wystartowała do swojego zapewne ostatniego lotu. Wówczas przy pirsie pojawiły się dwie stare barki. Na jednej zamontowano okazały katar, na drugiej piętrzyły się puste beczki oraz pale o rozmiarach słupów telegraficznych. Na obu kręcili się stoczniovcy i zwykli robotnicy kończący przygotowania.

Gray i Silva stali na trzeciej barce, połączonej z dwoma poprzednimi długim holem. Wraz z nimi byli tu także Laney, Hale, Newman i Rat oraz sześciu miejscowych pomocników. Gdy rzucili już wszystkie cumy, Gray dał sygnał. Połączony z pierwszą barką *Mahan* ruszył powoli, napinając hol. Trzecia barka musiała najdłużej czekać na odejście od nabrzeża, bo jej hol był dwa razy dłuższy od pozostałych. Powodem był ładunek. Znajdowały się w niej wszystkie, oprócz dwudziestu, bomby głębinowe z *Walkera* i połowa z *Mahana*. Oba niszczyciele wyszły z Surabai z kompletem bomb i zużyły potem tylko dwie, rzucone podczas ucieczki przed gigarybą.

W odróżnieniu od torped magnetycznych Mark 6, które sprawiały tyle kłopotu, oznaczone takim samym numerem bomby głębinowe działały jak należy. Była to bardzo prosta konstrukcja, niemal identyczna z tymi, których używano podczas Wielkiej Wojny. Składała się z metalowego czterdziestogalonowego pojemnika, wypełnionego sześciuset funtami trotylu. Wybuch powodował zapalnik ciśnieniowy, który można było ustawić na żądaną głębokość. Właśnie prostota decydowała o niezawodności tej broni, przynajmniej gdy używano się jej zgodnie z przeznaczeniem. Problemem było tylko rzucenie takiej bomby we właściwym miejscu. Żeby wybuch uszkodził kadłub sztywny okrętu podwodnego, detonacja musiała nastąpić co najmniej dwadzieścia jardów od jego burty. Zniszczenie celu wymagało odległości o połowę mniejszej. W praktyce trudno było uzyskać taką celność, zwłaszcza że okręty podwodne zwykły manewrować w zanurzeniu. Gray często porównywał polowanie na nie do ostrzeliwania nietoperzy z zawiązanymi oczami.

Teoretycznie eksplozja trzystu kilogramów silnego ładunku wybuchowego tuż pod celem nawodnym powinna spowodować poważne zniszczenia. Tak właśnie miały działać

nieudane torpedy magnetyczne. Matt kazał Sandisonowi tak przerobić bomby głębinowe, żeby zadziałały na podobieństwo torped.

- To się nie uda - krzywiąc się, rzekł Silva, gdy pociąg barek wypłynął na zatokę. Dennis siedział na jednym z sześćdziesięciu upakowanych na barce cylindrów. - Wybuchną, gdy tylko znajdą się w wodzie. Wszyscy zginiemy.

- Zamknij się, świrze - warknął Gray. - Poza tym co się martwisz? Przynajmniej umrzesz szczęśliwy. - Zniknąwszy po południu z Pam i Risą, Silva pojawił się z powrotem dopiero rano.

- Właśnie - rzucił Hale. - Dość mamy problemów z kobietami, a ty jeszcze pogarszasz sprawę. Dwie już zajęte i zostały tylko dwie, nie licząc tych nowych, co odpłynęły wczoraj na *Humfra-Darze*.

- Czyżbyś coś sugerował? - spytał z niewinną miną Silva.

Laney stanął przed nim z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

- Jak się zaraz nie zamkniesz, to ci przydzwonię!

- Poluzuj, Laney - powiedział Silva. - Jeśli taki z ciebie dzwonnik, poderwij sobie kociaka. Zdziwisz się, jak one lubią przygody!

- Ty ciągle to samo!

Silva znowu uniósł brwi.

- Sukinkot jesteś i tyle - mruknął Randal Hale.

- Wystarczy! - odezwał się Gray. - Dość mamy na dzisiaj ciekawych zajęć. Będziemy namawiać bomby głębinowe, żeby udawały miny.

- A to niby jak? - spytał Newman.

- Widzicie te pale na pierwszej barce? - Pokiwali głowami - Wbijemy je tym kafarem w dno i do każdego przywiążemy bombę. Tak, żeby była kilka stóp pod wodą. Gdyby któryś pal wystawał, to go przytniemy. Kiedy wejdzie na niego statek, pal powinien się złamać i bomba zatoni. Gdy zejdzie na dwadzieścia stóp, wybuchnie. Łapiecie?

Silva przechylił głowę.

- A w głównym kanale? Tam jest za głęboko na pale.

- Tam podwiesimy bomby pod beczkami. Dwoma albo trzema, ile będzie trzeba. I zakotwiczymy je na dnie.

- Ale przecież je zobaczą! - stwierdził Hale.

- Może, ale co z tego? Staną w miejscu? Ustawimy je tak gęsto, żeby nie dało się przepłynąć, nie trącając którejs. Dla efektu damy nawet więcej beczek, niż mamy bomb. Wystarczy potem przywiązać linę do kotwicy, żeby odciągnąć je na bok. Zostawimy taką

ścieżkę dla *Walkera*, gdy będzie wracał. W ten sposób nikt zawczasu nie pozna, że coś tam jest.

Newman zamyślił się.

- Może zadziałać - uznał w końcu. - Teraz rozumiem, dlaczego mamy taki długi hol. Domyślam się, że siedzimy na bombach?

- Otóż to - potwierdził Gray. - Jeśli jedna z nich wymknie się nam po nastawieniu zapalnika, nawet srebrzaki nie będą miały co zbierać.

*

Pete Alden stał na balkonie Wielkiej Sali razem z wielkim wodzem Baalkpanu, Lettsem, Shinyą, Bradfordem i Sandrą. Rebecca została akurat z O'Caseyem. Balkon był idealnym miejscem do obserwowania ostatnich przygotowań obronnych miasta. Oddziały znajdowały się już na pozycjach, a *Salissa* kotwiczyła tuż przy stoczni. Ustawiono ją tak, żeby w razie potrzeby mogła ostrzeliwać całe nabrzeże. Żagle zostały zwinięte i schowane pod pokładem, na którym ustawiono szeregi beczek z wodą. Ponieważ Wielka Sala wydawała im się zbyt oczywistym miejscem na stanowisko dowódcze, gdyby *Amagi* wszedł do zatoki, mieli przenieść się do któregoś z rezerwowych miejsc. Budynek ze świętym drzewem zbyt wyróżniał się w krajobrazie miasta i istniało uzasadnione ryzyko, że zostanie ostrzelany w pierwszej kolejności. Nakję przerażała perspektywa utraty drzewa, ale nic nie mógł na to poradzić.

Karen Theimer dokonywała cudów, organizując szpital centralny oraz cały korpus sanitarny. Wszyscy wyszkoleni wcześniej lekarze i pielęgniarze zostali już do niego włączeni. Sandra miała kierować całością ze szpitala. Karen została jej zastępcą, pozostałe pielęgniarki stały na czele szpitali polowych w północnym i południowym Baalkpanie. Mniejsze punkty pomocy zorganizowano tuż za linią umocnień pod dozorem takich weteranów jak Selassa. Sandra bolała, że nie będzie mogła zostać na *Walkerze* podczas walki, ale dobrze wiedziała, że jej miejsce jest w szpitalu. Jamie Miller powinien wystarczyć tym, którzy będą potrzebowali pomocy na okręcie. Naprawdę nie miała żadnej wymówki, żeby tam być. W tym wypadku jej osobiste odczucia nie wystarczały.

Ponieważ bez generatorów prądowórczych *Mahana* nadajnik był bezużyteczny, został złożony w głębokim bunkrze. *Walker* miał utrzymywać łączność za pomocą flag oraz sygnałów świetlnych. W razie potrzeby można też było wykorzystać radia kryształkowe, zbudowane przez Riggsa, które prawie nie wymagały elektryczności. Eksperymentalne akumulatory, które udało się skonstruować, dostarczały go dość, zatem Matt mógł dowodzić także z pokładu okrętu. Przynajmniej teoretycznie. Z drugiej strony, nawet jeśli wszystko

poszłoby zgodnie z planem, *Walker* ogromnie ryzykował, wystawiając się na ogień przeciwnika. Był to jednak decydujący element ich planu. Mimo to Sandra żałowała, że jej tam nie będzie.

Jakby tego było mało, zazdrościła też Karen możliwości publicznego okazywania uczuć.

Nagle zorientowała się, że Letts coś do niej mówi.

- Słucham?

- Pytałem, czy ma pani jakieś pytania albo życzenia, porucznik Tucker. - Niedysiejsza nieśmiałość Lettsa zniknęła bez śladu. Wprawdzie to Alden miał dowodzić lądową obroną miasta, Letts jednak wciąż był szefem sztabu Matta.

- Nie wiem, co zrobić z dziewczynką i panem O'Caseyem.

- Myślałem, że będzie z panią w szpitalu. Swoją drogą dlaczego ona jest taka ważna? - Z obecnych tylko Bradford i Nakja wiedzieli, kim jest Rebecca, a że nie mogli się z nikim podzielić tą wiedzą, Letts nie doczekał się odpowiedzi. - Jeśli pani ją weźmie, ja zajmę się O'Caseyem. Chętnie się dowiem, co to za człowiek.

- Niech będzie. - Sandra pokiwała głową. - Poza tym wszystko pod kontrolą.

- Dobrze. Panie Alden?

- Jesteśmy gotowi - odparł Pete, wzruszając ramionami. - Na tyle, na ile możemy być bez posiłków. *Mahan* przed chwilą wywiesił sygnał, że kończy stawiać miny. Cudownym zrządzeniem losu nikt przy tym nie zginął. No i pan Riggs jest wreszcie zadowolony z dobrej widoczności z wieży sygnałowej w Fortcie Atkinsona. Wycięli ostatnie drzewa, które ją zasłaniały. Wysłałem też lorda Rolaka i 1. batalion aryaalski, żeby wzmocnili obronę fortu. Ponadto uważam, że to pan Shinya powinien otrzymać dowodzenie wydzielonym oddziałem, o którym rozmawialiśmy.

- Tak właśnie mówił kapitan - zgodził się Letts.

Pete zwrócił głowę w stronę Japończyka. Od czasu powrotu z Manili, a nawet jeszcze wcześniej, jego przyjaciel był dziwnie milczący.

- Chcę skierować 1. batalion marines, 10. baalkpański oraz wojowników z *Aracki* na przednie pozycje na południowym i zachodnim podejściu do miasta. - Uniósł rękę. - To nie ma być ostatnia bitwa Custera ani jej japoński odpowiednik. Nie oczekuję niczego, co przekraczałoby wasze możliwości. Macie tylko powstrzymywać mniejsze siły przeciwnika próbujące odciąć nas od fortu.

- 1. batalion marines ma niepełny stan - odparł odruchowo Shinya. - Poniósł straty na Tarakanie i pod B'mbadoo.

- Może dopełnimy go wprawniejszymi strzelcami z drugiego? Zajmiesz się tym?

Shinya z powagą skinął głową.

- Ale nie będzie flaczków, gdybyś musiał się wycofać? - spytał równie poważnie Pete.

Tamatsu zaśmiał się. Mimo napięcia odzywka Aldena go ubawiła.

- Chyba że otrzymam taki rozkaz. To nie jest czas na samolubne gesty. Poza tym byłoby to jeszcze gorsze niż oddanie terenu. Prezent dla nieprzyjaciela.

Wszyscy pokiwali głowami, ale porucznik nagle spowaźniał i ponownie zamilkł.

- Więc to już załatwione - powiedział Letts. - Naprawdę nie ma nic więcej?

- Jedno by było... - odezwał się Bradford i wskazał siebie oraz Nakję-Mura. - Co z nami? Co mamy robić?

- Myślałem, że będzie pan pomagać w szpitalu - odpowiedział zdumiony Letts. - Autopsje panu wychodzą, więc chyba pan wie, jak trzymać skalpel.

Bradford aż się wzdrygnął.

- Szanowny panie, nie jest żadną tajemnicą, że jestem naturalistą, ale to tylko hobby. Poza tym zawsze tylko kroilem, nigdy nie składałem pokrojonego do kupy. Chyba dostrzega pan różnicę? Na pewno pan dostrzega. Nie, proszę dać mi broń i skierować tam, gdzie będę najbardziej potrzebny. Poza tym moje niedawne obserwacje zachowań grików mogą się okazać bardzo przydatne i...

- Proszę mi zaufać, panie Bradford, wszyscy znają wyniki pańskich obserwacji - przerwał mu Pete. - Tak że bez obrazy, ale gdyby nadeszła taka chwila, że potrzebowalibyśmy pana z karabinem, byłaby to zapewne nasza ostatnia chwila na tym padole. Niemniej dam panu kraga, sugeruję jednak zdecydowanie, żeby udał się pan do szpitala. Jestem pewien, że kapitan Reddy powiedziałby to samo. Czy odda się pan pod rozkazy porucznik Tucker?

- Skoro tak pan nalega... - odparł Australijczyk, wydymając wargi.

- Zostaję jeszcze ja - powiedział Nakja. - Jestem już stary i gruby, ale byłem kiedyś wojownikiem. Przyznaję, że niewiele walczyłem. Jeśli wierzyć Zwojom, jest to pierwszy raz, kiedy Baalkpan naprawdę toczy wojnę, a ja winienem bronić mojego ludu.

- Bronisz - zapewnił go Letts. - Mądrze go prowadzisz, dając przykład odwagi. Im i nam. Poza tym będę cię potrzebował podczas bitwy, gdyby przyszło rozwiązywać jakiś problem dotyczący twojego ludu. A gdyby coś mi się stało, będziesz jedynym, który ogarnia cały obraz. Dołączysz do sztabu kapitana Reddy'ego.

- Dobrze - odparł z powagą Nakja. - Przyjmuję. Będę was uważnie obserwował, żeby wiedzieć, co robić, gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Ale mam nadzieję, że do tego

nie dojdzie.

- Ja też.

Zebrani opuścili kolejno balkon, żeby zająć się swoją częścią przygotowań. Zostali tylko Shinya i Alden. Pete przypuszczał, że Tamatsu specjalnie poczekał, żeby porozmawiać z nim na osobności.

- Dowodzenie wydzielonym oddziałem będzie dla mnie zaszczytem - powiedział w końcu Japończyk. - Ale chcę, byś wiedział, że niełatwo było mi zdecydować, jakie postępowanie będzie honorowe.

- Wiem - odparł wprost Alden. - Adar mi powiedział.

- A jednak mi zaufałeś? - spytał zdumiony Shinya.

- Oczywiście. Inaczej w ogóle nie poruszałbym tematu. Czyżbyś nie ufał sam sobie?

Tamatsu zastanowił się.

- Wasze amerykańskie podejście... Wiele rzeczy zakładacie z góry. Tymczasem kilka chwil temu nawet ja nie wiedziałem, co we mnie przeważa. A ty nie miałeś żadnych wątpliwości...?

- Nie - westchnął Alden. - Powiedziałeś, że chodziło o podjęcie decyzji zgodnej z twoim poczuciem honoru, tak? Trochę już cię poznałem. W tej sytuacji wybór mógł być tylko jeden. Odrzucając oczywiście tę harataninę.

Przez twarz Shinyi przemknął cień uśmiechu, ale i tak pokręcił głową.

- To nie takie proste. Dałem kapitanowi słowo i zaangażowałem się potem w różne sprawy, chyba dla wspólnego dobra. To nie kłóciło się z moim pojęciem honoru. Teraz... jest inaczej. Jeśli dalej będę wam pomagał, godząc się nawet na wystąpienie przeciwko rodakom, w ich oczach zostanę zdrajcą. We własnych zresztą też. Niezależnie od sytuacji i miejsca nasze kraje są w stanie wojny, sierżancie Alden. - Zdjął czapkę i przeciągnął dłonią po krótko przystrzyżonych włosach. - Niemniej... Ciekawe słowo, nie uważasz? Niemniej. Zastanawiam się, czy miało kiedyś być tak wieloznaczne. Niemniej tak się zdarzyło, że dowódca krążownika *Amagi* wsparł w tej wojnie siły zła. Nie ma żadnego honorowego wytłumaczenia dla tego postępu. W zasadzie powinno mi to być ułatwić podjęcie decyzji, ale tak się nie stało. Moi rodacy mają ograniczoną swobodę wyboru polityka czy rządu. Dla załogi krążownika, tak zwykłych marynarzy, jak i oficerów, jakim ja jestem, dowódca jest przedstawicielem cesarza. Cokolwiek im rozkaże, wykonają, nie zastanawiając się, czy jest to dobre, czy złe. - Spojrzał na Aldena, jakby szukał zrozumienia dla swojego problemu. - Wy nazwiecie to źle pojętą lojalnością wobec kogoś, kto nie zasłużył na szacunek. Jednak u nas niehonorowe zachowanie dowódcy nie jest przesłanką po temu, żeby wypowiedzieć mu

posłuszeństwo. Jakkolwiek się zachowa, honor wymaga, żeby dalej go słuchać. Rozumiesz już, dlaczego tak trudno było mi podjąć tę decyzję? Za sprawą jednego kapitana cała załoga stała się wykonawcami woli grików. Pełniąc honorowo swoje obowiązki, służą złu. Oto tragiczna ironia tej sytuacji. I to jest zasadniczy problem, ponieważ nie zastanawiałem się ani chwilę, po której stronie jest słusność. Nawet z mojego, odmiennego punktu widzenia to całkiem oczywiste. Musiałem jednak rozważyć, czy włączyć się do tej walki, otwarcie zdradzając rodaków, wcześniej już zdradzonych przez ich dowódcę. Ale w końcu podjąłem decyzję. Być może macie na mnie zły wpływ, ale zacząłem postrzegać ślepe posłuszeństwo jako coś, co nie zwalnia z dbania o własny honor. Z robienia tego, co uważa się za słuszne. Boleję nad tym, że moi rodacy jeszcze tego nie zrozumieli, ale nie mogą stać bezczynnie.

- Dziwny z was naród - cicho powiedział Alden. - Bez obrazy. Co sprawiło, że tak właśnie zdecydowałeś?

- Po pierwsze świadomość, że gdyby sytuacja się odwróciła, i to *Walker* znalazłby się wśród grików, kapitan Reddy nigdy nie wsparłby ich tak jak kapitan krążownika. Gdyby zaś mimo wszystko spróbował, załoga wymówiłaby mu posłuszeństwo. Tak jak zdarzyło się z załogą *Mahana*, gdy uświadomiła sobie szaleństwo kapitana Kaufmana. Potem ważne było jeszcze to, jak kapitan Reddy obszedł się z sabotażystami, którzy chcieli zniszczyć okręt pod Aryaalem. Kazał ich powiesić, chociaż oni tylko wykonywali rozkazy. Jednak nie dopatrzyłem się tu niesprawiedliwości, ponieważ porwanie się na coś takiego w trakcie prowadzonych negocjacji jest winą szczególną, która nie powinna pozostać bez kary, i plami honor całej społeczności. Zwłaszcza po tym, jak wcześniej uratowaliśmy ich przed grikami.

- Teraz już wiesz, dlaczego Pearl Harbor tak nas rozwścieczyło.

- Może - stwierdził Tamatsu, krzywiąc się lekko. Patrzył na zatokę. W dali widać było sylwetkę *Mahana*. O wiele gorzej widoczne były głęboko zanurzone barki i pracujący na nich ludzie.

- Tak czy owak, jak powiedziałem, będę zaszczycony, jeśli powierzysz mi dowództwo wydzielonych sił, o ile wciąż tego ode mnie oczekujesz. Nie ukrywam że niełatwo będzie mi stanąć przeciwko rodakom, ale zrobię to. To jest mój obowiązek. Czuję się też zobowiązany poprosić o 2. batalion marines, zamiast pierwszego. Strzelcy będą wam bardziej potrzebni, podczas gdy u mnie przydadzą się bardziej ludzie z tarczami i włóczniami.

- Dobrze - zgodził się Pete. - I masz rację. Pamiętaj tylko o obietnicy, że nie wypatroszysz się, gdy coś pójdzie nie tak. - Znowu obaj się uśmiechnęli. - Wiesz, co masz robić. Gdyby było za ciężko, wycofujesz się do fortu albo do miasta. Chociaż może się zdarzyć, że w ogóle nie wysadzą nikogo w twojej okolicy. Atak skrzydłami to raczej nie ich

styl. Pod Aryaalem co rusz rozbijaliśmy ich flanki i za każdym razem byli tak samo zaskoczeni. Choć pamiętam też to miasto, które zaatakowali od strony lądu, tak że miej oczy dookoła głowy.

*

Słońce wisiało już nisko nad horyzontem, gdy ostatnia grupa beczek znalazła się wreszcie za burtą. Przy całej swojej sile Silva czuł się obolały od dźwigania ciężkich bomb. Ocierał pot z oczu koszulką, ale była tak mokra, że wychodziło jeszcze gorzej. Spojrzał na wyjście z zatoki, ciekaw, czy nie widać tam *Walkera*, i uderzyła go swoista ironia tej sytuacji. W jego świetle ten przestarzały niszczyciel był tylko trybikiem w maszynie, i to takim, który nie miał szans w konfrontacji ze swoimi nowszymi odpowiednikami po stronie przeciwnika. Większość jednostek jego typu została już wycofana z linii. Przerobiono je na jednostki wsparcia, służące załogom okrętów podwodnych albo wodnosamolotów, stawiacze min, transportowce, nawet zdalnie sterowane cele. A teraz Dennis dziwił się, że jego okręt nie wraca tak długo z boju z setką wrogich okrętów, w którym do pomocy miał tylko trzy żaglowe fregaty. Inni jednak też zdawali się uważać, że nie przekracza to możliwości *Walkera*, chociaż Silva sądził, że więcej w tym wiary w kapitana niż w steranego niszczyciela. Ale i tak...

Po południu kilka razy zdawało im się, że słyszą słabe echo wystrzałów czterocalówki i basowe dudnienie salw burtowych żaglowców. Ale może się mylili. Wiatr wiał w stronę morza i bitwa musiałaby się toczyć całkiem blisko, żeby dotarły do nich jakieś jej odgłosy. Jedno wszakże było pewne: mały zespół *Walkera* opóźnił już znacznie flotę przeciwnika, dając im czas na dokończenie przygotowań.

Świadectwo ich wysiłku kołysało się na falach zatoki. W poprzek wejścia unosiły się setki połączonych w pęczki beczek. Niektóre z nich miały podczepiony ładunek. Jeszcze więcej przygotowali pali z przymocowanymi bombami. Zagroda minowa wyglądała na znacznie groźniejszą niż w rzeczywistości i pierwszy lepszy sztorm byłby ją rozniósł. Należało się też spodziewać, że nie potrwa długo, a beczki zaczną przeciekać, aż w końcu zatoną, powodując eksplozję bomby. Dlatego właśnie stawiali je w ostatniej chwili, tuż przed nadejściem nieprzyjaciela. Gdy się na nie patrzyło, rysował się pewien wzór sugerujący, że z prawej strony pozostawiono wolne przejście. Z lewej beczki pływały gęściej, ale w rzeczywistości to tam właśnie znajdowała się większość atrap i tamtędy własne okręty miały wrócić do bazy.

Silva wyprostował grzbiet. Beczki już się skończyły, ale na barce znajdowało się jeszcze dziesięć bomb głębinowych.

- Bosmanie! - krzyknął, zwracając uwagę Graya. - Chyba źle coś policzyliśmy!

Zanim bosman zdążył odpowiedzieć, dobiegł ich słaby warkot. Unieśli głowy. Z południowego zachodu nadciągała catalina.

- Wraca - szepnął Dennis. - Ciekawe, jak daleko za nią są nasze okręty.

Po chwili usłyszeli inny jeszcze odgłos, tym razem znacznie bardziej pyrkotliwy. Obok *Mahana*, który manewrował ostrożnie, żeby nie zbliżyć się za bardzo do ustawionych w półkole barek, pojawiła się motorówka. Kilka chwil później dobiła do ich barki i wyskoczył z niej porucznik Sandison z jakimś sporym, owiniętym w brezent pakunkiem.

- To ostatnie? - spytał.

- Tak, sir - odparł Gray.

- Dobra. Nastawcie je na sto pięćdziesiąt stóp. Potem przywiążemy linę do jednej z nich i wyrzucimy ją za burtę.

- Sto pięćdziesiąt? - spytał zdumiony Gray.

- Jak pan słyszał.

- Ale tu jest tylko osiemdziesiąt.

- Wiem. Zaufajcie mi, spodoba wam się.

Szybko zamocowali linę i wyrzucili bombę do zatoki.

- A teraz - odezwał się Sandison - zaszeklujcie kolejne bomby do tej samej liny i też opuśćcie je na dno. Wszystkie oprócz jednej. Szefie? Będę potrzebował teraz pańskiej pomocy. W końcu jestem tylko torpedystą.

- Ja też nie znam się na bombach głębinowych - mruknął Gray. - To działka Campetiego. A co to jest, u diabła? - spytał, wskazując na przedmiot, który Sandison wyjął właśnie z brezentu.

- To był zapalnik magnetyczny torpedy Mark 6. Ten, który wyjęliśmy z rybki posłanej *Amagiemu*. Tej, która wybuchła. Przerobiliśmy go i teraz nosi oznaczenie Głupia Szóstka albo Niespodzianka Sandisona.

- Głupia na pewno. Jaki ma z niej być pożytek?

- Jak widzicie, mamy tu kilka modyfikacji. - Uniósł urządzenie. - Po pierwsze, usunęliśmy sam zapalnik, zostawiając tylko czujnik magnetyczny...

- Jasne.

- ...który stał się tym samym przełącznikiem magnetycznym. - Rozległ się donośny plusk, gdy kolejna bomba zniknęła pod falami. Pół tuzina ludzi mocno trzymało linę, czekając aż ładunek dotrze na dno. - I ten przełącznik umieszczę teraz w szczelnym pojemniku, zrobionym z łuski, dodając mu do towarzystwa baterię od latarki...

- A niech mnie pokręci - mruknął Silva, który zaczynał się domyślać, o co tu chodzi.

- Kiedyś na pewno - zgodził się Sandison. - Widzicie te dwa długie przewody wychodzące z łuski? Teraz trzeba przywiązać ją mocno do liny, wykorzystując te tutaj uchwyty. Zróbcie to tak, żeby między ostatnią bombą a tym pudeńkiem zostało sześćdziesiąt pięć stóp liny. Potem owiniemy wkoło niej przewody, łagodnie, z dużym luzem, aż dojdziemy do ładunku.

- Ale jak go odpalimy? Jeśli spróbujemy je podłączyć do zapalnika hydrostatycznego, zaczniesz przeciekać.

Bernie nieśmiało wyjął z kieszeni granat. Z górnej jego części też wychodziły dwa przewody, starannie uszczelnione.

- Dostałem od Reavisa. Miał akurat służbę.

- Co on sobie...?! - zaczął oburzony Silva.

- Nie oceniaj go tak surowo, Dennis. Spanky dał mi kartkę.

- A to co? - spytał Gray, wskazując następny przedmiot. - Wygląda jak olbrzymi korek.

- Poniekąd. To bojka od sieci rybackiej lemurów. Ma wyporność jak diabli. Nie pamiętam, jak ją nazywają, możecie spytać kumpli. Przytrzyma nasz zapalnik.

- Wiecie co? - powiedział Gray, stając z dłońmi na biodrach. - Jeśli to ustrojstwo zadziała, będzie to chyba pierwszy raz, gdy amerykańska torpeda magnetyczna zrobi krzywdę jakiemuś Japońcowi.

- Może i tak - rzekł Sandison. - Ale jeśli nie zadziała, będziemy mieli jeszcze jeden powód, żeby je przeklinać. Przynajmniej przez chwilę.

Gray odprowadził spojrzeniem kolejną bombę znikającą za burtą.

- Tak. I dzięki Bogu, że to nie jest główna atrakcja. Bardzo bym się bał, gdybyśmy musieli polegać tylko na tych wynalazkach.

- Nie główna atrakcja? - spytał Silva, zastygając nad bombą, do której właśnie się zabrał. - A niby co? Poranek filmowy dla dzieci?

*

Krótko po dwudziestej pierwszej u wejścia do zatoki pojawiły się nowe fregaty USS *Tolsort* i USS *Kas-Ra-Ar*. Gdy nadały umówione sygnały świetlne, otrzymały pozwolenie przejścia pod działami Fortu Atkinsona. *Mahan* czekał już na nie, odprowadziwszy barki do portu. Przekazał obu jednostkom, żeby czekały na motorówkę z pilotem, który przeprowadzi je przez zagrodę minową. Gdy mijały niszczyciel, mimo mroku było widać, że oberwały. Nie straciły żadnego masztu, ale nie wyglądały już na całkiem nowe.

Walker i *Donaghey* zameldowały się dopiero godzinę później. Najpierw zobaczyli rakietę, sygnał wezwania pomocy, potem ujrzeli *Walkera* holującego pozbawiony wszystkich masztów okręt porucznika Garretta. Motorówka zabrała Graya, który przeprowadził obie jednostki do zatoki. Niszczyciel przyświecał sobie szperaczem, pokonując zagrodę, za którą *Tolson* przejął hol, żeby zabrać siostrzaną jednostkę do nowego nabrzeża wyposażeniowego, powstałego specjalnie dla fregat. *Walker* popłynął z *Mahanem* w kierunku miasta.

Matt ziewnął i otarł twarz, słuchając, jak sączący kawę Gray składa raport o przebiegu minowania. Wydawało się, że zrobili nawet więcej, niż od nich oczekiwano. Kapitan też nie wiązał większych nadziei z tym ostatnim ładunkiem, ale uważał, że warto spróbować. Podziękował bosmanowi i rozparł się na krześle, przeciągając na próbę mięśnie ramion. Bolały, ale nie bardziej niż reszta ciała. Pomyślał, jak musieli się namęczyć ci, którzy układali miny. Oni pewnie czują się jeszcze gorzej. Dla wszystkich był to bardzo długi dzień.

Przednie siły przeciwnika, które napotkał zespół *Walkera*, okazały się liczniejsze, niż szacowano. Na dodatek musieli chyba rzucić rękawicę śmietance floty grików, ponieważ większość jednostek była uzbrojona. Znalazła się wśród nich jedna większa, pomalowana na biało, bardzo podobna do tej, z którą w ostatniej walce zmierzyła się *Zemsta*. Matt nie wiedział, jaką rolę odgrywała we flocie, chociaż w tej sytuacji nie miało to żadnego znaczenia. *Walker* zniszczył ją, jak wiele innych, chociaż starali się oszczędzać amunicję. Campeti wybierał przede wszystkim okręty uzbrojone w działa, żeby trochę odciążyć fregaty, które i tak miały co robić. Sprawiały się wyśmienicie, rażąc wrogów, chociaż nie zawsze dopisywało im szczęście. Garrett, który miał najwięcej doświadczenia, likwidował jednego przeciwnika za drugim, ale sam też oberwał, gdy zapędził się za daleko i został otoczony w miejscu, gdzie niszczyciel nie mógł go wesprzeć. Musiał walczyć na obie burty i była to szarpiąca nerwy scena, żywo przypominająca zapewne to, co przeżywał w XVI wieku kontradmirał Hawkins w spotkaniu z hiszpańską Wielką Armadą. Ostatecznie *Donaghey* zdołał pokonać przeciwników, ale wyszedł z tego w takim stanie, że mógł już nigdy nie nadawać się do walki. Sam Garrett jakimś cudem nie odniósł najmniejszych obrażeń, ale jego pierwszy, Taak-Fas, poległ z niemal połową załogi. Torpedysta Chappelle, który dowodził artylerią okrętu, był lekko ranny.

Bitwa zakończyła się o zachodzie słońca, gdy okręty znajdowały się niebezpiecznie blisko wysepek Balabalangen i zatoki. Na wodzie unosiło się mnóstwo szczątków oraz wraków, gdy sprawne jeszcze okręty grików, około dwudziestu, uciekły tam, skąd przyplłynęły. Dziwne to było zachowanie jak na jaszczury i niszczyciel nie podjął pościgu. Zbyt skoordynowany był ten odwrót, żeby Mattowi nie zapaliło się w głowie ostrzegawcze

światelko. Nie widzieli na horyzoncie żadnego dymu, który mógłby zwiastować bliskość krążownika *Amagi*, mimo to kapitan był skłonny podejrzewać jakąś pułapkę. Wszystko przebiegło tak, jakby grikowie chcieli powstrzymać go od wypuszczenia się na dalszy patrol, zmniejszając tym samym rozpoznany przez sojusz obszar morza. Z tego też powodu, chociaż zasadniczy cel wyprawy został zrealizowany i udało się postawić zagrodę minową, Matt zastanawiał się, kto właściwie wygrał tę bitwę. Mallory pojawiał się nad nimi kilka razy, ale bez radia musieli polegać na sygnałach optycznych i dopiero po zmroku, gdy lampa Aldisa stała się bardziej widoczna, odebrali przekaz potwierdzający obecność głównych sił nieprzyjaciela na północny wschód od Pulau Sebuku. W centrum formacji, otoczony ze wszystkich stron przez żaglowce, szedł krążownik liniowy *Amagi*. Nie była to wiadomość nieoczekiwana, ale i tak mało budująca. W głębi serca Matt ciągle miał nadzieję, że japoński okręt przewróci się do góry dnem i zatonie, ale pamiętał też, co jego ojciec powiadał o pobożnych życzeniach. Zostało mu więc tylko westchnąć.

Myślenie życzeniowe nie mogło też rozwiązać ich problemów z amunicją. *Walker* pobrał dwadzieścia nowych miedzianych pocisków z ładunkiem czarnego prochu. Jak meldował Ellis, sprawdzały się nie najgorzej i leciały nawet dość prostym torem, chociaż wolno i zwykłe ustawienia kalkulatora artyleryjskiego były nieprzydatne. Każde działo musiało prowadzić ogień indywidualnie. Pociski te wystarczyły do zatopienia sześciu żaglowców, ale byłyby oczywiście całkiem nieskuteczne przeciwko *Amagiemu*. Gdy Sandison pierwszy raz usłyszał od Ellisa, jak sprawują się jego wynalazki, nie był zachwycony. I Matt, i Garrett, i Campeti mieli kilka pomysłów, jak je poprawić, obecnie jednak brakowało na to czasu. Będą musieli walczyć tym, co jest.

Spoglądając w lewo, Matt widział zarys *Mahana*. Nagle dotarło do niego, że oba okręty od czasu, gdy spotkały się ponownie pod Aryaalem, pierwszy raz idą razem w szyku. Nie licząc oczywiście tych manewrów, gdy przekładali śrubę. Chociaż robili tylko dziesięć węzłów, chwila ta wydała mu się bardzo ważna. Słyszał szum nawiewników siostrzanej jednostki, odległej tylko o wąski pas wody, i pojął, że bardzo brakowało mu tego odczucia bliskości towarzyszy broni. Jim Ellis na pewno był na mostku. Ciekawe, co myśli? Może o tym samym? Matt pożałował, że otacza ich ciemność. Za dnia mieszkańcy i obrońcy miasta mogliby widzieć, jak płyną razem, co pewnie podniosłoby ich na duchu.

Całkiem niespodziewanie pojawiło się przecucie, że to ostatni raz. Że nigdy więcej *Walker* i *Mahan* tak się nie spotkają. Matt nie mógł odegnąć tej natrętnej myśli. Całkiem jakby fale na zatoce ostrzegały, że to jest ich pożegnanie. Że co najmniej jeden z okrętów dotrze niebawem do końca swego morskiego żywota. Tylko który? A może oba pójdą na dno,

gdy krążownik wejdzie do zatoki? Wrażenie pierzchno, gdy zbliżyli się do nabrzeża. *Mahan* bunkrował pierwszy i nie trwało to długo. Potem zacumował na chwilę przy pirsie, gdzie wysadził ponad połowę załogi, zostawiając tylko piętnastu ludzi i dwudziestu lemurów, którzy zgłosili się na ochotnika. Akurat tylu, ilu miało być potrzebnych w tym krótkim rejsie. Zostawił też połowę pozostałej jeszcze amunicji. Wszyscy zgadzali się, że bardziej przyda się na *Walkerze*.

Niecałą godzinę później *Mahan* rzucił cumy. *Walker* zaczął już w tym czasie pobierać paliwo. Gdy jego bliźniak odchodził od nabrzeża, z mostka popłynęły nadane aldisem sygnały: „Udanego polowania. Żegnajcie”. Ellis zakończył wiadomość długim gwizdkiem.

- Nadać: „Udanego polowania. Boże pobłogosław” - rozkazał Matt.

Gdy sygnalista strzelał żaluzjami lampy, Matt spoglądał na niknącego w ciemności *Mahana*, aż niszczyciel rozplynął się w mroku.

*

Blisko końca psiej wachty Dennis Silva nadzorował wyładowywanie najważniejszych narzędzi i maszyn z warsztatu torpedowego. Składali je we wzmocnionym schronie na nabrzeżu. Trafiało tam wszystko, co mogli wynieść, w tym obrabiarka, frezarki, palniki i butle z acetylenem, szlifierki i mnóstwo części zapasowych. Ot tak, na wszelki wypadek. Dowden już wcześniej kazał przenieść całą kancelarię okrętową oraz mapy, instrukcje i wszelkie inne dokumenty. Zerwano też różne nieużywane od dawna przewody, żeby nie marnować cennej miedzi. Lanier, Mertz i Pepper wynieśli naprawioną maszynę do coli. Cała ta robota była nie tylko trudna, ale i prowokowała ponure myśli.

Silva jeszcze nigdy nie czuł się tak zmęczony. Dzień był bardzo wyczerpujący i nawet przy jego kondycji zaczynało brakować mu sił. Dobrze, że niebawem Laney miał go zastąpić na porannej wachcie. Może uda się złapać kilka godzin snu. Kapitan uprzedził już, że tym razem nie będzie alarmu bojowego przed wschodem słońca. Idąc ze schronu, Dennis zatrzymał się na chwilę na nabrzeżu i spojrzał na okręt. Jego kontury wydawały się nieostre, pewnie za sprawą parnego powietrza. Tu i ówdzie widać było iskierki palników. Obsługa kończyła jeszcze ostatnie naprawy. Szperacze skierowano w dół, żeby oświetlały pokład, na którym kładły się teraz długie cienie. Widok był niezmiernie wręcz surrealistyczny, i dziwnie żalobny. Z patefonu Marvaneya płynęła jakaś piskliwa melodia. Silwę nagle przeszedł dreszcz. Poczł się, jakby zmierzał w stronę własnego grobu.

- Trochę strasznie to wygląda - dobiegł go nagle z mroku dziewczęcy głos.

Potężny Dennis Silva mało się nie zeszczął.

- Co ty tu robisz, do jasnej? - spytał, może trochę bardziej szorstko, niż zamierzał.

- Przyszłam zobaczyć się z tobą.

- Ze mną? - spytał, zerkając na Rebecę. - Po co? Dlaczego nie jesteś z O'Caseyem albo porucznik Tucker?

- Wymknęłam się im. Teraz każde myśli, że jestem z tą drugą osobą. Poza tym jesteś moim obrońcą. Jestem bezpieczna.

- Tutaj i tak będziesz bezpieczna. Przynajmniej na razie. Kotowaci to spokojny narodek. Ale dlaczego chciałaś się ze mną zobaczyć?

Rebecca westchnęła głośno.

- Dennisie Silvo, jesteś najgorzej wychowanym i najbardziej zdeprawowanym osobnikiem, jakiego znam. Nie przypuszczałam, że ktoś taki może w ogóle istnieć. To widowisko, które urządziłeś na nabrzeżu...! Było mi za ciebie wstyd i mimo wszystko mam nadzieję, że i ty znasz to słowo. Z drugiej strony... - Zaczerpnęła powietrza. - Z drugiej strony, sama nie wiem dlaczego, stałeś mi się bliski... w jakiejś mierze. Nigdy nie miałam brata i nigdy też nie płakałam z tego powodu. I chyba słusznie, bo obecnie stwierdzam z niepokojem, że coraz bardziej pasujesz mi do tej właśnie roli. Może poczucie przyzwoitości buntuje się przeciwko temu, nie bez powodu, jak sądzę, ale... odnoszę też wrażenie, że kocham cię jak brata. I chciałam się z tobą pożegnać.

Silva nie wytrzymał. Może winne było zmęczenie, może zjadł coś niestrawnego, ewentualnie dym z kominów *Walkera* nagle podrażnił mu oczy, w każdym razie nagle odkrył, że ma twarz mokrą od łez. Pochylił się i mocno objął Rebecę.

- Jestem starym draniem - powiedział cicho z ustami w jej włosach. - Nic na to nie poradzę. Ale będę dumny z takiej siostry, jeśli zechcesz nią być. Może nauczysz mnie, czym jest wstyd. Ale teraz uciekaj. Szykujemy okręt do walki i chociaż nie zostało już wiele roboty, stary Silva ma tu jeszcze trochę do załatwienia.

- Wyładowujecie różne rzeczy na wypadek, gdyby zatonął! - wykrzyknęła Rebecca, także z oczami pełnymi łez.

- Nie, nie zatonie. Usuwamy wszystkie szpeje, co nagromadziły się przez lata. Jak faceci sami gdzieś mieszkają, zawsze robi się z tego...

- Kłamiesz. Potrzebujesz mnie. I biedny Lawrence też. Mam przeczucie, że stanie się z wami coś strasznego, jeśli nie będę was pilnować. I wyobrażam sobie, jak Lawrence będzie przerażony. Jego pierwsza bitwa i niktogo, żeby go uspokoić... A ty przecież go nie lubisz.

- Ależ lubię, chociaż to jaszczur - zapewnił ją Dennis. - Powiedziałem mu już, że żałuję, że go postrzeliłem.

- To nie to samo. Muszę z nim być podczas bitwy. Potrzebujecie mnie! Będziecie mnie

potrzebowali, zanim ta bitwa się skończy. Dobrze o tym wiesz!

- Zaraz, zaraz... Gdy ta bitwa się zacznie, nie będzie tam miejsca dla małych dziewczynek. Tylko tego brakuje, żebyś plątała się nam pod nogami. Będiesz potrzebna porucznik Tucker. Na pewno dobrze o tym wiesz. - Puścił ją i otarł oczy. - A ja chciałbym od ciebie jednego. Gdyby coś poszło nie tak, powiedz moim dziewczynom, że je kocham. Pam i Risę. Wiem, że ci się to nie podoba, ale kocham je obie. - Uśmiechnął się. - I ciebie też, laleczko... to znaczy, siostrzyczko.

Rebecca załapała się łzami i przyłgnęła do niego niczym rozbitek, który uczepił się samotnej skały na środku oceanu.

- A teraz już leć - rzekł Silva. - Mam robotę. Nawet jeśli grikowie mnie nie dopadną, to kapitan na pewno.

- Dobrze - chlipnęła dziewczynka. - Proszę, powiedz Lawrence'owi...

- Powiem. Do zobaczenia.

Patrzyła za nim, gdy odchodził zmęczonym krokiem. Potem przyłączył się do grupy lemurów, która minęła ich, gdy rozmawiali, i razem weszli po trapie na okręt. Rebecca stała jeszcze przez chwilę w cieniu, pociągając nosem i rozglądając się po okolicy. W końcu doszła do wniosku, że naprawdę nie ma już na co czekać, i poszła zdecydowanym krokiem tam, gdzie miała się udać.

ROZDZIAŁ 11

Porucznik Perry Brister niegdyś pierwszy mechanik *Mahana*, stał na południowo-zachodnim obwałowaniu Fortu Atkinsona. Słońce jeszcze nie wzeszło, powietrze było duszne i wilgotne. Brakło też księżyca, bo w nocy niebo zakryły ciężkie chmury deszczowe. Fort był całkowicie wystawiony na działanie żywiołów, brakło mu osłony przed słońcem czy deszczem. Gdyby uderzyła strakka, zniszczenia byłyby zapewne poważne. Posadowiony został jednak w miejscu, które dawało rozległy widok na okolicę, przede wszystkim zaś na cieśninę u wejścia do zatoki. Było to o tyle dziwne, że Perry nie przypominał sobie, żeby w ich świecie znajdowało się tu równie imponujące wzniesienie. Nie narzekał, oczywiście, ale czasem go to zastanawiało. Wszyscy twierdzili, że są na tej samej planecie, chociaż z innym światem przyrody. Bradford sugerował, że za tę różnicę może być odpowiedzialne jakieś zlodowacenie, a Perry dopowiadał, że każda duża zmiana musi pociągać za sobą mniejsze. Jakkolwiek było, Fort Atkinsona dawał tu lepsze warunki obrony, niż gdyby wznieśli go w tym samym miejscu u siebie. Brister co rusz sięgał po lornetkę, ale ciągle było za ciemno, żeby mogła się na coś przydać. Gdyby ją podniósł do oczu, przyznałby się tylko przed podwładnymi do zdenerwowania. Chrząknął i założył ręce do tyłu.

- Dzień dobry, panie Brister - powitał go wyłaniający się z mroku Rolak. Starszy lemur trzymał dwa kubki miejscowej kawy. Jego angielski był ledwie zrozumiały, ale Brister mówił już niezłe po tutejszemu i w tym też języku odpowiedział.

- Dobry, lordzie Rolak. - Przyjął jeden z kubków i zajrzał ciekawie do drugiego. - Myślałem, że tego nie lubicie. Że używacie tylko jako lekarstwo.

- Potrzebuję dzisiaj lekarstwa - stwierdził Rolak.

Perry skinął głową, ostrożnie upił łyk i skrzywił się.

- Jeśli paskudny smak jest miarą skuteczności leku, to ten na pewno ci pomoże - powiedział.

- Muszę się obudzić - rzekł Rolak. - Nie spałem dobrze. - Przetarł oko. - Przez całe życie byłem wojownikiem i stoczyłem wiele bitew. Nie zawsze wygrywałem, ale zwykle dobrze się bawiłem i udało mi się przeżyć - dodał ze śmiechem. - Teraz każdy dzień przynosi strach.

Perry znowu bezwiednie przesunął palcami po lornetce.

- Ci wojownicy wkoło też to czują - ciągnął lemur. - Wszyscy. Byliby szaleni, gdyby myśleli inaczej. To nie jest miła ani ciekawa wojna. - Wskazał na lornetkę Perry'ego. - Tak więc spójrz na morze, jeśli poczujesz się od tego lepiej. Wątpię, żeby ktokolwiek zauważył.

Perry trochę się zarumienił.

- Ty zauważyłeś.

- Bo ja piję kawę - odparł z uśmiechem Rolak.

Niebo zaczęło wreszcie jaśnieć i coraz więcej spojrzeń kierowało się ku cieśninie. Słońce miało wstać za ich plecami, zatem nie dojrzą ciemnych sylwetek. Będą musieli poczekać, aż jasne promienie oświetlą powierzchnię morza.

- Widzę ich! - rozległo się nagle i Perry uniósł szkła. Poprawił kciukiem ostrość.

- Gdzie?! - zawołał.

- Tam!

Zerknął szybko tam, gdzie wskazywał kotowaty. Chodziło o środek ujścia zatoki. Spojrzał tam.

- Mój Boże.

To, co wcześniej wziął za spienione grzbiety fal, było w rzeczywistości flotą idących w bardzo ciasnym szyku żaglowców. Wcześniej głównie lustrował horyzont, czekając, aż coś się zza niego wyłoni. Wróg jednak był już o wiele bliżej.

- Ładować działa! - krzyknął jak najgłośniej. - Baterie A, B i C! Pamiętajcie, czego się uczyliście! Starannie wybierać cele! - Złapał jednego z gońców. - Szybko, na wieżę sygnałową! Niech wystrzelą flarę i ostrzegą miasto, że atak już się zaczął.

Obrócił się ku zatoce. Obok niego stała jedna z trzydziestodwufuntówek, osadzona na takim samym wózku, jakie zaprojektowali dla pływających domów. Artylerzyści byli prawie gotowi do oddania strzału. Jeden z nich sypał proch do zapalu, drugi stał już w pogotowiu z dymiącą lontownicą. Perry spojrział ze smutkiem na Rolaka.

- Otworzyć ogień!

*

Matt pognał na mostek, szarpiąc się z koszulą. Ten jeden raz nie tracił czasu na golenie. W dali widział błyski wystrzałów z fortu, chociaż cele były jeszcze dla niego niewidoczne. Po chwili dobiegł go huk - tak głośny, że aż szyby w sterówce zabrzęczały.

- Ogłosić alarm bojowy! Proszę powiedzieć panu McFarlane'owi, żeby rozpałił dwójkę. Gdzie Gray? Wszystkie cumy na pojedyncze, przygotować się do odbicia.

Campeti przekazał rozkazy. Reynolds wrócił pędem z wygodki i przejął od niego słuchawki.

- Przepraszam, sir - wymamrotał.

Matt nawet tego nie zauważył. Musiał jeszcze zadbać o kilka spraw.

- Sygnał do pana Aldena... i wyślijcie też gońca. Przekazać na główne stanowisko dowodzenia, że jesteśmy atakowani.

- Aye, aye, kapitanie.

Gray pojawił się na pokładzie dziobowym i zaczął ustawiać ludzi od cum.

- Ciśnienie? - zażądał meldunku Matt.

- W trójce i czwórce dwieście funtów, kapitanie. Utrzymywane przez całą noc - szybko odpowiedział Campeti. - Zgodnie z rozkazem.

- Dobrze.

Nagle coś błysnęło potężnie u wejścia do zatoki i w powietrze wzniosła się chmura szczątków.

- No proszę! - krzyknął od steru Norman Karas. - Ktoś się rozerwał!

- Cisza na mostku!

- Kapitanie, wszystkie stanowiska obsadzone i gotowe. Oprócz wyrzutni torpedowych. Pan Sandison oddał swoich ludzi do dyspozycji bosmana. Tylko kilku zostawił przy generatorach dymu.

- Rozumiem. Oddać cumy!

Na mostku pojawił się nagle potargany porucznik Garrett z Juanem Marcosem, który zamiast dzbanka trzymał jakiś spory tobołek.

- Co pan tu robi, panie Garrett? - spytał Reddy.

- Sir - odezwał się zapytany - mój okręt nie nadaje się do walki. Odstawiłem go na kotwiczowisko, gdzie może będzie bezpieczny, i chciałbym... proszę o pozwolenie objęcia na czas tej walki mojego poprzedniego stanowiska. Matt obejrzał się na Campetiego, który wzruszył ramionami.

- Nic przeciwko, skipper - powiedział. - Jest w tym lepszy ode mnie. Poza tym może nam się dzisiaj przydać drugi oficer artyleryjski.

- Dobrze zatem. Panie Garrett, ma pan moje pozwolenie. - Matt spojrzał na Juana. - A ty tu po co?

- Obiecałem, że oddam to panu, kapitanie - odparł Filipińczyk cicho, ale z godnością. - Porucznik Tucker przysłała to kilka chwil temu. Nie chciałem pana wcześniej budzić.

Matt chciał już odesłać Juana, ale coś w jego zachowaniu go zastanowiło. Wziął pakunek i zerknął do środka. Zamrugał zaskoczony i oddał go Juanowi. Twarz mu dziwnie złagodniała.

- Porucznik Tucker sama to zamówiła - wyjaśnił steward. - Powiedziała mi, że kiedyś myślał pan o czymś takim i bardzo się panu spodoba. Osoba, która to wykonała, nie chciała zapłaty.

- To szlachetny dar - powiedział zduszonym głosem Matt, oddając ostrożnie pakunek.
- Proszę, powiedz ludziom, żeby ją wywiesili. Na fale przedniego masztu.

*

Pete Alden stał znowu na balkonie Wielkiej Sali, lecz tym razem w znacznie większym towarzystwie, głównie oficjeli, którzy zamiast się gapić, powinni już być na swoich stanowiskach. Mimo wszystkich przygotowań atak ich zaskoczył, powodując spore zamieszanie. Letts krzyczał do zgromadzonych, żeby się rozeszli. Deszcz już ustał i roz pogodziło się, ale południowy przyłodek zasłaniał większą część kanału. Widać było tylko wystające ponad zieleń maszty nieprzyjacielskich okrętów, małe z tej odległości jak wykałaczkki. Był to jednak cały las wykałaczek. Fort Atkinsona też był ledwie widoczny zza otaczającej go chmury białego dymu prochowego, którą wiatr niósł wolno w stronę miasta. Słysząc było nieustanną kanonadę. Piekielna robota, pomyślał Alden. Ogłuszający hałas i duszący dym były zmorami artylerzystów. Nie miał pojęcia, jakim cudem dostrzegają cele. Jakoś im się jednak udawało, skoro pomiędzy stłoczonymi masztami tryskały co jakiś czas gejzery ognia.

- Fort daje im łupnia - zauważył Letts. Większość gapiów wyniosła się w końcu, chociaż Pete widział jeszcze wielu kotowatych na innych balkonach. Za wszelką cenę próbowali dostrzec przeciwnika.

- Nie dość - mruknął Pete, wskazując na widoczną z balkonu część zatoki. Zza przyłodka wychynęło kilka żaglowców o czerwonych kadłubach.

- Zaraz się nadzieją na zagrodę minową - powiedział Letts. - Za wcześnie. Sądzisz, że ich powstrzyma?

Pete wzruszył ramionami.

- Pewnie spowolni - odrzekł. - Zbiją się w kupę. Fortowi będzie łatwiej ich niszczyć.

- Patrzcie! - zawołał Nakja, wskazując na zachód, ku środkowi zatoki. Pod jaśniejącym niebem pojawił się idący z dużą prędkością *Walker*. Szary dym unosił się z trzech porzdewiałych kominów, biała woda uciekała odkosami spod dziobu z wyblakłym numerem taktycznym. Łaty i świeże ślady farby sprawiały, że kadłub wyglądał jak dotknięty trędem, co było widać z daleka. Jednak dla nich niszczyciel wciąż był symbolem siły i determinacji. Wysoko na przednim maszcie łopotała w słońcu wielka, nowa bandera. Alden uniósł lornetkę I odczytał wyhaftowane złotem na niebieskich pasach słowa: Cieśnina Makasarska, Morze

Jawajskie, Ucieczka z Surabai, *Salissa*, Bitwa u Skał, Zatoka B'mbaado, Aryaal, *Nerracca*.
Nazwy odnoszące się do wszystkich większych walk i potyczek *Walkera*.

- Widziałeś kiedyś coś bardziej zarabistego? - spytał Letts.

Pete tylko pokiwał głową. Ścisnęło go w gardle i wołał się nie odzywać.

W zatoce znowu coś potężnie huknęło i jeden z okrętów grików uniósł się na kolumnie wody, złamał się w pół i błyskawicznie zatonął. Kilka sąsiednich wyglądało na poważnie uszkodzone i chyba też miało zatonąć. Odleglejsze potraciły maszty albo powpadały na sąsiednie jednostki.

- Działa! - zawołał Letts i klasnął radośnie. - Mój Boże, ale masakra!

Nakja złączył dłonie w dziękczynnym geście.

- Tak - mruknął Alden. - Ale ciągle się pchają. Patrzcie na te z tyłu. Nie zatrzymały się, żeby podjąć rozbitków.

- Kapitan i wszyscy, którzy brali udział w poprzednich walkach, mówili, że grikowie w ogóle nie przejmują się stratami - powiedział Letts, nagle poważniejąc. - Chyba nie wierzyłem w to do końca. Pod Aryaalem pękli dopiero pod sam koniec bitwy, gdy wszystko już przegrali.

- Wygląda na to, że dopóki atakują, dopóty mają się za zwycięzców - stwierdził Alden, przypominając sobie spostrzeżenia Bradforda. Eksplozja kolejnej bomby głębinowej spowodowała podobne zniszczenia co pierwsza, jednak flota grików nie odstępowała. *Walker* był już na tyle blisko, że musiał skręcić na lewą burtę, żeby nie wpaść na zagrodę. Chwilę później oddał salwę z trzech dział. W sumie nawet czterech, jeśli liczyć trzycalówkę na rufie. Przy tym dystansie też mogła być skuteczna.

- Strzela na wprost! - rzucił z podnieceniem Letts. - Nie może spudłować, nawet tymi nowymi pociskami. - Kolejne strzały były wymierzone w okolice linii wodnej jednostek przeciwnika. Doszły do celu w chwili wybuchu następnej bomby. Środkową część formacji grików opanował kompletny chaos, zwłaszcza że działa fortu nadal dokładały swoje.

Dym zasłonił wieżę sygnalizacyjną, ale do Wielkiej Sali dotarł goniec z meldunkiem, że miedziane pociski przechodzą na wylot przez kadłuby drewnianych żaglowców i że podejście do zatoki pełne jest tonących wraków. Mimo początkowego zaskoczenia wyglądało na to, że sytuacja jest pod kontrolą.

Jednak chwilę później nadeszła kolejna wiadomość.

- Grikowie lądują na południowym wybrzeżu, na wschód od fortu! - zameldował przestraszony posłaniec. - *Amagi* dostrzeżony na południu, w otoczeniu kolejnego zespołu floty!

- Rozumiem - odparł spokojnie Alden, chociaż coś ścisnęło go w piersi. Tylko bez paniki, pomyślał. Tak naprawdę jeszcze się nie zaczęło. Spojrzał na Nakję. - Skoro tak, chyba powinienem przejść na południowy mur.

- Jeszcze nie, sierżancie - powiedział Letts. - Lądowanie na południu może być pozorowane.

Alden spojrział na niego sceptycznie. Nie wierzył, żeby grikowie byli zdolni do podobnych wybiegów.

- A nawet, jeśli nie - dodał lemur - to prędzej czy później będą musieli przejść obok *Walkera*, który jednak nie ma dość amunicji, żeby zatrzymać ich na długo. Wtedy uderzą na nabrzeże i szybko zrobi się tam gorąco, pan zaś nie może być w dwóch miejscach jednocześnie. Lepiej więc, żeby został pan tutaj, skąd może pan dowodzić całością obrony. - Spojrzał przeproszająco na mężczyznę, który był prawie dwa razy starszy od niego. - Ale to pan jest marine. Ja jestem tylko oficerem zaopatrzeniowym.

Alden uśmiechnął się, patrząc na stojącego przed nim... dzieciaka.

- Ma pan rację - powiedział. - Jestem marine i to jest stanowisko, na którym powinienem pozostać. A pan nie jest tylko oficerem zaopatrzeniowym, ale szefem sztabu - dodał z błyskiem w oku. - Tak więc gdy następnym razem wpadnę na jakiś genialny pomysł, proszę krótko przywołać mnie do porządku!

*

Perry Brister ledwie mógł mówić. Chrypiał i gardło bolało go od krzyku. Nie, żeby miało to jakieś znaczenie dla większości obsługi południowych i zachodnich dział fortu. Artylerzyści pewnie już całkiem ogłuchli i nie potrzebowali jego rozkazów. Sami wiedzieli, co robić, i radzili sobie z tym mimo zmęczenia. Jak długo w dole znajdowały się jakieś okręty grików, ich obowiązkiem było zasypywanie ich pociskami. Nie mieli szansy zniszczyć wszystkich - było ich zbyt wiele - ale grikowie bez wątpienia musieli poczuć, że są na wojnie. Gdy zapasy amunicji zaczęły się kończyć i trzeba było ją donosić z magazynów, ogień osłabł i coraz więcej czerwonych okrętów przemykało przez pełne płonących wraków przejście. Poza tym działa miały ograniczony zasięg i pole ostrzału nie obejmowało całego kanału, z czego przeciwnik w końcu zdał sobie sprawę, kierując jednostki bliżej tamtego brzegu. Niemniej fort i tak radził sobie lepiej, niż Brister zakładał przed bitwą.

Chwilowo najgorsze działo się jednak z drugiej strony, gdzie dziesiątki łodzi krążyły nieustannie między blisko setką okrętów a plażą. Stały tam mniejsze działa niż te patrzące na morze, ledwie dwunastofuntówki. Dotąd milczały, ale w końcu zaczęły ostrzał wypełnionych jaszczurami łodzi. Z uwagi na skromny zasięg miały małe szanse dosięgnięcia stojących dalej

okrętów, czasem jednak udawało im się trafić w łódź. Chociaż przybój pochłaniał coraz więcej grików, jeszcze większa ich liczba zbierała się na brzegu pod ich jaskrawymi sztandarami.

- Patrzcie! - zawołał Rolak, wskazując na coś wyciągniętą ręką. Porastająca półwysep roślinność między fortem a miastem została zachowana aż do wiodącej do fortu drogi. Po przeciwnej jej stronie zrobiono szeroką przecinkę, ułatwiającą ruchy oddziałów oraz komunikację wizualną z placówką. Tam też pozostawiono kępę drzew nazwaną zagajnikiem. Obecnie nietknięta dżungla była sporą przeszkodą dla grików, z jedynym przejściem biegnącym pasem oczyszczonej ziemi tuż obok samego fortu. Uwagę Rolaka przyciągnęła zwarta kolumna kotowatych maszerująca drogą od miasta.

Gdy Brister spojrział na nią przez lornetkę, dostrzegł baterię czterech armat polowych ustawianych właśnie w poprzek drogi. Serdecznie współczuł artylerzystom, którzy je tutaj przyciągnęli. Kotowaci używali do tego zwykle brontków, które nadawały się świetnie do powolnego transportu ciężkich ładunków, sprawiały jednak duże problemy w razie jakichkolwiek bardziej złożonych manewrów. Były przy tym nawet szybkie, ale mało wytrzymałe, i trudno było nad nimi zapanować, zwłaszcza jeśli się spłoszyły. Wtedy bywały równie groźne jak nieprzyjaciel. Rolak mówił, że w Aryaalu jeździli na nich wierzchem i kapitan Reddy wybrał się nawet na jednym z nich do walki, ale Perry odnosił się do tego sceptycznie. W końcu nawet stary lemur przyznał, że zwierzaki najlepiej sprawdzają się jako ruchome stanowiska obserwacyjne. Brister uważał, że powinni poszukać jakiegoś miejscowego odpowiednika konia. Zanim działa znalazły się na stanowiskach, ich załogi były już wyczerpane.

- Zaprzestać ostrzału łodzi! - zachrypiał. - Skoncentrować ogień na plaży!

- Może powinniśmy poczekać, aż podejda bliżej? - zasugerował Rolak. - Ich główne miejsce zbiórki znajduje się chyba blisko tysięcy ogonów od nas.

- Tak. Ale już obecnie są tak stłoczeni, że musimy w coś trafić. Może to ich czegoś nauczy. - Wątpię - rzucił Rolak. - Ale dobrze jest móc ich zabijać nawet na taki dystans.

- A jasne. Im większy, tym lepiej.

Na północ od ich pozycji oddziały majora Shinyi rozwijały się z kolumny w szereg, ustawiając się zaraz za działami. Na ich widok grikowie na plaży zaskrzeczelili chóralnie i ruszyli bezładnie w kierunku przejścia. Inni wciąż jeszcze opuszczali łodzie.

- Nadchodzą - stwierdził Brister.

- Zgadza się z tym, co powiedziałeś poprzednio - mruknął Rolak. - Najlepiej zabijać ich z daleka. - Odstąpił od muru i wyciągnął szablę. - 1. aryaalski! - zawołał. - Ochotnicy z

Sularani! Przygotować się!

*

Zatoka Baalkpan stała się świadkiem niewiarygodnej masakry. Zagroda minowa zadziałała lepiej, niż ktokolwiek się spodziewał, a szalejące na wrogich okrętach pożary przenosiły się na kolejne jednostki. Śmieci unosiły się na falach tak gęsto, że Matt zaczął się obawiać o śruby krążącego tam i z powrotem, ciągle strzelającego *Walkera*. W pewnej chwili dołączyły do niego fregaty *Tolson* oraz *Kas-Ra-Ar* i także otworzyły ogień. Dziesiątki szczepionych jednostek przeciwnika zakorkowały kanał. Kilka z nich miało działa, ale prowadzony z nich ostrzał był chaotyczny i nieskuteczny. Jak dotąd jednostki sojuszu odniosły tylko drobne uszkodzenia. Czasem grikowie próbowali użyć przeciwko nim bomb zapalających, ale ich wyrzutnie miały zbyt małą donośność. O wiele bardziej zagrażało to samemu grikom. Matt był przekonany, że mając dość amunicji, jego zespół mógłby samodzielnie powstrzymać inwazję.

Amunicji jednak im brakowało. Zużyli już wszystkie miedziane pociski i coraz bardziej uszczuplali zapas zwykłych pocisków burzących. Odkryli wprawdzie, że do niszczenia drewnianych kadłubów nadają się całkiem dobrze również pociski oświetleniowe, które nie tylko przebijały burty, ale je również podpalały, jednak też nie było ich wiele, na jakieś dziesięć salw, a mogli przecież jeszcze potrzebować trochę światła w nocy. Wciąż mieli zapas pocisków przeciwpancernych, jednak one były w tym wypadku mniej efektywne niż miedziane. Wybijały czterocalowe otwory i przechodziły przez kadłuby na wylot, prawie nigdy nie eksplodując. Lepiej było zachować je na później. Strzelcy wyszukiwali beczki unoszące się na wodzie między jednostkami grików i starali się je zniszczyć ogniem maszynowym. Pod wieloma nie było bomb i zmarnowali w ten sposób sporo amunicji. Silva próbował sobie przypomnieć, gdzie postawili te prawdziwe, i kilka razy udało mu się wywołać wybuch.

O ile panowali nad sytuacją w centralnej części kanału, gorzej było po bokach. Co rusz jakiś okręt przemykał tamtędy, wchodząc do zatoki. Tylko niektóre padały ofiarą bomb zamocowanych na palach. Podchodząc do wschodniego brzegu, dostawały się pod ogień armat z fortu, które zbierały wprawdzie krwawe żniwo, ale grikowie i tak pchali się na ląd, osadzwszy okręty na płycznach między zagajnikiem a południowo-zachodnimi murami miasta. Wyskakujących w fale przyboju wojowników masakrowały srebrzaki i moździerze, które niszczyły również ich okręty, ale wciąż nadciągali. Co więcej, rosła liczba tych, którzy docierali na plażę. Drapieżne ryby albo się już najadły, albo wojowników było po prostu zbyt wielu. Taka masa przeciwników groziła odcięciem Fortu Atkinsona od miasta.

Matt nic nie mógł na to poradzić. Gdyby *Walker* podszedł bliżej do brzegu, nie tylko przeszkodziłby artylerii fortu w prowadzeniu ognia, ale ryzykowałby też, że zostanie przypadkowo uszkodzony. Był ze stali, ale przerdzewiałe blachy nie wytrzymałyby zapewne uderzenia trzydziestofuntowej kuli. Niemniej atak na grików tłoczących się w przejściu przy zachodnim brzegu zatoki był w zasięgu jego możliwości. Nakazawszy fregatom pozostanie na dotychczasowych pozycjach, Matt ruszył w tamtym kierunku. Równocześnie nad głową przeleciała mu catalina z dwoma podczepionymi bombami nastawionymi na minimalną głębokość eksplozji. Hałasowała przy tym niemiłosiernie. Jeszcze jeden lot, pomyślał Matt. I może jeszcze jeden... Przy odrobinie szczęścia Mallory mógł poważnie osłabić główne siły, pozwalając *Walkerowi* zająć się skrzydłami.

*

Sycząca i warcząca masa grików ruszyła na mur tarcz ustawiony w poprzek przejścia przez 2. batalion marines i 10. baalkpański. Jeszcze większa grupa podchodziła pod sam fort. Deszcz strzał i pocisków dziesiątkował przeciwnika, który się jednak nie cofał. Przy dystansie trzystu jardów uderzyli w nich siekańcami, co też nie dało oczekiwanego rezultatu. Strzały i bełty mijały się w powietrzu, wbijały się w tarcze i ciała. Grikowie mieli mniejsze, gorzej chroniące tarcze, przez co ginęło ich jeszcze więcej, ale i tak nadciągali. Pośród szczęku broni, krzyków i warczeń obie armie w końcu się zderzyły. Linia lemurów ugięła się w dwóch miejscach. Przede wszystkim tam, gdzie impet przeciwnika był największy, na styku oddziałów marines i gwardii. Drugim słabym punktem okazało się oparte o fort prawe skrzydło. Shinya wsparł centralny odcinek, rzucając tam własnych gwardzistów. Była to jedyna rezerwa, którą dysponował. Z prawej napór osłabł, gdy zjawilo się tam około dwustu ochotników pod dowództwem Rolaka, którzy po chwili zatkali wyłom uczyniony przez grików.

Shinya pracował swoim zmodyfikowanym kordem, tnąc i parując. Nad murem tarcz pojawiały się ciągle nowe paszcze. Ktoś z tylnego szeregu pchnął w kolejną z nich piką i Tamatsu przykłęknął, żeby dla odmiany ciąć przeciwników po nogach. Mur tarcz zaczął się stabilizować. Gdy broń Japończyka trafiła w kość, zabołał go nadgarstek, ale w nagrodę usłyszał zza muru głuchoe zawodzenie. Pazurzasta stopa przydepnęła jego korda i Shinya wyszarpnął go, ostrzem ku górze. Jeśli i tym razem jakiś grik zaskomlał, zagłuszył to zgiełk bitwy. Ramiona Tamatsu pulsowały bólem. Lewe tkwiło w pasach tarczy, na którą przyjmował coraz więcej ciosów, i naprawdę je teraz odczuwał. Prawa ręka i pierś cierpiały dodatkowo na skutek niewygodnego kąta, pod którym musiał robić kordem. Okrzyki bojowe lemurów ucichły, teraz słyhać było tylko dyszenie i pchrząkiwanie zdyscyplinowanych

żołnierzy, którzy ze wszystkich sił powstrzymywali dziesięciokrotnie liczniejszego przeciwnika. Czasem padały jeszcze jakieś rozkazy albo okrzyki zachęty kierowane do tych z drugiego szeregu, którzy sięgali wroga pikami.

- Majorze Shinya! - rozległo się nagle za plecami Tamatsu. Japończyk zerknął w tamtym kierunku i ujrzał jakiegoś Amerykanina przepychającego się w jego stronę. Mężczyzna bez słowa oparł lufę erkaemu na tarczy Shinyi i przeciągnął długą serią tam i z powrotem po jaszczurach. Potem pchnął kogoś na miejsce Tamatsu, a jego samego odciągnął do tyłu. - Chodźmy, sir! Mam dla pana coś ważnego!

Japończyk nie opierał się, znużony walką i trochę ogłuszony od jazgotu broni maszynowej. Za drugim szeregiem przyjrzał się wreszcie marynarzowi. Chyba już go kiedyś widział, ale na pewno się nie spotkali. Niemniej tamten zwrócił się do niego „sir”.

- Co pan tu robi, panie...?

- Torpedysta pierwszej klasy Chappelle, kiedyś z *Mahana*, teraz na *Donagheyu!* - Musiał krzyżeć, żeby można go było usłyszeć w zgiełku bitwy. - Powiedziałem, że się nudzę, i Alden wysłał mnie, Flynna i jeszcze paru z jego podwodniaków na drogę do fortu. Głupi byłem. Ledwie nam się udało. Jaszczury lądują na plaży od strony zatoki.

W tej samej chwili dołączył do nich zdyszany Flynn.

- Boże, ale burdel - wysapał. - Tylko panienek nie ma. Kapitan Reddy nie żartował, ostrzegając, że trafimy z deszczu pod rynnę.

Shinya obrócił się i spojrział na kotłowaną poniżej fortu, ale zagajnik nie pozwalał mu dostrzec, co dzieje się bardziej na północ.

- Zostawiłem Ramica i jego ludzi z *Arracki*, żeby strzegli drogi - powiedział.

- Już się tutaj wycofują. Nie mogli nic zrobić. Pieprzone jaszczury wzięły nas z zaskoczenia. Zaczęły wyskakiwać ze swoich łajb od razu na plażę. Stary Ramic nie miał nawet kiedy rozmieścić swoich sił.

- Jesteśmy całkiem odcięci?

- Na to wygląda. Nie przedrzemy się do miasta przez taką masę jaszczurów. Gdybyśmy uderzyli na nich od tyłu, może byśmy się przebili, ale Baalkpan musiałby wstrzymać ogień na tym odcinku, żeby nas wpuścić. Poza tym wątpię, żeby ci tutaj pozwolili nam się oderwać.

Shinya musiał się z tym zgodzić. Przesunął spojrzeniem po okolicy od fortu do drogi. Kolumna Ramica zbliżała się szybkim truchtem. Każdy żołnierz był inaczej, zwykle barwnie ubrany, przez co w ogóle nie wyglądali na wojowników, poruszali się jednak zwartym szykiem, jak weterani, którymi zresztą byli.

- Dobrze więc, torpedysto Chappelle i bosmanie Flynn - rzekł Shinya. - Oto, co zrobimy...

Część dowódców Shinyi zdołała się wyrwać z tłumu walczących i zebrała się wokół nich. Kilku krwawiło. Zjawił się też zdyszany Ramic. Zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi na świszczące dokoła bełty, ale schował się za ścianą tarcz.

- Przepraszam - powiedział. - Nie mieliśmy innego wyboru, jak tylko przyjść tutaj.

Shinya pokiwał głową. Nikt nie darzył grików taką nienawiścią jak Ramic, który stracił syna na *Nerracce*. Gdyby mógł zrobić cokolwiek, żeby przeszkodzić lądowaniu, z pewnością by się nie wahał. Tamatsu był mu wdzięczny, że nie poświęcił wojowników i siebie w daremnej walce.

- Oczywiście - powiedział. - Jak tylko wszyscy przejdziecie, wzmocnijcie mur tarcz. Na ile tylko zdołacie.

- Tak! Musimy się tu utrzymać! - zawołał Ramic.

Pozostali przytaknęli, ale Shinya tylko westchnął.

- To niemożliwe. Mamy tylko trzy pułki. Gdybyśmy mieli dwa razy tyle ludzi i jeszcze kompanię strzelców, moglibyśmy trzymać się tu do końca świata, niezależnie od tego, ilu grików by się na nas pchało. Ale żołnierze są już zmęczeni, a strzelcy zostali jako rezerwa w mieście. Przez chwilę będziemy jeszcze ich wykrwawiać, ale potem musimy wycofać się do fortu. Lewa flankę zacznie się cofać bez rozbijania szyku. - Spojrzał nerwowo na innych. - Wiem, że nigdy tego nie ćwiczyliśmy, ale 10. kompania zrobiła coś podobnego pod Aryaalem, zatem powinno nam się udać. Grikiowie będą próbowali ją obejść, gdy się ruszy, i nie wolno nam do tego dopuścić. - Pocisk odbił się od jego hełmu, ale on tylko z irytacją potrząsnął głową. - Podciągniemy działa z drogi, żeby kryły flankę. Być może napór zmaleje, gdy przestaniemy blokować drogę.

- Tak - prychnął Ramic. - I otworzymy im drogę do celu!

- Może. Ale obecnie naszym zadaniem musi być utrzymanie fortu. Będziemy cierniem w ich boku. - Wskazał na zatokę. - Może nie widziałeś, u-amaki Ramic-Sa-Ar, ale *Nerracca* została dziś po wielokroć pomszczona.

Ramic zamrugnął ze złością, ale zaraz się opanował.

- Moja zemsta dopełni się, gdy całkiem wygubimy grików, a ich żelazny okręt spocznie na dnie! - powiedział przez zaciśnięte zęby.

*

Nakja-Mur milczał jak zaklęty. To, co zobaczył, wstrząsnęło nim do głębi i już od jakiegoś czasu nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Stał nieruchomo obok Lettsa i Aldena i

choć na pozór był spokojny, wpiął pazury głęboko w poręcz balkonu. Nie sądził wcześniej, że może dojść aż do takiej rzezi. Znał wojenne rzemiosło, ale Baalkpan od lat zaznawał pokoju. Wiedział, że może przyjść taki dzień, gdy będzie musiał stanąć do walki, ale wydawało mu się to bardzo mało prawdopodobne i nigdy nie zastanawiał się naprawdę, jaka może być wojna. Szkolenie, które odebrał w młodości, było raczej zabawą. A teraz po raz pierwszy widział wojnę na własne oczy i wydała mu się ona przerażająca.

Oczywiście sam charakter przeciwnika wzmagał potworność widowiska. Grikowie nadciągali niepowstrzymanie jak przyływ, zupełnie przy tym obojętni na straty. Zatoka przypominała buchający płomieniami kocioł, a dym aż zasłaniał wysoko stojące słońce. *Kas-Ra-Ar* płonął, *Tolson* stał w pobliżu, przejmując załogę bratniego okrętu i odpędzając ogniem dział rój napastników. *Walkera* nie było nigdzie widać i gdyby nie regularne meldunki napływające przez magiczne kryształki, nie byłoby wiadomo, czy w ogóle jeszcze walczy. Pod południowo-zachodni mur napływało coraz więcej grików. Pędzeni wiatrem od rufy rozmyślnie rozbijali swoje statki na plaży. Była to jeszcze jedna rzecz, która zaskoczyła Nakję. Amerykanie też tego nie przewidzieli.

Grików, którzy docierali do plaży, kładli pokotem, bijąc w nich z armat, moździerzy i kusz równie łatwo, jak usuwa się dokuczliwe robactwo. Nawet z tej odległości widział stosy ich trupów. Jednak oni atakowali dalej, wiedzeni jakimś niezrozumiałym impulsem. Nadciągało ich po prostu zbyt wielu, żeby zabić wszystkich - byłoby to jak próba zatrzymania siecią przyływu morza. W pewnej chwili dostrzegł większą ich siłę gromadzącą się w przecince wiodącej do Fortu Atkinsona. Sam fort był niewidoczny za kłębam dymu armatniego.

Nakja spojrzał na swoich ludzkich towarzyszy. Wciąż nie umiał odczytać ich emocji na podstawie tych dziwnych grymasów twarzy. Owszem, uśmiech był uśmiechem, skrzywienie skrzywieniem, ale oczy, tak żywe u jego pobratymców, zdawały się nic nie wyrażać. No i nie mieli ogonów. Niemniej obecnie ich nieruchome sylwetki zdawały się mówić same za siebie. Nagle gdzieś z dali dobiegł go gromowy huk kojarzący się z trzęsieniem ziemi albo wybuchem wulkanu. Spojrzał niespokojnie na pozostałych. Po chwili zjawiła się dziewczyna pełniąca funkcję posłańca.

- Droga odcięta! - zawołała bliska paniki.
- Spokojnie, dziecko - odezwał się łagodnie Nakja, chociaż daleko mu było do spokoju. - Nie powinnaś okazywać strachu, żeby nie zarazić nim innych.
- Oczywiście - odparła, spuściwszy oczy. - Okryłam się wstydem.
- Ani trochę! A teraz powiedz, jakie wieści przynosisz.

- Wieża przekazała sygnał z fortu: major Shinya wycofuje się w obręb obwałowań. Jego oddziały są prawie nietknięte i będą dalej walczyć, ale przeciwnik ma wolną drogę do miasta. Fort jest atakowany przez poważne siły, jednak porucznik Brister uważa, że zdoła go utrzymać.

- Na ile szacują siły przeciwnika? - spytał Alden.

- Szesnaście do dwudziestu tysięcy, ale dalej lądują.

- Rozumiem, dziękuję. - Spojrzał na innych. - Gdy tylko połączą się z tymi tutaj, pewnie pójda na nas.

- Myślisz, że nie będą czekali na dalsze posiłki? - spytał Letts.

Pete pokręcił głową.

- To nie w ich stylu. A na pewno nie teraz. Chyba naprawdę już na mnie pora.

- Na to wygląda - zgodził się Letts.

- A co z zagrożeniem od strony zatoki? - nerwowo spytał Nakja.

- Będziecie musieli poradzić sobie z nim we dwóch. Tam obrona jest zresztą mocniejsza i grikowie będą musieli lądować tuż pod murami. Zabraknie im miejsca na rozwinięcie sił. No i większość z nich skupili już na południu. Sądzę, że tam właśnie czai się największe niebezpieczeństwo.

Alden spojrzał na posłańca.

- 1. batalion marines, 5. baalkpański i Sześciuset królowej przygotowują się do przejścia pod południowy mur.

- Już ruszasz rezerwy? - zdziwił się Letts.

- Policz tylko. 1. baalkpański i grupka ochotników z Manili to jakieś tysiąc dwieście, wliczając artylerię. Nie dadzą rady dwudziestu, jeśli nie trzydziestu tysiącom. Szkoda, że reszta oddziałów z Manili nie przybyła na czas! Zdejmę 2. aryaalski z północnego muru i dołączę go do centralnej rezerwy. - Przechylił głowę, ponownie słysząc ten sam huk. Nagle zrozumiał. - Niech to szlag! *Amagi* skrócił dystans i ostrzeliwuje fort!

*

- Dziękuję... poruczniku Brister - powiedział Shinya w przerwach między spazmatycznymi oddechami. - Idealne... zgranie.

Brister machnął ręką.

- Wasz odwrót był świetnie przeprowadzony - powiedział niemal szeptem. - Nigdy bym nie przypuszczał, że to się może udać.

Tamatsu musiał wysilić słuch, żeby cokolwiek do niego dotarło.

- Straciliśmy dwa działa - mruknął. - Obsługa zdążyła je zagwoździć, ale... - Pokręcił

głową. - To wasz podwójny ładunek siekańców, posłany akurat gdy przechodziliśmy przez mur, sprawił, że nie zdążyli się przegrupować.

- Komplementy będziecie sobie prawieć później - warknął Rolak. Też odegrał swoją rolę w udanym manewrze. - Na razie mamy bitwę na karku.

Walka pod murami od północy i zachodu wciąż była zażarta, ale napór grików trochę zelżał. Jakby wyczuwając przed sobą znacznieszą zdobycz, większość z nich skierowała się ku miastu. Drogą płynął coraz większy strumień wojowników. Działa odzywały się nieustannie, młodzież biegła wzdłuż stanowisk, donosząc wiązki strzał. Jednak mimo że ostrzał zadawał nieprzyjacielowi wielkie straty, jaszczury nie zwracały już na niego uwagi. W zasadzie obrońcy mogliby się nie trudzić.

- Odcięli nas - zauważył ponurym tonem Chapelle.!

- Wiadomość przekazana - zameldował goniec Bristera. - Wieża dostała potwierdzenie odbioru.

- Przynajmniej Baalkpan wie, co go czeka - westchnął Brister.

W górze rozległ się przenikliwy świst. Jakby jechał wprost na nich tuzin parowozów, gwiżdżąc w niebogłosy.

- Chryste! - wykrzyknął Perry, szeroko otwierając oczy. - Zapomniałem o Japońcach!

Rzucił się na ziemię. Nie całkiem zdążył. Ziemia wybiegła mu na spotkanie, a olbrzymia fala nadciśnienia wyparła powietrze z płuc. Na plecy spadły mu pacyny ziemi, drzazgi i różne śmieci, a na dodatek coś ciężkiego. Przez chwilę tylko leżał, niezdolny nawet odetchnąć. W końcu mu się udało, ale w powietrzu pełno było pyłu, choć niedawno padał deszcz. Zakaszłał odruchowo. Ciężar z pleców zniknął i ktoś pociągnął go za nogi. Po chwili ujrzał twarz Chapellego, która zaraz jednak zniknęła. Brister potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć, i rozejrzał się wkoło.

Nie dalej niż czterdzieści jardów od niego otworzył się dymiący lej otoczony rozrzuconymi ciałami. Jedno należało do gońca, z którym dopiero co rozmawiał. Stracił ramię i większość głowy, jakby odgryzł mu je superjaszczur. Inny pocisk trafił w mur północny, czyniąc wyłom zasłany rannymi i zabitymi. Brister zdziwił się, że grikowie jeszcze nie wlewają się do fortu. Wstał chwiejnie i wspiał się wyżej.

- Na stanowiska! Na stanowiska! - chrypiał do tych, których widział niedaleko, ale pewnie go nie słyszeli. Przypuszczał, że nikt nie może go usłyszeć. Nawet do niego własny głos docierał jak przez grubą poduszkę. Rolak dołączył do niego, przyciskając do tułowia zakrwawioną lewą rękę. Razem stanęli na murze.

Ironiczny przypadek sprawił, że większość pocisków spadła między grikami.

Dostrzegli kilka lejów i całą masę przypalonych szczątków otaczających fort półkolem szerokim na jakieś dwieście jardów. Poza tym obszarem leżało wiele nieruchomych ciał, grikowie z jeszcze odleglejszych szeregów próbowali uciekać w panice. Ci byli bez litości zabijani.

- Zawsze to coś - mruknął Brister. - Jaszczury wpadły w panikę.

- W tych okolicznościach to nawet zrozumiałe - odparł Rolak. - Ale nie ma ich aż tak wielu.

- Tak. Ale znasz teorię Bradforda i widziałeś, co się działo pod Aryaalem. Byłeś tam przecież. Gdy nagle zostały zaatakowane przez przeważające siły, natychmiast rzuciły się do ucieczki.

Rolak pokiwał głową.

- Ciekawe - powiedział. - A co z Shinyą?

- Żyje. Pobiegł na zachodni mur ocenić zniszczenia.

- Szybko! - krzyknął Brister, słysząc, że nadlatują kolejne pociski z krążownika. Razem schronili się we wgłębieniu pod murem. Na nich wylądowało jeszcze kilka osób i fortem znowu zakołysała wielka eksplozja. Brister odgarnął śmieci i wyjrzał z dziury. Większość nieprzyjaciół wycofywała się spod fortu. Mimo tęgiego lania, które sprawił im *Amagi*, wiedzieli, co jest celem wielkich dział. Perry zerwał się i ruszył gdzieś biegiem.

- Dokąd?! - zawołał za nim stary lemur, starając się podnieść.

- Chcą uciszyć nasze działa. Muszę ich przekonać, że się udało. W przeciwnym razie naprawdę nas załatwią! - Zatrzymał się pośrodku fortu, gdzie wcześniej była wieża sygnałowa. Niewiele z niej zostało. - Cholera! - Pognał znowu na zachodni mur. - Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień! - zawołał, jak mógł najgłośniej. Dostrzegł, że jedno dział jest już zniszczone. Kolejny odgłos dartego płótna znowu cisnął wszystkich na ziemię. Podmuch dosłownie obrócił go na wznak. Usiadł, łapiąc ciężko powietrze, i zebrał wszystkie siły. - Wstrzymać ogień!!

Z niewysłowioną ulgą usłyszał głosy powtarzające jego rozkaz. Ocalałe załogi odeszły od swoich dział, których liczba znowu zmniejszyła się o jedno.

- Co ty wyrabiasz? - spytał ostro Shinya, stanąwszy nagle tuż przed Bristerem. - Jeśli myślisz, że możesz się poddać...

- Poddać? - wykrztusił Perry. - *Amagi* nie zamierza marnować na nas pocisków. Im chodzi tylko o wyłączenie naszych dział. Jeśli uznają, że im się udało, dadzą nam spokój.

Shinya założył ręce na piersi. Jego mina nie wróżyła nic dobrego.

- Ten fort ma zadanie do wykonania! Nie wywiążemy się z niego, chowając się przed

wrogiem. Miałem o panu lepsze zdanie, poruczniku Brister...

Perry zerwał się na równe nogi.

- Posłuchaj, pieprzony żółtku...

Lord Rolak i Russ Chapelle zdołali ich rozdzielić.

- Co masz na myśli? - spytał Rolak.

- Posłuchaj!

- Czego?

- Posłuchaj tylko. Co słyszysz? - Brister podszedł do obramowania muru obok jednego z dział i wyrżał na zewnątrz. *Amagi* był już świetnie widoczny, chociaż w eskorcie żaglowców wyglądał groteskowo.

- A ty co słyszysz? - spytał Rolak i Brister westchnął.

- Nic. Zdziałało. Przestali. - Przez chwilę słychać było tylko jęki rannych, trzask płomieni i przypominający szum przyboju odgłos towarzyszący przemarszowi grików obok fortu. Na użytek Shinyi Brister wskazał na zatokę. - Widzisz? Zatopiliśmy wszystko, co znalazło się w zasięgu naszych dział. Nic więcej nie wpłynie do tej części zatoki, bo nie przebije się przez wraki. Bateria zrobiła wszystko, co mogła. Przeciwnik przeszedł przy przeciwległym brzegu, ale na to nie mogliśmy już nic poradzić. Nasze działa tam nie sięgają. Jeśli dalej będziemy strzelać, osiągniemy tylko tyle, że zginiemy. - Przerwał i spojrzał im w oczy. - Razem są nas prawie trzy tysiące. Być może i tak nie przeżyjemy, ale mam pomysł, który może się okazać efektywniejszy niż szybka i bohaterska śmierć.

Z drugiej strony fortu podniósł się jakiś krzyk.

- Wydaje się, że nasi przyjaciele wracają - sucho zauważył Rolak.

- Bywa. Czy tamte działa mogą otworzyć ogień? - spytał Chapelle.

- Mam nadzieję, że tak - odparł Brister. - Tylko nie strzelajcie więcej na zatokę!

- Wciąż nie wiem, co możesz w ten sposób osiągnąć - syknął Shinya, gdy biegli ku środkowi fortu.

- Może nic - odparł Brister. - Może wszystko.

*

Nowe stanowisko Aldena mieściło się w wielopiętrowym budynku należącym do jednego z bardziej wpływowych kupców tekstylnych Baalkpanu. Osoba ta nie należała od początku do zwolenników ucieczki, ale przyłączyła się do tej frakcji, gdy *Fristar* opuścił szeregi obrońców. Aldenowi nie robiło to różnicy. Dla niego ważne było teraz tylko to, że górne kondygnacje dawały świetny widok na cały południowy odcinek muru. Gromadzący się przed nim przeciwnik był już znacznie liczniejszy. Odkąd fort został odcięty, tysiące

jaszczurów przedostały się już drogą i ustawiły szerokim na milę frontem plecami do dżungli. Oczyszczone z takim wysiłkiem przedpole pozwalało całkiem skutecznie ostrzeliwać przeciwnika, ale chociaż każdy pocisk trafiał, efekt był praktycznie zerowy. Niemniej strzelcy mieli co robić, co zapewne pozytywnie wpływało na ich morale. Szczęściem mieli dość prochu i pocisków i nie ustawali w wysiłkach.

Alden chętnie włączyłby też do walki moździerze, które zebrałyby jeszcze większe żniwo, ale do nich pocisków było zdecydowanie mniej, poza tym dystans wydawał się na razie zbyt wielki. Pozostającą dotąd w rezerwie baterię moździerzy podciągano jednak pod mur. Dysponowała ona trzydziestoma ciężkimi rurami z brązu. Istniała szansa, że miedziane pociski moździerzowe o wyglądzie granatu obronnego zdołają rozbić atakującą hordę na tyle, że nie uderzy na umocnienia zwartą masą. Siekańce miały zdziesiątkować awangardę, bomby - trzon sił przeciwnika. Piętro niżej pojawiła się królowa Maraan w towarzystwie Chacka. Sygnalista przyprowadził ich do Aldena.

- 1. batalion marines melduje się na pozycji obok ochotników z Manili - powiedział Chack. Jak zwykle i tym razem hełm nosił przekrzywiony, na ramieniu trzymał kraga.

- Sześciuset i 5. baalkpański też są już na miejscu - dodała zdławionym głosem Safira. Była w swoim czarnym stroju, z wypolerowanym do blasku napierśnikiem.

- Dobrze - mruknął Pete. - Będziemy ich potrzebować.

- Zdaje się, że jesteśmy świadkami bezprecedensowej bitwy - zauważyła królowa.

- I to jak - rzucił Chack, używając zwrotu, który był dość popularny na pokładzie niszczyciela. Stał na palcach i wyjrzał za okno. Z przedpola dobiegł ich znajomy dźwięk setek jaszczurzych rogów. Potem rozległo się jeżące włosy staccato dziesiątków tysięcy ostrzy uderzających o tarcze. - Chyba będą ruszać - powiedział i zwrócił się do Aldena. - Za pozwoleniem?

- Jasne. Dokop im.

Chack przystanął na chwilę przy Safirze i ujął ją za łokieć. Zamrugali do siebie i już go nie było. Sieroca Królowa odprowadziła go spojrzeniem.

- Generale Alden? - odezwała się po chwili.

Pete pokiwał głową, ale nie oderwał oczu od przeciwnika.

- Tak. Idź. Chyba Chack ma rację. - Zerknął na nią. - Uważaj na siebie. Niebawem do was dołączę.

*

- Idą na nabrzeże - zauważył Dowden, popatrując przez lornetkę. Zator na kanale w większości już się odkorkował i czerwone okręty sunęły rosnącym zespołem w stronę doków.

Większość min już wybuchła i chociaż na falach unosiło się jeszcze trochę beczek, stwarzając pozory zagrożenia, grikowie mogli je omijać. Dymiący wrak *Kas-Ra-Ara* pogrążył się z sykiem w wodach zatoki, *Tolson* zaś otrzymał od Matta rozkaz wycofania się z walki. Pruitt Barry, kapitan fregaty, zaprotestował, ale Matt powtórzył rozkaz i okręt powoli się oddalił. Spisał się dobrze, niszcząc ostatnie jednostki przeciwnika wyposażone w działa, ale zapłacił za to straszną cenę. Żagle miał w strzępach, stracił przedni maszt. Matt liczył na to, że zdoła dotrzeć na płytszą wodę, nim zatonie. Ciężkie działa nadbrzeżnych umocnień otworzyły ogień, gdy tylko przeciwnik znalazł się w ich zasięgu, ale parli naprzód, nie zważając na ofiary.

- Nic na to nie poradzimy - stwierdził Matt.

Po zużyciu niemal całej amunicji *Walkerowi* zostały jeszcze dwa zadania do wykonania. Po pierwsze, nie dopuścić, żeby jakikolwiek okręt grików spróbował zapuścić się w zachodnią odnogę zatoki. Jak dotąd do tego nie doszło. Drugim było pozostanie na widoku do przybycia krążownika. Na razie *Amagi* zdawał się działać według własnego grafiku, na co zresztą liczyli. Słońce już zachodziło, a w ciemności niszczyciel był trudniejszym celem. Tyle że śmierć przez cały czas zbierała żniwo. Fort Atkinsona milczał od czasu, gdy znalazł się pod ostrzałem szesnastocalowych pocisków. Wciąż unosił się stamtąd dym i trwała jakaś walka, ale wyglądające na zatokę działa fortecy uparcie milczały.

Gęsty dym przesłaniał też południową część miasta i nikt na okręcie nie widział, co tam się właściwie dzieje. Matt powtarzał sobie, że naiwnością było oczekiwać, iż uda mu się dowodzić bitwą z pokładu. Mógł nadawać i pewnie ktoś go nawet słyszał, ale nie widział żadnych sygnałów od przyjaciół. Było to irytujące i zostało mu tylko ufać, że poszczególni dowódcy wiedzą, co robić. Niemniej i tak się denerwował. Letts szybką feluką wysłał mu krótką wiadomość. Meldował, że odparli kilka silnych szturmów na południowy mur, ale ostatni atak wiele ich kosztował, a nieprzyjaciel doszedł przez fosę prawie na szczyt obwałowań. Większość strat ponieśli od pocisków z kusz, chociaż grikowie użyli również pomniejszych wersji wyrzutni bomb zapalających, co było nowością. Kilku z nich niosło urządzenie, a gdy ustawili je w wybranym miejscu, miotało ono pociskiem wielkości orzecha kokosowego prawie na dwieście jardów. Nie wybuchał on spektakularnie, ale raczej rozpryskiwał się płynnym ogniem we wszystkich kierunkach. Straszna to była broń, a grikowie zdawali się mieć jej niewyczerpane zapasy.

Większość rezerw została już wykorzystana, a nieprzyjaciel wciąż nadciągał drogą od fortu. Letts musiał wycofać obrońców z tych odcinków, gdzie nie doszło jeszcze do walki, choć napastnicy wyraźnie obchodzili miasto od północnego wschodu i mogli również

zagrozić tamtej jego części. W połączeniu z atakiem od nabrzeża sytuacja zaczynała wyglądać poważnie.

- Poślij wiadomość na stanowisko dowodzenia, że będą mieli towarzystwo w dokach, ale nie zdołamy im pomóc.

- Pewnie już o tym wiedzą, skipper.

- I tak... - Słyszając nierówno pracujące silniki, Matt spojrzał w stronę usłanego wrakami wejścia do zatoki. Catalina wracała bez ładunku bomb, ale za prawym silnikiem ciągnęła smugę szarego dymu. Maszyna traciła też wysokość, obecnie była na niecałych stu stopach.

- Mallory musiał pewnie atakować krążownik - powiedział Larry. - Wariat. I wraca na postrzelanym samolocie. Myślałem, że kazałeś mu się trzymać z dala od tego bydlaka?

Matt pokiwał głową. Zakaz zakazem, ale z góry Mallory widział więcej niż ktokolwiek inny. Widocznie uznał, że *Amagi* jest już bardzo blisko i trzeba spróbować coś z tym zrobić.

Samolot przeleciał nad nimi, kierując się na północ, do ujścia rzeki, gdzie znajdowała się awaryjna rampa ze zbiornikami paliwa. Z bliska Matt dostrzegł oznaczony przestrzelinami kadłub i przekonał się, że lewy silnik też dymi. Ben chyba walczył jak potępieniec, żeby utrzymać maszynę w powietrzu. W pewnej chwili catalina błysnęła aldisem.

- *Amagi* - odczytał sygnał Dowden.

Zaraz potem lewy silnik buchnął ogniem, który przeniósł się błyskawicznie na skrzydło, z którego wyciekało paliwo. Pojawił się czarny dym.

- Nie... - szepnął Matt.

Maszyna opadła na lewe skrzydło, ale Ben jakimś cudem zdołał ją wyprostować i skierował do najbliższego brzegu.

- Dasz radę! - krzyknął ktoś.

Niestety, w końcu stało się to, co chyba było nieuniknione. Zastrzały płata z lewej strony poddały się i niemal w tej samej chwili osłabione przez ogień skrzydło odłamało się na wysokości silnika. Catalina w płomieniach runęła do zatoki.

- Wysłać motorówkę z drużyną marines, żeby poszukała rozbitków - rozkazał Matt, chociaż ton jego głosu sugerował, że nie wierzy w ocalenie kogokolwiek z załogi samolotu. - Potem idź na swoje miejsce, Larry. - Jak długo walczyli tylko z grikami, Dowden przebywał na mostku.

- Aye, aye, kapitanie - odparł Larry, patrząc jeszcze na dym unoszący się w miejscu, gdzie spadł samolot. - Powodzenia, sir - powiedział, patrząc na Matta.

- I tobie też.

*

Keje-Fris-Ar krążył po pomoście biegnącym przez całą szerokość pływającego domu. Błądził spojrzeniem po znajomych do bólu szczegółach statku, które na co dzień nie wydawały mu się warte uwagi. Wiedział, że nawet jeśli wszystko pójdzie dobrze, jego *Salissa* zmieni się pewnie w dymiący wrak osadzony w płytkiej wodzie przy nabrzeżu wyposażeniowym. Odległa kanonada bitwy przybliżała się, aż w końcu odezwały się także działa na nabrzeżu rybackim. Grikowie podeszli już bardzo blisko, a ich jednostki były tak stłoczone, że nie dawało się ich policzyć. Daleko na zachodzie widać było *Walkera* przemykającego pod wielką banderą w stronę czerwonego okrętu, który nazbyt się zbliżył do zachodniej odnogi zatoki. Po chwili woda zagotowała się wkoło ostrzelanego z karabinów maszynowych nieprzyjaciela. Mimo zagrożenia, które zawisło nad jego statkiem, Keje poczuł ukłucie winy, jak i wdzięczność za wszystko, co zrobiła dla jego ludu załoga niszczyciela. Nawet jeśli sporo było jeszcze przed nimi. Skierował ku Niebiosom krótką modlitwę za jej bezpieczeństwo i dodał drugą, za *Mahana*. Gęsty dym nie pozwolił mu dostrzec upadku cataliny.

Wiedział, że niektórzy wciąż wierzą, jakoby to Amerykanie ściągnęli na nich tę biedę, że nagle pojawienie się grików było jakoś związane z przybyciem smukłych okrętów. Rozumiał też, że to kompletny absurd. Grikowie zawsze żyli w jego świecie, a obecne wydarzenia były tylko kontynuacją tamtego, prehistorycznego konfliktu, który doprowadził do wygnania jego ludu z dawnej ojczyzny, zdecydował o jego rozproszeniu. Nieunikniona konfrontacja została odroczone i prędzej czy później musiała nastąpić. Jak powiadały Zwoje, grikowie byli ucieleśnieniem zła i tylko wielkie Morze Zachodnie pozwoliło wielu pokoleniom ludu na spokojne życie. W końcu jednak wróg nadciągnął i tutaj, wędrując z Afryki, jak Amerykanie nazywali pradawny dom ludu.

Keje nigdy nie dowiedziałby się aż tyle, gdyby Amerykanie nie przybyli. I tyle już dla nich zrobili, począwszy od pierwszego spotkania, gdy uratowali jego statek. Bez nich lud ponownie musiałby się rozproszyć, a Keje pewnie byłby już martwy. Daleki od wiązania obecnych nieszczęść z pojawieniem się Amerykanów miał ich raczej za dar najwyższych mocy przysłany w tym najgorszym czasie. Było to dobre dla ludu, ale źle świadczyło o mocach, które sprawiły zarazem, że i przeciwnik otrzymał wsparcie wielkiego, żelaznego okrętu. Keje wolałby wziąć udział w tej walce stojąc na mostku *Walkera*, pod wielką banderą niszczyciela, ale wiedział, gdzie jest jego miejsce. Winien stać przy swoich klanach. Tutaj właśnie, na pokładzie *Salissy*.

Poczuł za sobą czyjąś obecność i natychmiast się odwrócił. To była jego córka,

Selassa. Przyniosła lśniący pancerz Kejego. Już wcześniej włożył najlepszy kaftan i pas ze starą bronią. Sięgając po zbroję, zauważył, że zwilgotniało futro wokół oczu córki. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu ujrzał jej prawdziwe oblicze. Zniknęły gdzieś arogancja i poza wyższości, tak dla niej charakterystyczne. Została tylko przepelniona smutkiem łagodność. Wiedział o jej pracy z Sandrą Tucker i poświęceniu, z jakim próbowała pomóc nieszczęsnemu Saak-Fasowi. Wiedział też o jej nieszczęśliwej miłości do Chacka, którego kiedyś odrzuciła. Teraz mogła stracić ich obu. Saak popłynął na *Mahanie*. Wykonywał swoje obowiązki bez zarzutu, ale jak mówił Ellis, prawie w ogóle się nie odzywał. Chack cieszył się obecnie łaskami egzotycznej królowej. Selassie został w tej sytuacji tylko ojciec i jej pływający dom, których też mogła właśnie stracić. Kejemu zrobiło się boleśnie żal córki i wziął ją w ramiona.

- Nie daj się strachowi - powiedział tak cicho, jak mógł swoim szorstkim głosem. - Wszystko będzie dobrze. - Ścisnął ją mocno i odsunął łagodnie. Za nią stał Adar. - Myślałem, że jesteś na brzegu - powiedział do niego z wyrzutem. - Idź i weź ją ze sobą. Powinna być w punkcie pomocy, nie tutaj. Mamy dość medyków. Poza tym to będzie walka na działa. Nasi wojownicy walczą na umocnieniach.

- Zaraz idę na brzeg, mój panie. - Adar oszacował odległość dzielącą ich od przeciwnika. Kolejne armaty z wałów włączały się do akcji, ich pociski wzbijały fontanny wody między czerwonymi kadłubami. - Mamy jeszcze chwilę - dodał i zamilkł, patrząc na starego druha.

- Gdy ta walka się zakończy, będziesz miał znacznie więcej podopiecznych - zauważył w pewnej chwili Keje. - Słyszałem, że Naga wszedł na święte drzewo.

- Wdrapał się na sam wierzchołek - potwierdził kapłan. - Modli się do Niebios i chce być słyszany ponad zgłębkiem bitwy.

- Jak mu się udało? - zastanowił się Keje. - Ale nieważne. Wie, że Japończycy będą zapewne celować w drzewo i Wielką Salę?

- Tak. Nagle okazało się, że mało czego nie wie. Ma nadzieję, że jego modły go ochronią.

- Sądysz, że tak będzie?

- Nie.

Keje pokiwał głową.

- Więc pewnie moje też wiele nie dadzą. - Spuścił oczy. - Pomodlisz się ze mną, kapłanie Niebios? - spytał ze smutkiem.

Adar zamrugał gwałtownie.

- Oczywiście. - Stanęli twarzą ku jasnemu jeszcze zachodniemu horyzontowi, rozłożyli szeroko ręce i jednym głosem zaintonowali prastarą, bardzo prostą modlitwę:

- Stwórcu Wszelkiej Rzeczy, błagam cię o ochronę, ale jeśli mój czas nadszedł, oświeć ścieżkę, którą duch mój wejdzie do Niebiańskiego Domu.

Skończyli, ale Adar nie uczynił gestów kończących rytuał, tylko dodał:

- I zanosimy do ciebie prośbę, byś chronił nie tylko nas, maluczkich, ale i wszystkich, którzy walczą tu w twoim imieniu, nawet jeśli inaczej pojmują twą wielkość. Aryaalan, Sularanów, mieszkańców B'mbaado i innych, którzy cię znają pod innym imieniem, ale tak samo darzą szacunkiem... jak nasi amerykańscy przyjaciele. Nasi śmiertelni wrogowie nie zwracają na ciebie uwagi. Wiem, że to... samolubne z mojej strony odmawiać tak wielu twoim dzieciom szybkiego zajęcia tego miejsca, które należne jest im w Niebiosach, ale wiesz, Stwórcu, jak bardzo potrzebujemy ich oręża! Dlatego błagam cię, żebyś nie zabierał ich zbyt wielu w tej walce, bo nawet jeśli okaże się zwycięska, zmagania będą trwały dalej, będą trwały jeszcze długo. Niech później zyskają nagrodę, niech jaśniej potem w zamian rozbłysną na nocnym niebie, abyśmy na zawsze pamiętali o ich ofierze! - Opuścił głowę. - To moja prośba do ciebie. Jeśli wołą twoją będzie pozbawić mnie w zamian mego własnego wyniesienia, niech i tak się stanie.

Pozostali patrzyli na niego zdumieni tymi słowami. Keje miał oczy pełne łez. Biorąc przykład z Adara, skrzyżował ręce na piersi i ukląkł na pokładzie, żeby dokończyć modlitwę.

- Zbyt wiele na siebie bierzesz - powiedział chwilę później do przyjaciela.

- Żałuję, że nie mam nic więcej do zaoferowania prócz mego skromnego ducha.

- No to możesz dodać i mojego - mruknął Keje i Adar spojrzał na niego z niepokojem. Raz wypowiedziana propozycja ofiary nie mogła zostać cofnięta. - A co myślałeś? Że zdołasz uwolnić się ode mnie w tym albo następnym życiu? Nuda by mnie zabiła. - Zamilkł na chwilę. - Jeszcze dwie rzeczy, potem będziesz musiał iść. Po pierwsze, jeśli odniesiemy zwycięstwo, ale nie przeżyję, odeślij moją duszę na płomieniach z drewna *Salissy*. Może Stwórcu mnie nie słyszał - dodał z uśmiechem. - A drugie, to mam nadzieję, że przekażesz kap-i-tanowi Reddy'emu moje podziękowania.

Adar objął Kejego, okrywając go na chwilę połą swego płaszcza.

- Na pewno.

*

- Odnoszę wrażenie, że gadzi pomiot zamierza zaatakować nabrzeże - powiedział Courtney Bradford.

Główny szpital mieścił się pod całym kwartałem wzniesionych na palach domów i

sklepów, pół mili na południowy wschód od Wielkiej Sali. Osłonięty obszar liczył niemal sześć akrów i z wolna wypełniał się rannymi. Nie było stąd nic widać, ale zgiełk walki był tak donośny, że chwilami zagłuszał nawet jęki rannych.

- Chyba masz rację - stwierdziła Sandra. - Ale teraz odłóż broń i pomóż mi z tym pacjentem!

Bradford bezwiednie oparł kręgosłup o „bambusowy” wspornik domu i spojrzął na bezwładną postać leżącą przed Sandrą. Wszędzie dokoła personel medyczny toczył własną bitwę o życie rannych, których wciąż przybywało. Wielu z potwornymi poparzeniami, inni z obrażeniami od szabel i toporów czy przeszyci strzałami o grotach z rwącymi ciałem haczykami. Lekko rannych było niewielu. Zwykle opatrywano ich w punktach pierwszej pomocy albo nawet na miejscu walki. Kto mógł zostać w szeregu, dostawał maść i opatrunek. Do Sandry trafiali tylko ci w najgorszym stanie. Zasadniczo wciąż była tylko pielęgniarką, zapewne jednak stała się najbardziej doświadczonym chirurgiem tego świata.

Przeszedł jeden z porządkowych, zapalając świeczką lampy.

- Chętnie bym pomógł, oczywiście, ale obawiam się, że byłoby to bezcelowe - rzekł Bradford.

Sandra zerknęła na niego ostro, po czym spojrzała na pacjenta. Żuchwa opadła luźno, oczy patrzyły w pustkę.

- Sama widzisz - dodał Australijczyk. - Może niech lepiej przyniosą następnego.

Sandra zamknęła oczy i przyłożyła dłoń do czoła. Bradfordowi skojarzyło się to z klasyczną pozą mdlejącej damy i nawet się wystraszył, że Sandra zostawi go zaraz z całym szpitalem na głowie. Ku jego wielkiej uldze tylko otarła pot i szybko podeszła do miski, żeby umyć ręce. Bradford skrycie wydobyl z kieszeni piersiówkę i z ulgą pociągnął łyk.

- Tak. Jestem pewna, że zaraz to zrobią.

Bradford otarł usta i schował piersiówkę, po czym rozejrzał się wkoło.

- Od początku walki nie widzę nigdzie panny Becky - powiedział. - Myślałem, że jest pod twoją opieką.

- Ja też tak myślałam - odparła Sandra. - Ale wieczorem powiedziała mi, że postanowiła zostać w dowództwie z O'Caseyem. Stwierdziła, że skoro opiekował się nią tak długo, to i teraz da radę, ona zaś będzie widzieć więcej z tego, co dzieje się wkoło. - Sandra wydawała się trochę zaniepokojona, może nawet urażona. - Pewnie i tak będzie dobrze. Poza tym to chyba nie jest najlepsze miejsce dla dziecka - dodała, rozglądając się.

- Może... - mruknął Bradford. - Wiesz, że ona jest kimś więcej... niż się wydaje?

- Domyślam się tego, lecz ilekroć Matt chciał mi coś powiedzieć, zawsze ktoś nam

przeszkadzał. To tajemnica?

- Poniekąd. Przynajmniej na razie.

Sandra wzruszyła ramionami.

- Niech tak będzie. O cokolwiek chodzi, na razie nie ma to większego znaczenia. Byle tylko była bezpieczna.

Od nabrzeża dobiegł ich głuchy łomot. Przywykli do odgłosów bitwy na południu, ale to było coś nowego. Głośniejszego i znacznie bliższego. Zaniepokojona Sandra uniosła głowę.

- Bez nerwów, moja droga - odezwał się Bradford. - Zatrzymają ich. Wiesz, to część planu. Naprawdę, wiem, co się dzieje. Tak ma być.

Sandra zauważyła, że Bradford znowu wziął karabin i przesunął palcami po szczerbince.

- Od dłuższej chwili nie słyszałam dział *Walkera* - zauważyła Sandra, wycierając ręce i kiwając na personel, żeby przyniósł następnego pacjenta.

- Jasne, że nie! Mają niewiele amunicji. Zachowują ją na Japońców. Poza tym w tym hałasie i tak byś go nie usłyszała. - Wskazał gdzieś na zachód i nastawił ucha. - Wielki Boże! Oni naprawdę atakują!

*

Setki bomb zapalających wleciały w nocne niebo, zmierzając w kierunku nabrzeża. Każda zostawiała wątlą smużkę dymu. Większość upadła za umocnieniami, pośród sklepów i magazynów, z miejsca wywołując pożary. Jedna trafiła w stanowisko działa. Oblana żywym ogniem obsługa cierpiała tylko przez chwilę, bo zginęła zaraz potem w eksplozji zgromadzonej obok amunicji. Reszta baterii nadal ostrzeliwała stłoczone i coraz bliższe okręty. *Salissa* zwolniła cumy z jednej strony, żeby ustawić się burtą do napastników i razić ich wszystkimi dwudziestoma ciężkimi działami. Na tak mały dystans jej pociski masakrowały czerwone żaglowce, których było jednak zbyt wiele. Pierwszy uderzył z wielkim hukiem w nabrzeże, tracąc przy tym dziób i pozostałe jeszcze maszty, które padły na stłoczonych na pokładzie grików. Wielu zostało zmiądzonych, ale reszta już skakała na ląd. Następne jednostki poszły za pierwszym i obszar między basenem a obwałowaniem zaczął się wypełniać grikami. Niektórzy gubili się pod gradem pocisków, widząc szalejący w pobliżu ogień, większość jednak natychmiast rzuciła się do dzikiego frontального ataku. Zaczęła się kolejna potworna rzeź. Pod murami rosły stosy ciał rażonych siekańcami grików, kolejne salwy ciskały martwe jaszczury na kolejne szeregi. Zrobiło się ślisko od krwi, ale napór nie ustawał.

Adar zabrał Selassę na ląd, ale sam daleko nie odszedł. Krążył teraz za obwałowaniami, za towarzystwo mając Rise, i zagrzewał wojowników z *Salissy* do walki. W pewnej chwili na szczycie muru pojawił się samotny grik, podrzucony tam zapewne przez kompanów. Pobliscy obrońcy zajęci byli akurat czym innym, skoczył więc między nich, i z trzaskiem wylądował na ziemi. Musiał złamać przy tym co najmniej jedną nogę. Risa szybko dopadła go z toporem i po prostu zarąbała. Adar spojrzał na nią z podziwem.

- Łatwo sobie z nim poradziłaś - pochwalił dziewczynę.

- Bo to nie było trudne - odparła. - Okulał przy skoku.

- Chyba wiele ostatnio walczyłaś.

- Nie aż tak dużo - stwierdziła Risa. - Wzięłam udział w obronie *Salissy* i na niej też byłam podczas bitwy pod Aryaalem. Spóźniliśmy się wtedy.

Adar pamiętał tamten dzień.

- Może, ale odegraliście swoją rolę. I ty, i twój brat zyskaliście wielki szacunek.

Risa zamrugła, uśmiechnęła się krzywo i pokręciła głową.

- A wiesz, że przed tamtą bitwą Chack nie lubił walczyć? Bał się, że zrobi komuś krzywdę.

- Wiem. Waszej matce to się nie podobało, ale była też z niego dumna. Sama nigdy nie znała strachu. Gdzie jest teraz?

Risa wskazała na *Salisę*, skrytą za kłębamii duszącego dymu, w którym błyskały pomarańczowo ognie wystrzałów.

- Tam. Nie chciała zejść na ląd. Zawsze zajmowała się skrzydłami. O tym kiedyś marzyła. Teraz jest również wojownikiem.

- Wszyscy nimi teraz jesteście. Nawet twój pokojowo nastawiony brat.

- Nawet ty, szanowny kapłanie?

- Nawet ja - przyznał Adar. - Toczę wojnę sam ze sobą. Niestety, nie uczono mnie nigdy wojennego rzemiosła, czego bardzo żałuję. Chciałbym móc zabijać wrogów naszego ludu, którzy chcą zniszczyć nasze zwyczaje i wytępić nas samych. - Spojrzał na swoje dłonie.

- Ale nie mam do tego talentu, chociaż po tym, co kiedyś widziałem... to nawet frustrujące. Trochę zazdroszczę twojemu bratu. Walka przychodzi mu tak łatwo, jakby nie wkładał w to w ogóle wysiłku. Domyślam się, dlaczego królowa tak go ceni. Wywodzi się z wojowniczego narodu i poznaje talent. Dar do wojaczki, gdy jest niezbędna - dodał, krzywiąc się lekko. - Wiele jednak się nauczyłem, gdy chodzi o przebieg walki. Od majora Shinyi i innych.

- A jak przebiega dzisiaj? - spytała Risa.

- Obawiam się, że niemal dokładnie według planu.

- Ale to chyba dobrze? - spytała zdziwiona dziewczyna.

- Chyba najcenniejszą rzeczą na temat wojny, jaką przekazali nam Amerykanie, jest ich podejście, żeby mieć nadzieję na najlepszy obrót spraw, ale też być gotowym na najgorsze. I ta bitwa toczy się niestety niemal dokładnie zgodnie z planem.

Zza muru dobiegł ich wściekły ryk i kolejne ogniste pociski spadły na obrońców. Część z nich musiała się wycofać i Risa pospieszyła, żeby wypełnić lukę.

- Niech będzie i tak! - krzyknęła na odchodnym. - O ile tylko to zwycięski plan!

*

Perry Brister upił wody z podsuniętej mu tykwy. Woda złagodziła trochę ból gardła, ale nie mogła przywrócić głosu. Shinya i Rolak też popili i podziękowali młodzikowi, który obchodził obrońców, starając się ich napoić. Od kilku godzin było już ciemno, ale za sprawą pożarów sporo było widać. Nadbrzeżna równina i droga do miasta niemal całkiem opustoszały. Krótco wcześniej usłyszeli ponownie rogi grików grające gdzieś pod miastem i jaszczury zareagowały na nie jak psy na gwizdek. Natychmiast pognały w kierunku źródła dźwięku. Żaden nie został, żeby pilnować obłądzonych. Jeśli nie liczyć rannych, oczywiście.

Pod murami leżały tysiące trupów, a z trzech tysięcy obrońców zostały tylko dwa. Niemniej utrzymali pozycję. Teraz mogli zacząć przygotowania do realizacji planu Bristera.

- Skąd wiedziałeś, że sobie pójda? - spytał w końcu Shinya.

- Nie wiedziałem - zachrypiał Perry. - Myślałem, że będziemy musieli się przez nich przebijać. Te rogi musiały być sygnałem dla oddziałów rezerwowych. Szykują się do decydującego uderzenia.

Miasta obecnie nie widzieli. Przez gęsty dym mogli dostrzec tylko łuny pożarów oraz błyski wystrzałów.

- Proponowałbym dać ludziom kilka godzin odpoczynku - szepnął Brister. - Potem przeformujemy oddziały.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - powiedział Rolak.

Perry wzruszył ramionami.

- Cały mój plan opiera się na tym, co od was słyszałem. I na wnioskach Bradforda. Nie mam pojęcia, czy zadziała. Ale może wyjdzie z tego jakaś dywersja.

- Lepsze to, niż umierać tutaj w okrążeniu - zgodził się Shinya. - Miałeś rację z tym wstrzymaniem ognia. Nic więcej nie mogliśmy zrobić. I przepraszam.

- Nie ma za co - odparł Brister. - To ja przepraszam, że nazwałem cię pieprzonym żółtkiem.

Shinya zachichotał.

- Ja ciebie jeszcze gorzej. Ale po japońsku.

- Panowie - odezwał się nagle zdyszany goniec. - Żelazny okręt nieprzyjaciela wchodzi do zatoki. Za nim ciągnie więcej jednostek grików.

Spojrzeni na zachód. Nawet w ciemności dostrzegli na tle nieba czarny, kojarzący się z pagodą pomost bojowy krążownika. Dym i iskry unosiły się z komina, na pokładzie poruszały się drobne ludzkie sylwetki. To była niebezpieczna chwila. Mimo poważnych uszkodzeń okręt nadal porażał ogromem, czuło się drzemiącą w nim siłę. Dystans był wprawdzie za mały na użycie dział artylerii głównej, ale i pomocnicza mogłaby ich zmiażdżyć. Załoga krążownika też musiała ich widzieć w blasku pożarów. Na pewno nas widzą, pomyślał Brister.

Cokolwiek jednak widzieli, niczego nie zrobili. Powód był prosty: obrońcy fortu nie stwarzali już żadnego zagrożenia. Japończycy uwierzyli najpewniej, że udało im się zneutralizować ciężkie armaty. Zresztą nawet gdyby tego nie zrobili, ładowane od przodu działa byłyby całkiem bezradne wobec pancernego kolosa. Wcześniej ostrzelali fort, żeby pomóc sojusznikom, ale jego obrońcami grikowie mogą zająć się już sami, jeśli będą mieli na to ochotę.

Mimo wielkiej ulgi, że *Amagi* ich zignorował, Perry Brister wściekał się na swoją bezradność.

- Jeszcze pożałują, że nas nie wykończyli.

*

- Dlaczego zaprzestaliśmy ostrzału fortu? - spytał Kurokawa, wchodząc na mostek i stając za Sato. Dotąd podczas walki kapitan wolał przebywać na stanowisku dowodzenia. Komandor Okada zerknął na niego niespokojnie. Ze zdumieniem zauważył, że kapitan przypasał tym razem broń boczną.

- Nieprzyjaciel został obezwładniony. Rozbiliśmy mu wszystkie działa.

- I to jest najlepszy czas! Zniszczyć ich wtedy, gdy nie mogą odpowiedzieć ogniem.

- Wcześniej też nie mogli nam wiele zrobić, kapitanie - odparł Okada. - My zaś mamy rozpaczliwie mało amunicji. Przyjąłem, że chce pan ją zachować na amerykański okręt. Poza tym nie wiem, czy nie będą próbowali nas czymś zaskoczyć.

Kurokawa poczerwieniał na twarzy, ale nie zmieszał oficera z błotem, jak wcześniej zwykł robić. W końcu nawet przyznał mu rację.

- Słusznie, komandorze. Zawsze możemy przemielić ich później. W końcu są odcięci.

- Tak jest, panie kapitanie - powiedział Sato, czując zimny dreszcz. Robił, co mógł, żeby odwlec ten moment, ale nie mógł przed nim uciec. Tak jak nie mógł otwarcie werbować

zwolenników odebrania kapitanowi dowodzenia. Mimo jego starań wszystko wskazywało na to, że tej nocy będą walczyć z Amerykanami. Gdyby teraz opowiedział się po ich stronie, straciłby nawet to skromne poparcie, które udało mu się zdobyć. Zastanawiał się, czy wysłana przez Kaufmana wiadomość dotarła do adresata. Nie, żeby to coś zmieniało. Cierpiał przez to, co miało nastąpić. *Amagi* był już dlań okrętem przeklętych.

- Czy dostrzeżono już amerykański niszczyciel?

- Nie - odparł. - Odebraliśmy tylko sygnały, że wcześniej zdziętkował naszych „sojuszników”. - Sato nie zdołał ukryć satysfakcji, gdy o tym mówił. Ku jego zdumieniu Kurokawa zaśmiał się cicho.

- Wspaniale! Musieli zużyć przy tym wiele amunicji, poza tym nasi barbarzyńscy przyjaciele tym bardziej docenią naszą siłę, gdy go zniszczymy. Im więcej grików zabijają, tym większym sukcesem będzie nasze zwycięstwo. Proszę mnie powiadomić, gdy tylko nieprzyjaciel znajdzie się w polu widzenia. Tym razem nie zdoła nam uciec - dodał złowróżbnym tonem.

*

- Żelazny statek wchodzi do zatoki - oznajmił *Esshk*, stojąc na pokładzie rufowym wielkiej, pomalowanej na biało jednostki flagowej Niezwycięzonego Roju. Jak dotąd, zgodnie z planem, obserwowali bitwę z daleka. Widzieli unicestwienie elitarnych jednostek floty, gdy próbowały przedrzeć się kanałem obok fortu. Uul, którzy wylądowali na południowym brzegu, radzili sobie jakby lepiej.

- Może tolerancja okazywana tym kreaturom przyniesie wreszcie coś dobrego - powiedział *Tsalka*, myśląc o Japończykach.

- Plan *Kurokawy* zdaje się działać, regencie - przyznał *Esshk*. - Jego pomysł, żebyśmy wbrew doktrynie zaatakowali od razu w kilku miejscach, zdaje się klócić z samą zasadą roju, ale pozwolił nam użyć jednocześnie większych sił niż kiedykolwiek wcześniej. Wieli *Uul* zginęło, obawiam się, że straty też będą bezprecedensowe, ale tak zmiękczyliśmy ich obronę, że ten wielki okręt mógł wejść do zatoki. Powstrzymał też rzeź naszych jednostek, uciszając fort. Skłonny jestem sądzić, że to błyskotliwa taktyka.

- To prawda, jest skuteczna. Kosztowna, ale skuteczna - zgodził się *Tsalka*.

- I z jakiej odległości uciszeli ten fort... całkiem bez wysiłku. Gdyby ci nowi łowcy nie byli aroganccy, chętnie widziałbym ich u naszego boku.

- Są potężni - zgodził się *Esshk*. - Ale tym razem taka jest też nasza zdobycz. Godna zdobycz - mruknął zamyślony. - Może powinniśmy złożyć im Ofertę? Nigdy żaden rój nie został tak rozbity. Obawiam się również, że niezależnie od wyniku bitwy z Niezwycięzonego

Roju też wiele nie zostanie.

- Może - syknął Tsalka. - Ale taki już los Uul: zginąć w walce, czyniąc to, co kochają, do czego zostali zrodzeni. Oferta jednak nie wchodzi w grę. Walczymy z pradawnymi nadrzecznymi, którzy raz już nam umknęli. Nie byli godni Oferty wtedy i teraz też nie są, choć pewnie wzrosli przez te lata. Trudno. Niemniej boleję nad Uul, których stracimy w tych łowach. I bardzo im zazdroszczę.

- Oczywiście. I ja też.

Tsalka spojrział na masywną jednostkę wchodzącą coraz głębiej do zatoki.

- Chyba powinniśmy ruszać - powiedział. - Hij nie mogą bezpośrednio cieszyć się łowami, ale nie możemy dopuścić do przekonania, że to wyłącznie nowym łowcom zawdzięczamy sukces. Obawiam się, że Uul mogą nazbyt liczyć na żelazny statek.

- Też tak myślę - przyznał Esshk. - Wszyscy możemy mieć z tym kłopot, nim te łowy się zakończą.

*

- Oko melduje japoński krążownik liniowy w namiarze dwa, zero, pięć! - zawołał Reynolds. - Zbliża się.

Walker już od dwóch godzin krążył tam i z powrotem po zachodniej stronie zatoki na wysokości jej odnogi. Postronny obserwator mógłby dojść do wniosku, że dowódca niszczyciela trzyma się z dala od walki, nie mogąc się do niej włączyć z braku amunicji. Nie było to dalekie od prawdy.

Matt starał się nie okazywać niepokoju. Wszystkie działania *Walkera* tego dnia i wieczora były obliczone na zbliżającą się kulminację. Mieli wystawić się na ogień krążownika *Amagi*. Jednak teraz, gdy oczekiwana chwila wreszcie nadchodziła, wcześniejsza oczywista konieczność zaczęła nieco ustępować przed wątpliwościami i obawami. Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem. Innymi słowy, nic nie sugerowało niepowodzenia. Przeciwnik poniósł takie straty, że każdą istotę inteligentną powinno to skłonić do zaniechania walki. Pod murami miasta rosły stosy martwych grików. Jednak jaszczury wciąż atakowały. Teraz wszystko zależało od *Walkera* i *Mahana*. Na to liczyli i tego się lękali. Mieli zadać cios, który złamie wolę walki przeciwnika, zmieni zajadłość w strach. Najlepiej tak, żeby powtórzył się ten wybuch paniki, który widzieli pod Aryaalem.

Nie było żadnej gwarancji, że nieprzyjaciel tak właśnie się zachowa, nawet jeśli plan się powiedzie. Opierali się tylko na teorii Bradforda i na tym, co dwukrotnie już widzieli. Gdy grikowie trafiali nagle na górującego nad nimi przeciwnika, wpadali w przerażenie i bezmyślnie rzucali się do ucieczki. Sami potrafili atakować wręcz nieustraszenie, ale

zaatakowani umieli jedynie uciekać. Trzeba więc było przyjąć, że wszyscy zachowują się tak samo, chociaż było wiadomo, że w pewnych sytuacjach wykazują też skłonność do innych reakcji. Osaczeni bez możliwości ucieczki walczyli do końca. Tak było na *Zemście*. Z drugiej strony nawet osaczony niedźwiedź potrafi zaatakować psy. Co było jednak charakterystyczne, to że każdy z nich walczył wtedy sam. Nie było żadnej współpracy ani dyscypliny, tylko bezrozumny, jak się wydawało, opór. Jeden kapitan statku zachował się inaczej. W ogóle nie podjął walki, wybierając samobójstwo. Mattowi kojarzyło się to z zachowaniami Japończyków i ciągle się zastanawiał, czy nie ma to może podobnego źródła.

Na Tarakanie też nie doszło do wybuchu paniki. Przeciwnik dotarł do brzegu, zaatakował i zginął. Pod koniec dochodziło nawet do zażartych pojedynków na białą broń, ale można było przyjąć, że tam grikowie też zostali osaczeni. Za plecami mieli przecież morze. Matt podejrzewał, że to był właśnie ten decydujący element. Zapytany o sprawę Lawrence był tego samego zdania. Jaszczur przebywał teraz w kabinie kapitana.

W końcu dzień przeszedł w wieczór, a wieczór zmienił się w głęboką noc. Niebo było jasne od odbłasku pożarów. No i *Amagi* wszedł wreszcie do zatoki. Chwilowo to *Walker* stał się osaczoną zwierzyną.

Matt uniósł lornetkę. Ciemna sylwetka krążownika liniowego przesuwiała się na tle Fortu Atkinsona. Otaczał go co najmniej tuzin jednostek grików, zapewne dla ochrony przed minami. Gdy tylko Matt o tym pomyślał, jeden z nich eksplodował i szybko zatonął. *Amagi* skorygował kurs, skręcając w „przetrałowany” kanał. W tej sytuacji skuteczna mogła się okazać tylko „specjalna” mina. Minuty jednak mijały, ale nic się działo, chociaż stalowy kadłub musiał już przejść nad wynalazkiem Sandisona. Matt westchnął. Magnetyczne zapalniki torped Mark 6 zawiodły już tyle razy, że teraz też nie powinien niczego oczekiwać, mimo to był rozczarowany. Gdyby jednak zapalnik zadziałał, rozstrzygnąłby zapewne cały problem.

Opuściwszy lornetkę, spojrzął na stojących obok niego ludzi. Wyczuwał ich strach. Wiedzieli, jak małe mają szanse, ale rozumieli też, że nie ma wyboru. Nawet gdyby mogli uciekać, tym razem nie zdecydowałiby się na to. Trzeba było dokończyć to, co niemal dokładnie rok wcześniej przerwał im szkwał. Dla nich to nie była jedynie walka z bezrozumnymi jaszczurami, ale i wrogiem z ich własnego świata. Może wpłyną w ten sposób na przebieg bitwy, może nie, ale swoje sprawy wreszcie załatwią. Matt przypomniał sobie długą listę nazwisk wykreślonych z ewidencji od czasu, gdy *Amagi*, *Mahan* i *Walker* ostatni raz się spotkały. Niemal czuł duchy tych ludzi tłoczące się w sterówce i czekające, aż dokona zemsty albo dołączy do nich. Zmusił się do lekkiego uśmiechu.

- Jeszcze kilka chwil i ruszymy na całego. - Przeciągnął ramiona i obrócił się w stronę dziobu. Pod dłonią wyczuł swoje krzesło, przymocowane do ściany. Poklepał je pieszczotliwie. - Jeszcze ten jeden raz, staruszko - wyszeptał. - Cała naprzód - powiedział głośno. - Kurs zero, jeden, zero.

- Cała naprzód, kurs zero, jeden, zero.

- Do pana Garretta: może pan otworzyć ogień, gdy tylko otrzyma pan wynik z kalkulatora. Przeciwpancernymi.

- Aye, aye, kapitanie. - Reynolds przekazał rozkaz oficerowi artyleryjskiemu. - Sir, pan Garrett pyta, czy ma zachować jakąś rezerwę pocisków.

- Nie. Niech włada w niego wszystko, co ma.

Gdy *Walker* przyspieszał, wyęzając wszystkie mechanizmy do ostatniego biegu, ciemna sylwetka japońskiego krążownika liniowego zajaśniała nagle od płomieni.

*

Kurokawa wychodził właśnie na obszerniejszy i dający lepszy widok pomost bojowy, gdy usłyszał, że dostrzeżono amerykański niszczyciel.

- Gdzie? - spytał, energicznie podchodząc do okna.

- Lewa dziobowa ćwiartka - powiedział zduszonym głosem Sato.

Kurokawa zatarł dłonie.

- Otworzyć ogień, komandorze Okada! Ten okręt ma zostać zniszczony!

- Tak jest, panie kapitanie. - Sato z ciężkim sercem przygotował się do przekazania rozkazu, gdy kapitan przeszył go lodowatym spojrzeniem. Wątpliwości pobrzmiewające w głosie Okady przebiły się chyba przez euforię Kurokawy.

- Komandor Okada nie aprobuje niszczenia jednostek wrogów jego cesarskiej mości? - spytał szyderczo.

Sato spojrzał na niego beznamiętnie, ale zanim zdołał się odezwać, coś w nim pękło i stanął na baczność.

- Wręcz przeciwnie, panie kapitanie. Nie jestem tylko przekonany, czy w tym świecie amerykański niszczyciel wciąż jest przedstawicielem wrogów naszego cesarza. - Spojrzał Kurokawie w oczy. - Zmarnujemy za chwilę sporo amunicji i zapewne sposobność. I uśmiercimy niepotrzebnie iluś ludzi. - Sato był świadom, że powiedział za dużo, i nie wątpił, jakie będą tego konsekwencje, ale nie mógł się powstrzymać.

I chyba już nie chciał. Wykonywanie rozkazów oszalałego kapitana to jedno, ale w tym wypadku oznaczało to również wspieranie budzących obrzydzenie grików. To było jeszcze gorsze i po dwakroć hańbiło jego honor, kalając go zapewne po wszelkie czasy. -

Kapitanie, w tym świecie największym wrogiem cesarza mogą być tylko grikowie, a pan stał się ich narzędziem.

- Pozbawiam pana stanowiska! - zaskrzeczał w złości kapitan Kurokawa. - Uda się pan do aresztu, gdzie będzie czekał pan na ukaranie!

Sato skinął głową. Nagle pokład zadrżał i gdzieś powyżej rozległ się huk eksplozji. Płomienie spowiły na chwilę pomost bojowy, sięgając okien mostka.

- Otworzyć ogień! - powtórzył wściekle Kurokawa i spojrzał na Sato. - Oto kolejna hańba, którą musimy pomścić. Pańscy amerykańscy przyjaciele nie dzielają chyba pańskich wątpliwości.

Sato nie zamierzał skomentować tego dziwnego stwierdzenia. Obrócił się i chciał opuścić mostek.

- Chwila! Najpierw przyprowadzi pan tutaj swojego amerykańskiego pieszczołka. Niech zabawi się trochę, widząc, jak giną jego ostatni rodacy na tym świecie. I pan też powinien to zobaczyć, zanim podzieli ich los.

Błysk pierwszej salwy krążownika odbił się w skrzywionej i spoconej twarzy kapitana.

*

- Chyba *Walker* zaczął przedstawienie - zauważył Alden. Zakaszłał i splunął. Na zatoce zajaśniały błyski wystrzałów, przez ciemność przemykały smugi pocisków. Łatwo było się zorientować po sile ognia, kto do kogo strzela. Jeden z dziobowych szperaczy krążownika zamigotał i zgasł pośród rozprysku iskier. Inne spotkał niebawem podobny los. Zapewne *Walker* ostrzeliwał pomost bojowy japońskiego okrętu.

- Grikowie też są chyba prawie gotowi - ostrzegł Chack i wskazał na południe. Teren przed murami był pełen jaszczurow, a ciała wypełniały fosę tak szczelnie, że napastnicy mogli przebiec po nich, nie ryzykując kontaktu z wodą. Zaostrzone pale i inne przeszkody też spełniły po wielekroć swoje zadanie i nie były już skuteczne. Na przedpolu płonęły krzaki, bliżej drzew widać było większy pożar w miejscu, gdzie młódczysko zniszczył jedną z machin miotających pociski zapalające. Ogień oświetlał szeregi grików, których liczebności nie sposób było ustalić, ale nie ulegało wątpliwości, że wcześniej przybyłe oddziały otrzymały znaczące wzmocnienie.

- Pewnie wzywają ostatnie rezerwy - zasugerował Chack. Miał opuchnięte wargi i trochę trudno go było zrozumieć. Jego sierść była zlepiona krwią i kulał od cięcia w nogę. - Po ostatnim ataku musieli chyba uwierzyć, że teraz wystarczy jeden porządny cios, żeby się przebić.

- Owszem. Ściągnęli już chyba wszystkich, którzy nie brali dotąd udziału w walce -

powiedział Alden. - Niestety, my też. Nic już nie mamy na północy i na wschodzie. Wszyscy są albo tutaj, albo przy nabrzeżu. Nad wodą mają większe działa i więcej ludzi, ale na zbyt długim odcinku. Nie jest im łatwo.

- Tutaj też nie jest - stwierdził Chack.

Alden spojrzał na niego.

- Nie wiem, co te jaszczury mają zamiast mózgów, ale ja na ich miejscu skupiłbym jak największą siłę na krótkim odcinku, a gdzie indziej zostawiłbym tylko tyle, żeby trzymać obrońców w szachu. Jeśli to zrobią, pękniemy. Chcę, żebyś objął dowództwo kompanii strzelców, która będzie gotowa ich zaatakować, gdyby się przerwali. Weź wojowników z B'mbadoo. Karabiny są świetne na dystans, ale szable też mogą być potrzebne, gdyby doszło do skrócenia dystansu.

- Moje miejsce jest z marines - zaprotestował Chack.

- Marines też weźmiesz - rzekł Alden, powściągnawszy uśmiech. - Potrzebuję tam kogoś, komu mogę zaufać. I kogoś, kto będzie wiedział, ile trzeba poczekać, ale nie będzie czekał za długo. Ten ktoś musi również zachować zimną krew, gdyby się nie udało. I rozpozna tę chwilę. Wtedy zbierz, kogo się da, i wycofuj się w stronę szpitala. Będziesz dowodził tylną strażą. Zarówno tutaj, jak i podczas odwrotu przez dżunglę. Zrozumiałeś?

Chack zamrugął ze złością.

- Proszisz mnie o zbyt wiele! Mam opuścić moich ludzi, wojowników domu...

- Nie proszę, kurde! - warknął Alden. - Mówię ci, co zrobisz! Jedyne, o co cię proszę, to żebyś spróbował zrozumieć swoją powinność.

Chack powoli skinął głową. W dali znowu odezwały się rogi. Ich dźwięk narastał, aż mogło się zdawać, że źródeł dźwięku jest nie kilkaset, ale wiele tysięcy. Huk uderzeń w tarcze, który potem nastąpił, zagłuszył nawet odgłosy wystrzałów. Grikowie ruszyli.

Nagle z drugiej strony dobiegł przeciągły huk, który zdawał się nie mieć nic wspólnego z nadciągającą hordą. Wszystkie głowy zwróciły się w kierunku zatoki. Na północy, teraz znacznie dalej niż wcześniej, rosła ognista kula zwieńczona czapą dymu. Poniżej widać było plujący płomieniami niszczyciel.

- Boże - westchnął Alden. - *Walker...*

*

- Meldować o uszkodzeniach! - zawołał Matt, podnosząc się z pokładu. I bez meldunków wiedział, że jest źle. Czuł gorąco eksplozji, a okręt wyraźnie zatrzęsł mu się pod stopami. No i wytracał już prędkość. Wcześniej szli tak udanie, jakby chronił ich jakiś czar. Kolejne salwy pocisków przeciwpancernych, całowanych, błogosławionych i

odprowadzanych przekleństwami, trafiały w krążownik z widocznym skutkiem. W pewnej chwili ogień nieprzyjaciela stał się znacznie mniej celny i Matt pomyślał, że zapewne udało im się wyłączyć dziobowe stanowisko kontroli ognia. Niemniej i tak nie trafiło w nich nic więcej poza odłamkami od bliskich wybuchów oraz kilkoma seriami z działek lekkich kalibrów, chociaż woda wokoło gotowała się od padających gęsto pocisków kalibru pięciu i pół cala. Korzystając ze sposobności, *Walker* ostrzeliwał krążownik kilka minut dłużej, niż było to przewidziane. Trudno było się powstrzymać. Ostatecznie jednak rozum zwyciężył i Matt rozkazał wykonać zwrot. *Walker* pognał przez zatokę na północ, stawiając gęstą zasłonę dymną.

Skryty w ciemności zagęszczonej jeszcze dymem powinien być całkiem niewidoczny. Wiatr wiał z południa, zatem chmura otaczała go szczelnie i nie zdradzała tendencji do szybkiego rozpraszania się. Zaraz po zwrocie niszczyciel przerwał ogień i wygasił wszystkie światła. Blask pożarów do niego nie sięgał, brakło zdradliwego księżyca. I wtedy właśnie oberwał. To musiał być czysty przypadek.

- Awaryjna naprzód! - krzyknął Matt, widząc, że prędkość wciąż maleje. Kilka pocisków padło w pobliżu, jakby nagle *Amagi* dostrzegł cel. Matt obszedł stół nakresowy i spojrzał ku rufie. Od razu pojął, o co chodzi. Śródkręcie niszczyciela stało w ogniu. Japoński pocisk musiał przebić dodatkowy zbiornik paliwa, który zamontowali w miejsce kotła numer jeden, i płonąca ropa rozlała się po okręcie. Skądś wydobywał się strumień pary, mieszając się z czarnym, tłustym dymem. Po chwili Matt ujrzał pierwszych ludzi z węzami, którzy zaczęli gasić pożar.

- Kapitanie! - zawołał z tyłu Reynolds. - Pan McFarlane melduje bezpośrednie trafienie w kocioł numer dwa oraz przebicie bunkra. Rośnie poziom wody w przedniej kotłowni i nie da się z tym nic zrobić. Mniejsze przecieki w tylnej kotłowni - sądzi, że uda mu się je opanować.

- Tracimy parę!

- Tak, sir. Zawór poszedł. Nie da się z dołu odciąć dwójki od głównej linii. To można zrobić tylko na górze, ale pożar...

- Racja. Niech skoncentrują strumienie wody w tym miejscu. Musimy mieć parę!

Walker zastopował, ale załoga nieprzerwanie walczyła z piekłem płomieni na śródkręciu. Matt oczekiwał, że zaraz trafią w nich następne pociski, ale coś sprawiło, że ta finalna salwa nie nadleciała, chociaż okręt był teraz łatwym celem. Widoczny dobrze z daleka, aż zapraszał, żeby w niego celować.

- Nie chcę marnować pocisków - powiedział głośno, obserwując japoński krążownik. -

Albo uważają, że jeszcze nie toniemy, i będą chcieli zabawić się z nami później.

Bosman Gray wspiął się na mostek czarny od dymu, z nadpalonymi rzadkimi włosami na głowie i trochę przysmażoną brodą.

- Mamy problem, skipper - powiedział.

Matt uniósł brwi na to osobliwe stwierdzenie. Do Graya dotarło, jak ono zabrzmiało, i wzruszył ramionami.

- Niejeden problem - dodał. - Ciśnienie wody w węzłach spada, bo do napędu pomp trzeba pary. A Spanky mówi, że nie będzie pary, póki nie stłumimy ognia, żeby mógł się dostać do głównego zaworu...

- A tego nie zrobimy bez pary. Wiem. Postarajcie się. Jak długo nie uda się dobrać do tego zaworu, nie ruszymy.

- Przepraszam, skipper, ale moim zdaniem, jeśli tylko drgniemy, Japońce dadzą nam łupnia.

- Może i tak, ale nie możemy tu sterczeć bez końca. - Matt zacisnął pięści z bezsilnej złości i zrobił kilka kroków. - Ilu straciliśmy? - spytał w końcu.

- Nie wiem jeszcze - odparł Gray, kręcąc głową. - Pewnie większość tych, którzy byli za stanowiskami dział na śródokręciu. Ten cholerny Silva zasłużył na medal. Uratował nawet karabiny maszynowe. Trochę się przy tym poparzył. Gdyby nie on, zginęłoby znacznie więcej ludzi. Poza tym... wciąż mamy łączność wewnętrzną, ale dziób jest na razie całkiem odcięty od rufy. Więcej nie wiem.

- Kapitanie... - odezwał się Reynolds. - Pan Garrett prosi o pozwolenie otwarcia ognia. Mamy jeszcze trochę pocisków przeciwpancernych.

Matt spojrział na odległego przeciwnika i pokręcił głową.

- Jeszcze nie teraz. - Odchrząknął. - Wysłać wiadomość na główne stanowisko dowodzenia. Niech się lepiej wynoszą z Wielkiej Sali, bo zaraz może zostać gruntownie przebudowana.

Amagi też zatrzymał się pośrodku zatoki. Obok niego kręciło się kilka jednostek grików. Jedna wyglądała na znacznie większą od pozostałych i była chyba biała. Może to jedna z tych, które widział Mallory. Krążownik obrócił wieże działowe na prawą burtę i dał ognia.

*

Mostek japońskiego okrętu był w oplakany stanie. Amerykański ostrzał okazał się wyjątkowo celny i kilka pocisków eksplodowało niepokojąco blisko. Dwóch ludzi zginęło i nawet Kurokawa został lekko ranny, gdy odłamek obciął mu daszek czapki. Mimo to, po raz

pierwszy od dziwnego sztormu, kapitan był usatysfakcjonowany. Nędzny amerykański niszczyciel odpowiedzialny za wszystkie jego problemy zastopował z pożarem na pokładzie. Jego los był już przesądzony, ale później się go wykończy. Na razie niech zobaczą, jakie nieszczęście ściągnęli na głowy tych, których chcieli chronić. Ten zdrajca Sato w jednym miał rację: musieli oszczędzać pociski. Lepiej spożytkować je na miasto. Kurokawa zauważył, że flagowy okręt grików wszedł do zatoki. Należało zapewnić mu odpowiednie widowisko.

Okada wrócił bez słowa na mostek, prowadząc wynędzniałego i brodatego Amerykanina. Kurokawa patrzył z triumfem, jak tamten podchodzi do okna i spogląda przez mrok na płonący niszczyciel. Przygarbił się zaraz i z jego ust wyrwało się niemal zwierzęce łkanie.

- Może pan teraz skorzystać z radia, komandorze Okada - powiedział po angielsku Kurokawa. - Być może pańscy amerykańscy przyjaciele ucieszą się z propozycji bezwarunkowej kapitulacji. Okręt im tonie, a bez łodzi... - Uśmiechnął się. - To chyba nieprzyjemna śmierć.

- Idź do diabła! - warknął Kaufman.

Kurokawa zastygł na chwilę, jakby coś przyszło mu do głowy.

- Oczywiście zasłużył pan na moje podziękowania, kapitanie Kaufman. Gdyby nie to wszystko, co nam pan powiedział, może w ogóle nie wiedzielibyśmy o tym niszczycielu. W każdym razie nie przed rozpoczęciem kampanii. Ta właśnie wiedza sprawiła, że zdecydowałem się wesprzeć grików. - Spojrzał lotnikowi w oczy. - Dziękuję panu.

Kaufman gotów był rzucić się na niego. Po raz pierwszy od wejścia na pokład *Walkera* w Surabai był znowu sobą. Odzyskał zmysły. Wprawdzie został z niego tylko wrak człowieka, ale niezależnie od tego, co zrobili z nim grikowie i Japończycy, zrozumiał, że Kurokawa ma rację. Złamali go, i nie było to nawet trudne. Rozsypał się, zanim go jeszcze pojмали. I był za wszystko odpowiedzialny. To jego wina. Spojrzawszy na Japończyka, dostrzegł na jego wargach drwiący uśmieszek.

Nagle poczuł na ramieniu żelazny uścisk dłoni powstrzymującej go przed atakiem. To był Sato. Kaufman nie wiedział dokładnie, co właściwie zamierzał zrobić. Może rzucić się Kurokawie z zębami do gardła? Ale w sumie nie było to ważne.

- Nie - usłyszał szept. To był nakaz rezygnacji, ale pochodził od jedynej osoby, która okazała mu tutaj jakąś troskę.

Znieruchomiał, po chwili zaś pomyślał, że skoro tak łatwo go było zatrzymać, to i tak nie ma co próbować. Spuścił oczy i mimo huku dział dosłyszał wypełniający mostek śmiech

Kurokawy.

*

Alan Letts pierwszy usłyszał nadlatujące pociski. Wraz z O'Caseyem, Nakją i tymi członkami sztabu, którzy nie przenieśli się jeszcze na stanowisko rezerwowe, miał właśnie schodzić po drabinie na najniższy poziom Wielkiej Sali.

- Padnij! - krzyknął i na kilka następnych chwil świat zginął w przenikającym ciałem huku i potężnym uderzeniu fali nadciśnienia. Masywny budynek zakołysał się pod nim i coś trzasnęło rozgłośnię w górze. Lampy oliwne oderwały się ze ściennych mocowań i potoczyły się po nagle pochyłej podłodze. Jedna z nich zatrzymała się obok stłamszonej tapiserii, która jeszcze przed chwilą zdobiła komnatę wejściową. Piękna materia zajęła się ogniem. Zaraz potem rozległ się bolesny jęk.

Letts wstał z wysiłkiem i rozejrzał się. Masywny konar, który musiał odpaść od drzewa i przebić trzy kondygnacje, przygniótł jednego z gości. Inni też się podnosili, wstrząśnięci. Tylko Nakja leżał bez ruchu.

- Szybko! - krzyknął O'Casey. - Musimy go wynieść! Zaraz może spaść następna salwa!

Ci, którym udało się w miarę oprzytomnieć, wynieśli wielkiego wodza z budynku i złożyli na ziemi. Nakja dochodził już do siebie. Otworzył oczy i rozejrzał się, mrugając zdumiony. Ludzie uciekali we wszystkich kierunkach, a gmach Wielkiej Sali nie stał całkiem prosto. Sąsiednie budynki płonęły, było słychać krzyki i jęki rannych.

- Weźcie go za nogi! - krzyknął Alan. O'Casey mógł złapać tylko za jedną, ale szczęśliwie teraz było już wielu pomocników. Czym prędzej przeszli na skraj placu ćwiczeń, gdy ponownie usłyszeli znajome już wycie.

- Padnij!

Znowu znaleźli się pośrodku przytłaczającej nawały dźwięków, fontann ognia i wyrzuconej wysoko ziemi.

Letts spróbował wstać, ale opadł na kolana, ogłuszony bliską eksplozją. Obejrzał się na budynek. Jakimś cudem jeszcze istniał, tak jak i święte drzewo, ale z wolna ogarniały go płomienie. Pociski, które w niego uderzyły, musiały przejść na wylot i rozerwać się dopiero w zetknięciu z ziemią albo pniem drzewa. Liżące dach płomienie sięgały chciwie ku gałęziom. Dymiące liście i popiół opadały na najbliższą okolicę. Z tej części drzewa, która kryła się jeszcze w ciemności, dobiegało błagalne zawodzenie Nagi.

- Więc tak wygląda ta wojna, do której przywykliście - odezwał się Nakja.

Wielki wódz zdołał usiąść. Obok stał równie półprzytomny O'Casey, którego

sensowne i spokojne zachowanie wzbudziło uznanie Lettsa.

- Do tego nie można przywyknąć - odparł Alan, wreszcie wstając na równe nogi. - Ale owszem, wojna, którą zostawiliśmy u nas, tak właśnie wyglądała.

- Próbowaliście mi to wyjaśnić, ale ja... - Nakja patrzył na nich z przerażeniem, ale i podziwem. Nagle się obejrzał. - Drzewo...!

Letts skinął na innych, żeby go podnieśli.

- Mniejsza o drzewo! Musimy uciekać stąd na wypadek, gdyby za mało im było robót ziemnych.

- Drzewo...

*

Strumień napływających do szpitala rannych zmniejszył się zdecydowanie. Nie, żeby ich brakowało, ale słysząc odgłosy walki dobiegające z paru stron, Sandra oczekiwała, że będzie ich raczej więcej. Dostrzegła Bradforda rozmawiającego z jednym z młodych gońców i szybko skończyła bandażować ramię rannego lemura. Zaraz potem podbiegła do Courtneya.

- I co? Co się dzieje? - spytała stanowczo.

Bradford odwrócił się do niej. Był blady.

- Nic... wszystko idzie zgodnie z planem - powiedział.

- Widzę, że nie! Nie może iść! Nie dostajemy więcej rannych. Czy szpitale polowe zostały ogarnięte przez grików?

- Nie, w żadnym razie. Większość rannych wraca do walki, a kto nie może, zostaje na razie, gdzie jest. Sanitariusze poszli na mury.

- Ale... jak... - Zamarła. - To znaczy, że przegrywamy?

- Tak bym tego nie nazwał - odparł z wahaniem Bradford.

- To o czym rozmawiał pan z gońcem?

- Hm. Chciał, żebym wysłał wszystkich zdolnych do noszenia broni na wschodnie obwałowanie. Nie jest atakowane i zapewne nie będzie - dodał szybko. - Tyle że trzeba było zabrać stamtąd wszystkich do wzmocnienia odcinków, na których toczy się walka. Chcą też, żebyśmy przygotowali się do ewakuacji do dżungli, gdy przyjdzie taki rozkaz. Jeśli przyjdzie, trzeba się będzie szybko wynosić.

Sandra zdrętwiała.

- I ani słowa o *Walkerze*... ani o kapitanie Reddym? - spytała cicho.

Wyraz twarzy Bradforda zmienił się niepokojąco.

- *Walker* płonie - powiedział, kładąc Sandrze dłoń na ramieniu. - Stoi bez ruchu. Sprawił się świetnie, ale... Japończycy nawet już do niego nie strzelają.

Sandra stała nieruchomo i czuła, jak łzy napływają jej do oczu.

- Panie Bradford - powiedziała oficjalnym tonem - czy byłby pan tak miły i zastąpił mnie na chwilę?

Australijczyk otworzył usta ze zdumienia i rozejrzał się bezradnie.

- Proszę się nie wygłupiać. Nie mam najmniejszego pojęcia...

- Ależ nie! Świetnie mi pan pomagał!

- Nie jestem lekarzem!

- Ja też nie! - odparła Sandra, chichocząc histerycznie.

Bradford spojrzał na nią poważnie.

- Posłuchaj mnie, młoda damo. Jesteś lekarzem, najlepszym na tym świecie. Tutaj są setki ludzi, którzy potrzebują twojej pomocy. Jeśli teraz odejdiesz, wielu z nich umrze. Nic nie możesz dla niego zrobić, moja droga - dodał łagodnie.

Nagle padła mu w ramiona i zanosła się płaczem. W tej sytuacji mógł tylko poklepywać ją po plecach i patrzeć przed siebie.

- Spokojnie, spokojnie - powtarzał. - Nie wszystko stracone. Mówiłem ci, że taki był plan. Ten twój młodzieniec może nas jeszcze zaskoczyć.

Nagle w pobliżu pojawiły się jakieś postacie niosące kogoś nieprzytomnego. Najbliżsi ranni poznali go i wszczęli alarm.

- Co tym razem? - spytała Sandra, ocierając rękawem twarz. - Przepuście mnie!

- Szybko! - zawołał Letts. - To Nakja-Mur. Wynieśliśmy go z Wielkiej Sali, gdy Japońce zaczęli ostrzał. Był tylko ogłuszony i gdy się ocknął, spróbował nawet iść samodzielnie, ale nagle upadł.

- Dajcie go na stół - poleciała Sandra.

Letts, O'Casey i jeszcze paru innych ułożyło Nakję na blacie. Oświetliła twarz wodzą. Usta miał zwiotczałe, oczy błędziły powoli, jakby bez celu. Wydawał się niezdolny skupić spojrzenia. Sandra sięgnęła po stetoskop i osłuchiwała mu pierś. Serce lemurów brzmiało inaczej niż ludzkie, ale nauczyła się już rozpoznawać te różnice. Natychmiast się zorientowała, że coś jest bardzo nie w porządku. Pośród całego bitewnego zgiełku serce Nakii toczyło własną walkę.

- Gdzie Rebecca? - spytał nagle Nakja i oderwana od własnych myśli Sandra spojrzała na niego zdumiona.

- Myślałam, że jest z panem!

*

Lawrence leżał zwinięty na koi kapitana i dyszał z gorąca. Słyszał odgłosy walki i był nawet ciekaw, co się dzieje, ale potem przyszedł potężny wstrząs. Coś zdarzyło się za miejscem, w którym przebywał, i zaczął się martwić, że nowi przyjaciele Rebecki mają poważne kłopoty. Tak poważne, że pewnie o nim zapomnieli. Nie bał się jednak. Zapewne „grik” byłby na jego miejscu przerażony, ale on przecież przeszedł próbę. Jeśli jego istnienie miało niebawem dobiec końca, to szkoda, ale trudno. Robiło się coraz goręcej i chętnie opuściłby to pomieszczenie, ale rozkazano mu, żeby tego nie robił. Tkwił więc w nim... i dyszał.

Nagle zielona zasłona w wejściu odchyliła się i do środka zajrzała mała głowa Rebecki.

- Tu jesteś, głuptasie! - zawołała dziewczynka. - Chodź stąd zaraz, bo ugotujesz się żywcem.

- Ecky! Tutaj?

- Oczywiście, że ja - odparła poważnie. - A niby gdzie indziej mogłabym być? Chodź już!

Lawrence posłuchał bez sprzeciwu. W końcu otrzymał nowy rozkaz. Gdy szli krótkim korytarzem, usłyszał huk płomieni i wykrzykiwane gdzieś w pobliżu komendy.

- Wiedzą, że tu jesteś? - spytał pewien odpowiedzi.

- Cóż, chyba raczej nie. W każdym razie nie wszyscy. Pan Miller i kilku rannych, którzy są w mesie, pewnie już tak. Tam właśnie się ukryłam. Dobre miejsce, z kilkoma dużymi szafkami. Gdy wyszłam, pan Miller musiał mnie widzieć, ale był trochę zajęty. Obawiam się, że ta walka będzie wiele kosztować naszych przyjaciół. Musimy znaleźć sposób, żeby im pomóc.

- Jak?

Rebecca przygryzła wargę.

- Jeszcze nie wiem. Ale zaraz na pewno coś wymyślimy.

*

Jim Ellis obserwował bitwę z odbudowanego mostka *Mahana*. Znajdowali się niemal pięć mil od miejsca, gdzie stał obramowany blaskiem płonącego miasta *Amagi*. Do niedawna czekał w zachodniej odnodze zatoki zamaskowany starannie zielenią na wypadek, gdyby jakiś okręt grików przedarł się jednak obok *Walkera* i chciał sprawdzić ten akwen albo gdyby Japończycy mieli jednak samolot. Nadbudówki i kadłub powyżej linii wodnej miał wysmarowane smołą i sadzą zmieszaną z tłuszczem, tak że był praktycznie niewidoczny w

ciemności. Teraz powoli wypływał na zatokę. Frustrujące czekanie dobiegło końca i *Mahan* miał w końcu odegrać swoją rolę.

Tak jak oczekiwali, *Amagi* skupił całą swoją uwagę na *Walkerze*, chociaż problemy, które dotknęły bratni niszczyciel, nie były częścią planu. Wymknąwszy się krążownikowi, miał zniknąć w ujściu rzeki na północy. Jim patrzył na spowitą płomieniami sylwetkę i żal ścisnął mu serce.

Udało im się wszakże osiągnąć zamierzony efekt. Japończycy przekonani, że wyłączyli z walki *Walkera*, zajęli się burzeniem miasta. Przy odrobinie szczęścia nie powinni w ogóle dostrzec *Mahana*, zwłaszcza jeśli nie wiedzieli o jego istnieniu. Bernard Sandison stał na prawym skrzydle mostka i sprawdzał raz jeszcze jedyny ocalały celownik torpedowy. Wcześniej robił to już ileś razy, ale stawka była teraz niezwykle wysoka. Obecnie wszystkie ich nadzieje wiązały się z samotną torpedą Mark 10, tkwiącą w rurze wyrzutni numer jeden. Niemal wszystkie nadzieje, pomyślał Jim. Gdyby wszystko inne zawiodło, gotów był wzbogacić plan o jeszcze jeden element.

Niszczyciel szedł jedynie z załogą szkieletową, w ponad połowie złożoną z lemurów. Wszyscy byli ochotnikami. W sumie miał trochę mniej ludzi, niż zdaniem Matta powinien, i mogły pojawić się kłopoty z opanowaniem uszkodzeń, ale to już trudno. Działa numer jeden i dwa miały pełne obsady, tak jak i wyrzutnia torpedowa. Czterech ludzi w kotłowni, dwóch przy maszynie. Platforma kontroli ognia była pusta, ponieważ całe jej wyposażenie zostało już wcześniej zniszczone. Obsada mostka składała się z pięciu osób, wliczając Jima i Berniego, a wszystkie stanowiska oprócz wyrzutni miały prowadzić samodzielny ogień. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, taka załoga powinna okazać się aż za liczna. Jeśli pójdzie źle... *Mahan* wziął tylko jedną łódź, którą holował na długiej linie, sięgającej poza największe skotłowanie kilwateru. Ot tak, na wszelki wypadek.

- Dwie trzecie naprzód - powiedział Jim, zniżając głos niemal do szeptu. Zaraz poczuł narastającą wibrację kadłuba, a nawiewniki zaczęły pracować trochę głośniej. Dla niego okręt był żywą istotą, myślącą i odczuwającą. Mimo różnych okoliczności pokochał *Mahana*, chociaż nie oczekiwał tego w dniu, gdy po raz pierwszy stanął na pokładzie poważnie uszkodzonego niszczyciela. Co więcej, nabrał przekonania, że okręt wyczuwa jego emocje i wie, co szykuje się tej nocy. Byli prawie jednym umysłem, jakby przenikali się nawzajem. I trudno byłoby się temu dziwić - ostatecznie *Mahan* był pierwszym dowództwem Jima Ellisa.

Im bliżej podchodzili, tym większy wydawał się im nieprzyjacielski okręt. Jego ciężkie działa wyrzucały co jakiś czas długie strugi ognia. Pierwsze pociski zostały skierowane na centrum miasta, gdzie wznosiła się Wielka Sala ze świętym drzewem. Można było się tego

spodziewać. Wybór celu sam się narzucał, jako że był to najwyższy punkt, umożliwiającą obserwację całej okolicy. Teraz wielkie drzewo płonęło, i to zdumiewająco intensywnie, oświetlając teren na mile wokoło. Zadowolony z tego osiągnięcia krążownik przeniósł ogień na umocnienia nabrzeża. Skutek był taki, jakby ktoś kopał mrowisko. Oczywiście ginęło przy tym o wiele więcej grików niż obrońców, ale coraz więcej armat milczało, a pożary obejmowały nowe budynki.

Niemniej płomienie przepięknie podświetlały krążownik. Sam też był idealnym celem: nieruchomy, niczego nie podejrzewający i świetnie widoczny. *Mahan* podchodził go od lewej burty i biorąc pod uwagę, że kadłub japońskiego okrętu miał ponad osiemset stóp długości, trudno było chybić. Niemniej Jim był tak zdenerwowany, że nie mógł ustać w jednym miejscu.

- Panie Sandison? - spytał, zakładając ręce na plecach.

- Odległość od celu jedenaście tysięcy jardów - odparł przejęty Bernie.

- Dobrze.

Czekali w milczeniu, aż dystans jeszcze się zmniejszy. *Amagi* otworzył ogień do *Salissy*, ale wciąż nie oddał strzału w kierunku *Mahana*.

- Osiem tysięcy jardów.

Krążący po mostku Jim zatrzymał się i wziął głęboki oddech.

- Ster w lewo, kurs zero, osiem, zero - powiedział do stojącego obok lemura.

- Jest kurs zero, osiem, zero - oznajmił po chwili sternik.

- Niech Bóg będzie z nami - szepnął Jim. - Może pan strzelać torpedę, panie Sandison - powiedział głośno.

Okręt zadrzał lekko, gdy smukła torpeda opuściła wyrzutnię z cichym pufnięciem. Otoczona obłokiem pary przeleciała kilka metrów, a blask pożarów odbił się w jej gładkiej powłoce. Potem z pluskiem weszła w wodę, i pomknęła przed siebie, zostawiając na powierzchni ledwie widoczną smugę bąbelków powietrza. Zagrali ostatnią kartą i teraz mogli tylko czekać, co z tego wyniknie.

- Cała naprzód, ster mocno w lewo! Pokrążymy tutaj i zobaczymy, czy zauważyli odpalenie. - Gdy okręt wszedł w cyrkulację, Jim przeszedł na lewe skrzydło mostka i uniósł lornetkę. Najpierw spojrzał za rufę, sprawdzając, co z łodzią, potem na wyłaniający się zza kominów niszczyciela krążownik.

- Ster prosto! - zawołał.

Amagi wciąż był świetnie widoczny i bardzo zajęty swym potwornym dziełem. Chyba nikt na jego pokładzie nie dostrzegł niszczyciela kręcącego się po przeciwnej burcie. Jim

wyostrzył obraz i mocniej ścisnął lornetkę.

- Nie! - jęknął. Jakaś jednostka grików przechodziła powoli wzdłuż japońskiego okrętu. Widać było zarys jej kadłuba oraz żagle przesłaniające rufę krążownika. - Jak głęboko idzie nasza rybka?! - krzyknął w stronę sterówki.

Sandison obejrzał się i też wybiegł na skrzydło.

- Mniej więcej dziesięć stóp - odpowiedział.

- Kurwa! - syknął Ellis i wszyscy spojrzeli na niego, zdumieni tak niezwykłym zachowaniem dowódcy.

- Co? - spytał Bernie, ale zaraz sam dostrzegł, o co chodzi. Okręt grików był właśnie niemal dokładnie między nimi a krążownikiem. - Może przejdzie mu pod kilem - powiedział z nadzieją.

- Mowy nie ma! *Zemsta* miała trzynaście stóp zanurzenia, a ten jest niemal identyczny.

- Jim pomyślał, że bez dodanych później dział przyz zanurzał się tylko na jakieś dziewięć stóp. No tak, ale ten tutaj ma pewnie setki wojowników na pokładzie, zatem wyjdzie na to samo. Wysoka, podświetlona od spodu kolumna wody przecięła sylwetkę żaglowca na pół. Rufa uniosła się wysoko, a dziób zaczął iść pod wodę. Był już głęboko zanurzony, gdy część rufowa spadła na niego z trzaskiem. Nad zatoką przetoczył się stłumiony huk, który złał się niemal z kolejną salwą krążownika.

- Zawracamy! - rzucił Jim do lemura przy sterze.

*

Salissa umierała. Straciła już wszystkie trójnożne maszty, wieże mieszkalne ledwie stały. W kilku miejscach szalały pożary, których nikt nie próbował gasić, tylko garstka dział wciąż strzelała do przeciwnika. Już wcześniej balastowaniem zwiększyli zanurzenie statku, żeby ochronić jego podwodną część przed uszkodzeniami, ale obecnie kadłub zanurzał się jeszcze głębiej. Już teraz chwilami dotykał dna, gdy odpływ szarpał nim na cumach, i Keje spodziewał się, że niebawem całkiem osiadzie. W tej chwili nie było nikogo, kto mógłby zająć się pompami.

Keje siedział na stołku, który przyniesiono dla niego, gdy wielka drzazga wbiła mu się w nogę. Wciąż był na pomoście, a raczej na tym, co z niego zostało, i sądził, że zostało mu już tylko kilka chwil życia. Grikowie nie próbowali wdrzeć się na pokład *Salissy*, byli bowiem zbyt zajęci zdobywaniem umocnień, co w kilku miejscach chyba nawet im się udało. *Amagi* ułatwił im to, całkowicie niwelując część obwałowań. Potem Japończycy musieli się zorientować, że dalszym ostrzałem tylko zmasakrują sojuszników, i skierowali działa na pływający dom Kejego.

On sam nigdy wcześniej nie widział krążownika i nie mógł uzmysłwić sobie jego potęgi. Wiedział, że Amerykanie bardzo się go obawiają, i to dawało mu do myślenia. Pojmował, że *Amagi* jest groźny, ale dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo.

Byli głupcami, upierając się, że zostaną i pomogą go pokonać. Wielkimi głupcami. Kapitan Reddy starał się ich przestrzec, wyjaśnić im, z czym będą mieli do czynienia. On jednak chciał walczyć. Uważał, że tak trzeba. Przecież nie może być tak źle... Teraz już wiedział, że może. Ale był też dumny z siebie, choć jego decyzja wynikała z ignorancji. Oczywiście przyjaźń i lojalność wobec własnego ludu też odegrały ważną rolę, ale najważniejsze było to, czego wcześniej tak naprawdę nie wiedział.

Spośród wszystkich zaangażowanych w tę już najpewniej przegraną walkę chyba jedni Amerykanie pojmowali, czemu będą musieli stawić czoło. A jednak nie uciekli, postanowili zostać i bronić swoich nie dość obdarzonych wyobraźnią przyjaciół. Teraz zaś *Walker* stał w płomieniach tak samo bezradny jak demolowana przy nabrzeżu *Salissa*. Keje nie wiedział, co się dzieje z *Mahanem*, ale przypuszczał, że eksplozja za krążownikiem mogła mieć coś wspólnego z zadaniem powierzonym niszczycielowi. Jeśli tak, to pewnie zatonął. Kejemu było go bardzo żal, tak jak i własnego ludu. Niektórzy może ujdą przez dżunglę na wschód, może nawet *Mahan* zdoła się wyrwać, ale dla *Salissy* i jej młodszego brata *Walkera* miała to być ostatnia walka. Keje był o tym przekonany. Sylwetka nieprzyjacielskiego okrętu rozbiła się znowu wystrzałami. Słyszając nadciągające pociski, Keje poczuł nagle, że ogarnia go spokój. Przynajmniej umrze razem ze statkiem. Miał nadzieję, że dusze ludzi z załogi niszczyciela odnajdą drogę do tego miejsca, gdzie winny trafić, ale bardzo chciał im najpierw podziękować i serdecznie się z nimi pożegnać.

*

- Oko melduje... jakąś eksplozję na zachód od *Amagiego!* - zawołał Reynolds. - Coś zatopilo okręt grików z tamtej strony. Może zerwana z kotwicy mina - zasugerował.

Matt zamknął oczy i zaczerpnął głęboko powietrza. Czuł w głębi ducha, że to nie była mina. Trudno by oczekiwać takiego zbiegu okoliczności. To *Mahan* wykonał atak na krążownik i statek grików wszedł w drogę torpedzie.

- Reakcja Japońców?

- Żadnej, sir. Skierowali tam na chwilę szperacz, popatrzyli na wodę i wyłączyli go. Oni też myślą, że to była mina. - Jak wszyscy na mostku, także Reynolds nie chciał dopuścić do siebie myśli, że ich ostatni pomysł spalił na panewce. - Mamy parę! - zawołał nagle. - Spanky... pan McFarlane melduje, że udało im się dotrzeć do zaworu i zamknąć go. Ciśnienie pary rośnie. Ciśnienie wody w wężach też.

- Jakie jest teraz?

- Osiemdziesiąt pięć i szybko rośnie.

- Przyjąłem. Stan dział na śródokręciu?

- Nieznany, skipper. Za gorąco tam, żeby sprawdzać. Ale amunicja nie zaczęła się smażyć, więc chyba nie wyszło najgorzej.

- Przyjąłem. Niech Spanky da znać, kiedy będziemy mogli ruszać.

Musieli czekać na to całe pół godziny.

- Ciśnienie sto dziesięć. Porucznik McFarlane melduje, że jest gotowy, tylko mówi, żeby za bardzo nie poganiać.

- Ster mocno w prawo, prawa maszyna wolno naprzód, lewa wolno wstecz - odparł Matt, nawet nie potwierdziwszy meldunku. - Jeśli tamci wciąż nas obserwują, pomyślą, że tylko kręcimy się wkoło.

Gray znowu pojawił się na mostku. Wyglądał jeszcze gorzej niż wcześniej. Dłonie miał owinięte jakimiś szmatami. Gdy zauważył, że kapitan na nie patrzy, uniósł ręce i wzruszył ramionami.

- Cholerny zawór był bardzo gorący. - *Walker* jęknął pod ich stopami, ruszając się z miejsca. - Chciał pan meldunku o ofiarach. - Matt pokiwał głową. - Czterech ludzi i dziewięciu kotowatych. Większość kotów była w przedniej kotłowni. I jeszcze jedenastu z oparzeniami. Czasem lekkimi, jak moje.

- Kto z ludzi?

Gray wypuścił powietrze.

- Mertz, Elden, Hobbs i Yarbrough. Mertz chciał nam zrobić kanapki - parsknął. - Kuchnię znowu szlag trafił, tym razem włącznie z chłodnią.

- Gdzie był Lanier?

- W wychodku. To chyba jego stanowisko bojowe.

Matt przytaknął ze smutkiem. Lista mogła się jeszcze wydłużyć. Dziób okrętu przesuwiał się powoli, widać było mroczną, złowrogą sylwetkę krążownika. Po rozbłyskach wystrzałów przed oczami zostawały jasne plamy. Przy nabrzeżu widać było nowe źródło ognia. Matt pojął, że to *Salissa*, którą Japończycy wybrali na następny cel. Coś ścisnęło go w piersi.

- Ster w lewo, cała naprzód! Obsadzić środkowe działa, jeśli się uda. Wyrzutnia torpedowa numer jeden, przygotować się do pozorowanego odpalenia. Może trochę im to namiesza!

Walker był ociążony od wody zalewającej przednią kotłownię, ale powoli nabierał

prędkości. Teraz, gdy szli pod wiatr, gorąco ze śródokręcia nie było tak dokuczliwe, a podmuchy świeżego powietrza wywiały ze sterówki kwaśny zapach dymu. Matt spojrzał na stojącego obok Graya. Obaj wiedzieli, że to już koniec, ale nie było innego sposobu.

- To był zaszczyt, skipper - powiedział z uśmiechem Gray. - Może dziwnie wyszło, ale... - Wzruszył ramionami. - Zawsze wiedziałem, że zrobimy jeszcze z pana gościa z Floty Azjatyckiej. No i udało się.

- Dzięki, szefie - odparł z uśmiechem Matt i podniósł głos, żeby inni też mogli go słyszeć. - Wszystkim wam dziękuję. Reynolds, przekaz panu Garrettwi, że może otwo... - Urwał, patrząc ponad pokładem dziobowym. Artyleria pomocnicza krążownika zaczęła gwałtownie ostrzeliwać coś po lewej burcie. Japończycy musieli dostrzec *Mahana*. Czyżby Jim wpadł na ten sam pomysł? - Otworzyć ogień!

Po brzęczyku odezwało się tylko działo numer jeden. Szli niemal prosto na krążownik, podchodząc do niego od dziobu, podobnie jak przy ich pierwszym spotkaniu. Jeśli *Walker* zdoła zbliżyć się jeszcze bardziej, niewiele będzie mu grozić, może poza ostrzałem z niektórych działek przeciwlotniczych zamontowanych wyżej na nadbudówkach. Na razie jednak milczały. Może oberwały podczas wcześniejszej walki? Wieże głównych dział wciąż były skierowane na prawą burtę i akurat w tej chwili nie strzelały. Cała aktywność przeniosła się na drugą stronę i Matt dostrzegł wypryski eksplozji. Znacznie bliżej krążownika, niż oczekiwał.

- Wysłać sygnał do stanowiska dowodzenia. Powiedzcie im... - Mattowi stanął przed oczami obraz Sandry Tucker, z jej piękną i smutną twarzą oraz łzami w oczach. Dreszcz go przeszedł, gdy pomyślał, że teraz już nic nie wyjdzie z ich planów. Miał tylko nadzieję, że Alan i Karen przeżyją. Zawsze to coś. - Przekażcie naszym przyjaciółom, że pamiętamy o nich. I niech Bóg ma ich w opiece.

Pokład *Walkera* wibrował coraz mocniej, znowu odezwał się brzęczyk. Przednia wieża krążownika zaczęła się obracać w ich stronę. Działo numer jeden plunęło ogniem - pocisk trafił tuż obok mostka. Jeden ze szperaczy *Amagiego* ożył i smuga światła przesunęła się po wodzie. Zdumiony Matt ujrzał zasnutą dymem sylwetkę *Mahana* ledwie czterysta jardów od krążownika. Co dziwniejsze, jego odkryte działo numer jeden oddało strzał, na który przeciwnik zareagował nawałą ognia, ale mało co trafiało w stary czterofajkowiec. Drugi niszczyciel pojawił się tak niespodziewanie i tak blisko, że kompletnie zaskoczył artylerzystów. Jeszcze chwila, a wejdzie w martwe pole ostrzału. Jedno, co było w tym wszystkim dobre, to że nikt nie projektował krążowników liniowych do walki na mały dystans.

Mahan miał przegłębienie na dziób i dymił z wielu przestrzelin, a jego mostek przypominał ruinę. Ktoś jednak musiał na nim pozostać, bo okręt parł uparcie naprzód, mierząc w burtę krążownika. Matt spojrzał ponownie na *Amagiego* i w tej samej chwili niebo przed nim pojaśniało, a *Walker* został ciśnięty w powietrze. Opadł z wywołującym mdłości impetem i przedni pokład zalała kaskada wody. Znowu coś błysnęło i Matt znalazł się nagle na pokładzie, z twarzą na pokrytych stłuczonym szkłem deskach.

Przez chwilę wydawało mu się, że upadek wcisnął mu nos w głąb twarzy, na wargach czuł smak krwi. Pozbierał się jakoś i potrząsnął głową. Słyszał jedynie piskliwe brzęczenie, które brzmiało jak sygnał ostrzegający o salwie. Nie mógł skupić spojrzenia ani dojrzeć czegokolwiek przez wypełniający sterówkę dym i łzy w oczach. Przez chwilę wydawało mu się, że został sam, bo nikt wkoło się nie poruszał. Otarłszy energicznie twarz poczerwiałym, poszarpanym rękawem, zobaczył Normana Karasa, który ponownie próbował stanąć za kołem sterowym. Krew ciekła mu z uszu. Matt pomógł Karasowi, który poruszał przy tym ustami, ale nie było go słychać. Reynolds też wstawał, ale wyglądał na mocno ogłuszonego. Gray siedział na pokładzie obok nieruchomego kotowatego. Jeszcze dwóch innych też leżało bez ruchu. Matt spojrzał przez okno.

Byli już znacznie bliżej *Amagiego*. Na tyle blisko, że wielkie działa krążownika nie mogły zostać bardziej obniżone. Wciąż jednak strzelała do nich artyleria pomocnicza. Matt czuł, jak pociski z karabinów maszynowych trafiają w osłonę mostka. Zdziwił się, że działo numer jeden milczy. Spojrzał na pokład dziobowy. Przecinała go szrama zaczynająca się przy windzie kotwicznej i dochodząca do podstawy działa. Jeden z kotowatych pełzał obok na czworakach, ale reszta obsady zniknęła. Potem Matt zauważył *Silwę*, który mimo ostrzału doskoczył z dwoma kotami do stanowiska, chroniąc się za niewiele dającą osłoną działa. Każdy z nich ścisnął pod pachami dwa pociski.

Kolejny strzał z krążownika sięgnął przedniego masztu, który pochylił się ze zgrzytem rwanego metalu i wysokim krzykiem człowieka na oku, po czym runął na prawą burtę. Wciąż przymocowany linami i odciągaczami, zaczął uderzać o kadłub. Dwa kolejne pociski trafiły bliżej rufy, omal nie wyrzucając Matta z krzesła. Reynolds oprzytomniał i krzyczał coś do mikrofonu, zirytowany, że nikt mu nie odpowiada. Działo numer jeden wystrzeliło.

Gray też się pozbierał i zerknął przez pozbawione szyby okno. Otworzył usta w krzyku i do Matta dotarło jedno słowo:

- *Mahan!*

*

- Co jest? - warknął Kurokawa, słysząc podniesione głosy. Poruszenie zaczęło się po lewej stronie mostka i przenosiło się falą na prawo.

- Nieprzyjacielski niszczyciel z lewej burty, kapitanie. Odległość szybko maleje.

- Ale... - Kurokawa zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Przecież amerykański niszczyciel był przed dziobem! I wciąż płonął, choć zdołał uruchomić maszyny.

Sato Okada spojrzął na kapitana z nie skrywaną pogardą.

- Cel nawodny po lewej burcie! - zakrzyknął. - Otworzyć ogień z wszystkich dział! Otworzyć ogień!

Tymczasem od dziobu *Walker* dokończył zwrot i jego przednie działo błysnęło ogniem. Zaraz potem tuż obok japońskiego sternika wykwitła kula ognia, która ogarnęła wnętrze. Leżąc w rumowisku, Sato usłyszał radosny śmiech Kaufmana.

*

Jim Ellis puścił koło sterowe i opadł na deski dopiero w ostatniej chwili przed zderzeniem. Idący z prędkością czternastu węzłów *Mahan* wbił się w burtę krążownika, a impet cisnął Jima na podstawę koła i pokład. Krzywiąc się z bólu od kilku złamanych żeber, spróbował się jednak podnieść. Nie udało mu się. Z jękiem opadł na plecy. Z poszarpanego sufitu zwieszały się iskrzące kable pod napięciem, coś błyskało chaotycznie w dziesiątkach przestrzelin w przedniej ścianie mostka. Jim pomyślał, że jakimś cudem nie wyszedł z tego w najgorszym stanie, ale wydało mu się, że tylko on pozostał przy życiu w przedniej części okrętu.

Zacisnął zęby i raz jeszcze spróbował wstać. Zdumiał się, poczuwszy czyjeś dłonie pod pachami.

- Idź! - usłyszał pełen napięcia głos. - Idź! Czasu... mało.

Jim potrząsnął głową zdumiony, jak cicho nagle się zrobiło. Nawiewnik ciągle szumiał, ale cała strzelanina ustała. Coś grzechotało i trzeszczało tylko z przodu. Dziób *Mahana* ciągle tkwił wbity w kadłub krążownika.

- Nie mogę iść... mam tu robotę...

Lemur spojrzął na niego przenikliwie i Jim nagle go poznał.

- Ja to zrobię! - powiedział Saak-Fas. - Pomagałem to szykować. Wiem jak... zrobię. - Kotowaty wyprostował się. - Muszę to zrobić.

Jim ledwie go widział w ciemności, na dodatek krew zalewała mu oczy.

- To mój okręt - wykrztusił. - Ja jestem za niego odpowiedzialny.

Kotowaty wskazał leżącą na pokładzie postać.

- Odpowiedzialny?

Jim zawahał się. Czuł, że pokład nabiera przechyłu. Nagle lemur zamrugnął i ruszył do zejściówki.

- Ja to zrobię! Nie ma czasu! - wykrzyknął i zniknął na dole. Jim pojął, że nie ma wyboru. Kulejąc, podszedł do leżącego w kałuży krwi Bernarda Sandisona i zaczął go ciągnąć w kierunku zejścia.

*

Saak-Fas ruszył korytarzem prowadzącym do mesy. Światła ledwie się paliły i co chwila migotały, lemur jednak widział w tych warunkach równie dobrze jak w dzień. Potem zszedł jeszcze niżej, do pomieszczenia noclegowego załogi. Woda stała tu na ogon głęboko i coraz więcej wlewało się jej przez otwory w burcie. Trudniej tu było iść, ale w końcu dotarł do korytarzyka wiodącego do komory łańcuchowej. Tutaj ślady zderzenia były bardzo wyraźne. Pokład wybrzuszył się i był śliski od paliwa, które ciekło ze znajdującego się poniżej zbiornika.

Saak rzadko dotąd wchodził do wody, nie licząc oczywiście kąpiei. Czasem zdarzyło mu się moczyć nogi w przyboju, ale nigdy do pasa. Dreszcz go przeszedł na myśl, że jakiś srebrzak mógłby się tu dostać, ale wiedział, że to mało prawdopodobne. Większość otworów była pewnie za mała, poza tym było ciemno. Zatrzymał się przy wejściu do korytarzyka i zajrzał do środka. Czuł, jak z wolna ogarnia go spokój. Wszystko, czego zaznał od grików, zostawiło w nim trwały ślad i dotąd cały czas walczył ze strachem w nadziei, że jeśli mu się uda, Niebiosa wynagrodzą mu ziemskie cierpienia.

Niekiedy bywało bardzo ciężko, do czego dochodziła jeszcze udręka, której sam był winien. Odrzucenie ukochanej Selassy, odsunięcie się od ludzi. Wszystko to pomagało mu jednak odizolować się od bólu i przerażenia, które wcześniej wpędziły go w szaleństwo. Przeszedł ostatnią próbę i nagroda była blisko. Spojrzał na częściowo zalane bomby głębinowe. Było ich dwanaście i zaklinowały się między wygiętymi ścianami, ale nie wyglądały na uszkodzone. Uśmiechnął się szczęśliwy. Wreszcie. Poczeka jeszcze chwilę, żeby Amerykanie mogli się ewakuować, ale potem zada grikom miażdżące uderzenie i w najchwalebniejszy sposób położy kres swemu cierpieniu.

*

- Trzymajcie się! Nie przepuszczajcie ich! - krzyczał Pete Alden, ale ochotnicy z Manili nie dali rady. Ich szeregi pękły niczym nadmiernie obciążona lina. Najpierw poszły pojedyncze włókna, przez co pozostałe zmuszane były do coraz większego wysiłku, aż i one się poddały. Nijak nie były temu winne. Mały kontyngent Manilczyków przeszedł najmniej szkoleń ze wszystkich obrońców i ktoś po drugiej stronie musiał zauważyć, że radzi on sobie

trochę gorzej niż oddziały na innych odcinkach. Manilczycy od początku ponosili ciężkie straty, które przed rozstrzygającym atakiem sięgnęły połowy stanu.

Sycząca wściekle masa grików wyparła ich w końcu z pozycji, czyniąc wylom między 1. i 5. batalionem baalkpańskim po lewej i kompanią B 1. batalionu marines oraz wojownikami z *Humfra-Dara* po prawej. Masakra, która zaczęła się zaraz potem, przewyższyła wszystko, co Pete widział podczas tej bitwy.

Wrzaski wściekłości i krzyki bólu mieszały się z nieustannym szczękiem oręża. Grikowie torowali sobie drogę szablami, kłami i pazurami, podczas gdy obrońcy robili, co tylko w ich mocy, żeby zamknąć wylom. Niestety mimo ich wysiłków poszerzał się on i zwijał na krawędziach, gdy dowódcy oddziałów sojuszu z konieczności przesuwali wojowników, żeby zabezpieczyć swoje flanki. Widząc to, grikowie napierali tym energiczniej. Pete zdrętwiał, widząc tę zapowiedź oczywistej klęski i pierwszych nieprzyjaciół wbiegających z mordem w ślepiach na ulice miasta.

Nagle nad tłumem walczących gruchnęła seria z karabinu maszynowego, zapewne zdemontowanej z *Mahana* trzydziestki. Potem dołączył do niej thompson. I jeszcze jeden. No i cały niezborny chór zwykłych karabinów. To Chuck ruszył się wreszcie ze swoimi strzelcami. Czy aby nie za późno? Grikowie zawahali się, ich napór na chwilę zelżał.

Nagle zza drugiej linii umocnień rozległ się wrzask, przy którym zwykła kocia muzyka byłaby melodyjną symfonią, oraz narastające okrzyki „B’mbaado! B’mbaado!” W polu widzenia pojawiła się królowa Maraan, prowadząca swoją gwardię. Wszyscy rzucili się na jaszczury z niezwykłą zaciętością. Pete nie namyślał się długo, tylko czym prędzej dołączył do atakujących, opróżniając w biegu pistolet. Jego sztabowcy pobiegli za nim, wymachując szablami, Kontratak został przeprowadzony siłami o wiele mniejszymi niż awangarda armii grików, ale jego efekt okazał się odwrotnie proporcjonalny do liczebności. Grikowie cofnęli się oszołomieni, a ci, którzy byli bezpośrednio wystawieni na furię obrońców, po prostu wpadli w panikę. Mając zablokowaną drogę ucieczki, zwrócili broń przeciwko swoim towarzyszom z tylnych szeregów.

Pete patrzył osłupiały, jak wisząca na włosku katastrofa, która miała dotknąć obrońców, zmienia się w klęskę napastników. Ci grikowie, którzy chcieli uciekać, walczyli ze swoimi kompanami równie żąrcie, jak przed chwilą atakowali. W tym samym czasie pozostałe jeszcze na przedpolu mrowie jaszczurów tłoczyło się, żeby wejść świeżym wylomem do miasta. Oddziały uwięzione między obiema grupami błyskawicznie zostały starte, a potem... to, co się zaczęło w obrębie umocnień, wydostało się na zewnątrz. Względnie niewielki punkt zapalny rozszerzał się błyskawicznie i panika udzielała się

kolejnym zastępom wojowników, którzy także zapragnęli nagle uciec z pola walki. W krótkim czasie cały szturm się załamał.

Królowa Maraan pojawiła się po prawej Aldena, który wdrapał się właśnie na obwałowanie. Dyszała ciężko, w dłoni trzymała zakrwawioną szablę.

- Chyba na razie ich odepchnęliśmy... podobnie jak w Aryaalu - powiedziała. - W ogóle nie pojmują, na czym polega obrona. Gdy nie atakują, czują się przegrani. - Wzruszyła ramionami. - Ale jest ich tak wielu...

Pete spojrzał na nią. Nie był pod Aryaalem i nie widział tamtej bitwy, a w ogniu walki teoria Bradforda uleciała mu z pamięci. Nagle na zatoce, którą widział za królową, coś błysnęło znacznie silniej niż wystrzały krążownika, do których zdążyli się już przyzwyczać. Z wody uniosła się kolumna ognia, a u jej podstawy zobaczył sylwetkę *Amagiego*. Inni też to zauważyli i walka zamarła na chwilę, gdy dziesiątki tysięcy oczu zwróciły się ku zatoce. Po chwili dotarł do nich ogłuszający huk eksplozji. Skoro z tak daleka robił wrażenie, to co musiało dziać się tam, na wodzie...

- Mój Boże! - wykrzyknął Pete. - Zadziało! Raz wreszcie te zapalniki na coś się przydały! - Po mieście niosła się radosna wrzawa. - Zadziało! - Pete obrócił się i spojrzał na morze osłupiałych grików. Jeśli koncepcja Bradforda miała jakiś sens, teraz była chwila, żeby to sprawdzić. - Na nich! - zawył Alden. - Na nich! Odepchnąć ich! - Schował pistolet do kabury i zdjął springfielda z ramienia. - Za mną!

*

Walker zatoczył się jak uderzony olbrzymią pięścią i na pokład posypały się resztki szkła z okien. Karas krzyknął, odruchowo unosząc dłonie do twarzy. Matt rzucił się do koła sterowego.

- Bosmanie, proszę go sprowadzić na dół! - zawołał, wskazując na Karasa, i ostro zakręcił kołem, przerywając cyrkulację, która doprowadziłaby niszczyciel do zderzenia z krążownikiem. Okręt zareagował ospale i chyba jeszcze zwolnił. Podziwiał czyn *Mahana*, ale był też przerażony jego ofiarą. Może czuł się nawet trochę oszukany. Irracjonalnie zirytowany.

- Spanky ma zaraz meldować, co u niego! - krzyknął.

- Próbuje go wywołać! - oparł młody, bliski łez marynarz. - Nie udaje się! Nikt nie odpowiada!

- Ja sprawdzę, kapitanie! - zawołał Gray, pomagając jęczącemu oślepijonemu sternikowi zejść na dół.

Matt spojrzał z powrotem na krążownik. Nad okrętem unosił się ciągle gigantyczny

grzyb dymu i ognia. Gdzieś u jego podstawy powinny się znajdować potrzaskane szczątki *Mahana*.

- Mój Boże...

Był wdzięczny losowi, że podchodzili do burt olbrzyma z przeciwnych stron i nie widział ataku siostrzanej jednostki. Krążownik przechylał się na lewą burtę, z prawej zaś, zwróconej ku miastu, pokazał się pas czerwonej farby, którą pomalowana była podwodna część kadłuba. Chcieli mieć pewność, pomyślał ze smutkiem Matt. Nie przypuszczał, żeby ktoś z załogi niszczyciela mógł przeżyć taki wybuch. Żal ścisnął mu serce, gdy przypomniał sobie ich pożegnanie z poprzedniego wieczora. Jim musiał to planować przez cały czas, ale nie powiedział ani słowa.

Walker wciąż powoli cyrkulował w lewo, gdy w sterówce zjawiał się Leo Davis i przejął ster od Matta. Kapitan polecił mu przejść na drugą stronę japońskiego okrętu.

Amagi płonął. Ogień ogarnął obszar od komina, na wysokości którego uderzył *Mahan*, do czwartej wieży artylerii głównej. Marynarze biegali gorączkowo po pokładzie, ciągnąc węże, i strumieniami wody zalewali gorejące nadbudówki. Inni zdejmowali nakrycia z łodzi ratunkowych. Załoga miała chwilowo własne kłopoty i nie zamierzała zajmować się dymiącym niszczycielem, szerokim łukiem zbliżającym się ku lewej burcie krążownika. Mattowi wydawało się oczywiste, że to już koniec olbrzymiego okrętu.

Spanky wdrapał się z trudem na mostek. Wyglądał jeszcze gorzej niż bosman. Stracił większość włosów, całe połączenie skóry miał pokryte purpurowymi oparzeniami. Jego mundur przybrał ciemnoszarą barwę. Oficer otarł twarz.

- Nie chciałem cię odrywać od pracy, Spanky - powiedział Matt. - Mogłem przekazać wieści przez Graya.

- Nie te wieści, skipper - powiedział mechanik, opuszczając głowę. Spojrzał Mattowi w oczy. - Jest źle, toniemy - stwierdził cicho, ale jego słowa wywarły taki skutek, jakby wykrzyczał je na całe gardło. - Przednia maszynownia zalana, nie możemy powstrzymać napływu wody do tylnej kotłowni. - Westchnął. - Właściwie to wszędzie jej przybywa. Ostatnie dwa trafienia otworzyły nam rufę jak puszkę sardynek. Nie chcę nawet myśleć, co narobił pod pokładem ten wcześniejszy pocisk dużego kalibru.

- Ile mamy czasu? - spytał opanowanym głosem Matt.

- Dwie godziny. Może trzy, jeśli nikt nie zrobi nam nowych dziur. Większość to drobne przecieki, ale jest ich mnóstwo. Po prostu mamy dość. Maszyny pociągną jeszcze godzinę do półtorej, ale potem pójdzie już szybko.

Matt pokiwał głową. Bardzo się starał zachować spokój.

- Dziękuję, Spanky. Postaraj się jak najbardziej odwlec tę chwilę. Spróbuję nas doprowadzić na płyciznę. - Spojrzał przez okno mostka. Widząc nagłą zmianę jego wyrazu twarzy, Davis obrócił się. Przy obecnym kursie powinni minąć tonący krążownik, jednak w tej chwili mieli go przed dziobem. Japończyk szedł na zachód.

- A niech to! - wykrzyknął Davis. - On ruszył! - Uderzył dłonią w koło sterowe. - Jak im się to udało?

Jakby w odpowiedzi krążownik wystrzelił w ich kierunku serię pocisków. Silva odpowiedział z działą, nawet nie czekając na rozkaz.

*

Atak paniki okazał się całkiem trwały. Strudzeni obrońcy południowego odcinka wspięli się na obwałowania i zaczęli wiwatować, podnosząc nieziemski wrzask. Alden pomyślał, że tak pewnie musiał brzmieć dawny okrzyk bojowy żołnierzy Konfederacji. Przerażeni na dodatek porażką swego niezwyciężonego okrętu grikowie ponownie zaczęli walczyć między sobą. Ci z przodu robili to, chcąc uciec, ci z tyłu próbowali się przebić, żeby kontynuować atak. Ponadto część obrońców przedarła się przez pełną trupów fosę i zarżnęła niemal nie stawiających oporu uciekinierów.

Podczas tych podjazdów wielokrotnie uciekali się z powodzeniem do taktyki muru tarcz, dzięki któremu nie dawali wrogowi ani chwili wytchnienia. Dyscyplina i długie ćwiczenia, na które Alden tak nalegał, naprawdę się opłaciły. Jednak mimo to postępy były coraz wolniejsze. Dawało o sobie znać zmęczenie długą walką i konieczność radzenia sobie w trudnym, zasłanym trupami terenie. Wyrzynani z obu stron uciekinierzy padali tysiącami, aż w końcu zwarta masa wojowników za nimi ruszyła nieco do przodu. Atak też się w końcu zatrzymał i znowu zrobiło się trochę jak pod Aryaalem, bo obie armie stanęły naprzeciw siebie bez żadnej osłony czy wsparcia. W tej sytuacji wielokroć liczniejszy przeciwnik ponownie nabrał śmiałości i wznowił natarcie.

Alden robił bagnetem, demonstrując wszystko, czego tak pracowicie uczył na placu ćwiczeń. Nie miał już amunicji, a przed nim rozgrywały się sceny jak z piekielnych koszmarów. Otwarte paszcze, błyski broni, ryki, wrzaski i jęki, nieustanne trzaskanie tarcz - pandemonium oświetlone blaskiem płonącego miasta.

Wilgotna ziemia zalana krwią zmieniała się w brudnoszkarłatne błoto, w którym leżały na wpół zatopione trupy. W tym wszystkim pojawił się nagle Chuck, wołając Aldena, i mało go nie minął. Pete musiał złapać kotowatego za ramię.

- Gdzie strzelcy? - spytał.

- Cała amunicja poszła, więc zostawiłem ich na wałach. Nic tu po nich. Chociaż gdyby

wszyscy mieli bagnety...

- Nieważne. Dobrze się sprawiłeś. Przygotuj naszych, żeby osłaniali odwrót. Musimy wydostać się stąd i wrócić na mury.

- To będzie trudne. Grikowie pomyślą, że zwyciężają, i uderzą mocniej.

- Wiem, ale co robić? Do przodu się nie da, zostać nie możemy. Za dużo ich, cholera.

Chack musiał mu przyznać rację. Odwrócił się, żeby pobiec na wały i uprzedzić swój oddział, gdy nagle się zatrzymał. Alden spojrzał tam gdzie on i zdumiony zobaczył wylewające się na przedpole setki lemurów. Więcej niż setki - zapewne kilka tysięcy. Nie miał pojęcia, skąd ci kotowaci się tu wzięli. Przecież nie mieli już rezerw. Potem dojrzał powiewające na wietrze sztandary jednostek. Rozpoznał barwy 2. aryaalskiej, 2. b'mbaadoskiej i 3. baalkpańskiej. Wszystko weterani, których skierowano do obrony stoczni i północnego muru.

Krzycząc w niebogłosość, przemknęli przez zasłane trupami pole i wsparli chwiejące się szeregi. Impet ich niespodziewanego uderzenia pozwolił przesunąć ścianę tarcz ku głównemu skupisku wroga, który widząc las ostrzy, ponownie zwrócił się ku swoim tylnym szeregom, tnąc, rąbiąc i tratując towarzyszy, którzy nie mieli nawet czasu zrozumieć, co się dzieje. Niemal przygasła panika wybuchła z nową, jeszcze większą siłą. Gdy atakujący ruszyli dalej, odkryli jednak zdziwieni, że z drugiej strony formacji grików ruszyła także fala walczących, ale i przerażonych jaszczurów. Coś napierało na nich i stamtąd. Teraz wystarczyło tylko kilka chwil, żeby kierujący się li tylko instynktem tłum spanikowanych stworzeń obrał jedyny pozostały im kierunek ucieczki: ku morzu.

Z początku na małą skalę, potem coraz gromadniej, grikowie ruszyli jak rzeka, przepływając z lewej na prawą przed rzędami tarcz. Obrońcy nie dawali im spokoju, wciąż sięgając ich orężem, ale wzbierająca fala jaszczurów nie odcinała się wrogom, co najwyżej przyspieszała biegu. Ów niezwykły widok był straszny i radosny zarazem, toteż żołnierze sojuszu znowu zaczęli wiwatować, Alden zaś zrozumiał, że ta panika już nie minie. Cokolwiek wcześniej pozwalało grikom współdziałać i myśleć, zniknęło, gdy odeszła ich odwaga, jakby ktoś przeciął sznurki marionetkom.

Wiwaty wzrosły na sile, gdy z drugiej strony wartkiej rzeki jaszczurów pojawił się sztandar 2. batalionu marines.

- To Shinya! Shinya! - krzyknął ktoś radośnie obok Aldena. Obróciwszy się, ujrzał on Lettsa, podskakującego jak dziecko i energicznie machającego rękami. Alan zgubił gdzieś czapkę, rude włosy miał zlepione potem i krwią. Spod stóp przyskały mu pacyny błota. Alden uśmiechnął się, widząc jego entuzjazm, i ucieszony, że go widzi. Zwłaszcza że Letts miał

rację. Obsada Fortu Atkinsona, o którą bardzo się już obawiali, zdołała się przebić i zaatakowała nieprzyjaciela od tyłu. Co więcej, zrobiła to w idealnej chwili. Teraz wszystko wskazywało na to, że za kilka minut obie grupy się spotkają. Trzeba było tylko poczekać, aż wszyscy grikowie uciekną.

- A ty tu skąd? - spytał Alden wciąż rozradowanego Lettsa.

- Po tym, jak Japońce zniszczyli Wielką Salę, Nakja poczuł się bardzo źle, więc odnieśliśmy go do szpitala. Wszystko się sypało. Jaszczury wdarły się na nabrzeże, a potem nawet do miasta. - Nagle spoważniał. - *Salissa* mocno oberwała. Nie wiem, czy został na niej ktoś żywy. Ale i tak wysłałem gońców, żeby ściągnęli dosłownie wszystkich, którzy nie weszli jeszcze do walki, na plac ćwiczeń. I wtedy właśnie *Amagi* eksplodował - powiedział z uśmiechem. - W grików jakby piorun strzelił. Rzucili się do ucieczki, a my za nimi. Oni zaś po prostu wrócili na swoje okręty! Te same, które rozbili przy lądowaniu, tak że osiadły na dnie. I tkwią na nich teraz, a nasza artyleria karmi nimi ryby. Zostawiliśmy więc nabrzeże i pobiegliśmy tutaj. - Mrugnął. - I dobrze wyszło!

- Bez dwóch zdań! - Pete spojrzał na Chacka. - Gdy tylko połączymy się z naszymi zgubami, musimy jeszcze przycisnąć grików. Zepchnąć drani do morza!

Chack patrzył jak zafascynowany. Uciekający wojownicy wciąż byli sporo liczniejsi od wszystkich obrońców, ale nie była to już armia. Bardziej przypominali skuggików, czyli swoich dzikich kuzynów. Niebezpieczni w pojedynkę, nie byli już zdolni do grupowego działania. W tym stanie nie mogli zagrozić miastu. Wielu ludzi i kotowatych pewnie jeszcze zginie, likwidując rozbite oddziały nieprzyjaciela, ale Chack zgadzał się z Aldenem, że należy zrobić to teraz, póki panika jest świeża. Nie wiedział, jak długo może to potrwać, trzeba więc było korzystać z okazji. Poza tym połączone siły obrońców zasłużyły sobie na dokończenie tego, co kosztowało dotąd życie bardzo wielu ich towarzyszy.

- Trudno uwierzyć, że to prawie koniec - powiedział i pobiegł wyznaczyć gońca, który miał nawiązać kontakt z Shinyą.

- Prawie koniec - powtórzył radośnie Letts, ale po chwili uśmiech spełził mu z ust. Wciąż widział płonący na zatoce krążownik, ale okręt był już w innym miejscu. Sunął powoli w kierunku wyjścia z zatoki. Za nim, równie wolno, szła mniejsza i także płonąca jednostka. Z daleka widać było przemykające między nimi pociski. Czy to był *Walker*, czy *Mahan*? W ciemności nie mógł się zorientować, jedno wszakże było pewne: tamta walka jeszcze się nie skończyła. Letts rzucił tylko kilka słów Aldenowi i pobiegł do miasta.

*

Amagi chylił się na lewą burtę, ale jakimś cudem nie tonął. Płomienie strzelały w niebo, kłęby czarnego dymu niosły się nad zatoką. Wysoki, przypominający pagodę pomost bojowy trwał przechylony pod dziwnym kątem. Dwie wieże rufowe wciąż były skierowane na prawą burtę, ale nie strzelały. Lufy wielkich dział zastygły lekko uniesione po ostatniej salwie oddanej w kierunku *Salissy*. Ich obsługa albo spłonęła żywcem, albo uciekła przed rozprzestrzeniającym się ogniem. Trzecia wieża w ogóle wydawała się martwa i nie poruszyła się zapewne od tamtego dnia, gdy bombowiec nurkujący rozbił się na jej dachu. Sam krążownik wyglądał na ciężko uszkodzony, ale szedł przed siebie i wydawało się coraz pewniejsze, że jednak ucieknie.

Walker znalazł sobie bezpieczne miejsce dokładnie za rufą Japończyka. Tam nie groziło mu nic poza ostrzałem z karabinów maszynowych. Niestety, obecnie nawet one mogły być groźne dla postrzelanego niszczyciela. Sam odpowiadał tylko z jednego kaemu zamontowanego na platformie kontroli ognia i obsługiwanego samotnie przez porucznika *Garretta*. Działo na pokładzie dziobowym strzelało z rzadka. Z jego pierwotnej obsady pozostał tylko *Dennis Silva*, który trzymał się, chociaż odniósł liczne rany. Mieli jeszcze z tuzin pocisków przeciwpancernych, ale znajdowały się one w różnych miejscach okrętu i trzeba było je donosić. Głównie z rufy, gdzie działo numer cztery zostało wyłączone z akcji ostatnim strzałem artylerii pomocniczej krążownika.

Na mostku zginął *Leo Davis*, trafiony rykoszetem tuż nad lewym okiem. *Kotowaty*, który zastąpił go przy sterze, także już nie żył. *Matt* tu stał teraz sam, kryjąc się za wążką osłoną i wysoką obudową kompasu. Stracili łączność z większą częścią okrętu, więc *Reynolds* nie miał nic do roboty, ale został na mostku. Skulony za stołem nakresowym próbował jednak kogoś wywołać. Z ustnej relacji wiedzieli, że zapasowe stanowisko dowodzenia zostało zniszczone. Jego obsada, włącznie z *Larrym Dowdenem*, pewnie nie zdążyła nawet zauważyć, co ich trafiło. *Matt* bolał nad śmiercią *Larry'ego*, jak i innych, których stracili tej nocy. Wiedział jednak, że przyjdzie jeszcze pora, żeby ich opłakiwać. O ile będzie jeszcze jakieś później, oczywiście. Teraz musiał stać przy sterze. Grał z diabłem w berka.

Bez przedniego masztu radiostacja milczała, *Clancy* otrzymał więc rozkaz, żeby ją wymontować i przenieść do łodzi. Jedynej, która im została. Jedna motorówka była ciężko postrzelana, druga nie wróciła z poszukiwań załogi wodnosamolotu. Chociaż może ocalała. Tak ganiłi potem po zatoce, że nie mogłaby ich dogonić.

Pociski znowu załomotały o osłonę sterówki, ale ogień nieprzyjaciela jakby słabł. *Matt* zobaczył *Spanky'ego* wpełzającego na mostek. Oficer krwawił i był chyba w szoku. Kapitan

zerknął przed dziób, sprawdzając, czy ich pozycja wobec krążownika się nie zmieniła. Gdy ostatni raz tego próbował, stracił czapkę.

- Nic ci nie jest?! - krzyknął do Spanky'ego.

- Postrzelili mnie, cholera. A ty?

Matt omal się nie roześmiał.

- Nic. Uwierzysz? Tylko rozbity nos i kilka draśnięć - dodał, chociaż wciąż go bolało.

- Jak okręt?

- Z dziobu zrobili nam sito i mamy cztery stopy przegłębienia. Właśnie stamtąd wracam. Japońska kula przeszła przez poszycie i trafiła mnie w dupę! W tylnej kotłowni zostali już tylko Myszowaci z wodą do pół łydki. Jeśli nie skierujemy się zaraz do brzegu, ryby nas zeżrą.

Matt pokiwał głową, ale wiedział, że nie powinni jeszcze rezygnować. Być może *Amagi* był w równie złym stanie co *Walker*, ale póki się trzymał na wodzie, groźba nie została zażegnana. Nie mogli się oderwać od niego, nie dokończywszy roboty, zwłaszcza że działo numer jeden ciągle strzelało. Będą walczyć do ostatniego pocisku. Gdyby krążownik mimo wszystko ocalał, Baalkpan nie przetrwałby jego powrotu. Co gorsza, ofiara wszystkich, którzy dzisiaj zginęli, okazałaby się daremna.

- Niebawem - odparł Matt. - Jeszcze tylko chwila.

*

- Cholera! Dlaczego to kurewstwo nie tonie?! - wściekał się Silva. Mało co widział i obawiał się, że nie będzie już miał większego pożytku z lewego oka. Przyczyną były fragmenty pocisku i drobiny oderwanych trafieniem płatów farby. Niemniej i tak mógł dostrzec, że *Amagi* idzie z przechyłem rzędu dwudziestu albo trzydziestu stopni. Tyle że ten przechył jakoś się nie powiększał. Mimo większego zanurzenia Japoniec robił ciągle pięć węzłów i wchodził właśnie w kanał wyjściowy. Silva posyłał mu w rufę pocisk za pociskiem, robiąc coraz większą dziurę w poszyciu, ale widomego efektu tej jego działalności nie było. Niestety w końcu usłyszał, że mimo poszukiwań nikomu nie udało się znaleźć więcej pocisków.

O osłonę działa zadzwoniły kule, ale seria była krótka. Być może tamci wiedzieli, że *Walker* nie ma już czym w nich rzucać. No i zamierzali odpłynąć.

- Panie Silva! - usłyszał nagle dziecinny głos i obrócił się, jakby coś go ugryzło. W poszarpanym otworze wjazdu w nadbudówce stała mała dziewczynka w towarzystwie cętkowanego jaszczura.

- Co ty tu robisz, u diabła?! - wrzasnął i prawie się zatchnął. - Cholera najjaśniejsza!

Latają tu kule, w każdej chwili możemy zatonać, a ty...! Rusz się i gdzieś się schowaj!

Rebecca spojrzała na swego towarzysza.

- Cóż, Lawrence, wyraźnie nie chcą tu naszego towarzystwa. I chyba nie potrzebują tego, co im przynieśliśmy, chociaż podobno wszyscy miotają się po całym okręcie, żeby znaleźć jeszcze jakiś. - Dopiero wtedy Silva zauważył, że osobliwa para targa czterocalowy pocisk.

Na chwilę stracił wątek i spojrzał na krążownik. Ostrzał chwilowo ustał. Może kaemiście skończyła się amunicja, a może stracił serce do tej roboty.

- Cholera! - warknął Dennis. - Dajcie mi to i spieprzajcie! - Podbiegł do włazu po śliskim od krwi pokładzie. - Niech zgadnę: porucznik Tucker myśli, że jesteś z O'Caseyem, a jemu się wydaje, że jest na odwrót?

- Próbowałem ją powstrzymać - stwierdził przejęty Lawrence, ale dziewczynka tylko się uśmiechnęła.

- To pan jest przede wszystkim odpowiedzialny za moje bezpieczeństwo, panie Silva. Nie odpowiadam za to, co inni mogą sobie pomyśleć - stanowczo stwierdziła Rebecca. - Poza tym, czy to się komuś podoba, czy nie, mój naród musi mieć swój udział w tej bitwie.

- Skipper mnie zabije - powiedział zrezygnowany Silva i wziął nabój w masywne dłonie. Rozczarowany stwierdził, że ma on pocisk burzący. - Bierz - rzekł do ładowniczego zwanego Szczurkiem. - Jak wszystkie, to wszystkie. - Obejrzał się na dziewczynkę. - Też mam różne grzeszki na sumieniu... ale schowaj się chociaż za osłonę!

Rebecca przestała się uśmiechać.

- Twoje oko! - zawołała.

- To tylko draśnięcie. I co? - spytał Szczurka. - Przestań się opieprzać i ładuj.

- Ale wycelujesz? - spytał sarkastycznie lemur.

Teraz Silva miał do pomocy tylko kotowatych, a oni byli za niscy, żeby jednocześnie celować i naciskać pedał spustu. Mogli jednak ustawiać działo, wykonując jego instrukcje. Był przekonany, że jeszcze kilka porządnych pocisków załatwiłoby krążownik, ale po prostu ich nie miał. Jeden burzący niewiele tu znaczył.

- Tak, ale niech ktoś załaduje to cholerstwo! - warknął. Dopiero teraz dostrzegł, że operator koła kierunku oberwał. - Hej... Lawrence! Rusz swoją pasiastą dupę i stań przy tym kole!

Lawrence'owi aż opadła zuchwa.

- Kole? Ja?

- Tak, ty przy tym kole. Dalej!

Zamek działa zamknął się z trzaskiem i Silva zmrużył zdrowe oko, zbliżając je do celownika z lewej strony lufy. Ledwie zauważył, że w jego brudnej łapie zagnieżdżyła się mała, ciepła dłoń.

- Trochę w lewo... - powiedział. - Jeszcze... jeszcze... dość! Teraz do góry. Jeszcze... Dość! Cholera! Gdy mówię „dość”, to masz przestać. Na dół... Dość! - Odsunął się na bok. - Ognia! - Szczurek nacisnął pedał, działo szczeękło i cofnęło się od impetu. Silva śledził lot pocisku. Trafił dokładnie w środek wybitej wcześniej dziury i zniknął w środku. Dennisowi wydało się, że zaraz potem coś błysnęło w głębi japońskiego okrętu.

- Trafienie! - ucieszyła się Rebecca.

- Jak nic. Tyle że równie dobrze moglibyśmy rzucać w drania granatami - powiedział Silva tonem wyjaśnienia, ściskając dłoń Rebecki. Nagle poczuł ból wszystkich ran i zrobiło mu się niedobrze. - Zmykaj do sterówki. Nie ma sensu tu sterczeć, skoro nie mamy więcej pocisków. Powiedz kapitanowi, że wyszły. - Zaczął się obracać.

- Silva! Patrz! - krzyknął Szczurek, i Dennis posłuchał. *Amagi* jeszcze bardziej pochylał się na prawą burtę i ostro skręcił.

- Co u diabła? - mruknął zdumiony Dennis. - Czyżbym trafił w maszynkę sterową?

Czy rzeczywiście mu się udało, czy też może *Amagi* miał już dość ujadającego kundelka i zamierzał pozbyć się go salwą, nie umieli orzec. Kapitan też dostrzegł manewr krążownika i niszczyiciel zmieniał kurs, skręcając ociężale na lewą burtę. Stracił całą swoją zwinność i nic nie mogli na to poradzić. Silva przytulił dziewczynkę do siebie, czekając na ostatnią salwę krążownika, ale *Amagi* milczał. Cyrkulacja wyniosła go poza główny kanał, którym wieczorem wpłynął do zatoki. Był znacznie bardziej zanurzony i tym razem przeszedł dokładnie nad zapalnikiem magnetycznym wymontowanym z torpedy Mark 6. I zapalnik zadziałał.

Morze zagotowało się w rejonie drugiej wieży i cała dziobowa część krążownika została uniesiona na szczycie wielkiej, spienionej kolumny. Błysk towarzyszył temu niewielki, za to huk przepotężny. Zaraz potem kadłub opadł z impetem w pustkę powstałą po wybuchu bomb i przednia część okrętu zniknęła pod wodą. Dziób wynurzył się po chwili niczym wracający z głębin okręt podwodny, ale jakoś przekrzywiony. Woda powróciła do podstawy przedniej nadbudówki, sama dziobnica zaś uniosła się w górę, pokazując czerwoną farbę.

- Skręcił kark! - rozdarł się Silva. - Wiedziałem, że to zadziała!

Szczurek spojrzał na niego z niedowierzaniem, a Rebecca mocno objęła Dennisa w pasie.

*

Kapitana Kurokawę cisnęło na stół nakresowy. Uderzywszy głową w krawędź blatu, leżał przez chwilę ogłuszony. Słyszał jednak wielki ryk, poczuł kolejne wstrząsy, w końcu dotarły też do niego krzyki i gwałtownie wykrzykiwane rozkazy. *Amagi* uspokoił się, ale pokład zaczął się przechylać.

- Neeee! - wyrwało mu się. Wstał z wysiłkiem i rozejrzał się wkoło. Wszystkie okna były wybite, z sufitu sypały się iskry od porwanych kabli. Ogień na śródkręciu buchnął niezwykle wysoko, po czym zaczął przygasać. Przechylił stawał się coraz większy. - Nie! - ponownie wychrypiał Kurokawa. Mostek wydawał się pusty, jeśli nie liczyć bezwładnych ciał. Wszyscy, którzy opuścili stanowiska, drogo za to zapłacą, pomyślał. Potem dostrzegł jakiś ruch na skrzydle mostka. Mimo oszołomienia poznał chudego brodatego Amerykanina, Kaufmana. Mężczyzna szalał z radości, nie bacząc na uciekający spod nóg pokład. Kurokawa sięgnął po pistolet Nambu i ruszył ostrożnie przez mostek.

- Oto cena twojego szaleństwa! - dobiegło go z rumowiska w pobliżu telegrafu maszynowego. Kurokawa bez wahania strzelił w tamtym kierunku. Usłyszał jęk. Podszedł bliżej i zauważył w półmroku Sato Okadę. Tego właśnie się spodziewał. Opuścił nieco broń i zbliżył się jeszcze o krok.

- To wynik pańskiej zdrady, komandorze - powiedział spokojnie, ale z dziwnie lśniącościami oczami. - Moja koncepcja podporządkowania się grikom, by ostatecznie uczynić z nich naszych poddanych, na pewno by się sprawdziła. - Wyprostował się. - I jeszcze może się sprawdzić. Wygrają tę bitwę i okręt da się uratować. Nadal będzie służył cesarzowi! Mimo pana i niezależnie od tego, gdzie jesteśmy. - Uważnie wycelował nambu w punkt, który uznał za lśniąco w ciemności oko. - Ale pan już tego nie zobaczy. - Lekko ściągnął język spustowy.

Nagle zobaczył jeszcze więcej iskiei, prócz tych sypiących się z sufitu. Coś wyrznęło go w głowę i upadł. Broń wystrzeliła przypadkowo. Odtaczając się na bok, dostrzegł sylwetkę napastnika. Stał na tle płomieni, chude ramiona miał uniesione nad głową, w dłoniach ścisnął powyginaną rurę.

- Czeka! - zawołał Kurokawa i ku jego zdumieniu Kaufman zastygł w bezruchu.

Kolejny cios nie spadł, Amerykanin tylko ciężko dyszał. Kapitan strzelił do niego. Teraz Kaufman zamachnął się do uderzenia, ale nambu odzywał się tak długo, aż rura upadła z grzechotem na pokład obok głowy oficera.

Kaufman osunął się na kolana.

- Podstępne żółtki - wymamrotał i padł na twarz.

Amagi zajęczał boleśnie i Kurokawa skierował szybko broń na Okadę, który wciąż

leżał uwięziony w szczątkach wyposażenia.

- Na czym skończyliśmy? - zapytał kapitan.

- Chciał mnie pan zastrzelić, ale teraz już nic z tego. Naboje się panu skończyły.

Kurokawa ściągnął spust, ale nic się nie zdarzyło. Nie rozumiał dlaczego.

- Nieważne - rzucił ze złością. - Zapewniam pana, że kara pana nie minie. Gdy tylko bitwa się skończy i zajmiemy się naprawą uszkodzeń, może pan oczekiwać zdegradowania i egzekucji. - Z głębi kadłuba dobiegł ich głuchy łomot i Sato Okada zaczął się śmiać. - Zamilcz, głupcze!

Okada uspokoił się i zerknął na dowódcę.

- To pan jest głupcem, kapitanie. Nie będzie żadnego remontu!

*

Matt i Spanky, obaj już na nogach, patrzyli jak zahipnotyzowani na krążownik, tonący niecałe czterysta jardów od nich. Odłamana część dziobowa, nim poszła na dno, przewróciła się do góry dnem, reszta osiadała na w miarę równej stępce. Setki postaci w białych mundurach schodziły do opuszczonych już łodzi albo szukały sobie miejsca wysoko na nadbudówkach. Kanał nie był głęboki i większość z nich powinna pozostać nad wodą, dając ludziom szansę na ocalenie.

Bosman Gray też dowlókł się na mostek i bez słowa stanął obok Matta i Spanky'ego. Potem dołączył do nich Reynolds.

Woda dotarła do pożarów na śródokręciu, gasząc je przy wtórze wielkiego syku i w kłębach pary. W głębi kadłuba doszło do silnej detonacji, z komina buchnęły sadza i para. Ostatecznie rufa także zniknęła pod falami z szumem i bulgotem uciekającego powietrza. Dopiero wtedy ocalała część załogi *Walkera* dała upust radości.

Wreszcie! Pomyślał Matt. Ulga była tak wielka, że zrobiło mu się słabo. Mój Boże... wreszcie! Zamknął na chwilę oczy w dziękczynnym geście. Kilka jednostek grików minęło wrak, kierując się na Cieśninę Makasarską. Niszczyciel nie mógł nic im zrobić.

- Druga pięćdziesiąt osiem - powiedział kapitan Reddy, spojrzawszy na zegarek. - Proszę zanotować to w książce pokładowej, panie Reynolds. - Miejmy nadzieję, że na lądzie nie poszło im lepiej - dodał, wskazując na uciekające okręty. Trudno było orzec, czy idą wesprzeć lądowanie na południu, czy po prostu uciekają. Cały Baalkpan zdawał się płonąć i wynik bitwy był dla nich tajemnicą.

- Rozbitkowie? - spytał z niechęcią Gray, wskazując na łodzie i oblepione ludźmi nadbudówki.

Matt pokręcił głową.

- Na razie sobie poradzą. Gdybyśmy teraz ich zabrali, skończyliby z nami w wodzie. Jak szybko możemy pójść do brzegu, Spanky? Tak, żeby grodzie nam nie poszły?

McFarlane spróbował się skupić.

- Sześć węzłów? - zasugerował. - Gdy spróbujemy szybciej, wepchnie nas pod fale. Gdy wolniej, zatoniemy po drodze. Kurs od razu na stocznię?

- Mam nadzieję, że się uda. Na wszelki wypadek będziemy trzymać się brzegu. - Raz jeszcze spojrzął na wrak krążownika i zakręcił kołem sterowym. - Szkoda, że Jim tego nie widzi.

*

Jakiś przedziwny zbieg okoliczności sprawił, że *Mahan* wciąż unosił się na wodzie. Eksplozja oderwała przednią, zalaną część okrętu, która w przeciwnym razie szybko pociągnęłaby cały niszczyciel na dno. Odepchnęła ją również od krążownika, mimo wciąż pracującej śruby, uszkadzając konstrukcję. Grodzie wodoszczelne puszczały, powietrze uciekało przestrzelinami, a pokład coraz bardziej się przechylał.

Jim z dwoma lemurami przeciągnął Sandisona pod rufową nadbudówkę i dopiero tam olbrzymia eksplozja cisnęła ich na pokład. Jeden z kotowatych omal nie wypadł za burtę, ale drugi zdążył go złapać. Ciągle leżąc na pokładzie, Jim patrzył z goryczą i rozpaczą, jak *Amagi* steruje w stronę wyjścia z zatoki. Ofiara niszczyciela na nic się nie zdała. Potem zauważył zdumiony, że *Walker* podjął pościg.

Wiedział, że to nic nie da, że ten gest jest równie daremny jak jego własna szarża. *Walker* nie mógł obezwładnić giganta jednym działem, które mu zostało. Ale i tak Jim był dumny z towarzyszy. W migotliwym blasku dostrzegł, że *Walker* stracił przedni maszt, ale bandera wciąż powiewa, tyle że teraz na krótszym, rufowym maszcie. Była osmalona i wystrzępiona, ale nie straciła nic ze swego wdzięku. Widok ten sprawił, że Jimowi łzy napłynęły do oczu.

Kotowaci pomogli mu się pozbierać i stanął niepewnie na pochylonym pokładzie. Wibracja od maszyn wreszcie ustała i wynurzająca się śruba przestała młócić powietrze. Po drugiej stronie zatoki *Walker* wciąż bezskutecznie ostrzeliwał krążownik.

Nagle drgnął pokład. *Mahan* szedł pod wodę. Jim spojrzął na nieprzytomnego oficera torpedowego i podziękował losowi, że Bernie odejdzie nieświadom tego, co za chwilę nastąpi. Objął mocno jednego z pomagających mu lemurów.

- Kapitanie Ellis! - dobiegło nagle z mroku.

Jim obrócił się i ujrzał jakieś odbicie na wodzie. Potem zauważył szalupę. Podchodziła do burty i była pełna ludzi oraz lemurów. Całkiem o niej zapomniał, tylko pomyślał

przelotnie, że pewnie zatonąła podczas eksplozji.

- Panie Steele? To pan?

- Aye, sir. Przepraszam, że to tyle trwało, ale nie chciałem tu podchodzić, póki śruba się obracała. Proszę się pospieszyć, nasza starsza dama nie wytrzyma już długo!

- Ale mamy tu rannego. Możecie pomóc?

Umierający okręt znowu drgnął, ale w tej samej chwili rozległ się monstualny huk. Jim gwałtownie obrócił głowę ku południu. Odległa sylwetka *Walkera* rysowała się wyraźnie na tle fosforyzującej kolumny wody, która wyrosła nad krążownikiem.

Rozbitkowie w motorówce podnieśli radosną wrzawę, ale Steele ani na chwilę nie zapomniał, po co tu przybył.

- Proszę go puścić, żeby zjechał po pokładzie, kapitanie - zawołał. - Złapiemy go! - Spojrzał na wciąż wiwatujących pasażerów w łodzi. - Zamknąć się! Wiem, że to cholernie ważne, ale musimy uratować skippera!

Z obrazem tonącego krążownika przed oczami Jim i kotowaci pchnęli Sandisona, który zsunął się po pochylonym pokładzie do szalupy i czekających na niego rąk.

*

Sandra Tucker i Sean O'Casey gnali uliczkami Baalkpanu. Niebo coraz bardziej szarzało. Miasto trawiły pożary i żołnierze oraz mieszkańcy biegali gorączkowo z wiadrami i bukłakami wody. Choć miasto spotkało nieszczęście, wydawali się uradowani. Wygrali. Mimo wszystko wygrali. Bradford też biegł, dysząc ciężko, wciąż z kragiem na ramieniu. Zabrał się z nimi, żeby chronić ich przed maruderami przeciwnika, jak powiedział. Kilka setek grików wdarło się do miasta od strony nabrzeża, jednak Sandra wątpiła, żeby byli jeszcze niebezpieczni. Większość z nich już zapewne zginęła. Sandra nie chciała czekać. Straty na nabrzeżu były zapewne większe niż gdziekolwiek indziej. Grikowie skierowali tam około setki okrętów i *Amagi* długo ostrzeliwał doki. Gdzieś za nimi biegła reszta zespołu medycznego, ale Sandrze się spieszyło. Nie tylko do rannych. Usłyszała, że *Walker* wraca.

Przebiegli przez podziurawiony lejami plac ćwiczeń i obok dymiących szczątków Wielkiej Sali z poczeriałym pniem świętego drzewa, przez zbierający się dokoła tłum i pustą dzielnicę handlową. W końcu dotarli do zburzonego częściowo obwałowania nad zatoką i zamarli z przerażenia. Kwitnące niegdyś miejsce zmieniło się we fragment piekła. Tak właśnie, szaro i krwawo, musiały wyglądać podczas Wielkiej Wojny pola bitewne we Francji i Belgii. Wszędzie leżały przemieszane ciała obrońców i napastników, jednak grików było zdecydowanie więcej. Ziemia przesiąkła krwią, w powietrzu unosiła się woń śmierci. Przy jednym z wielkich dział siedzieli i leżeli wyczerpani artylerzyści. Wszyscy byli pokryci

blotem i krwią, ale błysnęli w uśmiechu białymi zębami, widząc podchodzącą Sandrę. Przeżyli i wygrali.

Wspięła się na wał, wyprzedzając wdrapującego się niezgrabnie O'Caseya. Za murami było jeszcze gorzej, tyle że widać było tylko trupy grików. Z wody wystawał cały las masztów, przy nabrzeżu leżały na wpół zatopione kadłuby. Niektóre płonęły i nikt nie próbował ich gasić, na wielu wrakach widać było jeszcze smażące się żywcem jaszczury. Nieco na prawo osiadł na dnie masywny kadłub *Salissy*, bez masztów i z poczerniałymi od ognia wieżami. Dziobowa wciąż płonęła.

- Czekaj, moja droga! - zahuczał za nią Bradford. - Poczekaj chwilę!

Nie zwróciła na niego uwagi. Biegąc po koronie wału, minęła nabrzeże wyposażeniowe i dołączyła do wielkiej grupy lemurów zgromadzonych w pobliżu stoczni. Tutaj w ogóle nie doszło do walki, jakby nieprzyjaciel chciał oszczędzić ważną przemysłowo okolicę. Możliwe, że tak właśnie było. Tutaj też znoszono rannych, jednak obecnie byli oni w mniejszości. Większość przysła, żeby popatrzeć, i stała, patrząc w jedną stronę.

Dwie motorówki, kilka feluk i mnóstwo łodzi holowały *Walkera* ku bazie remontowej. Sandra stwierdziła przerażona, że stary niszczyciel jest w strasznym stanie. Na gęsto postrzelanym mostku straszyły okna bez szyb. Na przednim pokładzie widać było wielką dziurę otoczoną pogiętymi niczym płatki kwiatu blachami. Śródkręcie poczerniało od ognia, rufowa nadbudówka została kompletnie zdemolowana. Wśród szczątków poniewierało się na boku stojące na niej kiedyś działo, z wygiętą teraz lufą. Za burtą ciągnęły się resztki przedniego masztu, trzymające się na splątanych linach. Z ostatniego komina unosiła się wątła smuga dymu, ale widać też było uciekającą parę. Niecała stopa wody dzieliła przedni pokład od powierzchni wody i numer taktyczny był już ledwie widoczny. Niemniej na tylnym maszcie ciągle łopotała bandera, choć teraz wydawała się jakaś mniejsza. Sandra z trudem opanowała łkanie.

Poznaczony krwawymi śladami pokład niszczyciela był prawie pusty i Sandra pomyślała, że większość załogi została już zabrana przez towarzyszącą okrętowi flotyllę. Kilka osób, ludzi i lemurów, stało na platformie kontroli ognia, widać też było jakiś ruch na mostku. Jeśli Matt przeżył, tam właśnie powinien się znajdować. Sandra zaczęła przepychać się przez tłum, żeby lepiej widzieć. Wszyscy tutaj ją poznawali i chętnie robili jej miejsce. Prawie tego nie dostrzegala, ale gdyby zwróciła na to uwagę, zauważyłaby opuszczane uszy i wyrażające szacunek mrugnięcia.

Walker zwolnił i zatrzymał się niecałe pięćdziesiąt jardów od nabrzeża. Motorówki dawały z siebie wszystko, żeby przyciągnąć go jeszcze bliżej, ale nic już z tego nie

wychodziło. Okręt osiadał na dnie. Właz tylnej kotłowni otworzył się z trzaskiem i buchnął z niej obłok pary. Na pokład wypełzła niska kotowata, która sięgnęła do środka, żeby pomóc wyjść najpierw jednej, a potem drugiej usmolonej osobie. Kaszląc i plując, wsparta o siebie trójka przeszła pod nadbudówką na śródokręciu i wspięła się tylną schodnią na mostek. *Walker* jakby czekał jeszcze tylko na nich, bo zaraz potem woda zalała pokład dziobowy i spłynęła wirami w poszarpany otwór. Nawiewnik ucichł i słychać było tylko głośny szum wypieranego powietrza. Dziób opadał coraz niżej, aż w końcu zadrzał, trafiwszy na muliste dno. Z niemal ludzkim jękiem reszta kadłuba też poszła pod wodę, nad falami został tylko lekko przechylony na lewą burtę mostek oraz cztery poobijane kominy. Bandera też pozostała nad wodą, szarpiąc się w strugach powietrza wypychanego z kadłuba.

Tłum zaszemrał smutno, ale zaraz zaczął wiwatować, dostrzegłszy nad mostkiem wielkiego mężczyznę, w którym Sandra rozpoznała Dennisa. Silva pomachał im jedną ręką, drugą podtrzymując siedzącą mu na ramionach dziewczynkę. Buras i Myszowaci też dotarli już na platformę, a chwilę potem Sandrze serce podeszło do gardła, gdy zobaczyła, że dołącza do nich Matt. Razem z wszystkimi krzyczała i machała rękami, a łzy płynęły jej po policzkach.

Skądkolwiek przybyli, teraz jedno było pewne: USS *Walker* i jego załoga wrócili wreszcie do domu.

EPILOG

- Klęska - syknął zrozpaczony Tsalka. - Ostateczna i całkowita klęska.

Słońce wschodzące nad Cieśniną Makasarską oświetlało niecałe siedemdziesiąt okrętów, które towarzyszyły *Giorshowi*, flagowej jednostce Eshka powracającej do Aryaalu. Tyle tylko zostało z liczącego niedawno prawie czterysta żaglowców Niezwycięzonego Roju. Co gorsza, na pokładach większości z nich były tylko same załogi, które wysadziły wszystkich wojowników na południowej części wybrzeża. Nigdy w tysiącletniej historii grików nie doszło do takiej katastrofy.

- Nie ja tu dowodzę - westchnął Tsalka - ale dla Niebiańskiej Matki to żadna różnica. Jako regent odpowiadam za ten obszar, więc jestem też winien tej klęsce. Czy dołączysz do mnie wodzu, w tej ostatniej chwili? Zamierzam odejść w południe, z całym stosownym do mojej pozycji ceremoniałem. Możesz skorzystać z tej okazji, jeśli masz ochotę.

Eshk oparł się o reling, znacząc pomalowane na białą drewno śladami pazurów. Spojrzał na widoczną wciąż za rufą potężną kolumnę dymu z płonącego Baalkpanu i też westchnął.

- Taka propozycja to dla mnie zaszczyt, regencie, ale nie zamierzam dziś opuścić tego świata. Nie sądzę też, żebyś ty to zrobił. Byłby to samolubny gest i zapewne zdrada naszej rasy.

- Ależ wodzu... Wiesz przecież, że wciąż jestem wojownikiem i nie boję się niczego na tym świecie, ale szybka i honorowa śmierć lepsza jest chyba niż to, czego możemy oczekiwać po takiej klęsce od Niebiańskiej Matki?

- Popadniemy w niełaskę, ale nie za sprawą naszych działań. Zaatakowaliśmy zdobywcę tak, jak zwykle to robiliśmy, jak nas nauczono: z wielką przewagą liczebną i arogancką pewnością siebie. Nie zawiniliśmy bardziej niż te tysiące Uul, których wysłaliśmy na śmierć. Nie rozumiesz? Ta zdobycza jest inna niż wszystkie, które dotąd spotkaliśmy. Myśleliśmy, że nie różni się niczym od tamtych istot, które uciekły nam dawno, dawno temu. Myliliśmy się. Być może ci Amerykanie ich odmienili, ale w sumie to nieważne. Chodzi o to, że oni się zmienili, a my nie. Zarzucasz mi skłonność do filozofowania i pewnie masz rację. Mam nadzieję, że tak jest, bo do pokonania tej zdobyczy potrzebni nam będą właśnie filozofowie, nie kolejne rzesze bezmyślnych Uul. A przecież musimy ją pokonać! Sądzisz, że zadowolili się

tym jednym zwycięstwem? W żadnym razie! Zniszczy nas, jeśli nie nauczymy się stawiać jej czoła. A w tym celu musimy się zmienić. I to zasadniczo.

- Ale dlaczego to my właśnie mamy być za to odpowiedzialni? - jęknął Tsalka. - Lepiej odejść, skoro może być aż tak źle.

- To nie może być nikt inny. My widzieliśmy tę bitwę. Znamy prawdę. Może wiedząc, jaki koniec nam grozi, zdołamy przekonać do niej Niebiańską Matkę. No i jest jeszcze coś do zrobienia. - Strzelił palcami i jeden z jego osobistych przybocznych przyprowadził brudnego i pokrwawionego kapitana Hisashiego Kurokawę, który stanął niepewnie przed swoimi „gospodarzami”.

- Kapitanie Kurokawa - przywitał go uprzejmie Esshk i oficer spojrzął na niego zdziwiony. - Nie zapewnił nam pan zwycięstwa, ale trudno pana za to winić. Pchnęliśmy pana do działania, chociaż nie był pan gotowy, i byliśmy głusi na pańskie rady, które dopiero teraz doceniamy. Zmusiliśmy też pana do przyjęcia naszej taktyki, nie pozwalając działać po swojemu. To, co mówił pan o zniszczeniu maszyny latającej, okazało się nieprawdą, ale i tak cała operacja została źle zaplanowana. Nie wzięliśmy pod uwagę pańskiego znaczącego doświadczenia. Niemniej maszyna nie uczyniła tym razem wielu szkód i jak potwierdzają liczni świadkowie, została wreszcie unicestwiona. Nie będziemy więcej o tym mówić. Jak już wspomniałem, nazbyt polegaliśmy na pańskim okręcie, choć rzeczywiście był potężny. Obecnie uznaję pański argument, że trudno winić wojownika, który stracił pokład pod stopami. To nie musi go jeszcze czynić ofiarą. Tak więc nadal będziemy cierpieć pana obecność. - Kurokawa stłumił westchnienie ulgi, ale Esshk jeszcze nie skończył. - Tylko jeden na dziesięciu pańskich Uul trafi na stół po tej strasznej porażce. Zapewniam pana, że nasz udział w tym będzie o wiele większy. Proszę starannie dobierać jedzenie, ponieważ teraz będziemy potrzebowali waszej wiedzy bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Musimy mieć te niezwykle wynalazki, które nam pan obiecał: dymiące statki, samoloty, działa... Już nie po to, żeby nas zabawić. I pan je dla nas zrobi.

Kurokawa nie przejął się dodatkowymi stratami. Z jego załogi ocalało ledwie czterystu ludzi, uratowanych przez *Giorsha* i inne okręty, ale mógł poświęcić jeszcze czterdziestu, aby kupić sobie życie. Z wolna docierało do niego, że ocaleje, chociaż jeszcze przed chwilą wydawało mu się to niemożliwe. Teraz jego los był nieodwołalnie związany z Esshkiem i Tsalką, chociaż ich z kolei los wydawał się raczej niepewny. Jedno wszakże już wiedział: będzie tylko wykonywał rozkazy. Chociaż może nie powinno być tak źle, pomyślał po chwili. Zapewne obaj jego „mentorzy” zechcą zabrać go na spotkanie z Niebiańską Matką. Jeśli ona doceni te cuda, które może zbudować, i zrozumie, jak bardzo grikowie ich potrzebują,

Kurokawa może okazać się Esshkwowi i Tsalce bardziej potrzebny niż oni jemu.

Kapitan uśmiechnął się lekko.

*

Pięć dni po strasznej bitwie, która miała zostać opisana w Świętych Zwojach, aby pamięć o niej przetrwała wieki, zwołano w stoczni spotkanie przyjaciół. W powietrzu unosiła się jeszcze woń dymu, nie tylko z pożarów, ale i wielkich stosów, na których spalili ciała zmarłych. Niezliczone truchła grików wrzucili po prostu do morza, zostawiając je srebrzakom. Wciąż jednak wyczuwało się w mieście woń śmierci, a nastroje zgromadzonych w stoczni dalekie były od wesołości.

Nakja-Mur, u-amaki ay Baalkpan, przeniósł się w Niebiosa razem z jedenastoma tysiącami innych. Sandra powiedziała, że jego serce nie wytrzymało napięcia, większość jednak uważała, że po prostu pękło z żalu. Nigdy w historii ludu nie doszło do takiej hekatombi. Jedyłą pociechą było to, że Nakja zmarł, wiedząc już o zwycięstwie i pewien, że jego lud będzie bezpieczny. Wraz z nim uleciały duchy Nagi i Ramica. Ten drugi zginął w ostatniej fazie walk, dopełniwszy zemsty. Teraz wielkim wodzem *Arracki* została młoda Tassana.

Załogi obu niszczycieli również drogo zapłaciły za zwycięstwo. W Baalkpanie też pojawiły się świeże groby. Z samego *Walkera* pochowali trzynastu, w tym Larry'ego Dowdena, Dave'a Eldena i Leo Davisa. Spoczęli na placu ćwiczeń obok symbolicznego nagrobka Tony'ego Scotta. Kilku innych poszło na dno z *Mahanem* i ich nazwiska miały zostać dodane do tablicy z listą wszystkich członków załóg, ludzi i lemurów, poległych w akcji.

Adara nie było w stoczni. Dopóki płonęły stosy, miał mnóstwo zajęć. Był teraz kapłanem Baalkpanu, pełnił też obowiązki wielkiego wodza miasta. Został zaakceptowany w tej roli przez aklamację i miał sprawować tę funkcję co najmniej do czasu, gdy uchodźcy powrócą do Baalkpanu. Większość uważała, że potem też jej nie straci. Zwolennicy ucieczki nie cieszyli się teraz wielkim szacunkiem, a postawa Adara, który chciał twardo stawić opór grikom, zjednywała mu ludzi. Przynajmniej na razie.

Chack i królowa Maraan mieli się trochę spóźnić. Wszyscy uważali ich już za parę i widać było, że po bitwie są jeszcze bliźsi sobie niż dotychczas. Rano tego dnia podpalono stos pogrzebowy *Salissy*. Dusze z B'mbaado i Aryaalu uleciały na tych samych płomieniach. Chack i Rolak byli na tej uroczystości przybocznymi królowej.

Sandison i Garrett leżeli w szpitalu, dochodząc do siebie po poważnych obrażeniach. Tam też przebywali Karas, Aubrey, Newman, Rodriguez... Silva stracił oko - i natychmiast

zniknął na samowolce. Tylko Risa i Pam wiedziały, gdzie jest, ale nikt nie przejmował się jego nieobecnością. Nie ulegało wątpliwości, że ma dobrą pielęgniarską opiekę i że wcześniej czy później wróci.

Wielu innych przyszło na spotkanie, przeczuwając, że będzie ono również uroczystością dla upamiętnienia poległych. Wśród gości znalazła się również Saan-Kakja, u-amaki ay Maa-ni-la, z gwardią przyboczną liczącą tysiąc zbrojnych. Przybyła prawie pod koniec bitwy i wylądowała na południowym brzegu. Jej gwardziści wsparli Bristera i Shinyę, przechylając szalę zwycięstwa podczas desperackiego ataku na tylne zgrupowania grików. Przeprosiła wylewnie za spóźnienie, obecnie jednak najważniejsze było to, że Maa-ni-la dołączyła do sojuszu i miała przysłać jeszcze więcej wojowników.

Keje używał obecnie tych samych kul, na których kuśtykał kiedyś Gray, chociaż trzeba było je trochę dla niego skrócić. Przeżył jakoś zniszczenie górnych pokładów *Salissy* i znaleziono go rano. Siedział na swoim ulubionym stołku. Gdy Adar zaproponował mu objęcie funkcji wielkiego wodza Baalkpanu, Keje stanowczo odmówił. To *Salissa* była jego domem. Był pewien, że uda mu się podnieść statek. Kotowaci mieli bardzo wydajne pompy, Amerykanie zaś podsunęli im koncepcję węży, co łącznie powinno wystarczyć. Na razie jednak wracał do zdrowia pod troskliwą opieką córki.

Shinya, Brister, Flynn i Alden stali obok Alana i Karen Lettsów. Szybka reakcja Alana, który wysłał statki ratunkowe, przyczyniła się na pewno do ocalenia wielu ludzi z *Walkera*. Nie tylko wzięły one na pokład większość z nich, ale i pomogły podholować jednostkę bliżej brzegu. Bardzo pomogły też motorówki z *Walkera* i *Mahana*, które wróciły, wylądowawszy rozbitków. Pod koniec Ellis i Steele sprawnie kierowali całą akcją.

Ku powszechnemu zdumieniu motorówka wysłana na miejsce katastrofy wodnosamolotu znalazła większość jego załogi żywą i trzymającą się kurczowo ocalałego, chociaż przeciekającego pływaka. Mallory, Jis-Tikkar i jeden ze strzelców wyszli z tego żywi również dlatego, że srebrzaki były akurat bardzo zajęte w innych rejonach zatoki. Tikker trafił do szpitala, Mallory jednak nie odniósł najmniejszych obrażeń. Czasem tak bywa, że lotnik skręci kark, otwierając spadochron, inny zaś wyjdzie o własnych siłach z kompletnie rozbitego samolotu.

Jej wysokość Rebecca Anne McDonald, księżniczka Imperium Wysp Nowej Brytanii, nadal nosiła brudne ubranie robocze i wściekała się na Silwę, który raczył być ulotnić się bez śladu. Głównie dlatego, że w ten sposób Rebecca stała się więźniem Sandry Tucker i Seana O'Caseya. Lawrence i Silva zaświadczyli o jej udziale w walce i teraz oboje, ona i jaszczur, stali się wręcz bohaterami Baalkpanu. Mimo to nie pozwalano im ruszać się nigdzie bez

licznej eskorty. Większość wiedziała już, kim jest dziewczynka, bo trudno było to dłużej ukryć, i uważano, że przybycie eskadry Jenksa jest tylko kwestią czasu. Komodora czekało jednak rozczarowanie. Rebecca była przekonana, że Nowa Brytania winna zawiązać sojusz z jej nowymi przyjaciółmi, i chociaż chciała wracać do domu, ogłosiła, że zrobi to tylko wtedy, jeśli zawiezie ją tam kapitan Reddy.

Stali teraz wszyscy i milczeli, patrząc na szczątki dumnego niegdyś okrętu. Bandera wisiała ciągle na maszcie. Matt nie potrafił się zdobyć na to, żeby ją zdjąć. Jeszcze nie teraz. Wspominał dzień, gdy pierwszy raz ujrzał *Walkera*, kotwiczącego w Zatoce Manilskiej. Wtedy, w innym świecie i innym czasie, nie przypuszczał nawet, że będzie go kiedyś aż tak oplakiwał. Po tym wszystkim, co razem przeszli i osiągnęli, miał wrażenie, jakby częśćka jego duszy poszła na dno wraz ze starym niszczycielem. Porucznik Tucker stała obok i trzymała Matta za rękę. Po ostatnich wydarzeniach porzucili wszelkie pozory. Potrzebował Sandry nie mniej niż wszyscy jej pacjenci.

- Myślicie, że wrócą? - spytała Karen Letts.

- Na pewno - odparł Gray.

Karen bezwiednie położyła dłoń na brzuchu i Sandra uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Podwładna nic jej na razie nie mówiła o ciąży, ale porucznik Tucker i tak wiedziała. Potrafiła dostrzec oznaki.

- Technicznie jesteśmy teraz na tym samym poziomie - powiedział Gray. - Wszystkie nowoczesne okręty wojenne zostały zniszczone, oni jednak zyskali działa i mają Japońców do pomocy. O ile ich nie zjedli.

Nie zdążyli wrócić po japońskich rozbitków. Wcześniej zjawilo się przy wraku kilka statków grików, z białym włącznie, i zabrały ich wszystkich prócz jednego. Był to ranny oficer, który postanowił przejść na stronę Amerykanów. Ukrył się wcześniej przed swoimi oraz jaszczurami i czekał cierpliwie. Na razie przebywał pod strażą, ale sporo im opowiedział. Także o kapitanie Kaufmanie i jego smutnym losie. Ciało lotnika zostało pochowane z honorami obok innych poległych.

- Nie wspominając o tym, że wciąż jest ich o wiele więcej niż nas - dodał Bradford.

- To nie ma znaczenia - wtrącił Matt. - Tak czy owak Adar ma rację. Musimy ich zlikwidować. Są jeszcze gorsi, niż myśleliśmy. Nie umieją przegrywać ani się poddać, nie zostawią nas też w spokoju. Jeśli nie będziemy działać zdecydowanie, w końcu tu wrócą i wszystko to - wskazał ręką wokoło - okaże się daremne.

- Jak myślisz, ile mamy czasu? - spytała Sandra.

Matt wzruszył ramionami i spojrzął na Bradforda.

- Trudno to dokładnie ocenić - odparł Australijczyk. - Według naszego „nowego” Japończyka, komandora Okady, jeśli dobrze pamiętam, zadaliśmy im ciężkie straty. Mogą potrzebować jakichś trzech lat, żeby je uzupełnić, zarówno gdy chodzi o wojowników, jak i okręty. W najlepszym razie pięć. Ale to tylko domysły, oczywiście.

- Mój Boże... Tak szybko? - zdziwił się Ellis.

- Najprawdopodobniej - potwierdził Bradford.

- To znaczy, że musimy uwinąć się z przygotowaniami w połowie tego czasu - powiedział z namysłem Keje.

- Jak? - szepnął Matt. Nie chciał teraz rozmawiać o długoterminowej strategii. Chwilowo nie miał do tego serca, przeżywał jeszcze żalobę po swoim okręcie.

- Spokojnie, skipper - powiedział z uśmiechem Spanky. - Zbudujemy okręty liniowe!

- Co takiego? - zdumiał się Matt.

- Widziałeś kiedyś maszynę parową z wahaczem? Jeśli wpakować taką, ale wielką, do czegoś rozmiarów *Salissy*, po czym dodać koła łopatkowe i mnóstwo dział... Będzie koci okręt liniowy!

- Maszyna parowa napędzająca pływający dom... - powtórzył zaintrygowany Keje. - Musi mi pan więcej o tym opowiedzieć, panie Maac-Faar-Laan. Chociaż na razie najważniejsze jest wzmocnienie sojuszu - powiedział i skłonił się lekko Saan-Kakii. - Mam nadzieję, że także poddani księżniczki Rebecki zechcą wesprzeć naszą sprawę. Musimy wysłać delegację za Morze Wschodnie. Odwieźć księżniczkę do domu, kapitanie Reddy. Niech im o nas opowie. - Spojrzał na Graya. Po takim zwycięstwie... może łatwiej uda się ich przekonać.

- Nie wiadomo, czy wystarczy nam czasu - mruknął smętnie Matt, wciąż patrząc na szczątki *Walkera*. Prędkość niszczyciela czyniła takie wyprawy względnie łatwymi. Cóż, pewne rzeczy minęły bezpowrotnie. Keje bezwiednie posypał jego rany solą.

- Dlaczego nie chcesz podnieść *Waa-kura*? - spytał w tej samej chwili Keje, sądząc po głosie wiedziony wyłącznie ciekawością.

Matt parsknął gorzkim śmiechem, po czym zamrugał przeproszająco.

- Przykro mi. Chciałbym, ale to niemożliwe.

Teraz Keje zamrugał, ale ze zdziwienia.

- A to dlaczego? Nie jest większy niż *Salissa*, a jednak mój dom będzie jeszcze pływał.

- Pomyśl tylko - odezwał się Spanky. - Wy macie wielkie pompy. Widziałem, jak pracują. Jednak tutaj, choćbyśmy wpompowali w *Walkera* nie wiem ile powietrza, to nic nie da. Najpierw musielibyśmy do niego zanurkować, żeby połatać wszystkie dziury. A to

niewykonalne.

Keje wciąż nic nie rozumiał.

- A czy zastanawialiście się kiedyś, jak budujemy nasze pływające domy?

- No... pewnie tak jak wszyscy - odarł Spanky. - Na pochylni i potem je wodujecie.

Tak jak zbudowaliśmy nasze fregaty.

- Teraz rozumiem, skąd to nieporozumienie - mruknął Keje, kręcąc głową. - Tak budujemy mniejsze jednostki. Feluki i tak dalej. Ale zapewniam was, że pływające domy nie powstają na lądzie.

Spanky szeroko otworzył oczy.

- W suchych dokach?

- Już jakiś czas temu mówiliśmy, że przydałby się wam porządny suchy dok - powiedział Keje, znajdujący się już w centrum uwagi. - Ale my robimy to inaczej. Sypimy wał ziemny, odgradzając fragment jakiejś zatoki, potem usuwamy z niego wodę. Ten tutaj basen też był już tak wykorzystywany. Myślałem, że wiecie i że po to właśnie ciągniecie tu wasz niszczyciel. Akurat w tym miejscu jest to szczególnie proste. Ustawimy dwa pływające domy, żeby odgrodzić basen od zatoki, a potem wystarczy wypełnić ziemią miejsca między nimi. No i brzegiem. Wypompowanie wody trochę potrwa, ale w końcu będziecie mogli swobodnie zacząć pracę.

- Koferdam! - wykrzyknął z uśmiechem Matt, nagle przypominając sobie to słowo. Czyżby jednak była nadzieja? - Nie wiedzieliśmy! Płynąłem tutaj za łodziami, które nas ciągnęły.

- A ja słuchałem pilota z prowadzącej feluki - dodał Jim. - I założę się, że Frankie też!

- Dobrze, że chociaż jedna osoba wiedziała, co robi! - jęknął Gray, wywołując wybuch śmiechu.

Gdy Rolak, Chack i Safira dołączyli do grupy, znaleźli ją w zdumiewająco dobrym nastroju.

- Coś nas ominęło? - spytała królowa. Wciąż była smutna po pogrzebie, ale ogólnie czuła się podniesiona na duchu.

- Wydobędziemy nasz okręt! - powiedziała triumfalnie Sandra, ściskając dłoń Matta.

Spanky jednak zmarszczył brwi.

- To nic nie da - mruknął. - Przykro mi. Zniszczenia są zbyt duże. Poważnie naruszona konstrukcja kadłuba. Do takich napraw potrzeba stali. Same miedziane łąty i nity nie wystarczą.

Wszyscy posmutnieli. Poza Chackiem.

- Stal to żelazo, tak? Słyszałem, że używaliście tego słowa zamiennie.

- Poniekąd... - odparł Spanky.

- No to czym się martwisz? - Zaśmiał się radośnie. - Jesteście bardzo dziwni. Czasem bosko genialni, ale bywa, że nie dostrzegacie oczywistego. Tam macie żelaza do woli! - Wskazał przez ramię na ujście zatoki, gdzie wystawały nad wodę pocerniałe od ognia nadbudówki krążownika.

Ponury nastrój pierzchnął. Pośród ozywionych uwag, śmiechu i podniecenia poczuli, że naprawdę wygrali. Zwycięstwo nie jawiło im się już jako kolejna próba, którą trzeba było przejść z zaciśniętymi zębami. Bliżej ku wieczorowi zaczęli się rozchodzić.

Gdy słońce dotknęło horyzontu, Sandra objęła Matta, przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Radośnie i namiętnie.

- Muszę już iść - szepnęła ze łzami w oczach. - Praca.

- Ja jeszcze zostanę.

- Wszystko w porządku?

- Teraz już tak - odparł z uśmiechem Matt. - Już wiem, że będzie dobrze.

Przytuliła go mocno. Gdy się odsuwała, uśmiechnęła się figlarnie.

- Karen jest w ciąży - oznajmiła.

Matt spojrzał na nią zdumiony, jak wszyscy mężczyźni w takiej sytuacji.

- Nie wygląda jakoś inaczej.

Sandra zaśmiała się i pokręciła głową.

- Do zobaczenia, marynarzu - rzuciła i zniknęła w gęstniejącym mroku.

- Taak - mruknął Matt, idąc powoli nabrzeżem. W końcu się uśmiechnął.

Trochę dalej trafił na Myszowatych. Siedzieli na zwiniętej cumie oparci o leżące obok pale. Cała trójka zastygła w identycznej pozie, z łokciami na kolanach i brodą na dłoniach, i smętnie wpatrywała się w wystające z wody fragmenty niszczyciela.

- Dobry wieczór - przywitał ich Matt, trochę rozbawiony tym widokiem. Chcieli wstać, ale machnął ręką, żeby się nie trudzili. - Coście tacy smutni?

Spojrzeli na niego, jakby go mieli za wariata.

- No, za przeproszeniem... - odezwał się Gilbert i wstał. Uznał, że nawet z pomylnym kapitanem nie wypada rozmawiać na siedząco. Zdjął też czapkę. - Nasz okręt... zatonął.

- No i co z tego? Podniesiemy go. Żadna sprawa w porównaniu z tym, czego już dokonaliśmy.

Isak i Buras też się zerwali.

- Ale... za przeproszeniem... jak go połatamy? - spytał Isak.

- Stała z japońskiego okrętu! - wykrzyknęła nagle Buras, zaciągając podobnie jak jej towarzysze.

Isak zastygł.

- Rany... Odzyskamy naszą kotłownię... Ale japońskie żelazo? Nie godzi się! - Nagle przypomniał sobie o etykiecie i także zerwał czapkę z głowy. - Sir.

- Bez obaw! - zaśmiał się Matt. - Pamiętacie cały ten złom, który sprzedawaliśmy im przed wojną? Kto wie, ile packardów poszło na jego modernizację?

Wciąż z uśmiechem zostawił ich pograżonych w ożywionej rozmowie i ruszył dalej wzdłuż basenu, co rusz zerkając krytycznym okiem na szczątki swojego okrętu. Widok nie był wesoły i nie ulegało wątpliwości, że podniesienie i remont niszczyciela będą prawdziwym wyzwaniem. Ale robili już różne cuda, więc i teraz dadzą radę. Samo to, że przeżyli, było cudem.

Zatrzymał się przy końcu basenu. Stał teraz dalej od okrętu i nie było tak widać zniszczeń. Ostatni promyk słońca przebił się przez dżunglę na drugim brzegu i padł na sterówkę, rzucając długie cienie. To tam stał, gdy pierwszy raz natknęli się na *Amagiego* i gdy przeszli przez szkwał. Stamtąd pierwszy raz ujrzął lemurów i kierował akcją, gdy im pomagali. Chyba tam też zrozumiał, że kocha Sandrę Tucker. Był tam, gdy dowodził bitwą pod Aryaalem, gdy próbowali ratować *Nerrackę*.

I tę niedawną ciężką noc też spędził w sterówce...

Nagle dotarło do niego, że to sterówka i mostek *Walkera* uczyniły go tym, kim jest. One i cały okręt sprawiły, że ten dawny Matt zniknął, a ukształtował się nowy. I załoga też odegrała w tym dużą rolę, oczywiście. Poczuł, że po policzkach spływają mu łzy, i otarł je niecierpliwie. To nie była odpowiednia pora. No i jego okrętowi, którego uważał przecież za żywą istotę, na pewno by się to nie spodobało. Gdy mostek *Walkera* zaczął ginąć w ciemności, Matt pomyślał, że jeszcze tam wróci. A gdy to nastąpi, jego okręt znajdzie się na czele wielkiej floty, która raz na zawsze zażegna niebezpieczeństwo. Zetrze grików z oblicza tego świata i zapewni jego ludziom, wszystkim, niezależnie od rasy, spokojne życie. Życie z pamięcią o tych, którzy zginęli, aby im się udało.